

STANISŁAW SWIANIEWICZ

W CIENIU KATYNIA

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1989

W CIENIU KATYNIA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 371

Wydanie 7-e foto-offsetowe

ISSN 0406-0393

ISBN 2-7168-0027-8

IMPRIMÉ EN FRANCE

Éditeur: INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

STANISŁAW SWIANIEWICZ

W CIENIU KATYNIA

*Pamięci żony mojej
Olimpii ten opis
przeżyć poświęcam.*

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1989

NOTES DE LA BIBLIOTHÈQUE

ARTYKULY I PRACE

© COPYRIGHT POUR LA LANGUE POLONAISE
INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., 1976.

W S T Ę P

Autor poniższych szkiców był jedynym spośród oficerów polskich internowanych w obozach sowieckich, któremu wypadło być w pobliżu lasu Katyńskiego w czasie, gdy tam odbywała się egzekucja. 29 kwietnia 1940 roku wywieziono go z obozu Kozielskiego razem z grupą około 300 oficerów przeznaczonych do likwidacji. 30 kwietnia rano na stacji Gniezdowo, gdzie miał miejsce wyładunek celem przewiezienia do pobliskiego lasu Katyńskiego, por. Stanisław Swianiewicz, na jakiś nagły rozkaz zwierzchnich władz w Moskwie, został wyseparowany z tej grupy i przewieziony do więzienia w Smoleńsku; a stamtąd po kilku dniach do więzienia w Moskwie na Łubiance.

Autor opisuje tutaj szlaki, które poprzez boje kampanii wrześniowej doprowadziły go pod Katyń; a potem jego dzieje w więzieniach i łagrach sowieckich, gdy władze moskiewskie zdecydowały zmienić jego status jeńca wojkowego na status więźnia politycznego i wytoczyć mu akt oskarżenia; a w dalszym ciągu jego pobyt w roku 1942 w Ambasadzie R.P. w Kujbyszewie, gdy polskie czynniki zarówno wojskowe jak i cywilne, poszukiwały jakichś śladów po zaginionych 15 tysiącach polskich oficerów i policjantów, o których władze sowieckie odmawiały wszelkich informacji. Autor był wówczas jedynym człowiekiem, który wskazywał na właściwy ślad, którym należało iść aby przeniknąć tajemnicę oficerów Kozielskich.

W końcu tych szkiców autor czyni wysiłek, aby spojrzeć na sprawę Katynia z perspektywy trzydziestolecia, które przyniosło szereg nowych faktów i dowodów co do prawdziwych sprawców tej wyjątkowo ohydnej zbrodni.

Autor przez cały okres Polski Niepodległej był związany z Uniwersytetem Wileńskim, którego był kolejno studentem, asystentem, docentem oraz profesorem na katedrze ekonomii poli-

tycznej. Równocześnie ze swoimi obowiązkami uniwersyteckimi był on kierownikiem działu studiów gospodarczych w Instytucie Europy Wschodniej w Wilnie. Był więc jednym z polskich ekspertów od problemów gospodarczych Rosji Sowieckiej.

W dziedzinie pracy naukowej interesowała go przede wszystkim ekonomia krajów o systemie totalitarnym. Jego pierwsza większa praca naukowa, drukowana w 1926-27 roku w krakowskim Czasopiśmie Prawniczym i Ekonomicznym dotyczyła poglądów ekonomicznych Jerzego Sorela, który jak wiadomo, wywarł duży wpływ na Mussoliniego. W roku 1930 Instytut Europy Wschodniej w Wilnie wydał jego książkę Lenin jako Ekonomista. Podobno jest ona dotychczas dostępna w bibliotekach PRL. W 1934 roku ukazuje się pod redakcją autora w wydawnictwach tego samego Instytutu tom studiów nad problemami gospodarczymi Związku Sowieckiego. W roku 1938 ukazuje się jego Polityka Gospodarcza Niemiec Hitlerowskich wydana przez tygodnik Polityka w Warszawie.

Po opuszczeniu Rosji autor pozostaje przez pewien czas na Wschodzie kierując Biurem Studiów ustanowionym w Jeruzolimie przez wojenny rząd polski przebywający w Londynie. W 1944 roku obejmuje dział wschodni w Ministerstwie Prac Kongresowych szykującym materiały do spodziewanej konferencji pokojowej.

Po wojnie wraca do pracy naukowej. Stoi przez kilka lat na czele wydziału Ekonomii i Handlu w Polish University College, uczelni technicznej utworzonej przez władze brytyjskie, aby Polaków, którzy służyli pod dowództwem brytyjskim, przygotowywać do egzaminów dyplomowych na Uniwersytecie Londyńskim. Potem zajmuje stanowisko Senior Research Fellow w Uniwersytecie w Manchester, gdzie oddaje się przeważnie studiom nad problemami przeludnienia agrarnego w Europie Wschodniej oraz Azji. W 1956 roku wyjeżdża z ramienia UNESCO na dwa lata do Indonezji. Po powrocie dostaje nominację jako Fellow in International Studies w London School of Economics, stanowiącej część Uniwersytetu Londyńskiego. W 1963 roku przechodzi na katedrę ekonomii i statystyki w Saint Mary's University w Halifaxie, w Kanadzie. W 1965 roku Oxford University Press wydaje jego książkę Forced Labour and Economic Development, która wywołała szerokie echa w wydawnictwach poświęconych naukom społecznym na całym świecie. W latach 1966-1968 wykłada jako wymienny profesor kanadyjski w Uniwersytecie Notre Dame w Indianie w Stanach Zjednoczonych. W roku 1968 wraca do St. Mary's University. W roku 1973 uniwersytet ten nadaje mu honorowy tytuł professor emeritus.

Autor urodzony na północno-wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej był wychowany w szkole zaborczej na klasycznej literaturze rosyjskiej, zaś w konspiracyjnych kółkach samokształceniowych na polskiej poezji romantycznej. W czasie rewolucji październikowej był studentem Uniwersytetu Moskiewskiego. Paradoksem umysłowości ludzi z tego rodzaju doświadczeniem było zainteresowanie kulturą rosyjską przy jednoczesnym ujemnym stosunku do politycznych związków z Rosją. Ze znajomości bezbrzeżnych przestrzeni Rosji wynosili oni ideał wyzwolenia wszystkich narodów ujarzmionych przez imperializm moskiewski, a potem petersburski. W latach dwudziestych ludzie tego typu gorąco popierali program federacyjny Józefa Piłsudskiego, głosili hasła niepodległości Ukrainy i Białorusi oraz okazywali skłonność do daleko idącego kompromisu z Litwą w sprawie Wilna. W Wilnie tego rodzaju postawa wiązała się często z emocjonalnym przywiązaniem do tradycji Wielkiego Xięstwa Litewskiego, która z natury rzeczy była politycznie antyrosyjska, sięgając jeszcze czasów kiedy w XIV wieku wobec słabnącej potęgi tatarskiej Wilno współzawodniczyło z Moskwą w jednoczeniu ziem ruskich. Nie było jednak w tym nienawiści do Rosji, lecz raczej szukanie dróg współżycia. Ludzie tego typu zachowywali się poezją Lermontowa i Puszkina, utrzymywali kontakty z inteligencją rosyjską, czuli się dobrze w środowisku rosyjskim. Ta postawa znajduje swój wyraz przy końcu książki w trosce autora o to, jak sprawa Katynia odbije się na stosunku przyszłych pokoleń polskich do Rosji.

Literatura pamiętnikarska składa się z opowieści o sprawach, wydarzeniach i ludziach ujętych tak, jak te fakty zewnętrzne przetamywały się poprzez pryzmat indywidualności piszących: ich formacji umysłowej oraz ich światopoglądu. W związku z tym warto przytoczyć, co w roku 1965 londyński The Economist napisał o autorze z okazji wydania przez Królewski Instytut Spraw Międzynarodowych jego książki *Forced Labour and Economic Development*:

„Professor Swianiewicz was the last Polish officer to leave Katyń before the massacre. As one of the world first sovietologists he was interesting to his Soviet captors. He was interrogated, sentenced to forced labour and released under the Polish amnesty. It is remarkable coincidence indeed that this quintessential experience should have been undergone by an intelligent and open mind adequately trained in Economics yet of wide culture and steely objectivity*”.

* *The Economist*, London, September 4, 1965.

PRZEDMOWA

Niniejsze szkice dotyczą rzeczy, które przeżywałem jako jeden z uczestników kampanii wrześniowej w 1939 roku; jako jeńiec Kozielska, jako więzień Łubianki, Butyrek i łagrów sowieckich a potem rezydent polskiej ambasady w Kujbyszewie, któremu zdarzyło się ocierać o różne kluczowe sprawy wojennego rządu polskiego w Londynie w ostatnim okresie drugiej wojny światowej.

Od razu na wstępie muszę zrobić jedno zastrzeżenie: nie jestem świadkiem masakry katyńskiej, jak o tym pisały niektóre wydawnictwa amerykańskie. Jestem jednak jedynym oficerem Kozielskim, którego dowieziono do stacji kolejowej pod Smoleńskiem, przy której wyładowywano skazańców a tam wyseparowano z transportu oraz przewieziono początkowo do Smoleńska, a potem do Moskwy do więzienia na Łubiance. Jestem więc jedynym, który odbył drogę do miejsca kaźni i jest w stanie rzucić nieco światła jak ta egzekucja była przez organy NKWD organizowana.

Ten pobyt w pobliżu lasu Katyńskiego zaciążył na całym moim późniejszym życiu. Od czasu gdy w 1943 roku prawda o Katyniu stała się jasna miałem ciągle poczucie, że jeżeli Opatrzność wyratowała mnie, jedyne z czterech z górą tysięcy oficerów Kozielskich wiezionych na stracenie i pozwoliła osiągnąć świat ludzi wolnych, to wynika stąd, że ciąży na mnie jakiś obowiązek. Jaki — to nie było dla mnie całkiem jasne. Ostatecznie po wojnie wróciłem do swego zawodu uniwersyteckiego nauczyciela oraz pracownika naukowego w zakresie ekonomii. Musiałem przezwyciężyć duże trudności związane z barierą językową. Oddaliło to mnie jednak bardzo od głównych

prądów życia polskiego zarówno na emigracji jak i w kraju. Wydaje mi się, że w pewnym stopniu spłaciłem swój dług wobec moich towarzyszy niedoli w łagrach sowieckich wydając w 1965 roku książkę pt. *Forced Labour and Economic Development*¹, która znalazła na całym świecie bardzo szeroki odzew w różnych wydawnictwach poświęconych naukom społecznym. O sprawie Katynia napisałem bardzo niewiele i raczej doraźnie, jeżeli nie liczyć szeregu wyjątków z moich pamiętników, które trafiły do znanej *Zbrodni Katyńskiej w Świeśle Dokumentów*². Obecnie, gdy po latach włączyłem poprzez uniwersytety Anglii, Indonezji, Kanady i Stanów Zjednoczonych znalazłem się w pozycji emeryta, postanowiłem zebrać szereg szkiców napisanych w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat oraz połączyć je w jedną logiczną całość. Mam nadzieję, że będzie ona nieco pomocna przyszłemu historykowi.

Jest to pamiętnik bardzo indywidualny w tym sensie, że piszę nie tylko o wydarzeniach, których byłem świadkiem, i ludziach, których spotykałem, lecz również o tym jak te wydarzenia i tych ludzi oceniałem. Czasami w tych ocenach, szczególnie gdy chodzi o ocenę wypadków politycznych i wojskowych, popełniałem błędy. Czasami wydawałem sądy, które w dzisiejszych warunkach wydają się mylnymi, lecz w warunkach 1939 lub 1941 wydawały się mieć za sobą logiczne uzasadnienie. Nie przeczę, że wiele rzeczy widzę dziś inaczej niż widziałem trzydzieści lat temu. Lecz chciałbym niejako wyjść poza siebie i przedstawić siebie takim, jakim byłem w owych latach.

Widmo wojny polsko-niemieckiej, od której zaczęły się opisywane poniżej zdarzenia, dręczyło mnie już na szereg lat przed 1939, chociaż bynajmniej nie uważałem tej wojny za nieuniknioną. I właśnie dlatego, że nie uważałem jej za nieuniknioną, sądzę że moje własne dzieje nabiorą pewnej perspektywy historycznej jeżeli zacznę ten opis ludzi i wypadków od wspomnienia o tych wrażeniach, jakie zostawiły na mnie przedwojenne podróże naukowe do Niemiec oraz moje rozmowy na terenie uniwersytetów i instytutów badawczych.

1. Oxford University Press, 1965.

2. Wydawnictwo „Gryf”, Londyn, szereg wydań poczynając od 1948 r.

Rozdział I

NADCIĄGAJĄCA BURZA

Problem polsko-niemiecki

Lato 1939 rozbrzmiewało pogłoskami o nadchodzącej wojnie z Niemcami. Bardzo tej wojny nie chciałem i spodziewałem się, że w ostatniej chwili znajdzie się jakiś kompromis.

Należałem do pokolenia, które brało udział w zmaganiach się o niepodległość. Jeszcze przed pierwszą wojną, jako sztubak w szkole rosyjskiej, należałem do polskich organizacji konspiracyjnych. W końcowym okresie wojny należałem do P.O.W. (Polska Organizacja Wojskowa). W latach 1919-1920 służyłem w wojsku jako ochotnik. Byliśmy więc pierwszym pokoleniem, które zdobyło niepodległość, wówczas gdy poprzednie cztery pokolenia znały same klęski, chociaż zostawiły nam wielkie skarby kultury duchowej. Polska, która powstała w rezultacie walk 1918-1920 r., niezupełnie odpowiadała moim ideałom, gdyż marzyłem nie o państwie narodowym lecz o odbudowaniu Rzeczypospolitej wielonarodowej. Wywalczoną niepodległość jednak uważałem za wielkie dobro i wielki skarb, którego nie wolno nam lekkomyślnie narażać na szwank przez wdanie się w wojnę która, w każdym razie w pierwszym jej etapie, musiała nam przynieść klęskę. Dlatego też uważałem, że należało zrobić maksimum wysiłku aby tej wojny uniknąć.

Byłem przekonany, że od czasu gdy od 1934 roku Hitler rozpoczął intensywną akcję dozbrojenia, a szczególnie odkąd w 1936 roku Niemcy obsadziły militarnie Nadrenię, utrudniając nam w ten sposób ogromnie możliwość efektywnej pomocy francuskiej, nasze szanse odparcia ataku niemieckiego były bardzo nieduże. Wynikało to z konfiguracji naszych granic, szcze-

gólnie od chwili gdy w 1939 roku Hitler obsadził Słowację. Wówczas faktycznie znaleźliśmy się militarnie w kleszczach niemieckich. Drugim elementem była różnica naszych potencjałów przemysłowych. Gdyby nawet jakimś cudem udało się nam obronić nasz Centralny Okręg Przemysłowy, nasza produkcja stali — a więc również nasza zdolność produkcji głównych środków walki — byłaby wciąż nieporównywalna z potencjałem Rzeszy Niemieckiej. Orientowałem się stosunkowo nieźle w niemieckim potencjale wojenno-przemysłowym, gdyż właśnie w 1938 roku redakcja *Polityki* w Warszawie wydała w swej „Bibliotece” moją książkę pt. „*Polityka Gospodarcza Niemiec Hitlerowskich*”, którą napisałem nie tylko na zasadzie studiów bibliotecznych, lecz również podróży do Królewca, Berlina, Kilonii i Hamburga.

Trzecim elementem mego myślenia było przekonanie, że każde wdanie się w wojnę na Zachodzie będzie oznaczało obsadzenie naszych ziem wschodnich przez Rosję. Nie mogłem oczywiście przewidzieć, w którym etapie wojny to miałyby nastąpić i pod jakim pozorem Związek Sowiecki wejdzie na te ziemie — czy jako wróg, czy jako „przyjaciół”, czy jako sojusznik Niemców, czy też, może, sprzymierzeniec Zachodu. To oczywiście będzie zależało od warunków. Nie miałem też żadnej wątpliwości, że wejście Rosji do naszych województw wschodnich będzie oznaczało koniec utrzymujących się tam wpływów polskich oraz polskiego stanu posiadania. Nie byłem przeciwny przekazaniu części tych ziem niepodległej Ukrainie lub Białorusi, gdyby takie miały powstać, lecz nie widziałem żadnej racji na oddawanie ich Rosji.

Nie byłem też za utrzymaniem na Ziemiach Wschodnich wielkiej własności polskiej, lecz z drugiej strony uświadamiałem sobie, że dwory i dworki ziemiańskie były często miejscami gdzie przez wieki gromadziły się duże skarby kultury i sztuki, że były tam biblioteki, które świadczyły o bogactwie myśli i tęsknotach ducha minionych pokoleń. Nie wątpiłem w konieczność przekształcenia ustroju gospodarczego, a w szczególności ustroju agrarnego; lecz chciałem aby się to dokonało etapami, lub w każdym razie w sposób nie naruszający tych dożytków cywilizacji, którą szlachta litewska i ruska wytworzyły przez zlanie się z polskością. Uważałem, że te dożytki mogły się stać ważnym współczynnikiem ruchów narodowych: ukraińskiego, białoruskiego i litewskiego, do których w moim rozumieniu należała przyszłość wschodu dawnej Rzeczypospolitej. Wejście Sowietów na te ziemie zniszczyłoby owe centra tradycyjnej kultury i wypaczyłoby możliwość swobodnego rozwoju dla Ukraińców i Białorusinów, o co walczyła część moich przyjaciół, grupujących się

dookoła *Kuriera Wileńskiego*. Ten strach przed kolosem ze wschodu nakazywał wielką ostrożność również w naszej polityce zachodniej.

Moje przekonanie, że w ówczesnej sytuacji starcie z Niemcami mogłoby być dla nas katastrofą nie było oparte na żadnym sentymencie, lecz na chłodnym rozumowaniu. Było również nieco innych ludzi (choć niezbyt wielu), którzy myśleli w sposób podobny. Wymienię tu Stanisława Mackiewicza, redaktora *Słowa wileńskiego*, Adolfa Bocheńskiego — młodego publicystę zespołu *Polityki* i, jak mi się wydawało, również Wacława Zbyszewskiego, który w owym czasie okresowo przyjeżdżał do Wilna, nie mówiąc już o Władysławie Studnickim, który od wielu lat propagował sojusz z Niemcami. Ludzie, którzy tak rozumowali nie mieli ani realnego wpływu na politykę zagraniczną ani też nie reprezentowali jakiejś większej grupy.

Dążenie do porozumienia implikuje kompromis. Niemieckie dążenia popierane przez wszystkie partie niemieckie, tj. zwrot Korytarza, na ogół byłyby mile widziany przez koła lewicowe na Zachodzie, nie wyłączając Francji. W 1928 i 1929 roku spędzałem dość dużo czasu we Wrocławiu, gdzie w *Osteuropa Institut* pisałem swoją książkę o Leninie jako ekonomście, oraz starałem się uchwycić pewne modele dla projektowanego Instytutu Europy Wschodniej w Wilnie. Często też spotykałem się z naszym konsulem p. Radowskim, który nie miał tam łatwego życia ze względu na ogólną wrogość. W gościnnym domu państwa Radowskich nieraz spędzałem wieczory i dowiedziałem się o różnych kłopotach, jakie mieli nasi konsulowie w Niemczech na skutek braku jasnych przepisów co do tranzytu niemieckiego, osób i towarów, przez terytorium państwa polskiego do Prus Wschodnich. Pan Radowski uważał, że w interesie Polski trzeba było stworzyć taką sytuację, aby Niemcy przy transporcie nie odczuwali wcale istnienia Korytarza. Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem koncepcje dania Niemcom prawa wybudowania eksterytorialnej kolei oraz eksterytorialnej szosy poprzez Korytarz. O ile wówczas mogłem zrozumieć był to projekt wysuwany przez stronę polską jako odpowiadający interesom obydwóch stron. Nie oznaczało to że p. Radowski zdecydowanie popierał ten projekt, lecz w każdym razie uważał go za myśl godną głębszego rozważania. Jeśli idzie o mnie, to wróciłem z tych swoich podróży do Wrocławia z przekonaniem, że trzeba szukać jakichś dróg wyrównania naszych różnic z Niemcami.



Już po wojnie, w Londynie, Stefan Tyszkiewicz, były inicjator

i Prezes Zarządu Polskiej Ligi Drogowej, opowiadał mi, że w połowie lat trzydziestych istniał projekt autostrady w postaci mostu nad tzw. Korytarzem, opracowany przez polskich inżynierów. Tyszkiewicz poinformował o tym projekcie W. Todta, twórcę niemieckiej akcji budowania autostrad, który ustosunkował się do tego projektu niemal entuzjastycznie. Projekt miał być finansowany przeważnie przez Niemcy. Stworzyłyby jednak ogromne możliwości zatrudnienia co najmniej kilku tysięcy polskich bezrobotnych. Byłoby to jakby przedłużenie na Polskę niemieckiej operacji *Arbeitsbeschaffung*, w której Todt odegrał ogromną rolę. Z punktu widzenia czysto wojskowego projekt nie przedstawiał większych niebezpieczeństw, gdyż w razie wojny most przy uprzednim zaminowaniu niektórych słupów mógł być wysadzony w powietrze niemal za pociśnięciem guzika. Tyszkiewicz, tak samo jak konsul Radowski przedtem, uważał, że trzeba było zrobić wszystko, aby Niemcy możliwie jak najmniej odczuwali w praktyce istnienie „korytarza” oddzielającego Prusy Wschodnie od reszty Rzeszy. Gdy jednak Tyszkiewicz przedstawił ten projekt wiceministrowi Komunikacji Piaseckiemu, ten go z punktu odrzucił, motywując względami czysto emocjonalnymi.

Gdy w pięć lat potem, w 1934 roku, Marszałek Piłsudski ku zdumieniu całego świata zawarł z Hitlerem na 10 lat pakt o nieagresji, uważałem to za posunięcie dyplomatyczne wielkiej klasy. Pakt ten został dokonany w chwili, gdy toczyły się pertraktacje o tzw. pakt czterech (Francja, Anglia, Włochy, Niemcy), który w istocie rzeczy implikował zaspokojenie apetytów Hitlera kosztem Polski. Zawierając pakt o nieagresji z Niemcami Marszałek faktycznie obalił „Pakt Czterech”. Oprócz tego nasz pakt o nieagresji oznaczał odwrócenie porządku rewindykacji niemieckich. Za czasów Republiki Weimarskiej Niemcy na pierwszym miejscu stawiali postulat likwidacji polskiego korytarza, jak to już przed chwilą zostało podkreślone. Dopiero na dalszych miejscach wymieniano inne postulaty, jak usunięcie przeszkód do połączenia się z Austrią, inkorporacja terytoriów czeskich, zamieszkałych przez większość niemiecką, obalenie militarnych klauzul traktatu Wersalskiego oraz odzyskanie kolonii. Pakt o nieagresji nie stanowił zrzeczenia się przez Niemcy pretensji do korytarza, lecz dawał dziesięć lat czasu na wypracowanie zasad jakiegoś rozsądnego kompromisu i przygotowania opinii publicznej po obu stronach dla przyjęcia tego kompromisu. Niedługo potem, jak wiadomo, Marszałek Piłsudski zakończył życie.

Taktyka MSZ-u

W połowie lat trzydziestych miałem zwyczaj wyjeżdżania czasami ze Stanisławem Mackiewiczem na przejażdżki konne w okolice Wilna. Kiedy po kłusie i galopie przechodziliśmy w stępa, Mackiewicz wyrażał mi swój niepokój, że nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych nic nie robi, aby zawczasu przygotować jakieś rozwiązanie spraw, które mogą dać powód do konfliktu zbrojnego z Niemcami w przyszłości. Mackiewicz był gotów iść na dość daleko idące ustępstwa w sprawie Gdańska. Ja ze swej strony powtarzałem koncepcję, którą mi swego czasu rozwinął konsul Radowski, i uważałem, że ona mogłaby stanowić linię kompromisu w sprawach niemieckich. Mackiewicz również twierdził, że polityka naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kierowana przez Józefa Becka, była najeżona sprzecznościami nie ulegającymi jakiemuś logicznemu wytłumaczeniu. W Polsce i poza Polską ogólnie uważano Becka za przedstawiciela linii proniemieckiej. Na terenie międzynarodowym, a w szczególności w Lidze Narodów, jego posunięcia szły po linii, która ułatwiała grę niemiecką. Tymczasem, gdy w społeczeństwie powstawały jakieś próby, aby dyskutować z Niemcami w sposób nieobowiązujący nasze różnice i postarać się wyłuszczyć jakąś koncepcję możliwego kompromisu, Ministerstwo Spraw Zagranicznych starało się takie próby utracić. Zdaniem Mackiewicza stosunki polsko-niemieckie były naładowane imponderabiliami. Jeżeli mamy uniknąć katastrofy trzeba zrobić wielki wysiłek aby Polacy i Niemcy starali się zrozumieć wzajemne punkty widzenia i aby nauczyl się spokojnie te różne postawy dyskutować. MSZ szło na współpracę z Niemcami w sferach wysokiej dyplomacji; było jednak przeciwne mnożeniu się kontaktów w życiu społeczeństwa.

O słuszności zarzutu St. Mackiewicza miałem się niebawem przekonać. Wiosną 1936 roku (czy też mogło to być jeszcze w 1935 roku) zadzwonił do mnie ówczesny rektor Uniwersytetu prof. Witold Staniewicz i powiedział, że otrzymał przez MSZ wiadomość, że wkrótce przyjeżdża do Wilna pod kierownictwem młodego profesora ekonomii Teodora Oberländera wycieczka, składająca się z około 40 studentów Uniwersytetu w Królewcu. Rektor dodał, że w okresie pobytu tej wycieczki nie będzie obecny w Wilnie i prosił mnie, abym zajął się gośćmi i reprezentował Uniwersytet wobec tych profesorów i docentów, którzy będą uczestnikami tej wycieczki. Powiedział mi również, że jako były minister Marszałka Piłsudskiego nie chciałby wiązać siebie różnymi deklaracjami, które różnie mogą być interpretowane

oraz że administracja Uniwersytetu zajmie się ulokowaniem studentów, a także środkami transportowymi. Byłem nieco zaskoczony tym zleceniem, gdyż wydawało mi się, że moja ranga nie była dostatecznie wysoka, aby reprezentować Uniwersytet. Nie byłem nawet formalnie profesorem, a jedynie docentem, zastępującym od kilku lat profesora, który był Ministrem Skarbu, chociaż pod względem swojej specjalności byłem istotnie odpowiednikiem prof. Oberländera w Królewcu. Miałem za sobą kilka większych prac drukowanych, z których jedna była życzliwie recenzowana w wydawnictwach niemieckich. Wśród profesorów wileńskich uchodziłem za młodzika, lecz ostatecznie Oberländer, którego mianowano profesorem już po dojściu Hitlera do władzy, był jeszcze młodszy ode mnie.

Zrobiłem maksymalny wysiłek aby Wilno sprawiło na gościach jak najlepsze wrażenie; pokazaliśmy im całe bogactwo zabytków historii Wielkiego Xięstwa Litewskiego, zawieźliśmy ich do Trok, obdarowaliśmy wydawnictwami Instytutu Europy Wschodniej, stworzyliśmy wygodne warunki pobytu i zaprowiantowania w bursie akademickiej, daliśmy możliwość bezpośrednich kontaktów zarówno ze studentami Uniwersytetu Wileńskiego, jak i słuchaczami Szkoły Nauk Politycznych, która funkcjonowała przy Instytucie Europy Wschodniej. Starszych uczestników wycieczki zaprosiłem prywatnie na obiad do mego mieszkania na Antokołu, gdzie żona moja potrafiła wytworzyć bardzo przyjemną atmosferę. Z apetytu gości wnioskowałem, że talent naszej białoruskiej kucharki był wysoko oceniony.

Zawiozłem ich również na cmentarz żołnierzy niemieckich z pierwszej wojny światowej. Przy Województwie był specjalny wydział opiekujący się grobami wojennymi. Cmentarz na Zakręcie, otoczony ze wszystkich stron lasem, był bardzo dobrze utrzymany. Nad każdą mogiłą był krzyż z tabliczką, na której były wypisane imię, nazwisko, stopień oraz jednostka wojskowa, do której zmarły należał. Było tych mogił chyba kilka setek. Goście ustawili się w dwuzereg i na dany rozkaz odsalutowali groby, podnosząc po hitlerowsku prawe dłonie; myśmy, tzn. polscy przewodnicy, zdjęli kapelusze. Niektórzy z gości byli wyraźnie wzruszeni. Zrobiono dużo fotografii. W tym punkcie programu zademonstrowaliśmy dyskretnie naszym gościom, że Polacy są narodem rycerskim, który umie oddawać hołd żołnierzom, z którymi P.O.W. walczyło w ostatnim okresie wojny.

Prof. Oberländer podkreślał swoją przynależność do partii, której członkiem był jeszcze przed nominacją na katedrę profesorską. Ja ze swej strony podkreślałem swój sceptyczny stosunek do wszelkich skrajności nacjonalistycznych oraz przywiązanie do

ideałów, które przyświecały naszej walce o niepodległość w ubiegłym stuleciu. Lecz obydwaj zgodziliśmy się, że skoro Hitler i Marszałek Piłsudski zawarli ten pakt o nieagresji, obowiązkiem naszym jest postarać się, aby nie tylko zrozumieć wzajemną postawę, lecz aby tego rodzaju podejście wpoić naszym studentom. Chociaż byliśmy dalecy od głoszenia zasad abstrakcyjnego pacyfizmu, lecz z tego bynajmniej nie wynikało abyśmy się mieli bić. Natomiast jako ekonomiści dwóch najbardziej w naszych krajach na wschód wysuniętych uniwersytetów mogliśmy się zastanowić nad możliwościami kooperacji gospodarczej w ramach naszego regionu geograficznego. Prof. Oberländer przygotowywał wówczas książkę o agrarnym przeludnieniu w Polsce. Ja zaś, w oparach dopiero co zaczynającego się Keynesizmu, zbierałem materiały do metody przy pomocy której Schacht sfinansował likwidację bezrobocia. Obydwaj zgodziliśmy się, że ekonomiści Królewca i Wilna muszą pomiędzy sobą utrzymywać kontakt.

Na początku następnego roku akademickiego otrzymałem z Uniwersytetu Królewskiego list zapraszający abym ze swoimi studentami odwiedził Królewiec; była również wzmiankowana możliwość różnych wycieczek do historycznych miejscowości w Prusach Wschodnich. Przed napisaniem odpowiedzi pojechałem do Warszawy, aby wy badać stosunek MSZ-tu do tej inicjatywy. Rozmawiałem z kilku wyższymi urzędnikami w Wydziale Zachodnim. Powiedziano mi, że MSZ nic nie będzie miało przeciwko temu, abym ja stosunki z Uniwersytetem w Królewcu podtrzymywał, lecz wypowiedziano się zdecydowanie przeciwko wycieczce studentów. O ile mogłem zrozumieć panowie z MSZ-tu chcieli uniknąć wszelkiego „bratania się” studentów polskich z niemieckimi. Moja opinia była wręcz przeciwna: uważałem, że największe niebezpieczeństwo w stosunkach polsko-niemieckich polegało nie na tym, że na wyższych szczeblach było trudno się dogadać, lecz na spontanicznej wrogości, która istniała w masach ludności po obu stronach — i tu należało szukać pewnego odprężenia. Pocięczałem się jednak że, nie znając wszystkich elementów gry, czegoś w polityce Ministra Becka nie rozumiem.

Wrażenia z Niemiec

Ostatecznie pojechałem do Królewca sam i na własny koszt, przyjmując jako główny cel zaznajomienie się z pracami *Institut für Osteuropäische Wirtschaft*, na którego czele stał właśnie profesor Teodor Oberländer. Ten mój pobyt w Królewcu, który trwał około tygodnia, stanowił dla mnie bardzo interesujące

seminarium na temat problemów polsko-niemieckich, tak jak one przedstawiały się w owym momencie. Mieszkałem przez cały ten okres w prywatnym mieszkaniu ówczesnego naszego konsula, które mieściło się przy konsulacie. Był to nieco starszy pan lat około 50, który przed pierwszą wojną był adwokatem w Gdańsku. Potem jednak wyjechał do Ameryki i był przez pewien czas sekretarzem Paderewskiego. Urządził kolację, na którą zaprosił kilku pracowników konsulatu. Od nich dowiedziałem się sporo o żywiołowym procesie emigracji młodych Niemców z Prus Wschodnich do Zachodnich i Południowych Niemiec. Prusy Wschodnie w pewnym stopniu wyludniały się. Rząd niemiecki usiłował ten proces zatrzymać, pakując do tej prowincji dużo tanich kredytów inwestycyjnych. Konsul prosił mnie bardzo, abym się postarał zorientować, czym się zajmuje naprawdę *Institut für Osteuropäische Wirtschaft*, bo on przy wszystkich swoich kontaktach nie mógł się dowiedzieć. Dziś, w obecnych warunkach, w Kanadzie, nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska.

Gospodarze urządzili dla mnie trzy przyjęcia. Jedno, niejako oficjalne, na którym było obecnych kilku profesorów nauk gospodarczych oraz prorektor Uniwersytetu, tłumaczący mi, że rektora powołano na ćwiczenia wojskowe, co samo przez się charakteryzowało psychologię odradzającego się militarysty niemieckiego. Profesorów Uniwersytetu, którzy ze względu na wiek nie brali udziału w pierwszej wojnie światowej i nie mieli rang wojskowych, powoływano na ćwiczenia, po czym nadawano im stopnie podoficerskie. Dopiero po następnych dłuższych ćwiczeniach miały im być przyznane stopnie oficerskie. Drugie przyjęcie — to był obiad u prof. Oberländera, gdzie poznałem jego młodą, przystojną i uroczą żonę. Trzecie — była to kolacja u docenta Peter Hans Seraphima, która miała charakter swoistej atmosfery rodzinnej. Byli obecni nie tylko rodzice gospodarza, którego ojciec przez szereg lat, przed pierwszą wojną światową, redagował niemieckie pismo w Mitawie na Łotwie, lecz również kilku innych Niemców z dawnych rosyjskich prowincji bałtyckich, przeważnie starszych panów, którzy podkreślali, że za dawnych czasów istniało pewnego rodzaju poczucie braterstwa pomiędzy Niemcami i Polakami w Nadbałtyce pod rządami rosyjskimi. Ponieważ istotnie byłem urodzony w dawnych Inflantach polskich znaleźliśmy z łatwością kilka nazwisk wspólnych znajomych, którzy za mego dzieciństwa przed pierwszą wojną światową należeli do rodzin zaprzyjaźnionych z moją matką.

Podczas mego pobytu w Królewcu przyjechał do tego miasta Hitler. Miałem więc okazję oglądać go z bardzo bliskiego dys-

tansu. Tak samo jak we Wrocławiu w zetknięciu się z hitlerowcami moją pierwszą reakcją było odwołanie się do poczucia humoru. Lecz widok rozentuzjamentowanych tłumów napełniał mnie prawdziwym strachem. Było to zjawisko z dziedziny masowej psychopatologii. Fakt jednak, że to masowe obłąkanie ogarnęło naród odznaczający się skądinąd wielkimi talentami organizacyjnymi i technicznymi, a również wielką pracowitością, rodził ponure przewidywania co do przyszłości Europy.

Istotnym wnioskiem z bardzo pobieżnego zaznajomienia się z pracami Instytutu było, że znaczną rolę w ich pracach odgrywały studia nad ekonomiką transportu przez korytarz, chociaż gospodarze nie byli zbyt skłonni do informowania mnie o szczegółach tych prac. Miałem wrażenie, że opracowują oni statystycznie materiały do jakichś przyszłych negocjacji na temat ostatecznego załatwienia konfliktu z Polską (lub ewentualnie argumenty dla załatwienia tej sprawy w drodze przemocy). Zastanawiałem się nad tym czy u nas ktoś analogiczne studia prowadzi. Gdybyśmy bowiem mieli prowadzić jakieś negocjacje w sprawie udzielenia ewentualnych ułatwień dla tranzytu przez korytarz, nasi delegaci musieliby być do tego uzbrojeni w odpowiednie statystyki. To, że w pewnym momencie takie negocjacje muszą przyjść, wynikało z samej natury naszego paktu o nieagresji z Niemcami.

Wracałem z Królewca, korzystając z linii kolejowych o raczej drugorzędnym znaczeniu na Grajewo i Białystok, bo najprostsza droga Wilno-Kowno-Królewiec była nie do użycia z powodu martwej litewskiej granicy. Podczas drogi dumiałem nad przyszłością tego całego regionu geograficznego, obejmującego Prusy Wschodnie, Litwę Kowieńską oraz polską Grodzieńszczyznę i Wileńszczyznę. Wydawało mi się, że logika geografii i historii nakazywałaby związać je jakimś wspólnym programem gospodarczym. Tymczasem rozpiętości w dynamice rozwojowej były bardzo duże. W Prusach Wschodnich obserwowałem duży ruch budowlany. U nas była stagnacja i marazm. Wydawało się to przemawiać za tym, że na okres najbliższej dekady, czy też najbliższych kilku lat czas pracował przeciwko nam. Z drugiej strony u nas był dynamizm populacyjny, podczas gdy w Prusach Wschodnich, pomimo sztucznie wytwarzanego dynamizmu inwestycyjnego, powstawała ludnościowa pustka. Logika mówiła, że nasze głodomory mogą zalać tę pustkę w wyniku jakiegoś kataklizmu, którego natury i charakteru nikt nie był w stanie przewidzieć. Lecz właśnie uważałem, że musimy się starać uniknąć kataklizmu. Po pierwsze dlatego aby utrzymać świeżo zdobytą niepodległość. Po wtóre, jak tysiące innych ojców posiadających

małe dzieci, chciałem je nieco podchowąć zanim nastąpi jakiś nowy wstrząs.

W początku 1937 roku otrzymałem kilkumiesięczny urlop z Uniwersytetu i znowu wyjechałem do Niemiec, tym razem do Berlina, Kilonii i Hamburga. Nie spowodowało to jednak większej przerwy w moich wykładach, gdyż wkrótce po moim wyjeździe przyszła kolejna seria rozruchów antysemitycznych. Inicjatorzy domagali się wydania przez Rektora zarządzeń nakazujących studentom wyznania mojżeszowego siedzieć po lewej stronie sal wykładowych, pozostawiając prawą stronę wolną dla przedstawicieli narodowości panującej. Charakter tego żądania ilustruje poziom moralny i intelektualny, do jakiego spadło myślenie polityczne młodej inteligencji polskiej w owych latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej.

Celem tej mojej nowej podróży do Niemiec były studia nad nieortodoksyjnymi metodami, w drodze których Hjalmar Schacht, Prezes Banku Rzeszy, stary i doświadczony bankowiec, który zresztą miał mało wspólnego ze złowieszczą mistyką hitlerowską, potrafił po dojściu Hitlera do władzy sfinansować wzrost produkcji i likwidację bezrobocia. W 1936 roku ukazała się głośna książka J. M. Keynesa *The General Theory of Employment, Capital & Money*, która stanowiła jakby teoretyczną ilustrację do polityki finansowej Schachta. W ciągu kilku miesięcy ukazały się w Niemczech dwa przekłady tej książki. Do jednej z nich Keynes napisał specjalny wstęp, który był całkowitym potwierdzeniem tego mego wrażenia.

W Instytucie Kilońskim zostałem przyjęty z otwartymi ramionami na podstawie bardzo przyjemnych referencji, które wystawił mi Uniwersytet w Królewcu. Na wstępie powiedziano mi, że jeżeli będę potrzebował jakichś materiałów w sprawie polityki Schachta z *Geheim Archiv*, będą mi one udostępnione. Od razu trafiłem w wir dyskusji na temat tej epokowej książki Keynes'a, chociaż sam miałem duże trudności uchwycenia wszystkich arkanów jego teoretycznego rozumowania. Odejście od metod ekonomii klasycznej miało w Niemczech charakter dość hałaśliwy i nie zawsze dostatecznie poważny. Niektórzy profesorowie ekonomii stracili katedry. Podczas mego pobytu w Kilonii pracownicy Instytutu urządzili *Bierabend*, na którym odbył się sąd nad *homo economicus*, tzn. nad psychologicznym typem człowieka, którego ekonomia klasyczna przyjmowała jako założenie swoich rozumowań teoretycznych. Ów nieszczęśnik, który niegdyś był powodem oblewania się na egzaminach, został skazany na śmierć i odpowiedniej kukle ucięto głowę przy hucznych oklaskach. Rezultatem tych moich studiów w Kilonii było moja

książka *Polityka Gospodarcza Niemiec Hitlerowskich* wydana w 1938 roku przez *Politykę*, którą redagował Jerzy Giedroyc.



W Kilonii znalazłem pokój w mieszkaniu emerytowanego inżyniera floty wojennej. Mieszkał on z córką w wieku, który w dawnych czasach określono by staropanieństwem. Druga córka była dość znaną śpiewaczką w operze hamburskiej. Matka, aby pilnować jej cnoty, również przeniosła się do Hamburga. W ten sposób powstał luz w mieszkaniu i przyjęto dwóch sublokatorów: jednym był kapitan świeżo tworzonego lotnictwa morskiego, a drugim byłem właśnie ja. Nasze pokoje były obok. Nasza gospodyni około godziny 8 wieczorem przynosiła kawę memu sąsiadowi, a mnie czajnik herbaty, przy tym pozostawała zwykle około pół godziny zarówno w jego jak i w moim pokoju rozwijając swoje idee. Temat był zawsze ten sam: kwestia przełamania tradycji chrześcijańskiej w naszym sposobie postępowania i myślenia. Nasza gospodyni była wielbicieleką Matyldy Ludendorff, żony gen. Ludendorffa, który podczas pierwszej wojny światowej był szefem sztabu Hindenburga, a w latach dwudziestych popierał ruch hitlerowski. Doktor filozofii Matylda Ludendorff napisała książkę propagującą odrodzenie pogańskiej religii dawnych Germanów. Chrześcijaństwo było uważane według tej filozofii za wytwór ducha żydowskiego. Nazywałem tę naszą gospodynię „pogańską dewotką”. Mój gospodarz opowiadał mi ze zrozumiałą nostalgią o owych szczęśliwych dniach gdy w obecnej bibliotece *Institut für Weltwirtschaft* mieściło się wspaniałe kasyno marynarki cesarskiej. W domu była dość duża prywatna biblioteka, z której mogłem swobodnie korzystać. Pewnego dnia wzięłem oprawny tom „Buddenbrocken” Tomasa Manna. Gdy mój gospodarz zauważył, że czytam tę powieść, uprzedził mnie żebym lepiej rzucił, bo to jest *ein schmutziges Buch*. Tomasz Mann był oczywiście na hitlerowskim indeksie.

Taka była atmosfera w Kilonii, lecz w Hamburgu było inaczej. Hitler był tam na ogół mniej popularny; podobno wśród robotników portowych komuniści mieli wciąż duże wpływy. W Hamburgu byłem też świadkiem bardzo charakterystycznej sceny. Do hotelu wpada jakiś podróżujący Niemiec z walizką w rękę i zaczyna od normalnego hitlerowskiego pozdrowienia „*Heil Hitler*”. Na to gruby portier w liberii z całym dostojenstwem zrównoważonego człowieka odpowiada „*Gut Morgen*” i dopiero zaczyna rozważać czy jest wolny pokój.

Kilka razy nagabywałem ekonomistów, pracujących naukowo,

czy też publicystycznie, jak oni widzą cały ten nonsens hitlerowskiego antysemityzmu, którego przecież nie było we włoskim faszyzmie. Miałem wrażenie że byli raczej zakłopotani, bowiem w głębi duszy uważali to również za nonsens, lub co najmniej za grubą przesadę. Coś tam mówili o opanowaniu przez Żydów bankowości i wolnych zawodów, powoływali się na studia Wernera Sombarta. Moje ogólne wrażenie było, że uważali, że trzeba się z tą aberracją jakoś pogodzić, jako częścią tego systemu, który bądź co bądź podnosi, wbrew oczekiwaniom ortodoksyjnych ekonomistów, produkcję i likwiduje bezrobocie. Ci z nich, którzy wstępowali do partii ustosunkowywali się do owego podstawowego punktu ideologii hitlerowskiej, którym była walka z żydostwem, bez entuzjazmu. Trudno było sobie wówczas wyobrazić, że z tego wszystkiego wynikną piece gazowe do spalania ludzi.

Z rozmów, które miałem w Kilonii, szczególnie utkwiło mi w pamięci kilka godzin, które spędziłem z przywódcą *Hitlerjugend* na terenie Schleswig-Holstein. Wrócił on świeżo z Francji i mówił z pogardą o Francuzach, których uważał za naród rozkładający się moralnie i pozbawiony woli do odegrania jakiejś większej roli w dziejach Europy. Trudno z nim było w pewnym stopniu nie zgodzić się. Był to początek roku 1937. Właśnie rok przedtem Francuzi bez wystrzału pozwolili Hitlerowi obsadzić Nadrenię, do czego Niemcy nie mieli prawa, zarówno na zasadzie traktatu wersalskiego jak i dobrowolnie podpisanych przez Stresemanna układów lokarneńskich w 1925 roku. Utrudniało to ogromnie możliwość efektywnej pomocy Polsce i Czechosłowacji w razie niemieckiego ataku na te kraje. Było jednak rzeczą charakterystyczną, że w mentalności młodych hitlerowców ten dar francuski, który faktycznie uratował Hitlera, został potraktowany raczej z pogardą niż uznaniem. Ten francuski paraliż woli w sprawie niemieckiego dozbrojenia przyczynił się ogromnie do wyrobienia w Niemczech przekonania, że jakkolwiekby opór zachodnich mocarstw przeciwko hitlerowskim planom podbicia Europy jest bardzo mało prawdopodobny.

Rzecz charakterystyczna jednak, że kilkakrotnie natrafiłem na opinie hitlerowców, iż są tylko dwa narody, które oni w urządzaniu świata na własną modłę chcieliby mieć po swojej stronie. To są Polacy i Jugosłowianie, bo to są narody żołnierskie. Był to zresztą okres kiedy stosunki polsko-niemieckie wyglądały lepiej niż stosunki Niemiec z szeregiem innych krajów. Nawet gdy chodziło o Włochy wisiąca kwestia *Anschluss*'u, tzn. połączenia się z Austrią, czemu Hitler dawał pierwszeństwo przed kwestią granic polsko-niemieckich i czego Włosi bardzo się bali. Mar-

szałek Piłsudski był osobiście w Niemczech bardzo popularny. Przypominano, że na początku pierwszej wojny światowej dowodzone przez niego legiony były się przeciwko Rosji po stronie mocarstw centralnych; powtarzano komplementy, które on rzekomo miał wypowiedzieć podczas wizyty w Genewie w Lidze Narodów na temat walorów dawnej armii niemieckiej. Spowodowało to, podobno, pewną konsternację Stresemann'a, którego metodą było unikanie jakichkolwiek wzmianek o militarystyce niemieckim.

Przed samym opuszczeniem Niemiec byłem w Berlinie i zostałem zaproszony na *Bierabend*, który został wydany przez Rektora Uniwersytetu Berlińskiego z okazji odczytu prof. Witolda Staniewicza o polskiej polityce agrarnej. Na tym przyjęciu — na którym był również obecny nasz ambasador w Niemczech Lipski — siedziałem obok majora lotnictwa niemieckiego, który wyglądał na weterana pierwszej wojny światowej. Zapytałem czy się teraz specjalnie interesuje problemami agrarnymi. Odpowiedział mi, że on tutaj reprezentuje Ministerstwo Lotnictwa (tzn. Göringa) i że oni tam prowadzą intensywne studia nad terenami Wschodniej Europy. Zrobiło mi się nieco nieswojo. Gdy kilka lat potem, podczas kampanii wrześniowej, przechodziłem przez Garwolin, nielitościwie zrąbany przez lotnictwo niemieckie, przypomiiałem sobie tego mego sąsiada i rozmówcę na przyjęciu w Berlinie.

Ogólną cechą, która uderzała w Niemczech, była duża ilość umundurowanych ludzi nie tylko wojskowych lecz również członków różnego rodzaju formacji partyjnych. Na dworcach widziało się całe grupy mężczyzn w średnim wieku, często z wystającymi brzuchami, które przy brunatnych koszulach hitlerowskich uwydatniały się szczególnie jaskrawo, udających się na jakieś ćwiczenia. Mój kolega, Żyd wileński, który przez kilka lat zamieszkiwał w Berlinie, a którego potem spotkałem w Wiedniu, opowiadał mi, że w jego rozumieniu, szczególną przyjemnością dla przeciętnego Niemca było maszerować w szeregu i wykonywać rozkazy bez ambicji dowodzenia samemu. Był to jakiś perwersyjny popęd do przetworzenia się z żywego człowieka w posłuszny mechanizm. Rosjanina wpycha się do szeregu, natomiast Niemiec wskakuje sam. Hitler dał właśnie masie przeciętnych Niemców okazję zaspokojenia tego perwersyjnego popędu. Oczywiście odnosi się to przede wszystkim do Prusaków, bo jeżeli chodzi o Niemcy Południowe i Zachodnie miałem znacznie mniej obserwacji. Pod tym względem metody Fryderyka Wielkiego musiały zostawić ślad na mentalności szeregu pokoleń; w Niemieckiej Republice Demokratycznej kwitnie nadal zamiło-

wanie do tradycyjnego pruskiego drilu, defilad, zbiorowych ćwiczeń gimnastycznych itp.

Niektórzy socjologowie, jak np. Aleksander Hertz, który przyjeżdżał regularnie do Wilna na wykłady w Szkole Nauk Politycznych i nieraz spędzał wieczory u nas, twierdzili, że psychologicznie obecna sytuacja w Niemczech musi doprowadzić do wojny. Stanisław Mackiewicz, który często jeździł do Niemiec i rozmawiał z ludźmi różnych zawodów i kondycji, miał wrażenie, że Hitler chciał jakiejś małej wojny, aby rozładować sytuację psychologiczną i stworzyć to przekonanie, że obecna potęga została uświęcona przelaniem krwi niemieckiej, lecz przeciętny Niemiec wojny nie chciał i wojny bał się, gdyż pamięć tych wszystkich braków, na które ludność Niemiec była narażona podczas pierwszej wojny światowej była jeszcze bardzo żywa.

Osobiście opuszczałem Niemcy w 1937 roku z przekonaniem, że mogły one jako kraj żyjący niemal w histerycznym napięciu sprawić światu jeszcze niejedną niespodziankę, lecz że wojna, a w szczególności wojna na polsko-niemieckiej granicy, nie wydawała się nieuniknioną. Niespodzianki mogły powstać przede wszystkim jako skutek specyficznego ustroju, który wyniknął z rewolucji narodowo-socjalistycznej. Hitler stworzył to, co Jerzy Sorel nazywa mitem społecznym, tzn. obraz przemian społecznych i politycznych, który zasugestionował najbardziej aktywne elementy spośród ludności oraz spowodował mobilizację sił produkcyjnych. Pytanie czy ten obraz był realny czy bezsensowny, moralny czy niemoralny, chociaż samo w sobie istotne, nie stanowiło przedmiotu moich studiów gospodarczych. Główna uwaga mojej książki, którą wydałem po tej podróży, była skierowana na sam fakt wywołania mobilizacji sił produkcyjnych przez stworzenie mitu. Zajmowałem się tym tematem bardziej teoretycznie w mojej pracy doktorskiej, poświęconej psychologicznemu podłożu produkcji w ujęciu Jerzego Sorela. Oczywiście interesowało mnie jakie konsekwencje ten eksperyment niemiecki mógł mieć dla gospodarki światowej. (Jeżeli chodzi o sprawy polityczne, którymi interesowałem się raczej marginesowo, to wydawało się że prawdopodobieństwo wojny polsko-niemieckiej po dojściu Hitlera do władzy raczej zmalało). Hitler zerwał z duchem Rapallo, tzn. cichą współpracą wojskową niemiecko-sowiecką, związaną w dużej mierze z traktatem podpisanym we włoskiej miejscowości Rapallo podczas Międzynarodowej Konferencji Ekonomicznej w Genui w kwietniu 1922 roku. Wysuwając na pierwszy plan sprawy suwerenności w zakresie dozbrojenia, *Anschluss*'u oraz Sudetów, a również hasło wojny ideologicznej z komunizmem, Hitler niejako automatycznie usu-

wał w cień sprawę granic z Polską. Dlatego też zgadzałem się ze Stanisławem Mackiewiczem, że połowa lat trzydziestych to był najważniejszy czas na podjęcie prób jakiegoś załatwienia w drodze dobrowolnego porozumienia sprawy tranzytu przez korytarz oraz statutu Gdańska, żeby usunąć powody do możliwych konfliktów w przyszłości. Hitler był jeszcze wówczas za słaby, aby rozmawiać z nami z pozycji siły i to dawało nam stosunkowo mocniejszą pozycję negocjacyjną.

Należało również pamiętać o tym, że Hitler w dużym stopniu zhisteryzował społeczeństwo niemieckie. Emocjonalny czynnik odgrywał dużą rolę. Nasza prasa, a szczególnie tzw. czerwona prasa czytana przez szerokie masy, była jaskrawo antyniemiecka i to przyczyniało się do zaostrzenia napięcia. Gdyby rząd miał zamiar prowadzić negocjacje, jak to miało wynikać z paktu o nieagresji, to musiałyby chociaż czasowo, nałożyć dyskretnie jakiś tłumik na wypowiedzi prasy. Tymczasem czynniki rządowe wydawały się być zadowolone, że spontaniczna antyniemieckość narastała niejako od dołu, obejmując drobnomieszczaństwo, robotników i młodzież akademicką. Ta postawa czynników rządzących stanowiła dla mnie tajemnicę.

Po powrocie z Niemiec cały czas wolny od zajęć uniwersyteckich w ciągu reszty 1938 roku poświęciłem opracowywaniu swojej książki o polityce gospodarczej Niemiec Hitlerowskich. Z prasy francuskiej, która czasami trafiała do moich rąk, mogłem wnioskować, że na Zachodzie narastała opinia, że realna pomoc w razie wojny z Niemcami może być okazana jedynie przez Rosję i że Polska jako sojusznik Francji, będzie musiała przepuścić wojska sowieckie przez swoje terytorium. Niektórzy polscy francofile zdawali się wtórować. Atmosfera osiemnastego wieku kiedy wojska rosyjskie swobodnie przemaszerowywały przez terytorium Rzeczypospolitej zdawała się odradzać. Byłem przekonany, że Marszałek Rydz-Śmigły nigdy się na to nie zgodzi. Lecz w takim wypadku należałoby wszystko zrobić, żeby usunąć wszelkie powody do możliwego konfliktu zbrojnego z Niemcami, chociaż jednocześnie należało pamiętać, że podczas insurekcji kościuszkowskiej przymierze Polsko-Pruskie zawiodło.

W oddali zaczynało się zarysowywać widmo nowych rozbiorów. Były dwie zasadnicze drogi prowadzące do sytuacji rozbiorowej. Jedna — to sojusz wojskowy niemiecko-rosyjski, do czego w okresie panowania ducha Rapallo pchali niektórzy pruscy generałowie z gen. von Seeckt, twórcą niemieckiej Reichswehry po pierwszej wojnie światowej, na czele. Druga — to sojusz pomiędzy Rosją a mocarstwami Zachodu przeciwko Niemcom. W pierwszym wypadku Sowiety weszłyby na nasze ziemie jako

wrogowie, w drugim jako przyjaciele. W obydwóch wypadkach ostateczny wynik byłby ten sam.

Zadanie, które stało przed naszą dyplomacją wymagało inteligencji i intuicji geniusza. Chwilami wydawało mi się, że ani Rydz-Śmigły ani Beck nie uświadamiali sobie całego ogromu odpowiedzialności, która na nich spadała, oraz uciekali od rzeczywistości, chowając się za parawan mocarstwowych frazesów i gestów. Przypuszczam, że Beck szczerze wierzył, że w ten sposób wykonuje testament marszałka Piłsudskiego.

Osobiście byłem skłonny szukać rozwiązania w jakiejś koncepcji związku państw Środkowej Europy, gdzie z natury rzeczy Niemcy — jako najliczniejszy i najbogatszy naród — musiałyby mieć pierwsze skrzypce. Ten mój pogląd był w pewnym stopniu odbiciem opinii, którą nieraz, jeszcze w latach studenckich, słyszałem od Władysława Studnickiego. Lecz jednocześnie uświadamiałem sobie, że Niemcy, dopóki były ogarnięte psychozą hitlerowską, do takiej roli nie mogły się nadawać. W konkretnej więc sytuacji lat 1937-1938 moja koncepcja mogła mieć znaczenie jedynie czysto teoretyczne.

Stanisław Mackiewicz nieco inaczej widział sytuację. Uważał on, że pewnego rodzaju stabilizacja w Europie może być osiągnięta przez ukształtowanie się porozumienia po osi Paryż-Berlin-Warszawa, i że nasza dyplomacja po pakcie o nieagresji z Niemcami w tym właśnie kierunku musiała pracować, pomimo niewątpliwych różnic ideologicznych, które dzieliły Niemcy Hitlerowskie i Francję III-ej Republiki.

Ekspansja bez oporu

W 1938 roku przemiany sytuacji międzynarodowej zaczęły przybierać niemal kinematograficzne tempo. W marcu przyszedł *Anschluss*, tzn. obsadzenie Austrii, czemu Włochy nie mogły się przeciwstawić ze względu na zaangażowanie się w awanturze abisyńskiej. Mussolini musiał więc robić dobrą minę. O interwencji Francji i Anglii nie mogło być mowy z powodu paraliżu woli, który ogarnął politykę zagraniczną Francji oraz francuskie dowództwo wojskowe. O systematycznych przygotowaniach Hitlera do penetracji różnych dziedzin życia austriackiego przekonałem się już w 1935 roku, kiedy spędziłem dwa miesiące w Wiedniu, lecz sobie nie wyobrażałem, aby wszystko poszło tak gładko.

We wrześniu wybuchła sprawa Sudetów oraz spotkanie Monachijskie premierów wielkich mocarstw z Hitlerem, na które

strona najbardziej zainteresowana — tzn. Czesi — nie została w ogóle zaproszona. Francuzi, którzy mieli traktat wzajemnej pomocy z Czechosłowacją wyraźnie go złamali wyrażając zgodę na przekazanie Sudetów Niemcom. W Anglii parlament przyjął porozumienie Monachijskie z entuzjazmem.

Nasza polityka w tym okresie robiła wrażenie dwuznaczne. W chwili, gdy Czechosłowacja wyraźnie rozpadała się, dążenie do odzyskania Zaolzia było uzasadnione. Lecz mogliśmy to zrobić w sposób mniej Czechów upokarzający, pomimo że mieliśmy oczywiście z nimi porachunki za ich nikczemne zachowanie się gdy w 1920 roku Polska krwawiła się w walce z hordami bolszewickimi, które Lenin wysyłał na podbój Europy. W okresie kryzysu sudeckiego polityka naszego MSZ-u sprawiała wrażenie żeśmy mieli jakieś tajne porozumienie z Niemcami. Dziś wiemy, że takiego porozumienia nie było.

W owych dniach kryzysu sudeckiego służyłem przez radio mowy Hitlera, w której zapowiadał całemu światu, że Sudety stanowiły jego ostatnie żądanie terytorialne w Europie. Nasuwało to przypuszczenie, że konflikt terytorialny polsko-niemiecki — odsunięty przez pakt o nieagresji do 1944 roku — był na drodze do załatwienia.

W marcu 1939 roku przysłyły wypadki które wywarły na mnie o wiele bardziej wstrząsające wrażenie niż *Anschluss* i Sudety. Było to przede wszystkim obsadzenie przez Niemców całych Czech wbrew uroczystym zapewnieniom Hitlera, danym publicznie kilka miesięcy przedtem, że Sudety stanowiły jego ostatnie żądanie terytorialne w Europie. Drugim wypadkiem była mowa Stalina na kongresie partyjnym, którą od razu wyinterpretowałem jako dyskretnie zawołowaną ofertę w stosunku do Hitlera. Zacząłem podejrzewać, że pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami była jakaś subtelna łączność.

Po otrzymaniu wiadomości, że Niemcy już maszerują na Pragę zatelefonowałem do prof. Witolda Staniewicza, pytając jak on widzi sytuację. Powiedział mi, że w jego rozumieniu jest to zajęcie pozycji wyjściowej dla jakiejś akcji militarnej, chociaż nie było jeszcze jasne, w którym kierunku pójdzie uderzenie. Zgodziłem się z nim najzupełniej. Przez obsadzenie Czech Niemcy stawały się panami całej Środkowej i Południowo-Wschodniej Europy. Czechy z powodu sławnych zakładów Skody stanowiły wielkie centrum produkcji broni i miały jedną z najlepiej uzbrojonych armii Europy. Stanowiły arsenał tzw. Małej Ententy, do której obok Czechosłowacji wchodziły Rumunia i Jugosławia. Mała Ententa, chociaż zwrócona przede wszystkim przeciwko Węgrom, stanowiła ważne ogniwo w systemie soju-

szów, które Francja zawarła po pierwszej wojnie, aby zabezpieczyć się przeciwko możliwości odrodzenia militarystyki niemieckiej. Teraz cały ten arsenał przechodził w ręce niemieckie. W swojej książce o hitlerowskiej polityce gospodarczej dałem sporo informacji o niemieckiej gospodarczej penetracji na Bałkany i Bliski Wschód. Teraz do tej dominacji gospodarczej dołączała się dominująca pozycja strategiczna. Minął więc okres, w którym — jak mi się słusznie czy niesłusznie wydawało — można było negocjować z Niemcami na zasadzie równości. Obsadzenie przez Hitlera Czech miało również inny skutek, którego on prawdopodobnie nie spodziewał się. Mianowicie wywołało przełom w angielskiej opinii publicznej, która odtąd uznała, że wojna z Niemcami jest nieunikniona i że ugoda Monachijska była wielkim błędem dyplomacji angielskiej i francuskiej.

Wydarzeniem, które przyszło niemal jednocześnie z marszem Hitlera na Pragę, była mowa Stalina na XVIII Zjeździe Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego. W mowie tej — obok wszelkiego rodzaju „antyfaszystowskich” deklaracji — Stalin mówił między innymi o rzekomym zamiarze krajów kapitalistycznych Zachodu pchnięcia Hitlera do wyprawy przeciwko Związkowi Sowieckiemu i wyrażał nadzieję, że do tego jednak nie dojdzie, bo nie ma żadnych wyraźnych powodów do konfliktu pomiędzy Berlinem a Moskwą. Wszystko wyglądało na jakąś zawołaną propozycję. Nie wyobrażałem sobie, żeby Stalin taką mowę wypowiedział, gdyby jakieś zakulisowe kontakty nie były gdzieś w toku. „Duch Rapallo” — zdawało się już pogrzebany i przypiętowany rozstrzelaniem w 1937 roku marszałka Tuchaczewskiego i szeregu sowieckich generałów — odradzał się na nowo.

Wkrótce potem w kwietniu przyszło oświadczenie premiera Chamberlaina o gotowości Wielkiej Brytanii do pomocy Polsce, Rumunii i Grecji jeżeli te państwa będą zaatakowane przez Niemcy i wykażą wolę do obrony swojej niepodległości i swoich granic. Przez chwilę miałem wrażenie, że nasza pozycja negocjacyjna z Niemcami znowu została wzmocniona, gdyż z lektury *Mein Kampf* wiedziałem, iż Hitler uważał za wielki błąd Niemiec Cesarskich, że dały się wciągnąć do konfliktu zbrojnego z Imperium Brytyjskim. Lecz jeżeli takie negocjacje miałyby nastąpić i jeżeli niebezpieczeństwo wojny brało się poważnie, trzeba było być przygotowanym na jakiś kompromis. Odpowiedzialność za taki kompromis mogła być przyjęta tylko przez rząd oparty na szerokiej koalicji głównych stronnictw i kierunków życia polskiego. W Polsce rządziła wówczas grupa polityków legionowych nie reprezentujących nawet całego obozu legiono-

wego. Był to system półdyktatury, oparty z jednej strony o wojsko, a z drugiej o aparat administracyjny, który organizował wybory do ciał ustawodawczych. Jak to często przy takich systemach półdyktatorskich bywa, rząd w istocie rzeczy czuł się zależny od opinii publicznej i nie był zdolny do podejmowania niepopularnych decyzji. Jakikolwiekbyś kompromis z Niemcami, chociażby nieznaczny i nieistotny, byłby jednak bardzo niepopularny wśród wszystkich kierunków polskiej opinii: endeków, socjalistów, narodowo-radykalnej młodzieży, Żydów, komunistów, radykałów, kleru katolickiego itp. Wydaje mi się jednak, że, gdyby na wiosnę 1939 roku powstał rząd koalicyjny, to przedstawiciele zarówno endeków jak i socjalistów — gdyby dano im wszystkie elementy co do stosunków sił w Środkowej i Wschodniej Europie — mieliby dostateczne poczucie odpowiedzialności aby rozważyć granice możliwych ustępstw wobec presji niemieckiej, zanim zdecydowano się na pogrążenie kraju w odmętach wojny i nieuniknionej obcej okupacji. Stworzenie takiego rządu musiałoby stanowić odpowiedzialność prezydenta Mościckiego. Prezydent Mościcki wydawał się jednak być całkowicie pod wpływem kliki doradców marszałka Rydza-Śmigłego.

W początku roku 1939, gdy zaczęła się rozpowszechniać pogłoska o poufnej presji niemieckiej w sprawie Gdańska i autostrady przez Pomorze, wypowiedziałem tę koncepcję o rządzie koalicyjnym Mackiewiczowi, który ustosunkował się do niej raczej niechętnie. Mackiewicz był bardzo trzeźwy i logiczny w krytyce, tracił jednak swój rozpęd i zdolność argumentowania, gdy trzeba było wysunąć koncepcje pozytywne. Obecnie żałuję, że w owej chwili nie ogłosiłem artykułu broniącego tej koncepcji. Nie żudzę się, że to miałyby jakiś wpływ, lecz dziś miałbym pewnego rodzaju legitymację wobec ludzi, którzy zajmują się historią tamtych przełomowych dni. Cały naród polski we wszystkich swoich warstwach był niewątpliwie przygotowany do najwyższych poświęceń. Było jednak wskazane, aby ci, co owe dramatyczne decyzje będą pobierali, reprezentowali jak najszerzy wachlarz opinii politycznych.

Fatum nad Polską

Beck pojechał do Londynu aby tam podpisać umowę o sojuszu wojskowym z Anglią. Tak się złożyło, że ta sama audycja radiowa, z której dowiedziałem się o negocjacjach Becka w Londynie, przyniosła również wiadomość o samobójstwie Walerego

Sławka. Nie przypuszczam, żeby między tymi dwoma faktami — tzn. zawarciem sojuszu wojskowego z Anglią oraz samobójstwem Walerego Sławka — był jakiś bezpośredni związek, lecz w mojej pamięci splotły się one w jeden obraz zwiastunów zbliżającego się kataklizmu. Nie znaczy to abym był przeciwny zawarciu tego sojuszu, całkiem odwrotnie: w owym momencie uważałem, że okazja poparcia brytyjskiego musiała być wykorzystana. Lecz samobójstwo Sławka w tych samych dniach wywołało we mnie całkiem irracjonalne poczucie jakiegoś wiszącego nad nami wszystkimi fatum.

Walery Sławek, postać rycerska, dawny bojownik P.P.S.-u, którego całe życie było służbą idei odbudowania blasków dawnej niepodległej Rzeczypospolitej, najbliższy przyjaciel Marszałka Piłsudskiego, niezłomnie wierzący w Jego geniusz, dwukrotny premier, ogólnie uważany po uchwaleniu Konstytucji za kandydata na prezydenta, zastrzelił się w swoim mieszkaniu w Warszawie, zostawiając w zapieczętowanej kopercie jedynie list do prezydenta Mościckiego. List ten — o ile wiem — nigdy nie został ogłoszony. Nie słyszałem, żeby Sławek miał zastrzeżenia co do polityki zagranicznej. Miał on, o ile wiem, pełne zaufanie do ministra Becka. Powodem jego kroku były prawdopodobnie względy polityki wewnętrznej. Dlaczego jednak dla dokonania tego kroku wybrał on dzień kiedy w Londynie dokonywał się ten bądź co bądź przełomowy akt w życiu odrodzonej Polski, którym niewątpliwie było zawarcie sojuszu wojskowego z Wielką Brytanią, tego nie umiem wytłumaczyć.

Według interpretacji ludzi, którzy bliżej znali Sławka, miał on jakieś przeczucie zbliżającego się kataklizmu. Podobno Marszałek Piłsudski przed śmiercią zostawił mu jakieś zlecenia co do możliwości odwrócenia niebezpieczeństw, które wisiły nad Polską; Sławek miał pewien kompleks winy, że tych niebezpieczeństw nie może odwrócić i dlatego też zastrzelił się. Ta interpretacja przemawiała mi do przekonania, gdyż potwierdzała moje własne wrażenia o Sławku. Obok kilku wypadków doraźnego zetknięcia z nim zdarzyło się mnie w pierwszej połowie lat trzydziestych spędzić z nim dość niezwykły wieczór na kilkugodzinnej rozmowie, a więc poznać sposób i styl jego myślenia. Była to kolacja w prywatnym domu, w której oprócz gospodarzy wzięło udział sześć osób: aktualny premier Janusz Jędrzejewicz, dwu poprzednich premierów Walery Sławek i Aleksander Prystor, mój przyjaciel Seweryn Wysłouch — wówczas docent historii prawa na Uniwersytecie Wileńskim — Henryk Dembiński, znany przywódca radykalnego skrzydła wśród młodzieży wileńskiej — który już wówczas zaczął wyraźnie komunizować. Spę-

dziliśmy z górą cztery godziny na swobodnej wymianie zdań na różne kwestie o zasadniczym znaczeniu.

Nad tym dość niezwykle dobranym gronem wisało pytanie — ku czemu Polska idzie? Sytuacja zewnętrzna w tym momencie nie dawała podstaw do niepokoju, lecz wisały niezłatwione sprawy ustrojowe. Normalna selekcja elity rządzącej poprzez system wyborów parlamentarnych była wykoślawiona i sprawa ta widocznie dręczyła Sławka. Twierdził on, że głównym zadaniem systemu ustanowionego po maju 1926 roku jest danie Polsce nowej konstytucji, aby, gdy Marszałek Piłsudski odejdzie, sprawy życia wewnętrznego Polski były regulowane przez prawo wynikające z tej konstytucji. Uważał on, że partie polityczne są nieistotne, bo życie polskie po odejściu Marszałka Piłsudskiego będzie regulowane przez prawo. Powtarzał to kilkakrotnie: „Polską będzie rządzić prawo”. Utopijność tego myślenia polegała na tym, że do poszanowania prawa trzeba ludzi wychowywać, tymczasem system, za który Sławek ponosił dużą część odpowiedzialności, właśnie przyzwyczajał administrację do ciągłego obchodzenia prawa w dążeniu do uzyskania takiego wyniku wyborów, który by zabezpieczył uchwalenie nowej konstytucji. Oczekiwanie, że partie polityczne muszą zniknąć było również utopią skoro się nie chciało tworzyć systemu totalnego, a Marszałek Piłsudski tego na pewno nie chciał. Nowa konstytucja nie oznaczałaby wcale usunięcia partii politycznych, a jedynie stworzenie nowych ram dla ich aktywności. Poza tym wszystkich trzech naszych dostojnych rozmówców, którzy należeli do ekipy rządzącej, dręczyło pytanie jakiego rodzaju ekipie ludzi młodszych trzeba będzie w przyszłości przekazać aparat państwa polskiego. Z tego wieczoru wyniosłem poczucie, że system rządów ustalonych po maju 1926 roku wchodzi do jakiegoś ślepego zaułka i wydawało mi się, że Sławek, świadomie czy też podświadomie, to również wyczuwał.

Sławek był najbardziej zaufanym wykonawcą różnych posunięć Józefa Piłsudskiego w okresie gdy ten chciał odbudowywać dawną Rzeczpospolitą w postaci federacji. Beck dostał kierownictwo Ministerstwem Spraw Zagranicznych, gdy Piłsudski już pogodził się z Polską jako państwem narodowym i chciał dla tej Polski wynegocjować mocarstwową pozycję. W 1919 roku byłem przypadkowo świadkiem jak kilku oficerów, wśród których był Marian Zyndram Kościałkowski i Eugeniusz Olejniczakowski, układali napis na prezencie dla kapitana Walerego Sławka, gdzie były słowa: „Na pamiątkę wspólnej pracy nad budowaniem Wielkiej Litwy”. Wkrótce potem Piłsudski wydelegował płk. Sławka do negocjowania umowy z Petlurą. Nie

przypuszczam, aby Sławek podzielał antyniemiecki emocjonalizm większości Polaków. Chętnie wdawał się w dyskusje z Władysławem Studnickim na temat stosunków polsko-niemieckich i nawet będąc premierem znajdował czas na odręczne listy do Studnickiego w tej sprawie. Jeden z takich listów Studnicki mi czytał.

W kilka dni po tej tragicznej wieści szedłem obok profesora Stefana Ehrenkreutza, gospodarza owej pamiętnej kolacji, ulicami Warszawy, w tłumie postępującym za trumną Sławka. Miałem wrażenie, że biorę udział w jakimś misterium. Jakies sceny z dramatów Wyspiańskiego plątały mi się w głowie. Nie mogłem oprzeć się poczuciu, że nad Polską wisało jakieś fatum. Zawarcie traktatu wojskowego z Anglią mogło spełnić rolę katalizatora. Mogło odwrócić grożący kataklizm lub mogło go przyspieszyć. Tu właśnie zaczynała grać logika greckiej tragedii.

W odpowiedzi na zawarcie naszej umowy wojskowej z Anglią Hitler ogłosił zerwanie paktu o nieagresji z Polską. Stalin tymczasem usunął dotychczasowego komisarza Spraw Zagranicznych Maksima Litwinowa, który był Żydem i miał opinię zwolennika porozumienia z demokracjami Zachodu, a wyznaczył na jego miejsce Mołotowa, typowego biurokrata partyjnego, który był jednak niewątpliwym Rosjaninem, bliższym osobiście Stalina i lepiej nadawał się do rozmów z Niemcami. Świat się posuwał coraz bliżej do pełnego wskrzeszenia ducha Rapallo.

Bezpośrednio po wypowiedzeniu traktatu o nieagresji rozpoczęła się w prasie niemieckiej przeciwpolaska nagonka, wysuwająca na pierwszy plan kwestie rzekomych krzywd mniejszości niemieckiej, tak zresztą jak to było rok przedtem w odniesieniu do Czechosłowacji. Ogromna większość prasy polskiej jeszcze bardziej wzmogła swój antyniemiecki ton. Zaczęto mówić otwarcie o konieczności likwidacji Prus Wschodnich. Zdanie takie słyszałem nawet od człowieka, który należał do personelu MSZ na dość wysokim szczeblu. Do Gdańska zaczęły przyjeżdżać z Niemiec wycieczki turystyczne, złożone rzekomo z samych podoficerów przebranych w ubrania cywilne. Były to kadry dla jakiegoś puczu. Na to z Polski zaczęto wysyłać również odpowiednie oddziały „turystów”. Lada chwila mogło dojść do jakiegoś starcia między tymi turystami.

Zaczęto bardzo wiele mówić o działalności niemieckiej tzw. piątej kolumny. W warunkach wileńskich, gdzie nie było żadnych większych skupień niemieckich, nie miałem możliwości, aby zaobserwować osobiście jakiejś przejawy tej działalności i nie wiem czy na terenie innych dzielnic zaobserwowano wyraźnie antypaństwowe akty. Na ogół jednak w granicach państwa Pol-

skiego mieszkało około 800.000 Niemców. Wielu z nich, jeżeli nie większość, była zasugestionowana wzrostem, od czasu dojścia Hitlera do władzy, militarnej i gospodarczej potęgi Niemiec. Przypuszczenie więc, że byli oni zdolni do stworzenia organizacji zajmującej się wywiadem lub przygotowującej się do aktów dywersyjnych w wypadku wojny, było całkiem logiczne. Po pakcie o nieagresji manifestowali oni swoją lojalność wobec państwa Polskiego. W razie wojny na wschodzie można było liczyć na ich zupełną lojalność, taką jaką niemieccy koloniści wykazywali na terenie Kongresówki w 1920 roku. Lecz po zerwaniu paktu o nieagresji przez Hitlera stawali się elementem, który musiał być bacznie obserwowany. Były to realia struktury ludnościowej państwa Polskiego, z którymi każdy rozsądny polityk musiał się liczyć. Działalność więc Niemców-obywateli państwa Polskiego należało bacznie obserwować, lecz szczucie jednej części ludności przeciwko innej nie miało sensu, tym bardziej, że pewne ekscesy, które na tym tle mogły wyniknąć, prowadziłyby do zaostrzenia sytuacji.

Bardziej niepokojące wiadomości dotyczyły poważnych koncentracji niemieckich sił zbrojnych na granicy polskiej. Niemcy zdawali się to robić całkiem otwarcie, tak że ludność pograniczna zarówno jak i podróżujący z Zachodu mogli to bez trudu zauważyć. Trudno było sobie wyobrazić żeby sztaby niemieckie decydowały się na wszystkie koszty związane z tą koncentracją bez zamiaru aktualnego użycia tego ogromnego nagromadzenia broni i ludzi.

Nastroje w Polsce

Groźba wojny nie wzbudziła w społeczeństwie polskim większego niepokoju. Przeważnie uważano, że nie była to groźba realna. Ciągłe słyszało się wyrażenie „wojna nerwów”. Nie wierzono po prostu, że Niemcy się zdecydują na kroki wojenne, które musiałyby za sobą pociągnąć interwencję Zachodu. W Polsce dość powszechnie wierzono w potęgę Francji, tak samo jak w Niemczech wierzono w moralną niezdolność Francji do jakiegokolwiek większego wysiłku wojennego. Mało interesowano się stanem naszej obrony przeciwlotniczej, który był rozpacźliwy. Niektórzy robili zapasy prowiantu, co wynikało z doświadczenia pierwszej wojny światowej, lecz nie przyjęło to rozmiarów odbijających się głębiej na stosunkach rynkowych. Ogromna większość naszego społeczeństwa nie uświadamiała sobie całej różnicy

między naszym i niemieckim potencjałem militarnym i była usposobiona bardzo buńczucznie.

Byli co prawda pewni ludzie, dość zresztą nieliczni, którzy uświadamiali sobie różnice potencjałów oraz uzbrojenia, lecz nie oczekiwali wojny totalnej. Zdarzyło się mi słyszeć opinie, że Hitler nie chciał całkowitego zniszczenia państwa polskiego, którego aparat militarny i administracyjny mógłby być mu potrzebny dla realizowania jego dalszych planów na Wschodzie. Według tego poglądu przypuszczano, że zechce osiągnąć pewne ograniczone cele, np. zajęcie Gdańska i Pomorza i zmusi nas do pertraktacji, w czasie których Niemcy będą mogli z nami rozmawiać z pozycji siły i różne rzeczy narzucić. Oznaczałoby to, że Hitler zająłby wobec Polski postawę podobną do tej jaką Bismarck zajął wobec Austrii w wojnie 1866 roku. Byłoby to logiczne, gdyby Hitler istotnie szykował się do wyprawy na Rosję. Wówczas nasze granice wschodnie dawałyby dogodne bazy wyjściowe zarówno do ataku w kierunku Moskwy, jak również ataku na ukraiński śpichlerz oraz sowieckie centra przemysłowe na południu. Za tym, że Hitler miał jakieś zamiary wobec Polski przemawiał również fakt, że jego żądania w sprawie Gdańska i autostrady przez Pomorze wyglądały stosunkowo umiarkowanie w porównaniu z tym co podczas Republiki Weimarskiej wygadywano w Niemczech o załatwieniu problemu polskiego.

Z drugiej strony odprężenie w wojnie propagandowej sowiecko-niemieckiej, które przyszło po mowie Stalina na XVIII Zjeździe Partii, wносиło nowe elementy do sytuacji, których znaczenie trudno jeszcze było uchwycić. Ludzie zbliżeni do trockistów, których sporo było pomiędzy młodzieżą żydowską, mówili o możliwości dogadania się Hitlera ze Stalinem i wspólnej akcji przeciwko Imperium Brytyjskiemu. Ostatecznie jednak, ponieważ wydawało mi się, że nikt w Europie nie był zainteresowany w powszechnej wojnie, miałem nadzieję, że w ostatniej chwili przyjdą jakieś wydarzenia, które odwrócą katastrofę. Sowiety oczywiście były zainteresowane w pobudzeniu krajów kapitalistycznych do wzajemnych ataków. Byłoby to zgodne ze wskazaniem Lenina, lecz same nie chciały być wciągnięte w wojnę przeciwko któremuś z wielkich mocarstw.

W lipcu, przed wyjazdem na wakacje, zaszedłem do St. Maciekiewicza, żeby się dowiedzieć jak on widzi sytuację. Był zaskoczony powszechnym optymizmem co do wyników konfliktu zbrojnego z Niemcami, jeżeli on wybuchnie. W jakimś środowisku endeckim, w którym spędził wieczór w Warszawie, słyszałem opinię, że przeżywamy wyjątkową okazję historyczną, kiedy

Niemcy mogą być zmiążdżone, i że wobec tego byłoby wielkim błędem, aby nasza dyplomacja starała się ten konflikt załagodzić. Beck, który był jednym z najbardziej niepopularnych ministrów w rządach tzw. pomajowych, zaczynał być uważany niemal za bohatera narodowego.

Zastanawialiśmy się również z Mackiewiczem nad narastającą w Polsce falą sympatii prorosyjskich. Niemal wszędzie w Polsce standartową odpowiedzią na uwagę, że w razie wojny z Niemcami Sowiety mogą nas zaatakować, było, że: „Rosja jest wielka i żadnych dodatkowych terenów nie potrzebuje”. Powtarzali to politycy, dziennikarze, wyżsi wojskowi, profesorowie uniwersytetów, ludzie którzy zdawałoby się musieli znać historię Polski i znać dzieje rozbiorów. Ja to zdanie o niezainteresowaniu Sowietów naszymi ziemiami wschodnimi słyszałem w czerwcu 1939 roku z ust jednego z naszych najbardziej obiecujących polityków gospodarczych, który był dyrektorem departamentu w Ministerstwie Rolnictwa i w dodatku znał Rosję Sowiecką, chociaż nie znał się na historii Rosji. Władysław Studnicki mniej więcej w tym samym czasie słyszał to zdanie z ust prof. Kutrzeby, prezesa Polskiej Akademii Umiejętności oraz prof. Stanisława Estreichera, przywódcy Stańczyków krakowskich¹. St. Mackiewicz opowiadał mi o swoim niedawnym pobycie u Radziwiłłów w Nieświeżu. Wszyscy zdawali się oczekiwać pomocy sowieckiej w razie wojny z Niemcami. W szczególności opowiadał on o jakimś księdzu, z którym miał dłuższą rozmowę, i który był szczególnie optymistyczny co do możliwości współdziałania z Rosją Sowiecką w razie wybuchu konfliktu zbrojnego z Niemcami.

W dwa lata potem, już w łagrze sowieckim, czytałem niezmiernie interesującą i doskonale napisaną książkę o podbojach Dżingis Chana. Był w niej opis jak w okresach bezpośrednio poprzedzających zdobycie pewnych terenów byli wysyłani zwiastuni, opowiadający dyskretnie o dobrodziejstwach dla ludności, które niosły hordy tatarskie. Dżingis Chan miał doskonale zorganizowany aparat szepcanej propagandy, który osłabiał wole oporu zaplanowanej ofiary. W 1939 roku Niemcy robili wszystko, aby podniecić polską wole oporu, natomiast Rosjanie aby ją osłabić. Dlaczego jednak ta szepcana propaganda prosowiecka miała takie powodzenie i tak szerokie zarysowywała kręgi nie jest łatwo wytłumaczyć. Trzeba pamiętać, że to był okres, bezpośrednio po wielkich procesach pokazowych i wielkich czyst-

1. Władysław Studnicki, *Irrwege in Polen*, wydane przez Göttinger Arbeitskreis, August, 1951.

kach, kiedy wiele setek tysięcy ludzi zesłano do łagrów, o czym na ogół w Polsce wiedziano. Mentalność społeczeństwa polskiego w przededniu wojny 1939 roku może być przedmiotem interesujących studiów socjologicznych i psychologicznych.

Przeciwno tym prądom patriotycznej, buńczucznej, gotowej do najwyższych poświęceń, lecz pozbawionej poczucia rzeczywistości, opinii polskiej szedł, jak to już niejednokrotnie w okresie polskich dziejów się zdarzało, jeden człowiek małego wzrostu lecz przenikliwego umysłu, wielkiego serca i nieprzebranej odwagi: Władysław Studnicki. W czerwcu 1939 roku wydał on książkę o zbliżającej się drugiej wojnie światowej, gdzie zdaje się dość dokładnie przewidział rozwój wypadków. Książka została skonfiskowana przedtem niż zjawiała się na półkach księgarskich.

Wakacje spędzałem w majątku mego teścia, lub raczej na działce wydzielonej z tego majątku i należącej do siostry mojej żony. Było to nad samą granicą sowiecką w pobliżu miejsca gdzie tor kolejowy Mińsk-Mołodечно przecinał granicę państwową. Część dworu była zajęta przez strażnicę KOP-u. Najbliższym sąsiadem był kołchoz zajmujący część gruntów tego majątku, które pozostały po tamtej stronie granicy. Od tego sąsiedztwa dzieliły nas przegrody z drutów kolczastych oraz ciągle patrole z obydwóch stron. Ludzie ze strony sowieckiej byli zastraszeni i nikt nie odważał się zbliżyć do drutów, aby zamienić z nami kilka słów. Był więc to bardzo cichy zakątek, bo jakakolwiek komunikacja z ośrodkami polskimi nie była również prosta. Kolej na tym odcinku nie funkcjonowała, do najbliższego miasteczka Radoszkowicze było 8 kilometrów. W majątku nie było ani telefonu ani radiowego odbiornika. W okresie sianokosów i zniw rzadko jeździło się do miasteczka, więc gazety dochodziły z kilkudniowym opóźnieniem. Wśród zieleniejących wzgórz i szybko biegnących potoków było spokojnie, uroczno, sielsko-anielsko. Urodzaje były tego roku doskonałe; mimowoli przypominało się to, co Mickiewicz pisał w *Panu Tadeuszu* o roku 1812, mniej więcej w tych samych okolicach. Na Wniebowzięcie Matki Boskiej jeździliśmy na jarmark do odległej o dwadzieścia kilometrów miejscowości Plebania, niedaleko od Kraśnego. Zaobserwowałem pewną poprawę w dobrobycie wsi, bo sporo chłopaków wiejskich przyjechało rowerami. W kilka dni potem Kopiści przy udziale miejscowych dziewczyn urządzili przedstawienie ilustrujące bohaterstwo i pomysłowość miejscowej młodzieży w wykrywaniu dywersyjnych urządzeń bolszewickich.

Po kilku dniach tego odprężenia, spokoju i radości z dobrych

urodzajów ogarnął mnie jakiś niepokój. Wyglądało jak cisza przed burzą. Postanowiłem pojechać do Wilna, aby zasięgnąć języka co się dzieje naprawdę na świecie. Umówiłem się z żoną, że następnego dnia będzie czekała na mnie przy telefonie w najbliższym urzędzie pocztowym, który był w Radoszkowiczach.

Przed odjazdem rozmawiam z uroczą niewiastą, przyjeżdżną z Wołynia, osobą z wyższym wykształceniem rolniczym, lubianą powszechnie za jej nadzwyczajną dobroć, uczynność i delikatność. Mówię do niej: „Zdaje się wisi nad nami groźba wojny”; odpowiada mi: „Oczywiście wojna musi przyjść”, zapytuje: „dlaczego musi?”, „No bo Niemcy tak się ostatnio zachowują, że jakiś porządek trzeba z nimi zrobić”. „To znaczy Pani sobie wyobraża, że nasze pułki z Łucka, Lidy i Mołodeczna przemaszerują sobie do Berlina, ukarzą krnąbrnych Niemców, a potem syte chwały wrócą do swego miejsca postoju”. Odpowiedź była: „No, przecież”, co miało oznaczać, że innego wyniku zatargu z potężną Rzeszą Hitlerowską moja sympatyczna rozmówczyni nie może sobie nawet wyobrazić.

Chociaż miejscowość, w której przebywała moja rodzina była odległa od Wilna o około 150 kilometrów, podróż zabierała niemal cały dzień: początkowo jechało się końmi prawie dziesięć kilometrów do stacji Olechnowicze, ostatniej stacji, do której dochodziły pociągi na linii Wilno-Mińsk. Potem jechało się pociągiem do Mołodeczna, gdzie się zwykle długo czekało na pociąg łączący ze Starą Wilejką. Przyjechałem więc do Wilna dopiero przed wieczorem. Gdy jechałem dorożką przez drogie memu sercu zaułki wileńskie, upiękzone w owej chwili pomarańczowymi promieniami zachodzącego słońca, zastanawiałem się nad tym jakie losy czekają wkrótce te kochane mury.

Po przyjeździe do domu na Antokolu, zostawiłem rzeczy i natychmiast wsiadłem do autobusu, którego przystanek był przed redakcją *Słowa*. Stanisław Mackiewicz siedział w swoim gabinecie redaktorskim głęboko poruszony. Właśnie nadeszła wiadomość o zawarciu paktu Ribbentrop-Mołotow. Nie potrzebowałem mi tłumaczyć co to znaczy. Obydwaj uświadomiliśmy sobie, że dramat naszych losów już się rozpoczął. Po chwili, gdyśmy dość zgodnie przeanalizowali sytuację, Mackiewicz zdecydował się zadzwonić do Wydziału prasowego MSZ-u w Warszawie i zapytać jaka jest ich reakcja na tę wiadomość. Odpowiedź była: MSZ uważa, że bezpieczeństwo Polski od Wschodu nie zostało pomniejszone przez ten pakt, bo ze Związkiem Sowieckim łączy nas pakt o nieagresji zawarty w 1932 i świeżo potwierdzony w 1938 roku. Mackiewicz przez telefon bezceremonialnie wysłaniał to oświadczenie, jako zgoła nieodpowiadające powadze sytu-

cji. Postanowił zadzwonić do Londynu, dokąd w przewidywaniu emocjonujących wydarzeń *Słowo* wysłało specjalnego korespondenta w osobie Wacława Zbyszewskiego. Gdy w końcu połączenie z nim zostało uzyskane, Zbyszewski powiedział, że jest tak wstrząśnięty przeistoczeniami, które raptem zaszyły w układzie międzynarodowym, że nie jest w stanie w tej chwili na ten temat mówić. Jasne było, że wszystko widział w najczarniejszych kolorach. Wydawało mi się, że rozumiem doskonale jego stan psychiczny.

Około jedenastej wieczorem powędrowałem do redakcji *Kuriera Wileńskiego*, który w pewnym stopniu był konkurencją *Słowa*, i w którym ja należałem do grupy wydawców. Przy wejściu natykam się na wychodzącą panią, zaprzyjaźnioną z redakcją studentkę Wydziału Sztuk Pięknych, zdolną malarką, matkę dwojga dzieci; twarz ma uszczęśliwioną, duże, błyszczące oczy iskrzą się radością. Pytam: „Czego się Pani tak cieszy?”. Chwyta mnie za rękę: „Jak to? Pan nie wie? Hitler się skompromitował”. Czuję jak z kolei moje oczy rozszerzają się ze zdumienia i ogarnia mnie po prostu przestrah. Przypominają się mi słowa Zagłoby, że głupota ludzka, tak samo jak i miłosierdzie Boże, jest bez granic. Moja sympatyczna rozmówczyni jest wyraźnie speszona; pyta mnie czy uważam, że gada głupstwa. Staram się jej wytłumaczyć, że na tę drogę „kompromitacji” niektórzy pruscy generałowie próbowali wejść już w 1921 roku i że dla nas jest niewiele pociechy z tego co ludzie będą myśleli o niekonsekwencjach Hitlera skoro za kilka dni czołgi sowieckie mogą się znaleźć na ulicach naszych miast i miasteczek.

Rozdział II

MOBILIZACJA

Następnego dnia rano, tak jak to już było umówione, zadzwoniłem do Radoszkowic, komunikując żonie, żeby zabierała dzieci i tego samego dnia wracała z granicy sowieckiej do Wilna. Spotkałem ich na stacji kolejowej dopiero późnym wieczorem. Noc miałem bardzo ciężką, dręczyły mnie niepokojące sny; śniło mi się między innymi, że jestem gdzieś na Łotwie, terenie mojej aktywności peowiackiej sprzed dwudziestu laty, na jakiejś stacyjce ze wszystkich stron otoczonej oddziałami sowieckimi, i że lada chwila sowiecka „czerezwyczajka” zacznie zabierać zgromadzonych tam ludzi. Obudziłem się z uczuciem jakiegoś strasznego ciężaru na piersiach. Promienie wschodzącego słońca przenikały przez szpary okienic naszego antokolskiego domku, gdzie cały styl życia i całe umeblowanie były owiane tradycją wileńską. Obok spała żona ze spokojnym i pogodnym wyrazem twarzy. Ptaki świergotały w otaczającym ogrodzie. Zacząłem przypominać o ostatnich złowieszczych wiadomościach politycznych, lecz starałem się jednocześnie siebie przekonać, że przecież żadne nieszczęście jeszcze nie zaszło. Poranek wyglądał zupełnie tak samo jak tyle innych letnich poranków w tym domku, w którym w ciągu szeregu lat zaznałem tyle ukojenia, radości i szczęścia i tyle odpoczynku po różnych eskapadach poza granice rodzimej Wileńszczyzny.

Gdy podczas śniadania otworzyłem radio, usłyszałem zamiast zwykłego serwisu wiadomości, jakieś zaszyfrowane ogłoszenia. Były to według wszelkiego prawdopodobieństwa rozkazy mobilizacyjne, chociaż oficjalnie mobilizacja jeszcze nie była ogłoszona. Gdy wyszedłem na ulicę dowiedziałem się, że autobusy nie funkcjonują, bo zostały zajęte do przewożenia wojska. Trzeba

więc było iść do centrum miasta pieszo. Po drodze spotkałem szereg konnych dorożek, którymi jechali do swoich pułków świeżo zmobilizowani podporucznicy rezerwy.

Gdy około południa zatelefonowałem do domu powiedziała mi żona, że otrzymałem kartę powołania nakazującą mi natychmiast zameldować się w moim pułku do czynnej służby wojskowej. Było to dla mnie w pewnym stopniu niespodzianką. Miałem 39 lat, zbliżałem się do czterdziestki. Ostatnim razem byłem na ćwiczeniach w 1931 roku, a więc 8 lat przedtem i wówczas ukończyłem kurs dowódców kompanii. Nie mogłem więc znać się na tych zmianach w taktyce małych oddziałów, które musiały być dokonane w związku z przeobrażeniami technicznymi w armiach naszych głównych sąsiadów. Nigdy nie byłem ćwiczony do walki z czołgami. Nie miałem pojęcia jak się strzela z karabinu przeciwpancernego, który miał być podobno przydzielony do każdej kompanii. Nie miałem pojęcia jak się operuje ruchomą stacją radiową, w którą miał być podobno zaopatrzone każdy pułk. Miałem czworo dzieci, co musiało chyba być jakoś uwidocznione w mojej ewidencji. Nie stanowiłem więc tego typu oficera, którego normalnie powołuje się do pierwszego rzutu mobilizacyjnego, chociaż niewątpliwie miałem pewne doświadczenie służby frontowej w latach 1919-1920. Przepuszczałem więc, że jeżeli wojna istotnie wybuchnie zostaną powołani dopiero na jakimś dalszym etapie jej rozwoju.

Wróciłem więc do domu, przebrałem się w mundur, spakowałem najbardziej potrzebne rzeczy do plecaka wycieczkowego i małej walizki. Przypiąłem pistolet, zostawiając jednak w domu szablę, uważając, że ten rekwizyt, niezbędny w pokojowych czasach do meldowania się u dowódcy pułku, musi być całkiem zbędny na prawdziwej wojnie. Pomodliłem się przez chwilę z żoną i dziećmi, mówiąc im że jeżeli wojna naprawdę wybuchnie — to nie wiadomo czyj los okaże się cięższy: czy mój w walczącym oddziale, czy ich w tym mieście, które już zaznało w dniach mojej młodości okupacji niemieckiej oraz okupacji bolszewickiej. Z początku udałem się do centrum miasta, gdzie mieszkał mój ojciec, emeryt kolejowy. Depresja poranna minęła. Żegnając się z ojcem miałem poczucie, że wchodzę w jakiś świat wielkiej przygody. Odczuwałem niepokój, a jednocześnie rodzaj radosnego podniecenia, które się odczuwa, gdy w wiosennym słońcu przecina się na nartach lawiniaste zbocze. Jednocześnie myślałem, że jeżeli ta przygoda ma istotnie przyjść, to ojca widzę chyba po raz ostatni w życiu. Potem poszedłem do Ostrej Bramy, która była na szlaku szosy prowadzącej do Nowej Wilejki, gdzie stacjonował mój pułk. Po chwili modlitwy, wychodząc z kaplicy,

zdecydowałem, że postaram się zatrzymać jakikolwiek bądź pojazd wojskowy idący w tamtym kierunku. Akurat nadjechał motocykl z przyczepką, prowadzony przez grubego rtm. Nowickiego z 13-go pułku ułanów, lecz czasowo przydzielonego do sztabu 19-ej Dywizji piechoty, do której właśnie należał mój pułk. Dowiózł on mnie w ciągu pół godziny do dowództwa pułku.

W dowództwie sierżant, który przyjmował zgłaszających się rezerwistów, zajrzał do kartoteki i wyciągnął moją kartkę, na której było napisane, że mam natychmiast objąć dowództwo kompanii gospodarczej i przeprowadzić mobilizację tej kompanii. Jednocześnie wręczono mi zalakowaną kopertę, gdzie była szczegółowa instrukcja co do moich czynności w ciągu najbliższych trzydziestu godzin. Dopiero przy pobieżnym zaznajomieniu się z tymi instrukcjami w pełni sobie uświadomiłem co to za zwierzę owa kompania gospodarcza. Miałem czuwać nad zaopatrzeniem wszelkiego rodzaju pozabatalionowych oddziałów, których w organizacji pułku piechoty nagromadziło się w latach trzydziestych bardzo wiele, a których nie mieliśmy w 1920 roku: pluton artylerii towarzyszącej, pluton działek przeciwlotniczych, kompania zwiadowcza składająca się z kawalerzystów, kolarzy i motocyklistów, pluton pionierów, pluton łączności. Nie do wszystkich z tych oddziałów miałem jednakowe zobowiązania oraz niejednakowa była moja możność interwencji w ich sprawach. W polu miałem dowodzić taborem pułkowym, co w wojnie z nieprzyjacielem, mającym przewagę lotniczą nie było wcale funkcją atrakcyjną, tym bardziej że ani pułk, ani nawet nasza dywizja, nie miały własnych działek przeciwlotniczych, chociaż etatowo dywizja musiała je mieć. Dopiero potem dowiedziałem się, że działa przeciwlotnicze polskiej produkcji, które sam oglądałem, gdy na jesieni 1938 roku towarzyszyłem wicepremierowi Kwiatkowskiemu w zwiedzaniu zakładów Centralnego Okręgu Przemysłowego, były eksportowane do Anglii. W chwili więc wybuchu wojny zarówno oddziały walczące, jak i miasta oraz węzły kolejowe, odczuwały duży brak artylerii przeciwlotniczej.

Kompania moja była rozlokowana w wiosce jakieś trzy kilometry od Nowo-Wilejki. W ciągu najbliższych kilku dni i nocy musiałem więc często galopować do dowództwa pułku dla załatwienia różnych spraw organizacyjnych. Byłem w doskonałej formie fizycznej i ten galop sprawiał mi prawdziwą przyjemność. Zacząłem zapominać o wszystkich swoich dość pesymistycznych analizach sytuacji ogólnej. Gdy więc przyszedł do mnie kapitan, dowodzący kompanią zwiadowczą, którego w poprzednich latach nieraz spotykałem na nartach na wzgórzach pomiędzy Wilnem

a Nowo-Wilejką i zaczął mi opowiadać, że świeżo dowiedział się iż podobno mamy maszerować poprzez Litwę Kowieńską, aby tą drogą zaatakować Prusy Wschodnie i że rząd litewski zgodził się nas przepuścić — gotów byłem mu uwierzyć, że ta wiadomość nie stanowiła kaczki dziennikarskiej. W ogóle zarysowała się przemiana w całej mojej postawie psychicznej. Obudziło się we mnie pewnego rodzaju zaufanie do wszystkiego, co przychodziło jako nakaz z góry. Nie miałem już czasu do rozmyślań nad błędami rządu, chociaż irytowały mnie różne niedociągnięcia techniczne w przygotowaniu do mobilizacji. Powszechny entuzjazm i wiara w ostateczne zwycięstwo zaczynały mnie ogarniać. Ostatecznie nie chodziło o to aby militarnie wygrać kampanię, co w starciu z Rzeszą Niemiecką wydawało się niemożliwe, lecz aby zmanifestować wolę narodu polskiego do obrony niepodległego bytu. Pod tym względem postawa wszystkich w moim otoczeniu, od rezerwisty, pochodzącego z zapadłej wioski, do dowódcy pułku, nie pozostawiała niczego do życzenia.

Materiał ludzki, który przychodził był bardzo chętny do pracy i walki, lecz miałem wątpliwości czy dostatecznie przygotowany do spotkania z czołgami oraz do ataków lotniczych. Chociaż miałem dowodzić taborami, przypominałem sobie z doświadczenia 1920 roku sytuację, kiedy taborcy musieli chodzić do ataku, jak to było na przykład w sławnej bitwie nad Wkrą 15 sierpnia tamtego roku. Materiał koński, który przychodził z mobilizacji był nie najgorszy. Natomiast stan wozów przychodzących tą drogą był zgoła rozpaczliwy. Było dla mnie niespodzianką, że w magazynach mobilizacyjnych nie mieliśmy dostatecznej ilości wozów taborowych, których produkcja nie wymagała przecież dewiz zagranicznych.

Po kilku dniach wyznaczony został czas odjazdu. O prawdopodobnych godzinach odejścia transportu wiedziało całe miasteczko. Gdy więc wyznaczonym późnym wieczorem prowadziłem moje tabory do załadunku ujrzałem na chodniku wśród zgromadzonego tłumu swoją żonę i dwoje starszych dzieci. Załadunek zabrał kilka godzin. Żona jakiegoś podoficera zabrała dzieci do przespania się, obiecując przyprowadzić je na czwartą rano, kiedy miał rzekomo nastąpić odjazd pociągu. Żona moja trwała cały czas przy rampie przyglądając się z daleka naszej aktywności. Około godziny 3-ej nad ranem powiedziano, że za kilka minut odjeżdżamy. Wskoczyłem na chwilę aby ucisnąć żonę. Przy najbujniejszej wyobraźni trudno było przypuścić, że następne spotkanie ma nastąpić za osiemnaście lat na lotnisku w Dżakarcie na wyspie Jawie, gdzie będę przebywał jako obywatel brytyjski w służbie Narodów Zjednoczonych. Zaczęła się

wielka przygoda, lub raczej cały łańcuch nieprawdopodobnych przygód.

Ku memu zdziwieniu pociąg ruszył nie na zachód w kierunku Wilna, lecz na południowy wschód w kierunku Mołodeczna. Pierwsze więc moje wrażenie było, że idziemy na osłonę naszej granicy wschodniej. Było to zadanie, do którego nasza dywizja była specjalnie ćwiczona. Jeszcze w 1930 roku na manewrach słyszałem o 19 D.P. jako o dywizji osłonowej tzn. takiej, która miała być przygotowana do osłaniania mobilizacji głównych sił. Byłoby to również logiczne politycznie. Zostawienie naszej granicy wschodniej bez żadnej osłony oprócz cienkiej niteczki strażnic KOP-u równałoby się zaproszeniu do wkroczenia Rosji po ewentualnym sfingowaniu przez agentów sowieckich jakichś rozruchów wewnętrznych. Gdyby jednak Sowiety musiały chociażby przez kilka dni toczyć ciężkie walki z wojskami osłonowymi, Stalin na pewno by się zawahał, chociażby dlatego, że atakowanie Polski w tych warunkach stanowiłoby zbyt jaskrawe naruszenie paktu o nieagresji, który był dość szeroko rozreklamowany po świecie. Nie można twierdzić, tak jakby to wynikało z powyżej opisaney telefonicznej rozmowy Stanisława Mackiewicza, że pakt o nieagresji nie miał żadnego znaczenia. Miał on na pewno, jeżeli tylko był poparty wolą bronienia się. W tej wojnie, która się zapalała, mieliśmy w moim rozumieniu bić się nie o bezpośrednie zwycięstwo, lecz o honor i podkreślenie własnej woli do utrzymania niepodległości. Tę wolę musieliśmy manifestować zarówno w kierunku wschodnim jak i zachodnim.

Podczas drogi nie poszedłem do dusznych wagonów drugiej klasy, przeznaczonych dla oficerów, lecz razem z kilku podoficerami ze swojej kompanii urządziłem sobie spanie na wozach taborowych ustawionych na lorach kolejowych. Ordynansi mistrzowsko ułożyli koce. Była ciepła lecz bardzo ciemna sierpniowa noc, jak to bywa w końcu lata na Wileńszczyźnie. Niebo było usiane gwiazdami. Byłem strasznie zmęczony i usnąłem niemal momentalnie. Gdy się obudziłem było już dobrze po wschodzie słońca. Wszędzie po drodze przez Oszmiańszczyznę oraz powiat Mołodeczański liczne grupy wieśniaków wiwatowały na naszą cześć. Na przystankach kobiety przynosiły mleko i owoce i nie chciały brać pieniędzy. Entuzjazm, który ogarnął całą Polskę objął również ziemie kresowe, gdzie mieszkała ludność przeważnie mówiąca po białorusku.

W Mołodecznie lokomotywa przeweksłowała z czoła na dotychczasowy ogon transportu i wkrótce ruszyliśmy na południowy zachód w kierunku Lidy. Moje przypuszczenie, że idziemy na osłonę granicy wschodniej, okazało się mylne. W czasie pokojo-

wym 19 D.P., tzn. dawna Litewsko-Białoruska dywizja, była rozlokowana w trójkącie Nowa-Wilejka (85 p.p.), Mołodeczno (86 p.p.), Lida (77 p.p.). Teraz myśmy po prostu objechali dookoła ten trójkąt. Widocznie linia Wilno-Grodno była zapchana transportami 1-szej Dywizji Legionów, która stacjonowała w Wilnie i prawdopodobnie również przesuwała się na zachód.

W Lidzie dopiero dowiedziałem się, że w naszym transporcie jedzie nie tylko dowództwo naszego pułku, lecz również dowództwo dywizji i przynajmniej część taborów dywizyjnych. Na peronie spotykam płk. Tadeusza Pełczyńskiego, który dopiero niedawno objął stanowisko dowódcy piechoty dywizyjnej 19 D.P. Znałem go od dawna. Jest nieco zdziwiony gdy widzi mnie w mundurze porucznika jednego z podległych mu pułków. Zaprasza mnie do wagonu dowództwa, gdzie przedstawia dowódcy dywizji gen. Kwaciszewskiemu, który był znany w wojsku jako wielki specjalista od ciężkich karabinów maszynowych. Z kilku innych rozmów, które miałem w tym czasie, dowiedziałem się, że idziemy na zachód i że w razie wybuchu działań wojennych dywizja nasza ma należeć do odwodu Naczelnego Wodza. Wkrótce ruszamy dalej w kierunku na Baranowicze, Warszawę. Wracam do swego wozu na lorze, gdzie się wygodnie wyciągam z książką w rękę.

W Warszawie na Dworcu Wschodnim pełno pań z koszami kanapek oraz z dzbanami herbaty, kawy i kakao. Niestety nasz transport staje tam tylko na kilka chwil i jedziemy dalej za Wisłę i na południowy zachód. Nie pamiętam dokładnie stacji, na której nastąpił wyładunek. Potem był dłuższy nocny marsz. Pamiętam jedynie jak już po wschodzie słońca, biwakowaliśmy na obszernym polu na skraju Łowicza. Z jednej strony pola był mur, nad którym wznosiła się potężna konstrukcja kościoła. Chciałem bardzo zwiedzić to miasto, sławne z wyrobów przemysłu ludowego, lecz lada chwila oczekiwaliśmy rozkazu dalszego marszu. W pewnej chwili zjawił się między nami płk Pełczyński. Na jego pytanie co ja porabiam, odpowiadam żartobliwie, że studiuję problemy gospodarki wojennej od dołu, mając na myśli przede wszystkim niezadawalający stan wozów i uprzęży w taborach piechoty. W moim pojęciu Polskę przedwojenną stać było gospodarczo, aby ten stan był lepszy. Nawiązujemy w ten sposób do moich studiów nad polityką gospodarczą Niemiec hitlerowskich, a specjalnie nad drogą, w której niemieckie dozbrojenie zostało sfinansowane. Płk Pełczyński, który był przedtem w Sztapie Głównym szefem Oddziału II-go, bardzo się tymi studiami interesował. Nie wiedzieliśmy wówczas, że był jeszcze ktoś inny kto się tymi moimi studiami również

interesował i bacznie obserwował moje poruszenia w Niemczech. Był to wywiad sowiecki, jak w rok potem sądzone mi było dowiedzieć się, gdy siedziałem w więzieniu Łubiańskim w Moskwie.

Wkrótce przyszedł rozkaz odmarszu. Po kilkugodzinnym odpoczynku oraz obfitym posiłku ruszyliśmy w atmosferze odprężenia. Jeszcze wojny nie było. Był to dzień 31 sierpnia 1939 roku. Nie pamiętam nazwy tych miejscowości gdzie zatrzymaliśmy się na nocleg. Pluton artylerii towarzyszącej oraz moja kompania rozlokowały się w zabudowaniach około jakiejś wielkiej gorzelni. W nocy wybuchł pożar w sąsiedniej dużej stodole, gdzie było złożone świeże zboże; przy tym spaliło się sześć koni: cały zaprzęg jednego z działonów naszej artylerii towarzyszącej. Uznaliśmy to ogólnie za zły omen. Należy przypuszczać, że ten pożar to był sabotaż, czyli że robota tzw. piątej kolumny. Wkrótce po wschodzie słońca obserwowaliśmy kilkanaście bombowców, lecących na zachód w zwartej formacji. Wyglądało to jakby to były niemieckie bombowce wracające już po dokonaniu swojej misji, chociaż o rozpoczęciu wojny jeszcze nic nie wiedzieliśmy. Niektórzy pocieszali się, że to była nasza eskadra lecąca w kierunku nieprzyjacielskiego terytorium. Wkrótce zostałem wezwany do dowództwa pułku. Adiutant oświadczył mi iż przed chwilą otrzymał telefonogram, że niemieckie kolumny pancerne przekroczyły granicę państwową. Zakomunikował rozkaz dowódcy pułku, aby wszystkie wozy i konie zostały zamaskowane, i aby ludzie niepotrzebnie nie kręcili się po ulicach. Wojna stała się faktem.

Rozdział III

OD PIOTRKOWA POD KATYŃ

Piotrków Trybunalski

Przez kilka następnych dni odbywaliśmy przeważnie nocne marsze przesuwające nas w południowym kierunku. W dzień niebo było poprzecinane białymi smugami zostawianymi przez lecące na wielkich wysokościach niemieckie samoloty obserwacyjne. Trzeba też było ciągle uważać, aby wozy i ludzie byli dobrze zamaskowani. Niektóre przesunięcia musieliśmy dokonywać w dzień. Niemieckie lotnictwo obserwowało nasze poruszenia, lecz nas nie atakowało. 4-go września znaleźliśmy się w lasach okalających Piotrków Trybunalski od południowego i północnego wschodu. Dowództwo spodziewało się, że w tych okolicach musi nastąpić nasze pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z nieprzyjacielem. W pewnej chwili przyjechał gen. Kwaciszewski i odbył w jednej z gajówek dłuższą konferencję z dowódcą pułku ppłk. Kruk-Śmigła, podczas której ja z kilku oficerami staliśmy na zewnątrz budynku oczekując na wyniki. Potem dowódca pułku zarządził odprawę, na którą wezwał trzech dowódców batalionów i mnie jako dowódcę taborów. Zdaje się był to dzień 5 września. Dziś, po tylu latach i bez mapy, nie pamiętam oczywiście wszystkich jej szczegółów. Ogólnie dyspozycja polegała na tym, że pułk miał się uszykować w ugrupowanie obronne na lizjerze lasu na północny wschód od Piotrkowa: II-gi i III-ci batalion w pierwszej linii, I-szy batalion w odwodzie. Nieco opodal na wschód wśród gęstych zarośli miały być ulokowane moje tabory. Na polanach leśnych miały być stanowiska ogniowe 19 p.a.l., tzn. tego dywizjonu artylerii polowej, który był przydzielony do naszego pułku. Nasz pluton

artylerii towarzyszącej pod dowództwem por. Andrzejkowicza miał być również przygotowany do akcji. O ile rozumiem naszym zadaniem było zapobiec jakimkolwiek okrążeniu Piotrkowa od północy. 77 p.p. oraz wileńska Brygada Kawalerii składająca się z trzech pułków (4 p.uł., 13 p.uł. oraz 23 p.uł.) stanowiły raczej odwód tego ugrupowania z zamiarem ewentualnego uderzenia w bok kolumn nieprzyjacielskich, posuwających się od południa.

5 wrzesień 1939 roku, był to raczej ciężki dzień w moich krótkich i niespodziewanych funkcjach oficera czynnie zaangażowanego w kampanię wrześniową. Nieprzyjaciel orientował się, że w tym lesie na północ od Piotrkowa były ukryte pewne ugrupowania; kilkakrotnie więc lotnictwo bombardowało lasek, robiąc dużo huków lecz mało szkody. Bardziej dokuczliwe były małe samoloty myśliwskie, które pikowały nad lasem i polowały z karabinów maszynowych nawet na poszczególnych ludzi, którzy ukazywali się na polankach lub drogach leśnych. Musiałem więc zrezygnować z konia jako środka lokomocji, bo konnego jest łatwiej z góry zauważyć niż pieszego. Raz byłem nawet obiektem takiego indywidualnego ataku. Szedłem wąską drożyną leśną od miejsca postoju dowództwa pułku do swojej kompanii, gdy raptem zauważyłem niemieckiego myśliwca nad głową. Dałem nura w pobliskie krzaki; on puścił serię z karabinu maszynowego; lecz na szczęście żadna kulka mnie nie zaczęła. Sytuacja ta stwarzała problem z wysyłaniem jedzenia do tych oddziałów, których prowiantowanie było moim obowiązkiem.

Pod wieczór zaczęły dochodzić z południa sporadyczne odgłosy walki. Wyglądało to w ten sposób, że nieprzyjaciel atakował Piotrków broniony od południa przez 86 p.p. oraz 77 p.p. W mojej sytuacji nastąpiła pewna pozorna ulga w tym sensie, że nisko latające samoloty nieprzyjacielskie przestały nam dokuczać. Widocznie zostały użyte do innych zadań. Nie było trudu z wysłaniem kolacji do oddziałów, które znajdowały się na stanowiskach bojowych. Artyleria, której stanowiska ogniowe były w pobliżu mego miejsca postoju otworzyła ogień. Oznaczało to, że czołgi nieprzyjacielskie wrywają się na tereny bronione przez II-gi oraz III-ci batalion naszego pułku. Moja łączność telefoniczna z dowództwem pułku nie została jednak naruszona. O zmroku zaczęli przybywać żołnierze 86 p.p., którzy przeżyli walkę w Piotrkowie. Niektórzy byli ranni. Przychodzili grupami po kilka osób. Z ich, dość zresztą bezładnych, opowiadań wynikało, że zdolność naszej piechoty przeciwstawiania się masie czołgów, które przewalały się przez nasze pośpiesznie zrobione umocnienia polowe, była prawie żadna. Jedyłą bronią, jakiej

nasz piechur mógł użyć był granat ręczny; wielu używało go z determinacją prawie samobójczą. Jedyłą siłą, która mogłaby tę nawałę czołgów powstrzymać było kładzenie zapory ognia artyleryjskiego. Luźne dywizyjony 19-go P.A.L.-u przydzielone do poszczególnych pułków oczywiście takiej zapory nie mogły położyć. Bój o Piotrków Trybunalski był niewątpliwie bojem heroicznym. I jako taki musi być zapisany w annałach Wojska Polskiego. Czy w ślad za czołgami weszła do Piotrkowa jakaś piechota niemiecka nie byłam w stanie zorientować się.

Po zachodzie słońca usłyszałem łoskot czołgów i warkot motorów na wschód od miejsca rozlokowania mojej kompanii. Nie ulegało wątpliwości, że jakieś zgrupowanie pancerno-motorowe posuwa się po szosie Piotrków - Wolborz, odległej o jakieś pół kilometra na wschód od mego miejsca postoju. Potem zaczęły nas dochodzić bardziej oddalone odgłosy przesuwania się formacji czołgowych po zachodniej stronie lasu. Lasek więc, w którym byliśmy rozlokowani, był otoczony ze wszystkich stron. Meldowałem o tym telefonicznie dowódcy pułku. Odpowiedział mi, że orientuje się w sytuacji i że rozkazał już kompanii kapitana Bychowca, która stanowiła część odwodu, aby ubezpieczyć nasze miejsce postoju od północnego wschodu, tzn. od strony Wolborza. Prócz tego polecił mi wystawienie placówek na wschodnim skraju lasu, aby w miarę możliwości obserwować co się dzieje na szosie. Oczywiście uderzenie w bok kolumn pancernych, maszerujących na Wolborz mogłoby spowodować u Niemców duże zamieszanie, lecz do tego trzeba było mieć większe zmasowanie broni przeciwpancernej oraz artylerię dobrze wstrzelaną uprzednio na szosę. Odwodowy batalion piechoty rozlokowany pół kilometra ode mnie byłby tutaj bezsilny.

Około godz. 3-ej nad ranem otrzymałem telefon od dowódcy pułku, który powiedział mi, że postanowił uczynić przed wschodem słońca próbę przebicia tego pierścienia, który nas otacza, i że punktem wyjścia tej operacji będzie obecne miejsce postoju taborów. Rozkazał mi jednocześnie abym swoją kompanię gospodarczą przeorganizował jako kompanię strzelecką, używając różnego rodzaju zaopatrzenia, które miałem w taborach. Wozy z całym dobytkiem pułku trzeba będzie zostawić. Oświadczył jednocześnie, że linie telefoniczne są zwijane i że on z resztą oddziałów odmaszerowuje poprzez las w kierunku mego miejsca postoju. Istotnie wkrótce przybył por. Wacław Urbanowicz, doświadczony oficer zawodowy, który w okresie pokojowym był dowódcą kompanii gospodarczej, a obecnie należał do sztabu pułku. Miał on przy sobie oddział złożony z kilkudziesięciu ludzi oraz wóz kancelaryjny, na którym był sztandar pułku. Bezpo-

średnio potem przemaszerował I-szy Batalion pod dowództwem kpt. Pawłowskiego, kompania zwiadowcza pod dowództwem kpt. Wiścickiego, pluton pionierów pod dowództwem por. Rekścia oraz różne elementy 19 p.a.l. Por. Urbanowicz powiedział mi również, że ppłk Kruk-Śmigła odjechał na pozycje II-go Batalionu i ma go przyprowadzić na miejsce zbiórki. Por. Urbanowicz przyniósł również wiadomość, że gen. Kwaciszewski podczas inspekcji rozrzuconych na dość szerokiej przestrzeni oddziałów 19 D.P. wpadł w ręce niemieckie. Był to prawdopodobnie pierwszy żołnierz dywizji, który w trakcie tej dość dziwnej wojny został wzięty do niewoli niemieckiej. Pierwszym oficerem pułku, który zginął tego dnia był por. Andrzejkowicz, dowódca plutonu artylerii towarzyszącej, który kierował ogniem z dość eksponowanego punktu obserwacyjnego. O losach płk. Pełczyńskiego nie było wiadomo nic pewnego, chociaż również opowiadano, że w pewnej chwili był on ogarnięty przez jakiś patrol niemiecki. Luzak, który przyprowadził jego konia na miejsce zbiórki, nie był w stanie nic powiedzieć o jego losie.

Na przybycie innych oddziałów pułku oraz płk. Kruk-Śmigły czekaliśmy blisko dwie godziny. Już po wschodzie słońca, w pełnym świetle dnia, kpt. Pawłowski objął dowództwo nad całością i wydał rozkaz marszu po osi nakazanej przez płk. Kruk-Śmigłę. Pluton wysłany do obsadzenia wsi, która od północnego-wschodu, flankowała tę oś marszu, meldował, że owa miejscowość była wolna od jakichkolwiek niemieckich oddziałów. Przecieliśmy szosę Piotrków-Wolborz bez najmniejszych trudności. Nie widzieliśmy ani jednego czołgu niemieckiego; na niebie nie było ani jednego samolotu. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że płk Kruk-Śmigła trafił do niewoli niemieckiej.

Wszystko wyglądało w ten sposób, że wieczorem 5 września oraz w ciągu następnej nocy potężne formacje czołgów przełamały nasze archaiczne niemal zapory i pomaszerowały na północny wschód w kierunku Skierniewic i Warszawy, mało troszcząc się o oddziały polskie, które pozostały w lasach w okolicach Piotrkowa. Otwierało to przed nami możliwość pewnych działań na niemieckie linie komunikacyjne. Lecz byliśmy wszyscy związani rozkazami co do kierunków wycofywania się z tej matni. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że jedyny wyższy oficer, który mógł sobie pozwolić na to, aby zlekceważyć rutynę sztabów i stworzyć jakąś niezależną koncepcję zaczepnego działania, płk Tadeusz Pełczyński, był gdzieś w tych lasach, lecz pozbawiony łączności z większym oddziałem.

Pomaszerowaliśmy więc na wschód; przeprowadziliśmy się przez Pilicę bez większego trudu; a potem znowu odbyliśmy nocny

marsz do Spały, dokąd przeniosło się miejsce postoju sztabu dywizji. W Spale szef sztabu ppłk Tadeusz Rudnicki dał nam rozkaz dalszego odchodzenia po osi Spała-Maciejowice i przeprawy przez Wisłę w okolicach Maciejowic. Do Maciejowic przed spalaniem mostu zdążył dojść jedynie kpt. Pawłowski, który przeprowadził przez ten most swój batalion oraz różne elementy 19 P.A.L.-u. Pozostałe oddziały musiały sobie szukać przeprawy w innych punktach.

Po przeprawieniu się przez Wisłę dowiedzieliśmy się, że w Garwolinie, przeraźliwie zrąbanym przez lotnictwo niemieckie, jako dowódca placu urzęduje mjr Nowakowski, dowódca III-go baonu naszego pułku. Pojechaliśmy z por. Urbanowiczem zameldować się do niego. Rozkazał, aby por. Urbanowicz z dwoma podoficerami odwiózł sztandar do Lidy, gdzie rzekomo była kadra naszego pułku. Mnie zaś z resztą ludzi rozkazał pozostać w jego dyspozycji, oświadczając jednocześnie, że został mianowany dowódcą pułku. Wyznaczył mi miejsce postoju w lasku w pobliżu Garwolina i rozkazał formować regularne kompanie z nadiągających ludzi. Uformowałem tam około dwóch kompanii. W Garwolinie sprzętu i zaprowiantowania było pod dostatkiem, tak, że bardzo szybko zostaliśmy zaopatrzeni we wszystko niezbędne.

Po dwóch dniach jednak otrzymałem od mjr. Nowakowskiego rozkaz maszerowania na Lublin w celu dołączenia do innych oddziałów dywizji, które — według jego wiadomości — również poruszały się w tamtym kierunku. Oddziały te dopędziliśmy już za Lublinem w dniu 15 września, kiedy też zameldowałem się u ppłk. Rudnickiego. — „To dobrze, że się Pan do nas dostał — powiedział ppłk Rudnicki. — Dywizja organizuje się; z resztek 77 i 85 p.p. utworzymy jeden pułk kombinowany. Są tu również resztki 86 p.p. z płk. Peszkiem. Będziemy walczyli. Jutro zamelduje się Pan u płk. Nowosielskiego”. I pokazał na mapie miejsce, w którym się mam stawić o świcie.

W długich konnych marszach, które potem nastąpiły, rozmyślałem wiele, wygodnie kołysząc się w siodle, o wnioskach, które wynikały z doświadczeń piotrkowskich. Doświadczenia te potwierdzały całkowicie moje przedwojenne przekonanie, że ani technicznie ani organizacyjnie nie byliśmy przygotowani do przeciwstawienia się niemieckiej potędze pancерnej i lotniczej. A więc ludzie, od których w 1939 roku zależały decyzje, tzn. Beck, Rydz-Śmigły i Mościcki, winni byli zrobić maksymalny wysiłek, aby tej wojny uniknąć, jeżeli chcieli uratować tę Rzeczypospolitą, która została zbudowana w wyniku pierwszej wojny światowej

oraz w wyniku tych ofiar, które naród polski ponosił w wojnie 1919-1920 roku. Nasze zbliżenie z Anglią należało traktować jako bardzo ważny atut, który nam mógł ułatwić osiągnięcie jakiegos znośnego kompromisu z Niemcami, a nie jako czerwoną płachtę, która doprowadzała Hitlera do wściekłości.

Mój drugi wniosek dotyczył naszej taktyki walki, aby odpowiednio wykorzystać ten wspaniały duch, który ożywił naszych żołnierzy jeżeli by wojny nie dało się uniknąć. Nawet najbardziej heroiczna postawa staromodnej piechoty nie może powstrzymać uderzenia zmasowanych czołgów — jak to wykazało doświadczenie 86 p.p. na przedpolach Piotrkowa. Natomiast mogliśmy spowodować bardzo dużo kłopotów nieprzyjacielowi gdybyśmy potraktowali naszą wojnę z Niemcami jako przede wszystkim wojnę partyzancką. Resztki naszej dywizji straciły dużo energii czasu i sił na poszukiwanie różnych ośrodków koncentracji, marsz do Spalskich lasów, przeprawa przez Wisłę, a potem znowu marsz na przepchanych drogach do Lublina i Chełma. Natomiast, gdybyśmy pozostali w lasach Piotrkowskich, Niemcy musieliby skoncentrować sporo piechoty, aby nas stamtąd wykuczyć. Tak też było zapewne z innymi oddziałami.

Lecz prowadzenie wojny partyzanckiej wymagało również pewnego wyszkolenia i pewnych urządzeń. Należało mieć zawsze przygotowane i dobrze zakonspirowane składy konserw i amunicji. Należało również mieć dwa odrębne regulaminy służby polowej: jeden na wypadek wojny na Wschodzie, drugi na wypadek starcia z Niemcami. Wydaje mi się, że Niemcy wysoko oceniali potencjał polski do działań partyzanckich. Mniej więcej na rok przed wojną — jak opowiadał mi Stanisław Mackiewicz — *Frankfurter Zeitung* wydało specjalny dodatek poświęcony opisowi różnych armii europejskich. Było tam podkreślone zacofanie techniczne armii polskiej, lecz jednocześnie zaznaczono, że zdolności tej armii do działań natury partyzanckiej nie mogą być lekceważone. Był to prawdopodobnie główny powód dla którego Hitler przywiązywał takie duże znaczenie do pomocy sowieckiej. Niemcy potrzebowali wielkich mas kawalerii sowieckiej, żeby stłumić w zarodku tę wojnę partyzancką, która mogła się rozpaść na terenach na wschód od Wisły. Związek Sowiecki to zadanie we wrześniu i październiku 1939 roku wiernie spełnił.

Gdy potem w 1941 roku Niemcy zaatakowali Sowiety i ja, już jako więzień sowiecki w łagrach na dalekiej północy, przeczytałem wezwanie Stalina do działań partyzanckich, pomyślałem sobie, że specjaliści sowieccy prawdopodobnie dobrze przestudiowali nasze doświadczenia kampanii wrześniowej. Przypomina

mi się również opinia marszałka Allan Brook'a, że Stalin miał nadzwyczajną intuicję w dziedzinie wielkiej strategii, której nie mieli ani Marshall ani Eisenhower.

Tak samo jak Beck, który robił gesty wielkomocarstwowe, nie mając za sobą realnej siły, nasi wyżsi dowódcy w dyspozycjach strategicznych oraz wyszkoleniu taktycznym dowódców małych oddziałów zapominali, że będziemy mieli do czynienia z przeciwnikiem wielokrotnie od nas silniejszym i że metody walki muszą być do tego faktu dostosowane.

Reorganizacja Dywizji

Powyżej zostało opisane jak w dniu 16 września w jakiejś miejscowości na wschód od Chełma udało się dołączyć do resztek 19 D.P., które nieco wcześniej odeszły na wschód. Powyżej podałem również rozmowę z szefem sztabu dywizji ppłk. dypl. Tadeuszem Rudnickim, który rozkazał mi abym następnego dnia zameldowałem się u ppłk. Gustawa Nowosielskiego, świeżo mianowanego dowódcy kombinowanego pułku 19 D.P.

Następnego poranka, jeszcze przed tym niż słońce na wierzchołki drzew rzuciło pierwsze promienie, byłem na wskazanym miejscu. Za wsią, na polanie leśnej, w otoczeniu grupki oficerów — stał dowódca nowo-formującego się pułku. Zobaczyłem znajome twarze kolegów z lasu pod Piotrkowem, gdzie pułk nasz, 85 pułk strzelców wileńskich, pod dowództwem płk. dypl. Kruk-Śmigły usiłował w pierwszych dniach września stawić czoło pancernej nawale niemieckiej: kpt. Pawłowski, dowódca 1-go baonu 85 p.p., kpt. Kowszyk, kwatermistrz tego pułku, kpt. Bychowiec... Pułkownik był słusznego wzrostu, w długim płaszczu polowym, w rogatywce żołnierskiej, fasowanej z magazynów mobilizacyjnych, bez odznak. Wydał mi się bardzo przystojny. Pełne męskości rysy i jednocześnie wyraz jakiejś nieodgadnionej tęsknoty w oczach. Twarz ta wydała mi się dziwnie znana, gdzieś ją już widziałem. Po chwili przypomniałem sobie. Było to dawno w Rosji, u schyłku tamtej wojny. W gimnazjum w Orle tajna organizacja polskich chłopców, którzy marzyli o zbrojnej walce o niepodległość. „Austriacki” jeńiec, kapral legionowy, jako instruktor. Poczτώki, przedstawiające typy legionistów, które on nie wiadomo skąd dostawał. Na jednej była postać legionisty z karabinem i plecakiem, lecz rysy twarzy te same i ten sam wyraz — jakiejś ukrytej tęsknoty. Płk Nowosielski, jak się potem dowiedziałem, istotnie był legionistą — i to, zdaje się, jednym z tych, co niegdyś tomiki Słowackiego

nosili w plecaku żołnierskim. „Ależ ten pułkownik to chyba musiał mieć powodzenie u kobiet” — pomyślałem sobie.

Po chwili meldowałem się: „Panie pułkowniku, porucznik S. z 85 pułku strzelców wileńskich... z rozkazu dowódcy dywizji... melduje posłusznie: dwóch oficerów, 9 podoficerów, 4 ckm-y, 37 bagnatów, 6 konnych zwiadowców, 4 wozy taborowe”. Pułkownik przyjął meldunek, oraz po chwili rozkazał: „Podoficerów taborowych i wozy odeśle Pan do kompanii gospodarczej, konnych — do plutonu zwiadowców, reszta niech się zamelduje u dowódcy II-go baonu. Co do Pana osobiście — to chciałbym się jeszcze zastanowić jak użyć Pana”. W tej chwili kwatermistrz nowo-formującego się pułku, kpt. Kowszyk, którego znałem jeszcze z manewrów 19-ej dywizji piechoty podczas ćwiczeń rezerwy w 1930 roku, podszedł i coś zaczął szeptać pułkownikowi. Domyśliłem się, że daje moją charakterystykę. Pułkownik spojrzął na mnie i po chwili znowu się zwrócił: „Poruczniku, chciałbym Pana zatrzymać w Dowództwie Pułku. Potrzebuję oficera informacyjnego”. Odsalutowałem.

W kilka godzin potem oddziały nowo-utworzonego pułku, zgromadzone w lesie, wałyły drzewa, aby zbudować zapory przeciwczołgowe. O 4 kilometry od nas maszerowały nieprzyjacielskie kolumny pancerne. Wiadomości jednak o nieprzyjacielu były dość dziwne: Główne jego masy w tym rejonie wydawały się być znacznie na wschód od nas, po prawej stronie Bugu. Coś dziwnego działo się na Wołyniu w okolicach Włodzimierza. Lecz co, trudno było ustalić, nie mieliśmy radia i w zamieszaniu pierwszego dnia istnienia nowej formacji, było nie sposób zorganizować nasłuch radiowy. Łączność była przerwana, byliśmy odcięci od wiadomości o sytuacji ogólnej i musieliśmy działać na własną rękę. Nocą pułk ruszył na wschód w kierunku Dorohuska, aby przeciąć niemieckie linie komunikacyjne przez Bug.

Dorohusk nad Bugiem (18. 9. 1939)

Nad rzeką wywiązała się bitwa, która trwała przez cały dzień 18 września. Ponieśliśmy w niej poważne straty w ludziach, lecz udaremniiliśmy niemiecki wysiłek przekroczenia w tym miejscu Bugu ze wschodu na zachód. Na początku walki pułkownik wysłał mnie z różnymi zleceniami do odwodów oraz na flanki. Do obowiązków oficera informacyjnego należało w tych wyjątkowych warunkach nie tylko zbieranie informacji o nieprzyjacielu, lecz również o siłach i oddziałach własnych. Było względnie

łatwo zorientować się co się działo na bezpośrednich tyłach. Mieliliśmy tam zresztą własne dowództwo dywizji, któremu podlegaliśmy i ppłk. T. Rudnickiego, który czuwał nad wszystkim. Bardziej mglista była sytuacja na flankach i było trudno zorientować się co do istotnych walorów oddziałów własnych w tym rejonie oraz możliwości współdziałania z nimi. W podobnej sytuacji były zresztą i dowództwa innych oddziałów. Musieliśmy więc o sobie wzajemnie zbierać informacje. Na tym tle dochodziło czasami do incydentów. Na przykład zawiadomiono mnie, że „szpieg” niemiecki, przebrany w mundur polskiego majora, kręci się wśród naszych żołnierzy; przy tym sierżant, który mnie to zameldował, wykazywał niedwuznaczą ochotę załatwienia się ze „szpiegiem” na miejscu. Pojechałem natychmiast i spotkałem autentycznego majora polskiego z grupy płk. Künstlera (później również jeńca kozielskiego), która zajmowała stanowiska na przeciwko mostu kolejowego pod Dorohuskim i wysadziła ten most, aby uniemożliwić nieprzyjacielowi łatwą przeprawę na lewy brzeg Bugu. Major został przysłany, aby z nami nawiązać kontakt, lecz przy okazji chciał się naocznie przekonać, jak wygląda nasza wartość bojowa.

Po kilku godzinach wróciłem do m.p. dowództwa pułku. Był tam ład, spokój i porządek, właściwy znajdującym się w bezpośrednie bliskości linii służbom dobrze zorganizowanych oddziałów. Konie i wozy były zamaskowane, niepotrzebni ludzie nie kręcili się po ulicach wsi, telefoniści i obserwatorzy spokojnie i systematycznie załatwiali swoje sprawy; szef kancelarii pułkowej sporządzał normalny dzienny raport stanu, łącznicy drzemali pod ścianą osłaniającą ich od kul. Wzdłuż rzeki grały karabiny maszynowe, niemiecka artyleria niezbyt gęstym, lecz systematycznym ogniem ostrzeliwała wieś oraz skrzyżowanie dróg na naszych tyłach. W dowództwie pułku zastałem z oficerów jedynie 2-go adiutanta. — „Gdzie pułkownik?”, zapytałem go. — „A bo ja wiem— odpowiedział zagadnięty — poszedł z porucznikiem Sielickim odwiedzać stanowiska poszczególnych karabinów maszynowych. Jest w tej chwili przy którymś plutonie... Udaje bohatera... Proszę Pana — irytował się dalej adiutant — jego miejsce jest tu, przy telefonach; tu przychodzą meldunki, stąd trzeba dawać rozkazy, a on uważa, że musi przede wszystkim dawać osobisty przykład szeregowym”.

Przypomniało mi się, jak w 1919 roku zetknąłem się na froncie z 5-tym pułkiem piechoty legionów. Był tam wówczas zwyczaj, że oficerowie, dla dania przykładu odwagi, nie kładli się w linii. Straty były duże, lecz też i autorytet bojowy oficerów u szeregowych był ogromny. „Pułkownik jest prawdopo-

dobnie z tej samej szkoły” — pomyślałem sobie. Nie pozostało mi jednak nic innego, jak czekać. Tymczasem pociski karabinowe coraz gęściej zaczęły padać na podwórze. Usiadłem więc sobie na ganeczku chatupy, której grube belki chroniły mnie od kul i przyglądałem się głupim kurom, które uganiały się za brzękiem tych dziwnych i niewidocznych żuków, spadających na ziemię. W łagodnym jesiennym powietrzu unosiły się pajęczyny. W przyrodzie był spokój pogodnego, wrześnieowego dnia. Myśli ciepłe i rozleniwiające zaczęły mnie ogarniać. Przypomniałem sobie, że jutro jest rocznica mego ślubu i powoli rzeczywistość i senne marzenia zaczęły mieszać się w drzemce, która mnie ogarnęła.

Z tego stanu wyprowadził mnie powrót pułkownika. Pułkownik wyglądał zmęczony po tych skokach od okopu do okopu w ogniu nieprzyjacielskich dział i karabinów maszynowych. Złożyłem mu meldunek co do zebranych przeze mnie wiadomości. Pułkownik wysłuchał, podziękował, po czym usiadł na zwalonym pniu, leżącym na podwórzu, i zadumał się nad mapą. Ogień nieprzyjacielski nieco osłabł, kule przestały padać na podwórze. Wziąłem lornetkę, wylażłem na strome wzniesienie, które znajdowało się tuż za domem i zacząłem przyglądać się stronie nieprzyjaciela. Zadumałem się nad dziwną taktyką rozpoczętej dopiero wojny. Intrygowała mnie zagadka tej względnej pustki na zachód od nas i tego nieprzyjacielskiego parcia od Wołynia. Nagle pułkownik mnie zawołał, szybko zszedłem ze swego wzgórza. — „Niech Pan siada poruczniku” — powiedział. Usiadłem przy nim na zwalonej kłodzie. — „Poruczniku, po co Pan tam wylaż? Przecież to nic nikomu nie pomoże” — powiedział z wyrzutem głosem cichym i zmęczonym, nie patrząc na mnie, i znowu pogrążył się w mapę. Nic nie odpowiedziałem, nie wiedziałem co mam odpowiedzieć, patrzyłem tylko na niego ze zdziwieniem. To mówił dowódca pułku, który dopiero co wrócił z inspekcji pododdziałów w okresie intensywnego ognia nieprzyjacielskiego.

W kilka chwil potem przyszedł meldunek od kpt. Pawłowskiego, że nieprzyjaciel szykuje się do przeprawy. Walka ogniowa zawrzała na nowo. Kapitan 19 P.A.L.-u, dowodzący dwoma naszymi działami dokonywał cudów sprawności artyleryjskiej aż mu się lufa w jednej połówce od przegrzania rozdeła. Po kilku godzinach kryzys został zażegnany. Strzelanina zaczęła słabnąć i w miarę jak zbliżał się wieczór słabła coraz bardziej. Pułkownik postanowił zarysowującą się przerwę w walce wykorzystać dla nakarmienia ludzi, dostarczenia amunicji do trudniej dostępnych punktów oraz lepszego okopania się i zamaskowania.

Miejsce postoju dowódcy pułku zostało przeniesione do specjalnie zrobionego okopu naprzeciwko muru okalającego znajdującą się przy drodze cerkiewkę. Nieco opodal przy skrzyżowaniu dróg był punkt sanitarny, który tego dnia miał istotnie wiele pracy do wykonania. Za budynkiem, w którym się znajdował, leżała w pośpiechu wyrzucona na podwórze noga, należąca do jednego z oficerów, którą lekarz uznał za wskazane natychmiast amputować. Wioskowe psy łapczywie zlizywały sączącą się z niej krew.

Za murem na podwórzu cerkiewnym kilku strzelców kopało grób dla ppor. Króla. Poznałem go tego samego dnia rano na tym samym podwórzu, gdy pułkownik posłał mnie, aby zorientować się w sytuacji w odwodach. Gdy podjechałem konno do rozłokowanego pod murkiem plutonu, podniosła się wysoka, szczupła postać dowódcy, który podszedł do mnie i uprzejmie się przedstawił: „podporucznik Król jestem”. Po kilku godzinach wytworzyła się krytyczna sytuacja na odcinku jednej z kompanii i pułkownik posłał mnie, aby pluton ppor. Króla skierować dla zatkania dziury. Gdy zbliżałem się, w tym samym miejscu do tego samego plutonu podniosła się w sposób zupełnie identyczny jak poprzednim razem — wysoka postać dowódcy, który przedstawił mi się znów: „Podporucznik Król jestem”. Spojrzałem na niego. Wydał mi się niezmiernie sympatyczny w tym swoim roztargnieniu. Zastanawiałem się też przez chwilę, jaki mógł być jego zawód w cywilu. Nie było jednak czasu na pogawędkę. Zakomunikowałem mu rozkaz pułkownika i w kilku słowach wytłumaczyłem sytuację. Ppor. Król dzielnie spełnił swoje zadanie. Dziura została zatkana; inny pluton, który pod ogniem niemieckim zaczynał się już wycofywać, wrócił na swoje stanowiska. Lecz ppor. Król przeplacił to życiem. Kilku strzelców przeniosło jego ciało z powrotem na to samo miejsce, gdzie przedtem stał on w odwodzie, i teraz na starym cmentarzu koło cerkwi kopali dla niego mogiłę. Ppor. Król, wyprostowany, leżał twarzą zwrócony do wieczornego nieba; wydawał się tak samo uroczysty, jakim był gdy tego samego dnia dwukrotnie mi się przedstawiał. Sierżant z książki do nabożeństwa odmówił nad ciałem krótką modlitwę. Strzelcy stali z odkrytymi głowami. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na twarz poległego. Przeżegnałem się i zacząłem po cicho odmawiać Anioł Pański. Strzelcy zaczęli zasypywać złożone w płytkim grobie ciało.

Poczułem raptem przejmujący głód. Ze znajdującego się przy drodze pola wykopałem kilka rzep, oczyściłem scyzorykiem i zacząłem jeść. Pułkownik z okopu wydawał przez telefon rozkazy kpt. Pawłowskiemu. Ordynansi przynieśli dla nas z kuchni

smaczną zupę z ogromnymi porcjami mięsa. Pułkownik wylazł z okopu i usiadł obok mnie nad przydrożnym rowem. Nastąpiła jakby chwila odprężenia po dniu zbożnej pracy. „Eh, poruczniku, poruczniku, ileż to też człowiek musi namęczyć się zanim umrze” — zażartował pułkownik.

Po obu brzegach rzeki, zachodnim polskim i wschodnim niemieckim, zaległa cisza.

Dzień dramatycznej wieści (19. 9. 1939)

Dzień następny był dniem dramatycznej wiadomości. Rozpoczął się on dziwną ciszą. Niemcy stali na przeciwnym brzegu, lecz nie wykazywali najmniejszej aktywności. Wyglądało tak, jakby coś szykowali, lub też czekali na jakąś pomoc. Nawet samoloty nieprzyjacielskie — poprzedniego dnia zresztą sprawnie odpędzane przez nasze jedyne działo przeciwlotnicze — teraz nie pokazywały się wcale. Niedługo przed południem nasz obserwator artyleryjski, ogniomistrz siedzący na drzewie — tuż koło niego było stanowisko dowódcy pułku — zameldował nagle, że tłumy jakichś ludzi wychodzą z lasu za stanowiskami niemieckimi i idą w kierunku rzeki; ludzie są bez broni. Po chwili następny meldunek donosił, że ludzi tych wychodzi coraz więcej i wszyscy idą w kierunku stanowisk niemieckich. Nagle obserwator głosem wysokim, pełnym rozdzierającego wszystkie konwensanse przerażenia, krzyknął: „Oni są w naszych mundurach... to nasi... bez broni... Niemcy ich przepuszczają... O, przechodzą koło niemieckich czołgów”.

Wiadomość lotem błyskawicy obiegła pododdziały. Z punktów oporu, któreśmy sobie zdążyli pobudować, ze stanowisk ogniowych, z zamaskowanych punktów amunicyjnych i żywnościowych zaczęli wysypywać się ludzie. Cały pułk z zapartym tchem przyglądał się stronie nieprzyjacielskiej. Na przeciwległym brzegu gromadziło się coraz więcej polskich żołnierzy bez broni, szukających środków przeprawy na naszą stronę. Wkrótce pierwsi zwiastuni dramatycznej wieści byli już pomiędzy nami. Wszyscy oni powtarzali to samo: „Rosja wystąpiła, bolszewicy obsadzili Mołodeczno i Łuck”; dalej mówili o swoich dziejach: „Broniliśmy Włodzimierza Wołyńskiego, Niemcy porządnie dostali od nas w skórę; nie wyglądało wcale na to, aby oni mogli zdobyć Włodzimierz; aż nagle rano 17 września generał Sawicki, który nami dowodził, zebrał całą dywizję i oświadczył, że Rosja wystąpiła przeciwko nam, i że w tych warunkach dalsza walka jest niemożliwa. Generał zapłakał i powiedział, że szeregowych

zwalnia i zezwala im wrócić do domów, a oficerom rozkazuje, aby natychmiast samochodami usiłovali dotrzeć do granicy rumuńskiej”.

Coraz więcej przedstawicieli tego tłumu przedostawało się na naszą stronę, dziesiątki ich kręciło się wśród naszych żołnierzy. Na rzece był kompletny bałagan. Po wołyńskiej stronie stali Niemcy, po lubelskiej nasz pułk, gotowy w każdej chwili do podjęcia nowej walki; a poprzez niemieckie i nasze stanowiska cofała się dywizja z Włodzimierza Wołyńskiego, bez broni i bez oficerów. Obawiałem się, że Niemcy wykorzystają tę sytuację, aby sforsować sobie przejście, któregośmy im dnia poprzedniego nie dali. Lecz Niemcy stali ponurzy i wspaniali w swoich ogromnych hełmach i szarych mundurach. Przez chwilę mi się wydawało, że było w ich postawie coś, jakby szacunek dla naszej tragedii. Prawdopodobnie jednak uważali los naszego oddziału za przypieczętowany i nie opłacało się im narażać na straty, które były związane z forsowaniem rzeki.

Zostałem wezwany do pułkownika. Był wzburzony. Rozkaz rozpuszczający dywizję do domów uważał za czyn zgoła niewytłumaczalny. „Proszę Pana — mówił do mnie — jak można rozpuszczać oddziały, które mają broń i gotowe są walczyć?” „To jest straszne, co się stało we Włodzimierzu”. Fakt, że pomiędzy nami znalazł się dowódca, który zdyspensował żołnierzy od walki, wydawał się mu straszniejszy, niż samo wystąpienie bolszewików, o którego charakterze wiedzieliśmy bardzo niewiele, a mogliśmy się jedynie domyślać.

„Największe niebezpieczeństwo w tej chwili grozi nam nie tyle od strony Niemców — mówił dalej pułkownik — lecz od tych cofających się tłumów, które się mieszają z naszymi szeregami. Trzeba to przerwać. Niech Pan natychmiast weźmie kompanię służbową, rozstawi posterunki i wytyczy drogę, którą oni mają przechodzić. Żadnych dyskusji, żadnych rozmów, żadnego mieszania się z naszymi szeregami. Rozumie Pan? Musimy koniecznie utrzymać morale naszego pułku”. Odsalutowałem i zająłem się wykonaniem. Tymczasem pułkownik napisał rozkaz, który został odczytany na stanowiskach wszystkich oddziałów pułku. Pułkownik oświadczył w nim, że wypadki, które zaszły we Włodzimierzu, w niczym nie zmniejszają naszych obowiązków żołnierskich. Warszawa i Lwów walczą, a naszym zadaniem jest ułatwić ich walkę angażowaniem nieprzyjaciela. Wojna nie jest bynajmniej skończona i naród polski będzie ją prowadził aż do zwycięstwa.

Po godzinie wszystko zostało uregulowane. Potok umundurowanych tłumów został ujęty w łożysko. Na stanowiskach

bojowych naszego pułku znowu był ład, spokój i porządek. Przechodziłem od oddziału do oddziału, przyglądałem się twarzom żołnierzy, wdawałem się w rozmowy z podoficerami. Nie zauważyłem żadnych wątpliwości, żadnych wahań. Pułkownik mógł być zadowolony, moment psychologiczny został wygrany i dyscyplina nie została naruszona; byliśmy zdolni do dalszej walki.

Lecz skutek tego szczęśliwego przebrnięcia przez kryzys psychologiczny był dość niespodziewany. Przy drodze zaczęły się gromadzić grupki naszych uzbrojonych żołnierzy, którzy zmuszali przechodzących, mających lepsze płaszcze, buty, szaliki fasowane z mob-u, do zamieniania ich na gorsze. Przechodzący przeważnie oddawali bez protestu. Widowisko to odczułem jako coś głęboko bolesnego i upokarzającego. Lecz trzeba przyznać, że była w tym pewna swoista logika żołnierza. „Panie poruczniku — tłumaczył mi, pokazując na jednego z przechodzących żołnierzy z Włodzimierza, starszy strzelec, którego usiłowałem zawstydić za uprawianie podobnych praktyk — on z tym fasowanym płaszczem idzie pod pierzynę do swojej baby, a ja idę walczyć. On będzie wylegiwał się ze swoją babą, kiedy ja będę gnął na deszczu. Jest słuszne, żeby on miał gorszy płaszcz, a ja lepszy”. Zameldowałem pułkownikowi o tych mnożących się incydentach. Pułkownik rozkazał przerwać te praktyki, a odbierać jedynie rowery, które były nam potrzebne dla skompletowania plutonu kolarzy.

Po pewnym czasie pułkownik wyszedł z chałupy i udał się do skrzyżowania dróg za wsią, gdzie właśnie stał patrol rekwirujący rowery. Podeszedłem do niego i tak staliśmy w milczeniu, przyglądając się potokowi żołnierskiemu, płynącemu po drodze stromo przecinającej rzeczne terasy. I nagle poczułem, że coś się dzieje pomiędzy nami. Spojrzałem na pułkownika; oczy nasze się skrzyżowały i w tej chwili z ust pułkownika wyrwał się szept, który był jednocześnie jękiem: „Poruczniku... Polska umiera...” I ruchem, którym się odpędza dokuczliwą muchę, otarł łzę, płynącą cicho po policzku. Myśli gwałtowne i sprzeczne zawirowały w moim mózgu. Zrozumiałem, że mam do powiedzenia w tej chwili bardzo wiele, lecz tych kilku wyrażań, koncentrujących w sobie naszą wspólną prawdę wewnętrzną, nie umiem znaleźć. Nie powiedziałem ani słowa. Staliśmy dalej w milczeniu.

Po zachodzie słońca pułk ruszył w kierunku południowym na Dubienkę. Ja natomiast z kilku zwiadowcami konnymi udałem się na nocne poszukiwanie dowództwa Dywizji, które również wędrowało gdzieś w kierunku południowym. W dowódz-

twie dywizji gruby rotmistrz Nowicki, postać w Wilnie dość popularna, zakomunikował mi dla nas wszystkich najbardziej bolesną wiadomość, podaną przez radio moskiewskie, o zajęciu przez wojska sowieckie Wilna. „Lecz Panie, uszy do góry, musimy 'trzymać się'”, dodał rotmistrz, klepiąc mnie po ramieniu.

Przez kilka następnych dni byliśmy ciągle w marszu. Niemieckie samoloty krążyły nad nami tak samo, jak poprzednio, lecz nie strzelały. Natomiast sywał się z góry deszcz ulotek. Typowa treść ulotki była zwykle mniej więcej taka: „Żołnierze, Rosja wystąpiła przeciwko Wam. Wasz Prezydent, Naczelny Wódz i Rząd uciekli do Rumunii. Spełniliście dzielnie swój obowiązek. Lecz wojna jest już skończona. Dalszy opór z Waszej strony byłby tylko bezcelowym przedłużaniem przelewu krwi. Musicie złożyć broń”. Jechałem wzdłuż maszerujących w milczeniu kolumn przypatrując się tym, co szli w szeregach. Żaden nie nachylał się, aby podnieść ulotkę. Twarze były szare, ponure, zacięte. Prawdziwi Litwini. A na czele kolumny przy straży przedniej jechał zadumany pułkownik z wyrazem nieodgadniętej tęsknoty w oczach.

Bitwa pod Tomaszowem Lubelskim (23. 9. 1939)

W kilka dni potem miała miejsce bitwa pod Tomaszowem Lubelskim. W bitwie tej działaliśmy jako strona zaczepna, zadając nieprzyjacielowi straty i biorąc jeńców. O ile mogłem zorientować się, była ona wynikiem rozkazu dowódcy naszej Armii (tzw. Armii Odwodowej), gen. Dęba-Biernackiego, którego sztab w tym czasie wędrował gdzieś pomiędzy oddziałami posuwającymi się na południe na przestrzeni pomiędzy Sanem i Bugiem. Zdaje się, że gen. Dąb-Biernacki zdobywie Tomaszowa uważał za konieczne dla przesunięcia oddziałów operujących pomiędzy Bugiem i Sanem bliżej ku granicy węgierskiej. W bitwie tej podlegaliśmy gen. Wołkowickiemu, który otrzymywał rozkazy od gen. Przedzrymirskiego. Tomaszowa nie udało się jednak nam zdobyć, pomimo poważnego odrzucenia Niemców na tym odcinku.

Przed wieczorem, gdy słońce chowało się już poza dachy pobliskiej wsi, przyniesiono rozkaz operacyjny. Zdażyłem tylko rzucić okiem i zorientować się, że mamy maszerować w kierunku północno-zachodnim i że koncentracja ma nastąpić nad ranem 24 września w okolicy Suchowoli. W tej właśnie chwili nadbiegł łącznik z 4-tej kompanii z meldunkiem, że na odcinku kompanii są niemieccy parlamentariusze, którzy proponują natychmiastowe poddanie się; w przeciwnym razie zapowiadają znisz-

czenie całego naszego oddziału w ciągu kilku godzin. Pułkownik posłał mnie, abym przerwał natychmiast jakiegokolwiek bądź rozmowy z Niemcami i uregulował sytuację na odcinku 4-tej kompanii, ewentualnie abym, w zależności od sytuacji, zaproponował parlamentariuszom niemieckim, że prześlemy ich do dowództwa Dywizji. Jednocześnie pułkownik wydał rozkaz zarządzający aby, gdy tylko zapadnie zmrok, linie poszczególnych kompanii zaczęły odchodzić i przegrupowywać się w kolumny marszowe.

Gdy po spełnieniu swoich zadań usiłowałem dogonić odchodzący pułk, była już zupełna noc. Nie byłem pewny ani drogi, którą biegłem, ani też kierunku; widziałem jedynie, że gdzieś bardzo blisko poruszały się również niemieckie oddziały. W pewnej chwili raczej poczułem niż ujrzałem jakąś poruszającą się masę. W ciemności z rozpędu niemal się zderzyłem z końskim zadem. Był to właśnie zad mojego konia, którego ordynans prowadził za uzdę na końcu odchodzącej kolumny batalionu kpt. Pawłowskiego. Podciągnąłem popręgi, wskoczyłem na siodło i pocwałowałem w ciemność, aby złożyć meldunek pułkownikowi. Po chwili jednak kolumna stanęła. Byliśmy na podwórzu jakiego majątku opuszczonego zupełnie przez mieszkańców, tylko bydło, pozostawione bez opieki w oborach przeraźliwie ryczało. Dalszy marsz po drodze był niemożliwy; przed nami byli Niemcy. Pułkownik i kpt. Bychowiec z latarkami i busołą pochylili się nad mapą, starając się określić kierunek który dawałby nam szansę wyjścia z tej matni. Batalion w kilku równoległych kolumnach ruszył na przełaj przez lekko pofałdowane pola. Raptem nad nami zapaliła się niemiecka rakietka. Stało się jasno jak w dzień, każda trawka pod nogami była widoczna, wszystko dookoła nabrało bardziej wyraźnych kształtów niż to zwykle bywa przy oświetleniu słonecznym. Wkrótce zapaliła się druga i trzecia rakietka. „Obserwatorzy niemieccy nas widzą — pomyślałem sobie — zaraz rozpocznie się ogień artyleryjski”. Lecz Niemcy nie wykazali żadnych objawów dalszej aktywności. Po trzech kwadransach byliśmy przy drodze, na której były wyciągnięte już nasze tabory. Pułkownik miał znowu w kupie wszystkie swoje oddziały zdyscyplinowane i gotowe do dalszej walki. Była to noc z 23 na 24 września.

Koncentracja pod Suchowolą (24. 9. 1939)

Na miejsce koncentracji przybyłem z niedużym oddziałkiem konnych zwiadowców o kilka godzin wcześniej niż reszta pułku.

Po drodze minąłem, wyprzedzając, maszerujące resztki 10-tej Dywizji Piechoty, oraz — o ile sobie przypominam — 43-go pułku piechoty. Dowiedziałem się również, że w pobliżu są oddziały 41-szej Dywizji pod dowództwem gen. Piekarskiego oraz nieco dalej na południe resztki 1-szej Dywizji Legionów. W powietrzu była już szarość, lecz do wschodu słońca było jeszcze daleko. Jechałem drogą, przy której było pełno śladów niedawnej walki. W półświecie przedświtu zarysowywały się kadłuby rozwalonych czołgów niemieckich oraz zepchniętych na bok przez nasze przechodzące kolumny zdobycznych samochodów. Jeden z żołnierzy zwrócił moją uwagę na zestrzelony widocznie przez naszych niemiecki samolot. Gdy zboczyłem z drogi, koń mój gwałtownie rzucił się w stronę, aby ominąć trupa zabitego Niemca. Młody chłopak leżał na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami, a zastygłe oczy z wyrazem zdziwienia wpatrywały się w ciemno-szare niebo zbliżającego się poranku. Tędy przebiegał się Anders.

Nagle o kilka kilometrów przed nami rozpoczął się gwałtowny ogień artyleryjski przeważnie szrapnelowy. Nie mogłem się zorientować kto właściwie strzela: nasi czy Niemcy. Jechałem więc w kierunku białych obłoczków rodzących się z ognia rozpryskujących się szrapneli w nadziei, że napotkam kogoś, kto wreszcie będzie w stanie dać mi jakieś rozsądne wytłumaczenie tego co tu właściwie się dzieje. Ogień ustał tak samo nagle, jak się rozpoczął. Zrobiło się jakoś dziwnie pusto dookoła. Kłusowałem na przelaj w kierunku, skąd przedtem dochodziły odgłosy walki. Spoza pagórka wyłoniła się grupa kilkunastu ludzi z rkmem. Podjechałem do nich, po proporczykach na kołnierzach poznałem 4-ty pułk ułanów, należący do 3-ciej Brygady Kawalerii. A więc swoi — Wilnianie. Wyglądali ogromnie wyczerpani, wszyscy byli spieszeni, mieli widocznie ciężką pracę. Przedstawiłem się. „Proszę Pana — powiedział rotmistrz — Anders się przebił, lecz pierścień niemiecki za nim zamknął się znowu. Jesteśmy odcięci”. Wymieniliśmy jeszcze kilka informacji. „Nasz pułk przyjdzie za późno — pomyślałem sobie — gdybyśmy byli wcześniej, moglibyśmy się włączyć do akcji Andersa i rozszerzyć wyłom”.

Pułk przymaszerował już po wschodzie słońca. Złożyłem pułkownikowi szczegółowy meldunek ze wszystkich elementów sytuacji, które zebrałem. Staliśmy twarzą do porannego słońca na skraju łagodnie spadającego na wschód pagórka. Przed nami był rozległy widok. Na lewo wśród różnego rodzaju zadzwień oddziały naszego pułku rozlokowały się na kilkudziesięciu odpoczynek; dymiące kuchnie wydawały poranną zupę;

karmiono konie; opodal wśród tych samych zadrzewień znajdowała się chata, w której ciężko ranny konał por. Szamota z 13-go pułku ułanów. O jakiś kilometr przed nami było pasmo wzgórz, spoza których właśnie dopiero co wyłoniła się czerwona kula słońca. Wzgórza przecinało kilka wstęg dróg szerszych i węższych, po nich spleziały w dół sznury wozów cywilnych i wojskowych. Te same wozy przed tygodniem uciekały na wschód; obecnie pod naporem nadchodzących bolszewików poruszały się na zachód. Z perspektywy robiły wrażenie wężów, bezsilnie wijących się pod naciskiem śmiertelnego niebezpieczeństwa, ściskającego je z obydwu stron. W powietrzu była lekka mgła, nadająca promieniom słonecznym odcień czerwono-pomarańczowy, który wydał mi się złowieszczy.

Nie czułem najmniejszego zmęczenia po emocjonujących przygodach ostatniej doby, lecz jednocześnie byłem jakoś dziwnie podniecony. Wyobraźnia była nieprawdopodobnie napięta. Z mgły poranku wyłaniać się zaczęły kształty rzeczy minionych. Poczułem się nagle na sali operowej, przez którą idą podmuchy burzy odtwarzanej przez orkiestrę. Wydawało się mi, że słyszę strzępy melodii wagnerowskich, które zawsze wywierały na mnie oszołamiające wrażenie. Melodie z *Göterdämmerung* obejmowały mnie ze wszystkich stron. Poprzez mgłę szedł pochód cieni, niosących na tarczach ciało Zygfrida... „Przecież ja tracę przytomność” — pomyślałem sobie.

Pamięć zaczęła odtwarzać obraz niezapomniany. Po polach mokotowskich przed trumną stojącą wysoko na lawecie idzie milcząca defilada. Czarne chmury burzy, nadciągającej od wschodniej strony, stanowią tło dla tej trumny. Słychać daleki huk grzmotów. Gdy po przejściu defilady i przeniesieniu trumny na łóże, zaczęła ona powoli odjeżdżać, raptem kilka zygzakowatych błyskawic przecięło ciemne niebo nad trumną — i dopiero potem lunęła ulewa. Patrzyłem na całą tę panoramę przed nami i myślałem o tamtej trumnie i zygzakach błyskawic nad nią. Czułem jak jakieś trudne do zdefiniowania uczucie grozy zaczyna we mnie narastać, tak, jakbym słuchał potężnej symfonii, odtwarzającej walkę z transcendentalnym żywiołem poza wymiarami materialnego kosmosu. Myślałem o cyklach narastania i upadku **wielkości w dziejach**. Podjąłem wówczas na nowo rozmowę, którą pułkownik rozpoczął przed kilku dniami, gdy na widok dywizji odchodzącej bez broni spod Włodzimierza Wołyńskiego wyszeptał do mnie słowa męki serdecznej.

„Panie pułkowniku — powiedziałem — nie wydaje mi się, aby można było powiedzieć, że Polska umiera. Niezależnie od wyniku wojny, jakieś Państwo Polskie istnieć musi. Ale jakie?

Tego dziś nie sposób odgadnąć. Wydaje mi się, że w życiu Polski kończy się jedna epoka, do której i Pan i ja byliśmy uczuciowo przywiązani: epoka Józefa Piłsudskiego — i zaczyna się jakaś inna. Trudno przewidzieć, co teraz nastąpi? Jedno wydaje mi się prawie pewne: Polska w dotychczasowej postaci już na wschód nie będzie mogła wrócić. Dobrze wiem co to znaczą Sowiety w województwach wschodnich. Zmiotą bezwzględnie wszystko, na czym tam polskość się opierała”. I w tej chwili poczułem, że nie umiem znaleźć syntezy głębiących się we mnie myśli, że słowa moje brzmią płasko i błaho wobec głębi bólu, który przed kilku dniami znalazł swój wyraz w tragicznym szepcie pułkownika. Czułem, że rzeczywiście jesteśmy świadkami, jak coś bardzo istotnego umiera i odchodzi w bezpowrotną przeszłość. Lecz co? Tego nie umiałem sformułować. Pułkownik stał zamyślony i ani słowa nie odpowiedział na moje uwagi.

Po kilku godzinach pułk maszerował znowu na południowy zachód w kierunku lasów znajdujących się na prawym brzegu Wieprza, naprzeciwko Krasnobrodu. Jechałem stępą z boku maszerujących kolumn i myślałem o niedokończonych rozmowach z pułkownikiem. Wzrok mój padł na znaki Pogoni, znajdujące się na patkach wielu mundurów. Pogoń była godłem naszego pułku. Na sztandarze pułkowym mieliśmy wyhaftowany wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, a z drugiej strony Pogoń Litewska. I w tej chwili wydało mi się, że schwyciłem syntezę chaosu myśli, które kłębiły się w mojej głowie. To co umiera, to nie jest Polska, lecz droga dla wielu z nas tradycja Wielkiego Xięstwa Litewskiego w życiu Polski. Tradycja ta stanowiła tytuł moralny odrodzonej Polski do wschodnich połaci dawnej Rzeczypospolitej obu Narodów.

Przed wiekami geniusz naszych wielkich książąt stworzył potęgę mocarstwową, o którą odbijały się fale destrukcji uderzające od strony wielkiej równiny na wschodzie. Mądrość panów krakowskich i dalekowzroczność dynastów Jagiellońskich wzmocniły tę potęgę, tworząc i cementując wspólną Rzeczypospolitą. W naszych czasach Józef Piłsudski usiłował wskrzesić to dzieło, lecz poniósł klęskę. Podtoczyły go nacjonalizmy. Gdy Piłsudski umierał, był już powalonym olbrzymem. Obecnie w podmuchu nowej burzy będą musiały ulec zerwaniu ostatnie więzy łączące nas z epoką naszej chwały.

Lecz — dyskutowałem w myślach ze sobą — czy można powiedzieć, że tradycja Wielkiego Xięstwa Litewskiego umiera. Może właśnie wojna obecna i nawała, idąca ze wschodu, stworzą warunki dla jej odrodzenia. Sytuacja geograficzna stanowi ele-

ment siły. Jeżeli Ukraińcy, Białorusini i Narody Bałtyckie mają zachować swoją indywidualność — to przecież na przesmyku pomiędzy Bałtykiem i Karpatami musi powstać jakaś formacja, która będzie broniła ich bytu przed zalewem przez fale bijące ze wschodu. Może ta formacja dojdzie do jeszcze większej chwały i większego znaczenia, niż dawne Wielkie Xięstwo Litewskie? Może znowu połączy się z Polską? Może polscy chłopci i robotnicy tak samo potrafią znaleźć wspólny język z chłopami litewskimi i ukraińskimi jak kiedyś panowie Krakowscy umieli znaleźć z możnowładztwem ruskim. Może to, że obecnie nawała moskiewska zmiecie wszystkie ślady polskości na ziemiach wschodnich, będzie stanowiło okoliczność ułatwiającą, a bynajmniej nie utrudniającą ten przyszły proces integracyjny. Może nowa jakaś federacja będzie oparta na mocniejszych i zdrowszych podstawach niż była dawna Rzeczypospolita? Może?... Lecz nic żywej tradycji, łącząca nas bezpośrednio z przeszłością zostanie zerwana.

Tradycja — to nie tylko koncepcje i plany polityczne. To więź z dawnymi laty poprzez żywy łańcuch konkretnych istnień ludzkich, wychowanych w atmosferze pewnych pojęć, obyczajów i ideałów. Nasza tradycja — to dworki z kolumienkami i liczne zaścianki, to mahoniowe kanapy i czeczotkowe sekretarzyki; to pożółkłe karty starych dokumentów po rusku pisanych; to wierne oczy naszych kobiet, co dając siebie, dają również swoje dusze; to fluidy zakłęte w starych murach wileńskich. Pogoń na sztandarze naszego pułku i na patkach mundurów była również jednym z elementów tej tradycji.

To wszystko nie przetrzyma tej nowej nawały sowieckiej, tak samo jak nie przetrzymały skupienia polskie w Mińszczyźnie, Witebszczyźnie, Mohylewsczczyźnie i na Ukrainie. Wszystko to zostanie zaplute, pohańbione i zniszczone. Rozbite zostaną naczynia, które przechowywały ducha. Duch jest nieśmiertelny i odradza się ze zgliszcz, ale znajduje często nowe formy dla swojej manifestacji. Możliwe, że kiedyś duch dziejów Wielkiego Xięstwa Litewskiego i wspólnej Rzeczypospolitej odrodzi się w jakiejś nowej formie, lecz serce się kraje, gdy się sobie uświadomi, że tyle rzeczy miłych skazanych jest na bezwzględną zagładę. Człowiek przywiązuje się nie tylko do ducha, lecz i do formy; i przywiązuje się do symbolów, co tego ducha wyrażają. Patrzyłem na znaki Pogoni na patkach mundurów i myślałem, że może nasz pułk to ostatni — przed nastaniem jakiejś nowej epoki — oddział polski, który nawiązuje do sławnych tradycji potęgi stworzonej niegdyś przez organizacyjny geniusz litewski. A pułkownik, Małopolanin z pochodzenia, jest może ostatnim dowódcą takiego oddziału. Z pewnym rozczuleniem patrzyłem

na nieco przygarbioną w siodle sylwetkę o kilkanaście kroków przede mną.

Wahania i decyzje

Dzień następny 25 września był dniem bezustannego ogniowego kontaktu z Niemcami. Niemcy zajmowali Krasnobród i przyczółki mostowe na Wieprzu. Myśmy zajmowali las naprzeciwko Krasnobrodu po prawej stronie rzeki. Kilka naszych wysuniętych kompanii próbowało otworzyć drogę, gwałtownie ostrzeliwując niemieckie stanowiska ogniem karabinów maszynowych, Niemcy odpowiadali tym samym; jeden z naszych plutonów poniósł bardzo ciężkie straty. Przez cały dzień nie sposób było z powodu ognia niemieckiego dostarczyć obiadu tym wysuniętym kompaniom, co stanowiło duże zmartwienie kwatermistrza kpt. Kowszyka. Niemiecka artyleria leniwym ogniem ostrzeliwała las, powodując dużo huków, lecz mało efektywnej szkody. Samoloty niemieckie nie pokazywały się tego dnia wcale, było natomiast dużo ognia karabinowego. Wszystko więc razem przypominało dobrze znane obrazki z wojny 1919-1920.

Dnia tego dołączyliśmy również do naszego oddziału 4 działka przeciwpancerne z obsługą, których brak odczuwaliśmy w poprzednich naszych operacjach. Były to działka — o ile sobie przypominam — Nowogródzkiej Brygady Kawalerii, które w nocy z 23 na 24 nie dały rady przerwać się razem z gen. Andersem. Dawało to nam pewnego rodzaju poczucie pewności siebie, gdy przyglądaliśmy się, nielicznym zresztą, czołgom niemieckim pełzającym po przeciwnej stronie Wieprza.

W ogóle nasze uzbrojenie i zaopatrzenie z każdym dniem poprawiało się. Ludzi również więcej przybywało niż ubywało. Kwatermistrzostwo szybko dopasowało się do warunków wojny partyzanckiej, kuchnie wydawały tłuste zupy z ogromnymi porcjami mięsa; chleb również był dość regularnie wypiekany, pomimo, że byliśmy w ciągłym ruchu. Wśród ogólnego chaosu stnowiliśmy ruchomy ośrodek dyscypliny i organizacji, — a centralnym punktem tego ośrodka była osoba naszego dowódcy.

Tego samego dnia — 25 września — już po zachodzie słońca w ciemności wpadłem do głębokiego rowu przeciwczołgowego i boleśnie zwichnąłem nogę. Z trudem dobrnąłem do taborów, gdzie na domiar złego dostałem silnych dreszczów. Podoficerowie kompanii gospodarczej, którzy należeli przeważnie do mego pułku macierzystego i razem ze mną opuścili Nową Wilejkę

ułożyli mnie na wozie i okryli dużą ilością koców. Zasnąłem momentalnie.

W czasie snu wydawało mi się, że jesteśmy znowu w marszu, słyszałem pomieszany gwar podnieconych głosów i czułem wyraźnie jak wóz się poruszał, kołysząc się i podskakując na wybojach leśnej drogi. W pewnej chwili poczułem, że ktoś się nade mną pochyla; zamajaczył mi się obrazek dziecka leżącego w malignie i pochylającej się nad nim zatroskanej twarzy matki. Otworzyłem oczy; nade mną pochylała się twarz plutonowego, którego funkcją było furazowanie koni pułkowych. „Co robią Niemcy?” — zapytałem niemal odruchowo. „Niemcy wycofują się z Krasnobrodu” — odpowiedział plutonowy. Znowu zapadłem w sen i znowu słyszałem gwar podnieconych głosów i znowu czułem jak poruszał się wóz. Gdy się obudziłem było już szaro, jakkolwiek do wschodu słońca było jeszcze daleko. Ku memu zdziwieniu stwierdziłem, że stoimy na miejscu; przy wozie było to samo drzewo, które zauważyłem, układając się wieczorem do snu. Furazowy wydawał obrok dla koni. Wygrzebałem się z wygodnej, ciepłej nory, utworzonej z mistrzowsko ułożonych koców i pokuśtykałem, opierając się na kij, w kierunku stanowiska dowódcy pułku.

Pułkownik stał przy trakcie prowadzącym przez las do Krasnobrodu i — jak zawsze — wyglądał zamyślony. „Gdzie Pan był, poruczniku?” — zapytał mnie, gdy zauważył moje przybycie. — „Spałem w taborach” — odpowiedziałem z uśmiechem, w którym jednocześnie była zawarta prośba o pobłażliwość.

Staliśmy w milczeniu. Po chwili pułkownik głosem cichym, patrząc gdzieś w stronę, zapytał: „Co by Pan teraz zrobił, poruczniku, gdyby był pan na moim miejscu?”

Spojrzałem na pułkownika: „Czy Pan widzi jakieś szanse przebicia się na Węgry z bronią w rękę?” — zapytałem ze swej strony.

Pułkownik zrobił gest zaprzeczający.

„W takim razie, Panie pułkowniku, zwołałbym odprawę wszystkich oficerów, przedstawiłbym im sytuację i rozkazałbym zniszczyć broń, aby nie dostała się w ręce nieprzyjacielskie, a ludzi małymi grupami po kilka lub najwyżej kilkanaście osób skierowałbym na Węgry. Wydaje mi się, że byłoby najlepiej, aby przy tym omijali oni tereny obsadzone przez wojska sowieckie. Sądzę, że najlepiej byłoby iść za San, biorąc kierunek na Krakowskie i Słowaczną”.

Pułkownik zachnął się. „Rozwiązywać zorganizowany, zdolny do walki oddział? — wykluczone!” — odpowiedział w sposób, który przecinał możliwość jakiegokolwiek dalszej dyskusji na ten temat.

Staliśmy nadal w milczeniu. Po chwili poczułem, że zaczynam cały się ożywiać, jak to bywa, gdy jakaś myśl nowa zaczyna kiełkować. — „Panie pułkowniku — powiedziałem — myślę, że właściwie czas skończyć tę strzelaninę z Niemcami. Walki, które my toczymy, nie są walkami o zwycięstwo, lecz o honor, o zmanifestowanie woli Narodu Polskiego bronięcia resztek dawnej Rzeczypospolitej. Manifestowaliśmy dostatecznie tę naszą wolę w stosunku do Niemców. Teraz musimy to zmanifestować w stosunku do bolszewików. Wydaje mi się, że musimy wydać walkę nadchodzącym oddziałom sowieckim — i może w ten sposób zakończyć naszą rolę.

Czułem, że myśl moja podobała się pułkownikowi. Spojrzał on na mnie z zadumą. „Tak — powiedział — ale...” i zaciął się.

Zrozumiałem w lot o co mu chodzi. „Wiem — powiedziałem — Pan pułkownik myśli o rzekomym rozkazie Naczelnego Wodza, aby nie strzelać do bolszewików. Nie wierzę w autentyczność tego rozkazu; czy można sobie wyobrazić, aby Rydz-Śmigły, który swego czasu nie chciał wykonać rozkazu Marszałka Piłsudskiego, aby wycofać się z Kijowa — teraz podobne rozkazy podpisywał? Chociaż...”.

I w tej chwili poczułem jak wątpliwości zaczynają zakradać się do mojej głowy. Rydz-Śmigły, jeden z najbardziej popularnych oficerów I-szej Brygady, doskonały wyższy dowódca w kampanii w latach 1919-1920, artysta, człowiek o dużym uroku osobistym, bożyszczce kobiet i żołnierzy — wykazał jednak bardzo wiele naiwności, gdy po śmierci Marszałka Piłsudskiego zaczął ingerować do życia politycznego. Przypomniałem sobie, jak Stanisław Mackiewicz — rozmowy z którym ułatwiały mi w ciągu wielu lat dochodzić do własnej oceny zjawisk polityki międzynarodowej — zaczął w ostatnich czasach coraz ostrzej wyrażać się o poziomie inteligencji politycznej marszałka Rydza-Śmigłego. Starałem się sobie wyobrazić co się dzieje obecnie w kwaterze Naczelnego Wodza, która podobno znajduje się już gdzieś poza granicami kraju. Kręci się tam zapewne pełno oficerów łącznikowych francuskich, którzy oczywiście mają instrukcje przedstawienia się wszystkiemu co może wciągnąć do konfliktu z Rosją. Do czego oni mogli namówić nasze Dowództwo trudno było sobie wyobrazić. Gdyby w obliczu wojsk sowieckich, obsadzających nasze województwa wschodnie, taki rozkaz został wydany, równałby się on zrzeczeniu się przez Polskę Ziem Wschodnich. Nie wierzyłem, aby marszałek Rydz-Śmigły taki rozkaz mógł wydać, lecz o tym rozkazie mówiono w sztabach i szeptano w szeregach — i pod wpływem tych pogłosek chwiała się pew-

ność siebie nawet u tych, którzy uważali to za rzecz zupełnie nieprawdopodobną.

Spojrzałem na pułkownika. Wydało mi się, że moja odpowiedź przyniosła mu rozczarowanie, że oczekiwał on ode mnie czegoś innego, że chciał potwierdzenia jakiejś swojej ukrytej myśli i we mnie tego potwierdzenia nie znalazł. Dopiero potem, w Kozielsku, dokończyliśmy tę rozmowę. Pułkownik był nieco dotknięty moją koncepcją rozproszenia pułku, aby małymi grupkami przedzierać się na Węgry. Pułkownik uważał, że zorganizowany i zdolny do walki oddział stanowił pozycję aktywną, której w żadnej sytuacji nie należało niszczyć. W owym momencie nie znaliśmy jeszcze wszystkich elementów sytuacji i mogliśmy przypuszczać, że możemy odegrać jeszcze pewną rolę jako ośrodek oporu, przyciągający do siebie resztki innych oddziałów. Dręczyło go jednak pytanie jaki kierunek terenowy daje nam najwięcej szans przetrwania i nowego udziału w walkach. Dookoła przeważała koncepcja, że należy starać się osiągnąć granicę węgierską. Tego też zdania był gen. Wołkowicki, który uważał, że ogólny kierunek marszu musi być na osiągnięcie pagórkowatych i zalesionych terenów, zaczynających się na południe od szosy Lwów-Przemyśl. Myśl pułkownika była inna. Wzrok jego zwracał się przede wszystkim na północny zachód. Tam jeszcze broniła się Warszawa. Pułkownik zastanawiał się nad tym, czy gdybyśmy wzięli kierunek północno-zachodni, nie mielibyśmy szans włączenia się do walk w tamtym rejonie. Przeciwno tej koncepcji przemawiał fakt, że, zdążając w kierunku Warszawy, mielibyśmy wejść na otwarte tereny, tymczasem w ciągu kampanii przyzwyczailiśmy się raczej do poszukiwania jako podstawy operacyjnej lasów, bo one chroniły nas przeciwko czołgom i samolotom niemieckim. Z drugiej strony za realnością koncepcji pułkownika przemawiał brak wiadomości o jakichś większych zgrupowaniach nieprzyjacielskich na tym kierunku. Mieliśmy wrażenie jakby na północny zachód od nas wytworzyła się pewnego rodzaju pustka. Gdybyśmy w nią weszli, to mielibyśmy próbować forsownymi nocnymi marszami zbliżyć się do Warszawy. Była to koncepcja, o ile się orientuję, analogiczna do tej, którą usiłował realizować gen. Kleeberg, kiedy wycofując swoje oddziały z Polesia, zmierzał na Zachód. Kleeberg był jednak od nas bardzo znacznie na północ i nie mieliśmy zresztą z nim żadnego kontaktu. Pułkownik bił się z myślami, przeżywał tę udrękę, którą musi odczuwać dowódca odpowiedzialny za decyzje. W rozmowie ze mną szukał on argumentów na rzecz swojej ukrytej myśli. Tymczasem usłyszał ode mnie tę samą koncepcję „węgierską” tylko w innym ujęciu, jeżeli chodzi

o metody wykonania. I to było to rozczarowanie, które w tym dniu — jak to dopiero potem zrozumiałem — sprawiłem pułkownikowi.

Gdy właśnie tak staliśmy podjechał zwykły wóz taborowy, z którego wysiadł gen. Wołkowicki. Rozpoczęła się narada pomiędzy nim a pułkownikiem. Po kilkunastu minutach pułkownik znowu podszedł do mnie i powiedział tonem nieco uroczystym: „Maszerujemy na południe. Mamy unikać angażowania się w walkach i wykorzystując przestrzeń pomiędzy wycofującymi się niemieckimi i posuwającymi się sowieckimi oddziałami, starać się osiągnąć węgierską granicę. Uważam, że niewola bolszewicka staje się dużym prawdopodobieństwem. Wiem, że Pan, poruczniku, jest specjalnie obciążony wobec bolszewików. Poza tym ma Pan inne koncepcje. Jako pański dowódca, daję Panu wolną rękę. Może Pan jechać na Zachód czy też wybrać drogę, która się Panu wyda najwłaściwszą. Prosiłbym jedynie, aby Pan mnie poinformował, co Pan zamierza zrobić”.

Podziękowałem pułkownikowi i poprosiłem o chwilę do namysłu. Jak żywa stanęła w mojej pamięci scena pożegnania z rodziną. Było to miesiąc temu, w dniu 24 sierpnia 1939 roku, w którym zostałem zmobilizowany. Drewniany domek pośród dużego ogrodu na Antokolu. Stara mahoniowa kanapa. Nad kanapą wielki krzyż kupiony przez żonę za złote monety, podarowane jej jako prezent ślubny przez ciotkę, którą ona uważała za świętą. Na kanapie w rząd siedzi czwórka naszych dzieci, najstarsze ma jedenaście lat, najmłodsze — pięć. Dziecięce oczy z ufnością wpatrzone we mnie. Przy mnie stoi żona. Mówię: „Rozpoczyna się zawierucha, której końca nikt nie jest w stanie przewidzieć. Nie wiadomo kto będzie narażony na większe próby — czy ja w linii, czy Wy tutaj”. Pomódlmy się, aby Bóg dał nam łaskę i siłę zachować honor”. Uklekliśmy wszyscy i na głos odmówiliśmy litanie do Matki Boskiej.

Zastanawiałem się, czy gdybym skorzystał z zezwolenia pułkownika i opuścił oddział, byłoby to zgodne z nakazem honoru. Niewątpliwie formalnie byłbym w porządku, lecz czy nie złamałbym przez to zasady koleżeństwa, które jest wielką moralną zasadą wojny. Czułem, że gdybym to zrobił, ciążyłby na mnie cień, i musiałbym się z tego ciągle tłumaczyć i wobec siebie i wobec innych, a może nawet wobec własnych dzieci.

W chwili gdy tak właśnie stałem podjechał znowu wóz taborowy, z którego wyskoczył podpułkownik artylerzysta, średniego wzrostu, z małą czarną bródką. Poznałem go momentalnie, jakkolwiek nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska. W końcu 1938 roku byłem zaproszony przez ówczesnego wicepremiera

Kwiatkowskiego do wzięcia udziału w wycieczce rządowej dla zwiedzenia różnych zakładów Centralnego Okręgu Przemysłowego. Ów podpułkownik towarzyszył nam z ramienia Ministerstwa Spraw Wojskowych, oprowadzał po fabrykach i dawał wyjaśnienia. Trzymając mapę w rękę podbiegł on do pułkownika Nowosielskiego i kilku oficerów przy nim stojących i zaczął szybko mówić:

„Co tu panowie stoicie? Czy panowie sobie uświadamiacie, że od wschodu idą bolszewicy? W ciągu dwóch godzin mogą być tutaj? Czy panowie mają już jakąś decyzję?”

W tej chwili podszedł gen. Wołkowicki. „Maszerujemy na Węgry” — powiedział. Przybysz się zachnął. „Nie, panie generale — powiedział — to nie ma celu. Musimy wszyscy być w kraju i tu bronić niepodległości. Jak będzie trzeba — to zejdziemy w podziemie i w ten sposób będziemy organizowali walkę”.

Rozpoczęła się dyskusja. Dookoła dyskutujących utworzyła się grupka kilkunastu oficerów. W pewnej chwili generał się poirytował. „Panie pułkowniku — powiedział — pan tu u mnie urządza wiec”. Artylerzysta zaczął znowu argumentować. Generał zmienił ton. „Bacność!” — krzyknął. Artylerzysta się wyprężył. „Panie pułkowniku — rozkazał generał — pan natychmiast odjedzie tam, dokąd pan jechał”. Artylerzysta odsalutował, zrobił w tył zwrot, wsiadł do wozu obok woźnicy i odjechał.

Staliśmy w milczeniu. Argumenty artylerzysty przemawiały zapewne niejednemu do przekonania. Lecz jednocześnie czuliśmy wszyscy, że gen. Wołkowicki całą swoją postawą wyrażał jakąś prawdę żołnierską. Jaką? — to trudno było zdefiniować. Prawdy wojny, tak samo jak i prawdy miłości i śmierci, mają charakter irracjonalny. W owej chwili gen. Wołkowicki panował nad nami, jak w momentach krytycznych dowódca, który ma decyzję i wolę potrafi panować nad podwładnymi.

Do mnie podszedł pułkownik Nowosielski. „Panie poruczniku, pańska decyzja?” — zapytał.

„Panie pułkowniku, ja zostaję” — odpowiedziałem twardo.

Pułkownik nie spojrzął na mnie, gdzieś na stronę odprowadził swój wzrok. Po chwili zaczął mówić: „Nie mamy czasu do stracenia. Niech Pan natychmiast weźmie samochód i jedzie na rozpoznanie drogi”. Rozłożył mapę i zaczął tłumaczyć swój zamiar.

Po 10-ciu minutach w zwykłej warszawskiej taksówce, przy jakiejś okazji zafasowanej przez nasz pułk, przejeżdżałem most na Wieprzu oraz mijałem, wyprzedzając patrol naszych konnych

zwiadowców, którzy wkraczali do Krasnobrodu. Ulice miasteczka były w tej rannej godzinie puste. Tylko w jednym miejscu, niemal po środku ulicy, stał stary pejsaty Żyd z długą siwo-rudą brodą, w jarmułce i chałacie. Nieco spode łba patrzył na przejeżdżający powoli samochód. Czy nasze się spotkały. W jego wzroku malował się spokój człowieka, którego życie przebiega na innej płaszczyźnie, dalekiej od toczącej się walki i któremu są obce nasze sprawy, nadzieje i klęski. Pomyślałem, że ci wszyscy żołnierze: polscy, niemieccy i bolszewicy, którzy naruszają obecnie tryb jego dnia codziennego są mu jednakowo dalecy i obcy. Zatrzymałem się i zadałem mu kilka stereotypowych pytań, które oficer zwiadowczy zadaje, gdy wkracza na teren, z którego dopiero co wycofały się siły nieprzyjacielskie. Po chwili ruszyłem znowu oraz skręciłem w lewo na pierwszą większą drogę prowadzącą na południe, uprzednio rozkazując konnym zwiadowcom, aby jechali również w kierunku, w którym pomknął mój samochód.

Na prawo od strony Józefowa, spoza zalesionych wzgórz, barwiących się czerwienią i złotem polskiej jesieni, dochodziła gęsta kanonada artyleryjska. To biła się 4-ta dywizja gen. Piekarskiego. W pewnej chwili kanonada nagle urwała się. „Zapewne rozpoczęły się rozmowy o kapitulację” — pomyślałem sobie. Przy wjeździe do miejscowości, która była głównym celem mego rozpoznania, stwierdziłem, że są tam Niemcy. Bez żadnych incydentów zawróciłem swój samochód i pojechałem z powrotem. Na rozwidleniu dróg spotkałem idący w ślad za mną patrol konnych zwiadowców. Zatrzymałem ich, wybrałem z mapnika blok meldunkowy i, siedząc wygodnie w poduszkach samochodu, napisałem meldunek, który konny łącznik natychmiast powiózł pułkownikowi, a sam skierowałem swoją uwagę na drogę prowadzącą nieco bardziej na wschód, bliżej bolszewików. W kilka godzin później drogą tą pomaszerował do swoich przeznaczeń nasz pułk.

Szeregowi

Przez znaczną część następnego dnia (27 września) pułk biwakował na postoju dookoła majątku położonego wśród lasów na wschód od Sanu w północnej części województwa lwowskiego. Rano tego dnia pojechałem konno na rozpoznanie do miejscowości odległej w kierunku południowo-zachodnim jakieś 5 km. W trakcie drogi zauważyłem przesuwających się ścieżkami wśród krzaków piechurów. Pojechałem na przelaj w ich kierunku. Na

moje spotkanie wyszedł z krzaków ich dowódca. Był nim kpt. Majkowski z 41 p.p., który przed wojną dowodził kompanią w szkole podchorążych w Ostrowi Mazowieckiej czy też Zambrowie. Należał on do oddziałów gen. Przedzimirskiego i gen. Piekarskiego, które poprzedniego dnia po krótkiej walce skapitulowały. Kpt. Majkowski postanowił nie wykonywać decyzji kapitulacyjnej i postarać się osiągnąć granicę węgierską. Koncepcja jego polegała na tym, aby zarekwirować furmanki i w ten sposób bocznymi drogami prowadzić ku granicy węgierskiej swój oddziałek złożony z dwóch niepełnych plutonów. Opowiedziałem mu o naszym pułku, o stanowisku pułkownika, stanowczo odrzucającym wszelką myśl o kapitulacji przed Niemcami, oraz o ostatniej decyzji maszerowania na Węgry. Radziłem, aby się natychmiast zameldował u pułkownika, co też kpt. Majkowski wykonał. Był to ostatni oddziałek, który powiększył ciągle wzrastający do tego dnia stan bojowy naszego pułku. Potem, siedząc w Kozielsku i mając wiele czasu do rozmyślań, zastanawialiśmy się nieraz z kpt. Majkowskim, co by było, gdyby on nie przyłączył się do naszego pułku: Czy, realizując własną koncepcję i idąc bocznymi drózkami oraz nieco bardziej zachodnim szlakiem, potrafiłby osiągnąć węgierską granicę, czy też nie?

Tego samego dnia zgłosiło się do mnie kilku podoficerów 85-go pułku strzelców, którzy razem ze mną opuścili Nową Wilejkę, byli ze mną pod Piotrkowem a potem również razem ze mną przyszedli pod dowództwo płk. Nowosielskiego. Podoficerowie ci zakomunikowali mi, że już od kilku dni mają przygotowany wóz z prowiantem na trzy tygodnie, dobrymi końmi, wygodnymi siedzeniami itp. i że na tym wozie jest zarezerwowane miejsce dla mnie. Zdaniem ich, na tej drodze, po której idziemy, nie ma już walki w perspektywie, a jedynie niewola. Lepiej więc, póki czas, wracać do ośrodka pułku, do naszych rodzin, — a tam dopiero rozejrzemy się i zobaczymy co robić dalej. Zacząłem im mówić o szansach osiągnięcia granicy węgierskiej i wejścia w kontakt z naszymi sojusznikami na Zachodzie oraz dalszego udziału w walce już w ramach armii alianckich. Odpowiedzieli, że masa żołnierska nie rozumie koncepcji węgierskiej; jest to koncepcja oficerska. Żołnierze obawiają się, że Węgrzy zasadzą nas do obozów. Sytuacja oficera w obozie bywa często znośna, lecz sytuacja szeregowego jest bardzo ciężka. Żołnierze chcą się bić, lecz chcą się bić na terenie kraju. Od chwili, gdy stało się wyraźne, że koncepcją dowództwa jest, unikając angażowania się w walce, osiągnąć granicę węgierską, w szeregach daje się zauważyć załamanie psychiczne. Jeżeli masa żołnierska dotychczas trzyma się w kupie, to dużą rolę odgrywa

tu pogłoska, że idziemy na połączenie z Sosnkowskim, który podobno gdzieś się bije pod Lwowem. Sosnkowski jest w tej chwili legendą, ożywiającą nadzieje naszych żołnierzy.

Rozmowa ta bardzo mnie zdeprymowała. O podoficerach, którzy do mnie przyszli, miałem jak najlepszą opinię. Dwom z nich przyrzekłem, że przy najbliższej okazji przedstawię ich do odznaczenia. Jeden z nich kpr. Sadowski był podoficerem weterynaryjnym 85-go pułku strzelców wileńskich. W drugim tygodniu września 1939 po klęsce naszej pod Piotrkowem nieduża grupka, złożona z 3-ch oficerów i kilkudziesięciu szeregowych pod dowództwem por. Urbanowicza usiłowała przejść z lasów Spalskich za Wisłę. Mieliśmy przy sobie sztandar naszego pułku. Zamiarem naszym było dojść różnymi bocznymi drogami do mostu pod Maciejowicami. Gdyśmy tam doszli okazało się, że most stoi w płomieniach. Ruszyliśmy na północ w kierunku Góry Kalwarii. Niedaleko od ujścia Pilicy spotkaliśmy oddziały 13-go p.uł. i 23-go p.uł., szukające również przeprawy. Stwierdziliśmy z całą stanowczością, że na przestrzeni kilkunastu kilometrów nie ma najmniejszego środka przeprawy. Ułani, którzy próbowali płynąć, tonęli. Rzeka była szara, tajemnicza, zdradliwa. Zapadał zmrok. Kpr. Sadowski zaproponował że jeżeli zrobimy małą tratwę, on spróbuje się przeprawić i dostarczyć łodzie. Rozmowanie było proste: łodzie nie mogły się ulotnić — jeżeli ich nie ma nigdzie po tej stronie rzeki, muszą być gdzieś wzdłuż tamtego brzegu. Po kilku godzinach wśród ciemni wrześniowej nocy kpr. Sadowski na małej chybotliwej i ciągle przechylającej się tratwce odpływał w czarną przestrzeń. Około 3-ej godziny nad ranem wrócił, holując dwie łodzie. Sztandar był uratowany. Kolejnymi nawrotami udało się również przeprawić wszystkich naszych ludzi. Ułani zdecydowali się iść wpław. Trzymając się końskich grzyw, przeważnie pomyślnie przepływali znaczną część rzeki; w pobliżu jednak przeciwnego brzegu porywał ich gwałtowny prąd i wyrzucał z powrotem na środek. Rozpaczliwe wołania tonących ludzi mieszały się z wizglowym rzeniem przerażonych koni, a nadlatujące w półświecie zbliżającego się brzasku niemieckie samoloty uciszały to wszystko ogniem karabinów maszynowych. Kpr. Sadowski sam jeden na małej łódeczce wypłynął na środek rzeki, podpływał kolejno do poszczególnych ułanów i krzychał: „Skurwysynie, puszczaj grzywę, chwytaj ogon”. Ten, który tej rady usłuchał, zdołał się przeważnie uratować. Myślę, że dziesiątki ułanów zawdzięczać mu muszą życie.

Drugim z tych podoficerów był plutonowy, zajmujący się furazowaniem koni pułkowych. Był to pełny fantazji żołnierz,

po prostu urodzony do wojny partyzanckiej. W pierwszych dniach września, pod Piotrkowem, w lasku otoczonym przez Niemców wdał się on w krytykę rozkazu dowódcy pułku, aby wycofać się zostawiając wozy, na których było dużo wartościowych rzeczy. Odpowiedział, że nie widzi konieczności zostawiania wozów — przecież na to zawsze będzie czas, a może uda się je wyprowadzić z matni. Po dramatycznej przeprawie przez Wisłę nie stracił on ani na chwilę fantazji i zajął się od razu wyłapywaniem luzem chodzących osiodłanych koni. Wielu ułanów 13-go pułku utonęło przy przeprawie, lecz koniom w końcu udało się osiągnąć przeciwny brzeg. Myśmy utracili przy przeprawie niemal wszystkie nasze konie, bo płynęliśmy na łożdach przyholowanych przez kpr. Sadowskiego, lecz uratowaliśmy wszystkich naszych ludzi. Ów plutonowy, którego nazwiska po tylu latach nie mogę sobie przypomnieć, momentalnie zorientował się w sytuacji i zorganizował wyłapywanie luznych koni trzynastki. W ten sposób mieliśmy w rezultacie nie tylko oddział piechoty z karabinami maszynowymi, lecz również nieduży oddziałek konny. Gdy następnie pomiędzy podoficerami wywiązała się dyskusja na temat co teraz należy robić — i większość skłaniała się do myśli, że należy iść dalej na wschód na Białystok i Lidę, gdzie prawdopodobnie szykuje się drugi rzut mobilizacyjny naszego pułku — ów plutonowy w sposób gwałtowny przerwał tę dyskusję, twierdząc, że naszym obowiązkiem jest dołączyć się do najbliższego walczącego oddziału i jak najprędzej iść znowu do walki. Jeszcze przed kilku dniami, 25 września, gdy staliśmy w lasku naprzeciwko Krasnobrodu, przygłopotował on na spienionym koniu i zameldował mi, że podczas wyprawy po furaz dla koni napotkał kilka kilometrów stąd oddział działek przeciwpancernych, maszerujący wśród tego dziwnego zamieszania, które panowało dookoła, w kierunku wschodnim, czyli prosto w paszczę bolszewicką. Było to właśnie w momencie, kiedy obserwatorzy siedzący na drzewach meldowali płk. Nowosielskiemu, że widzą oddział czołgów niemieckich, przesuający się po tamtej stronie Wieprza. Popędziliśmy z plutonowym *en carriere* i po trzech kwadransach rotmistrz dowodzący działkami przeciwpancernymi meldował się do dyspozycji płk. Nowosielskiego, powiększając w ten sposób poważnie siłę ogniewą naszego pułku.

I oto teraz ci moi wierni towarzysze, których dzielność miałem możność tylokrotnie ocenić, przyszli z propozycją, abym póki czas razem z nimi opuszczał oddział. Zrozumiałem, że w szeregach zarysowuje się kryzys psychologiczny. Zameldowałem o tym natychmiast pułkownikowi. Pułkownik w moim towa-

rzystwie poszedł na inspekcję pododdziałów. W jednym miejscu, gdzie było największe skupienie biwakującego wojska, zarządził zbiórke. Oświadczył, że doszły do niego wiadomości, że niektórzy uważają, że wojna skończona i chcą opuszczać oddział. Pułkownik podał radiowe wiadomości z Warszawy, która wciąż walczy, oraz wiadomości o Sosnkowskim, który bije się w okolicach Lwowa. Idziemy na południe, gdzie mamy poważne szanse połączenia się z Sosnkowskim. W końcu zażądał, aby ci, którzy uważają, że czas wracać do domu wystąpili. W szeregach była cisza, nikt się nie poruszył. Na chwilę kryzys był zażegnany.

Mniej więcej po godzinie zawiadomiono mnie, że tworzą się grupki żołnierzy zdecydowanych opuścić oddział i że ma być zniszczona broń. Zameldowałem pułkownikowi. Ani słowa nie odpowiedział, nie popatrzył nawet na mnie; smutny wzrok miał skierowany gdzieś w stronę, jakby poprzez ściany pokoju widział jakieś dalekie światy. Wyszedłem na zewnątrz. Rzadki sosnowy lasek, w którym biwakował pułk, wyglądał jak targowisko. Żołnierze samorzutnie dzielili się na grupy tych co opuszczają i tych co idą dalej z pułkownikiem. Obliczono ile broni potrzeba dla tych co pozostają, resztę postanowiono zniszczyć, aby nie dostała się bolszewikom. Młotami rozbijano zamki karabinów maszynowych a z karabinów ręcznych i pistoletów układano na polanie leśnej stos, który za chwilę miano zapalić. Zrozumiałem, że już żadne perswazje nie pomogą. „Zresztą może jest pewien zdrowy instynkt w tej logice żołnierzy” pomyślałem sobie.

Podszedłem do starszego sierżanta, który był zbrojmistrzem 85-go p.p. i razem ze mną opuścił w sierpniu 1939 roku Nową Wilejkę. Wiedziałem, że należy do tych, co odchodzą. „Panie szefie — powiedziałem do niego — niech pan zrobi mi na pożegnanie usługę. Niech pan wybierze dla mnie dobry karabinek kawaleryjski, a co najważniejsze, aby rzemienie były możliwie wygodne”. Dotychczas miałem tylko pistolet jako broń osobistą. Po chwili sierżant przyniósł mi karabinek, demonstrując błyszczącą jak szkło lufę. Wybrałem blok meldunkowy i zacząłem pisać list do rodziny, który postanowiłem dać odchodzącym.

Tymczasem podpalono obłany naftą stos broni. Płomień buchnął niemal momentalnie. Jednocześnie zerwał się wiatr, który porywał w górę palące się strzępy. Suchym trzaskiem wybuchały rzucone na stos paczki z amunicją. Na polanie zrobiło się gorąco. Ukośne czerwone płomienie zachodzącego słońca zmieszały się z odblaskami płonącego stosu, dziwnie zabarwiając konary pobliskich drzew. Miałem poczucie, że ogień z palących

się resztek naszego dobytku pułkowego zapala świat dookoła i wszystko za chwilę rozpadnie się w gruzy. Nie mogłem już dłużej wytrzymać, coś boleśnie ścisnęło pod gardłem, przed oczyma tworzyła się jakby zasłona, nadająca wszystkiemu dookoła jakieś mgliste kontury. Szybko uściśnłem odchodzących towarzyszy broni i powoli skierowałem się do dworu. Za opłotkami pobliskich zabudowań oraz za szerokimi konarami drzew jak cienie przesuwają się postacie okolicznych chłopów, czatujących na łup po rozpadającym się zbrojnym ramieniu Rzeczypospolitej. Wchodząc do dworu spotkałem gen. Wołkowickiego, płk. Nowosielskiego i por. Sielickiego w towarzystwie wysokiej, siwej pani, której opiece powierzali skarb, który każda polska kobieta zawsze z pietyzmem przyjmie na przechowanie: sztandar bojowy 77-go p.p.

Stary żołnierz

We dworze było pusto. W jadalnym pokoju stół był nie-sprzątnięty po herbacie; na półmisku leżała duża cieleca szynka, dopiero napoczęta, obok stały różne ciasta domowe. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały ukośnie na stół, rzucając na białą serwetę czerwono-pomarańczowy cień. Dlaczegoś mi się wydało, że w sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, musi leżeć nieboszczyk. Stałem, opierając się z lekka o karabin i zadumałem się. Myślałem o swoich latach chłopięco-młodzieńczych tak, jakby one były dopiero wczoraj. Konspiracyjne kółko uczniowskie w szkole rosyjskiej na początku tamtej wojny, obchody narodowe, marzenia o wojsku polskim, P.O.W., a potem upajające dnie realizujących się marzeń, a teraz znowu wszystko wydaje się rozpadać. Czy te dwadzieścia lat nie były tylko krótkim snem?

W pewnej chwili poczułem, że nie jestem sam. Odwróciłem się. Tuż za mną stał gen. Wołkowicki. Wysoki, wyprostowany mimo pewnej nieforemności figury, z czerwonym dużym nosem, typowym dla ludzi, którzy przez swoje długie życie wpompowali do organizmu niejedną beczkę alkoholu. Wydało mi się, że kiedyś widziałem już tę sylwetkę na jakimś sztychu przedstawiającym postacie zawodowych żołnierzy dawnych czasów. „Panie poruczniku, pan jest upadłościowiec” — powiedział generał. Spojrzałem na niego wzrokiem przestępcy przyłapanego na gorącym uczynku. „Proszę pana — ciągnął dalej generał — przeszedłem już raz całą Rosję do Władywostoku, aby w rezultacie dostać się do wojska polskiego we Francji. Przejdziemy i teraz

na Węgry”. „Panie generale — odpowiedziałem — nie chodzi tu o to czy my dostaniemy się czy też nie na Węgry, lecz...” i urwałem nagle. Poczułem bowiem, że jeżeli swoją myśl dokończę, będzie to istotnie zdanie upadłościowe.

Potem gdy siedziałem w Moskwie w sławnym więzieniu Łubiańskim dano mi tam z biblioteki więziennej do przeczytania głośny w Rosji reportaż historyczny Nowikowa-Pruboja pt. „Cuszima”. Jest tam następująca scena. Na statku flagmańskim u dowódcy eskadry admirała Niebogotowa odbywa się narada wojenna. Sytuacja jest dramatyczna w obliczu przeważających sił japońskich. Pierwszy ma głos najmłodszy stopniem miczman Wołkowicki. „Rozpocząć walkę, a potem zatopić się” — wypowiada on swoje zdanie. Autor przeciwstawia miczmana Wołkowickiego jako wzór obowiązku żołnierskiego zdegenerowanym wyższym dowódcom floty cesarskiej. Ów miczman Wołkowicki był tym samym generałem Wołkowickim, który dowodził nami pod Tomaszowem Lubelskim.

Z wykształcenia gen. Wołkowicki był oficerem marynarki wojennej. Po wojnie japońskiej skończył rosyjską Akademię Morskiego Sztabu Generalnego. Na początku pierwszej wojny światowej należał do Czarnomorskiej floty, którą wówczas dowodził, sławny później, admirał Kołczak. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej drogą przez Daleki Wschód przedostał się do Francji i stamtąd przybył do Polski w ramach armii gen. Hallera, jako dowódca batalionu piechoty. W ostatnim roku przed wybuchem wojny z Niemcami gen. Wołkowicki był już w trakcie przechodzenia w stan spoczynku; został jednak powołany do służby czynnej jako dowódca etapów w armii gen. Dąb-Biernackiego. W drugiej połowie września 1939, już po wystąpieniu bolszewików, gen. Wołkowicki poszedł do linii, gdzie objął dowództwo naszej dywizji.

W Kozielsku zapytałem pewnego razu gen. Wołkowickiego: „Panie generale, przecież w ostatnich dniach września pan już widział, że niewoli nie unikniemy. Mógł pan nas prowadzić tak, abyśmy w ostateczności trafili raczej do niewoli niemieckiej, niż rosyjskiej. Pan jednak świadomie wybrał drogę raczej bliższą bolszewików niż Niemców. Dlaczego pan to zrobił?”.

„Proszę pana — odpowiedział gen. Wołkowicki — gdybyśmy trafili do Niemców, to bylibyśmy zamurowani do końca wojny i nie mielibyśmy żadnych szans dalszego udziału w walkach. Tu zaś mamy wielkie możliwości. Tu nas oczywiście mogą rozstrzelać; nie musi to jednak odstraszać; śmierć jest przecież normalnym ryzykiem wojny. Lecz stąd również możemy wyjść jeszcze przed końcem wojny i jeszcze wziąć udział w walkach”.

Generał Wołkowicki jest niewątpliwie urodzonym żołnierzem. Był takim samym w kłęsce carskiej floty rosyjskiej pod Czuszimą, jak i w kłęsce odrodzonej Rzeczypospolitej. We wrześniu 1939 jako dowódca miał dużą zdolność decyzji i konsekwencję w jej realizowaniu. Była pewna jednolitość w tej sylwetce starego żołnierza ze wszystkimi jego zaletami i wadami. Płk Nowosielski był typem bardziej skomplikowanym; był nie tylko inteligentnym i wykształconym oficerem sztabowym; otaczał go jakiś powiew romantyzmu; w zadumanym wyrazie jego przystojnej, pełnej męskości twarzy, w cichym głosie, którym zwykł się zwracać do podwładnych, drgało odbicie jakiejś tajemnicy. Był to żołnierz, który wyrósł wśród fluidów wiejących od postaci Józefa Piłsudskiego. Jako dowódca frontowy reprezentował niewątpliwie najlepsze tradycje „piłsudczyzny”, tak bardzo przyćmione w oczach narodu polskiego przez błędy i nieprawości polityków, którzy rzadzili krajem po śmierci Marszałka.

Gdy w 1942 roku wyszedłem z Rosji słyszałem wiele opowiadań o tzw. „bohaterach szosy zaleszczyckiej”, o oficerach wyższych stopni, co we wrześniu 1939 uciekali do Rumunii, zajmując szczupłe środki zmotoryzowanego transportu dla swoich rodzin, dobytku, a nawet swoich kochanek. Wyższy oficer niewątpliwie nie był postacią popularną w narodzie polskim po wrześniu 1939 i wątpię czy jest dzisiaj. A jednak tak mało mówiło się i mówi o tych wyższych dowódcach, co w drugiej połowie września 1939 próbowali walczyć z lasów i na każdym kroku świecili przykładem osobistym. Tak mało zrobiono dla uwydatnienia prawdy o tamtych, co albo zginęli, albo zostali pochłonięci przez czeluście sowieckich i niemieckich obozów, albo też zakonspirowani pod pseudonimami działali w Armii Krajowej. Gdy więc słyszę o tych, co mieli nieszczęście brania udziału w gorszących widowiskach, które podobno odbywały się we wrześniu 1939, na drogach prowadzących do Rumunii i Litwy, myślę zawsze o swoich dowódcach, wśród których nie było ani jednego, któremu podwładni mogliby postawić jakieś zarzuty co do osobistych walorów żołnierskich. Koledzy moi, którzy leżą w grobie katyńskim, nic nie wiedzieli o scenach na szosie zaleszczyckiej. Stary emerytowany generał, który już po wystąpieniu sowieckim zjawiał się w linii, aby objąć dowództwo nad resztkami nie rezygnującymi z walki, oraz milczący, przystojny pułkownik, inspekcjonujący podczas akcji wysunięte kompanie, aby dać osobisty przykład szeregowym, pozostali dla nich symbolem tego ducha, który ożywił szczyty naszego korpusu oficerskiego we wrześniu 1939 roku.

Niewola

Dzień, który opisuję, był ostatnim dniem naszej epopei bojowej. Podczas gdy staliśmy z gen. Wołkowickim w oświetlonej odblaskami zachodzącego słońca jadalni dworu, płk Nowosielski wydawał rozkazy formowania kolumny marszowej. Wyruszyliśmy już dobrze po zachodzie słońca. Na czele kolumny jechał pułkownik, dowódcy obydwu batalionów prowadzili resztki swoich oddziałów, dalej ciągnął się sznur wozów. Pozostało wszystkiego około 300 ludzi. Nie był to już ten zwarty oddział, który jeszcze przed dwoma dniami walczył pod Krasnobrodem; były to rozbitki, przeniknięte jednym wspólnym dążeniem, aby, unikając walki, przesunąć się pasem pomiędzy odchodzącymi Niemcami a nadchodzącymi Rosjanami do granicy węgierskiej. Noc była rozpaczliwie chłodna, nie sposób było usiedzieć w siodle, bo zamarzały nogi. Zsiadłem więc z konia, popuściłem popręgi i prowadziłem go za uzdę. Obok mnie w ciemności wrześniowej nocy poruszały się jakieś postacie. Przysłuchiwałem się ich rozmowie. Byli to Ślązacy, oficerowie rezerwy. Mówili o Rosji, jako o naszym naturalnym sojuszniku. Jeden z nich opowiadał kolegom, że zawsze czuł pociąg i sympatię do Rosji. Rozmowa była przeniknięta wiarą, że od Wschodu idą przyjaciele. Pomyślałem sobie: „O ileż więcej rozumu mieli owi zmobilizowani do naszej dywizji chłopci białoruscy i „żłoby” wileńskie, którzy przed kilku godzinami zniszczyli broń, aby nie dostała się w ręce bolszewików, niż mają ci śląscy inteligenci”.

Nad ranem w niedużej wiosce, położonej wśród lasów, stanęliśmy na wypoczynek. Dowódcy batalionów, jak zwykle wystawili ubezpieczenia z karabinami maszynowymi. Gen. Wołkowicki po pewnych wahaniach, rozkazał zdjąć te ubezpieczenia, a kuchnie i wozy poukrywać wśród krzaków, znajdujących się w pobliżu. Nasza szansa polegała nie na tym, że przebijemy się siłą, lecz na tym, że, idąc bocznymi drogami, możemy nie zwrócić na siebie uwagi.

Mniej więcej po półtorej godzinie zostaliśmy ogarnięci przez oddziały sowieckiej kawalerii, które zalały wieś. Adiutant pułku por. Sielicki, który spał obok mnie na wiąże słomy rzuconej na podłogę, nie zdążył nawet włożyć munduru. Tak go bez munduru, a tylko w krótkim kubraku do konnej jazdy, włożonym na koszulę, przywieziono później do Kozielska. Szeregowych zwolniono, oficerów poprowadzono do dowództwa dywizji, odległego mniej więcej o 10 kilometrów. Po drodze zrobiono

postój, podczas którego oczyszczono nas gruntownie z zegarków i innych wartościowych przedmiotów.

Przed dowództwem dywizji ustawiono nas półkolem. Dowódca dywizji młody i widocznie bardzo energiczny wyszedł salutując oraz witając słowami: „Dzień dobry, panie oficerzy. Nu, Niemcy urządzili wam *nastojaszczuju totalnaju wojnu*”. Po czym z widocznym uznaniem zaczął mówić o strategii niemieckiego ataku, a szczególnie o roli lotnictwa w rozbiciu polskich komunikacyj. Na to z naszych szeregów odezwał się głos: „Dziś Niemcy wojnę zrobili nam, — jutro zrobią wam”. — „Nu, nam nie zdietaju!” — odpowiedział sowiecki generał. „A wot!” — dodał pokazując na wiszący mu na piersiach pistolet, co miało oznaczać, że Związek Sowiecki jest dostatecznie uzbrojony, żeby odeprzeć każdy atak.

Po chwili sowiecki dowódca zapytał kto z jeńców jest najwyższy stopniem. Wskazano mu na generała Wołkowickiego i pułkownika Nowosielskiego. — „Wy, genierał, wierojatno znali staroju carskiju armiju?” — zwrócił się on do generała Wołkowickiego. Po chwili sowiecki dowódca podszedł do pułkownika Nowosielskiego z jakimś dłuższym pytaniem, którego nie mogę sobie przypomnieć; zresztą to nie miałyby znaczenia, bo pułkownik nie odpowiedział. Patrzył na sowieckiego dowódcę, lecz jakby go nie widział, a obserwował jakieś wizje zarysowujące się w przestrzeni poza słuszną postacią pytającego. Sowiecki dowódca, przypuszczając, że pułkownik nie rozumie po rosyjsku, zwrócił się do obecnych z prośbą, aby przetłumaczyli. Któryś z naszych oficerów przetłumaczył. Na to pułkownik swoim zwykłym spokojnym głosem bez najmniejszego cienia afektacji odpowiedział: „Powiedźcie mu, że nie mam zamiaru odpowiadać na żadne jego pytania”. Sowiecki dowódca zamachał rękami: „Ja nie prinużdaju, ja nie prinużdaju, jeśli nie хочzet, nie nado”, — i wyjaśnił przy tym, że dopiero na wyższych szczeblach, dokąd on nas odsyła, będziemy badani naprawdę.

Rozmowa urwała się. Zaczęto nas ładować na ciężarówkę, która właśnie podjechała. Któryś z kolegów zwrócił się do dowódcy dywizji ze skargą, że nam po drodze odebrano zegarki. Sowiecki dowódca wezwał dowódcę konwoju i kazał zwrócić zegarki. Po kilku minutach przyniesiono kupę zegarków, wśród której każdemu z nas pozwolono odszukać swoją własność. Któryś z sowieckich oficerów wzmiankował, że dowódca konwoju prawdopodobnie będzie rozstrzelany. Jeden z naszych oficerów zwrócił się do sowieckiego generała z oświadczeniem, że jeńcy nie zgłaszają żadnych pretensji do dowódcy konwoju

z powodu incydentu z zegarkami. — „*Nu, naszymi wojennymi polewyje sudy nie szutiat*” — odpowiedział tamten.

Po drodze konwojenci poinformowali nas, że zostaniemy prawdopodobnie przekazani w ręce oddziałów NKWD, które też zapewne będą nas znacznie gorzej traktować, niż liniowe wojsko sowieckie. Kiedy nas przewożono przez Tarnopol, kole-dzy wskazali mi na dwóch polskich oficerów prowadzonych chod-nikiem przez konwój rosyjski. Mówiono, że jednym z nich był płk Obertyński, szef sztabu Dęba-Biernackiego, a drugi — to ówczesny major Bąkiewicz, szef wywiadu tej Armii. Ponieważ zgubiłem okulary, nie byłem w stanie ich rozpoznać. We Lwo-wie umieszczono nas na kilka godzin w Komendzie Placu, po czym przewieziono na dworzec i załadowano do pociągu. Szczególnie ciężki psychicznie był moment, kiedy pociąg przejeżdżał granicę Rzeczypospolitej.

W Podwołoczyskach przy stacji było kilka odrutowanych zon, gdzie pod gołym niebem obozowali zwożeni z Polski jeńcy. Obok wojska, była tam również ogromna ilość policji, którą segregowano w oddzielne kompanie więźniów. Po dwóch dniach załadowano nas do rosyjskich szerokotorowych wagonów towarowych, nieprawdopodobnie brudnych i zaśmieconych. Stamtąd do Kijowa wieziono nas bardzo wolno. Po raz pierwszy zetknęliśmy się wówczas z warunkami, w których wożą więźniów po ogromnych przestrzeniach Rosji. Głód i chłód, cienka warstwa lepkiego, smrodliwego brudu, pokrywającego podłogę wagonu, brak wody i brak możliwości załatwienia potrzeb naturalnych inaczej jak na podłogę. Po kilku dniach takiej podróży wyprowadzono nas w Kijowie na obiad, który był przygotowany w barakach jakiejś stołówki robotniczej, niedaleko od stacji. W ogromnej, drewnianej hali stały w rzędy długie stoły, wzdłuż których zajęliśmy miejsca. Każdy dostał talerz i kawałek chleba, oraz każda szóstka otrzymała do podziału misę smacznego ukraińskiego barszczu. W barakach panowała wzorowa czystość, naczynie było również czyste, obsługa w białych chałatach robiła przyjemne wrażenie. Było to kilka godzin odprężenia fizycznego i psychicznego na naszej smutnej drodze.

Gdy nas prowadzono na obiad około bocznych torów oraz różnych zabudowań kolejowych zauważyliśmy wiele kobiet, które — było to oczywiste — przysły tutaj specjalnie, aby nas zobaczyć. Patrzyły na nas pełnymi współczucia oczyma, a niektóre nawet płakały. Ta reakcja była dla nas niespodziewana, wzruszająca i dziwna zarazem. Dopiero potem, gdy w więzieniach i obozach zetknąłem się z Ukraińcami, zrozumiałem ją w pełni: Przed 1939 rokiem w stolicy Ukrainy rozpowszechniona była

legenda o wspaniałej organizacji militarnej Państwa Polskiego i wielu ludzi żyło nadzieją, że pewnego dnia armia polska przyniesie im wyzwolenie. Obecnie niedoszłych wyzwolicieli wieziono w bydłych wagonach, tak samo, jak wożą miliony więźniów sowieckich. Rodziło to smutek i współczucie, lecz jednocześnie żal do wyzwolicieli, że zawiedli pokładane w nich nadzieje. W pewnej chwili jedna z tych kobiet w kilku susach przemknęła się pomiędzy uzbrojonymi konwojentami, podbiegła do płk. Nowosielskiego, wsunęła mu w rękę dużą pszeniczną doskonale wypieczoną domową bułkę i uciekła, zanim pułkownik zdążył podziękować. Dlaczego w tłumie maszerujących jeńców wybrała ona właśnie płk. Nowosielskiego? Czy był to przypadek? Czy też przyciągnął ją tajemniczy wyraz zadumy rozlanej po twarzy tego przystojnego oficera?

Putiwł

Z Kijowa przewieziono nas do okolic Putiwła na północnej Ukrainie. Putiwł jest bardzo starym miastem. Książę Igor, którego dzieje i walki z koczowniczym ludem Połowców, opisuje najstarszy pomnik literatury ruskiej *Słowo o Połku Igorewie*, był właśnie księciem na Putiwlu. Gdy nas wyprowadzali z wagonów usiłowałem sobie przypomnieć nowoczesną wierszowaną travestację tego utworu, zaczynającą się od słów:

*„To nie kukuszką noczju ciemnoj kukujet
z gorja na zarie
W Putiwle płaczet Jarostawna
odna na gorodskoj stienie...*

Obraz księżnej płaczącej na murach miejskich i tęsknie pytającej wiatru o wieści, które miały być wieściami katastrofy, odpowiadał temu, co skowyczało boleśnie w mojej duszy.

Koło Putiwła umieszczono nas w jakiejś wsi, z której wysiedlono na nasze przybycie ludność. Dookoła rozciągały się pola buraczane. Nasza grupa trafiła do domku składającego się jakby z dwu oddzielnych mieszkań: jednego trzy-izbowego, drugiego dwuizbowego. Do dwuizbowej części przyprowadzono grupę policjantów; w pozostałych trzech izbach umieszczono stu kilkudziesięciu oficerów. Wśród nich zwarty zespół około trzydziestu osób stanowili oficerowie naszego pułku. Z innych przypominam sobie przede wszystkim kilku wyższych oficerów ze sztabu gen. Dąb-Biernackiego, a więc płk. Künstlera, który był

tam dowódcą artylerii, ppłk. Tyszyńskiego, który był dowódcą saperów, oraz majora Solskiego.

Do zespołu sztabu gen. Dąb-Biernackiego należał również kapitan Piotr Dunin-Borkowski, którego poznałem w Putiwlu nieco bliżej. Był to oficer dyplomowany, który wkrótce po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej przeszedł do rezerwy i gospodarował w majątku żony w Grodzieńszczyźnie, biorąc jednocześnie czynny udział w pracy społecznej. Był prezesem na okręg Wileńsko-Nowogródzki któregoś z wielkich organizacji kombatanckich, zdaje się Związku Oficerów Rezerwy. Zmobilizowany jeszcze przed wybuchem wojny, został przydzielony do sztabu gen. Dąb-Biernackiego. Wysoki, przystojny brunet, z pewną miękkością w manierach, musiał chyba wywierać duży urok na swoje bezpośrednie otoczenie. Gdy na niego patrzyłem, starałem go sobie wyobrazić w cywilnym ubraniu; wydawało mi się zawsze, że szczególnie stylowo musiał wyglądać we fraku. Opowiadał mi o nieszczęściu, które go bezpośrednio przed wojną spotkało: o śmierci jego małej córeczki. Jego krewna, zakonnica, powiedziała wówczas, że wśród nadchodzących klęsk czysta dusza tego dziecka może stać się puklerzem dla całej rodziny. Dręcząc się nieznanym losem rodziny, kpt. Borkowski myślał teraz o duszy swego dziecka i o dziwnych słowach zakonnicy, które obecnie w tym kataklizmie, jaki dotknął Polskę, nabierały nowego znaczenia. Pewnego razu rozmawialiśmy o trybie życia jeńców, nie pamiętam już dzisiaj, jaka treść była naszej rozmowy. Utkwiło mi jedynie zdanie końcowe wypowiedziane wówczas głosem zmienionym i ze szczególnym wyrazem twarzy — „Proszę Pana trzeba czasem się pomodlić”. Dźwięczało w tych słowach głębokie przekonanie, że dookoła są rozlane źródła siły, o których ludzie ślepi na to co jest Prawdą Bytu, nic nie wiedzą. Nieraz potem wśród różnych przeżyć przypomiiałem te słowa i ten wyraz jego twarzy, z jakim były one wypowiedziane.

Później, w Kozielsku, kpt. Borkowski był na swojej sali czymś w rodzaju referenta oświatowego urządzając wykłady dla swoich sąsiadów; byłem jednym z referentów, których on w tym celu mobilizował. W Kozielsku otrzymał wiadomość, która dała mu wiele spokoju wewnętrznego, że żonie jego z dziećmi udało się przedostać z Grodna do Krakowa, byli więc poza zasięgiem sowieckich deportacji. Nie doszła do mnie wiadomość, kiedy był on wywieziony z Kozielska pod Katyń. Musiało to nastąpić gdzieś w początkach kwietnia 1940 roku, bo już potem, w okresie likwidacji obozu kozielskiego, nie spotykałem go. W sprawozdaniu Komisji Międzynarodowej, która badała groby katyńskie, kapitan Piotr Dunin-Borkowski figuruje pod numerem 2283.

Major Adam Moszyński w swojej „Liście Katyńskiej” podaje go dwukrotnie raz jako Borkowskiego innym razem jako Dunin-Borkowskiego¹.

Natomiast dość dużo materiału dla tego sprawozdania Komisji Międzynarodowej dostarczyło zbadanie zwłok wspomnianego powyżej mjr. Adama Solskiego, gdyż znaleziono przy nim szereg kartek z jego dziennika, w którym zapisywał najważniejsze wypadki z życia jeńców. Ten dziennik stał się jednym ze źródeł dla odtworzenia historii zbrodni katyńskiej. Losy dwóch innych wspomnianych powyżej oficerów ze sztabu Armii Dęba-Biernackiego, płk. Künstlera oraz ppłk. Tyszyńskiego, ułożyły się zupełnie szczególnie. Uniknęli oni lasku katyńskiego, gdyż byli wyselekcjonowani do tzw. „willi rozkoszy” pod Moskwą, dokąd wysłano kilkunastu oficerów, z którymi władze sowieckie spodziewały się ustalić pewną współpracę. Płk Künstler trafił potem do Griazowca i był w Armii Polskiej na Wschodzie. Losy ppłk. Tyszyńskiego, który również podobno był w „willi rozkoszy”, nie są mi znane. Podobno był również w Armii Polskiej na Wschodzie, lecz został przeniesiony w stan spoczynku (tzn. do II-giej Grupy).

Odrębną grupę stanowili w Putiwlu kawalerzyści z płk. Żeliszewskim na czele, który — o ile się nie mylę — był zastępcą gen. Andersa jako dowódcy Nowogródzkiej Brygady Kawalerii. Obok kilku oficerów z oddziałów gen. Andersa, był tam również nieduży zespół obsady podchorążówki w Grudziądzu z ppłk. Wanią i rtm. Wacławem Stankiewiczem, Wilnianinem, byłym oficerem trzynastki, z którym serdecznie się zaprzyjaźniłem. W marcu 1940 roku w Kozielsku Wacek zwierzył mi się, że w tym okresie wielkanocnym chciałby bardzo wyświadczyć się i przystąpić do Sakramentów Św. Porozumiałem się z kolegami, którzy organizowali tajne praktyki religijne i zakomunikowałem mu wyznaczony dla niego czas i miejsce. Sądzę, że była to najcenniejsza przysługa, którą Bóg pozwolił mi oddać przyjacielowi w przededniu dramatu katyńskiego.

W naszej izbie było również dwóch oficerów, którzy potem należeli do owych organizatorów życia religijnego w Kozielsku. Byli to: jednooki kapitan saperów Antoniewicz, przed wojną dyrektor portu rzeczno-ego w Modlinie, a w roku 1939 dowódca batalionu saperów, Grodnianin z pochodzenia, oraz jego przyjaciel, por. Połujan, przed wojną inżynier powiatowy w Oszmianie. Kapitan Antoniewicz miał w sobie zacięcie apostołskie;

1. Wyd. „Gryf”, Londyn, 1949.

promieniował na otoczenie swoją wiarą i swoją pobożnością; miał po prostu potrzebę rozbudzenia w innych tych wartości, które stanowiły treść jego własnej postawy wewnętrznej. Por. Połujan był zdaje się całkowicie pod jego wpływem. Obydwaj byli niewątpliwie doskonałymi żołnierzami; tak samo jak płk Nowosielski, do ostatniej chwili trzymali swój batalion w pogotowiu do akcji bojowej, a potem usiłowali z bronią w rękę przejść na Węgry. Potem w Kozielsku por. Połujan należał do tych, którzy szczególnie gorąco agitowali na rzecz jak najostrzejszego oporu przeciwko wszelkim próbom przekazywania nas Niemcom. Zdaje się, że organizował zespół, który miał jakiś szczególny plan przedostania się do Syrii do armii gen. Weyganda, względnie na Zachód. Uważał, że nasze wysiłki muszą być nastawione nie na powrót do rodzin, czego w owym czasie spodziewano się w wypadku przekazania Niemcom, lecz przede wszystkim na poszukiwaniu warunków dalszego udziału w walkach. W Putiwlu kpt. Antoniewicz i por. Połujan organizowali nieduże grupy, odprowadzające wspólnie nabożeństwa różańcowe. Był to bowiem miesiąc październik, kiedy we wszystkich kościołach katolickiego świata co wieczór jest odmawiany różaniec. Gdy dziś te charakterystyczne postacie dwóch nierozłącznych przyjaciół wspominam, myślę o nich zawsze jako o współczesnych krzyżowcach.

W Putiwlu spotkałem również młodego uczonego dr. Godłowskiego, bezpośrednio przed wojną mianowanego na katedrę psychiatrii na Uniwersytecie Stefana Batorego. Katedrę tę zajmował przedtem prof. Rose, światowej sławy specjalista od badań mózgu, który przez szereg lat pracował w Niemczech. Dla umożliwienia prof. Rose kontynuowania prac — których jako Żyd nie mógł po dojściu do władzy hitlerowców kontynuować w Niemczech — został przy Uniwersytecie Wileńskim utworzony specjalny Instytut dla Badań Mózgu. Instytutowi temu został powierzony dla przestudiowania mózg Marszałka Piłsudskiego. Do zadania tego wileński Wydział Medyczny, w którego gronie było wielu gorących wielbicieli Józefa Piłsudskiego, ustosunkował się ze szczególnym pietyzmem. Toteż nagła śmierć prof. Rose była dla Wydziału szczególnym ciosem i kwestią znalezienie godnego następcy uważano za zadanie szczególnie odpowiedzialne. W rezultacie wybór padł na 37-letniego docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Godłowskiego. Latem 1939 roku prof. Godłowski wraz z rodziną przyjechał do Wilna i przygotowywał się do objęcia z początkiem roku akademickiego 1939/40 swoich obowiązków. Z chwilą wybuchu wojny został on, jako porucznik-lekarz, powołany do wojska i przydzielony

do któregoś z batalionów KOP-u na Wołyniu. Wojska rosyjskie zabrały go z pociągu, którym batalion jego był transportowany dla wzięcia udziału w walkach z Niemcami.

Prof. Godłowski wygłosił w Putiwlu odczyt o problemie badań mózgu. Była to inauguracja akcji odczytowej, która się potem tak szeroko rozwinęła w Kozielsku. Inicjatywa należała do gen. Wołkowickiego, który już od pierwszego tygodnia niemal zaczął wykazywać dużo troski o utrzymanie morale jeńców. Był to październik 1939, czyli okres, w którym normalnie uniwersytety rozpoczynały trymestr jesienny. Gdyby nie wojna, to prawdopodobnie mniej więcej w tym samym czasie dr Godłowski jako świeżo mianowany profesor miałby swój wykład inauguracyjny, który według tradycji Uniwersytetu Wileńskiego — byłby wykładem publicznym i na pewno stanowiłby wydarzenie w dziejach Wydziału medycznego. W wyniku zawieruchy, która nas wszystkich nagle zakręciła w szalonym tańcu żywiołów, prof. Godłowski inaugurował również wykłady, lecz w jakże fantastycznie odmiennych warunkach. Wzrostu nieco wyżej niż średniego, o bladej, lecz zdrowej twarzy, w czarnych, dobrze wyczyszczonych butach, co nadawało jego sylwetce nawet wyraz pewnej elegancji, — stał oparty nieco plecami o szeroki niski piec — i mówił o swojej specjalności. Za małymi okienkami izby było widać druty kolczaste i straż bolszewicką, a dalej rozciągały się rozległe pola buraczane. Na podłodze, w nieprawdopodobnym ścisku siedzieli oficerowie, słuchając wykładu. — „To ten, któremu powierzony był mózg Marszałka” — szeptał ktoś za mną swemu sąsiadowi.

Prof. Godłowskiego widywałem potem często w Kozielsku. Trafił do jednej z najbardziej nieprzytulnych i chłodnych sal w obozie. Pamiętam go na narach w płaszczu i butach, czytającego po angielsku pamiętniki Churchilla z Pierwszej Wojny. Zawsze spokojny i opanowany, nie był ani optymistą, ani pesymistą i nie ulegał zmiennym falom nastrojów, które podnosiły się i opadały w środowisku kozielskim, jak i wszędzie, gdzie z natury ciągłego obcowania, ludzie sugestionują siebie wzajemnie. Miał w sobie bardzo wiele tego taktu, który daje wysoka kultura i tego wyrozumienia dla ludzi, które musi mieć lekarz chorych dusz, a to było przecież jego zawodem. Wiała od niego pewna zwarta w sobie harmonia i siła wewnętrzna. Nie zauważyłem, aby się z kimkolwiek przyjaźnił szczególnie, lecz cieszył się powszechnym szacunkiem i nie słyszałem nigdy od nikogo najlżejszego słowa krytyki w stosunku do jego osoby. Nie mogę sobie przypomnieć dnia, w którym odjechał do Katynia; było to zdaje się w jednym z pierwszych transportów.

Z innych jeńców, których spotkałem w Putiwlu, przypominam sobie jeszcze gen. Bohatyrewicza i pastora, płk. Peszke, naczelnego kapelana ewangelicko-augsburskiego. Gen. Bohatyrewicz miał około 70 lat i był już od dawna na emeryturze. Bolszewicy znaleźli go w Druskiennikach, gdzie staruszek był na kuracji. Podczas wojny 1919-1920 gen. Bohatyrewicz dowodził jednym z pułków litewsko-białoruskich, bodajże Grodzieńskim pułkiem piechoty, należącym do 2-ej Litewsko-Białoruskiej Dywizji (później 29-ej D.P.). Staruszek cierpiał na częste ataki serca, lecz trzymał się dobrze, był stale w dobrym humorze i usiłował robić wrażenie jak najbardziej rześkiego.

Pastor płk Peszke otaczany był powszechnym szacunkiem i sympatią w obozie. Został potem przewieziony razem z nami do Kozielska, gdzie podzielił los rzymsko-katolickich kapelanów wojskowych. Razem z nimi został w noc wigilijną 1939 roku wywieziony w nieznanym kierunku. Prawdopodobnie leży razem z nimi w jakiejś odrębnej mogile, możliwe, że na tym samym terenie katyńskim. Wydaje mi się, że można wysunąć hipotezę, że martyrologia katyńska rozpoczęła się w pierwszy dzień Bożego Narodzenia 1939 roku, kiedy prawdopodobnie rozstrzelano większość rzymsko-katolickich kapelanów wojskowych (ks. prałata Wojtyniaka, ks. Skorela, ks. płk. Nowaka i innych).

W Putiwlu cała nasza grupa 19-ej D.P. była w tej samej izbie, leżeliśmy pokotem na gołej podłodze, nieprawdopodobnie ściśnięci. Nie było mowy o tym, aby ktoś mógł leżeć na wznak, gdy zaś ktoś chciał się przewrócić na drugi bok, musiał o tym uprzedzać sąsiadów, gdyż można to było wykonać jedynie jako ruch wspólny. Obok mnie leżał płk Nowosielski. Nogi moje opierały się o gen. Wołkowickiego, co było dość wygodne, lecz niezmiernie mnie żenowało. Generał był w dobrej formie i opowiadał fragmenty ze swoich bogatych dziejów. W 1904 roku wzięty do niewoli przez Japończyków próbował stamtąd uciec do Australii, lecz został ujęty już na statku, gdzie usiłował podać się za syna jakiejś bogatej Angielki, nie znając przy tym języka angielskiego. Sąd japoński skazał go na 2 lata więzienia. Ówczesny miczman Wołkowicki odsiedział z tego 6 tygodni. Opowiadał nam właśnie o japońskim więzieniu wojskowym, gdzie z natury obyczajów tamtego kraju nie było również ani łóżek ani krzeseł. Z humorem mówił o tym, że obecnie jedynym jego dobytkiem jest zapasowa para kalesonów, której używa zamiast poduszki. Zauważyłem też, że generał zaczął dość systematycznie oddawać część swojej racji chleba to jednemu, to drugiemu z młodych oficerów, twierdząc przy tym, że właściwie nie odczuwa głodu.

Ppłk. dypl. Gustaw Nowosielski był jak zawsze zadumany i mało skłonny do rozmów. Gdy zdarzało się mu jednak mówić o swoim życiu przedwojennym, głos jego stawał się jeszcze cichszy i nabierał jakiegoś miękkiego odcienia. Mówił wówczas o swojej żonie, która zmarła na gruźlicę nie długo przed wojną; o smutnych dniach wdowieństwa, które potem przyszły; o siostrze, o miłym gronie serdecznych przyjaciół, wśród których płynęło mu życie, o Wyższej Szkole Wojennej. Przeważnie jednak milczał. Oczy wszystkich oficerów naszego pułku skierowywały się na niego. Tutaj w tej nędznej chałupie, w niewoli i poniżeniu pozostawał on wciąż naszym dowódcą nie tylko z nominacji władz przełożonych, lecz i z wyboru naszych serc.

Po pewnym czasie dano nam deski i pozwolono zrobić dwa piętra prycz. Wypadło mi znowu miejsce obok ppłk. Nowosielskiego. Po drugiej stronie leżał ów podchorąży Ślązak, o którym pisałem powyżej, że mogąc opuścić Putiwł, dobrowolnie pozostał z nami aby dzielić los towarzyszy walki. Również uzyskaliśmy zezwolenie na gimnastykę poranną. Prowadził ją z dużą umiejętnością jeden z dowódców kompanii naszego pułku, oficer służby stałej, który miał zdaje się ukończony Instytut Wychowania Fizycznego. Odróżniał się on w naszym zespole tym, że nie był ani kresowakiem ani Ślązakiem, a zdaje się Mazurem. Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska, jakkolwiek doskonale pamiętam wyraz jego twarzy, małą krępa postać i sprężyste ruchy. Był to człowiek o dużym zmyśle humoru; jego dowcipne kawały umilały nam niedolę zarówno w Putiwlu, jak i potem w Kozielsku. Gdy zauważał objawy przygnębienia, lub zdarzało mu się być świadkiem rozstrząsania nieustających pogłosek o tym, że wkrótce nas będą zwalniać, zwykł był mówić: „Tak, najcięższe to będą te pierwsze trzy lata, potem już przyzwyczajmy się i będzie łatwiej”. W owym czasie przypuszczenie, że ta niewola może potrwać aż tak długo, wydawało się czymś tak potwornym, że nikt podobnej myśli nie dopuszczał i słuchacze z reguły wybuchali śmiechem jak z dobrego dowcipu. Tymczasem tak się właśnie ułożyło, że ci nieliczni spośród Kozielszczan, którym udało się uniknąć masakry katyńskiej, przebyli w Związku Sowieckim prawie dokładnie trzy lata.

Dopiero po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że nie jesteśmy jedyną otoczoną drutem kolczastym „zoną” w okolicy, że w wielu innych miejscach są tu rozlokowane grupy polskich jeńców: oficerów, szeregowych i policji. Policjantów z sąsiedniego „mieszkania” wkrótce zabrano i prawdopodobnie wywieziono; na ich miejsce przyprowadzono grupę szeregowych, prawie wyłącznie mieszkańców Polski centralnej. Byli oni wyselekcjo-

nowani z większych obozów i ugrupowani województwami. Obietnice więc „politruków”, że są przeznaczeni na odesłanie do kraju wydawały się w tym wypadku zupełnie prawdopodobne. Myślę, że wielu z moich kolegów odczuło tę zmianę sąsiedztwa (to znaczy odejście policjantów, a przyjście grup szeregowych) jako ulgę. Dwukrotnie miałem możliwość obserwować naszą policję w Związku Sowieckim: raz w Podwołoczyskach, powtórnie znowu w Putiwlu. Obydwa razy odniosłem raczej ujemne wrażenie. Rozluźnianie się spójni wewnętrznej i dyscypliny następowało tam szybciej, niż wśród innych kategorii więźniów. Słyszało się często narzekania na porządki, które panowały w niepodległej Polsce. Stosunek do oficerów był nieuprzejmy, a często nawet wrogi. W Podwołoczyskach słyszałem z grupy policjantów okrzyk w naszym kierunku: „Skończyło się wasze panowanie”. Można było pomyśleć, że policja stanowiła najbardziej upośledzoną w niepodległej Polsce kategorię obywateli. Byłem świadkiem jak w Putiwlu gen. Wołkowicki był zmuszony do bardzo stanowczej reakcji na zachowanie się policjantów i do uprzedzenia ich, że po powrocie do kraju wyciągnie konsekwencje. Piszę te słowa z prawdziwą przykrością, bo los policji był zapewne nie mniej tragiczny niż los moich kolegów pomordowanych pod Katyniem. O sześciu tysiącach zgromadzonych w obozie w Ostaszkowie, w kalinińskiej obłasti, nic nie wiemy i — trzeba przyznać — że społeczeństwo polskie interesuje się mniej tą sprawą, niż sprawą Kozielska i Starobielska. Chciałbym więc bardzo, aby inne obserwacje co do sposobu zachowania się policji w niewoli sowieckiej nie potwierdziły moich wrażeń. Gdy je sobie przypominam, nie mogę oprzeć się przypuszczeniu, że musiały być jakieś poważne mankamenty w zakresie doboru i wychowania kadr naszej policji.

Natomiast to krótkie, bo zaledwie kilkodniowe, sąsiedztwo z grupą szeregowych pozostawiło u nas wszystkich jak najbardziej przyjemne wspomnienie. Nigdy w życiu nie miałem możliwości zetknąć się bliżej ani z chłopem, ani z robotnikiem polskim z Korony w ich masie. W wojsku przeważnie miałem do czynienia z masą żołnierską polsko-białoruską, która jest psychicznie bardzo odmienna od ludu polskiego w Koronie. Jedynie przez krótki okres w 1919 roku służyłem w baterii, która przeważnie składała się z „Antków” warszawskich, lecz to jest element specyficzny i trudno go uważać za typowy dla ludu polskiego. Jedyne zaś miasto w granicach Polski obecnej, w którym kiedyś przed wojną mieszkałem, to Wrocław. Toteż to kilkudniowe przebywanie z szeregowymi wracającymi z niewoli rosyjskiej było dla mnie poniekąd rewelacją. Cechą, która mnie najbardziej

uderzyła, było panujące wśród nich zdecydowane poczucie własnej wyższości w stosunku do wszystkiego, co widzieli w Rosji.

Wśród oficerów było bardzo wysokie poczucie obowiązku żołnierskiego, można nawet powiedzieć egzaltowane poczucie tego obowiązku. Rosja była tym zdračliwym sąsiadem, który przez niespodziewany atak od tyłu uniemożliwił nam dalsze pełnienie tego obowiązku. Już przez to samo uczucia do Rosji nie mogły być dobre. Bałagan, bród, smród i chamstwo, któreśmy obserwowali, wzbudzały pogardę. Lecz jednocześnie wielu oficerów — w szczególności rezerwiści — z pewną dozą zainteresowania i dobrej wiary, przysłuchiwało się temu co mówili politrucy, lub pokazywały wyświetlane późnym wieczorem na podwórzu filmy propagandowe. Gdy oficerowie odpowiadali politrukowi, że chcieliby widzieć Rosję jako sprzymierzeńca Polski w walce z Niemcami, mówili to niewątpliwie jak najbardziej szczerze. Postawa ich wobec Rosji składała się z zawiętego kompleksu urazów i dobrej woli. Wszystkie obserwacje, które poczyniłem w Putiwlu (a potem również w Kozielsku) potwierdziły to wrażenie, które zawsze miałem w okresie pomiędzy wojnami, że polska inteligencja, będąc w masie swojej żywiwołowo antyniemiecką, jest jednocześnie potencjalnie prorosyjską.

Otóż tego rodzaju kompleksów nie zauważyłem w postawie szeregowych. Była ona całkowicie jasna i prosta. Była to postawa absolutnej obcości w stosunku do wszystkiego co widzieli w Związku Sowieckim i co słyszeli od politruków. Z humorem opowiadali o różnych propozycjach dobrowolnego pozostania w Związku Sowieckim, które poszczególnym z nich były niejednokrotnie czynione. Ta masa była przesiąknięta jakimś instynktem, który ją obwarowywał murem psychicznym bardzo trudnym do przebicia dla sowieckiej propagandy. Zauważyłem również inną rzecz ciekawą: stosunek do Niemców był oczywiście przesiąknięty świadomością, że to jest wróg, który na nas napadł, lecz w nienawiści w stosunku do tego wroga było jakoś więcej umiarkowania, niż w postawie, która przeważała wśród inteligencji. I wówczas zaczęło formować się we mnie pewne uzupełnienie mego dawnego wrażenia o potencjalnej prorosyjskości inteligencji polskiej. Zaczęło to przybierać postać tezy, że jeżeli kiedykolwiek Rosja psychicznie podbije Polskę, uczyni to poprzez polskich intelektualistów, a nie zaś przez zdobywanie sympatii polskich mas ludowych. Wiadomości, które obecnie dochodzą z kraju, zdają się w pewnym stopniu potwierdzać tę tezę.

Nasz stosunek z tym nowym sąsiedztwem był jak najlepszy. Przynieśli oni ze sobą sporo pieniędzy rosyjskich, które, spodziewając się rychłego powrotu do kraju, chętnie wymieniali na

polskie po dobrym kursie. Krawcy, szewcy, zegarmistrze od razu zaczęli funkcjonować, wykonując różne drobne reperacje. Pozabierali wiele listów i wiadomości dla doręczenia do kraju. Odeszli nocą w ostatnim tygodniu października. Była to szczególna noc w Putiwlu. Około naszego budynku przechodziła droga, którą ciągle maszerowały z różnych „zon” w kierunku kolei oddziały naszych żołnierzy, śpiewając polskie pieśni wojskowe. Gdy mijali nasz budynek wznosili okrzyki: „Niech żyją oficerowie”. Taki był lud polski w niewoli rosyjskiej.

Po odejściu szeregowych zakomunikowano nam, że czeka nas droga do miejscowości gdzie będzie większa koncentracja jeńców polskich. Wkrótce też odbyło się formalne przekazanie jeńców przez Armię Czerwoną w ręce NKWD, co było związane z kilkakrotnym sprawdzaniem nazwisk, stopni itp. W ostatnich dniach października zarządzono wymarsz do większej stacji kolejowej, przy której była duża cukrownia. Zastaliśmy tam biwakujące liczne grupy oficerów z innych pobliskich „zon” internowania. Między innymi tam właśnie spotkałem Wacława Komarnickiego mego starszego kolegę z Wydziału Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Stefana Batorego.

Kozielsk

W pierwszych dniach listopada przewieziono nas z Putiwla do Kozielska. Trasa podróży wiodła początkowo na północ na Briansk, stamtąd bardziej w kierunku wschodnim do rejonu Tuły. Wieziono nas w towarowych wagonach w których były jednak urządzone dwa piętra nar do spania. Wypadło mi miejsce obok ppłk. Tyszyńskiego oraz płk. Künstlera. Podczas owej podróży dowiedziałem się od ppłk. Tyszyńskiego, że miejscowość Plebania w pow. Mołodeczańskim, do której jeździliśmy na odpust w dniu 15 sierpnia 1939 roku, o czym wspominałem powyżej, była własnością jego rodziny. Przypomnieliśmy sporo wspólnych znajomych. Wyładowanie nastąpiło w nocy po czym musieliśmy maszerować kilkanaście kilometrów. Znaczna część drogi prowadziła przez ulice miasteczka. Lecz nie widzieliśmy wcale ludzi. Obdrapane brudne domki były pogrążone w śnie. Ciągłe musieliśmy omijać ogromne kałuże błota na niebrukowanych ulicach.

Nadzór eskorty, której towarzyszyły psy policyjne, był dość luźny. Przy pewnym sprycie i szczęściu chyba można było wyśliznąć się z maszerującej kolumny, chociaż obecność psów policyjnych czyniła możliwość ucieczki mało prawdopodobną. Podkreślam ten fakt względnej liberalności konwoju dla porównania

z niezmiernie ścisłym nadzorem przy likwidacji obozu kozielskiego, pięć miesięcy potem, gdy jeńców wieziono pod Katyń. Przy tej likwidacji wywożono samochodami po uprzedniej niezmiernie ścisłej rewizji i odebraniu wszystkich ostrych przedmiotów. Jechaliśmy przy tym nie przez miasto lecz jakąś okrężną drogą, a załadunek był dokonywany nie na stacji, ale nieco opodal na zapasowych torach. Starano się o to, aby te transporty, odchodzące w kierunku Smoleńska, jak najmniej rzucały się w oczy miejscowej ludności. Po przybyciu do Kozielska w początku listopada wszystko odbywało się w sposób o wiele mniej rygorystyczny.

Oboz Kozielski składał się z dwóch zasadniczych części: klasztoru i tzw. „skitu”. Klasztor, fundacja książąt Puzyna, znany był w Rosji przedrewolucyjnej jako „Optina pustyn” i odegrał pewną rolę w historii Cerkwi prawosławnej w ostatnich stuleciach przed rewolucją. Podobno przez pewien czas przebywał tam Rasputin, który za czasów Mikołaja II posiadał znaczny wpływ na politykę personalną Cerkwi, obsadzanie stolców biskupich itp.

Klasztor składał się z kilkunastu budynków przeważnie murowanych, w tym kilka cerkwi; był otoczony murem i fosą. Widocznie w dawnych czasach stanowił on punkt obronny w pobliżu granicy państwa Moskiewskiego z Wielkim Xięstwem Litewskim. Skit był miejscem w niedużym lasku, gdzie kiedyś mieszkali mnisi eremici. Z biegiem czasu powstały tam domy zajezdne, czy też rodzaje hoteli dla pielgrzymów. Były to w ogromnej większości drewniane budynki małych lub średnich rozmiarów. Szczegółowe opracowanie warunków pobytu w obozie kozielskim, jak również jego topografii zostało dokonane przez prof. Wiktora Sukiennickiego. Widziałem to cenne opracowanie jedynie w maszynopisie, mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu. Nigdy nie słyszałem żeby ono potem ukazało się w druku.

Pierwszą dobę w obozie kozielskim spędziłem w „skicie”. Trafiłem do jednego z drewnianych domków, gdzie zastałem szereg oficerów kawalerii, których poznałem jeszcze w Putiwlu. Było tam poza tym kilku oficerów wojsk samochodowych, którzy odznaczyli się tym, że mieli skórzane kurtki. Między nimi był również kpt. Kozieł-Poklewski, właściciel farmy zwierząt futerkowych w powiecie wilejskim. Słyszałem o nim przed wojną, gdyż jego żona pracowała jako sekretarka Wydziału teologicznego na Uniwersytecie Wileńskim. W tym domku, do którego pościgaliśmy przypadkowo znalezione puste skrzynie, aby napalić w piecach, spędziłem, wyciągnięty na podłodze na wiązce słomy,

niezmiernie przyjemny wieczór, poświęcony rozpamiętywaniu tradycji naszej kawalerii. Opisuję go w innym miejscu. Działo to jakby zastrzyk jakiegoś narkotyku. Wówczas po raz pierwszy w życiu przekonałem się ile ukojenia i nawet radości może znaleźć człowiek w dniach kłębki w rozpamiętywaniu blasku rzeczy minionych.

Następnego dnia zaczęto likwidować ten przypadkowy podział na mieszkańców klasztoru i skitu. W klasztorze skoncentrowano tych co przed wojną zamieszkiwali na terenie okupacji niemieckiej lub Litwie, tzn. tych, których nie można było uważać za obywateli sowieckich, w skicie zaś tych co zamieszkiwali na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, i których władze sowieckie uważały już za swoich obywateli. Ja trafiłem do klasztoru nie tylko dlatego, że mieszkałem w Wilnie, które w 1939 roku zostało wcielone do Republiki Litewskiej, lecz dlatego że podałem przy spisie fałszywe dane. Nieco zmieniłem brzmienie swego nazwiska; nic nie wspominałem o profesurze, lecz podałem że byłem urzędnikiem Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie. Zostałem rozkonspirowany dopiero w marcu 1940 roku przed samym początkiem likwidacji Kozielska. Pomiędzy mieszkańcami klasztoru i skitu ustanowiono bardzo dokładny kordon. Pewne możliwości komunikacji można było uzyskać tylko przy pomocy robotników rosyjskich, którzy pracowali w obydwóch częściach obozu, lub przez to, że „skitowców” przyprowadzano czasami do łaźni w klasztorze i oni mieli okazję do rzucenia nam czasami kilka wiadomości.

Jeżeli chodzi o moje wrażenia z pobytu w Kozielsku (listopad 1939 - kwiecień 1940) szereg fragmentów moich wspomnień zostało umieszczonych w *Zbrodni Katyńskiej*, zbiorowej książce pod redakcją profesora Zdzisława Stahla, wydanej po raz pierwszy w 1948 roku z przedmową gen. Andersa². Nie chciałbym więc tutaj powtarzać tych opisów, które na ogół są znane tym co tę książkę czytali. Pewne jednak najbardziej ogólne wnioski z owych opisów chciałbym podkreślić.

Bardzo szybko po przybyciu do Kozielska stało się jasne, że był to przede wszystkim obóz śledczy, którego celem było wyjaśnienie — z punktu widzenia sowieckiej służby bezpieczeństwa (NKWD), na czele której stał osławiony Beria — charakterystyki każdego jeńca i podzielenie więźniów na pewne kategorie jeżeli chodzi o możliwość użycia ich dla sowieckich celów państwowych. Związek Sowiecki nie podpisał międzynarodowych kon-

2. *Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów*. Wydanie trzecie „Gryf”, Londyn, str. 18-30, str. 40-49.

wencji o traktowaniu jeńców wojskowych, nie uznawał też żadnych zasad jeżeli chodzi o stosunek do jednostki ludzkiej, lecz powodował się jedynie punktem widzenia interesów swego państwa, jak również międzynarodowych celów tego państwa, które dość mętnie określano jako rewolucja światowa. Kozielski więc można określić jako pewnego rodzaju zakład studiów nad mentalnością i właściwościami odmiennego typu ludzi, których w 1939 roku Związkowi Sowieckiemu udało się chwycić w swoje ręce dzięki sojuszowi z Hitlerem.

Na czele całego zespołu prowadzącego te studia stał kombrig (generał brygady) Zarubin, wysoki urzędnik NKWD, człowiek kulturalny, władający językami, bardzo przyjemny w konwersacji. Przypominał w pewnym stopniu typ wykształconych oficerów żandarmerii carskiej, których w szczególnych warunkach mego dzieciństwa zdarzało mi się czasami spotykać na gruncie towarzyskim. Piszę o nim nieco więcej we fragmentach wydrukowanych w *Zbrodni Katyńskiej*³. Jemu podlegali oficerowie śledczy, przeważnie w stopniach od porucznika do majora, których zadaniem, o ile mogłem zrozumieć, było wypracowanie charakterystyki poszczególnych jeńców. Charakterystyki te były oparte nie tylko na bezpośrednich badaniach, lecz również na wszelkiego rodzaju innych dostępnych materiałach. Zdobycie tych materiałów było w dużym stopniu ułatwione w stosunku do tych naszych oficerów, którzy zamieszkiwali na terenach okupowanych przez wojska sowieckie. Prócz tego na terenie obozu było szereg enkawudystów w stopniach podoficerskich, którzy ciągle odwiedzali poszczególne baraki i wyciągali jeńców na rozmowy na tematy polityczne. Nazywano ich politrukami. Oficjalnie ich zadaniem była propaganda, tzn. uświadomienie jeńców co do wyższości systemu sowieckiego. Faktycznie chodziło nie tyle o propagandę ile o zorientowanie się w nastrojach jeńców w ich masie. Należy przypuszczać, że musieli oni składać raporty z tych rozmów i dyskusji. Ostateczna synteza wszystkich tych sprawozdań prawdopodobnie należała do kombriga, który dość często wyjeżdżał do Moskwy oraz prawdopodobnie odwiedzał również Starobielsk i Ostaszków. Jego sprawozdanie było według wszelkiego prawdopodobieństwa podstawą do ostatecznej decyzji katyńskiej, chociaż oczywiście nie ma żadnej pewności, że wniosek fizycznej likwidacji jeńców został postawiony przez niego. Do niego także należała prawdopodobnie decyzja co do wyseparowania pewnych jednostek z ogólnego schematu rozwiązania losów jeńców. Tak w każdym razie było — o ile mogłem się zorientować — w mojej

3. *Ibid.*, „Gryf”, Londyn, str. 26-28.

sprawie. Tak też wydaje mi się było w sprawie profesora Wacława Komarnickiego, wybitnego znawcy prawa konstytucyjnego i międzynarodowego, który był zmobilizowany jako oficer korpusu sądowego. Kombrig na samym początku naszego internowania w obozie kozielskim, zarządził aby prof. Komarnickiego, który w wojsku miał stopień podporucznika, przenieść do bloku przeznaczanego dla pułkowników, gdzie były lepsze warunki mieszkaniowe. Przy likwidacji Kozielska prof. Komarnicki trafił do Griazowca i prawie natychmiast po zawarciu umowy Sikorski-Majski w 1941 roku wyjechał do Londynu aby zostać Ministrem Sprawiedliwości w rządzie gen. Sikorskiego z ramienia tego odłamu Stronnictwa Narodowego, który tę umowę popierał. Po przybyciu do Londynu min. Komarnicki czynił różne starania, zarówno w naszym Ministerstwie Spraw Zagranicznych jak i w Ambasadzie Sowieckiej, aby spowodować zwolnienie mnie z łagru na Dalekiej Północy, w którym byłem więziony wbrew tej umowie.

W Kozielsku jeńcy otrzymali prawo wysyłania listów do rodzin, przy tym musieli podawać swój adres pocztowy jako „dom wypoczynkowy imienia Gorkiego” w Kozielsku (*Dom Oddycha imieni Gorkogo*). Nie jest wykluczone, że istotnie istniał projekt urządzenia z czasem w budynkach poklasztornych jakiegoś sanatorium, bo ta okolica miała zdrowy klimat. Lecz nazwanie domem wypoczynkowym miejsca, gdzie w pocerkiewnych budynkach zrobiono pięć piętér nar, aby wcisnąć tam setki więźniów, może służyć jako jeden z przykładów tego zakłamania, które stanowi styl życia sowieckiego.

Na tle tej nazwy powstawały czasami dość zabawne nieporozumienia. Opowiadano mi o jednym oficerze, pochodzącym z centralnej Polski, który otrzymał od żony list pełen gorzkich wymówek, że on sobie zażywa wywcześnie kiedy rodzina niemal że głoduje. W innym wypadku oficer rezerwy pochodzący ze Lwowa pokazywał mi list od żony, która prosiła go, aby użył swoich niewątpliwych wpływów i stosunków w Związku Sowieckim, aby władze miejscowe we Lwowie nie narzucały jej niepożądanych lokatorów. Z drugiej strony trzeba przyznać, że fizyczne warunki egzystencji były na ogół lepsze niż w więzieniach sowieckich. Jeńcom wydawano 800 gramów razowego chleba na dobę; na obiad i na kolację wydawano zupę i kaszę. W zupie można było czasami wyłowić drobny kawałek mięsa lub ryby. Nie było to dostateczne, żeby się nasycić, lecz dostateczne, aby utrzymać się przy życiu i nawet aby podtrzymać siły żywotne organizmu. Ci, którzy zgłaszali się do jakichś robót

czy na terenie obozu, czy też poza obozem, otrzymywali oprócz tego racje dodatkowe.

Jeżeli chodzi o postawę moralną jeńców — piszę o tym nieco obszerniej w tych fragmentach, które zostały umieszczone w *Zbrodni Katyńskiej*. Poza pewnymi indywidualnymi wyjątkami robiono wszystko, aby siebie wzajemnie podtrzymać na duchu. Wierzano w ostateczne zwycięstwo oraz wierzano w pomoc i dobrą wolę naszych sprzymierzeńców. Polacy w ogóle mają skłonność do polegania na pomocy i dobrej woli dalekiego Zachodu. W początkach XIX wieku wierzano w Napoleona I, w powstaniu styczniowym w Napoleona III, podczas drugiej wojny światowej wierzano w Churchilla.

Czynnikiem niezmiernie podnoszącym wielu jeńców na duchu było rozwinięte życie religijne. W Kozielsku mieliśmy szereg kapelanów wojskowych. Ponieważ wszyscy byli w mundurach więc dopiero z biegiem czasu władze zorientowały się, że to nie byli regularni oficerowie. Spośród rzymsko-katolickich kapelanów przypominam sobie ks. prałata Wojtyniaka (zastępca biskupa połowego), ks. Nowaka, ks. Ziółkowskiego, ks. Skorela. Ks. Kantak, Profesor Seminarium Duchownego w Pińsku był pomiędzy księżmi jedynym cywilem, który dostał się do Kozielska przypadkowo, gdyż był w towarzystwie kilku oficerów, gdy zagarnął go sowiecki patrol wojskowy.

Ponieważ wszelkie wspólne modlitwy były surowo zakazane, nabożeństwa nabierały charakteru katakumbowego. Księża odprawiali msze św. w różnych zakamarkach starych cerkwi, lub nawet gdzieś w suterynach, a potem rozdawano komunię świętą w postaci chleba pszenicznego, pochodzącego z racji obcowych. We wszystkich też blokach był zachowany zwyczaj wieczornej modlitwy, odprawianej w postaci trzyminutowej ciszy. Gdy około godziny 9-ej wieczorem z jakiegoś ciemnego kąta, lub z chóru cerkwi, przerobionej na barak więzienny, rozbrzmiewał władczy głos: „Zarządzam trzyminutową ciszę”, zamierały wszystkie rozmowy i ustawał wszelki ruch. Każdy pozostawał na miejscu gdzie ten głos go zastał. Spowiedź, odbywano poważnie w czasie spacerów po podwórzu obozowym. Jeżeli się więc widziało jakiegoś oficera, spacerującego pod rękę z jednym z księży można było uważać, że przystępował on w ten sposób do sakramentu pokuty. Było sporo wypadków, że ludzie, którzy nie zaliczali się przed wojną do praktykujących katolików, odbywali teraz spowiedź z całego życia i przystępowali do komunii świętej. Osobiście zetknąłem się z dwoma takimi wypadkami.

W dzień wigilijny 1939 roku aresztowano i wywieziono wszystkich księży, zarówno rzymsko-katolickich jak prawosław-

nych i protestanckich. Jedynym wyjątkiem był ks. major Ziółkowski, który właśnie w tym czasie siedział w „karcerze” z powodu tego, że został przyłapany na odprawianiu nabożeństwa. Widocznie o nim po prostu zapomniano, gdy otrzymano rozkaz aby pośpiesznie zorganizować transport duchownych przebywających w obozie. Należy przypuszczać, że wszyscy zostali zamordowani, z wyjątkiem ks. Kantaka, którego wysegregowano po drodze podobno dlatego, że był obywatelem gdańskim. Miał więc tytuł do tego, aby go potraktować jako obywatela Niemiec, z którymi Związek Sowiecki był w owym czasie w sojuszu wojskowym. W końcu znalazł się on w Griazowcu — obozie około Wołody — dokąd wiosną 1940 roku, w okresie likwidacji polskich obozów oficerskich, przewieziono około 400 oficerów, mniej więcej około 3 % ogólnej liczby zaludnienia oficerskich obozów jenieckich. Motywy dla których tym trzem procentom zdecydowano darować życie są niemniej, a nawet bardziej tajemnicze, niż motywy decyzji o fizycznej likwidacji pozostałych 97 %. Potem do obozu w Griazowcu przewieziono również tych oficerów i podchorążych, których zabrano podczas okupacji Litwy latem 1940 roku.

Fakt, że właśnie okres świąt Bożego Narodzenia wybrano dla rozprawy z księżmi miał znaczenie symboliczne i sprawił przygnębiające wrażenie na jeńcach kozielskich. Gdy potem w łagrach sowieckich spotykałem zakonników rosyjskich, którzy twierdzili, że szatan rządzi Rosją, i że na czele władz sowieckich stoją ludzie, którzy są w specjalnej służbie szatana, nie traktowałem tego jako nonsens; lecz przypominałem sobie to, co twierdzili wielcy pisarze i myśliciele rosyjscy: Fiodor Dostojewski, Władimir Sołowjow oraz Dmitrij Mereżkowski; a także to wszystko, co tak często nam mówił Marian Zdziechowski, wielki znawca psychologii religijnej rosyjskiej, z którym moja żona i ja byliśmy w przyjaźni. Na podkreślenie zasługuje fakt, że likwidacja księży w okresie świąt Bożego Narodzenia 1939 roku miała miejsce nie tylko w Kozielsku lecz również w Starobielsku, jak o tym opowiadali ci, co przeżyli Starobielsk⁴. Był to więc skutek centralistycznie powziętej decyzji. Nie ma jednak żadnych wskazówek co do miejsca i sposobu przypuszczalnej egzekucji księży w okresie Bożego Narodzenia 1939 roku. W każdym razie wśród tych zwłok, które były ekshumowane przez Komisję Międzynarodową w 1943 roku, nie ma żadnego z wyżej wymienionych duchownych.

Czynnikiem, który odgrywał dużą rolę w podtrzymaniu

4. *Ibid.*, str. 31-32.

morale jeńców był dziennik mówiony, który stał się niemal instytucją obozową. Odbywał się on wieczorem w ogromnej cerkwi. Był odczytywany bardzo donośnym głosem z jakichś ciemnych zakamarków ogromnych chórów cerkiewnych, tak że policja obozowa wśród kilkutysięcznego tłumu słuchaczy nie miała łatwego zadania, gdy chodziło o uchwycenie redaktorów oraz tych co odczytywali zredagowane już wiadomości i artykuły. W dniu 19 marca 1940 roku, tzn. w dniu św. Józefa, dziennik przeistoczył się w obchód poświęcony pamięci Marszałka Piłsudskiego. Była to jedna z najbardziej wzruszających uroczystości, w których w życiu brałem udział. Wiadomości o wypadkach międzynarodowych były oparte prawie wyłącznie na radio sowieckim oraz sowieckiej prasie, która była dostępna mieszkańcom obozu. Głównymi redaktorami dziennika byli: ppor. Leonard Korowajczyk, którego znałem przed wojną jako studenta Uniwersytetu Wileńskiego, związanego z lewicowymi katolickimi organizacjami, oraz por. Janusz Libicki, docent ekonomii na Uniwersytecie Poznańskim. Łączyła mnie z Libickim wspólna specjalność i podobieństwo poglądów na niektóre wewnętrzne sprawy Polski. Gdy przy likwidacji Kozielska wezwano go do transportu, niosłem część jego rzeczy aż do miejsca, do którego wolno było zbliżyć się odprowadzającym.

Skład obozu kozielskiego ulegał pewnym wahaniom nie tylko przez to, że od czasu do czasu niektórych jeńców indywidualnie wywożono, lecz również przez to, że czasami przywożono nieduże grupy z innych obozów lub więzień. Jeszcze w 1939 roku przywieziono grupę kilkunastu oficerów rezerwy z Wilna w cywilnych ubraniach. Opowiadali, że władze po zajęciu miasta ogłosiły któregoś dnia rejestrację polskich oficerów rezerwy. Pewna ilość osób zgłosiła się; ściągnięto z nich ewidencje i pozostawiono w spokoju. Pewnego jednak dnia wszystkich, którzy się tego dnia zgłosili, zatrzymano i przewieziono do Kozielska. Nie pamiętam nazwisk, lecz należy przypuszczać, że wszyscy leżą w mogile katyńskiej, bo nikogo z tej grupy nie dane mi było spotkać w wojsku lub na wolnym świecie.

W początku 1940 roku przywieziono do obozu kozielskiego grupę około trzydziestu osób, przeważnie cywilnych, których umieszczono w oddzielnym bloku. Blok ten został otoczony gęstym ogrodzeniem z drutów kolczastych, przy którym postawiono wartę. Stworzono więc specjalną strefę w strefie obozowej. Jeńcom zakazano stanowczo jakichkolwiek prób komunikowania się z więźniami tej wewnętrznej strefy. Od czasu do czasu wyprawiano jednak nieduże grupy, składające się z kilku więźniów do ubikacji, znajdującej się na podwórzu obozowym. Chcąc więc

zetrząść się z owymi więźniami należało jakoś zadekować się w ubikacji i czekać cierpliwie aż kolejna grupka nadejdzie. W ten sposób udało mi się zetknąć z dwoma osobami z tego zakazanego bloku.

Jedną był pułkownik Kornilowicz, który w Ministerstwie Spraw Wojskowych w Warszawie zajmował się sprawami oświaty w Armii. Znałem nieco lepiej jego brata ks. Kornilowicza, który był kapłanem Domu dla Ociemniałych w Laskach pod Warszawą oraz kierownikiem sławnego domu rekolekcyjnego w tej samej miejscowości. Ks. Kornilowicz był tym księdzem, który udzielił Marszałkowi Piłsudskiemu Sakramentu Ostatniego Namaszczenia na kilka chwil przed Jego zgonem w 1935 roku. Przelotnie również spotykałem się z jego drugim bratem, który był dyrektorem Instytutu Spraw Społecznych w Warszawie. Wiedziałem również, że płk Kornilowicz był żonaty z córką Henryka Sienkiewicza. Płk Kornilowicz był więc bardzo blisko związany z tym co można by nazwać szczytami intelektualnymi ówczesnej Polski i, jak mi się w tym niezwykle spotkaniu wydało, uosobieniem kultury duchowej Polski. Nasze spotkanie miało niezmiernie serdeczny charakter. Płk Kornilowicz wziął moją prawicę w swoje obydwie dłonie i długo ją ścisnął. Zagarnięto go w jakimś samochodzie sztabowym na południu Polski. Nie orientował się dlaczego władze sowieckie traktują go jako specjalnie niebezpiecznego więźnia, którego należało izolować od jeńców wojskowych.

Drugą osobą, którą poznałem z tej grupy za drutami, był ziemianin z Podola, który mi podał swoje nazwisko jako Czajkowski. Robił wrażenie człowieka pomiędzy trzydziestką a czterdziestką. Na moje pytanie o przyczynach aresztowania odpowiedział, że należał do organizacji prometejskich. Prometeizm był to ruch narodów kaukaskich uciemnionych przez Rosję. W ruchu tym, o ile orientuję się, brała udział również pewna ilość Ukraińców i Polaków, a także byli tam przedstawiciele narodów centralnej Azji. NKWD traktowało z wielką bezwzględnością ludzi związanych z prometeizmem. Dlatego też byłem nieco zaskoczony tą otwartością, z jaką Czajkowski mówił nieznanemu człowiekowi o swojej rzekomej, czy też istotnej, przynależności do tej organizacji. Zadałem mu kilka pytań co do losów niektórych znanych mi osób z podolskiego ziemiaństwa, na co trzymałem dość wyczerpującą odpowiedź. Tę grupę w specjalnej зоне za drutami trzymano w naszym obozie około dwu tygodni. Potem wywieziono w nieznanym kierunku. Bardzo wątpię czy ktoś z nich pozostał przy życiu.

Druga grupa, którą w nieco późniejszym czasie dołączono do jeńców kozielskich, składała się z urzędników i członków

korpusu sądowego aresztowanych na Wołyniu. Od jednego z nich który, o ile sobie przypominam, był naczelnikiem wydziału administracyjnego w urzędzie wojewódzkim w Łucku otrzymałem informacje o moich tamtejszych przyjaciółach. Jeden z tych przyjaciół, urzędnik województwa, został aresztowany i słuch o nim zaginął. Ci przybysze z Wołynia przeważnie byli trzymani w Kozielsku aż do likwidacji tego obozu i przypuszczalnie wszyscy leżą w mogile katyńskiej.

Trzecia grupa, która przybyła do Kozielska, kiedy obóz ten był już w pełni zorganizowany i badania śledczych oficerów, ustalających szczegóły indywidualnych kartotek, były w pełnym toku, składała się z pewnej ilości młodszych oficerów ze Starobielska. Dokładnie tej ilości nie mogę podać. Mówiono mi, że około 200 osób, chociaż wydaje mi się, że ta cyfra była przesadzona. Od nich dowiedzieliśmy się o samym istnieniu Starobielska oraz o jeńcach tam internowanych. Według tego co ci przybysze mówili, istniała pewna tendencja, żeby koncentrować oficerów sztabowych w Starobielsku, a młodszych stopniem odsyłać do Kozielska. Słyszałem nawet o próbach nawiązania łączności korespondencyjnej ze Starobielszczanami.

Fakt przewiezienia pewnej ilości Starobielszczan do Kozielska nabiera pewnego znaczenia w związku z interpretacją różnych odkryć dokonanych przy badaniu grobów katyńskich. Fakt ten oznacza, że pewna ilość oficerów, którzy początkowo byli w Starobielsku, musiała znajdować się w mogile katyńskiej. Ilość ta nie mogła przekraczać dwu procentów zaludnienia obozu starobielskiego. Z tego jednak bynajmniej nie wynika — jak to zrobili błędnie Niemcy, a potem podchwycili sowietarze — że całość obozu starobielskiego znajduje się w mogile katyńskiej. Miejmy nadzieję, że miejsce, w którym wymordowano obóz starobielski zostanie kiedyś dokładnie wyjaśnione przez przyszłego historyka.

W marcu stało się wiadome, że jakieś decyzje co do dalszego losu jeńców zostały już powzięte. Mówili o tym zupełnie otwarcie przedstawiciele administracji więziennej i politycy, chociaż prawdopodobnie tylko bardzo niewielu wiedziało na czym te decyzje polegały. Wiadomość ta wywołała zrozumiałe podniecenie wśród jeńców.

W początku marca też miały miejsce pewne fakty, które — o ile mogę zorientować się — zaważyły bardzo poważnie na dalszych moich losach. Pewnego dnia Tadeusz Wirszyło, mój kolega uniwersytecki który pracował w sądownictwie, zawiadomił mnie, że był wezwany do śledczego oficera, który sporządził jego kartotekę, i że ten podczas rozmowy zapytał go o profesorów uniwersytetu wileńskiego, przebywających w Kozielsku. Wir-

szyłło wymienić Komarnickiego, Godłowskiego i mnie nie orientując się wcale, że podałem nieprawdziwe dane personalne. Oficer śledczy wydał się Wirszylle zaskoczony wiadomością o mojej obecności w obozie. Po kilku dniach zostałem wezwany do kombriga Zarubina. Byłem nieco zdziwiony, gdyż do kombriga wzywano przeważnie tylko oficerów sztabowych; profesor Komarnicki stanowił wyjątek. Kombrig przyjął mnie bardzo uprzejmie. Nic nie wzmiankował o tym, że wiadomo mu iż podałem fałszywe dane personalne. Powiedział natomiast, że sobie doskonale uświadamia, że należymy do dwu różnych obozów i reprezentujemy dwa różne światopoglądy, lecz że on niezmiernie lubi czasami podyskutować z człowiekiem z obozu przeciwników. Rozmowa nasza trwała z górą dwie godziny. Trudno było mi ustalić co go przede wszystkim interesowało. Rozpytywał mnie o moje podróże do Niemiec przed wojną, a również o moje kontakty i znajomości w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Poza tym jednak przeskakiwał z tematu na temat; macał mnie intelektualnie z różnych stron w sposób bardzo inteligentny. Ja, oczywiście, unikałem mówienia o swoich sympatiach federalistycznych i swoim przywiązaniu do koncepcji, które w 1919 roku reprezentował Józef Piłsudski. Podejrzewam, że ta rozmowa zaważyła bardzo na moich dalszych losach i na wyseparowaniu mnie ze standartowego rozwiązania sprawy polskich oficerów.

Wkrótce po tym nieco dziwnym indagowaniu mnie kombrig wyjechał — i ja go więcej nie widziałem. Natomiast od tych jeńców, którzy trafili potem do Głazowca słyszałem, że przyjeżdżał jeszcze w maju 1940 roku, bezpośrednio przed ich transportem do tej miejscowości. W obozie ogólnie przypuszczano, że ta jego dłuższa nieobecność wiązała się jakoś ze sprawą likwidacji Kozielska. Pod koniec marca 1940 roku zjawiła się w obozie nowa osobistość: pułkownik NKWD ogromnego wzrostu o czerwonej mięsistej twarzy. Widzieliśmy go czasami przechodzącego przez podwórze klasztorne.

Mniej więcej w miesiąc potem w dniu 30 kwietnia 1940 roku widziałem go na boczniczy przy stacji, kilkanaście kilometrów na zachód od Smoleńska (prawdopodobnie była to stacja Gniezdowo) jak doglądał transportu jeńców przewożonych do lasku katyńskiego.

Tych dwóch wysokich dygnitarzy NKWD odegrało podstawową rolę w sprawie Katynia. Kombrig Zarubin według wszelkiego prawdopodobieństwa sporządził podstawowy raport, chociaż nie wiadomo jakie postawił wnioski i czy w ogóle jakieś zdecydowane sugestie zostały przez niego wysunięte. Raport ten

musi znajdować się w archiwach NKWD. Ważnym zadaniem przyszłego historyka — kiedy archiwa NKWD zostaną otwarte — będzie jego przestudiowanie. Wierzę, że czas ten nie jest bardzo odległy, chociaż ja go już nie doczekam. Ów wysoki pułkownik z czerwoną twarzą był niewątpliwie organizacyjnym oraz technicznym kierownikiem wykonania decyzji. Kombrig Zarubin był w NKWD przedstawicielem inteligentnej części tej zbrodniczej instytucji, ów pułkownik specjalistą od brudnej roboty.

Jednym z najbardziej tajemniczych zarządzeń w okresie bezpośrednio poprzedzającym likwidację kozielskiego obozu było powszechne przymusowe szczepienie przeciwko tyfusowi brzusz-nemu i cholercze, rzekomo właśnie ze względu na oczekującą tych ludzi podróż. Powstaje pytanie jaki był sens dawać ochronne szczepienia ludziom, którym i tak pozostawało zaledwie kilka tygodni życia, i którzy w ciągu tych kilku tygodni mieli być hermetycznie odseparowani od reszty mieszkańców kraju. Oznaczało to koszt czterech i pół tysięcy szczepionek i pewne zaangażowanie personelu sanitarnego. Po pierwszym zastrzyku większość jeńców dostawała gorączki, która jednak szybko mijała. Po pewnym czasie chodziło się na drugi zastrzyk, który już nie dawał tych bolesnych skutków. Najbardziej logiczne wydaje się mi przypuszczenie, że władze obozowe również nie orientowały się jaka była ostateczna decyzja Centrali w sprawie losu jeńców i automatycznie zastosowały jakieś istniejące przepisy w sprawie transportu więźniów. Lecz podczas mojej późniejszej kariery więziennej i łagiernej, kiedy niejednokrotnie byłem transportowany, nie pamiętam aby kiedyś nam dawano jakieś ochronne zastrzyki; przed odjazdem pędzono jedynie do „bani” tzn. łaźni.

Najbardziej istotne rzeczy, dotyczące likwidacji obozu kozielskiego zostały również podane w tych fragmentach, które trafiły do *Zbrodni Katyńskiej*. Pierwszy transport odszedł według mojej najlepszej pamięci w dniu 3 kwietnia 1940 roku i pierwszym oficerem, którego zabrano był mój kolega pułkowy kpt. Jerzy Bychowiec, dowódca 1-szej kompanii 85-go pułku strzelców wileńskich. Odtąd w ciągu całego kwietnia i w początkach maja 1940 roku zabierano regularnie co kilka dni około 300 ludzi, czasem nieco mniej. O ile wiem z opowiadań tych co byli w Starobielsku, wielkość transportów w kwietniu-maju była tam nieco mniejsza niż w wypadku Kozielska. Widocznie zależało to od różnicy wydajności zespołów katów operujących w Katyniu i w tej innej, nieznannej dokładnie miejscowości w pobliżu Charkowa, gdzie likwidowano Starobielszczan.

W okresie likwidacji Kozielska bardzo wyraźnie uwydatniała się nadzwyczajna centralizacja decyzji co do losu poszczególnych jeńców. W *Zbrodni Katyńskiej* opisuję, jak osobiście byłem świadkiem odbierania telefonicznych rozkazów z Moskwy co do składu personalnego poszczególnych transportów. Od jeńców, którzy byli zatrudniani w kancelarii obozowej wiemy, że rozkazy takie miały charakter regularny. Gdy w półtora roku później — w końcu 1941 roku oraz w początkach 1942 — gen. Sikorski, ambasador Kot oraz gen. Anders zwracali się do władz sowieckich o spisy jeńców, władze te odpowiedziały, że takich spisów nie posiadają.

Pod Katyniem

Do transportu zostałem wezwany w dniu 29 kwietnia 1940 roku. Gdy tylko jeńcy prowadzący podsłuch telefonów z Moskwy zawiadomili, że tego dnia miałem opuścić Kozielsk, pobiegłem od razu aby się pożegnać z kilku osobami, które uważałem w Kozielsku za swoich szczególnych przyjaciół. O pożegnaniu się z płk. Nowosielskim które miało miejsce nieco wcześniej już pisałem we fragmentach, które trafiły do *Zbrodni Katyńskiej*. Szczególnie jednak utkwiło mi w pamięci pożegnanie z profesorem Komarnickim. Gdyśmy się wycelowali na pożegnanie i ja już wychodziłem, raptem on mnie zawołał. Gdy się odwróciłem, on wstał, podszedł do mnie i dużym palcem prawej ręki uczynił znak krzyża na moim czole. Był to symbol polecenia mnie opiece Boskiej. Jego wyraz twarzy i ten gest zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Był to początek tych dwu niesamowitych dni w moim życiu, kiedy sążone mi było odbyć drogę do najbliższych okolic Katynia, a potem znowu drogę spod Katynia do specjalnego więzienia w Smoleńsku.

Gdy mnie już oficjalnie wezwano do transportu wzięłem worek ze swoim nędznym dobytkiem i stawilem się na wskazane miejsce. Przekazanie nowej eskortie odbywało się w sposób poniekąd uroczysty. Przekazywano nie tylko osobę lecz również jej teczkę personalną. Rzeczą, która mnie w owym momencie uderzyła, chociaż nie mogłem jej sobie wówczas wytłumaczyć, był fakt, że moja teczka była innego koloru, niż teczki innych jeńców. Dziś, po tylu latach, nie mogę sobie przypomnieć kolorów. Zdaje się, że wszystkie teczki były czerwone, tymczasem moja była biała.

Pierwsza rzecz, która mnie uderzyła, były brutalne twarze naszej eksporty, stanowiące kontrast z dobrodusznym na ogół

sposobem bycia tych *strelkow*, (to znaczy szeregowych strzelców) do których byliśmy przyzwyczajeni w Putiwlu i Kozielsku. Przeciętny człowiek z ludu rosyjskiego, jakich wiele spotykałem w swoim dzieciństwie przed pierwszą wojną światową, ma (a raczej miał w warunkach przedrewolucyjnych) życzliwą postawę w stosunku do bliźniego. Podkreślała to zawsze moja matka która, jeszcze przed moim urodzeniem, była przez pewien czas nauczycielką w jakimś arystokratycznym domu rosyjskim w Centralnej Rosji. Obecnie wyczuwało się wyraźnie, że dla członków tej nowej eskorty byliśmy raczej martwymi przedmiotami, którymi trzeba było w pewnym stopniu manipulować, a nie żywymi ludźmi. Przeprowadzono w sposób dość brutalny, lecz sprawny, bardzo ścisłą rewizję osobistą, odbierając wszystkie ostre przedmioty i potem pod o wiele bardziej wzmocnionym konwojem, niż ten do którego byliśmy przyzwyczajeni, odprawiono do ciężarówek które czekały przed bramą obozu.

Odniosłem wrażenie że wieziono nas nieco inną drogą, niż ta którą maszerowaliśmy ze stacji do Kozielska w pierwszych dniach listopada 1939 roku. Przywieziono nas na bocznicę, gdzie czekało już sześć przygotowanych wagonów typu stołypinowskiego. Nazwa ta pochodziła od Piotra Stołypina, za którego premiershipu wprowadzono ten typ wagonów więziennych. Cechą tych wagonów było to, że nie miały one okien w poszczególnych przedziałach, a jedynie czasami małe otwory pod samym sufitem; drzwi do przedziałów były zamykane tylko od zewnątrz i miały charakter żelaznej kraty. Okna były jedynie od strony korytarza, w którym normalnie dyżurowali strażnicy więzienni. Jak już wzmiankowałem, ten typ wagonu został wprowadzony jeszcze za rządów carskich, zaraz po rewolucji 1905 roku, lecz stał się szczególnie popularny za czasów sowieckich. Chociaż byłem synem kolejarza i swoje wczesne dzieciństwo spędziłem przy kolei i dobrze pamiętam czasy Stołypinowskie, nigdy tych wagonów nie oglądałem. Natomiast, o ile mogłem zaobserwować za czasu swego trzyletniego pobytu w Związku Sowieckim w latach 1939-42, wagon więzienny był normalnym dodatkiem do większości pociągów pasażerskich. Wielu Polaków poznało wewnątrz tego rodzaju wehikułu.

Normalna pojemność przedziału była 8 ludzi siedzących, lub czworo leżących jeżeli podnosiło się górną półkę. W naszym wypadku wzdłużono do takiego przedziału czternastu ludzi: ośmiu siedzących i po dwu na podniesionej półce z każdej strony w ten sposób, że głowa jednego była tam gdzie nogi drugiego. Prócz tego na górnych półkach pod samym sufitem gdzie było miejsce na ręczny bagaż umieszczono jeszcze dwu ludzi, którzy mieli tę

wygodę, że mogli wyglądać na zewnątrz przez ów otwór pod sufitem. Mnie wypadło siedzące miejsce. Na skos po przeciwnej stronie siedział docent Tucholski. Nie znałem go bliżej, lecz wiedziałem od kolegów, że niedługo przed wojną wrócił z Anglii gdzie prowadził prace badawcze na uniwersytecie w Cambridge. Obok mnie siedział jakiś porucznik z brodą, który był również chemikiem i w Polsce był przedstawicielem jakiejś firmy zagranicznej. W jednym z sąsiednich przedziałów jechał por. Leonard Korowajczyk, o którym już była mowa powyżej jako o głównym redaktorze obozowego dziennika mówionego.

Normalnie transporty więzienne chodziły w Związku Sowieckim bardzo powoli. W latach trzydziestych zbudowano ogromny przemysł, lecz stosunkowo mało nowych kolei. Koleje były przeładowane i te pociągi, które nie miały pierwszeństwa, były przetrzymywane godzinami na bocznicach aż się zwolni tor dla ich przepuszczenia. Pociągi więzienne oczywiście nie miały pierwszeństwa. Tym razem jednak jechaliśmy wyjątkowo szybko. W brzasku porannym osiągnęliśmy Smoleńsk. Byłem jedynym w naszym przedziale, który od razu rozpoznał miejscowość, gdyż przez widoczny z mego miejsca kawałek okna korytarzowego ujrzałem znane mi kopuły cerkiew Smoleńskich. Przejechałem przez tę stację wielokrotnie podczas pierwszej wojny światowej w okresie 1915-1918. Byłem wówczas w rosyjskim gimnazjum matematycznym w Orle podczas, gdy ojciec zajmował stanowisko kierownika kolei w zonie przyfrontowej. Część jego dystansu była w zasięgu ognia artylerii niemieckiej, która nieraz burzyła tor — i ojciec musiał używać pancernego pociągu dla inspekcji torów i mostów. Niejednokrotnie jeździłem w odwiedziny do ojca z Orła do Dyneburga (obecne Daugapils) przez Smoleńsk i Witebsk.

Po krótkim postoju na torach oddalonych od głównego peronu pociąg ruszył znowu. O ile mogliśmy się zorientować, słońce wschodziło gdzieś od tyłu naszego kierunku jazdy, tzn. ogólny kierunek był zachodni, lub jak wydedukowałem mylnie północno-zachodni, bo taki był ogólny kierunek kolei Rygo-Orłowskiej, tak dobrze mi znanej z lat mego dzieciństwa. Niedługo jednak, po przejechaniu najwyżej kilkunastu kilometrów, pociąg stanął. Z zewnątrz zaczęły dochodzić odgłosy poruszania się większej ilości ludzi, warkot motoru, urywane słowa komendy. W naszym przedziale nie było okna, było więc trudno zorientować się gdzie jesteśmy i co się dzieje na zewnątrz. Z przedziału do przedziału zaczęto podawać wiadomość, że wyładunek już się rozpoczął.

Mniej więcej po pół godzinny postój, do naszego wagonu wszedł pułkownik NKWD, wysoki o czerwonej twarzy, którego

już opisałem powyżej. Wywołał moje nazwisko i powiedział, że zostanie wydzielony z transportu. Rozkazał zabrać moje rzeczy i iść w ślad za nim. Wywołało to duże zdziwienie. Według naszego dotychczasowego doświadczenia gdy trzeba było przenieść jeńca do jakiegoś innego miejsca, przysyłano zwykłego *strelka* aby ten rozkaz zakomunikował. Pułkownik w wojsku NKWD był bardzo wysoką szarżą; w hierarchii społecznej Związku Sowieckiego znaczył prawdopodobnie więcej niż pułkownik Armii. Obecność tak wysokiej szarży podkreślała wagę, którą władze sowieckie przywiązywały do tego transportu i do wydzielenia mnie z niego.

Gdy szedłem korytarzem za tym pułkownikiem usłyszałem rozmowy jeńców w sąsiednich przedziałach, że widocznie rząd litewski żąda, abym został przekazany Litwie. Litwa była w owym momencie (kwiecień 1940) jeszcze formalnie suwerennym państwem, chociaż istniały tam tzw. bazy sowieckie. Przypuszczenie, że w tym wydzieleniu mnie z transportu była ręka litewska, oparta widocznie było na tym iż niektórzy jeńcy wiedzieli, że swego czasu byłem zwolennikiem federacji polsko-litewskiej. Był to program popierany bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości Polski przez Naczelnika Państwa Polskiego Józefa Piłsudskiego. Miał on jednak niewielu zwolenników w Polsce, a jeszcze mniej na Litwie. Piłsudski usiłował go przeprowadzić w drodze serii zamachów, które się jednak nie udały, głównie wobec bezwzględnej wrogości nacjonalistów litewskich oraz opozycji nacjonalistów polskich.

Gdyśmy wyszli na zewnątrz uderzyły mnie zapachy wiosny wiejące od okolicznych pól i lasów, chociaż jeszcze gdzieś niedaleko leżały płachty śniegu. Był śliczny, wiosenny poranek. Wysoko w błękitach bujał skowronek. Opodał były zabudowania stacyjne, lecz nie widać było żadnych ludzi z obsługi kolejowej. Lokomotywa już odeszła. Coś się działo po innej stronie pociągu, lecz co, tego nie mogłem zobaczyć. Gdy tak szliśmy pomiędzy torami obok siebie, pułkownik zwrócił do mnie twarz i zapytał czy nie napiłbym się „herbatki”. Podkreślał zdrobniąłą formę: po rosyjsku herbata jest *czaj*, zdrobniąła forma jest *czajok*. Pułkownik zapytał mnie czy nie napiłbym się *czajku*? Nic nie wskazywało na to, że był to człowiek, który według wszelkiego prawdopodobieństwa stał na czele zespołu katów, którzy w tym samym czasie w pobliskim lasku mordowali moich kolegów, czego oczywiście w owej chwili nie mogłem się domyślić.

Za chwilę stanęliśmy przy pustym wagonie więziennym, z którego jeńcy byli już wyładowani. Pułkownik kazał mi tam wejść i zająć miejsce w jednym z przedziałów; zatrzasnął żelazną

kratę drzwi, oraz polecił żołnierzowi, który stojąc na korytarzu miał mnie pilnować, aby przyniósł mi *czajku* — i wyszedł. Żołnierz wyraził pewną wątpliwość czy tu w tej chwili można gdzieś dostać herbaty. Zapytał mnie czy mam cukier i po pewnym czasie przyniósł mi istotnie czajnik kipiącej wody, do której wysypał herbaty. Wyciągnąłem cukier, chleb i śledzie, wyfasowane poprzedniego dnia i spożyłem śniadanie, które w warunkach sowieckiego transportu więźniów można było nazwać obfitym posiłkiem.

Znowu usłyszałem za ścianą warkot motoru i jakiś ruch. Strażnik, który stał na korytarzu przed drzwiami mego przedziału odwrócił się i patrzył przez okno, które wychodziło na inną stronę niż ta, gdzie był intrygujący mnie ruch. Pod sufitem zauważyłem otwór, przez który można było zobaczyć co się dzieje na zewnątrz. Spróbowałem więc wleźć na górną półkę przeznaczoną na rzeczy, udając, że tam właśnie chcę się wyciągnąć na odpoczynek po całonocnej podróży. Strażnik ku memu zdziwieniu nie protestował. Gdy on patrzył w przeciwległą stronę przez okno na korytarzu, ja przysuwałem swoją twarz do otworu pod sufitem. Mogę tu jedynie powtórzyć to co już kilkakrotnie mówiłem i pisałem o tym co przez ten otwór ujrzałem.

Przed nami był plac częściowo porośnięty trawą, wyglądało to na równe miejsce, gdzie przedtem pod otwartym niebem były składy jakichś towarów przeznaczonych do transportu, najprawdopodobniej materiałów drzewnych. Z jednej strony do placu przylegała droga idąca prostopadle do torów kolejowych, z drugiej strony były jakieś zarośla. Plac był gęsto obstawiony kordonem wojsk NKWD z bagnetem na broń. Była to nowość w stosunku do naszego dotychczasowego doświadczenia. Nawet na froncie, bezpośrednio po wzięciu nas do niewoli, eskorta nie nakładała bagnatów na broń. Bagnet we współczesnej wojnie jest bronią raczej symboliczną niż realną. W różnych tyłowych funkcjach rozkaz nałożenia bagnetu na broń służy raczej do podkreślenia specjalnej ważności danej funkcji. Powstawało pytanie dlaczego eskortowanie bezbronných jeńców, którym nawet scyzoryki zostały odebrane, miało raptem stać się taką ważną i niebezpieczną funkcją.

Z drogi wjechał na plac zwykły pasażerski autobus, raczej małych rozmiarów w porównaniu do tych autobusów, do których jesteśmy przyzwyczajeni w miastach zachodnich. Okna były zasmarowane wapnem. Pojemność autobusu była około 30 osób, wejście dla pasażerów od tyłu. Powstawało pytanie jaki cel był zasmarowania okien tego niedużego autobusu. Autobus podjechał tyłem do sąsiedniego wagonu, tak że jeńcy mogli wchodzić bez-

pośrednio ze stopni wagonu, nie stąpając na ziemię. Z obydwóch stron wejścia do autobusu stali żołnierze wojsk NKWD z bagnetem na broń. Był to dodatek do gęstego kordonu wojsk NKWD otaczającego plac. Po pół godziny autobus wracał, aby zabrać następną partię. Wynikało stąd, że miejsce dokąd wieziono jeńców nie było daleko. Powstawało pytanie jaki był sens używania tej skomplikowanej transportowej procedury, zamiast zarządzenia pieszego marszu jak to bywało przy poprzednich transportach?

Pośrodku placu z rękami w kieszeni dużego płaszcza stał ów wysoki pułkownik NKWD, który mnie wydzielił z transportu, i którego w okresie likwidacji Kozielska widywałem czasami na terenie obozu. Było jasne, że on miał nadzór nad całą operacją. Lecz na czym owa operacja polegała? Przyznam się, że w owym momencie, w blasku tego uroczego, wiosennego dnia myśl o egzekucji nie przyszła mi do głowy. Nieco opodał stało dość duże auto w kształcie czarnego pudła bez okien, a przy nim kapitan NKWD, nieco starszy człowiek, prawdopodobnie dobrze po pięćdziesiątce.

Po pewnym czasie, który mi trudno określić, bo nie miałem zegarka; wydaje się mi, że było to już chyba po południu — przyszedł podoficer NKWD który kazał mi zabrać moje rzeczy i iść za nim. Wprowadził mnie na ten plac, który oglądałem przez rodzaj małego okienka pod sufitem mego przedziału więziennego. Stanęliśmy przed owym czarnym pudłem, gdzie również stali pułkownik, który mnie wydzielił, oraz ów starszawy kapitan NKWD. Dopiero wówczas błysnęła mi myśl, że to auto w kształcie czarnego pudła to sławny *czornyj woron*, czyli „czarny kruk”, którym się przewozi więźniów po ulicach Moskwy.

Pułkownik przekazał mnie kapitanowi. Ten kazał mi wejść do czarnego pudła. Wchodziło się od tyłu, gdzie były dwa siedzenia dla strażników; potem jeden stopień wwyż i drzwiczki prowadzące do wąskiego korytarzyka, po obu stronach którego były po trzy małe celki z drzwiami. Można więc było w tym zmotoryzowanym więzieniu przewieźć sześciu więźniów, którzy jednak o sobie mogli nic nie wiedzieć. Gdy mnie wsadzano zdążyłem zauważyć, że kapitan zajął miejsce obok szofera. Strażnicy zaś, którzy zajęli miejsca od tyłu, byli z karabinami, lecz bez bagnatów na karabinach. Niewątpliwie w tym że w pewnych wypadkach wkładano bagnet na broń, a w innych zdejmowano, była jakaś symbolika, której jednak w tamtej chwili nie mogłem odgadnąć. Mnie kazano zająć miejsce w jednej z celek. Była tam wąska, twarda ławeczka na której można było usiąść. Po zamknięciu drzwi zapanowała absolutna ciemność. Po chwili auto ruszyło. Przeżegnałem się.

Błysnęła mi myśl, że jestem przeznaczony do egzekucji.

Związek Sowiecki nie podpisał żadnych konwencji w sprawie traktowania jeńców wojskowych. Logicznie byłoby przypuścić, że rozstrzela się pewną ilość osób, co do których istniały poszlaki, że mogli być zaangażowani w jakąś nieprzychylną dla Związku Sowieckiego aktywność, a resztę ludzi, co do których nie miało się żadnych indywidualnych pretensji, postara się jakoś wykorzystać w ramach tych wielkich programów inwestycyjnych, które Rosja komunistyczna starała się realizować. W szczególności odnosiło się to do różnego rodzaju specjalistów: inżynierów, lekarzy, agronomów. Pomimo, że uchodziłem za jednego ze znawców Rosji, nie umiałem wówczas przeniknąć jakie były zasady dialektycznych decyzji NKWD. Zacząłem się cicho modlić. Przed oczyma wyobraźni zamajaczył trójkąt Ostrej Bramy. Po jakiejś pół godzinie auto stanęło. Skrzypnęły ciężkie zawiasy otwieranej bramy. Wjechaliśmy na jakieś podwórze. Zaczął się zupełnie nowy okres moich dziejów wojennych.

Rozdział IV

SPOD KATYNIA DO KUJBYSZEWA

Wewnętrzne więzienie NKWD w Smoleńsku
(30. IV. - 5. V. 1940)

W końcu poprzedniego rozdziału opisałem mój kilkogodzinny pobyt w dniu 30 kwietnia 1940 roku na stacji w pobliżu lasu katyńskiego oraz okoliczności, które towarzyszyły wyseperowaniu mnie z transportu oficerów kozielskich. Był to niewątpliwie przełomowy punkt moich dziejów w latach wojny. Dopiero potem zorientowałem się, że w chwili, gdy pułkownik z twarzą rzeźnika przekazywał mnie w ręce szpakowatego kapitana, przedstawiałem być w oczach sowieckiej administracji jeńcem wojskowym, a stawałem się więźniem politycznym, przynależnym do zupełnie innego departamentu NKWD, niż ten, który zajmował się jeńcami wojennymi. Jeszcze więcej czasu potrzebowałem, aby się zorientować, że głównym powodem tego zainteresowania się moją osobą były nie tyle moje publikacje o gospodarce sowieckiej i moja książka o Leninie jako ekonomiście, wydana w 1930 roku przez Instytut Europy Wschodniej w Wilnie, lecz właśnie moje podróże do Niemiec w okresie 1936-1937, które opisuję na początku mego pamiętnika. Widocznie pewnym czynnikiem na szczytach NKWD wydawało się, że jestem w posiadaniu tajemnic dotyczących jakiejś zakulisowej gry. Pewien paradoks całej sprawy polegał również na tym, że jak wynika z tego co opisałem powyżej w rozdziale o „Nadciągającej Burzy”, byłem zwolennikiem odprężenia polsko-niemieckiego, do którego w miarę swoich bardzo słabych możliwości chciałem się jakoś przyczynić; tymczasem NKWD oskarżało mnie o to, że byłem polskim szpiegiem w Niemczech.

Mniej więcej po pół godzinie samochód stanął, skrzypnęły zawiasy otwierającej się ciężkiej bramy i wjechaliśmy na jakieś podwórze; znowu skrzypnęły zawiasy przy zamykaniu bramy. Otworzono drzwi mojej celki i kazano mi wychodzić. Znaleźliśmy się na obszernym podwórzu ze wszystkich stron zamkniętym murami. Samochód stał przed kilkupiętrowym domem, który jednak nie wyglądał na więzienie; większość okien nie miała krat, jedynie na wystających nad poziom ziemi częściach okien piwnicy były założone żelazne sztaby. Wprowadzono mnie do tej właśnie piwnicy, do pokoju który stanowił rodzaj kancelarii. Kapitan usiadł przy biurku, podczas gdy dwu konwojentów zaczęło przeprowadzać osobistą rewizję. Kazano mi się rozebrać i zdjąć moje długie fasowane kawaleryjskie buty z żółtej skóry, które zrewidowano, aby sprawdzić czy w nich czegoś nie ukrywałem. Lecz na ogół, jak na obyczaj sowiecki, rewizja była dość powierzchowna; nie zagłędano do ust oraz nie badano, czy przy-
padkiem w odbyticy nie przechowuję jakichś niedozwolonych materiałów, co należało przecież do rytuału dokładnej rewizji osobistej w Związku Sowieckim. Na moje pytanie, gdzie jestem, kapitan odpowiedział uprzejmie, że w „wewnętrznym” więzieniu NKWD w Smoleńsku.

Po rewizji i spisaniu czegoś w rodzaju protokołu przyjęcia, poprowadzono mnie do celi. Była to obszerna, czysta izba, chociaż z natury rzeczy ponura; podłoga była cementowa, światło padało przez zakratowane okno przez które mogłem czasami widzieć nogi ludzi chodzących po podwórzu. Wzdłuż ścian ciągnęły się trzy piętra podnoszonych łóżek a raczej desek do spania¹. Obliczyłem że normalna pojemność celi była na około 30 więźniów. Oświadczono mi że mogę wybrać sobie i opuścić dowolne z tych łóżek oraz że przepisy więzienne, zakazujące spania w ciągu dnia, nie będą mnie obowiązywały. Mogłem wylegiwać się tyle, ile mi się podobało. Przyniesiono również materac, prześcieradło oraz nawleczkę. W kącie leżała kupa koców i kilka poduszek, które pozwolono używać w ilości która będzie mi odpowiadała. W innym kącie stała *parasza* tzn. rodzaj wiadra dla załatwienia potrzeb naturalnych, lecz jednocześnie oświadczono mi, że na każde zawołanie dozorczy będą mnie wyprowadzali do toalety. Przyniesiono mi również obiad, rację chleba

1. Sołżenicyn w swojej głośnej powieści „Pierwszy krąg” opisuje ten rodzaj łóżek przymocowanych do ściany jako typowy dla więzienia Butyrskiego w Moskwie. W okresie mego pobytu tak nie było. W marcu 1941 roku już po otrzymaniu wyroku, przez pewien czas trzymano mnie w dużej, tzw. ogólnej, celi więzienia Butyrskiego. Był tam długi, dość prymitywny rząd nar takich samych jak w barakach łagiernych.

i cukru na ten dzień oraz kolacyjną herbatę, bo był to już wieczór. Kapitan powiedział mi również że mogę bez ograniczenia korzystać ze sklepiku więziennego jeżeli posiadam pieniądze. Pokazałem mu co miałem, a było tego bardzo niewiele. On za wszystkie pieniądze kazał mi zakupić cukru i masła, które przyniesiono mi następnego ranka. Zapytał również czy nie chciałbym aby mi dostarczono trochę książek. Odpowiedziałem że będę mu za to bardzo wdzięczny.

Podczas tych wszystkich rozmów i translokacji a także podczas wychodzenia do ubikacji, która się znajdowała względnie daleko od mojej celi, odniosłem wrażenie że całe to „wewnętrzne” więzienie w podziemiach smoleńskiego NKWD, było niemal puste i że byłem w owych dniach jedynym więźniem. Przekonał mnie o tym szczególnie fakt, że nie przestrzegano tam żadnego określonego czasu rozdawania posiłków. W ciągu całego sześciodniowego pobytu w tej instytucji, gdy rano dozorca przez „judasza” w drzwiach zauważył że zaczynam wstawać, rozpalał prymus i zaczynał gotować dla mnie herbatę. Prymus rozpalano również, aby odgrzać obiad, który przynoszono mi z zewnątrz. Poza tym panowała w moim więzieniu zupełna cisza: nie słychać było żadnych głosów, żadnych rozmów i tylko z rzadka zakłócały ciszę kroki dozorczy chodzącego po korytarzu.

Przy wejściu do tej więziennej piwnicy stało kilka rzędów żelaznych szaf, których wysokość, szerokość i głębokość odpowiadały mniej więcej postaci ludzkiej w pozycji stojącej. W drzwiach tych szaf znajdował się szereg drobnych otworów wentylacyjnych. Było dla mnie rzeczą oczywistą, że szafy te były przeznaczone dla ludzi. Wyobrażałem sobie, że stanowiły one narzędzia jakichś specjalnie wyrafinowanych tortur. Zapytałem pewnego razu dozorcę do czego służą te szafy. Odpowiedział w sposób całkiem naturalny i bez żadnego zażenowania, że używano je, kiedy więzienie było pełne i odbywały się intensywne badania śledcze. W okresie późniejszego pobytu w Związku Sowieckim miałem możliwość zaznajomić się nieco bliżej z tego rodzaju przedmiotami. Sam kilkakrotnie w takich szafach siedziałem, czy też raczej stałem. Nie stanowią one, właściwie mówiąc, narzędzi tortur, lecz służą przeważnie do zamykania więźniów na krótki czas, aby uniknąć niepożądanych spotkań w korytarzach więziennych lub przed gabinetami sędziów śledczych. Tylko czasami są one używane jako raczej łagodny środek presji na opornych więźniów, którzy odmawiali składania wymaganych od nich zeznań. Nie miały one nic wspólnego z tymi wyrafinowanymi metodami tortur, które były w owym czasie stosowane na przykład w więzieniu lefortowskim w Moskwie. Lecz w owych

dniach, kiedy mnie trzymano w smoleńskim NKWD, szafy te stanowiły tam rekwizyty niedawnej przeszłości, i jak się zorientowałem, nie były już potrzebne.

Dzisiaj gdy z perspektywy 30 lat myślę o dramacie Katyńskim, moje doświadczenia w wewnętrznym więzieniu NKWD w Smoleńsku ułatwiają mi uświadomienie zasadniczego paradoksu tego dramatu. Decyzja mordu Katyńskiego została powzięta w czasie kiedy Związek Sowiecki przeżywał okres wewnętrznego odprężenia po czystkach Jeżowa, w których zginął kwiat dowódców Armii Czerwonej oraz szereg wybitnych przywódców komunizmu — między innymi pewna ilość przywódców Polskiej Partii Komunistycznej, których wezwano do „ojczyzny proletariatu” aby ich tam zdradziecko wymordować — a także setki tysięcy Bogu ducha winnych ludzi zarówno komunistów jak i bezpartyjnych. Podczas mego pobytu w Smoleńsku, to puste wewnętrzne więzienie NKWD, te narzędzia intensywnego śledztwa, które stały się rekwizytami przeszłości, były świadectwem tego okresu odprężenia które było dane ludności Związku Sowieckiego. O tym, że lata 1939 oraz 1940 stanowiły okres pewnego zelżenia nacisku na ludność oraz pewnej ogólnej poprawy warunków bytu, słyszałem nieraz podczas mojej wędrówki po więzieniach i łagrach sowieckich w latach 1941-1942. Podobno w tym okresie w łagrach sowieckich nie zdarzały się wcale wypadki umierania z głodu. Weterani przymusowej pracy opowiadali mi że jakoby w 1939 roku w niektórych barakach łagiernych nie wydzielano indywidualnych racji chleba, lecz po prostu chleb leżał na stole i każdy więzień mógł sobie ukroić tyle ile mu było potrzeba, czyli że materialny dobrobyt doszedł do poziomu carskiej katorgi, jak ją opisuje Dostojewski w swoich sławnych *Notatkach z Martwego Domu*.

To odprężenie wiązało się z mianowaniem Berii Komisarzem NKWD na miejsce zdegenerowanego fanatyka, jakim był Jeżow. Beria zracjonalizował terror stalinowski, usunął szereg niepotrzebnych okrucieństw, wprowadził prawo 20-minutowego spaceru dla więźniów, zezwolił na dostarczanie im książek, przywrócił w pewnym stopniu poczucie bezpieczeństwa osobistego dla dyrektorów przedsiębiorstw sowieckich, wysłał specjalne komisje dla zbadania przyczyn wysokiej śmiertelności w łagrach, lecz jednocześnie był absolutnie bezwzględny tam gdzie widział pewne uzasadnienie dla terroru, okrucieństw, tortur i zsyłek. Swietłana Allilujewa, córka Stalina, pisze w swoich pamiętnikach, że gdy jej matka która popełniła samobójstwo, żądała przedtem aby Stalin oddalił od siebie Bериę jako postać antypatyczną,

Stalin odpowiedział że Beria jest jednak dobrym czekistą. Niewątpliwie Stalin miał rację. Zarówno za czasów naszego rodaka Dzierżyńskiego, jak za czasów degenerata Jeżowa, sowiecka służba bezpieczeństwa była domem wariatów, opanowanym paranoicznym strachem przed agentami burżuazji, szpiegami i sabotażystami. Beria usiłował zrobić z tej służby zrjonalizowany system terroru i okrucieństw. Beria próbował operować nie tylko strachem przed terrorem, lecz również rozluźnianiem presji policyjnej, jako narzędziem politycznym.

Marks uczył dialektycznego podejścia do życia społecznego. Beria był niewątpliwie mistrzem w stosowaniu dialektyki do polityki terroru, morderstw i deportacji. Nie wiemy kto powziął decyzję fizycznej likwidacji polskich oficerów: Stalin, Beria czy może Mierkułow. Lecz wiemy że decyzja ta była poprzedzona okresem kilkumiesięcznego szczegółowego badania jeńców Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, jak to zostało opisane w *Zbrodni Katyńskiej*. Wiemy również, że samo mordowanie było centralistycznie regulowane z Moskwy, jak tego dowodzi to, co w *Zbrodni Katyńskiej* podano o telefonicznych rozkazach z Moskwy do komendy obozu w Kozielsku. Decyzja Katyńska została powzięta nie w ogniu walki lub napięcia politycznego, lecz z wyrachowaniem na zimno w okresie tego odprężenia, skutki którego ja naocznie obserwowałem podczas owych sześciu dni spędzonych w smoleńskim NKWD.

Właśnie w ramach tego zrjonalizowanego systemu terroru i okrucieństw w okresie wewnętrznego odprężenia powstała decyzja Katyńska. Rodzi się więc z natury rzeczy fundamentalne pytanie: jakie były argumenty sowieckiej racji stanu, które zaważyły na tej decyzji. Dzisiaj panuje w Sowietach silny zwrot w kierunku rehabilitacji Stalina. Uważa się, że likwidując szereg wybitnych komunistów, dowódców wojskowych oraz administratorów przemysłu, popełnił on duży błąd, ale że na ogół stalinizm jako system rządów — był wyrazem konieczności historycznych i wiele twardych decyzji Stalina było zgodnych z interesami państwa sowieckiego. Potępiono potworności polityki likwidowania kułaków, uznano niesłuszność rozstrzelania Bucharina, najwybitniejszego po Leninie teoretyka komunizmu rosyjskiego, półgębkiem zrehabilitowano pomordowanych przywódców Polskiej Partii Komunistycznej, lecz ani Chruszczow, ani Breżniew, nie zdobyli się na potępienie stalinowskiej polityki fizycznego likwidowania polskich jeńców wojennych. Czyż więc wciąż się uznaje iż ta polityka była wyrazem racji stanu państwa sowieckiego?

Naczelnik więzienia

Następnego dnia po przywiezieniu mnie do Smoleńska było święto 1 maja. W Związku Sowieckim są dwa okresy świąteczne, które według intencji twórców rewolucji rosyjskiej mają zastąpić tradycyjne święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy: „Nojabrskije prazdniki” i „Majskije prazdniki”. Był więc to dzień wolny od pracy, co usposabiało ludzi do bardziej swobodnej wymiany zdań. Kapitan osobiście przyniósł mi obiecane książki, jedną z nich istotnie przeczytałem potem z wielkim zainteresowaniem. Dotyczyła ona sowieckich wypraw polarnych oraz sowieckich inwestycji na Dalekiej Północy.

Rozgadaliśmy się w tej atmosferze świątecznego nastroju, który przenikał również poprzez mury więzienia. Kapitan powiedział mi że jest naczelnikiem więzienia smoleńskiego i z tego tytułu administruje również wewnętrznym więzieniem NKWD, które stanowi instytucję o specjalnym przeznaczeniu. W tej dłuższej rozmowie opowiadał mi więcej o sobie niż wypytywał o mnie. Dowiedziałem się, że w życiu nieraz spotykał się z Polakami, gdyż urodził się pod Grodnem. Opowiadał również o poprawiających się warunkach materialnych życia w Związku Sowieckim, o trosce o oświatę, o tej wspaniałej opiece, którą jego wnuczka ma w przedszkolu i o tym jakie buczki i jakie ubranko był jej w stanie sprawić. Zdaje się że ta wnuczka stanowiła centrum jego zainteresowań i przedmiot jego dumy. W rozmowie pomiędzy nami zagrały cieplejsze nuty

Zapytałem więc czy nie może mi powiedzieć dlaczego zostałem odseparowany od swoich kolegów, innych polskich oficerów z którymi siedziałem w obozie Kozielskim? Odpowiedział, że nie może bo nie wie, jest bowiem tylko naczelnikiem więzienia. Z ogólnych okoliczności sprawy, o tyle o ile one mu są znane, wnioskuje że ja jestem „*bolszaj czetowiek*” bo mną się interesuje rząd sowiecki (*Nasze prawitielstwo*), więc z natury rzeczy ja muszę być traktowany inaczej niż inni polscy oficerowie. W języku potocznym „*bolszaj czetowiek*” oznacza człowieka ważnego lub wpływowego.

Zapytałem go czy temu zainteresowaniu *prawitielstwa* należy przypisać fakt że mnie aresztowano i osadzono w więzieniu? Kapitan się zachnął: „*Wy nie aresztowanyj*”. Dalej wyjaśnił że otrzymał rozkaz przetrzymania mnie przez pewien czas dopóki z Moskwy nie przyjdą rozkazy co do dalszych moich losów. Co on w tej sytuacji mógł, to zrobił? W hotelu nie może mnie umieścić, a zresztą nie miał na takie rozwiązanie ani aparatu nadzoru ani też przewidzianych w jego budżecie środków. Pos-

tanowił więc umieścić mnie w tym wewnętrznym więzieniu NKWD, gdzie czasami umieszczano również ludzi sowieckich o pewnym znaczeniu, pozycji i stanowisku, i dbać o to, abym był tu urządzony możliwie wygodnie.

To wyjaśnienie przyjąłem z natury rzeczy z pewnym sceptycyzmem. Gdy jednak w tydzień potem, przy pierwszym badaniu w Moskwie na Łubiance, sędzia śledczy pokazał mi pismo Naczelnego Prokuratora Związku Sowieckiego zawierające nakaz aresztowania mnie, zrozumiałem że z punktu widzenia procedury sowieckiej ów kapitan miał rację: ja nie byłem „aresztowany” gdy się znajdowałem pod jego opieką, tak samo jak nie byli „aresztowani” moi koledzy których w tym samym czasie specjalne zespoły katów NKWD mordowały w lesie Katyńskim.

Pod koniec tej rozmowy zapytałem kapitana dokąd przetransportowano moich kolegów? Odpowiedział że jest naczelnikiem więzienia i że sprawy jeńców wojskowych nie należą do jego kompetencji. Nie dałem jednak za wygraną. Sprawa tego co się dzieje z moimi kolegami dręczyła mnie nie mniej niż niepewność o mój własny los. Po niezwykle brutalnym traktowaniu nas pomiędzy Kozielskiem a stacją wyładowniczą za Smoleńskiem, było jasne że nie wydają nas ani aliancom ani też Niemcom, ani też nie odsyłają do miejsca zamieszkania. W każdym z tych wypadków traktowano by nas lepiej, a nie gorzej niż dotychczas. Nie mogłem również zrozumieć dlaczego nie kazano jeńcom Kozielskim maszerować, jak to zwykle robiono dotychczas, lecz przewożono kolejno autobusem małymi partiami ze stacji do jakiejś pobliskiej miejscowości. Dlaczego zamalowano okna w autobusie? Wyglądało to tak jakby chciano ukryć przed miejscową ludnością fakt obecności polskich jeńców w okolicach Smoleńska. Tego nie było przy poprzednich transportach; gdy w 1939 roku w Kijowie maszerowaliśmy z dworca kolejowego na obiad do pobliskich baraków, tłumy ludzi stały po drodze. Kobiety nieraz podskakiwały pomimo groźnych okrzyków konwojentów, wsuwały poszczególnym jeńcom do rąk bułki, a czasami nawet nieco pieniędzy. Skąd więc taka bezwzględna separacja teraz na terenach rdzennie rosyjskich.

Ponieważ odrzucałem koncepcję natychmiastowej masowej egzekucji, za najbardziej prawdopodobne uważałem przewiezienie oficerów Kozielskich do jakichś obozów, gdzie warunki bytu będą o wiele gorsze niż były w Kozielsku, chociaż takie rozwiązanie nie tłumaczyłoby w sposób dostateczny ani telefonów z Moskwy, ani specjalnej brutalności konwojentów, ani też zamalowanych okien transportowego autobusu. Zapytałem więc mego rozmówcę wprost, czy moi koledzy pojechali do jakiegoś

nowego obozu w okolicach Smoleńska? Kapitan uchylił się od wyraźnej odpowiedzi. Następnego dnia gdy znowu mnie odwiedził, powtórzyłem to pytanie. Zdołałem wycisnąć tylko bardzo ogólne zdanie, że dookoła Smoleńska są różnego rodzaju obozy; nie wynikało jednak z tego, że moi koledzy tam przebywają.

W kilka godzin po opisanej dłuższej rozmowie, w dniu 1 maja, otworzyły się znowu drzwi mojej celi i kapitan, nie przekraczając progu, podał mi dużą miskę makaronu obficie polaną masłem z trzema kotletami na wierzchu, podkreślając jednocześnie że chciałby abym ja w jakiś sposób odczuł ten świąteczny dzień. Porcja była tak duża, że nie sposób było ją skosztować za jednym posiedzeniem. Następnego dnia nadzorca dwukrotnie rozpałał prymus aby podgrzać dla mnie resztki tej uczy.

Dzisiaj z perspektywy wielu lat rozpamiętywuję owe ponure dni, zdaje mi się że rozumiem psychologię kapitana. Był on prawdopodobnie dobrym człowiekiem, zasadniczo życzliwie usposobionym do świata i ludzi. Lecz nie tylko to zadecydowało o jego stosunku do mnie. Był on niewątpliwie pod wielkim wrażeniem wyjątkowości moich losów, z czego ja w owym czasie nie zdawałem sobie sprawy, lecz on orientował się bardzo dobrze.

Kiedyś czytałem nowelkę, której ani tytułu ani autora nie pamiętam, o skazańcu przy wieszaniu którego oberwał się stryczek i wtedy wszyscy obecni nie wyłączając katów, stali się jego przyjaciółmi wstawiającymi się o jego ułaskawienie. Gdy w starożytnym Rzymie, podczas krwawych igrzysk, któryś ze skazańców lub gladiatorów cudem uniknął niechybnej zdawałoby się śmierci, widownia stawała po jego stronie i żądała darowania mu życia. Jest to ludzkie i jest to zrozumiałe. Tak było z Ursusem i Lidią w *Quo vadis* Sienkiewicza. Otóż z punktu widzenia tych enkawudystów, którzy byli bezpośrednimi czy też chociażby pośrednimi świadkami egzekucji Katyńskiej, moje losy stanowiły wypadek równający się oberwaniu się stryczka pod skazańcem. Nie tylko naczelnik więzienia smoleńskiego, który prawdopodobnie był dobrym człowiekiem, lecz również ów pułkownik z twarzą rzeźnika, który prawdopodobnie nim nie był, uległ temu wrażeniu. Gdy rano dnia 30 kwietnia ów pułkownik, który widocznie kierował całą operacją, wydzielił mnie z grona moich kolegów, jadących na egzekucję, pierwszym jego odruchem było zapytać mnie, czy nie napiłbym się *czajku*.

W dziejach Kozielska i Katynia był jeszcze jeden wypadek z tej samej kategorii, kiedy człowiek który odegrał prawdopodobnie główną rolę w przygotowywaniu decyzji Katyńskiej (choć

nie wiadomo czy był jej autorem), zjawił się wśród tych, którym darowano życie i wykazał dużo uprzejmości i pozornie życzliwego stosunku. Chodzi tu o Kombriga Zarubina, który stanowił najwyższą władzę w Kozielsku, przed rozpoczęciem likwidacji tego obozu. Opowiadał mi prof. Wacław Komarnicki, który opuścił obóz Kozielski z ostatnim transportem w pierwszej połowie czerwca 1940 roku, że niedługo przed tą ostateczną likwidacją obozu, zjawił się tam znowu Kombrig Zarubin, który znikł przed samym rozpoczęciem transportów Katyńskich. Był znowu uprzejmy i znowu rozmowny. Po czym ten ostatni transport poszedł już nie do Katynia lecz do Gрязowca, gdzie jak wiadomo warunki życia były całkiem znośne.

Mentalność katów, enkawudystów i gestapowców nie jest łatwa do przeniknięcia. Jeżeli chodzi o sowiecką służbę bezpieczeństwa, jest to szczególnie trudne, gdyż są to ludzie specjalnie trenowani w sztuce dialektycznego podejścia do życia.

Transport do Moskwy (5-6. V. 1940)

W wewnętrznym więzieniu smoleńskiego NKWD przebywałem około 5-ciu dni. Piątego maja wieczorem, gdy już układałem się do snu, zawiadomiono mnie, żebym zbierał swoje rzeczy bo czeka mnie podróż. Za kilka minut wyprowadzono mnie do kancelarii, gdzie przekazano grupie czterech konwojentów, którzy mnie dość zresztą powierzchownie zrewidowali, przede wszystkim dla stwierdzenia czy nie mam jakiejś broni przy sobie. Kapitan przy tej uroczystości nie był obecny. W ogóle przez dwa ostatnie dni pobytu w Smoleńsku nie widywałem go. Zastanawiałem się nad tym czy stracił zainteresowanie moją osobą, czy też może otrzymał bardziej dokładne instrukcje jak należy mnie traktować. Gdy mnie wyprowadzono podziękowałem swemu dozorczy za jego opiekę i życzliwość. Ten stanął na baczność, odsalutował i życzył mi szczęśliwej podróży. Przypomniał mi się typ dobrze wyszkolonego i ułożonego podoficera armii carskiej, których tylu widywałem w swoim dzieciństwie.

Gdy konwojenci wyprowadzili mnie na podwórze dwóch z nich szło przede mną a dwóch ustawiło się za mną z tyłu z pałkami na cynglu. I tak szliśmy powoli i niemal uroczyście przez oświetlone podwórze w kierunku czarnego samochodu, jak mi się wydaje tego samego którym przywieziono mnie do Smoleńska ze stacji Gniezdowo (czy też Gniezdowaja). Ogarnął mnie pusty śmiech. Nie miałem żadnej broni więc nie mogłem moich konwojentów zaatakować; znajdowaliśmy się na podwórzu

zamkniętym ze wszystkich stron murami i dobrze oświetlonym nie mogłem więc nigdzie uciec. Po cóż w takim razie te wszystkie środki ostrożności, wyciągnięte pistolety, palce na cynglu? Odwróciłem się więc i uśmiechnąłem do tego który mnie konwojował, trzymając pistolet gotowy do strzału na lewoskos ode mnie. Ten groźnie mnie upomniął abym maszerował i nie oglądał się. Za chwilę byliśmy przy samochodzie. Znowu wsadzono mnie tak jak w Gniezdowie do małej celki (czy raczej przedziału więziennego wozu) dwu enkawudystów z pistoletami zajęło miejsce na tylnych siedzeniach, skrzypnęły zawiasy otwieranej bramy; za kilkanaście minut byliśmy już przy dworcu. Zatrzymaliśmy się na jakimś placyku z boku od głównych zabudowań stacyjnych, otoczonych sztachetami, za którymi było widać kawałek peronu. Na placyku znajdowała się już zbita w zwartą kupę grupa nędznie ubranych ludzi, otoczona strażami NKWD z karabinami. Przeważali mężczyźni w średnim wieku. Prawie wszyscy mieli jakieś nędzne brudne worki poprzewiązywane sznurkami i przerzucone przez ramię (tzw. *kotomki*), w których widocznie trzymali cały swój dobytek. Zauważyłem też kilka starszych kobiet owiniętych w ciemne chusty przypominających przed-rewolucyjny typ *pałomnic* (pielgrzymów), żebraczek, które wędrowały poprzez ogromne przestrzenie carskiej Rosji od klasztoru do klasztoru, a przez Kaukaz i Syrię dochodziły czasami nawet do Grobu Chrystusowego w Palestynie. Było również kilku wyrostków o śmiałych i bystrych spojrzeniach, aresztowanych widocznie za tzw. chuligaństwo. W pewnej chwili, na dany rozkaz, cały ten tłum przykucnął na ziemi. Dowódca konwoju sprawdzał listę przeznaczonych do transportu wywołując kolejno każdego z aresztowanych. Widok tej kupy nędzarzy przykucających i podnoszących się na brutalne rozkazy dobrze odżywionych i ubranych w ciepłe szynele żołdatów — nadawał się doskonale do obrazu symbolizującego socjalną rzeczywistość państwa sowieckiego.

Z gruchotem wjechał na stację pociąg pasażerski, do którego doczepione były dwa wagony więzienne: inny symbol Rosji stalinowskiej. Wagony zatrzymały się akurat naprzeciwko naszego placyku. Otworzono furtkę w sztachetach oddzielających peron; aresztowani gęsiego przecinali peron i wsiadali do wagonu. Potem wyprowadzono mnie. O ile mogłem zauważyć aresztowani byli gęsto stłoczeni w poszczególnych przedziałach więziennych, w których panował zaduch. Dla mnie zarezerwowany był oddzielny przedział z jednostronną ławą, tak że mogłem wygodnie się wyciągnąć. Moi konwojenci na zmianę pełnili służbę przed zakratowanymi drzwiami mego przedziału. Podczas biegu po-

ciągu na korytarzu przebywało stale dwu konwojentów: jeden który specjalnie pilnował mnie i drugi, który obsługiwał wszystkie inne przedziały, wyprowadzając od czasu do czasu do ubikacji tych którzy szczególnie głośno się tego domagali. Wyrostki zachowywały się dość hałaśliwie, często wdając się w argumentację z konwojentami.

Pociąg często stawał i na niektórych stacjach wysadzano grupki aresztowanych. Mam wrażenie że byli to przeważnie chłopci, którzy nielegalnie przebywali w miastach, a teraz byli administracyjnie odtransportowywani do swego miejsca zamieszkania. Stalin wprowadzając przymusową kolektywizację wsi sowieckiej, wskrzesił jednocześnie różne praktyki z czasów pańszczyźnianych. W wieku XVIII-tym oraz pierwszej połowie XIX-go, było rzeczą normalną że policja łowiła włóczących się pańszczyźnianych chłopów i odstawiała ich do miejsc przypisania. Po zniesieniu pańszczyzny oraz po uwłaszczeniu w 1861 roku, chłopci nie otrzymali jednak swobody poruszania się, bowiem jednostką podatkową oraz jednostką odpowiedzialną za spłatę należności za ziemię, była wspólnota wiejska (*obszczyzna*) i dlatego chłop który szedł na zarobki do miasta i chciał w rodzinnej wsi utrzymać swój nadział, nie mógł tego robić bez zezwolenia wspólnoty. Dopiero Stołypin przeprowadził szereg reform, które uwalniały chłopca z więzów wynikających z przynależności do wiejskiej wspólnoty. Kolektywizacja spowodowała wskrzeszenie tych więzów. Do dnia dzisiejszego członek kołchozu nie może uzyskać prawa zamieszkania w mieście jeżeli nie ma na to zgody swoich władz na wsi. W Rosji stalinowskiej wagony więzienne służyły nie tylko dla przewożenia więźniów politycznych, lecz również dla korygowania ruchu ludności pomiędzy wsią a miastem.

W czasie tej podróży zdarzył się epizod, który mnie bardzo wówczas zaintrygował, lecz którego zrozumienie przyszło dopiero po wykryciu mogiły Katyńskiej. Gdyśmy wsiadali do pociągu jeden z moich konwojentów spotkał jakiegoś swego przyjaciela, który należał do konwoju owych wagonów więziennych które niedawno przybyły do Smoleńska. Jak wnioskuję z radosnego powitania przyjaciele od dawna się nie widzieli. Otóż w nocy gdy mój konwojent pełnił służbę przed drzwiami mego przedziału, przyjaciel przyszedł do niego na pogawędkę. Leżałem z zamkniętymi oczami i udawałem że śpię. Przyjaciele rozmawiali szeptem. Mój konwojent opowiadał z widocznym przejęciem jakąś sensacyjną historię: mogłem uchwycić tylko urywane słowa, z których jednak rozumiałem że opowiadanie dotyczyło polskich jeńców. Uchwyciłem wyraźnie tylko jedno zdanie: „a tego wieziemy do Moskwy na rozstrzelanie” (*a etaho wieziom*

w Moskwę na razstrzał). Nie przywiązałem do tego powiedzenia większej wagi, chociaż takie rozwiązanie mojej sprawy wydawało mi się wysoce prawdopodobne; lecz skąd konwojent w systemie sowieckiej służby bezpieczeństwa, gdzie zasada tajemnicy jest tak ściśle przestrzegana, mógł wiedzieć o zamiarach wyższych władz co do mojej osoby. Intrygowało mnie natomiast ogromnie, dlaczego polscy jeńcy byli obiektem tak długiej rozmowy i co w naszych sprawach tak bardzo zainteresowało tych ludzi na najniższych szczeblach aparatu NKWD. Nieraz przez następne trzy lata wracałem myślą do tego wrażenia, które na mnie sprawiło to szeptanie o naszych sprawach dwóch *stretków* z wojska NKWD. Dopiero wiosną 1943 gdy przyszły rewelacje katyńskie zagadka wydała mi się rozwiązana. Mój konwojent, który należał widocznie również do konwoju jeńców Kozielskich, a możliwe że brał również jakiś udział w samej egzekucji, opowiadał swemu przyjacielowi o swoich wrażeniach. Jego zdanie, że mnie wiozą „na razstrzał” było zupełnie zrozumiałe. Skoro moich kolegów pomordowano w sposób mu znany, nie było powodu przypuszczać, że moje losy będą inne.

Zasnąłem ukołysany ruchem pociągu oraz szeptem tych zwierzeń, których pełnej treści nie byłem w stanie uchwycić. Gdy obudziłem się był już dzień; na korytarzu panował ruch, wszyscy moi konwojenci, którzy widocznie spali w ciągu nocy w jakimś oddzielnym przedziale, byli już na nogach. Pociąg stanął i po kilku chwilach wyprowadzono mnie. Przechodnie, nędznie ubrani i przeważnie o zmęczonych twarzach, szybko nas mijali, starając się patrzeć w inną stronę. Konwojenci wyciągnęli pistolety. Dwóch idących z tyłu skierowało je w moją stronę trzymając palce na cynglach. Wyszliśmy z peronu jakimś bocznym przejściem, tak samo jak w Smoleńsku. Nagle usłyszałem głos jakiegoś chłopaka, który krzychał: „Kościa, Kościa, patrzy, prowadzą trockistę”. W mgnieniu oka uformowała się grupa małych łobuziaków, która dołączyła niejako do konwoju. Dzieciaki miały prawdopodobnie nielada frajdę, bo zobaczyły jak wygląda żywy trockista.

Znowu wsadzono mnie do więziennego samochodu, który natychmiast ruszył. Po pewnym czasie samochód stanął, skrzypnęły zawiasy otwieranej ciężkiej bramy. Wjechaliśmy na jakieś podwórze. Kazano mi wysiadać. Byliśmy na podwórzu sławnego więzienia na Łubiance. Nie dano mnie jednak było zobaczyć jak wygląda dzisiaj plac Łubiański, który dobrze znałem z czasów studenckich w Moskwie w 1917/18 roku, a który w czasach stalinowskich przemianowano na plac Dzierżyńskiego.

Wprowadzono mnie początkowo do pomieszczenia, które wyglądało tak jak kancelaria w każdej większej instytucji. Biurka, urzędnicy i urzędniczki, lady oddzielające „interesantów” od personelu administracyjnego. Kazano mi podać moje dane personalne. Ja zapytałem wprost czy jestem na Łubiance? Odpowiedziano mi twierdząco. Potem skierowano mnie do rodzaju poczekalni gdzie pozwolono usiąść. Po pewnym czasie strażnik otworzył drzwi jakiegoś bocznego pokoju i kazał wejść. Znalazłem się w niedużym pokoju, raczej klitce przypominającej swoim kształtem windę. Po chwili otworzyły się drzwi z przeciwnej strony i weszła młoda kobieta, niskiego wzrostu w białym kitlu lekarskim, raczej brzydka, w dużych okularach, lecz o wyrazie twarzy który wydał mi się bardzo sympatyczny. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu. Kobieta wydawała się jakby nieco zakłopotana; w końcu odezwała się: „*Nu wot i prijechali*”. Zdanie samo przez się nie mówiło nic, było jedynie stwierdzeniem oczywistego faktu, lecz mogło wyrażać wiele rzeczy zależnie od tonu którym było wypowiedziane. Mnie się wydało że zadzwięczały pewne nutki życzliwości. Po chwili zapytała w sposób, jak mi się również wydało, przyjacielski, „*Nu kak wy siebia czuwstwujuetie*” (Jak się Pan czuje). Nieco zaskoczony tym tonem odpowiedziałem: „Tak jak się człowiek może czuć w więzieniu?”. Na to ona: „*Ja nie pro to. Zdorowy li wy*” (Jak pana zdrowie). Potem zapytała czy nie miałem jakichś chorób wenerycznych. Po mojej negatywnej odpowiedzi coś jeszcze chciała powiedzieć, lecz drzwi przez które weszła otworzyły się, co było widocznie znakiem że tę rozmowę należy skończyć; ona natychmiast cofnęła się. Otworzyły się również drzwi z mojej strony i ja wróciłem do poczekalni.

Zastanawiałem się przez chwilę co ten epizod miał znaczyć. Jeżeli to miało być badanie lekarskie to właściwie go nie było. Zresztą dla badania lekarskiego nie było żadnej potrzeby zostawiania nas w zamkniętym pokoju na rozmowę w cztery oczy. Jeżeli ta młoda kobieta miała wy badać coś, co miało jakąś wagę dla śledztwa, to nie dano jej na to czasu. Miałem wrażenie że ten epizod był jednak wyrazem pewnej metody. Przypuszczam, że chodziło tu o oszołomienie więźnia na początku śledztwa przez stwarzanie dla niego różnych niespodzianek.

Potem zaprowadzono mnie do laboratorium fotograficznego gdzie zrobiono szereg zdjęć z różnych możliwych stron, a również wzięto odfitki palców. Stamtąd poprowadzono mnie do rewizji przy której odebrano mi wszystkie rzeczy „metalowe”

szczyryk, drobne monety, portmonetkę ponieważ miała metalowe kanty, obcięto również wszystkie guziki które uznano za metalowe. Wszystkie te rzeczy złożono do osobnego woreczka który obiecano mi zwrócić przy ewentualnym zwolnieniu lub przeniesieniu do innego więzienia. Odbierając mi ryngraf z Matką Boską Ostrobramską który mi żona włożyła na szyję gdy odchodziłem na front, enkawudysta próbował mi tłumaczyć, że „Boga niet”, lecz ostatecznie zgodził się dołączyć go do spisu moich osobistych rzeczy. Ten ryngraf widziałem jeszcze gdy w osiem miesięcy później przewożono mnie z Łubianki do więzienia Butyrskiego; nie zdołałem jednak go odzyskać gdy zwalniano mnie z łagru w kwietniu 1942 roku.

Enkawudysta chciał również oderwać podkówki od moich bardzo wygodnych długich butów, w których noga czuła się jak w poduszkach. Kiedy jednak zacząłem protestować uznał rację tego protestu i zaliczył buty do chwilowo odebranych rzeczy osobistych i powiedział, że w więzieniu dadzą mi coś tymczasowego na nogi; tak że podczas całego okresu pobytu na Łubiance byłem w spodniach do konnej jazdy i w rodzaju łapci, które wydano mi z magazynu więziennego. Buty istotnie zwrócono mi gdy 8 miesięcy potem przewożono z Łubianki do więzienia Butyrskiego. Musiałem je sprzedać gdy następnie byłem w łagrze, bo żadna skóra nie może wytrzymać stałego przebywania w głębokim śniegu. Nabywca, który pracował w łagiernym biurze planowania, spłacał mnie chlebem, tak że przez kilka tygodni z powodu tych butów byłem zabezpieczony od głodu.

Sowiecka rewizja obejmuje nie tylko rzeczy i ubranie, lecz również różne intymne skrytki ciała w których różne niedozwolone rzeczy mogą być przechowane. Po raz pierwszy więc byłem obiektem tego procesu nieodłącznego od każdej dokładnej rewizji sowieckiej, kiedy funkcjonariusz służby bezpieczeństwa zagląda do odbytnicy osoby podejrzanej. Potem skierowano mnie do łaźni, która na Łubiance jest nie tylko dobrze, lecz można nawet powiedzieć, luksusowo urządzona. W ogóle łaźnie obydwóch głównych więzień moskiewskich — Łubianki i Butyrek — mają dobrą sławę wśród więźniów. Po łaźni wydano mi czystą bieliznę z grubego płótna. Po chwili przyniesiono moje ubranie jeszcze gorące po świeżej dezynfekcji. Umytego i odświeżonego poprowadzono mnie pod konwojem dwóch enkawudystów, głębiej w podziemia Łubianki.

Psychoanaliza w separacie (6-8. V. 1940)

Weszliśmy do względnie wąskiego korytarza który przypo-

minał korytarz na głębszych pokładach oceanicznego statku. Po obydwóch stronach były małe drzwiczki prowadzące widocznie do oddzielnych kabin. Różnica polegała jedynie na tym, że w drzwiczkach znajdowały się małe otwory zwane w polskiej gwarze więziennej „judaszami”, służące do tego żeby straż mogła stale kontrolować zachowanie się więźniów. Otworzono jedno z tych drzwiczek i kazano mi wejść. Wnętrze istotnie przypominało kabinę okrętową. Bardzo niski sufit, wąskie łóżko nakryte szarym kocem, mała podłużna poduszka z czystą nawleczką, koło wezgłowia malutki stolik. Nie było miejsca aby chodzić po celi: więzień mógł albo siedzieć albo leżeć na łóżku. Leżeć wolno było tylko na wznak trzymając zawsze ręce na kocu. W celi nie było okna i dość jaskrawa żarówka paliła się przez okrągłą dobę. Zastanawiałem się czy to nie jest owo sławne torturowanie przez jaskrawe światło, o którym tyle słyszałem przed wojną. W sąsiedniej celi siedział jakiś sowiecki więzień, który widocznie popadł w stan zupełnego załamania się nerwowego. Wydawał głośne jęki, twierdził że jest niewinny, powtarzał zapewnienia o swojej wierności dla reżymu, nie przyjmował jedzenia. Z dalszej strony korytarza dochodziły również podobne jęki. W pierwszej chwili myślałem że te jęki były inscenizacją aby zdeprymować świeżo aresztowane ofiary. Słyszałem przed wojną, że takie metody były czasami używane w preparowaniu zeznań podsądnych w procesach pokazowych. Niedługo potem przekonałem się że w danym wypadku tak nie było. Jakiś przedstawiciel administracji więziennej przyszedł do celi owego sąsiada i zaczął go uspakajać, łagodnym głosem namawiał go aby jednak coś zjadł, mówił również o tym, że nie można poddawać się rozpaczom i że człowiek nie powinien tracić nadziei.

Wyciągnięty na łóżku z zamkniętymi oczami z powodu jaskrawego światła żarówki, przysłuchiwałem się głosom dochodzącym zza cienkiej ściany oraz rozmyślałem nad mentalnością mego sąsiada. Dostatecznie wiedziałem o Rosji aby taką analizę przeprowadzić. Wyobraziłem więc sobie, że jest to jakiś przedstawiciel wyższej administracji sowieckiej. Rosja za czasów Stalina przetrworzyła się w państwo centralistycznie rządzone za pomocą ogromnego aparatu biurokracji partyjnej, państwowej i gospodarczej. W ciągu kilkunastu lat przedwojennych rządów stalinowskich, wielu ludzi którzy pracowicie drapali się po szczeblach kariery biurokratycznej, potrafili dojść do poważnych pozycji oraz dać swoim rodzinom względnie dostatnie warunki życia. Stanowili oni tę „nową klasę” opisaną w naszych czasach w sławnej książce Dżilasa na ten temat². Nad wszystkimi tymi

2. Dżilas, Milovan: *Nowa klasa wyzyskiwaczy*, Instytut Literacki, Paryż, 1957.

ludźmi wisiała jednak ciągle groźba, że z powodu jakiegoś przypadkowego zbiegu okoliczności, jakiejś kłótni, jakiegoś donosu, może dojść do ich aresztowania które będzie oznaczało ruinę wszystkiego co w życiu zdobyli oraz śmierć cywilną jeżeli nie fizyczną. Łubiańskie więzienie, gdzie trzymano wielu wyższych przedstawicieli sowieckiego aparatu administracyjnego, było dla tych ludzi symbolem katastrofy życiowej. Świadomość więc że jest się na Łubiance i należy się przez to do kategorii wyklętych „wrogów ludu”, powodowało szok, którego przejawy u różnych ludzi z natury rzeczy były różne. Wyobrażałem sobie, że w następnym etapie ten szok przeobrazi się w gotowość do podpisania każdego zeznania, które więźniowi zostanie podyktowane.

Z natury rzeczy przyszedłem w tych rozmyślaniach do porównania własnej sytuacji z sytuacją tego więźnia za ścianą. Ten więzień był psychicznie niewolnikiem, którego wszelka wola oporu, jeżeli ją kiedykolwiek miał, została złamana. Gotów jest teraz lizać i całować tę rękę, która go będzie biła i może go jutro poprowadzi na egzekucję w podziemiach tej samej Łubianki. Ja byłem członkiem armii walczącej, przenikniętej wolą zwycięstwa. Gdy w sierpniu 1939 roku odchodziłem na front musiałem być przygotowany na to, że może trzeba będzie oddać życie. Gdyby to miało nastąpić teraz, gdy znalazłem się w rękach sowieckich, byłoby to częścią tej wojny która się toczyła, a której wynik bynajmniej jeszcze nie był jasny. Jeżeliby więc miała ostatecznie przyjść egzekucja, należało ją przyjąć z godnością wynikającą z przynależności do walczącej armii. Należało się modlić przede wszystkim o zachowanie tej postawy, którą nazywaliśmy honorem. Byłem więc innej kategorii więźniem, niż ów sowiecki towarzysz niedoli jęczący za ścianą.

Moje myśli o tym sowieciarzu za ścianą były odbiciem wrażenia, które odniosłem z czytania sprawozdań z przedwojennych procesów Zinowiewa, Kamieniewa, Radka i Bucharina (w 1937-1938 latach). Moje dumne przekonanie o tym, że jestem członkiem walczącej armii, było wyrazem tego ducha który przenikał obóz Kozielski. Było wiele rzeczy które różniły mnie od większości moich współtowarzyszy niewoli w Kozielsku w poglądach na świat, ludzi i charakter tej zawieruchy dziejowej, która porwała nas w swoje wiry, lecz wszystkich nas łączyło jedno przekonanie, że jesteśmy częścią armii przenikniętej wolą walki.

Dziś, gdy z perspektywy czasu wspominam swoje przeżycia w Kozielsku a potem w sowieckich więzieniach i obozach, myślę że ta właśnie postawa jeńców Kozielska, manifestowana przy każdej okazji, nie wyłączając rozmów z politrukami, musiała ode-

grać decydującą rolę w powzięciu przez władze sowieckie decyzji Katyńskiej. Postawa ta była tak jaskrawa, że musiała znaleźć swój wyraz w tych raportach, które według wszelkiego prawdopodobieństwa Kombrig Zarubin składał najwyższemu kierownikowi sowieckiej służby bezpieczeństwa; i ci ostatecznie zdecydowali o fizycznej likwidacji większości jeńców we wszystkich trzech obozach oficerskich.

W tym wszystkim jednak było w moim stanie psychicznym coś czego nie mogłem zrozumieć, coś co było w pewnej sprzeczności z tym co przeżywałem podczas siedmiu miesięcy pobytu w Kozielsku. Nie mogłem zrozumieć tego spokoju, tego odprężenia, które ogarnęło mnie gdy się wyciągnąłem na łóżku w owej separacie w podziemiach Łubianki. Było to sprzeczne z moją raczej nerwową naturą. Czułem się tak, jakbym był już po kryzysie a nie przed wielką ogniową próbą sowieckiego śledztwa i ewentualnego procesu. Jestem przyzwyczajony do analizowania swoich stanów psychicznych i do pewnych wysiłków aby je kontrolować. Wyrobiłem w sobie ten zwyczaj, gdy należąc do polskich konspiracyjnych kółek uczniowskich w szkole rosyjskiej na początku pierwszej wojny światowej, przeczytałem *Kształcenie woli* Payot'a. Ta czysta separotka, to względnie wygodne łóżko, to światło bijące w twarz, zmuszające do ciągłego zamykania oczu, stwarzały idealne warunki do samoanalizy, potrzebnej do zajęcia jakiejś postawy wobec tego co się działo dookoła mnie.

W Kozielsku nie należałem do optymistów, którzy spodziewali się rychłego zwolnienia z obozów lub nawet rychłego końca wojny. Uważałem że trzeba umieć spojrzeć w twarz rzeczywistości takiej jaką ona naprawdę była. Nasza postawa musiała być przeniknięta wolą walki, lecz uważałem że do wyrobienia tej postawy nie należy karmić siebie iluzjami. Chociaż od czasu do czasu wygłaszałem odczyty, jak na przykład w rocznicę powstania listopadowego, oraz prowadziłem regularne wykłady ekonomiczne, unikałem w nich akcentów wiary w najbliższą przyszłość.

Mój pesymizm dotyczył zarówno ogólnej jak i mojej osobistej sytuacji. Jeżeli chodzi o moją ocenę sytuacji ogólnej odpowiadała ona moim poglądom przedwojennym, o których już pisałem. Przed wojną twierdziłem, że Polska nie była zdolna do skutecznego oporu wobec ataku niemieckiego zarówno z powodu fatalnego położenia granic i zacofania w uzbrojeniu jak i dlatego, że wojna polsko-niemiecka musiałaby prędzej czy później doprowadzić do okupacji ziem wschodnich Rzeczypospolitej przez Sowiety i związanych z tym cierpień. To moje przewidywanie że

konflikt zbrojny z Niemcami musi nieuniknienie prowadzić do okupacji wschodnich województw Polski przez Sowiety, było oparte nie tyle na przekonaniu o specjalnej zdradliwości sowieckiej polityki zagranicznej (co mogło być również słuszne), lecz na prostym rozumowaniu, że Rosja nie może dopuścić aby pod Mińskiem, na szlakach prowadzących do Moskwy, zamiast nieodzbrojonej Polski, która karabiny maszynowe musiała wozić na wózkach chłopskich, usadowiła się ta groźna potęga pancerna, którą stworzył Hitler. Uważałem natomiast, że Polska ówczesna zdolna była do przeciwstawienia się atakowi sowieckiemu, gdyby miała oparcie o przemysł niemiecki. Przypuszczałem że w ten sposób rozumowali również eksperci sowieccy. Wynikał stąd wniosek, że względnie dobre stosunki z Niemcami zabezpieczyłyby Polskę ówczesną na dwie strony zarówno przed atakiem niemieckim jak i sowieckim.

Sądziłem więc, że jednym z naczelných zadań polityki odrodzonej Polski, musiało być uregulowanie stosunków z Niemcami. Nie wiem czy za czasów Hitlera to uregulowanie było możliwe bez wyrażenia zgody na wspólną wyprawę przeciwko Związкови Sowieckiemu, na co w Polsce nikt nie miał ochoty. Perspektywa, że za naszą wschodnią granicą zamiast bolszewików będziemy mieli kontr-rewolucyjnego, rosyjskiego satelitę Niemiec, żadnemu rozsądnemu człowiekowi w Polsce nie mogła się uśmiechać. Sądziłem jednak, że powinny być podejmowane próby uregulowania stosunków polsko-niemieckich bez tej ostateczności. Pakt o nieagresji z 1934 roku stwarzał ku temu pewne warunki. Stosunki polsko-niemieckie były przeładowane imponderabiliami. Obrażona duma pruska; bzdurne szykany które Polacy robili Niemcom przejeżdżającym przez Korytarz do Prus Wschodnich; frazeologia skrajnego nacjonalizmu polskiego — który antysemityzm łączył z antyniemieckością — były czynnikami zaostrzającymi sytuację. Należało przede wszystkim starać się rozładować zagadnienie na tych odcinkach.

W roku 1934 opowiadał mi Witold Staniewicz, który w owym roku miał dłuższą rozmowę z Marszałkiem Piłsudskim, że w pewnej chwili Marszałek mu powiedział: „Jeżeli chodzi o nasze stosunki z Niemcami myślę, że wiele rzeczy skończy się na Kłajpedzie”. Zastanawialiśmy się wówczas obydwaj, jak te słowa należało rozumieć. Leżąc obecnie w mej separacie w podziemiach Łubianki, wróciłem znowu do owych emocjonujących rozważań. Myślałem o tym, że Józef Piłsudski przed tą drugą wojną tak samo przewidywał bieg wypadków jak to było przez pierwszą. Niemiecka rewindykacja Kłajpedy istotnie poprzedziła bezpośrednio sojusz polsko-angielski oraz atak niemiecki na Polskę.

Piłsudski miał widocznie jakiś plan gry, aby do tego ataku nie dopuścić tylko, jak zwykle, nikomu go nie ujawniać.

Pisałem już o tym powyżej, że gdy jednak w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku przysłała mobilizacja, to moje przewidywanie zbliżającej się katastrofy gdzieś znikło. Absorbujące funkcje, które powierzono mi w pierwszym rzucie pułku, wspaniały duch młodszych oficerów i żołnierzy; dowódcy, którzy dawali przykład; same operacje bojowe z początku pod Piotrkowem a potem nad Bugiem i Wieprzem; zadowolenie z własnej sprawności fizycznej którą wykazałem spędzając cztery tygodnie w siodle — wszystko to napawało człowieka jakimś irracjonalnym optymizmem, który zaczął się załamywać dopiero w ostatnich dniach września. Gdy jednak znalazłem się w niewoli sowieckiej i zacząłem znowu moje rozważania analizować, stwierdziłem, że rzeczywisty bieg wydarzeń okazał się znacznie gorszy od moich pesymistycznych przewidywań. Najbardziej bolały mnie nieuniknione zniszczenia tyłu wartości kulturalnych nagromadzonych w ciągu wieków we dworach i dworkach na Litwie i Białej Rusi. A tam właśnie byli wszyscy moi najbliżsi.

Z Kozielska międzynarodową sytuację Polski oceniałem dość ponuro. Gdy w 1914 roku Legiony wyruszały na front, naród polski przeistaczał się w samodzielny czynnik na szachownicy polityki międzynarodowej. W 1920 roku improwizowana armia polska zadecydowała o losach Europy na najbliższe dwa dziesięciolecia. Gdy w 1939 roku ostatnie zorganizowane oddziały polskie złożyły broń, polityka polska straciła samodzielność i możliwość manewru. Ta ciągła troska o zdolność manewru politycznego była wybitną cechą kierownictwa, które sprawie polskiej nadawał Piłsudski pomiędzy 1914 a 1935 rokiem. Jego ostatnim wielkim manewrem był pakt o nieagresji z Niemcami. Tę politykę manewru usiłował kontynuować Beck, lecz bez wycucia czynników psychologicznych, związanych z każdym wielkim manewrem politycznym.

W Kozielsku otrzymywaliśmy prasę sowiecką i wiedzieliśmy z niej o kluczowej roli Sikorskiego w emigracyjnym rządzie w Paryżu. Nie znałem Sikorskiego osobiście, lecz znałem wielu ludzi, którzy mieli z nim kontakty bliskie. Miał on wielkie zasługi jako jeden z twórców polskiego ruchu wojskowego w Galicji przed pierwszą wojną światową, lecz dawni legionieści go nie lubili. Ludzie ze środowiska krakowskich profesorów i dziennikarzy (np. mój przyjaciel śp. Iwo Jaworski, syn Władysława Leopolda Jaworskiego, byłego prezesa NKN; Konstanty Srokowski, były redaktor *Nowej Reformy*, który się ze mną kontaktował, gdy na osobiste zlecenie Sikorskiego opracowywał

sprawę białoruską, Marian Jedlicki, późniejszy profesor Uniwersytetu Poznańskiego, który był przy Sikorskim jako korespondent wojenny w roku 1920) podnosili jego wielkie zdolności. Nie spotkałem nikogo kto by kwestionował jego talenty. W zakresie polityki zagranicznej Sikorski był przedstawicielem tzw. „Frontu Morges”, który widział międzynarodową rolę Polski przede wszystkim jako wiernego satelity Francji. Podczas pierwszej wojny uchodził on za germanofila, podczas dwudziestolecia niepodległości podkreślał swój frankofilizm. Latem 1939 roku w uniwersyteckiej bibliotece w Wilnie trafił w moje ręce jego artykuł w *Sunday Times*, gdzie dość niedwuznacznie sugerował sojusz Zachodu z Rosją przeciwko Niemcom oraz użycie pancernych formacji rosyjskich na terenie Prus Wschodnich. Ponieważ wiedziałem że w Polsce bardzo niewielu ludzi czyta prasę angielską, poinformowałem o tym artykule kilka osób, między innymi Stanisława Mackiewicza, który natychmiast to poruszył w *Słowie wileńskim*.

Nigdy oczywiście nie podejrzewałem Sikorskiego o jakieś specjalne sympatie dla imperializmu rosyjskiego ani tym bardziej dla komunizmu, ani też nie kwestionowałem jego patriotyzmu. Ani też nie mogłem go posądzać o naiwność polityczną. Uznałem więc artykuł za wyraz jakiejś gry, której sensu nie mogłem zrozumieć. Teraz Sikorski był premierem rządu polskiego uznanego przez wszystkie państwa wolnego świata, a dla milionów Polaków, którzy go mogli lubić lub nie lubić, był symbolem niepodległego państwa polskiego. Zastanawiałem się jak on tę pozycję wykorzysta gdy przyjdą momenty kluczowych decyzji. Byłem zresztą daleki od przeceniania wpływów, jakie polski rząd może mieć na bieg wypadków poza terenem Państwa Polskiego. Zastanawiałem się nad tym czy w trakcie tej burzy dziejowej, naród polski będzie w stanie odegrać jakąś rolę w obronie własnej indywidualności, własnej tradycji duchowej i własnych interesów.

Moi współtowarzysze niedoli w Kozielsku, wierzyli w koalicję zachodnią i podkreślali z dumą swój charakter oficerów koalicyjnych. Ja byłem pod tym względem bardziej sceptyczny. Nie wydawało mi się prawdopodobne, żeby Hitler mógł wygrać wojnę z Imperium Brytyjskim, które reprezentowało w owym czasie największy potencjał siły na naszym globie, jak to wykazałem we wspomnianym odczycie w klubie *Polityki* oraz w swoich artykułach w *Kurjerze Wileńskim* przed samą wojną. Wierzyłem, że skoro ten wspaniały naród zaangażował się w wojnę, to Hitler będzie zniszczony. W sierpniu 1939 roku tej samej opinii był również Stanisław Mackiewicz, w rozmowach z którym

zwykłem konfrontować swoje analizy sytuacji międzynarodowej. Lecz wydawało mi się, że potem, gdy przyjdą pertraktacje pokojowe, będziemy już tylko obiektem targów pomiędzy wielkimi mocarstwami. Dlaczego Chamberlain i Churchill mieliby w stosunku do nas być bardziej wspaniałomyślni niż był Napoleon?

Niektórzy moi koledzy spodziewali się wojny rosyjsko-niemieckiej i nawet często mówili o tym sowieckim politrukum. Ja w taką możliwość nie wierzyłem. Wiedziałem że Sowiety pierwsze nie zaatakują, z drugiej strony uważałem, że Hitler po wpakowaniu się wbrew swoim pierwotnym zamiarom, w wojnę z Imperium Brytyjskim, nie może już zdecydować się na wojnę z Sowietami; chyba że zwariuje. Przypuszczałem, że nawet w tym ostatnim wypadku, pruski sztab generalny mu na to nie pozwoli. Przypuszczałem, że najprawdopodobniej po złamaniu Hitlera, co może zająć lata, przyjdą pertraktacje mocarstw z jego sowieckim sojusznikiem, po których nie spodziewałem się niczego dobrego dla nas. Drugą możliwością wydawało się mi, że po złamaniu Hitlera, narodowi socjaliści sami rozpalą żagiew rewolucji komunistycznej w Niemczech, i wtedy znowu będziemy wzięci w obcęg.

Nie wykluczałem oczywiście że w pewnej chwili mogą przyjść jakieś tarcia sowiecko-niemieckie np. na Bałkanach, czy też na Bliskim Wschodzie, i że Sowiety zaczną grać na dwie strony, co może stworzyć pewną szansę dla naszych osobistych losów. Wydawało mi się, że w takim razie tych kilkadziesiąt tysięcy polskich jeńców może stanowić atut w rękach sowieckich, który będą mogli sprzedać zależnie od okoliczności.

Pod promieniami tej świecącej mi w oczy lampy myśli przewalały się przez moją głowę. Przeżywałem na nowo dawne dyskusje, kontrowersje, artykuły publicystyczne. Nie były to więc myśli nowe. Było to powtórzenie tej samej analizy, którą już przeprowadzałem w Kozielsku wędrując godzinami poprzez rodzaj ulic, wytworzonych przez rządy nar w dawnych cerkwiach tego wielkiego klasztoru. Tak samo jak i w Kozielsku kłóciło się we mnie dwóch ludzi: oficer wileńskiego pułku strzelców, który chciał być podobny do swoich kolegów i przyjmował przeważną część ich reakcji, oraz pracownik naukowy, przyzwyczajony do analizy procesów społecznych. Ten drugi bezlitośnie krytykował pierwszego. Lecz w tym całym szamotaniu się psychicznym było również coś nowego. Te myśli nie rodziły już we mnie tego przynębnienia, które ogarniało mnie w Kozielsku. Coś grało w mojej podświadomości, co zmieniało charakter moich spontanicznych reakcji. Jakby na moim czole spoczęła jakaś dobrotliwa ręka, z której spływała na mnie wiara i ufność.

Tę obecność w sobie jakichś nowych psychicznych elementów stwierdzałem również wtedy, gdy myślałem o swoich perspektywach osobistych. Nie mogły być one obiecujące. Gdy w Kozielsku rozważałem nasze perspektywy, nie wydawało mi się prawdopodobne żeby władze sowieckie mogły zarządzić masową egzekucję polskich jeńców wojennych szereg miesięcy potem, jak zostali wzięci do niewoli i byli względnie przyzwoicie traktowani przez oddziały Armii Czerwonej, które ich ogarnęły. Nie wydawało mi się, że władcy Rosji mogli aż tak daleko odejść od zasad przyjętych w świecie cywilizowanym. Myślałem, że prawdopodobnie władze sowieckie będą starały się po dokładnym zapoznaniu się z charakterem materiału ludzkiego, który znalazł się w ich rękach, użyć polskich oficerów w zakresie ich fachowych kwalifikacji, trzymając ich pod pewnym systemem nadzoru i kontroli, a jednocześnie traktując ich los jako pewnego rodzaju drugorzędny atut przy różnych przyszłych pertraktacjach międzynarodowych. Przypuszczałem jednak, że władze sowieckie postarają się wyselekcjonować pewną ilość osób, które albo były wobec nich specjalnie obciążone lub też mogą być uznane za specjalnie niebezpieczne — i tych ludzi zlikwidują albo po cichu lub też nawet, w pewnych wypadkach, w drodze głośniejszych procesów pokazowych. Lecz wyobrażałem sobie, że zawsze będzie się to odbywało przy zachowaniu pewnych proceduralnych norm i pewnych pozorów legalizmu.

Wydawało mi się, że byłem dość wyraźnym kandydatem do tej grupy ludzi, którzy będą przeznaczeni do likwidacji. Miałem w swoim życiu dużo konfliktów z państwem sowieckim. W 1918 roku należałem do P.O.W. na terenie Rosji, w pierwszej połowie 1919 roku działałem z ramienia tej samej organizacji na Inflantach. Potem jako młody pracownik naukowy w Uniwersytecie Wileńskim, zająłem się specjalnie studiami nad problemami gospodarki sowieckiej. Przyniłem się poważnie do powstania ośrodka studiów sowieckich przy Instytucie Europy Wschodniej w Wilnie, który stanowił jeden z pierwszych instytutów sowietologicznych na świecie³. Tematem mojej rozprawy habilitacyjnej, wydanej w 1930 roku był: „Lenin jako Ekonomista”. W 1934 roku wydałem tom poświęcony gospodarce sowieckiej, zawierający zarówno moje prace jak i prace moich współpracowników i asystentów. W tych pracach staraliśmy się zająć jak najbardziej obiektywne stanowisko. Uważaliśmy, że rzeczy, które działy się w Związku Sowieckim, mają ogromne, historyczne znaczenie również dla reszty świata, i że wobec tego

3. Patrz *Wstęp*, str. 9.

należało je studiować. Fascynował mnie ogromny naukowy wysiłek włożony w przygotowanie Pierwszego Planu Pięcioletniego. Lecz w tych naszych pracach były też różne krytyki i uwagi, które mogły nie podobać się w Moskwie. Jeżeli w początku lat trzydziestych za podobne analizy władze zlikwidowały szereg sowieckich ekonomistów, zasłużonych w przygotowywaniu Pierwszego Planu Pięcioletniego, jeżeli w 1938 roku rozstrzelali Bucharina, najwybitniejszego po Leninie teoretyka komunizmu, to dlaczego mieliby być dla mnie specjalnie pobłażliwi skoro już mną się zajmą.

Lecz w moim rozumieniu najważniejszym elementem który czynił ze mnie osobę dla Związku Sowieckiego niepożądaną, była moja aktywna przynależność do grupy federalistów wileńskich. Grupa ta, której niektórzy członkowie byli osobiście związani z Marszałkiem Piłsudskim, uważała że odbudowanie niepodległości Polski po pierwszej wojnie światowej, musi za sobą pociągnąć również odbudowanie niepodległości innych narodów, które w przeszłości razem z Polską stanowiłyby wspólną Rzeczypospolitą, a więc Ukrainy, Białorusi i Litwy, i że narody te razem z Polską oraz państwami Bałtyckimi, winny utworzyć wielki związek obejmujący znaczną część środkowo-wschodniej Europy. Przy tym, jeśli chodzi o moją osobistą postawę, nie uważałem federacji za konieczny warunek tego programu. Niepodległość Ukrainy, Białorusi i Litwy uważałem zawsze za postulat bezwzględny, niezależny od tego jaką politykę te państwa mogą prowadzić po uzyskaniu całkowitej swobody. Federaliści wileńscy przeciwstawiali się całkowitemu wcieleniu do Polski terytoriów Litwy historycznej, lecz uważali że terytoria te muszą wejść w przyszłości w skład niepodległej Litwy i Białorusi, chociaż Polska musi zachować pewne prawa w okręgu wileńskim, gdzie ludność polska stanowiła najliczniejszą grupę językową. Prostą konsekwencją tego programu było dążenie również do uzyskania pełnej niepodległości dla tych terytoriów, które stanowiły część fikcyjnych sowieckich republik Białoruskiej i Ukrainskiej, centralistycznie rządzonych z Moskwy. Program ten stawiał federalistów wileńskich w pozycji ostrego konfliktu zarówno z imperializmem rosyjskim jak i nacjonalizmem polskim.

Program federalistów wileńskich z natury rzeczy wykazywał pewne pokrewieństwo z postawą tzw. Prometejczyków. Prometeizm był to ruch narodów ujarzmionych przez Rosję i dążących do wyzwolenia: Ukraińców, Gruzinów, Tatarów, Górali Kaukaskich i nawet Kozaków Dońskich, którzy swój związek z Moskwą uważali za błąd historyczny. W Armii Polskiej służyła pewna ilość tzw. „oficerów kontraktowych” należących do tych

narodowości, przeważnie Ukraińców z lewobrzeżnej Ukrainy. Sowiecka służba wywiadowcza bardzo się tym ruchem interesowała. Opowiadano mi o wypadkach morderstw i porywań. Z organizacjami prometejskimi nie miałem bezpośredniego kontaktu, były one przeważnie zakonspirowane i, o ile wiem, ich główne bazy były nie w Polsce a w Turcji. Lecz ogólnymi celami tego ruchu interesowałem się chociażby z tytułu mojej przynależności do Zarządu Głównego Instytutu Spraw Narodowościowych w Warszawie, na czele którego stał Leon Wasilewski, ojciec osławionej Wandy Wasilewskiej. Gdyby te moje zainteresowania wyszły na jaw, czekałyby mnie prawdopodobnie tortury, aby ujawnić różne szczegóły, których zresztą nie znałem, bo zainteresowania moje miały charakter raczej akademicki.

Było więc ostatecznie wiele powodów, aby władze sowieckie zwróciły specjalną uwagę na moją osobę.

Z tego więc powodu żyłem w Kozielsku w ciągłym strachu, że wkrótce do mnie się zabiorą. Jest mało rzeczy obiektywnie strasznych. Straszne jest to — czego się boimy. Było dla mnie tajemnicą dlaczego tak bałem się Łubianki wówczas gdy byłem w Kozielsku, a teraz przestałem się bać, kiedy to przed czym drżałem — stało się faktem. A przecież wiedziałem że wielu Rosjan uważa Łubiankę za najbardziej ponure miejsce w Związku Sowieckim; i słyszałem jęki zrozpaczonych ludzi za ścianą.

Przez cały czas tych rozmyślań i analiz leżałem na wznak z rękami na wierzchu tak jak tego wymagały przepisy. Słyszałem jak co kilka minut poruszała się pokrywka w „judaszu” i czujne oko strażnika kontrolowało co się ze mną dzieje. Więźniowie w tych separatkach w podziemiach Łubianki, są pod nieustanną obserwacją; przypuszczam że chodzi tu przede wszystkim aby zapobiec wypadkom samobójstwa. Jaskrawe światło żarówki biło mi w oczy, musiałem więc przez cały czas trzymać powieki opuszczone. Promienie tego światła przenikały jednak pokrywę powiek i rozkładały się przed obiektywem moich oczu wszystkimi barwami tęczy, tworząc różnego rodzaju mniej lub więcej wyraźne lecz ciągle poruszające się i ciągle zmieniające się wzory. Coś mi te wzory przypominały i nagle sobie uświadomiłem. Kiedyś, nie mogłem sobie przypomnieć gdzie i kiedy, widziałem przepiękną ilustrację do uroczego wstępu do poematu Puszkina „Rusłan i Ludmiła”. Zacząłem sobie powtarzać strzępy tego wiersza, które pamiętałem z czasów swoich lat chłopięcych w szkole rosyjskiej. Podaję tutaj te ustępy w polskim tłumaczeniu Jana Brzechwy, chociaż ja recytowałem je po rosyjsku:

*Jest nad zatoką dęb zielony,
Na dębie złoty łańcuch łśni;
I całe noce, całe dni
Wędruje po nim kot uczony;
Zwróci się w prawo — śpiewa pieśni,
A w lewo — bajki opowiada.*

*Tam dziwy są: jest upiór leśny,
Siedzi wśród drzew rusalka blada;
Zwierz widziany tylko z rzadka,
Wyciska ślady ciężkim krokiem.
Na kurzych nóżkach stoi chatka
Co nie ma wcale drzwi ni okien;
Tam las i jar są pełne widm,
A kiedy przyptływ fal uderzy
O piach nadbrzeżnych pustych wydm,
Trzydziestu zjawia się rycerzy,
Z wód wylaniają się na piasku
A z nimi wraz ich morski piastun;*

.....
.....
*Tam kościej złotem swym się krtusi;
Tam ruski duch — tam zapach Rusi.*

Wciąż powtarzałem te zwrotki znowu, znowu. Pamięć zaczęła odtwarzać dalsze części poematu, które były gdzieś zagrzebane w zakamarkach pamięci. Te słowa które, jak mi się wydaje, w brzmieniu rosyjskim mają o wiele większy urok niż w tłumaczeniu, haszyszowały mnie i oddziaływały od realnego świata, chociaż nie na tyle abym stracił świadomość tego co działo się dookoła mnie. Jęki za ścianą ustały. Rozważania i analizy polityczne, ponure przewidywania dotyczące losów osobistych, zaczynały odchodzić w jakąś dal jak odchodzi czasami światło na ekranie po wyłączeniu telewizora. Pogrążyłem się w świat baśni w stanie pół snu pół jawy. Nie przyszło mi wówczas do głowy że byłem nie tylko pod urokiem poezji Puszkinańskiej lecz również pod wpływem tych narkotyków, które w owym czasie były podobno dosypywane do jedzenia więźniów zamkniętych w owych małych celkach w podziemiach Łubianki. W swoim późniejszym życiu tylko raz miałem reminiscencje tego co przeżywałem pod światłem owej żarówki. Było to w 1945 roku w Londynie, kiedy zupełnie przypadkowo zdarzyło mi się oglądać film skła-

dający się z samej gry światła i przeróżnych wzorów; nazywał się „Fantazja”.

Jak długo w tym stanie przebyłem — trudno powiedzieć. Wydaje mi się że cały okres mego pobytu w tej celi musiał wynieść nieco więcej niż 48 godzin. Nie miałem zegarka ani też nie dochodziło do nas światło dzienne. Straciłem poczucie pór dnia. Od czasu do czasu przynoszono mi jedzenie, które było zupełnie znośne. Zjadałem je szybko! potem pytano czy nie chcę „dobawki”? Zjadałem również „dobawkę”, i szybko waliłem się z powrotem na łóżko, zajmowałem ową przepisową pozycję na wznak, zamykałem oczy pod promieniami tej żarówki — i pogrążałem się w stan pół snu — pół jawy, jakby w oparach jakiegoś narkotyku, aż w pewnej chwili przywrócony zostałem do rzeczywistości krótkim rozkazem: „*Sobirajtes*” i poprowadzono mnie do innej celi gdzie było światło dzienne i gdzie już byli jacyś ludzie. Dopiero potem, gdy nieco zaznajomiłem się z obyczajami i stylem śledztwa Łubianki, dowiedziałem się że to podziemie z małymi celami dla świeżo przybyłych więźniów, nazywa się *prijomnik*. Traktowało się tam więźnia ze względną uprzejmością. Nie było tam *paraszy* i na każde zawołanie prowadzono do ubikacji. Jedzenie było lepsze niż normalna kuchnia więzienna. Nie narzucało się żadnych godzin wypoczynku. Nie zabierało się nieposłusznych do „karceru”, lecz starano się na nich oddziaływać perswazją. Nie dawano jednak książek, co za moich czasów było na ogół na Łubiance dozwolone.

Głównym celem *prijomnika* jest doprowadzenie nowoprzyjętego więźnia do pewnego stanu równowagi psychicznej o tyle, o ile to jest potrzebne dla efektywnego śledztwa. Łubianka nie była więzieniem karnym lecz śledczym, tzn. że nie trzymało się tam więźnia po wyroku lecz jedynie podczas śledztwa. Teoretycznie w Związku Sowieckim nie ma w ogóle więzień karnych, chociaż za moich czasów istniały tak zwane *politizatory*, gdzie odsiadywali wyroki wyjątkowo ważni więźniowie, co do których nie chciano aby się oni mieszały w obozach pracy z masą łagierników. W 1939-40 na przykład, w Politizatorze siedzieli: Karol Radek (na Uralu) oraz Bela-Kun (gdzieś na południu Rosji); Jeżow natomiast zdaje się że siedział w jednym z najbardziej ponurych więzień śledczych, mianowicie w Suchanowie, 40 km. od Moskwy. Łubianka była więzieniem śledczym o specjalnym znaczeniu: trzymano tam tylko tych więźniów których zeznaniami szczególnie interesowały się władze centralne, i tylko tak długo, jak te specjalne zainteresowania trwały. Potem przynoszono aresztowanych do innych więzień, przeważnie do olbrzymiego więzienia na Butyrkach, gdzie zwykle więzień siedział aż

do zakończenia śledztwa i otrzymania wyroku. Według obliczeń moich rosyjskich towarzyszy niedoli, z którymi później siedziałem we wspólnych celach, na Łubiance było w tamtym okresie około 600 więźniów wówczas gdy na Butyrkach — około 20.000.

Przed wojną, czytając sprawozdania z sowieckich procesów pokazowych, wyrobiłem sobie wyobrażenie o sowieckim śledztwie w latach trzydziestych jako o przygotowywaniu więźnia do tego przedstawienia jakim jest sowiecki proces pokazowy. Tak rzeczywiście było w tych wypadkach, kiedy daną sprawę do takiego procesu przygotowywano. Lecz tylko wyjątkowe sprawy przeznaczano do procesów pokazowych i wtedy każdy najdrobniejszy szczegół musiał być wyreżyserowany. Większość jednak spraw, które za moich czasów były przedmiotem śledztwa na Łubiance, w ogóle nie szło przed trybunały, lecz załatwiano je we własnym zakresie NKWD przez tzw. „trójkę”. Wrażenie jakie odniosłem ze swego ośmiomiesięcznego pobytu na Łubiance było takie, że głównym celem śledztwa w tym więzieniu było przeważnie nie tyle udowodnienie czyjeś osobistej winy, ile przede wszystkim zorientowanie się w różnych ruchach i nastrojach opozycyjnych w kraju oraz w różnych siłach zagranicznych, które mogły stanowić niebezpieczeństwo dla państwa sowieckiego. Ogromną uwagę zwracano na stosunki w przemyśle i dlatego też znaczna część, jeżeli nie większość sędziów śledczych, miała przygotowanie techniczne. Podobno NKWD przygotowywało ściśle poufne raporty dostępne tylko dla członków Politbiura, gdzie dawano obraz rzeczywistej sytuacji w kraju. W tych warunkach rzeczą istotną było tak urobić więźnia, żeby przede wszystkim mówił prawdę. Pobyt w *prijomniku* był właśnie pierwszym etapem tego urabiania.

Z tego co opowiadali ci sędziowie śledczy, którzy z biegiem czasu sami znaleźli się wśród więźniów, wynikało, że w 1937 roku, za czasów czystek Jeżowa, NKWD straciło zdolność orientowania się w tym co się w kraju dzieło, bo ludzie aresztowani z punktu przyznawali się do najbardziej fantastycznych zarzutów. Stworzyło to stan psychozy, w której same władze bezpieczeństwa straciły możliwość odróżniania fantazji od rzeczywistości. Nie można na przykład było zorientować się jakie były prawdziwe niedociągnięcia pracy w przemyśle, gdyż każdy aresztowany dyrektor sowieckiego przedsiębiorstwa, od razu przyznawał się do sabotażu i na żądanie pisał referat fachowo, w technicznych terminach, uzasadniający na czym jego wina polegała. Jeden z wybitnych inżynierów sowieckich, który ze mną siedział w tej samej celi, i sam zresztą taki referat pisał, mówił mi że podobno ten właśnie stan rzeczy był głównym powodem usunięcia Jeżowa

i wyznaczenie na jego miejsce Berii. Beria starał się wprowadzić do tego domu wariatów pewien ład i wtedy też uznano, że w każdym razie na początku śledztwa, trzeba owych przestraszonych ludzi doprowadzać do pewnego stanu równowagi, aby w ogóle z nimi można było jakoś sensownie rozmawiać. Jak wnioskuje z opowiadań rosyjskich więźniów, którzy w okresie mego tam pobytu byli osadzeni na Łubiance, na początku śledztwa w ich sprawach urzędnik śledczy z reguły tłumaczył im, że rząd sowiecki jest przede wszystkim zainteresowany w uzyskaniu prawdziwych wyjaśnień co do zakresu działalności antysowieckiej.

Bywalcy Łubianki twierdzili, że w *prijomniku* dosypywano do jedzenia różnego rodzaju środki uspakajające, czego oczywiście nie sposób było sprawdzić. Podobno przeciętny okres pobytu w *prijomniku* dla sowieckich obywateli trwał od 4 do 6 dni. Mnie trzymano jednak tylko nieco ponad 48 godzin. Widocznie uznano, że byłem dostatecznie zrównoważony aby postawić mnie przed sędzią śledczym). Czy *prijomniki* istniały w innych więzieniach sowieckich, tego nie wiem. Nigdy o tym nie słyszałem. Miałem wrażenie, że był to eksperyment mający miejsce tylko w Łubiance.

Cela Nr 41

Gdy rozkazano mi opuścić ową separatkę, dwóch strażników przytrzymując mnie z obydwóch stron poprowadziło jakimiś korytarzami i schodami. Schody były zaopatrzone w żelazne siatki. Podobno zaprowadzono je gdy w tym gmachu przed kilku laty, Borys Sawinkow popełnił samobójstwo przeskakując przez poręcz schodów. Potem jechaliśmy jakąś windą. Gdyśmy wyszli, kazano mi się zatrzymać. Jeden ze strażników podszedł do rogu korytarza, wydając klekocący sygnał oznaczający ostrzeżenie, że tędy mają prowadzić więźnia. W sowieckich więzieniach obowiązuje zasada, że więźniowie z różnych cel nie powinni widzieć siebie wzajemnie na korytarzach. Po chwili nadszedł trzeci strażnik z kluczem; szliśmy korytarzem znacznie szerszym niż w *prijomnikie*; po obu stronach były numerowane cele. Każde drzwi zawierały przykryty automatycznie zamykającą się pokrywką otwór dla obserwowania co się dzieje wewnątrz celi. Strażnik z kluczem otworzył jedno z tych drzwi; kazano mi wejść i przekręcono znowu klucz. Stałem zaskoczony i niezmiernie zainteresowany. Pierwszą moją myślą było, że jeżeli to jest ta

straszna Łubianka, to na pierwszy rzut oka wygląda ona na dość przyzwoite i dość kulturalne miejsce odosobnienia.

Miałem wrażenie że jestem w teatrze, że kurtyna się podniosła, że widzę dekoracje oraz aktorów i z zaciekawieniem czekam na rozpoczęcie się akcji. Wydawało mi się, że gdzieś i kiedyś podobny układ sceny i podobnych aktorów już widziałem. Znalazłem się i stałem w podłużnym pokoju, średniej wielkości, zakończonym dużym oknem; kraty nie rzucały się w oczy, jedynie rodzaj żelaznego, na zielono pomalowanego koszyka, umieszczonego od zewnętrznej strony tak że zamykał widok w dół, nie zasłaniając jednak słońca i błękitu nieba. Wzdłuż ścian stały z każdej strony po dwa łóżka; piąte łóżko znajdowało się pod oknem przy ścianie przeciwległej do drzwi. Po środku stał stół i kilka krzeseł. Zwraçała uwagę stosunkowo duża ilość książek. Prawie na każdym łóżku leżała co najmniej jedna książka, kilka książek leżało na stole a również kilka na oknie.

W pokoju znajdowało się czterech mężczyzn bez marynarek, bo było raczej gorąco, i oczywiście bez krawatów, bo krawat jest w więzieniu niedozwolony jako możliwe narzędzie samobójstwa. Ich białe koszule z grubego płótna odznaczały się nadzwyczajną, prawie błyszczącą czystością. Nie wiedziałem że dopiero co wrócili z łaźni, do której na Łubiance prowadzono więźniów co dziesięć dni. Szczególnie uderzyła mnie sylwetka młodego wysokiego blondyna, o energicznej twarzy, który w chwili gdy mnie wprowadzano chodził po pokoju czytając książkę. Całość robiła raczej wrażenie internatu studenckiego niż celi więziennej. Moją pierwszą myślą było czy nie ma w tym wszystkim jakiejś inscenizacji aby mnie wyciągnąć na zwierzenia się z czegoś, co przypuszczano że ja wiem; tak to wszystko wydawało mi się niewiarygodne.

Lokatorzy celi wskazali mi wolne łóżko i z natury rzeczy zaczęli mnie rozpytywać jak ja tutaj trafiłem. Odpowiadałem z pewną rezerwą, starając się ze swej strony uchwycić czy jestem dla nich absolutną nowością czy też może już coś nie coś o mnie wiedzą. Wciąż podejrzewałem że może tu być jakaś inscenizacja. Z tych czterech lokatorów skłonność do rozpytywania a jednocześnie mówienia o sobie, wykazywało trzech: ów wysoki blondyn który okazał się inżynierem-mechanikiem i specjalistą od budowy czołgów; drugi o wyraźnie semickim typie, o którym szybko dowiedziałem się że jest partyjnym komunistą, że urodził się w Bobrujsku i że ostatnio był zastępcą komisarza finansów w Sowieckiej Republice Kazachstanu skąd go przywieziono na Łubiankę, oraz trzeci więzień nieco starszy, siwawy, pod pięć-

dziesiątkę, który był również inżynierem, specjalistą od budowy okrętów i który za czasów Tuchaczewskiego oraz admirała Orłowa rozstrzelanego w związku ze sprawą Tuchaczewskiego, był osobą odpowiedzialną za planowanie rozbudowy sowieckiej floty wojennej. Czwarty natomiast, o wymizerowanej twarzy przyglądał mi się spod oka, trzymał się na uboczu i nie odzywał się. Gdy w końcu zagadnąłem, odpowiedział mi po polsku: „Przecież znamy się”. Był to Bronisław Skalak, znany działacz pepesowski ze Lwowa. Poznaliśmy się istotnie dokładnie 18 lat przedtem na pierwszym konstytucyjnym zjeździe Związku Polskiej Młodzieży Socjalistycznej w dniach 7-9 maja 1922 roku. Na zjeździe tym referowałem program narodowościowy.

W zjeździe tym brałem udział jako gość, gdyż nie byłem w Polsce członkiem żadnej organizacji socjalistycznej, chociaż w owym czasie istotnie byłem sympatykiem PPS-u i na tę partię głosowałem przy pierwszych wyborach do Sejmu w 1922 roku. Udział mój w zjeździe powstał stąd, że organizatorzy zjazdu zdecydowali, że referat w sprawach narodowościowych musi być przygotowany przez wileńskie środowisko akademickie. Ponieważ w owym czasie nie było na uniwersytecie wileńskim żadnej organizacji socjalistycznej, lecz jedynie organizacja skupiająca całą tzw. lewicę (Filarecja, potem Związek Młodzieży Postępowej), więc zwrócono się do tej organizacji, która mnie wydelegowała abym wygłosił referat. W zjeździe tym wziąłem więc dość żywy udział, lecz na przyłączenie się do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej nie zdecydowałem się chociaż z niektórymi ludźmi, których tam poznałem, utrzymywałem przez pewien czas kontakt (np. z Zaksem-Zygfrydem, Stanisławem Kohnem) a innych spotykałem przy różnych okazjach (Wacław Bruner, Damięcki, Krystyn Zaremba), lecz nigdy nie spotkałem Skalaka i nawet o nim zapomniałem.

Skalak potem opowiadał mi, że od razu mnie poznał lecz wolał zachować rezerwę ponieważ właściwie znaliśmy się bardzo niewiele i nie wiedział czy go sobie przypominam. Myślę również, że moja płynność w języku rosyjskim nieco go zaskoczyła. Zaprzyjaźniliśmy się potem bardzo. Skalak chorował na gruźlicę która była, jak się wydaje, w dosyć zaawansowanym stadium. Zabrano go z tej celi mniej więcej w jakieś dwa miesiące po moim przybyciu. Na jesieni 1941 roku odwiedzałem go w szpitalu łągiernym w Republice Komi. Był wówczas, jak mi się wydawało, w niezłej formie chociaż lekarz łągierny twierdził że nie nadawał się jeszcze do transportu. Widywałem go jesienią 1942 roku w Teheranie. Umarł wkrótce po wojnie w Londynie.

Gdy wymienialiśmy ze Skalakiem pierwsze słowa powitania

i przypomnieliśmy sobie nasze poprzednie spotkanie sprzed 18-tu laty, przyniesiono kolację która składała się z jakiejś kaszy, po czym otrzymaliśmy ogromny imbryk jakiejś namiastki herbaty. Mnie przyniesiono moją dzienną porcję chleba i cukru a również dwa prześcieradła i czystą nawleczkę na poduszkę. Ów komisarz z Kazachstanu wyciągnął masło i zapraszał mnie do korzystania z tego niezwykłego dla więźniów sowieckich smakołyku. Okazało się że wysoki blondyn miał całkiem niezły zapas cukru. Poinformowano mnie przy tym, że Łubianka ma swój wewnętrzny sklepik, z którego więźniowie mogą pod pewnymi warunkami korzystać. Był to dzień 8 maja, tzn. moje imieniny. Pomyślałem o tym nadzwyczajnym zbiegu okoliczności, że na dzień moich imienin urządzono dla mnie ucztę w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu i najbardziej nieprawdopodobnych warunkach i przez najbardziej nieprawdopodobnych ludzi.

Jak już wspominałem, jedną z rzeczy, która przy wejściu do celi specjalnie zwróciła moją uwagę, była stosunkowo duża ilość książek. W pokoju było chyba ze dwadzieścia książek z różnych dziedzin. Książką, którą ów wysoki blondyn zostawił otwartą na swoim łóżku w chwili kiedy mnie wprowadzono do celi, był tom poezji Majakowskiego, którego ten inżynier z zawodu był gorącym wielbiciele. Przywieziony świeżo na Łubiankę z więzienia Lefortowskiego, gdzie był poddawany torturom i podpisał jakieś bzdurne zeznania, z prawie nieuniknionym wyrokiem śmierci, ten młody inżynier znajdował teraz ucieczkę od rzeczywistości w deklamowaniu wierszy Majakowskiego. Dyskutowaliśmy z nim nad tym przez następnych kilka dni. Nie potrafił mnie jednak przekonać do Majakowskiego, chociaż w ogóle jestem wielbiciele poezji rosyjskiej. Tak samo zresztą, jak podobno na początku lat dwudziestych, młodzi komuniści nie potrafili przekonać Lenina, że Majakowski jest lepszy od Puszkina. Tego samego dnia dostałem od tego samego współlokatora do przeczytania autobiografię Stanisławskiego, założyciela sławnego „Teatru Artystycznego” w Moskwie. Było to dla mnie tym bardziej interesujące, że za czasów studenckich w Moskwie w 1917-18 roku miałem pewien kontakt z jedną z grup aktorskich prowadzonych przez Stanisławskiego. Z innych książek, które trafiły w moje ręce w tej celi na początku mego pobytu i które przeczytałem, przypominam sobie dzieło włoskiego generała Douheta o strategii broni powietrznej. Było tam również sporo tłumaczeń beletrystyki francuskiej i angielskiej. Z pewnym zdziwieniem zapytałem się skąd jest tyle książek? Wytłumaczono mi że od czasu jak usunięto Jeżowa i przyszedł na jego miejsce Beria, więźniowie na Łubiance mają dostęp do książek z bardzo dobrej

więziennej biblioteki, która powstała wkrótce po rewolucji, z książek skonfiskowanych w domach rozstrzelanych przedstawicieli burżuazji. Każdy więzień miał prawo do sześciu książek na 10 dni. Regularnie co 10 dni przychodził urzędnik biblioteczny i wymieniał książki. Wykluczone jednak były książki w językach obcych oraz książki polityczne. Marks i Lenin byli wykluczeni, bo to byłaby polityka; tłumaczenie zaś książki de Gaulle'a (który zresztą wtedy jeszcze nie był politykiem) o strategii wojny pancерnej, krążyło od celi do celi. Zaobserwowałem wówczas że przeciętny intelektualista sowiecki jest bardziej skłonny do myślenia w kategoriach wielkiej strategii polityczno-militarnej, niż przeciętny intelektualista Zachodu oraz przeciętny intelektualista polski.

W tej celi do której wprowadzono mnie 8 maja 1940 roku, wśród ciągłych dyskusji na temat książek któreśmy czytali, sądzone mi było przebyć z górą osiem miesięcy; mniej więcej aż do czasu kiedy na horyzoncie polityki światowej zaczęły zarysowywać się rysy we współpracy sowiecko-niemieckiej, co, jak mi się wydaje, miało wielki wpływ na losy uwięzionych na Łubiance Polaków. Skład moich współlokatorów zmieniał się: jednych przyprowadzano, innych zabierano. Przez moją celę przewinęli się przedstawiciele różnych zawodów, warstw i stanów społeczeństwa sowieckiego; było wielu inżynierów i administratorów przemysłu; trzech studentów, którzy stali na czele organizacji komunistycznych w swoich zakładach; jeden przedstawiciel centralnej administracji, robotnicarz z pochodzenia, który zaimponował mi poziomem swojej analizy sytuacji międzynarodowej; było co najmniej po jednym przedstawicielu najważniejszych niestowiańskich mniejszości narodowych: Gruzynów, Tatarów, Ormian, Litwinów, Estończyków. Nie było jednak żadnego chłopca bezpośrednio od pług (których tyłu spotkałem potem w łąkach), i tylko jeden robotnik bezpośrednio od warsztatu. Łubianka była więzieniem dla przedstawicieli średniej i wyższej warstwy społeczeństwa sowieckiego a przede wszystkim dla przedstawicieli tej nowej klasy, o której Milovan Đilas napisał swoją książkę. Każdy z nich mówił coś o sobie, o swojej sprawie, swoim zawodzie i swoich troskach. Gdybym mógł z pamięci wydobyc chociażby część rozmów z nimi, mogłaby powstać książka obrazująca problemy tej klasy w społeczeństwie sowieckim w okresie drugiej wojny światowej.

Przebywanie w tej celi przeniosło mnie w świat całkiem innych zainteresowań, reakcji i pojęć, niż te którymi żyliśmy w Kozielsku. Nikt z moich współlokatorów nie słyszał o specjalnych obozach polskich oficerów, chociaż niektórzy — tzn. ci których aresztowano po wrześniu 1939 roku — wiedzieli że

Armia Czerwona ogarnęła znaczną ilość wojskowych polskich. Wykazywanie zainteresowania losami tych których NKWD chwyciło w swoje szpony, nie leżało w stylu życia ludzi sowieckich. Toteż o losach tych wojskowych dowiadywali się dopiero ode mnie. Dlatego też kontynuowanie opisu moich dziejów w celi Nr 41 byłoby wyjściem poza zakres tych zadań, które sobie postawiłem przy pisaniu tych szkiców.

Sądzą jednak że niezbędnym uzupełnieniem tej historii dziewiciu dni pomiędzy 30 kwietnia a 8 maja 1940 roku musi być rzucenie światła na powody odseparowania mnie od moich kolegów i przewiezienia na Łubiankę, tzn. na sprawę wytoczoną mi przez prokuraturę sowiecką.

Moja sprawa

Dopiero w kilka dni po moim przybyciu do celi Nr 41 wezwano mnie na nocne badania. Miało się to potem powtarzać przez osiem miesięcy, chociaż niezbyt regularnie. Przy tej okazji doświadczyłem też po raz pierwszy na własnej skórze stosowanego na Łubiance specjalnego sposobu prowadzenia więźniów na badania. Każę się więźniowi trzymać ręce założone z tyłu; konwojent, który jest z lewej strony mocno chwytą za przegub prawej ręki więźnia; ten, który jest z prawej, chwytą przegub lewej ręki. Wytwarza to presję w okolicy krzyża, która zmusza więźnia do biegu w postawie wyprostowanej. Na początku dawano sygnał oznajmiający że będzie się prowadzić więźnia, potem przychodził sygnał oznajmiający że droga wolna; i wówczas z załamania korytarza lub z drzwi którejs z cel wypadła ekipa trzech ze sobą splecionych ludzi, która biegła przez długie korytarze Łubiańskiego więzienia. Zwykle gdy się przechodziło z więzienia na teren biur NKWD, tempo biegu było zwalniane. Na początku odczuwałem to traktowanie jako rodzaj znęcania się, w pierwszej chwili myślałem nawet, że to był wstęp do jakichś tortur. Wkrótce jednak przyzwyczyłem się do tego stylu Łubianki.

Podczas prowadzenia mnie na to pierwsze badanie, doszło do pewnego incydentu, który jak się potem przekonałem, był wynikiem mego braku znajomości obyczajów instytucji w której przebywałem. Łubianka jest rodzajem podręcznego więzienia najwyższych władz bezpieczeństwa Związku Sowieckiego. W tym samym gmachu (czy też w tym samym kompleksie gmachów) znajdują się centralne biura władz (nazywanych za moich czasów

NKWD). Tam też za moich czasów urzędował szef sowieckiej policji politycznej Ławrentij Beria.

Otóż przy przeprowadzaniu więźnia z terenu więzienia na teren centralnej administracji NKWD lub odwrotnie, więzień musiał złożyć swój podpis w wielkiej księdze, która na specjalnym stoliku leżała przy tym punkcie granicznym. Kiedy zażądano ode mnie tego podpisu zakrywając jednocześnie co było napisane powyżej tego miejsca gdzie podpis mój miałem złożyć, odmówiłem, zaznaczając że nie mogę podpisywać skoro nie wiem co podpisuję. Wówczas odprowadzono mnie do sąsiedniego korytarza i posadzono do żelaznego boksu, akurat takiego jaki przed dziesięciu dniami oglądałem w więzieniu NKWD w Smoleńsku. Słyszałem jak strażnicy telefonowali pytając o instrukcję co ze mną zrobić. W rezultacie przeprowadzono mnie na teren gdzie urzędował mój *śledowatel* bez uzyskania mego podpisu.

Dopiero gdy wróciłem do celi, moi współlokatorzy wyjaśnili mi, że upór mój był oparty na nieporozumieniu. Ten podpis więźnia jest potrzebny z dwóch względów: po pierwsze, jako stwierdzenie okresu czasu w ciągu którego dany osobnik był nieobecny w więzieniu, co miało pewne znaczenie ze względu na fakt, że czasami więźniowie wracali ze śledztwa z ciężkimi uszkodzeniami ciała; po wtóre dlatego, że sędziowie śledczy otrzymywali specjalne dodatki za godziny nocnych badań, które były obliczane na zasadzie owych podpisów, przy których zawsze był wymieniony dokładny czas ich złożenia. Strażnicy nie mogli mi pokazać co było bezpośrednio nad moim podpisem, bo były tam podpisy innych więźniów o których obecności nie miałem prawa wiedzieć. Po tych wyjaśnieniach już nie robiłem żadnych obiekcji i we wszystkich następnych wypadkach, bez namysłu składałem swój podpis w księdze na granicy więzienia Łubianki i biur NKWD.

Pierwszym aktem przy pierwszym badaniu, było przedłożenie mi prokuratorskiego nakazu aresztowania oraz otrzymanie ode mnie pokwitowania iż nakaz ten przeczytałem. Przekonałem się, że naczelnik więzienia smoleńskiego w rozmowie którą poprzednio opisałem, miał rację: z punktu widzenia procedury sowieckiej nie byłem jeszcze aresztowany gdy znajdowałem się w lochach smoleńskiego NKWD. Następnie przedłożono mi pismo Generalnego Prokuratora Związku Sowieckiego stawiające mnie w stan oskarżenia z art. 58 par. 6 (szpiegostwo) i zarządzające śledztwo w tej sprawie. Wyjaśniono mi jednocześnie, że nie jestem już jeńcem wojennym lecz przestępcą przeciwko państwu sowieckiemu i że będę traktowany z całą surowością praw tego państwa. Dano mi również do przeczytania odpowiednie ustępy kodeksu

karnego, który wyznaczał za to przestępstwo najwyższy wymiar kary tzn. rozstrzelanie. Na moje obiekcje, że nie jestem obywatelem sowieckim i że inkryminowanych mi czynów nie mogłem popełnić na terytorium sowieckim, odpowiedziano mi, że Związek Sowiecki karze za wrogie wobec niego czyny popełnione gdziekolwiek na kuli ziemskiej. Jeżeli zaś chodzi o moje obywatelstwo polskie, to takiego dzisiaj w ogóle nie ma, bo państwo polskie przestało istnieć.

Była to istotnie przygnębiająca noc. Chociaż wszystkie moje poprzednie analizy wypadły pesymistycznie, gdzieś w głębi duszy tkwiła jakaś nadzieja że to wszystko może skończyć się jakimś zbadaniem, po którym będę odesłany z powrotem do obozu jeńców wojskowych. Teraz to stawało się mniej prawdopodobne. Jedynym jasnym punktem w tej sytuacji była obecność w celi Skalaka. Chociaż nie mogliśmy sobie w niczym efektywnie pomóc, mogliśmy wzajemnie wspierać się moralnie.

Nie orientowałem się w owym momencie, że ta właśnie decyzja prokuratorska postawienia mnie w stan oskarżenia, uratowała mnie od mogiły Katyńskiej. Jest ogólną zasadą, przyjętą w całym świecie, że egzekucja nie może być dokonana przed zakończeniem postępowania sądowego i wydaniem wyroku. Skoro więc owa komórka w centralnym aparacie NKWD w Moskwie, która według wszelkiego prawdopodobieństwa kierowała operacją Katyńską, otrzymała zawiadomienie o postawieniu mnie w stan oskarżenia, musiano zarządzić odseparowanie mnie od ogólnej masy oficerów Kozielskich i odesłanie mnie do dyspozycji władz prokuratorskich.

Gdy to pismo prokuratorskie czytałem w gabinecie sędziego śledczego, nie troszczyłem się o zapamiętanie daty jego wystawienia. W tamtym momencie wydawało mi się to bez znaczenia. Dziś, gdy staram się wygrzebać z pamięci wszystkie szczegóły owych dni pomiędzy Kozielskiem a Łubianką, wydaje się że mam pewne podstawy do przypuszczenia, że rozkaz odseparowania mnie od innych jeńców polskich, został wydany jeszcze przedtem niż transport do którego należałem odszedł z Kozielska w dniu 29 kwietnia 1940 roku, i że władze obozu Kozielskiego o tym rozkazie wiedziały. Gdy owego dnia przekazywano nas w ręce nowego zespołu konwojentów, jednocześnie oddawano również teczkę z aktami danego jeńca oraz jakąś niedużą kartkę rozmiarów kartki bibliotecznej. Zauważyłem wtedy że moja kartka była innego koloru niż wszystkie inne.

Powstaje pytanie dlaczego mnie nie posłano do Moskwy bezpośrednio z Kozielska lecz włączono do transportu przeznaczanego na egzekucje, który szedł w kierunku odwrotnym, tzn.

zachodnim, do Smoleńska? Najbardziej prawdopodobną hipotezą wydaje mi się, że w Smoleńsku był rodzaj centrali rozdzielczej dla polskich jeńców. Tam na przykład przywieziono grupę czterestu oficerów zabranych z Kozielska w dniu 8 marca 1940 roku, to znaczy mniej więcej na trzy tygodnie przed rozpoczęciem generalnej likwidacji obozu Kozielskiego. Z tej grupy płk Stanisław Lubodziecki, były prokurator Sądu Najwyższego, został potem przewieziony do więzienia w Kijowie, gdzie wytoczono mu postępowanie karne zakończone wyrokiem skazującym go na obóz pracy przymusowej. Inni oficerowie, w tej liczbie ppłk A. Starzewski, były polski attaché wojskowy w Belgii, zaginęli bez śladu. Jest prawdopodobne, że leżą oni w jakiejś oddzielnej mogile na terenie lasu Katyńskiego⁴.

Interwencja prokuratorska stawiająca mnie w stan oskarżenia była, jak mogę wywnioskować z różnych okoliczności, bezpośrednim powodem wydzielenia mnie z kategorii jeńców wojskowych przeznaczonych do natychmiastowej likwidacji fizycznej. Zostałem oskarżony o przestępstwo przewidziane w sowieckim kodeksie karnym. Byłem więc w dyspozycji władz prokuratorskich i dalsze moje losy musiały być regulowane przepisami sowieckiej procedury karnej. Powstaje zatem pytanie na czym polegała ta moja „sprawa” i jakie były konkretne zarzuty przeciwko mnie wysunięte. „Sprawa” ta, chociaż nie ma bezpośredniego związku z dramatem Katyńskim, może jednak rzucić pewne światło na motywacje sowieckie w traktowaniu jeńców polskich.

Zarzuty, które przeciwko mnie wysunięto dają się sprowadzić do dwóch podstawowych punktów:

- 1) moja rzekoma współpraca z wywiadem polskim, która polegała na kierowaniu studiami nad ekonomią sowiecką w Instytucie Europy Wschodniej w Wilnie w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny;
- 2) moja rzekoma współpraca z tym wywiadem w czasie podróży do Niemiec w 1937 roku i pisanie książki o polityce gospodarczej Niemiec hitlerowskich w roku 1938.

Było kilku *śledowateliów*, którzy zajmowali się moją sprawą. Mój pierwszy sędzia śledczy, który mnie badał w maju 1940 roku oświadczył, że jeżeli chodzi o moje studia sowieckie i moje publikacje w tym zakresie, to on nie ma zamiaru robić z tego specjalnego zarzutu, chociaż w tym co pisałem było wiele oszczerstw na Związek Sowiecki. Chciał jednak żebym jako dowód mojej skruchy z powodu przestępstw przeciwko Zwią-

4. Raport płk. Lubodzieckiego, przytoczony w *Zbrodni Katyńskiej*.

kowi Sowieckiemu ujawnił mu nazwiska agentów, których polski wywiad wysyłał do Rosji. Żądanie było nonsensowe, bo, czy można sobie wyobrazić, żeby jakiś rozsądny kierownik sieci wywiadowczej informował profesorów uniwersyteckich, czy też dziennikarzy o nazwiskach swoich agentów. Pytanie to jednak powtarzało się przez pewien czas przy każdym badaniu. Czasami było stawiane w formie brutalnej połączonej z pchnięciem mnie w kierunku ściany; czasami w formie łagodnej perswazji. Ta ostatnia przyjmowała nieraz charakter operetkowy; na przykład gdy sędzia śledczy zaczynał rozczulać się nad moim upadkiem moralnym i mówił: „powiedz wszystko co wiesz, oczyść swoje sumienie, a zobaczysz lżej będzie ci na sercu”.

Od swoich współlokatorów w celi wiedziałem, że to odwoływanie się do oczyszczania sumienia było standartowym chwytem sowieckiego śledztwa, który również u wielu więźniów rosyjskich wzbudzał śmiech; chociaż zapewne dla wielu innych stwarzał psychiczną atmosferę do „przyznawania się”. Dla mnie ten typowy chwyt był potwierdzeniem mojej jeszcze przed wojną wyrobionej opinii, że sowiecki proces karny nosił charakter inkwizycyjny. W średniowieczu kobieta oskarżona o stosunki z diabłem również musiała oczyszczać swoje sumienie przez przyznanie się i skruchę. Pewnego razu jednak wybuchnąłem i powiedziałem: „Szpiegiem nie byłem, do Związku Sowieckiego nie jeździłem. Lecz, gdybym nawet był agentem polskiego wywiadu, nie byłoby w tym żadnego upadku moralnego. Po prostu służyłbym swemu państwu tak samo jak sowieckie dzieci są uczone, że muszą wszelkimi sposobami starać się służyć swemu państwu”. *Sledowatiel* był zaskoczony; chwilę pomyślał potem mi powiedział, że może istotnie mam rację: moja współpraca z wywiadem polskim nie oznaczała upadku moralnego, lecz w takim razie trzeba będzie mnie rozstrzelać jako nie dającego się poprawić wroga Związku Sowieckiego.

Wkrótce potem *sledowatiel* zapowiedział, że trzeba będzie zastosować wobec mnie inne metody, aby rozwiązać mi język. Wiedziałem, że to oznacza przewiezienie do więzienia Lefortowskiego, gdzie są stosowane tortury. Lecz od swoich współlokatorów wiedziałem również, że od czasów przyjścia Berii, sędzia śledczy aby zastosować tortury musi mieć pozwolenie wyższych władz. Istotnie, gdy następnym razem zabrano mnie na śledztwo poprowadzono na jakies inne piętro biur NKWD, korytarzem, który był wyścielony dywanem i wprowadzono do wspólnie meblowanego, również wyłożonego dywanami, gabinetu, gdzie za dużym biurkiem stał wysoki, względnie młody, szczupły dygnitarz — o ile sobie przypominam w mundurze pułkownika

NKWD. Mój *sledowatiel* był również obecny, trzymając w rękach teczkę, widocznie z aktami mojej sprawy. Skierowano na mnie wszystkie światła, *sledowatiel* zaś usiadł nieco opodal w rogu dużej kanapy. Ów wysoki dygnitarz prowadził badania. Od razu oświadczyłem, że nie mam powodu niczego ukrywać. Moja działalność była jawna: wykładałem w uniwersytecie, wydawałem książki, pisałem artykuły, wyjeżdżałem za granicę, spotykałem się z ludźmi, brałem udział w zebraniach dyskusyjnych, pasjonowałem się tym co się działo w Związku Sowieckim, przychodzili do mnie ludzie o wyraźnych sympatiach komunistycznych, którym pożyczałem książki wydawane w Sowietach. Otóż przypuszczenie mego *sledowatiela*, że takiemu rozgadanemu osobnikowi wywiad polski miał otwierać tajemnice swoich kartotek jest po prostu absurdem. Czyżby oni tu w NKWD naprawdę byli tak niskiego mniemania o organizacji polskiego wywiadu?

Sledztwo przeistoczyło się w długą rozmowę na różne tematy. Ów dygnitarz rozpytywał mnie sporo o działalność P.O.W. Wytłumaczyłem mu, że to jest kwestia raczej historii, niż aktualnych problemów Polski międzywojennej. W czasie tej rozmowy przypadkowo wypłynęła sprawa polskich jeńców wojskowych. Powiedziałem w pewnej chwili, że nie bardzo rozumiem dlaczego mnie wydzielono z obozu jeńców wojskowych; nie jestem obywatelem sowieckim; to co robiłem przed wojną w domu nie może podlegać sądom sowieckim; sądzę więc, że do mnie muszą być zastosowane ogólnie przyjęte na świecie zwyczaje traktowania jeńców wojskowych. Na to ów dygnitarz nie odpowiadając na moje uwagi, zwrócił się do mego sędziego śledczego informując go, że w Związku Sowieckim istotnie istnieje obóz polskich oficerów gdzie panują całkiem dobre warunki życia. Wówczas myślałem, że to powiedzenie było obliczone na to, aby mnie zachęcić do większej współpracy w czasie śledztwa. Dziś skłonny jestem przypuszczać, że miał on na myśli Griazowiec, o którym mój *sledowatiel* mógł istotnie nie wiedzieć, a ów dygnitarz prawdopodobnie wiedział. Był to jedyny wypadek, gdy podczas śledztwa wypłynęło coś, co można było uważać za informację o losie moich kolegów.

Po tym badaniu przez dygnitarza śledztwo przyjęło bardziej inteligentny charakter. Przesztano ode mnie żądać spisu agentów natomiast zaczęto twierdzić, że ja robiłem dla polskiego wywiadu oraz dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych analizy sytuacji gospodarczej i ogólnej Związku Sowieckiego. Odpowiedziałem na to, że ani ja osobiście, ani Instytut Europy Wschodniej, takich periodycznych przeglądów nie robiliśmy, i, o ile wiem, nikt tego od nas nie żądał. Nie kryłem jednak, że robienie takich prze-

gładów uważałbym za logiczne. Instytut Europy Wschodniej, był częściowo finansowany ze źródeł publicznych. Nie byłoby więc nic dziwnego gdy te instytucje, które okazywały nam pewną pomoc, zażądały usług w formie takich sprawozdań. Lecz faktem jest, że tegośmy nie robili. Jeżeli chodzi o mnie osobiście to nie miałbym na to czasu ze względu na swoje wykłady teorii ekonomii na dwóch wydziałach w uniwersytecie. Lecz nigdzie nie powiedziałem, że miałbym jakieś zasadnicze obiekcje przeciwko robieniu takich sprawozdań, gdyby tego ode mnie zażądano. Moja zasadnicza postawa była: jestem lojalny wobec państwa polskiego, szczególnie dzisiaj, gdy naród polski prowadzi śmiertelną walkę o swój byt oraz żywię nadzieję, że może przyjść dzień, że Związek Sowiecki będzie nas w tej walce popierać; chociaż szczerze mówiąc co do możliwości tej ostatniej sytuacji byłem dość sceptyczny. Lecz to odpowiadało ogólnej linii przyjętej w Kozielsku.

Pewnego dnia śledztwo przyjęło zupełnie nietypowy, jak dla sowieckiego dochodzenia, obrót, bo sędzia śledczy zamiast mnie oskarżać zaczął mówić raczej komplementy. Mianowicie, zapytał mnie o moje kontakty z wywiadem japońskim. Wiedziałem od współlokatorów mojej celi, że oskarżenie o współpracę z wywiadem japońskim należało również do standartowych chwytów sowieckiego śledztwa. Przeciwno każdemu z moich rosyjskich współżyciów ten zarzut był w pewnym momencie wysuwany, lecz potem wycofywany. Oczywiście zaprzeczyłem tej współpracy. Wówczas sędzia zapytał mnie grzecznie: „A dlaczego odwiedzał Pana japoński attaché wojskowy?”. W tej chwili przypomniałem sobie, że istotnie w moim biurze w Instytucie Europy Wschodniej miały miejsce wizyty kilku oficerów japońskich, którzy interesowali się naszymi studiami nad gospodarką sowiecką. Odpowiedziałem: „Instytut Europy Wschodniej w Wilnie nie był instytucją prowadzącą tajną działalność. Przychodzili tam do mnie różni ludzie, którzy się interesowali naszymi pracami; przychodzili komuniści, którym udostępniałem różną literaturę; przychodzili również oficerowie japońscy; a nawet przysyłali potem upominki w postaci obrazków z życia japońskiego malowanych na jedwabiu. Nie znaczy to jednak abym współpracował z wywiadem japońskim”.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu *śledowatiel* nie wybuchnął pogroźkami, lecz odpowiedział uprzejmie: „Ja Panu wcale nie zarzucam, że Pan współpracował z wywiadem japońskim, a pytam jedynie o kontakty co nie jest to samo. Mamy tu dostatecznie materiałów, które świadczą, że Pan osobiście pomimo dużego nacisku nie dał się zwerbować do wywiadu japońskiego.

Lecz muszę Panu powiedzieć, że pomimo to pańska sekcja badań gospodarczych, pracowała dla tego wywiadu". Zachnąłem się i powiedziałem, że ostatecznie wiem, co się u mnie w Instytucie działo. „Nie bądź Pan taki pewny siebie” — powiedział *stledowatiel* i dalej dodał, że kiedy ja odrzuciłem propozycję współdziałania z wywiadem japońskim, to niektórzy moi współpracownicy i asystenci, podjęli się, za moimi plecami, robić regularne sprawozdania o sytuacji gospodarczej w Sowietach dla wywiadu japońskiego. Tę nocną konwersację zakończył mój *stledowatiel* półzartobliwym i raczej w przyjacielskim tonie wypowiedzianym stwierdzeniem, że ci „Japońcy to nachały”, po czym zawołał straż aby odprowadziła mnie do mojej celi.

Gdy wróciłem do celi długo nie mogłem zasnąć i starałem się wydobyć z pamięci wszystkie szczegóły dotyczące wizyt japońskich. Otóż, prawda była następująca. Na kilka lat przed wojną, zdaje się że to było w roku 1936, zgłosił się do mnie pułkownik japoński, którego nazwiska dziś już nie mogę sobie przypomnieć, a który był japońskim attaché wojskowym w Warszawie i zaproponował, że oni, tzn. japońskie przedstawicielstwo dyplomatyczno-wojskowe, gotowi są przyczynić się do rozwoju prac badawczych Instytutu nad gospodarką Sowiecką przez wyznaczenie nam dodatkowego pracownika, który by pozostawał pod moim kierownictwem. Podziękowałem mu za zainteresowanie oraz łaskawą ocenę naszej działalności, lecz powiedziałem że nie mogę dać odpowiedzi bez porozumienia się z zarządem Instytutu. Poszedłem więc do Prezesa Zarządu, którym był profesor Ehrenkreutz, późniejszy Rektor Uniwersytetu Wileńskiego i odpowiedziałem mu o swojej rozmowie z japońskim attaché wojskowym. Dla nas obydwóch było jasne, że sprawa wykracza poza zakres międzynarodowych stosunków naukowych i że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ten nasz ewentualny pracownik byłby oficerem japońskiego sztabu generalnego, którego musiałbym kształcić w problemach gospodarki sowieckiej. Prof. Ehrenkreutz powiedział, że nie możemy w tej sprawie powziąć żadnej decyzji bez porozumienia się z odpowiednimi czynnikami w Warszawie. Przy najbliższej okazji, kiedyśmy byli obydwaj w Warszawie, poszliśmy do Wydziału Wschodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Szef tego wydziału, p. Kobyłański, powiedział nam że sprawa należy do kompetencji Sztabu Głównego i radził, abyśmy się tam udali. W sztabie głównym przyjął nas płk Englicht, zastępca szefa Oddziału II-go, który też dość stanowczo odradził nam akceptowanie propozycji japońskiej. O ile mogłem zrozumieć czuł się on w pewnym stopniu dotknięty tym, że wywiad japoński bez porozumienia się z odpowiednimi czynni-

kami polskimi, usiłował lokować swoich ludzi w polskich instytucjach. Gdy wkrótce potem zgłosił się do mnie zastępca attaché wojskowego, major japoński, zakomunikowałem mu w jak najbardziej uprzejmy sposób naszą odpowiedź odmowną i uważałem sprawę za skończoną. Możliwie, że Japończycy poczuli się dotknięci i potraktowali to jako moje osobiste wrogie ustosunkowanie się, tym bardziej, że było w Polsce sporo ludzi, którzy widzieli w moich zainteresowaniach sowieckich jakąś ukrytą sympatię do systemu komunistycznego. I to była wersja tej sprawy, która trafiła w ręce wywiadu sowieckiego.

W kilka miesięcy potem przy okazji jakiejś innej rozmowy prof. Ehrenkreutz wspomniął, że miał znowu wizyty japońskie i że ostatecznie zostało ustalone, że jeden ze stypendystów Instytutu, pracujący pod moim kierownictwem, zgodził się — za wiedzą Oddziału II-go — robić dla attachatu japońskiego opracowanie sowieckiej sytuacji gospodarczej na zasadzie swojej prywatnej umowy z czynnikami japońskimi, nie angażując w to Instytutu. Przyjąłem to do wiadomości bez większego zainteresowania; byłem w owym czasie pochłonięty pisaniem książki o polityce gospodarczej Niemiec hitlerowskich i niewiele czasu poświęcałem studiom sowieckim w Instytucie. Potem o tej rozmowie z prof. Ehrenkreutzem w ogóle zapomniałem, aż dopiero sowiecki sędzia śledczy przypomniał mi cały ten incydent. Wyglądało to jednak tak jakby istotnie chętliwie twierdzenie enkawudystów, że NKWD wie wszystko (*NKWD usio znajet*) było słuszne. W danym wypadku istotnie wiedziało ono więcej rzeczy o mnie, niż ja sam pamiętałem.

Podczas całego śledztwa miałem jednak wrażenie, że z tych dwu zarzutów, które postawiono mi na początku — szpiegostwo przeciwko Rosji oraz rzekome szpiegostwo przeciwko Niemcom — to drugie interesowało moich *sledowatieli* o wiele więcej niż pierwsze. Twierdziłem, że zbieranie materiałów do mojej książki o niemieckiej polityce gospodarczej było oparte na stosunkach czysto naukowych, że podczas swego pobytu w Berlinie oraz w *Institut für Weltwirtschaft und Seeverkehr* w Kiel nie robiłem niczego, o czym bym nie mógł swoim niemieckim kolegom powiedzieć. *Sledowatiel* odpowiedział, że wywiad sowiecki jednak stwierdził, że w tym samym czasie utrzymywałem stosunki z płk. Pełczyńskim, który był wówczas szefem Oddziału II-go w polskim Sztapie Głównym. Nie przeczyłem temu, lecz twierdziłem, że znajomość ta miała charakter osobisty, prywatny i nawiązała się wówczas, gdy płk Pełczyński dowodził 5 p.p. legionów stacjonującym w Wilnie, a ja byłem docentem wykładającym ekonomię na Uniwersytecie Wileńskim. Zresztą, jeżeli

płk Pełczyński interesował się moją książką — mimo iż nie zawierała ona żadnych poufnych materiałów — było to zupełnie naturalne. Polska była krajem niedozbrojonym i przestudiowanie gospodarczego podłoża zbrojeń niemieckich, było dla wyższych oficerów polskiego sztabu głównego po prostu nakazem życia.

Z tych wszystkich badań, zresztą prowadzonych w tonie dość kurtuazyjnym, odniosłem wrażenie, że książka moja o polityce gospodarczej Niemiec hitlerowskich wzbudziła u pewnych czynników sowieckich dość duże zainteresowanie, i że *sledowatielom* polecono zebranie wiadomości zarówno dotyczących osoby autora jak i okoliczności związanych z powstaniem tej pracy. W końcu sędzia śledczy zażądał, abym złożył na piśmie zeznanie jak Niemcy finansowały dozbrojenie. Od tego czasu śledztwo polegało na tym, że późnym wieczorem zabierano mnie do gabinetu sędziego śledczego i tam przez całą noc pisałem to, co powyżej określiłem jako „model gospodarczy niemieckiego dozbrojenia”, a co właściwie mówiąc stanowiło rosyjskie streszczenie niektórych rozdziałów z mojej książki; a *sledowatiel* w tym czasie zajmował się swoimi sprawami. Miałem wrażenie, że on na ogół mało się interesował tym co ja pisałem o polityce przy pomocy której Hitler i Schacht finansowali niemieckie zbrojenia. Widocznie jednak w aparacie sowieckim był ktoś inny, kto te sprawy studiował i dla kogo te moje wypracowania były potrzebne. Nie wykluczam, że właśnie ta moja książka o polityce gospodarczej Niemiec hitlerowskich była głównym powodem zainteresowania Moskwy moją osobą, które takie wrażenie sprawiło na kierowniku więzienia w Smoleńsku.

Moi towarzysze więzienni

Zanim przystąpię do opisywania swoich dziejów łągiernych, chciałbym nieco miejsca poświęcić tym moim towarzyszom więziennym, którzy szczególnie utkwili mi w pamięci.

Łubianka była więzieniem dla elity sowieckiej. Obok dygnitarzy partyjnych, którzy stracili łaskę Stalina, siedziało tam również wielu kierowników przemysłu sowieckiego, dyrektorów fabryk i naczelnych inżynierów. W ciągu ostatniego dziesięciolecia przed wojną zajmowałem się specjalnie studiowaniem tych przeobrażeń gospodarczych, które dokonywały się w Rosji. W latach trzydziestych w tempie rekordowym powstawał wielki przemysł. Z natury rzeczy interesowała mnie strona psychiczna ludzi, którym powierzono kluczowe stanowiska wykonawcze w tym wielkim procesie przemiany. Wspólna cela więzienna

dawała wyjątkową okazję, aby przyjrzeć się z bliska niektórym z nich i porównać ich z typem przedsiębiorcy kapitalistycznego, analizowanym przez historyków gospodarczych, a przede wszystkim przez Wernera Sombarta.

Za najwybitniejszego pomiędzy tymi administratorami przemysłu sowieckiego, z którymi wypadło mi siedzieć, uważam niejakiego Mirosznikowa, wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę lat około 50-ciu. Myślę, że bez większego ryzyka mogę wymienić to nazwisko, gdyż według moich obliczeń musi on mieć dzisiaj, jeżeli żyje, około 85 lat. Był to robotnik z pochodzenia i stary komunista. Podczas wojny cywilnej w 1918-1920 roku był dowódcą dywizji, a przez pewien czas zastępcą późniejszego marszałka Woroszyłowa. Po zakończeniu wojny cywilnej przeniesiono go do prac administracyjnych i przemysłowych. Przez szereg lat zajmował stanowisko zarządzającego sprawami Rady Komisyjnej Ludowej, która stanowiła Rząd Związku Sowieckiego. Potem postawiono go na czele przemysłu aluminiowego całej Rosji. Według ówczesnej terminologii sowieckiej nazywało się to „Naczelnik Główny Przemysłu Aluminiowego”. Twierdził, że w tej dziedzinie produkcji było to największe przedsiębiorstwo na świecie, większe od wszystkich koncernów kapitalistycznych.

Trocki jeszcze w początkach lat dwudziestych lubował się w porównywaniu akcji budowania przemysłu do działań wojskowych i wysuwał projekty częściowej militaryzacji pracy. Mirosznikow niewątpliwie należał do typu aktywistów partyjnych przeniesionych z wojska do przemysłu. Był niewątpliwie ideowym komunistą. Nie przychodziło mu chyba do głowy, że służąc całe życie partii szedł błędną drogą. Mówiąc o partii, czy też o rządzie sowieckim, oraz o międzynarodowej polityce Związku Sowieckiego identyfikował siebie z nimi. Mówił zawsze „my”, „nasza polityka” itp.

O swojej sprawie nie lubił mówić. Zdaje się, że był poddawany torturom. Jedyną rzecz, którą mi powiedział było to, że prawie wszyscy, którzy w tę sprawę byli zamieszani zostali już rozstrzelani. On natomiast trafił do łagru, gdzieś na północy Syberii. Teraz jednak przywieziono go do Moskwy dla złożenia zeznań w jakimś dodatkowym procesie z tą sprawą związanym. Jeżeli przy tym jakichś ludzi wsypywał, był pod tym względem w zgodzie ze swoim sumieniem komunistycznym. Myślę, że w tym wypadku odpowiadał temu typowi z Koestlerowskich powieści, który został przekonany przez *sledowatiela*, że w imię interesów partii musi się przyznać do win niepopołnionych.

Nieźle orientował się w sytuacji międzynarodowej, lecz w sprawach polityki zagranicznej myślał bardzo pragmatycznie. Hitlera nie lubił, cały ruch hitlerowski nazywał „*bezpryncypialnym*”, to znaczy pozbawionym pewnych trwałych zasad, nie wydaje się jednak, żeby miał jakieś zastrzeżenia przeciwko sojuszowi Stalina z Hitlerem i atakowi na Polskę we wrześniu 1939 roku. Niezrozumiała natomiast wydawała mu się mentalność Polaków, którzy zdawali się wierzyć w to, że Rosja może pozostać neutralna w razie wojny polsko-niemieckiej. Zdaniem jego z obiektywnej analizy okoliczności wynikało, że to państwo polskie, które istniało przed 1939 rokiem, mogło utrzymać swój byt jedynie w drodze znalezienia pewnych form kooperacji z Rzeszą Niemiecką. Tylko to mogłoby uratować wschodnie prowincje tego państwa od obsadzenia przez Związek Sowiecki prędzej, czy później. Ten robociarz miał niewątpliwie umysł męża stanu i umiał myśleć obiektywnie.

W różnych okolicznościach naszej kampanii wrześniowej orientował się bardzo dobrze, bo przedtem siedział w jednej celi z ppłk. Wiśniowskim (późniejszym generałem i szefem Sztabu 2-go Korpusu). Od Mirosznikowa właśnie dowiedziałem się o tym, że gen. Sosnkowskiemu, który przez pewien czas znajdował się we Lwowie okupowanym przez wojska sowieckie, udało się przejść na Węgry. Wiśniowski rzekomo wpadł w trakcie organizowania tego przerwania gen. Sosnkowskiego poza granice okupacji sowieckiej. Potem, gdy w roku 1943 przypadkowo zetknąłem się z gen. Wiśniowskim potwierdził to co opowiadał Mirosznikow.

Innym człowiekiem większego kalibru wśród moich współwięźniów był wspomniany już powyżej były szef długoterminowego planowania rosyjskiej floty wojennej. Był to typowy rosyjski inteligent, chociaż nosił niemieckie nazwisko Tiszbein. W 1914 roku, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa był studentem politechniki petersburskiej na wydziale budowy okrętów. Powołany do wojska skończył szkołę artyleryjską i resztę wojny spędził jako liniowy oficer artylerii. Po rewolucji wrócił na politechnikę dla dokończenia studiów. Był bliskim współpracownikiem admirała Orłowa, dowódcy floty bałtyckiej, a potem przez pewien czas naczelnego dowódcy całej floty Związku Sowieckiego, został rozstrzelany w związku ze sprawą marszałka Tuchaczewskiego. Tiszbeina łączyły również pewne stosunki z marsz. Tuchaczewskim chociaż mówił o nim znacznie mniej, niż o admirałe Orłowie. Gdy Tuchaczewski i Orłow zostali aresztowani Tiszbein zrozumiał, że jego dni również zostały policzone. Początkowo przeniesiono go do przemysłu jako inży-

niera w jakimś zakładzie budowy okrętów, potem aresztowano, oskarżając głównie o sabotaż. Siedziałem z nim w jednej celi przez cztery miesiące.

Tiszbein był przede wszystkim specjalistą. Mało interesował się sprawami partii. Obok swoich funkcji planisty, był również redaktorem działu morskiego Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, urządził nawet dla nas wykłady o flocie morskiej Fenicji, Grecji i Rzymu. W roku 1940 flota sowiecka nie stanowiła siły, która by się mogła równać z Wielką Brytanią, Stanami Zjednoczonymi, lub nawet Niemcami. Tiszbein zapewniał mnie, że jeżeli nic nadzwyczajnego nie nastąpi to flota sowiecka za kilka lat będzie jedną z pierwszych potęg morskich świata, a może z czasem największą flotylą na morzach kuli ziemskiej. Dziś w latach siedemdziesiątych jesteśmy świadkami realizacji tej przepowiedni, czy też raczej kalkulacji człowieka, który sam te plany układał.

Kiedy z nim się spotkałem siedział już blisko dwa lata. Zapytałem czy go torturowano. Odpowiedział mi, że żadnych wymyślnych tortur nie stosowano tylko bity, lecz właściwie mówiąc *lubia*, czyli raczej „zycliwie” tzn. tak aby nie spowodować poważnego uszkodzenia ciała. Doszedł do przekonania, że musi w końcu do czegoś się przyznać. Przyznał się więc do zorganizowanego sabotażu, przypuszczam, że musiał przy tym wymienić jakieś nazwiska. Coś widocznie w tych jego zeznaniach nie zgadzało się. Pewnej nocy, gdy go po śledztwie odprowadzano do celi zauważyłem, że jest w stanie jakiegoś oszołomienia. Od razu też zapytał mnie, czy wiem co oznacza słowo „poc”. Wyrwany ze snu starałem się przypomnieć, czy w którymkolwiek ze znanych mi języków to słowo słyszałem. Wreszcie odpowiedziałem mu, że nie wiem. Wówczas on opowiedział mi następującą historię. Śledztwo w jego sprawie miało tej nocy szczególny charakter, bo badało go jednocześnie aż trzech oficerów śledczych. W pewnej chwili zapytano go, czy wie co to znaczy „poc”. Zrozumiał, że chodzi tu widocznie o jakiś skrót i bez namysłu odpowiedział: „Prawicowe Organizacyjne Centrum” i gotów był już zeznać, że właśnie stamtąd otrzymywał instrukcje co do swojej wyimaginowanej aktywności sabotażowej. Na to wszyscy trzej *śledowatiele* wybuchnęli żywiołowym śmiechem; nieco go „poszturchali” następnie wezwali strażników, którym kazali go zabrać z powrotem do celi. Wówczas inny nasz współtowarzysz więzienny, komisarz finansów z Kazachstanu a z pochodzenia Żyd z Bobrujska na Białorusi — który też się obudził i przysłuchiwał się naszej rozmowie — powiedział że „poc” w żargonie żydowskim oznacza w jego okolicach po prostu kobiece organy płciowe. Trzeba było widzieć zdumienie, które

w świetle zwisającej z sufitu słabej lampki elektrycznej odmalaowało się na twarzy naszego wybitnego pianisty. Bezradnie rozłożył ręce i znowu zwrócił się do mnie: „Tak się rzeczy pogmatwały. Myślałem, że to prawicowe organizacyjne centrum, a to okazuje się po prostu p....”.

Sprawa stała się jasna. *Sledowatiele* chcieli sprawdzić w jakim stopniu zeznania Tiszbeina były wiarygodne. Jeden z badających, Żyd, chciał przez użycie tego słowa brutalnie powiedzieć, że wszystkie zeznania Tiszbeina są bez wartości. Tymczasem oskarżony w ferworze przyznawania się do win niepopelnionych złożył oświadczenie, które w kontekście intencji *sledowatieli* wyglądało zupełnie komicznie. Śledztwo jednak trwało nadal i Tiszbein otrzymał polecenie opracowania referatu, w którym by w technicznych terminach przedstawił na czym polegał jego sabotaż. Referat taki został opracowany i władze śledcze uznały, że mają już dostateczny materiał, aby zamknąć postępowanie śledcze.

Pewnego dnia wszadzono do naszej celi sowieckiego zawodowego obrońcę sądowego. W Sowietach istnieje korporacja obrońców sądowych, coś w rodzaju Izby Adwokackiej w przedwojennej Polsce. W procesach politycznych rola obrońców sądowych jest prawie żadna. Przeważnie przyjmując za fakt wymuszone przyznanie się oskarżonego do niepopelnionych przestępstw, wypowiadają kilka zdań, w których proszą sąd o wzięcie pod uwagę okoliczności łagodzących. Lecz w procesach o nadużycia finansowe oraz zwyczajne złodziejstwo obrońca sądowy może być istotną pomocą. Otóż ów adwokat, po zaznajomieniu się z okolicznościami sprawy Tiszbeina, poradził mu żeby teraz złożył podanie o wyznaczenie komisji ekspertów dla przeanalizowania jego opracowania. Orzeczenie komisji ekspertów nie miałoby większego znaczenia, jeżeli sprawa byłaby sądzona przez wewnętrzne sądy NKWD tzw. „trójki”. Lecz „trójki” w owym czasie miały ograniczoną kompetencję i nie mogły nakładać kary ponad 8 lat łagrów. Tymczasem, gdyby sprawa została skierowana do Trybunału, który działał według bardziej ścisłych norm procedury, Orzeczenie Komisji Ekspertów nabierało istotnego znaczenia. Tiszbein postąpił zgodnie z tą sugestią i złożył podanie o powołanie Komisji Ekspertów. Po kilku dniach zabrali go z mojej celi i już więcej o jego dalszych losach nic nie słyszałem.

O ile Mirosznikow przyniósł do naszej celi wiadomości o przebiegu kampanii wrześniowej w Polsce otrzymane od płk. Wiśniowskiego, o tyle Tiszbein posiadał nieco informacji o losach komunistów węgierskich arsztowanych w Rosji widocznie w jakimś związku z sojuszem sowiecko-niemieckim. Siedział poprzednio z pewnym lekarzem węgierskim, zatrudnionym jako

specjalista laryngolog w szpitalu kremłowskim, gdzie leczył wielu wybitnych dygnitarzy sowieckich, nie wyłączając samego Stalina. Tą drogą dowiedzieliśmy się, że Bela-Kun, przywódca rewolucji węgierskiej w 1919 roku, żył jeszcze w 1940 i siedział w jakimś *politizolatorze* na południu Związku Sowieckiego. Wiadomości te przekazałem potem Matiasowi Rakosiemu, kiedy poznałem go w łagrach na północy Rosji europejskiej.

Z innych wybitnych sowieckich „menagerów” i planistów, z którymi wypadło mi siedzieć na Łubiance, przypominam sobie dyrektora trustu młynarskiego z sowieckiego Dalekiego Wschodu; głównego inżyniera zakładów budowy samolotów w Gorkim; głównego inżyniera, dużej fabryki traktorów pod Charkowem; konstruktora artyleryjskiego Ormianina, który mówił nam że, nawet gdyby został skazany na śmierć, to i tak wyrok nigdy nie zostanie wykonany, gdyż Związek Sowiecki nie ma nikogo, kto by go zastąpił w dziedzinie jego specjalności.

Pewnej nocy nad ranem otwierają się drzwi: dozorca wprowadzają nowego więźnia i wskazują mu wolne łóżko w moim sąsiedztwie. Przybysz jest w długim wspaniałym skórzanym płaszczu, w dobrze skrojonym garniturze. Gdy wyjmował z kieszeni różne rzeczy, które pozwolono mu zatrzymać widać było, że reprezentował dobrobyt, rzadko spotykany w Związku Sowieckim. Przyglądam mu się z zaciekawieniem spod nieco spuszczonego powiek. Wreszcie pytam: „Jest Pan oczywiście inżynierem?”. Odpowiedź brzmi: „O tak i w dodatku, niestety, naczelnym”, tzn. dyrektorem technicznym. Potem, gdyśmy się bliżej poznali powiedział mi, że według jego obliczeń przeciętny okres zajmowania tego stanowiska w wielkich zakładach Związku Sowieckiego to cztery lata. W ciągu tego okresu coś zwykle musi się zdarzyć co kończy się więzieniem i ewentualnie łagrem. Żył w ciągłym napięciu nerwowym ze względu na chroniczne zacięcia w dostawie niezbędnych materiałów i różne defekty konstrukcyjne, lecz niedogodności i niebezpieczeństwa były warte ryzyka ze względu na wysoką stopę życiową i zadowolenie, które daje posiadany zakres władzy. Mój rozmówca miał czteropokojowe mieszkanie ze wszystkimi wygodami w nowo wybudowanym domu, częste nagrody, wysokie dodatki do pensji oraz samochód do dyspozycji. Jego wyobrażenie o Polsce i Polakach było dość specyficznej natury. Pochodził z żydowskiej rodziny, mieszkającej w jakim miasteczku ukraińskim, które należało do rodziny Branickich. Przed pierwszą wojną światową fascynował go, jako małomiasteczkowego ulicznika, widok hrabiny Branickiej wychodzącej ze swego pałacu i wsiadającej do wspaniałej karocy. Nigdy w życiu nie zetknął się bliżej z polskim chłopem,

robotnikiem lub inteligentem. Opowiedziałem więc mu sporo o problemach Polski współczesnej.

Z tych moich współwięźniów, którzy nie należeli do kategorii dyrektorów przemysłowych lub planistów, najbardziej w mojej pamięci utkwiła postać owego wysokiego blondyna, o którym wspominam powyżej przy opisie celi Nr 41. Był także inżynierem, lecz okoliczność ta nie wiązała się z istotą jego sprawy. Oskarżono go o zamordowanie znanej sowieckiej aktorki Zinaidy Rajch, żony Meyerholda, dyrektora sławnego teatru jego imienia. Teatr ten stanowił rodzaj secesji od sławnego na cały świat teatru moskiewskiego, na czele którego stał Stanisławski. Meyerhold został aresztowany, podobno z rozkazu Stalina, i słuch o nim zaginął. Wkrótce potem żona jego została zamordowana; ogólnie przypuszczano, że przez agentów NKWD, które jednocześnie prowadziło śledztwo w sprawie tego mordu a mój współwięzień był właśnie jednym z oskarżonych w tej sprawie. Zinaida Rajch zanim została żoną Meyerholda, była jedną z kolejnych żon wybitnego sowieckiego poety Jesienina i miała z tego poprzedniego małżeństwa córkę, która wyszła za mąż za brata mego towarzysza więziennego. Stąd była jego koneksja z rodziną Meyerholdów.

Początkowo mój współwięzień nie przyznawał się do dokonania tego morderstwa. Wówczas przewieziono go do więzienia Lefortowskiego i bito tak długo aż się przyznał nie tylko do zamordowania owej aktorki, lecz na dodatek do przekazania informacji o konstrukcji sowieckich czołgów wywiadowi polskiemu i japońskiemu. Wówczas sędzia śledczy polecił mu, żeby napisał szczegółowe zeznanie w jaki sposób dokonał mordu. Władze zdawały się być bardzo zadowolone z tego opracowania. Oskarżonego przewieziono znowu na Łubiankę, która przez więźniów była nazywana w owym czasie „sanatorium”, gdyż tam nie torturowano i nawet czasami przywożono ważniejszych więźniów lefortowskich na rodzaj odpoczynku po torturach. Właśnie przewieziono go z Lefortowa na kilka dni przedtem, niż mnie wprowadzono do celi Nr 41.

Gdy się na Łubiance wyspał i nieco wypoczął popadł w rozpacz z powodu przyznania się do win niepopelnionych, co musiało za sobą pociągnąć nieuniknioną karę śmierci. Postanowił więc swoje zeznania odwołać, a jednocześnie złożyć do głównego prokuratora Związku Sowieckiego skargę, opisującą tortury, którym był poddany w Lefortowskim więzieniu. Po kilku tygodniach wezwano go do biura NKWD, gdzie wyższy urzędnik oświadczył mu, że jego podanie zostało rozpatrzone przez wyższe instancje NKWD i załatwione pozytywnie, tzn. dano wiarę jego

odwołaniu przyznania się do zabójstwa Zinaidy Rajch i do szpiegostwa na rzecz Polski i Japonii, lecz pozostaje nadal sprawa antysowieckich rozmów, w których zdarzało mu się brać udział i za te rozmowy ponieść odpowiednią karę.

Mój towarzysz niedoli wrócił do celi uszczęśliwiony. Normalna kara za rozmowy antysowieckie była 3 lata. Spodziewał się więc, że zostanie skierowany do laboratoriów badawczych, które prowadziło NKWD. Wówczas po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu tych laboratoriów, które potem stały się tematem głośnej powieści Solżenicyna „Pierwszy Krąg”. Również wśród więźniów kursowała pogłoska, że podobno znany sowiecki konstruktor samolotów Tupolew, również aresztowany, pracował w owym czasie w jednym z takich laboratoriów.

Po kilku dniach zrehabilitowanego zabójcę żony Meyerholda zabrano z naszej celi. Nie wiem co się później z nim stało i czy dostał się do owych laboratoriów badawczych, w których widział dla siebie rozpoczęcie nowej drogi życia. Gdy mniej więcej po pół roku otrzymałem swój wyrok i siedziałem w dużej celi w Butyryńskim więzieniu, gdzie było kilkadziesiąt więźniów przeważnie cudzoziemców czekających na transport do łagrów, stwierdziłem, że kilku innych skazańców siedziało z osobami podejrzwanymi o zamordowanie Zinaidy Rajch i że wszyscy oni w końcu się przyznali. W pierwszych latach po wojnie zamieściłem na temat tej ponurej groteski nowelkę w *Orle Białym* pod tytułem *Konkurs na najlepszego zabójcę* wysuwając przypuszczenie, że ten z rzekomych zabójców, który potrafił najlepiej opisać, jak tego mordu dokonał, został potem rozstrzelany innych zaś zesłano do obozów. Jak tam było naprawdę jest niemożliwością stwierdzić. Nie mam nawet stuprocentowej pewności, że ta aktorka istotnie została zamordowana, chociaż inni moi współwięźniowie twierdzili, że powszechnie o tym w Moskwie mówiono. Śledcze więzienia NKWD za czasów Stalina były światem ponurej anegdoty, gdzie same władze nie mogły już odróżnić prawdy od produktów zdegenerowanej fantazji oficerów śledczych, którzy potrafili wydobyć torturami ze swoich ofiar najbardziej nieprawdopodobne zeznania.

Butyrki i zakończenie śledztwa

W okresie Bożego Narodzenia 1940 przeniesiono mnie z Łubianki do Butyrek. Gdy wsadzano mnie do malutkiej separatki w autobusie więziennym usłyszałem w sąsiedniej sepa-

ratce słowa wypowiedziane po polsku. Pomyślałem sobie: Łubiankę rozładowują z polskich więźniów.

W Butyrskim więzieniu umieszczono mnie w starej baszcie, w której podobno za czasów Katarzyny II trzymano Pugaczowa, przywódcę wielkiej rebelii nadwożańskich chłopów, który podawał się za cara Piotra III, męża carycy, zamordowanego przez jej kochanków. Wchodziło się do mojej celi po krętych żelaznych wąskich schodach; ściana zewnętrzna miała kształt półokrągły. Początkowo w celi był oprócz mnie tylko jeden więzień: urzędnik z Komisariatu Spraw Zagranicznych, orientalista, znawca języków: perskiego i arabskiego oraz ekspert od spraw Bliskiego Wschodu. Sprawa jego utknęła na martwym punkcie. Siedział w baszcie już od dwóch lat i w ciągu tego czasu ani razu nie był wzywany na śledztwo. Nie śniło mi się wówczas, że i mnie również wypadnie stać się rodzajem eksperta od spraw bliskowschodnich, chociaż bez znajomości języków perskiego i arabskiego. Dokładnie w dwa lata potem, bo w styczniu 1943 roku, emigracyjny rząd polski w Londynie zlecił mi zorganizowanie polskiego Biura Studiów na Środkowym Wschodzie z siedzibą w Jerozolimie.

Wkrótce przyprowadzono do naszej celi jeszcze trzeciego lokatora. Był nim *sledowatiel* z jakiegoś prowincjonalnego oddziału NKWD niedaleko Moskwy. Twierdził, że był ofiarą jakiejś nikczemnej intrygi. Opowiadał mi z pewnymi szczegółami kto na niego zrobił krzywdzący donos i na czym to wszystko polegało. Historia jego mogłaby nawet stanowić obraz życia sowieckiej prowincji, lecz dziś nie potrafiłbym zrekonstruować wszystkich perypetii tej zawiłej sprawy. Mój współlokator zaklinał się, że nigdy nie torturował więźniów i nawet nie wiedział, że w NKWD torturują. Po kilku miesiącach spotkałem go znowu w łagrze przesyłkowym w Kotłasie. Był dość przyzwoicie ubrany, miał długą kurtkę z futrzanym kołnierzem. Pracował znowu w swoim fachu, bo był zarządzającym łagiernego karceru i optymistycznie patrzył na dalsze możliwości swojej łagiernej kariery.

Otóż ten pomniejszy łaps z NKWD przyniósł mi wiadomości, które mnie bardzo wzruszyły. Siedział poprzednio w jednej celi z gen. Andersem i wiedział wiele szczegółów o jego losach. Przeniosło to mnie z powrotem w atmosferę Kozielska. W Kozielsku miałem swoje miejsce w budynku N 10, na sali gdzie byli ulokowani przeważnie młodszy oficerowie kawalerii (od rotmistrza w dół). Anders był ich bohaterem i jego nazwisko powtarzało się ciągle w rozmowach na pryczach obozowych.

Prawie wszyscy lokatorzy tej sali należeli do tych oddziałów kawalerii, które mniej więcej około 20 września 1939 znalazły się na obszarach pomiędzy Bugiem a Sanem i nad którymi Anders objął dowództwo z zamiarem przebicia drogi na Węgry. Moje losy wojenne związały mnie z nimi zanim trafiłem do niewoli. Nad ranem dnia 24 września przybyłem na czele małego oddziału konnych zwiadowców jako oficer łącznikowy nadciągającej brygady piechoty (77 p.p. i 85 p.p.) do miejscowości Sucha Wola, w rejonie Tomaszowa Lubelskiego, kiedy kawaleria Andersa przebijała tam pierścień niemiecki, który zamykał drogę na Węgry. Naszym, tzn. owej brygady piechoty, zamiarem było wejść w ten otwór, który kawaleria przebija. Ale gdy Anders z częścią swojej brygady przeszedł, pierścień znowu się zamknął, odcinając od gen. Andersa zarówno piechotę, jak i część jego sztabu, oraz również pomniejsze oddziały kawalerii. Po wzięciu do niewoli w obozie około Putiwła w Czernichowszczyźnie naszym polskim komendantem był płk Żelisławski zastępca generała Andersa. Wierzyliśmy wszyscy, że Anders ze swoim elitarnym oddziałem osiągnął granicę węgierską. Ciągłemu o tym mówili. Przeżyliśmy wstrząs kiedy w Kozielsku, niedługo przed Bożym Narodzeniem 1939 roku, dowiedzieliśmy się, że gen. Anders jest również w rękach sowieckich; nie znaleźmy jednak szczegółów. Teraz po raz pierwszy dowiedziałem się szczegółów. Uwięziony *sledowatiel* opowiadał mi o ranie, którą gen. Anders odniósł w pobliżu węgierskiej granicy, gdy jego oddział był zaatakowany przez sowieckie samoloty. Opowiadał też o jego pobycie w szpitalu we Lwowie, o dopuszczeniu rodziny do pielęgnowania, o zezwoleniu na wyjazd pod okupację niemiecką, oraz o aresztowaniu w Brześciu; a również o wstrząsającym wrażeniu, jakie na generale sprawiła wiadomość o klęsce Francji. Kilkakrotnie również wspominał o wspnianym obuwiu z bardzo grubą podszewką, które rzekomo żona przyniosła generałowi do szpitala we Lwowie. „*Charoszyj muzyk*” — wyrażeniem swojej opinii o Generale zakończył uwięziony *sledowatiel* swoją opowieść.

Gdy w Butyrkach wyzwano mnie na przesłuchanie zakomunikowano mi przede wszystkim, że moja sprawa została przejęta przez innego *sledowatiela*. Był to wysoki szatyn, powyżej trzydziestki, który podczas przesłuchania zachowywał się dość przyzwoicie a nawet, powiedziałbym, uprzejmie. Był on zdaje się specjalistą od spraw jugosłowiańskich. W pokoju w którym mnie badano prawie cała ściana na lewo ode mnie była zajęta rozpiętymi arkuszami sztabowej mapy Jugosławii, na której było zatkniętych wiele różnokolorowych chorągiewek. Przypuszczam, że chodziło tu o sieć „jacejek” komunistycznych, lub innego

rodzaju agentur sowieckich. Mapy mnie fascynowały; nie mogłem się powstrzymać, aby nie patrzeć w lewą stronę. Było to w styczniu-lutym 1941 roku, czyli na dwa-trzy miesiące przed niemieckim atakiem na Jugosławię. Te chorągiewki stanowiły dla mnie dowód, że agentury sowieckie aktywnie wchodziły na teren, który zarówno Niemcy jak i Włochy uważały za zastrzeżony obszar swego panowania. Nie trudno było się domyśleć możliwych konsekwencji tego stanu rzeczy dla stosunków sowiecko-niemieckich, chociaż wciąż nie wierzyłem aby Hitler zdecydował się na zaatakowanie Sowietów, a sztab niemiecki do tego dopuścił. W końcu nie wytrzymałem i zapytałem mego *sledowatiela* jaki jest obecny stan stosunków sowiecko-niemieckich. Odpowiedział, że wciąż dobry i przyjacielski, lecz z jego tonu i z uśmiechu, który tej odpowiedzi towarzyszył wynikało, że w długotrwałość tej przyjaźni nie wierzył. Moje przekonanie o zupełnym nieprawdopodobieństwie wojny sowiecko-niemieckiej zaczęło się chwiać.

Ten nowy sędzia śledczy zakomunikował mi również, że władze zdecydowały zakończyć śledztwo w mojej sprawie i po krótko powiedział o wynikach śledztwa, tak jak on je widział. Jego zdaniem w mojej sprawie istniała pewna sprzeczność bardzo trudna do wytłumaczenia. Otóż materiały zebrane od różnych ludzi, którzy mnie znali przed wojną, zdawały się świadczyć że moja postawa wobec Związku Sowieckiego była bardziej pozytywna, niż to by mogło wynikać z mego zachowania się podczas śledztwa. Powiedział mi, że on sam rozmawiał z szeregiem ludzi w mojej sprawie i że z tych rozmów wynikało, że wcale nie byłem kontr-rewolucyjnie usposobiony, że byłem demokratą, że odznaczałem się tolerancją, że miałem zrozumienie dla problemów społecznych. Tymczasem, z materiałów śledztwa wynika, że nie byłem szczerzy, że dawałem wykrętne odpowiedzi, że nie chciałem powiedzieć wszystkiego co wiedziałm o różnych przedwojennych sprawach w Polsce i że nawet starałem się manifestować, że to co było w Polsce reakcyjne jest mi bliższe niż to, co reprezentuje Związek Sowiecki. Ja ze swej strony zażądałem okazania mi materiałów śledztwa przed zamknięciem postępowania śledczego, do czego dawały mi prawo sowieckie przepisy procedury karnej i co ten *sledowaitel* mi obiecał.

Dziś, gdy z perspektywy wielu lat wspominam te badania, myślę że to co mi *sledowaitel* mówił mogło być szczerze. Przed wojną istotnie była w Wilnie pewna ilość ludzi, którzy mnie posądzali o sympatie sowieckie. Wynikało to z postawy, którą zajmowałem w swoich pracach, artykułach i wykładach uniwersyteckich. Uważałem, że minęła już epoka, w której prywatna

inicjatywa była głównym motorem rozwoju gospodarczego i że w naszych czasach, aby zabezpieczyć ten rozwój i uniknąć bezrobocia, potrzebne są wielkie publiczne przedsięwzięcia oraz systemy polityczne oparte na ideałach zbiorowego działania. Z tego wynikały moje zainteresowania i prace drukowane, dotyczące zarówno systemu sowieckiego jak i tego systemu gospodarczego, który hitlerowcy stworzyli w Niemczech. Chociaż ze względów filozoficznych, moralnych i politycznych odrzucałem zarówno komunizm jak i nacjonalizm, moje analizy ówczesnego stadium rozwoju gospodarki kapitalistycznej w pewnych punktach przypominały tezy komunistyczne. W końcu lat dwudziestych byłem bardzo blisko ruchu młodzieżowego, na czele którego stał student wydziału prawnego, Henryk Dembiński. Głosił on zasady zbiorowego działania w życiu gospodarczym w oparciu o ideały chrześcijańskie. Gdy duże skrzydło tego ruchu, razem z Dembińskim, zaczęło ześlizgiwać się na pozycje komunistyczne zachowałem sympatie osobiste dla wielu ludzi z tej grupy. Na pewno była w Wilnie pewna ilość sympatyków komunizmu, którzy uważali że w każdym razie ze mną można było rozmawiać i nawet przy tym czegoś się nauczyć. Nie dziwię się więc, że gdy agenci NKWD którzy prowadzili śledztwo w mojej sprawie, zaczęli zbierać dodatkowe dane o mnie od ludzi, do których mieli zaufanie, otrzymali szereg pozytywnych opinii.

Z drugiej strony muszę też przyznać, że była pewna doza słuszności w twierdzeniu sędziego śledczego, że w trakcie śledztwa, starałem się uniknąć przedstawienia swego istotnego stosunku do różnych problemów przedwojennego życia polskiego. Taktyka, którą przyjąłem podczas śledztwa da się sprowadzić do czterech podstawowych punktów. Po pierwsze starałem się uniknąć przyznania się do rzeczy, które stanowiły wyraźne przestępstwo z punktu widzenia sowieckiego Kodeksu Karnego. Sowiecka procedura karna miała w owych czasach charakter postępowania inkwizycyjnego, przy którym przyznanie się do winy i wyrażanie skruchy odgrywało bardzo dużą rolę. W Sowietach były dwa rodzaje sądów przed którymi stawiano więźniów politycznych:

1) Zaoczne sądy NKWD (tzw. „trójki”, albo „Osoboje Sowieszczanije”), których postępowanie miało charakter poufny oraz

2) tzw. „trybunały”, których postępowanie było podobne do sądów w reszcie świata. „Trojki” sądziły na zasadzie „celowości rewolucyjnej” i kwestia ustalenia istotnych czynów przestępczych miała tutaj zupełnie drugorzędne znaczenie. Natomiast trybunały wchodziły w argumentację prokuratora i — jak twierdzili współ-

lokatorzy mojej celi — odrzucali czasami jego wnioski. *Sledowatiel*, który niedostatecznie przygotował sprawę przeznaczoną do trybunału sam czasami trafiał do łagru. Sprawa uważana była za dobrze przygotowaną, jeżeli oskarżony nie tylko przyznawał się do winy, lecz wnosił pewne dodatkowe elementy, potwierdzające oskarżenie oraz implikacje szeregu innych osób. Taką spowiedź wymuszano torturami, co właśnie procedurze sowieckiej nadawało wybitnie inkwizycyjny charakter. Tortury były regułą za czasów Jeżowa; za czasów Berii sędzia śledczy musiał mieć specjalne upoważnienie wyższej instancji, aby więźnia poddać regularnym torturom. Z tego co mi opowiadano w celi, można było wywnioskować, że jeżeli stawiano przed trybunał oskarżonego, który nie przyznał się do winy, miał on pewne szanse wyjścia obronną ręką. Było więc rzeczą istotną, aby nie dawać prokuratorowi tego podstawowego argumentu, którym w procesie inkwizycyjnym jest przyznanie się oskarżonego.

Zresztą niezwykle rzadko sprawę oskarżonego, który nie przyznawał się do winy, skierowywano do Trybunału: sprawy takie z natury rzeczy szły do wewnętrznych sądów NKWD. Tymczasem w początkowym okresie rządów Berii maksimum kary, którą te sądy mogły orzec, było 8 lat łagrów. Sprawy które miały pociągnąć kary wyższe niż 8 lat łagrów, były zastrzeżone dla „trybunałów”. Utrzymanie się więc w pozycji nieprzyznającego się do winy dawało większe szanse przetrwania.

Drugą zasadą mojej taktyki w czasie śledztwa było dążenie, aby możliwie zatuszować mój związek z grupą federalistów wileńskich. Sowiecka polityka jest specjalnie uczulona na wszelkie koncepcje porozumienia i współdziałania narodów wcielonych do Związku Sowieckiego lub sąsiadujących ze Związkiem, jeżeli to współdziałanie nie jest pod ścisłą kontrolą sowiecką. Natomiast polityka ta jest względnie tolerancyjna wobec przejawów skrajnego nacjonalizmu wśród tych narodów, jeżeli ten nacjonalizm pobudza ich wzajemne antagonizmy. Wszelkie koncepcje Ligi Bałkańskiej czy też federacji Polsko-Czeskiej są dla Sowietów czerwoną płachtą, jak to wiemy z doświadczenia wojennych i powojennych dziejów Wschodniej Europy. Każdy kto stoi na stanowisku zbliżenia polsko-ukraińskiego staje się niemal automatycznie wrogiem Sowietów. Antagonizmy węgiersko-rumuńskie czy serbsko-bułgarskie są darem nieba dla imperium sowieckiego. Federaliści wileńscy, którzy głosili zasadę porozumienia czterech podstawowych narodowości zamieszkałych na ziemiach dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego (tzn. Polaków, Litwinów, Białorusinów i Żydów) i przeciwstawiali się bezmyślnej międzywojennej polityce narodowościowej administracji polskiej

na ziemiach wschodnich, byli z punktu widzenia sowieckiego elementem niepożądanym, który musiał ulec takiej lub innej formie likwidacji. Fakt, że w początku lat dwudziestych, gdy decydowały się losy Wilna, byłem przeciwny wcieleniu do narodowego państwa polskiego tej dawnej stolicy Wielkiego Xięstwa Litewskiego, czynił mnie w oczach sowieckich typem wysoce podejrzanym. Program federacyjny zakładał niepodległość Ukrainy i Białorusi, co przy pewnym obcięciu Polski od Wschodu, oznaczałoby przede wszystkim odsunięcie Rosji na wschód. Było więc wygodniej, żeby myślano o mnie jako o polskim nacjonalście, który na wschód od Polski widzi miejsce tylko dla Rosji. Był to punkt, który sobie przemyślałem jeszcze w *prijomniku*, gdy przed zamkniętymi oczyma rozpalają się kolory tęczy od bijącego w twarz światła jaskrawej żarówki.

Trzecią zasadą mojej taktyki było unikać wszystkiego co by mogło sprawić wrażenie, że jestem gotów do takiej czy innej współpracy ze Związkiem Sowieckim. Jeszcze w Kozielsku wyrobiłem sobie przekonanie, że jednym z celów tego bardzo szczegółowego indywidualnego badania każdego jeńca przez zespół agentów NKWD kierowany przez Kombriga Zarubina było nie tylko wykrycie specjalnych wrogów Związku Sowieckiego lecz również wyseparowanie ludzi, którzy mogą być przydatni dla Związku czy to w zakresie służby informacyjnej czy też jakichś inspirowanych akcji politycznych. Osobiście bałem się tego drugiego wyróżnienia nie mniej niż pierwszego. Miałem wrażenie, że w osobistym podejściu do jeńców ze strony Kombriga Zarubina ten drugi cel odgrywał większą rolę niż pierwszy. Interesował się on przede wszystkim tymi jeńcami, którzy w jakimś stopniu wybijali się ponad przeciętność w życiu przedwojennym. W pierwszym więc rzędzie jego zainteresowania szły w kierunku oficerów sztabowych i to nie tyle generałów ile pułkowników i podpułkowników dyplomowanych. Niektórzy z nas mieli wrażenie, że szczególnie wysoko była szacowana przez badaczy sowieckich indywidualność płk. Künstlera. Na skutek zarządzenia Kombriga Zarubina jeden z lepszych budynków w obozie przeznaczono dla oficerów sztabowych, gdzie każdy z nich otrzymał oddzielne łóżko i pościel.

Gdy ton śledztwa stawał się uprzejmy i niemal przyjacielski, było to dla mnie równie niepokojące jak wtedy gdy był chamski i brutalny. W szczególności gdy zacząłem pisać streszczenie swojej książki o polityce gospodarczej Niemiec hitlerowskich, niepokoiło mnie co z tego dalej może wyniknąć. Starłem się zapobiec wszelkim możliwym propozycjom przez ciągłe podkreślanie swego polskiego patriotyzmu i swojej lojalności wobec

państwa polskiego, o którym *sledowatiel* mówił mi, że nie istnieje. Bałem się też ogromnie żeby mnie nie zaczęto klasyfikować jako obywatela sowieckiego.

W tym podkreślaniu lojalności wobec państwa polskiego zajmowałem linię którą można nazwać Kozielską. Odpowiadała tej postawie, która w Kozielsku zajmowali nasi oficerowie wobec tych politruków którzy przychodzili do baraków i wyciągali jeńców na dyskusję. Nasi oficerowie zwykle podkreślali przy tych rozmowach, że byli wierni państwu polskiemu niezależnie od tego jaka grupa polityczna nim rządziła; że system komunistyczny im nie imponuje i że spodziewają się, że może nadejść godzina, że Rosja będzie sprzymierzeńcem narodu polskiego w walce przeciwko nawale hitlerowskiej. Wydawało mi się że było to stanowisko nie tylko uczciwe i honorowe, lecz również najbardziej bezpieczne. Sądziłem, że szanse przetrwania znacznie się zmniejszyły gdyby władze sowieckie zaczęły nas traktować jako swoich przysięgłych wrogów. Podkreślenie, że jest się wiernym swoim sztandarom czy też swojej przysiędze, nie musiało jeszcze oznaczać, że się jest przysięgłym wrogiem Związku Sowieckiego. Z drugiej strony równie groźną sytuacją mogłaby się wytworzyć gdyby nas zaczęto uważać za swoich.

Podczas śledztwa więc starałem się jak najbardziej identyfikować swoją postawę z postawą przeciętnego jeńca Kozielskiego. Niejednokrotnie też podkreślałem, że w moim rozumieniu muszę być odesłany do obozu jeńców wojennych zgodnie z istniejącymi zwyczajami międzynarodowymi. Przypuszczałem, że obóz jeńców wojennych był miejscem z którego prędzej można by było wy dostać się gdzieś na szeroki świat, niż z murów Łubianki czy Butyrek. Pod tym względem byłem w błędzie, chociaż miałem pretensje do tego, że byłem znawcą Rosji. W tym świecie nowej moralności, która wytworzyła się w systemie stalinowskim, a której fundamenty zostały położone przez sławne instrukcje Lenina i Dzierżyńskiego w sprawie masowego terroru w 1918 roku, przyjęte w cywilizowanym świecie zasady traktowania jeńców wojskowych nie mają zastosowania.

Dziś sobie zadaję pytanie czy moi sędziowie śledczy wiedzieli o Katyniu? Wiedzieli oczywiście, że trafiłem do Związku Sowieckiego jako jeńiec wojenny. Przypuszczam, że jako członek aparatu NKWD, wiedzieli prawdopodobnie coś nie coś o systemie tajnych egzekucji, lecz nie myślę, żeby byli konkretnie poinformowani o losie większości polskich oficerów. Byłoby to sprzeczne z zasadą ścisłej tajności, którą odznaczało się wykonanie decyzji katyńskiej. Gdy Niemcy na Ponarach pod Wilnem zorganizowali centrum mordowania Żydów, wiedział o tym każdy

pastuch w okolicy, każdy stróż domowy oraz każda kucharka w Wilnie. Gdy naszych oficerów wyładowywano przy stacji Gniezdowo nie zauważyłem ani jednej osoby cywilnej, ani jednego kolejarza. Stacja była jak wymarła; teren był gruntownie oczyszczony, od wszelkich możliwych obserwatorów; nawet okna autobusu, którym przewożono jeńców były zasmarowane wapnem, aby przypadkowo przejeżdżający kołchoźnik nie zauważył uni-formu cudzoziemskich wojskowych.

Gdy ludzie którzy zajmowali stanowiska w administracji hitlerowskiej twierdzą, że nie wiedzieli o eksterminacji Żydów — nie wierzę temu. Jeżeli jakiś pracownik NKWD, będzie zapewniał, że nie wiedział o Katyniu, jestem skłonny mu wierzyć. Tajemnica była znacznie lepiej strzeżona.

Wyrok

Z tego co sędzia śledczy mówił mi przy zakończeniu śledztwa wywnioskowałem, że sądzić mnie będzie nie „trybunał”, lecz jakaś odmiana wewnętrznych sądów NKWD. W końcu lutego (1941) zabrano mnie z Pugaczowskiej baszty celem wysłuchania wyroku. Po przejściu podwórza więziennego wprowadzono mnie do jakiejś celi, gdzie było już zebranych około trzydziestu ludzi, czekających na rozstrzygnięcie ich losów. Wzywano ich kolejno do oddzielnego pokoju gdzie ogłaszano im wyrok. Przeważnie wyroki te opiewały na 8 lat łagrów, chociaż było również kilka wypadków kiedy kara wynosiła 5 lat. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo od bywalców sowieckich więzień i łagrów wiedzieliśmy, że więzień, któremu udało się przeżyć do końca terminu kary, zwykle otrzymywał pismo od wewnętrznych sądów NKWD przedłużające termin jego pobytu w łagrze na dalsze pięć-osiem lat.

Gdy mnie wezwano, względnie inteligentnie wyglądający jakiś enkawudzista, zakomunikował mi moje standartowe 8 lat, z zaliczeniem czasu od chwili aresztowania, tzn. od chwili opuszczenia Kozielska, dodając że dla odbycia tej kary będę skierowany do kompleksu Ust'-Wymskich łagrów w sowieckiej autonomicznej Republice Komi w północno-wschodniej części europejskiej Rosji. Powiedział jednocześnie że, jeżeli nie jestem zadowolony z tego wymiaru sprawiedliwości, przysługuje mi prawo skargi do Najwyższego Sowietu. Odpowiedziałem mu, że nie mam zamiaru z tego prawa korzystać i uśmiechnąłem się. — „Czego się Pan śmieje?” — zapytał urzędnik. Odpowiedziałem mu że jestem cudzoziemcem, że na świecie toczy się wojna i że moje losy,

jeżeli w ogóle przetrzymam fizycznie, będą zależały nie od ilości lat wyroku a od możliwych zmian sytuacji międzynarodowej, które mogą przynieść mi przedterminowe zwolnienie i prawo opuszczenia terytorium Związku Sowieckiego.

Po zakomunikowaniu wyroku odprowadzono mnie do dużej celi gdzie było ponad sześćdziesięciu więźniów, którzy także świeżo otrzymali wyroki. Byli to wyłącznie cudzoziemcy, do których dołączono kilku wyższych, sowieckich urzędników pochodzących z mniejszości narodowych. Najliczniejszymi grupami byli Polacy i Finowie. Z Polaków: płk Waław Koc, były szef Sztabu DOK Lublin; Dr Stanisław Skrzypek, ekonomista, asystent prof. Stanisława Grabskiego na Uniwersytecie Lwowskim; a także Jan Adamus, docent Uniwersytetu Wileńskiego (późniejszy profesor Uniwersytetu Łódzkiego) na którego przewodzie habilitacyjnym swego czasu sekretarzowałem. Płk. Koca trybunał skazał na karę śmierci, którą mu w drodze łaski zamieniono na 10 lat więzienia. Poza tym było po kilku przedstawicieli różnych narodowości europejskich i azjatyckich.

Powszechne zainteresowanie wzbudzał autentyczny szpieg: oficer japoński, który swoją misję w Rosji uważał za akt poświęcenia i był z tego dumny. Nie był traktowany gorzej niż szpiegdy z urojenia, których było wielu pomiędzy lokatorami tej celi. Mówił mi, że uważał prawie za pewne, iż wkrótce zostanie wymieniony na szpiegów sowieckich ujętych w Japonii. Jego perspektywy więc były lepsze niż szpiegów fikcyjnych.

Moje specjalne zainteresowanie wzbudzał jednak komunista niemiecki, członek Centralnego Komitetu Niemieckiej Partii Komunistycznej, człowiek z wyższym wykształceniem, historyk dobrze obkuty w doktrynie marksowskiej. Przed kilku laty partia wysłała go do Rosji Sowieckiej na leczenie jako poważnie zagrożonego gruźlicą. Spędził dłuższy czas w sanatorium na Krymie, gdzie miał wspaniałą opiekę. Potem wykładał przez jakiś czas na Uniwersytecie Niemców Nadwołżańskich, bodajże w Saratowie. Gdy po wielkich procesach zlikwidowano szereg starych komunistów rosyjskich i rozpoczęto eksterminację przebywających w Rosji komunistów zagranicznych, został aresztowany, spędził prawie rok w jakimś wilgotnym lochu gdzieś nad Wołgą, a obecnie czekał na wydanie go hitlerowskim Niemcom. Ciekawiło mnie bardzo jak widział swoje perspektywy. Był oczywiście bardzo zdezorientowany i wciąż jeszcze oszołomiony przeżyciami w owym lochu. Na ogół był skłonny do wiary, że jego zwycięska ojczyzna po zgnębieniu Polski, Norwegii i Francji, okaże się wspaniałomyślna dla swego marnotrawnego syna, który zbłądził na manowce marksizmu.

Nieraz wspominałem w latach późniejszych jego godną współczucia sylwetkę. Jego szanse przeżycia nie były większe od naszych, jego moralna sytuacja była o wiele gorsza. Myśmy byli członkami walczącej armii, on był bity i torturowany przez przedstawicieli doktryny, której poświęcił całe życie oraz przez tych pod których opiekę się oddał gdy ciężko zachorował na gruźlicę. Ciekawiło mnie ogromnie jaka była jego analiza istniejących tendencji rozwojowych. Wykształcony marksista musi zawsze zaczynać od analizy istniejących sił i tendencji. Wysuwałem więc różne koncepcje i czekałem na jego reakcję. W moim rozumieniu rosyjski komunizm był w owym momencie na bardzo interesującym zakręcie. Stalin i jego najbliższe otoczenie zdawali się iść w kierunku nie tylko politycznego sojuszu z Hitlerem, lecz również pewnej ideologicznej syntezy, chociaż szeregowi członkowie partii, według tego co mogłem wywnioskować z rozmów w celach moskiewskich więzień, zajmowali wciąż pozycje nieufności w stosunku do Niemiec. Głowy niemieckich komunistów miały stanowić dar cementujący przyjaźń dwóch totalizmów o ambicjach światowych. U podłoża tej przyjaźni leżały pewne koncepcje przekształcenia politycznej mapy świata. Jaka była koncepcja Hitlera wiedzieliśmy z *Mein Kampf*. Jeżeli chodzi natomiast o koncepcję Stalina przypomniałem sobie właśnie rozmowę, którą na kilka miesięcy przed wojną miałem z Franciszkiem Ancewiczem, litewskim socjal-demokratą, który był asystentem prof. W. Sukiennickiego w Instytucie Europy Wschodniej w Wilnie. Ancewicz uważnie czytał prasę światową oraz interesował się analizami politycznymi, które wychodziły ze środowiska trockistowskiego. Dowodził on, że dalekosieżnym celem polityki Stalina był podział Imperium Brytyjskiego pomiędzy Rosją Sowiecką a państwami Osi: Berlin-Rzym-Tokio. Ancewicz uważał że ten cel logicznie wiązał się z systematycznym wymordowywaniem starych bolszewików oraz ideologów socjalizmu marksowskiego w Rosji Sowieckiej. Mój niemiecki rozmówca był z natury rzeczy bardzo ostrożny z zajmowaniem jakiegoś zdecydowanego stanowiska, lecz wyniosłem ogólne wrażenie, że był on przygotowany psychicznie do szukania kompromisu pomiędzy międzynarodowym marksizmem a hitlerowskim nacjonalizmem.

Ta ewolucja stalinizmu została przerwana przez atak Hitlera w czerwcu 1941. Stworzyło to sytuację w której akcje komunistów niemieckich (a również innych komunistów Środkowo-europejskich) przebywających w Rosji, zaczęły iść w górę. Stalin musiał wrócić z powrotem na pozycję walki z faszyzmem i hitleryzmem. Czy mój towarzysz z celi doczekał się tego ataku jako

więzień sowiecki czy też jeszcze przedtem przekazano go w ręce Gestapo, tego nie wiem.

Transport na Północ

W Butyrskim więzieniu przebywałem po otrzymaniu wyroku mniej więcej około tygodnia. Stamtąd też zabrano mnie na transport początkowo do obozu przesyłkowego w Kotłasie, a potem do jednego z obozów położonych w dorzeczu rzeki Wym w Komi ASSR. Transport trwał około trzech tygodni i był bardzo męczący. Trafiłem do przedziału więziennego, gdzie jechali przeważnie członkowie Centralnego Komitetu Kazachstańskiej Partii Komunistycznej. Od nich dowiedziałem się, że prawie wszyscy członkowie rządu Sowieckiej Federacyjnej Republiki Kazachstanu zostali skazani na obozy pracy przymusowej za „odchylenie nacjonalistyczne”. Między nimi, w tym samym przedziale, był również szef Biura Planowania tej republiki, Rosjanin urodzony w Moskwie, którego przysłano przed dwoma laty do Kazachstanu jako fachowca od techniki planowania. I on również otrzymał wyrok za kazachskie odchylenie nacjonalistyczne. W sąsiednim przedziale jechali przeważnie Azerbejdżanie z południowego Kaukazu, między nimi był wykładowca ekonomii politycznej ze szkoły partyjnej w Baku. Oddzielną grupę stanowili fińscy wojskowi, przeważnie podoficerowie. Byli oni na jakimś głębokim patrolu w chwili, gdy podpisano zawieszenie broni. Ujęci przez sowieciarzy nie zostali uznani za jeńców wojennych, lecz postawieni przed sąd za nielegalne przekroczenie granicy, za co dostali po pięć lat łagrów. Po przyjeździe do Komi mogli porozumiewać się z miejscową ludnością, bo język Komi jest zbliżony do fińskiego chociaż Komi jest odległa o 800 kilometrów od wschodniej granicy Finlandii.

W pierwszym okresie podróży jechałem w tym samym przedziale z komdiwem Armii Czerwonej. Był względnie niedawno aresztowany i świetnie orientował się w przebiegu operacji wojennych na Zachodzie, o których bardzo niewiele mogłem przedtem dowiedzieć się z powodu ściśłego odseparowania tych co znajdują się pod śledztwem od zewnętrznego świata. Miał bardzo szczegółowo przestudiowaną operację wycofywania się Anglików spod Dunkierki i twierdził, że Niemcy nie będą mogli wygrać wojny. Rozmowy z nim potwierdziły tę opinię, którą wyniosłem z Łubianki, że średnie i niższe szczeble aparatu sowieckiego były antyniemieckie w przeciwieństwie do szczytów tego aparatu.

Z tym całym różnobarwnym, przeważnie nierosyjskim towarzystwem naszego transportu przemieszani byli moskiewscy kryminaliści tzw. „urki”. Kradli nielitościwie wszystko co nie było strzeżone. Czasami stosowali otwarty gwałt odbierając politycznym więźniom ich mizerne racje chleba. W łagrach stanowili oni element uprzywilejowany. Wysuwano ich często na stanowiska w administracji obozów pracy. Byli mniej ostrożni w wypowiedziach swoich opinii politycznych niż inni więźniowie, i nawet pozwalali sobie na krytykę wodzów. Sam słyszałem jak w baraku w Kotłasie taki „urka” opowiadał na cały głos swoim towarzyszom na narach, że Stalin otruł swoją żonę Allilujewą. Odznaczali się skrajnym antysemityzmem i specjalnie byli skłonni dokuczać współwięźniom żydowskiego pochodzenia.

W Kotłasie, dzięki uprzejmości lekarza trafiłem na kilka dni do szpitala, gdzie spotkałem starego rosyjskiego esera Jefremowa, który był członkiem Konstytuanty, rozpędzonej przez Lenina w listopadzie 1917 roku. Siedział on w różnych bolszewickich więzieniach już około dwudziestu lat. Ostatnim miejscem był *politizolator* gdzieś na Uralu, gdzie przez dłuższy czas jego towarzyszem niedoli był Karol Radek. O ile mogłem z jego opowiadań wywnioskować w końcu 1940 (a może nawet w początkach 1941 roku) Radek jeszcze żył i był we względnie dobrej formie. Miał specjalny przywilej posiadania w swojej celi książek w obcych językach; nie rozstawał się z tomikami poezji Mickiewicza i twierdził że to był największy poeta, którego ludzkość wydała.

Inny mój towarzysz w szpitalu reprezentował dość rozpowszechnioną w owym czasie wiarę, że Rosja Sowiecka jest dziełem szatana lub też jego sług. Są dwie odmiany tego rodzaju interpretacji rzeczywistości sowieckiej. W jednej przeważają elementy mistyczne, w drugiej raczej socjologiczne. Pierwsza odmiana jest oparta na przekonaniu, że szatan czynnie interweniuje w kształtowaniu się historii. Ta wiara przejawiała się w dziejach kultury rosyjskiej na różnych szczeblach intelektualnych: od niepiśmiennych chłopów, którzy w XVII wieku w lasach dalekiej północy szukali schronienia od nowinek patriarchy Nikona, do wielkich filozofów, myślicieli i pisarzy jak Fiodor Dostojewski, Władimir Sołowiew oraz Dmitrij Mereżkowski. Piotr Wielki był przez wielu współczesnych uważany za wcielenie Antychrysta. Trzeba przyznać, że rzeczywistość sowiecka stwarzała wyjątkowo pomyślne warunki dla odrodzenia tej wiary. W moim późniejszym doświadczeniu łagiernym spotykałem się z wypadkami kiedy niektórzy więźniowie odmawiali wychodzenia do pracy, motywując, że wszelka praca dla państwa sowieckiego była pracą dla

szatana. Stawiani oni byli przed miejscowe sądy, które z reguły wydawały wyroki śmierci. Potem wiadomość o wykonaniu wyroku bywała ogłaszana na tablicy około wartowni. W szczególności pamiętam wypadek dwóch mniszek prawosławnych, które pewnego dnia zajęły takie stanowisko i zostały rozstrzelane. O ile rozumiem wierzyły one, że przez ten akt męczeństwa przyczynią się do zmobilizowania sił mistycznych, które ostatecznie wyrwą ich ojczyznę z oparów zła, które opanowały Rosję.

Druga interpretacja sowieckiego satanizmu ma charakter bardziej racjonalistyczny. Oparta jest ona na podejrzeniu, że gdzieś w centralnym aparacie państwa sowieckiego są jakieś zakonspirowane grupy czcicieli szatana, którzy prawdopodobnie wierzą w tę swoją służbę tak samo jak w średniowieczu niektóre czarownice same wierzyły w swoje stosunki z diabłem. Przyjęcie tej interpretacji nie wymaga wiary w rzeczywistość transcendentną, a jedynie dopuszczenia faktu że są ludzie, którzy wierzą w szatana i chcą jemu służyć. Grupy te mają przyczyniać się do wytwarzania sytuacji, które prowadzą do systemu ciągłych mordów, jak okrutna eksterminacja kilku milionów chłopów w okresie kolektywizacji, jeżowszczyzna w 1937-38 roku, wymordowanie w przede dniu wojny kwiatu wyższego dowództwa Armii Czerwonej i znacznej części młodszych oficerów, wyniszczenie fizyczne dużej ilości „starych bolszewików” odpowiedzialnych za doktrynę oraz zręby organizacyjne Partii. Tego rodzaju interpretacja nie jest sprzeczna z marksistowską metodą analizy zjawisk społecznych. Mówił mi o niej młody student matematyki, który był sądzony za przynależność do organizacji trockistowskich, uprzedzając jednocześnie, że samo mówienie o tych możliwościach pociąga za sobą egzekucję. Była noc, mój rozmówca był wyraźnie podniecony i przerażony, że szeptał mi te rzeczy; obydwoj leżąc w naszych łóżkach, które stały obok, mieliśmy oczy utkwione w otwór „judasza”, który się od czasu do czasu otwierał. Ktoś z innych więźniów, którzy spali opodal, mógł nas podsłuchać; nie miałem więc możności zapytać go o kilka punktów, które w jego opowiadaniu wydawały się mnie niejasne. Dziś, gdy stajemy wobec problemu wytlumaczenia decyzji katyńskiej hipotezy owego „trockisty” nie należy z góry odrzucać. Możliwie, że wizja Dostojewskiego kiedy pisał swoją sławną powieść „Biesy” była wizją proroczą.

Z Kotłasu transportowano nas do łagrów w Komi już nie w więziennych lecz zwykłych bydłęcych wagonach. Ochrona stała się mniej ścisła, bo wkroczyliśmy w rejon tajgi, gdzie ucieczka, szczególnie zimą, jest fizycznie niemożliwa. Przed samym odjazdem wsadzono parę dziwnych więźniów; mężczyzna

w średnim wieku był głuchoniemy, kobieta była młodą dziewczyną o północno-mongolskim typie. Nie znała rosyjskiego. Jedyną rzecz, którą potrafiła nam wytłumaczyć, było to, że aresztowano ich w Estonii. Gdy ów głuchoniemy otrzymywał swoją porcję chleba kładł go przed sobą na ziemię, stojąc odmawiał dłuższą modlitwę i dopiero konsumował. Więźniowie, nie wyłączając „urków”, patrzyli na tę parę z pewnym zdziwieniem, lecz również z wyraźną sympatią. O ile mogłem zrozumieć ci Estończycy byli członkami jakiejś sekty, zostali aresztowani i skazani za szerzenie wierzeń religijnych. Był też w tym wagonie brodaty rosyjski chłop, który również siedział za przekonania religijne, lecz reprezentował nieco inny typ, niż mój towarzysz ze szpitala w Kotłasiu. Gdy po przybyciu na miejsce trzeba było zarejestrować się na otrzymanie następnego dnia racji chleba, odmówił motywując, że byłoby to sprzeczne z Modlitwą Pańską, która nakazuje wyraźnie prosić o chleb powszedni tylko na dzisiaj, a nie na jutro. Potrafiłem to jakoś dla niego załatwić bez jego udziału, tłumacząc w administracji, że chodzi tu o niepiśmiennego i głuchego.

Podczas tej podróży w bydłym wagonie wpadło w moje ręce kilka informacji, które mogą zainteresować każdego badacza najnowszej historii Rosji. Dotyczą one losów Jeżowa, byłego szefa NKWD, który ponosi odpowiedzialność za szczególną falę aresztów i mordów w 1937 i 1938 latach. Mianowicie w owym bydłym wagonie na narach bezpośrednio nade mną jechał wyższy sowiecki urzędnik, który był naczelnikiem wydziału w Komisariacie Związkowym Transportu Rzecznego. Jeżow, po zdymisjonowaniu go jako szefa NKWD, był przez kilka miesięcy komisarzem Transportu Rzecznego i ów urzędnik z natury rzeczy musiał pozostawać z nim w ciągłym kontakcie. Gdy Jeżowa aresztowano, wkrótce potem uwięziono również szereg pracowników komisariatu Transportu Rzecznego, którzy mu tam podlegali. Niedługo przed otrzymaniem wyroku mój rozmówca był przewieziony dla konfrontacji z Jeżowem w jakiejś miejscowości niedaleko od Moskwy. Należy przypuszczać, że było to więzienie Suchanowskie, kilkadziesiąt kilometrów od Moskwy, o którym istnieje ponura sława, że każdy więzień tam się przyznaje, nawet ci którzy potrafili oprzeć się torturom Lefortowskiej kaźni. Musiało to być gdzieś w drugiej połowie 1940 roku. Jeżow, według mego rozmówcy, był w dobrej formie fizycznej, w tej samej bluzie, w której urzędował za czasów swojej ponurej potęgi i przepasany tym samym skórzanym pasem, co oznaczało, że nie podlegał zwykłemu reglaminowi więziennemu. Z przebiegu konfrontacji można było wywnioskować, że Jeżow był oskarżony

o zorganizowanie jakiejś sekretnej grupy swoich zwolenników, do czego się przyznał. Zapytany czy do tej grupy należał mój rozmówca, dał odpowiedź przeczącą, po czym natychmiast konfrontacja została przerwana. W rezultacie mój rozmówca wypadł ze sprawy, za którą sądzony był Jeżow. Ponieważ jednak nie można zostawić na wolności człowieka, który dopiero co był konfrontowany z Jeżowem, więc dostał swoje standartowe osiem lat i skierowano go do tego samego systemu łagrów co mnie. Po przybyciu jednak na miejsce rozdzielono nas i już więcej się z nim nie spotykałem.

Po przybyciu na stację przeznaczenia popędzono grupę, do której mnie wcielono, jeszcze około 20 km. pieszo, a potem przetrzymano około pół godziny na więcej niż dwudziestostopniowym mrozie przed bramą łagierną upiękzoną transparentami zapowiadającymi: Odrodzenie moralne ludzi upadłych poprzez wychowawczą potęgę pracy. Po wpuszczeniu o zmroku do zony łagiernej skierowano nas przede wszystkim do baraku stanowiącego jadalnię, gdzie wzdłuż długich stołów ciągnęły się drewniane ławy. Dano nam jakąś lurę, w której podobno miały pływać malutkie kawałeczki ryby. Fakt jednak że była to gorąca strawa już przez to samo był błogosławieństwem. Gdy po kolacji wyszedłem z baraku na zewnątrz stanąłem jak urzeczony. Niebo mieniło się i grało blaskami łagodnych niebieskosrebrnych promieni, które to rozdziły się, to gasły, to wyciągały się tworząc jedną wielką gwiazdę pokrywającą całą północną część nieba, to znowu się kurczyły. Te blaski zorzy północnej zostały w mojej pamięci jako początek nowego rozdziału moich niesamowitych dni jako więźnia sowieckiego.

Moje dzieje łagierne

Mój pobyt w łagrach trwał od drugiej połowy marca 1941 do 20 kwietnia 1942 roku, kiedy to zwolniono mnie i rozpocząłem podróż na południe. Ten pobyt dzieli się na dwa okresy: pierwszy do tzw. „amnestii” i zwolnienia z Ust Wymских łagrów, co miało miejsce w sierpniu 1941. Drugi, od końca sierpnia 1941 do 1942 roku, kiedy mnie oraz por. Adama Telmaniego, byłego adiutanta komendy Związku Walki Zbrojnej ze Lwowa, wyłączono z kategorii tych, którzy podlegali zwolnieniu, i odesłano z powrotem do łagrów. Telmaniego zwolniono w styczniu 1942 roku, mnie zaś dopiero w kwietniu po licznych interwencjach zarówno ambasadora Kota w Kujbyszewie jak i ministrów

Wacława Komarnickiego i Kajetana Morawskiego u ambasadora sowieckiego w Londynie.

Pierwszy okres był względnie znośny, drugi, tzn. jesień i zima 1941-42 — straszny. Głód, mrozy dochodzące do 50 stopni Celsjusza, kupy zamarzniętych trupów zwalone na podwórzu łągiernym w oczekiwaniu na lekarza, który musi spisać protokoły śmierci. Powszechna awitaminoza, której najgroźniejszą formą była pelagra (brak witaminy E). W styczniu-marcu 1942 było zupełnie normalnym zjawiskiem, że przy porannej pobudce niektórzy więźniowie nie mogli się podnieść, bo byli już martwi. Największy procent śmiertelności był wśród Ukraińców oraz Mołdawian z Besarabii i Bukowiny, a także wśród Kaukazczyków; Finowie, Chińczycy, a również stosunkowo nieliczni Rosjanie wykazywali znacznie większą odporność.

W lutym 1942 roku mój stan fizyczny stał się zupełnie rozpaczliwy. Nogi miałem pokryte ranami powstałymi z odmrożenia. Z trudem się ruszałem, o wychodzeniu do pracy w lesie nie mogło być mowy; byłem tym co w języku łągiernym nazywa się *dochodiaga*, życie swoje obliczałem mniej więcej na trzy tygodnie. Lekarz łągierny dr Badjan, zwrócił się do komendy obozu z wnioskiem, żeby przydzielić mnie na pewien czas do szpitala, formalnie jako chorego a faktycznie jako asystenta lekarza, na co ku ogólnemu zdziwieniu komendant łągru bardzo chętnie zgodził się. Dr Badjan był rumuńskim Żydem, który podczas pierwszej wojny służył jako porucznik w armii austriackiej, potem studiował na uniwersytecie Wiedeńskim, a przed drugą wojną praktykował przez szereg lat w Czerniowcach. Przywieziono go do łągru na początku 1941 roku razem z transportem chłopów ukraińskich z Besarabii i Bukowiny. Prośbę swą dr Badjan uzasadniał tym, że potrzebny był mu asystent, który by znał język rosyjski, lecz z którym on mógłby porozumiewać się po niemiecku. W szpitalu, wobec wielkiej ilości zachorowań i zgonów były istotnie bardzo duże zaległości w sporządzaniu niezbędnych dokumentów, dotyczących pacjentów oraz protokołów zgonów. Sporządzaliśmy te dokumenty w ten sposób że dr Badjan dyktował mnie po niemiecku, a ja zapisywałem po rosyjsku. Te dwa miesiące asystentury u lekarza łągiernego pozwoliły mi nieco zaznajomić się z problemami medycyny arktycznej tak samo jak potem, podczas mojej pracy w UNESCO, mogłem się zetknąć trochę z problemami medycyny tropikalnej.

Skwapliwa zgoda komendanta na to przeniesienie mnie na etat szpitala stała się dla mnie jasna dopiero po zwolnieniu, gdy zaznajomiłem się z różnymi dokumentami w swojej sprawie, które pokazano mi w Ambasadzie polskiej w Kujbyszewie. Mia-

nowicie w początku 1942 r. ambasador polski, prof. St. Kot, otrzymał poprzez Żydów polskich, którzy się ze mną spotykali, dokładne wiadomości co do miejsca, gdzie przebywałem oraz co do mego niepokojącego stanu zdrowia. Ambasador Kot, uważając, że trzeba działać szybko, jeżeli w ogóle mam być uratowany, nie zwrócił się do Narkomindiełu czego wymagały obyczaje dyplomatyczne, lecz wysłał bezpośrednio depeszę do naczelnika Ust'-Wymskich łągrów, gdzie przebywałem, żądając — na zasadzie umowy sowiecko-polskiej — natychmiastowego odesłania mnie samolotem do Kujbyszewa na koszt ambasady polskiej. Komenda łągrów oczywiście nie mogła mnie zwolnić bez decyzji władz wyższych, lecz uznała że dla uniknięcia odpowiedzialności należy postarać się utrzymać mnie przy życiu. Stąd zgoda na propozycję lekarza, aby umieścić mnie w szpitalu ze zwiększoną racją chleba (1 kg. dziennie) i to ratowało mnie od zwykłego losu *dochodiagi* łągiernego — od śmierci z głodu i wyczerpania.

Reakcja komendanta łągru na interwencję ambasadora Kota jest zrozumiała jeżeli weźmie się pod uwagę ogólną sytuację w Rosji w owym momencie. Związek Sowiecki toczył śmiertelną walkę, w której ostateczny sukces mało kto w Rosji wierzył. Niemcy wciąż jeszcze byli w pobliżu Moskwy, chociaż ich pierwszy impet załamał się na jesieni 1941 roku. Aparat administracyjny, kontrolowany żelazną ręką NKWD działał z automatyczną sprawnością — jak mi się wydaje większą niż podczas pierwszej wojny światowej — lecz również bez wiary w ostateczne zwycięstwo. Delegaci ambasady polskiej rozjeżdżali po całej nieokupowanej przez Niemców części Związku Sowieckiego, zakładali swoje biura, oraz składy konserw i ubrań dostarczonych z Ameryki, organizowali internaty, w których odbywały się zebrania, nabożeństwa i odczyty. Wszystko dezorientowało miejscową administrację sowiecką. Nikt nie wiedział jakie uprawnienia dla ambasady polskiej i jej delegatów wynikały z umowy polsko-sowieckiej. W tych warunkach oficjalne zawiadomienie komendy obozu, że ambasada polska jest specjalnie zainteresowana w losach jakiegoś, jeszcze nie zwolnionego, więźnia zmuszało komendanta obozu co najmniej do wzięcia tego więźnia pod specjalną opiekę.

W tym okresie pobytu w łągrach nie miałem żadnych wiadomości które by mogły rzucić jakieś światło na losy polskich jeńców wojennych, oprócz dwóch wypadków, które należy zarejestrować. Pierwszy wypadek polegał na wiadomościach o polskich wojskowych, wśród których było dużo oficerów, którzy pracowali latem 1941 roku przy budowie kolei z Kotłasu do Workuty. Zdaje się, że stanowili oni część kompleksu *Siewzel-dortagu*, który tę kolej budował. Podobno było ich kilkaset

osób. Wiedziałem o nich od rosyjskich więźniów, którzy mieli nawet okazję z nimi rozmawiać. Osobiście dwukrotnie widziałem z daleka maszerujące kolumny i sądząc z kroju płaszczów również wnioskowałem, że musieli tam być oficerowie. Oczywiście nie mogłem do nich się zbliżyć bo prowadzono mnie pod konwojem. Po zwolnieniu w 1942 roku podałem tę informację przedstawicielom ambasady oraz polskich władz wojskowych, przede wszystkim w Kotłasie a potem w Kirowie. Doszliśmy wówczas zgodnie do przekonania, że te grupy musiały być zwolnione natychmiast po ogłoszeniu amnestii, tzn. w końcu lata 1941, możliwe że jeszcze przedtem zanim jakieś przedstawicielstwo ambasady zjawilo się na linii Kirow-Kotłas-Workuta. Wojskowi polscy w *Siewzeldortagu* stanowili jakąś oddzielną grupę i nie udało się dojść skąd ich tam przywieziono.

Drugi wypadek dotyczył byłego więźnia Kozielskiego, podchor. Pawlukiewicza, którego spotkałem na jesieni 1941 roku w systemie Ust'-Wymskich łagrów, gdzie on pracował jako elektrotechnik. Wywieziono go indywidualnie z Kozielską przed rozpoczęciem likwidacji tego obozu. Dowiedziałem się od niego, że siedział przez pewien czas w więzieniu w Moskwie, po czym dostał zwykłe 8 lat łagrów. Był on Rosjaninem zamieszkałym w Polsce i odgrywał większą rolę w organizacjach studentów pochodzenia rosyjskiego studiujących na polskich uniwersytetach. Według sowieckiej interpretacji umowy z polskim rządem w Londynie nie podlegał zwolnieniu, bo umowa dotyczyć miała tylko Polaków. Władze sowieckie traktowały polskich Żydów jako Polaków, lecz odmawiały zwolnienia Ukraińcom, Białorusinom i Rosjanom pomimo obywatelstwa polskiego. W praktyce jednak sporo Ukraińców, Białorusinów, a nawet Rosjan prześliznęło się do armii generała Andersa organizowanej w sowieckiej Centralnej Azji.

NKWD jako przedsiębiorstwo

Jeżeli chodzi o moje doświadczenia łagierne to szczegółowe ich opisywanie wykraczałoby poza centralny problem tych szkiców pamiętnikarskich. Zresztą na temat organizacji życia i warunków w łagrach sowieckich istnieje już w tej chwili bardzo znaczna literatura, do której ja również dorzuciłem kilka swoich cegiełek. Chciałbym więc na tym miejscu ograniczyć się tylko do pewnych uogólnień które — jak mi się wydaje — mogą mieć pewne znaczenie dla oceny podłoża dramatu Katyńskiego.

Po pierwsze, jak to już wykazałem w swojej książce *Forced Labour and Economic Development*, łagry za czasów stalinizmu

odgrywały względnie dużą rolę w sowieckiej polityce inwestycyjnej. Dochody z łągrów pokrywały poważną część kosztów związanych z przyrostem kapitału narodowego Sowietów, a w każdym razie pokrywały prawie całkowicie koszt utrzymania ogromnego aparatu NKWD, które za czasów stalinowskich wyrosło do rozmiarów jednego z największych a można nawet ryzykować twierdzenie, że największego przedsiębiorstwa na świecie. Prowadziło ono ogromne roboty konstrukcyjne, przeważnie w oddalonych od centrum rejonach Związku Sowieckiego, budowało koleje żelazne, drogi i kanały, eksploatowało lasy na ogromnych przestrzeniach pomiędzy granicą fińską a Pacyfikiem, posiadało własne kopalnie i farmy, a także własne instytuty badawcze, tak jak to jest dzisiaj w zwyczaju wielkich monopolistycznych zrzeseń przemysłowych. Całość siły roboczej wolnej i niewolniczej zatrudnionej w przedsiębiorstwach NKWD, w okresie gdy byłem tam w sytuacji niewolnika musiała wynosić ponad 7 milionów ludzi, a było to w okresie gdy NKWD odczuwało ogromny brak siły roboczej. Konieczność znalezienia nowych źródeł tej siły była jednym z czynników ogromnej fali aresztów w 1937-38 roku: tzw. „pobór Jeżowa”. Maksymalne wykorzystanie siły roboczej było wtedy jedną z naczelných zasad polityki NKWD. Takie w każdym razie wyniosłem wrażenie znajdując się w kleszczach tej instytucji przez blisko trzy lata. Opowiadano mi o licznych wypadkach kiedy fachowcy, na których trybunały wydawały wyroki śmierci, byli zatrudniani przez NKWD nawet bez formalnego ułaskawienia. Niektórzy moi współlokatorzy Łubianki twierdzili, że bywały wypadki kiedy NKWD ogłaszało wykonanie wyroków, które faktycznie wykonane nie były, a skazańcy po ich śmierci legalnej pracowali nadal w laboratoriach i zakładach NKWD pod jakimś innym nazwiskiem.

Potencjał produkcyjny polskich obozów oficerskich był bardzo duży przede wszystkim dzięki dużej ilości specjalistów: inżynierów, techników, agronomów, lekarzy i weterynarzy. W samym Kozielsku było około trzystu lekarzy. Przez cały czas więc swego pobytu w łągrach przypuszczałem, że ten potencjał był gdzieś, w jakiś sposób przez władze sowieckie wykorzystywany. A jednak NKWD wolało zniszczyć cały ten potencjał niż użyć go w jakiś gospodarczo racjonalny sposób. Jakies inne względy, uważane przez tych co rządili Rosją stalinowską za ważniejsze, niż efektywność gospodarcza, przeważały szalę w decyzji Katyńskiej. Za ich decyzją stał niewątpliwie pewien sposób rozumowania. Możliwie, że przyszły historyk potrafi wyjaśnić na czym to polegało. Dziś możemy posługiwać się tylko hipotezami, któ-

rych może być kilka. Nie wydaje się jednak, żeby znajomość sowieckiego systemu pracy przymusowej mogła być pomocną w wyjaśnieniu tej decyzji.

Mniejszości narodowe

Drugą ogólną cechą tych wycinków sowieckiego systemu łagiernego z którymi zetknąłem się, była przewaga niesłowiańskich mniejszości narodowych imperium sowieckiego, jak również słowiańskich oraz niesłowiańskich elementów ze świeżo okupowanych terytoriów na Zachodzie (tzn. państw bałtyckich, wschodniej Polski, Besarabii i Bukowiny), a także nieproporcjonalnie duża ilość cudzoziemców. Wrażenie to odniosłem jeszcze podczas podróży z Moskwy do Kotłasu i Komi, gdzie, w naszym transporcie przeważali Kazachowie, Tatarzy, Azerbejdżanie oraz Finowie. W obozie zastałem bardzo dużą ilość Żydów polskich. Rosjanie w latach 1940-41 wywieźli ze Wschodniej Polski więcej niż milion ludzi, deportując ich częściowo do łagrow, częściowo na tzw. *posiołki*. Otóż według obliczeń robionych w ambasadzie polskiej w Kujbyszewie około 30 % tej liczby stanowili Żydzi. W owym czasie antysemityzm był jeszcze oficjalnie potępiany w Związku Sowieckim. Żydów wywożono oczywiście nie z powodów rasistowskich, tylko jako „klasowo obcy element”, ponieważ zajmowali się oni przeważnie pośrednictwem handlowym, co w markowskiej terminologii stanowi pracę nieprodukcyjną. Latem 1941 roku, jeszcze przed atakiem niemieckim, przywieziono do naszego systemu łagrow duże transporty Ukraińców oraz Mołdawian ze świeżo zajętych terytoriów Rumunii. Na niektórych *łagpunktach* (*łagpunkt* zawierał przeważnie 500 do 1.000 więźniów) stanowili oni absolutną większość. W łagrach też dowiedziałem się że w Rosji mieszkało sporo Greków, którzy uporczywie trzymali się swego obywatelstwa greckiego, chociaż wielu z nich nigdy w Grecji nie było. Mieszkali oni przeważnie na pobrzeżu morza Czarnego, a szczególnie w okolicach Odessy. Spotkałem również pewną ilość Persów pochodzących przeważnie z sowieckiego Azerbejdżanu. Pamiętać należy o tym, że ta sowiecka prowincja, do której należy także Baku, wielkie centrum przemysłu naftowego, oderwana została od Persji dopiero w pierwszej połowie XIX-go wieku.

Na osobną uwagę zasługują Chińczycy. W Rosji przedwojennej było wielu Chińczyków, którzy chodzili jako domokraczy sprzedający przeważnie jedwab oraz różne gatunki herbaty. Dochodzili oni w tych swoich wędrówkach aż na wschodnie tereny

dawnej Rzeczypospolitej. Pamiętam ze swego dzieciństwa czasy, kiedy przed chińską rewolucją 1912 roku mężczyźni nosili długie warkocze, a kobiety szerokie spodnie. W czasie rewolucji domokrażcy zniknęli, lecz wielu Chińczyków poszło służyć w Czerwonej Armii jako sowieccy najemnicy, podkreślając często łamaną ruszczyzną swój czysto handlowy stosunek do tej służby (*sowiet płotit moja strelajet*), lecz jednocześnie wykazując wiele żołnierskich zalet. Nasi uczestnicy Kampanii 1919-20 roku muszą dobrze pamiętać te chińskie oddziały po przeciwnej stronie jako poważnych przeciwników. W 1940 roku zaczęła się wielka akcja mobilizowania przybywających w Związku Sowieckim Chińczyków do łagrów. W NKWD panowała opinia, że każdy Chińczyk był potencjalnym szpiegiem japońskim. Stąd prawie wszyscy z tych tysięcy Chińczyków znajdujących się w łagrach mieli jako sentencje wyroku „podejrzany o szpiegostwo”. Osobiście skłonny jestem przypuszczać, że NKWD zabierało Chińczyków do łagrów przede wszystkim dlatego, że są oni doskonałymi pracownikami.

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej utworzono w łagrach specjalne karne brygady, składające się ze szpiegów i dywersantów. Z natury rzeczy były to przede wszystkim chińskie brygady. Jako skazany za „szpiegostwo” zostałem również wcielony do takiej brygady. Brygada składała się z trzydziestu kilku osób pomiędzy którymi było tylko sześciu nie-Chińczyków. Brygadierem był Japończyk przewieziony z Dalekiego Wschodu. Poza tym było pięciu Europejczyków: dwóch Niemców, dwóch Węgrów oraz jeden Polak (tzn. autor tych wspomnień). Jeden z Węgrów nazywał się Varga i był krewnym sławnego ekonomisty sowieckiego tego samego nazwiska. Nazwisko drugiego było Rákosi; był to późniejszy stalinowski dyktator Węgier. Miałem z nim więcej wspólnego, niż z innymi członkami brygady ze względu na podobieństwo naszych zainteresowań i studiów. Z natury rzeczy spowodowało to pewne zbliżenie pomiędzy nami. Opowiadał mi w różnym czasie o fragmentach swojej przeszłości: o uczestnictwie w rządach Beli-Kun podczas rewolucji 1919 roku, o kierownictwie w komunistycznej robocie konspiracyjnej na Rusi Podkarpackiej, o stanowisku wice-dyrektora „Inturista” w Związku Sowieckim, a potem o stanowisku prezydenta Sowieckiej Akademii Architektury, chociaż nie miał przygotowania fachowego do tej ostatniej funkcji. Był tak samo jak ogromna większość członków brygady skazany jako „podejrzany o szpiegostwo”, lecz na nieco mniejszy termin niż inni, bo na pięć lat. Patrzył jednak optymistycznie na swoją przyszłość w Związku Sowieckim. Zwierzał się mi, że był w Moskwie ktoś kto troszczył się o to, aby mógł przetrwać szczęśliwie te

doświadczenia łagierne. Istotnie, w niedługim czasie po tej naszej rozmowie, wyznaczono go na jedno z najbardziej bezpiecznych i wygodnych stanowisk dostępnych dla więźniów: zawiadowcy stołówki dla technicznego i administracyjnego personelu łagrów. Pożywienie, które temu personelowi dawano, chociaż byli to również skazańcy, było zupełnie przyzwoite. Zawiadowca tej stołówki musiał więc mieć jedzenia w bród, pomimo głodu, który dokoła panował. Na tym stanowisku nie zapominał o mnie i przynosił mi w wielkim sekrecie nieco jedzenia. Raz były to nawet autentyczne kotlety; był to pierwszy wypadek od czasu mego pobytu w Smoleńskim więzieniu, że wpadło w moje ręce tego rodzaju luksusowe jedzenie. Emigranci węgierscy, którym opowiadałem o tym swoim doświadczeniu z Rákosim twierdzą, że jestem prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który o nim mówi dodatnio.

W owej brygadzie wyniki pracy przy ścinaniu lasów były oceniane nie indywidualnie lecz na zasadzie wyników „ogniwa” (*zwieno*) do którego się należało. Praca polegała na ścinaniu drzew, oczyszczaniu z gałęzi, oraz przepiłowaniu w zależności od wartości użytkowej materiału (budulec, pokłady, kopalniaki, papierówka, drzewo opałowe). Normy wykonanej roboty uprawniające do pełnej racji jedzenia były bardzo wysokie i tylko człowiek o wielkiej wprawie, lub wyjątkowej sile fizycznej, mógł je wykonać. Wyznaczenie do brygady pracującej przy zwalaniu pni równało się więc w wielu wypadkach wyrokowi śmierci. W grupie rumuńsko-besarabskiej, którą przysłano do naszego łagru w sierpniu 1941 roku, było około 250 osób, przeważnie w wieku 30-40 lat. Gdy w marcu 1942 roku robiłem nakazaną przepisami statystykę stwierdziłem, że w ciągu 7 miesięcy było w tej grupie około 70 zgonów, co wynosiło więcej niż jedna czwarta. Ludzie ginęli przeważnie dlatego, że w wypadku niewykonania normy zmniejszano rację jedzenia. Głodny człowiek przy trzydziestostopniowym mrozie tym bardziej nie był w stanie wykonać normy i ginął w powodu niedożywienia. Chińczycy jednak, chociaż bardzo często drobni i pozornie słabi, odznaczali się tym, że z reguły wykonywali normy i mieli pełne racje żywnościowe. Ów Japończyk, nasz brygadier, bardzo szybko zorientował się w moich słabych możliwościach jako robotnika leśnego i przydzielił mi do czysto chińskiego ogniwa. Praca podzielona została w ten sposób, że byłem używany przeważnie do oczyszczania gruntu od śniegu (pokrywa śnieżna czasami dochodziła do dwóch metrów), do oczyszczania pni z gałęzi, oraz okazyjnie do ścinania mniejszych drzew. Chociaż w tych warunkach trudno było obliczyć indywidualny wkład, było jasne, że mój udział

w dobrych wynikach naszego ogniwa był mniej niż proporcjonalny. Moich czterech chińskich towarzyszy musiało nie tylko wykonać pełne normy pracy, lecz również uzupełnić moje braki, które powstawały z powodu mojej mniejszej wprawy. Nigdy jednak nie słyszałem z ich strony żadnych wymówek z tego powodu. We wszystkich późniejszych moich doświadczeniach z Chińczykami te moje łagierne wrażenia zostały potwierdzone: doskonali robotnicy, bardzo sumienni, mało wymagający, bardzo wytrzymali na różne niewygody i doświadczenia losu, a przy tym bardzo dobrzy i lojalni towarzysze.

Pobyt w łagrach w 1941-42 roku zmusił mnie do zrewidowania mego wrażenia, które odniosłem podczas mego pobytu w Smoleńsku, że Związek Sowiecki przeżywał wówczas okres odprężenia po czystkach Jeżowa. Wrażenie to było prawdopodobnie słuszne jeżeli chodzi o tereny etnograficznie rosyjskie, do których należy okręg smoleński. Niestuszne jednak jeżeli chodzi o tereny zamieszkałe przez nierosyjskie, a w szczególności nieślówiańskie, narodowości, gdzie nacisk represyjny w stylu Jeżowa został w pełni utrzymany. W roku 1940 NKWD w poszukiwaniu niewolniczej siły roboczej dla swoich przedsiębiorstw zwróciło się przede wszystkim na świeżo zdobyte, w porozumieniu z Hitlerem, tereny wschodnich ziem Rzeczypospolitej, krajów bałtyckich a również Besarabii i Bukowiny, oderwanych od Rumunii i Węgier. Poza tym do tego systemu łagrów, gdzie ja byłem, przychodziły przeważnie transporty z Kaukazu, a w szczególności z sowieckiego Azerbejdżanu.

Miałem wówczas wrażenie, że Rosja sowiecka przechodziła przez proces przetwarzania się w typowe państwo kolonialne, z nastawieniem na pewną względną tolerancję w stosunku do członków narodowości panującej, i na bezwzględną eksploatację w stosunku do ludów podbitych. Dziś, gdy myślę z perspektywy, uważam tę swoją ówczesną opinię, jakkolwiek słuszną, za znaczne uproszczenie. Sprawa narodowościowa w Związku Sowieckim ma wiele aspektów: historycznych, psychologicznych oraz ideologicznych. Jej istota jest ogromnie zaciemniona przez pozornie liberalne ustawodawstwo oraz system hipokryzji oficjalnie zwany zastosowaniem dialektyki marksowskiej. Stalin osobiście bardzo poważnie przyczynił się do rozwinięcia tego systemu hipokryzji, gdy zaraz po rewolucji październikowej został mianowany komisarzem Spraw Narodowościowych. Kilka lat później, gdy byłem już poza granicami Związku Sowieckiego zaczęły nadchodzić wiadomości o deportacji całych grup narodowościowych: Tatarów krymskich, Czeczeńców, Karaczajów, Kabardińców, Bałkaszów, Kałmuków, Niemców nadwołżańskich. Według obliczenia R. Con-

questa⁵ w latach 1943-44 deportowano, przeważnie do centralnej Syberii oraz do daleko wschodnich rejonów, ponad milion ludzi. Generałowie NKWD, którzy kierowali tą nieludzką operacją (np. osławiony Sierow, kat Litwy) otrzymali wysokie odznaczenia. Dopiero po mowie Chruszczowa na XX Zjeździe Partii część tych deportacji została odwołana i co najmniej niektórym wygnańcom pozwolono wrócić do miejsca zamieszkania ich przodków.

Powstaje pytanie jak wytłumaczyć te deportacje jako zjawisko społeczne i psychologiczne. Nie sądzę, aby względy gospodarcze grały jakąś większą rolę. Wyrwanie z aparatu gospodarczego w okresie głodu spowodowanego wojną kilkuset tysięcy producentów środków żywnościowych i rzucenie ich w bezładne stepy było nonsensem gospodarczym; tak samo, jak również nonsensem gospodarczym, było zlikwidowanie fizyczne tylu wysoko kwalifikowanych specjalistów wśród polskich jeńców wojennych.

Nie jest również przekonujące oficjalne uzasadnienie deportacji tym, że członkowie tych grup narodowościowych wykazywali w toku wojny sympatie dla Niemiec, albo w każdym razie nie dostatecznie potępiali swych współziomków, którzy zgłosili się do ochotniczej służby pod komendą niemiecką. Jak wynika z moich obserwacji łagiernych masowe deportacje z Kaukazu i Kazachstanu rozpoczęły się przed wojną, kiedy o kaukaskich formacjach ochotniczych przy armii niemieckiej nie mogło jeszcze być mowy, a Ribbentrop i Mołotow prowadzili pertraktacje o przystąpieniu Rosji do Paktu Niemiec z Włochami i Japonią. Jeżeli zaś chodzi o zachowanie się podczas wojny bitnych górali kaukaskich to nie można się dziwić, że bracia i kuzyni owych Czeczeńców, Inguszków i Karaczajów, z którymi dzieliłem pryncyple łagierne, zaczęli masowo zgłaszać się jako ochotnicy, gdy tylko oddziały niemieckie zjawiły się na północnym Kaukazie. Była to reakcja na deportacje, które były w toku jeszcze przed wojną, chociaż bardziej generalną formę przyjęły dopiero w 1943-44 roku.

Nie sądzę również, aby teoria którą sobie wytworzyłem w łagrach o tworzeniu się w środowisku sowieckich sfer rządzących mentalności władców kolonialnych, dawała dostateczne wytłumaczenie tych deportacji. Była w tym manifestacja jakiegoś żywiołowego pędu do niszczenia swoich sąsiadów, który stanowi specyficzną cechę państwowości moskiewskiej. Narody imperialne podbijały kolonie, aby je eksploatować. Rosja podbijała, aby wchłonąć, pozbawić narodowej indywidualności lub zniszczyć. To dążenie do zniszczenia przejawiało się również w stosunku

5. Robert Conquest, *Soviet Nationalities Policy in Practice*, 1967, str. 104.

do narodów, które początkowo, pociągnięte wspólnością wyznaniową, dobrowolnie weszły w związek z Rosją jak np. Ukraińcy lub Gruzini. Hasło wchłonięcia i zniszczenia jest wspólne wszystkim kierunkom myśli rosyjskiej. Puszkina pisał, że wszystkie strumienie słowiańszczyzny muszą zlać się w morzu rosyjskim. Lermontow (zresztą mój ulubiony poeta) oraz Lew Tołstoj — którzy jako oficerowie brali udział w walkach o ujarzmienie górali kaukaskich — nie potrafili się zdobyć na potępienie tych zaborczych walk, chociaż obydwaj wyznawali filozofię potępiającą wojnę jako zjawisko społeczne. Pierwszym znanym mnie przejawem historycznym tych okrutnych tendencji destrukcyjnych było zniszczenie przez Iwana III-go w wieku XV-tym bogatej republiki Nowgorodskiej, która była członkiem związku Hanzeatyckiego, oraz deportacja nad Wołgę całej pozostałej przy życiu ludności. Wydaje się, że te tendencje niszczycielskie wiążą się z samą istotą imperialnej dynamiki państwowości rosyjskiej, nie jestem jednak pewien czy stanowią one cechę rosyjskiego charakteru narodowego. Można przytoczyć szereg przykładów kiedy najjaskrawszymi przedstawicielami tej polityki niszczycielskiej byli właśnie „innorodcy”, cudzoziemcy, których fale historii wyniosły do kierowania polityką rosyjską. Katarzyna II-ga, która przeprowadzała rozbiór Polski oraz rozpoczęła wielką politykę kolonizacyjną na Ukrainie, była Niemką. W naszym stuleciu, Dzierżyński, który swoją polityką ciemniźcyela Gruzji wywołał nawet oburzenie Lenina, był Polakiem. Stalin i Beria, prawdopodobnie autorzy deportacji narodowości kaukaskich byli obaj Gruzinami.

Jest rzeczą godną uwagi, że w tych deportacjach, które miały miejsce w 1943-44 latach przejawiało się dążenie do zniszczenia przede wszystkim tych szczepów, które przeciwstawiły się zbrojnie zawojowaniu Kaukazu przez Rosję w XIX-tym wieku. Były to ludy, które pozostały wierne Islamowi, gdyż narody i szczepy chrześcijańskie, jak Ormianie i Ossetyńcy, a częściowo również Gruzini, zajmowali w XIX-tym wieku stanowisko pro-rosyjskie lub co najmniej wahające się. Ich zdecydowana walka z Rosją, zarówno białą jak i czerwoną, zaczęła się dopiero w okresie formowania się Związku Sowieckiego jak to doskonale opisuje Richard Pipes w swojej znanej książce na ten temat⁶. Walka ta musiała się jednak załamać zarówno z powodu braku poparcia ze strony zwycięskiej koalicji jak i wyjątkowo krótkowzrocznej polityki Turcji Kemalistowskiej.

Ponieważ piszę te wspomnienia z myślą o tragedii Katyń-

6. Richard Pipes: *The Formation of the Soviet Union*, Harvard University Press, 1964.

skiej, o którą tak blisko się otarłem, powstaje pytanie czy pomiędzy Katyńiem a deportacjami narodowości był jakiś związek? Obydwie akcje, tzn. mord Katyński i deportacje różnych grup mniejszości narodowościowych były powiązane w czasie oraz powstawały pod tym samym naczelnym kierownictwem. Obydwie były przeprowadzone przez aparat wykonawczy NKWD. Jest jednak pomiędzy nimi zasadnicza różnica. Deportacje zostały w sławnej mowie Chruszczowa na XX-tym zjeździe partii potępione i odwołane. Poczyniono nawet wysiłki, aby chociaż częściowo naprawić wyrządzone krzywdy. Katyń nie został zaliczony do rejestru „błędów” Stalina. Oficjalnie obowiązuje nadal nie dająca się utrzymać teza, że mord Katyński został popełniony przez Niemców. Teza ta została wysunięta jako punkt oskarżycielski przez sowieckiego prokuratora w procesie Norymberskim, lecz nie została potwierdzona w wyroku. Powstaje pytanie kto w takim razie tych jeńców zamordował? Odpowiedź w świetle tego co o sprawie Katynia wiemy nie wydaje się ulegać wątpliwości.

Model katyński i model deportacyjny były tylko dwoma stronami tej samej zharmonizowanej akcji zmierzającej do oczyszczenia przedpola potrzebnych dla dalszej ekspansji imperializmu sowieckiego. Nie jest wykluczone, że w niektórych akcjach NKWD stosowało łącznie obydwie modele. Trzeba pamiętać, że w okresie masowych deportacji wielu aresztowanych ginęło bez śladu. W wielu wypadkach można było dojść, że dowieziono daną osobę do pewnego punktu i potem ślad się urywał. Przypuszczam, że każdy z mieszkańców wschodniej Polski lub państw Bałtyckich może dać szereg takich przykładów. Na przykład grupa do której należeli Prezydent miasta Wilna dr Maliszewski oraz dr Jakowicki, profesor ginekologii i były rektor Uniwersytetu Wileńskiego, który w chwili wybuchu wojny był również prezesem związku Legionistów lub duża grupa urzędników administracyjnych z Łucka, wśród których przypominam sobie w tej chwili jedynie nazwisko mego dawnego kolegi uniwersyteckiego, Bohdana Alexandrowicza. Wśród aresztowanych i deportowanych przedstawicieli mniejszości narodowych oddzielną kategorię stanowili komuniści, którzy byli członkami odpowiednich lokalnych grup partii.

Jak wynika z opowiadania rumuńskich komunistów, których spotkałem w łągach, sowieckie władze bezpieczeństwa po obsadzeniu w 1940 roku prowincji rumuńskich przede wszystkim interesowały się lokalnymi grupami komunistycznymi. Z reguły aresztowano komunistów żydowskiego pochodzenia jako po-

dejranych o sympatie trockistowskie. Wśród innych robiono selekcje izolując przede wszystkim tych, którzy się odznaczyli niezależnością myślenia.

To specyficznie nacjonalistyczne nastawienie przejawiało się również w stosunku do przebywających w Związku Sowieckim komunistów zagranicznych. Z tego co słyszałem większość znajdujących się w Rosji komunistów zagranicznych w przededniu ataku niemieckiego była pod kluczem.

Lekarze

Jednej strony moich doświadczeń łagiernych nie mogę pominąć skoro już mówię o łagrach. Nazywam ją kwiatami na gnoju. Jest to paradoks, który objawia się nieraz w warunkach wielkich kataklizmów życia zbiorowego, jak wojna i rewolucja. Kiedy przed wielu laty czytałem powieści Remarque'a o pierwszej wojnie światowej, nastawione zasadniczo antimilitarystycznie oraz kpiące z całej patriotycznej frazeologii, przy pomocy której prasa niemiecka oraz pruska szkoła upiększały życie żołnierza, uderzyło mnie, że jednocześnie podkreślał on jako najpiękniejsze zjawisko wojny, ducha koleżeństwa oraz osobistej wierności, która się rodzi z przynależności do tego samego walczącego zespołu. Zgadzało się to w dużym stopniu z moimi wrażeniami, które wyniosłem ze swojej trzynastomiesięcznej służby frontowej w 1919-20 latach. Sama instytucja wojny z punktu widzenia zdrowego rozsądku jest absurdem; każda wojna demoralizuje zarówno uczestników jak i ludność cywilną. Lecz podczas każdej wojny wykwitają również, jak kwiaty na pustkowiu, niezaprzeczone wartości moralne.

Ten paradoks, który jest podstawowym paradoksem przeznaczeń człowieka, wykwita w sposób najbardziej nieoczekiwany w różnych sytuacjach życia łagiernego. Fiodor Dostojewski, bardziej niż którykolwiek inny ze znanych mi pisarzy, miał wycucie tej tajemnicy splątania się zła z dobrym. Przeniknięcie atmosfery łagrów wymaga równego mu geniuszu. Carska katorgia, którą on znał i opisał, wyglądała jak internat dla grzecznych dzieci w porównaniu z sowieckimi łagrami.

A jednak wśród tego brudu i gnoju wykwitają czasami kwiaty ludzkiej dobroci. Mam tu na myśli zjawiska wzajemnej pomocy i uczynności pomiędzy zupełnie nieznajomymi przedtem ludźmi. Atmosfera moralna łagrów jest straszna: głód, smród i eksploatacja ludzkiej pracy przekraczająca granice fizycznej wytrzymałości. Są to konsekwencje systemu, który wbrew teorii socjalis-

tycznej stwarza wojnę wszystkim przeciwko wszystkim, systemu, który sprawia, że często jedynie przez oszukaństwo, kradzież i upodlenie człowiek może uratować swoje życie. Jest to dziedziina, w której operuje szatan. Lecz z drugiej strony są żywi ludzie zarówno w wolnym aparacie wykonawczym jak i wśród otoczenia łagiernego, którzy starają się wykorzystać wszystkie możliwe furtki, jakie dają przepisy i instrukcje przychodzące z góry, aby ulżyć doli chociażby poszczególnych ludzi, jeżeli nie można tego zrobić w stosunku do całej masy więźniów. Jeżeli przetrwałem wszystkie okropieństwa zimy 1941-42 w północnych łagrach to przede wszystkim dlatego, że szereg razy w najbardziej zdawałoby się beznadziejnych sytuacjach, jak najbardziej niespodziewanie, zjawiał się ktoś kto wyciągał pomocną rękę, lub stwarzał sytuację umożliwiającą dalszą walkę o przetrwanie.

Wśród tych zjawisk, które nazwałem kwiatami na gnoju, na pierwszym miejscu postawiłbym lekarzy łagiernych. Stan lekarski Rosji posiadał wspaniałą tradycję uspołecznionej postawy. W drugiej połowie XIX-go wieku w okresie ruchu „narodowolców” najbardziej ideowe elementy wśród młodej inteligencji rosyjskiej szły studiować medycynę. Pamiętniki byłych więźniów politycznych z czasów carskich często podkreślają tę pozytywną rolę lekarza. Lekarze sowieccy za moich czasów, tzn. ponad 30 lat temu, wydawali się wierni tej tradycji. Zresztą sami byli więźniami, chociaż, w porównaniu do innych, żyjącymi w uprzywilejowanych warunkach. Zwykle byli nadzorowani przez naczelnika służby sanitarnej, którym z reguły był człowiek „wolny”: jakiś półanalfabeta należący do partii, lub jakaś niedouczona pielęgniarzka. Jeżeli jednak w ramach tego nadzoru lekarz mógł coś zrobić aby ulżyć czyjejś doli, to robił to nawet narażając siebie na możliwe represje.

Szczególnie jedna sylwetka takiego humanitarnego lekarza utkwiała mi w pamięci. Mam tu na myśli dr Orłową, wdowę po rozstrzelanym w związku ze sprawą marszałka Tuchaczewskiego admirał Orłowie, dowódcy floty sowieckiej. O admirał Orłowie pisałem już powyżej. Pani Orłowa była skazana zgodnie z tzw. „damskim paragrafem” tzn. z zasadą NKWD, że żony oraz siostry i inne bliskie kobiece krewnie rozstrzelanych wybitnych przedstawicieli partii lub administracji, były zsyłane na 10 lat do obozów pracy przymusowej. Za moich czasów w Ust'-Wymskich łagrach siedziała siostra znanego komunisty gruzińskiego Abela Yenukidze, wieloletniego szefa Biura Rady Komisarzy Ludowych oraz byłego sekretarza Komitetu Centralnego Partii, który znikł w okresie czystek w drugiej połowie

lat trzydziestych. W wypadku marszałka Tuchaczewskiego NKWD posadziło nie tylko żonę, matkę, siostry oraz nieletnią córeczkę, lecz również dwie jego poprzednie żony. Córka Tuchaczewskiego, zarówno jak i jego siostry, przeżyły łagry i brały udział w uroczystej akademii zorganizowanej po jego rehabilitacji przez sowiecką Wyższą Szkołę Wojenną imienia Frunzego w styczniu 1963 roku. Dr Orłowa w ciągu tych kilku rozmów, które z nią miałem w marcu 1942 roku, sprawiła na mnie wrażenie typowego lekarza-społecznika. Tak sobie wyobrażałem rosyjskich studentów i studentki, którzy studiowali medycynę lub pielęgniarstwo, aby potem „iść w lud”. Zarówno z wyglądu zewnętrznego jak i w sposobie bycia przypominała w pewnym stopniu śp. dr Skwarczyńską, wdowę po Adamie Skwarczyńskim, jednym z ideologów czynu legionowego, która po jego śmierci wyszła za mąż za jego brata, generała Stanisława Skwarczyńskiego i była znana w Wilnie — gdzie jej mąż dowodził 1-szą Dywizją Legionów — jako dzielna pracownica, szczególnie w zakresie opieki nad dzieckiem.

Przypuszczam, że w Komi ASSR wielu spośród łagierników, którym udało się przeżyć zimę 1942 roku muszą zawdzięczać to dr Orłowej. Powyżej wspominałem o ogromnej śmiertelności w łagrach zimą 1941-42, której statystykę częściowo sam sporządzałem jako asystent lekarza łagiernego. Ta ogromna śmiertelność zaniepokoiła władze odpowiedzialne za wykonanie planów. Podobno sam Beria zainteresował się sprawą katastrofalnego odsetka śmiertelności w łagrach północnych. W centralnej administracji łagrów rzucono hasło odbudowywania siły roboczej (*wozstanowienija raboczej siły*). Wtedy to centralne władze Ust'-Wymskich łagrów, świadome widocznie indywidualnych walorów różnych więźniów, wyznaczyły dr Orłową, aby objęła poszczególne obozy, zbadała przyczyny tej wysokiej śmiertelności oraz przygotowała wnioski w sprawie środków zaradczych. Skutkiem alarmów, wizytacji oraz wniosków dr Orłowej zostało znacznie rozszerzone prawo lekarzy w przyznawaniu pewnemu procentowi więźniów normalnej racji żywnościowej, niezależnie od procentu wykonywanej normy. To prawo lekarze mieli zawsze lecz tylko jako środek wyjątkowy w stosunku do tych, którzy wykonywali co najmniej 30 % normy; obecnie objęło ono znaczny procent więźniów. Te akty łaski zostały wprowadzone przede wszystkim jako środek prowadzący do podniesienia wydajności pracy. Lecz lekarze wykorzystywali tę możliwość również aby ratować od głodowej śmierci tych, których już nie można było zamienić w pełnowartościowych robotników fizycznych. Z moich kilku, dość zresztą krótkich, rozmów z dr Orłową

wyniosłem wrażenie, że ze wszystkich sił pragnęła — w granicach ludzkich możliwości — pomóc tym tysiącom ludzi, rzuconym do północnych łagrów na ciężką pracę, głód i poniewierkę. Byłem świadkiem z jakim respektem graniczącym prawie z uwielbieniem spotykały dr Orłową mieszkanki baraku kobiecego.

Moje wrażenie o humanitaryzmie lekarzy rosyjskich potwierdza to co słyszałem w Kozielsku od naszych oficerów, którzy byli w szpitalach sowieckich. W Kozielsku była pewna ilość oficerów, którzy wzięci do niewoli ranni lub chorzy byli umieszczeni początkowo w szpitalach kijowskich. Wszyscy mówili z dużym uznaniem zarówno o lekarzach jak i ukraińskim i rosyjskim personelu szpitalnym. Jestem oczywiście zupełnie świadomy, że od tego co tutaj napisałem o lekarzach rosyjskich musiały być wyjątki. Moje wrażenia są niewątpliwie oparte na doświadczeniach w których było wiele elementów przypadkowych, dały mi one jednak podstawy do wycucia ogólnej psychologii niektórych grup społecznych i zawodowych w Związku Sowieckim trzydzieści lat temu. Wiem, że zarówno sowieckie władze bezpieczeństwa, jak i hitlerowskie Gestapo potrafiły sobie wychować zespoły lekarzy zdolnych do różnego rodzaju podłości, ale moje pierwsze zetknięcie się z lekarką NKWD na Łubiance zostawiło mi raczej sympatyczne wspomnienie.

W jakim stopniu system w ciągu tych przeszło trzydziestu lat które minęły od czasu przeżyć, na których te wspomnienia są oparte, potrafił zdemoralizować i upodlić warstwę lekarską, tak samo jak upadła wszystko co dostają się w jego obcęg, tego nie wiem. Wydaje mi się jednak, że wśród lekarzy — a prawdopodobnie i w innych grupach społeczeństwa rosyjskiego — są jakieś siły, które się tym upadlającym wpływom opierają, bo typy lekarzy, które daje Sołżenicyn w swoich niezmiernie realistycznych powieściach obrazujących stan Rosji w latach pięćdziesiątych są raczej pozytywne.

Ten, który się cieszył?

W najcięższym okresie mego pobytu w łagrach, 1941/42, dużo moralnego oparcia znajdowałem w rozmowach z leningradzkim artystą-malarzem, który, jako reakcję na wszystkie nieszczęścia i cierpienia łagiennika, przechodził przez proces odrodzenia

7. Ten szkic odpowiada w ogólnych zarysach nowelce pt. „Radość” drukowanej zaraz po wojnie w *Orle Białym* — pod pseudonimem Marber.

religijnego, chociaż o ile wiem, w życiu na wolności nigdy nie był związany z żadną religią. Nazwisko jego zagubiło się gdzieś w zakamarkach mojej pamięci. Zresztą prawie nigdy nie było wymieniane. W obozie nazywano go powszechnie malarzem; niektórzy zwracając się do niego mówili zwyczajem rosyjskim imieniem chrzestnym oraz imieniem ojca: Mikołaju Piotrowiczu. W jego wyrazie twarzy, sposobie mówienia, postawie i ruchach było coś, co go od razu z tego otoczenia głodnych, zezwierzęcałych i otepiałych ludzi wyróżniało. Wiek był bardzo trudny do określenia; w jednej chwili wyglądał na lat 60, w innej na 30. Włosy miał białe, jednak z lekkim odcieniem żółtazny koloru dojrzałego żyta; mogła to być siwizna, lecz mógł to być również ich kolor naturalny. Twarz miał bladą i zniszczoną, lecz w jej wyrazie było coś młodzieńczego; mogła więc to być twarz albo człowieka starego, albo tylko bardzo zbiedzonego. Oczy miał blado-niebieskie, jak niebo północne; było w nich coś nieuchwytnego, co świadczyło, że patrzył nie tylko na rzeczy zewnętrzne, lecz gdzieś w głąb własnej jaźni, w światy zmysłowo niedostrzegalne. Okazało się potem, że miał lat około 60.

Przed pierwszą wojną światową mieszkał w Paryżu, gdzie obrazy jego niejednokrotnie były wystawiane. W 1913 roku wrócił do Rosji i zamieszkał w przedrewolucyjnym Petersburgu. Obracał się przeważnie w kołach arystokratycznych, miał dostęp do dworu, malował portrety wielkich książąt. Rewolucja dla niego nie była osobistą katastrofą; nowy reżym nie niszczył artystów, odwrotnie, były usiłowania aby ich otoczyć opieką. Na czele Komisariatu Oświaty i Kultury stanął Łunaczarski, którego znał dobrze z kawiarni paryskich; zamówień było więcej niż mógł wykonać. Aż w roku 1937 przyszły straszne dni, kiedy kierownictwo NKWD objął osławiony Jeżow. Setki tysięcy ludzi różnych zawodów i środowisk poszły wówczas do obozów. Pośród nich trafił i Mikołaj Piotrowicz. Nie postawiono mu żadnych zarzutów, ani razu nie badano, pewnego tylko dnia zjawili się w jego mieszkaniu przedstawiciele NKWD i zawiadomili, że jako „społecznie niebezpieczny” osobnik będzie wysłany na 5 lat do poprawczych obozów pracy.

Mikołaja Piotrowicza posłano do obozów, których zadaniem jest wycinanie lasów na dalekiej północy. Na skutek jednak wieku oraz choroby serca przyznano mu w obozie prawa inwalidy I-szej kategorii. Według regulaminów inwalida I-szej kategorii był zwolniony od wychodzenia na roboty do lasu, a jedynie mógł być używany do robót wewnątrz зоны obozowej. Pozycja inwalidzka umożliwiła Mikołajowi Piotrowiczowi przetrwanie w obozach trzy z górą lat poprzedzających nasze z nim spotkanie.

Według zasady głoszonej przez NKWD każdy więzień musi być w miarę możliwości zatrudniony w zakresie swoich specjalności zawodowych. Mikołajowi Piotrowiczowi starano się dawać roboty malarskie. Gdy trzeba było pomalować podłogę w gabinecie komendanta obozu posyłano Mikołaja Piotrowicza. Gdy dach, nad którymś z budynków administracyjnych kryto blachą, a potem tę blachę malowano, posyłano również Mikołaja Piotrowicza. Stałą zaś jego funkcją było smarowanie dziegiem i wapnem wychodków. Uważano to bowiem również za robotę malarską. Tymczasem zaś pomiędzy tymi artystycznymi zajęciami, Mikołaj Piotrowicz bywał zatrudniony do pomocniczych robót kancelaryjnych w wydziale planowania przy kierowniku robót obozowych.

Te lekkie prace były błogosławieństwem losu obozowego Mikołaja Piotrowicza. Drugie błogosławieństwo polegało na posiadaniu kołdry. Była to autentyczna watowana kołdra czerwonego koloru, taka jakie się często widzi w średnio zamożnych domach, bardzo brudna, lecz stosunkowo niewiele zniszczona. Mikołaj Piotrowicz uważał ją za główną przyczynę tego, że dotychczas utrzymał się przy życiu. Na dworze srożyła się północna zima; temperatura spadała często do 40 a nawet 50 stopni C. poniżej zera. Barak, w którym mieszkaliśmy, był źle opatrzony, pełno było niezatkanych szczelin, tak, że wiatr nieraz hulał w przejściach pomiędzy narami. Posiadaliśmy tylko jeden żelazny piecyk, który grzał w promieniu 5-6 metrów, lecz dalej panował chłód. Kołdra utrzymywała resztki ciepła, które uciekało z umęczonego ciała Mikołaja Piotrowicza. Utrzymanie w swoim posiadaniu tej kołdry stanowiło jedną ze stałych jego trosk. Nie było to jednak zadanie łatwe. Barak, w którym byliśmy ulokowani, w znacznym stopniu był zamieszkały przez tzw. *urków* — rosyjskich kryminalistów zawodowych. Stanowili oni zorganizowaną grupę, która w sposób bezwzględny terroryzowała więźniów politycznych. Politycznym niemal otwarcie wrywano z rąk ich szczupłe racje chleba, wyrzucano z lepszych miejsc na narach, okradano z rzeczy, które posiadali. Kołdra stanowiła zbyt rzucający się w oczy przedmiot, aby można było z łatwością ją uchować. Chwile wolne Mikołaj Piotrowicz spędzał siedząc po prostu na swoim skarbie. Gdy jednak wychodził do pracy, musiał przedtem rozwiązać skomplikowane zadanie, gdzie znaleźć bezpieczne miejsce dla kołdry. Ta właśnie ciągnęła jego troska o ochronę bezcennej kołdry stała się głównym powodem naszej bliższej znajomości. Byłem w tym czasie zwolniony od wychodzenia do pracy, gdyż odmroziłem nogi. Nogi były w stanie rozpuszczalnym, musiałem ciągle siedzieć na jednym miejscu. Byłem więc

odpowiednim człowiekiem do pilnowania koldry. Chętnie się zgodziłem, tym bardziej, że w tym samym baraku był inny również nie zdolny do pracy; była więc gwarancja, że nawet na chwilę koldra nie zostanie bez opieki.

I tak się złożyło, że gdy wieczorem po przyjściu z pracy Mikołaj Piotrowicz zgłaszał się po swój depozyt, rozpoczynaliśmy zwykle rozmowy. Były to chwile wypoczynku duchowego. Nowe światła zapalały się w moich myślach, gdy słuchałem jego rozważań. Czułem wówczas bardzo mocno, że świat, który nas otacza, jest może światem rzeczywistym, lecz że nie w nim tkwi istota rzeczy. Gdzieś bardzo blisko jest Prawda — i należy tylko robić ciągle wysiłek, aby od Niej się nie oddalić. Mikołaj Piotrowicz wykladał mi swoją filozofię życiową. Niewyczerpanym tematem jego rozważań było Kazanie na Górze.

— Ja się cieszę Stanisławie Stanisławowiczu — powiada do mnie pewnego wieczoru Mikołaj Piotrowicz — ja się wciąż cieszę.

— Czego Pan się cieszy — zapytałem zdziwiony.

— Bo widzi Pan w Ewangelii napisano — przytacza Mikołaj Piotrowicz w cerkiewno-słowiańskim słowa błogosławieństwa — „Błogosławieni, którzy płaczą albowiem oni będą pocieszeni” — toteż się i cieszę. Jesteśmy na takim dnie nędzy i poniżenia, tak głęboko w dolinie płaczu, że stąd może wytrysnąć tylko radość. Oni (o reżymie sowieckim Mikołaj Piotrowicz zawsze mówi „oni”) każą dziś całej Rosji wkuwać zasady materializmu dialektycznego. Dialektyka jednak jest prawem nie tylko świata materialnego, lecz również duchowego. Cierpienie gdzieś na jakimś etapie bytu przerodzić się musi w swoją antytezę, którą jest radość. Tylko muszą być dokonane pewne warunki: trzeba się umieć do cierpienia ustosunkować się, zająć odpowiednią postawę. Stanisławie Stanisławowiczu nie wyobrażamy nawet sobie ile radości będzie nam zgotowane za to, co tu cierpimy. Ja czuję tę zbliżającą się radość i cieszę się i cieszę się i wciąż się cieszę.

Innym razem tematem jego rozważań było błogosławieństwo: „Błogosławieni ubodzy duchem albowiem ich jest Królestwo Niebieskie”. — „Co to znaczy ubodzy duchem — mówił Mikołaj Piotrowicz. — Czy Pan myśli, że to są niewykształceni, naiwni, czy też tacy, którzy nie umieją przenikać rzeczy skomplikowanych? Nie, to są tacy, którzy mają pokorę w swoich celach życiowych; którzy wszystko, co im życie przynosi, przyjmują z radością jako dar Opatrzności. Ubogość duchowa polega nie na tym, co się posiada, lub czego się nie posiada, lecz na tym jaki jest charakter naszych pragnień. Można być biednym jak mysz koś-

cielna, lecz w duchu nie być ubogim. Można posiadać wszystkie bogactwa świata, a w duchu być ubogim. Wie Pan, ja dotychczas nie mogę pozbyć się pewnych marzeń, które miałem w młodości. Gdy byłem jeszcze w Paryżu postanowiłem, że pojadę do Ameryki, chciałem tam urządzić swoją pracownię, lecz wojna przeszkodziła. Dotychczas wciąż jeszcze marzę i wciąż mam nadzieję, że jednak w końcu pojadę. To znaczy, że nie jestem jeszcze ubogi duchem. A zresztą ta koldra; gdybym był ubogi duchem to bym nie troszczył się tak o jej zachowanie. Myślę jednak, że, gdybym potrafił wyzbyć się tych pragnień, moja radość byłaby bardziej czysta”.

Drugą podstawą filozofii Mikołaja Piotrowicza było przekonanie, że życie jest piękne. Gdy mnie o tym po raz pierwszy powiedział zrobiłem niemal odruchowo uwagę: — „Tak, ale przecież nie tutaj”.

„A właśnie, że i tutaj też — wybuchnął Mikołaj Piotrowicz — wyjdź Pan na zewnątrz baraku i zobacz jakimi cudownymi promieniami mieni się zorza północna. Czyż, kiedy się to widzi, nie czuje się przy tym, że to jest tylko jeden z przejawów piękna absolutnego? Czy nie warto żyć i cierpieć tylko po to, żeby na takie cudo patrzeć?”.

Lecz nie tylko w zjawiskach przyrody, które cieszą wzrok, widział Mikołaj Piotrowicz piękno życia. Piękno to — zdaniem jego — tkwiło przede wszystkim w odruchach ludzkiej duszy, w stosunku człowieka do człowieka, w więzach, które pomiędzy ludzkimi duszami się zawiązują. Z niektórych odezwań się Mikołaja Piotrowicza wiedziałem, że był on dwa razy żonaty i że obydwie te kobiety w chwili jego aresztowania żyły. Nie wiem jakie okoliczności spowodowały rozejście się jego z pierwszą żoną, nigdy go o to nie rozpytywałem — nie wiem więc czy on był wobec nich winny, czy też któraś z nich wobec niego. Lecz gdy czasami opowiadał mi o minionych sprawach swego życia, o obydwóch kobietach wzmiankował z jednakowym odcieniem sentymentu i wdzięczności. Był pełen optymizmu i wierzył, że jeszcze je zobaczy, a w każdym razie wierzył, że więzy tu zadziergnięte znajdą jakąś swoją kontynuację w tym co dusze ludzkie będzie łączyło w życiu przyszłym.

Rozmowy z Mikołajem Piotrowiczem dawały mi zwykle zastrzyki wiary w jakiś głębszy sens tych ponurych rzeczy, które się dookoła widziało. Byliśmy nędzni, wyczerpani, nogi mieliśmy pokryte ranami i straszliwie opuchnięte, na całym ciele były wrzody, dookoła był brud oraz brutalność, złość i nienawiść. Podczas tych rozmów miałem nieraz jakieś dziwne uczucie wycieknięcia. Oto za chwilę rozerwie się jakaś zasłona i zajaśnieją

prawdy dla rozumu ludzkiego zakryte, staną się jasne tajemnica zła i tajemnica cierpienia.

Rozmowy z Mikołajem Piotrowiczem wlewały we mnie optymizm i wskrzeszały wiarę w człowieka. Lecz jednocześnie tkwiła we mnie jakaś chęć odruchowego niemal zaprzeczania. Może dlatego, aby go prowokować do nowych wypowiedzi i pocieszać siebie sugestią jego niezachwianego optymizmu. Na jego więc wywody o pięknie życia odpowiedziałem:

„Nasze życie tutaj jest wszawie, brudne, głodne i chłodne, lecz nie na tym polega jego najbardziej odrażająca strona — tkwi ona w zbestializowaniu człowieka, w zupełnym zaniku poczucia godności ludzkiej. Popatrz Pan na kobiety łagierne. Przebyłem kawał swego życia w wojsku, brałem udział w dwóch wojnach, znam dobrze życie żołnierza. Lecz takich przekleństw, takich perwersyjnych rozmów, jak one prowadzą, nie słyszałem nigdy przedtem. Niemal każda z nich jest gotowa oddać się kucharzowi jedynie za uśmiech, nawet nie dlatego, że jest głodna, po prostu dlatego, że kucharz jest w obozie wpływową osobą. A przecież są pomiędzy nimi takie, które na wolności były matkami i żonami, i które na pewno miały jakieś poczucie godności kobiecej. A ten stosunek ze strony więźniów do słabych i chorych, to bicie ich, wyrzucanie z lepszych miejsc, odpychanie od pieca. Pamiętam, kiedyś we wczesnym dzieciństwie widziałem jak kury dziobały chorego kurczaka, który się do nich zbliżał i chciał skubnąć ziarenko. Widziałem potem groźne rzeczy, widziałem kiszki wypadające żywym jeszcze ludziom z rozdartych granatami brzuchów. Lecz tych zabierali sanitariusze, a ja szybko zapomniałem o wrazeniu. Pamięć o tym kurczęciu prześladowała mnie przez całe życie jak zmora. Dziś przeżywam to znowu na jawie — wśród ludzi. A teraz patrz Mikołaju Piotrowiczu na te figury, które się do nas przysuwają, aby przysłuchać się naszej rozmowie w nadziei, że będzie można coś donieść pełnomocnikowi NKWD. Gdzie Pan tu widzi piękno?”

Mikołaj Piotrowicz zamyślił się. Po chwili podniósł na mnie swoje błękitne oczy; „Stanisławie Stanisławowiczu, odmalował Pan obraz prawdziwy, lecz niepełny. Nieszczęścia wyzwalają często zło ukryte w głębi człowieka, lecz wyzwalają również ukryte piękno ludzkich dusz. Piękno nabiera szczególnych blasków na tle brzydoty; tylko my zapatrzeni we własne cierpienia nie chcemy tego widzieć. To wszystko słuszne, tylko gdzie jest w Pańskim obrazie miejsce dla Nadzieży Aleksiejewny, gdzie miejsce dla sektantów, gdzie stary anarchista, który zawiaduje łaźnią... Dlaczego Pan o nich zapomniał?”

Byłem zaskoczony. Istotnie tych ludzi nie wziąłem pod

uwagę. Nadzieżdza Aleksiejewna była to stosunkowo młoda niewiasta lat około 30, pracowała jako pomocnica buchaltera. Znałem ją bardzo niewiele. Wiedziałem jedynie, że w chwili aresztowania zostawiła gdzieś na Uralu męża i dwoje dzieci. Siedziała za to, że podobno gdzieś miała żartobliwie wyrazić się o kulcie Stalina. Zresztą sprawa ta nie była badana; NKWD na podstawie jakiegoś doniesienia skazało ją w drodze administracyjnej jako osobę społecznie niebezpieczną na 5 lat obozów pracy. Była zupełnie nie podobna do innych niewiast obozowych. Rzadko słyszano ją mówiącą; przeważnie milczała. Spojrzenie dużych ciemnych oczu miała zwykle utkwione w dół, gdy jednak je czasami podnosiła i patrzyła na rozmówcę, wiał powiew jakiegoś innego świata, który żył w jej duszy. W jej obecności milkły przekleństwa. Była niewątpliwie przystojna, jakkolwiek bardzo zbiedzona. Trudno jednak było sobie wyobrazić, aby jakiś mężczyzna zwrócił się do niej z propozycją, którą tak często robiono niewiastom obozowym niemal publicznie. Stosunek otoczenia do niej był jakiś inny, jakkolwiek była tak samo pozbawioną praw niewolnicą, jak i my wszyscy. Była w niej jakaś siła wewnętrzna, która zmuszała do respektu. Uśmiechała się jasno, gdy spotykała Mikołaja Piotrowicza, ci dwoje rozumieli się.

Sektantami nazywano w obozie dwóch baptystów: jednego starego, lat około 60, drugiego młodego lat około 25. Byli to zwykli chłopcy rosyjscy, pracowali na tak zwanych ogólnych robotach w lesie i nigdy nie usiłowali się od nich wykryć. Ponieważ jednak do ciężkich robót byli zaprawiani od dzieciństwa, jakoś sobie dawali radę i nawet wyrabiali normę, co dawało im tytuł do bardziej znośnego jedzenia. Nie byli oni w naszym obozie jedynymi więźniami, którzy siedzieli za przekonania religijne, nie byli nawet jedynymi baptystami. Lecz inni mniej lub więcej ulegali atmosferze złości i nienawiści. Ci dwaj zachowywali swoją odmienną. Każdego traktowali z tą samą niezmienną życzliwością. Każdemu, gdy tylko mogli, usiłowali pomóc. Szczególnie duże wrażenie robił młodszy, wysoki mężczyzna, bardzo silny fizycznie, doskonały robotnik, uśmiechał się tak jasno, gdy zdarzało mi się czasami z nim rozmawiać; taki kryształ duszy przeświecał w jego oczach, że zdawało się, iż na świecie dookoła robiło się jaśniej. Przypominał mi zawsze obraz św. Jana Apostoła, który widziałem w jakiejś galerii.

Istotnie tych wszystkich ludzi nie wziąłem w tej rozmowie pod uwagę. Traktowałem ich jako wyjątki, które nie stanowią nieodłącznej części prawdy obozowej. Myślałem właśnie nad tym, gdzie ich umieścić w ogólnym obrazie życia obozowego.

Mikołaj Piotrowicz jakby odgadnął moją myśl. „Prawdziwa

rola tego rodzaju ludzi w naszej rzeczywistości jest większa niż się Panu wydaje” — powiedział po chwili. — „Niech Pan zrozumie, że Rosja jest krajem wyjątkowym. Jest to bowiem kraj, w którym uzewnętrznia się szatan”.

„Już widzę jak Pan się uśmiecha. Ten Pański uśmiech to jest właśnie wyraz waszej przeracjonalizowanej cywilizacji. A przecież jest Pan człowiekiem wierzącym. My, Rosjanie, zawsze mieliśmy poczucie realności diabła w naszej przeszłości — i wierzący Rosjanin ma to poczucie dzisiaj. A Pan, Stanisławie Stanisławowiczu, przecież jest Pan już tyle czasu w Rosji, czyż Pan nie ma poczucia, że poprzez rzeczywistość rosyjską przeziiera jego obrzydliwa mordą?”

Ale, Stanisławie Stanisławowiczu, on nie zwycięży, on będzie pogiębiony właśnie dlatego, że istnieją tacy ludzie jak Nadieżda Aleksiejewna, jak doktor, jak sektanci. On się boi przede wszystkim czystości ludzkich serc. Tu nie oto chodzi, jakie ci ludzie mają przekonanie lub w co wierzą. Na przykład nie wiem w co i jak wierzy Nadieżda Aleksiejewna. Doktor jest zdaje się w ogóle nie wierzący, anarchista tak jakoś wierzy po swojemu, że trudno mi bywa go zrozumieć. Nie o to też chodzi, czy ktoś jest bez grzechu. Wszyscy my, Stanisławie Stanisławowiczu, jesteśmy grzeszni. Lecz w tych ludziach jest jakaś iskra, jakiś element Łaski i jakaś podświadoma wola, aby tej Łaski nie stracić. W Rosji jest jeszcze wielu ludzi o czystych sercach, więcej niż Pan myśli. O nich się właśnie rozbija potęga zła, która nad nami panuje. Wiem, że tak będzie i już przeżywam radość zwycięstwa.

Jest w języku rosyjskim kombinacja dwóch słów, która dziwnie brzmi, jeżeli ją przetłumaczyć na jakiś inny język: światły śpiew. To jakby śpiew chórów anielskich. To śpiew, który się u nas w cerkwiach rozlega w Noc Zmartwychwstania; cichy i radosny śpiew zwycięstwa duchów jasnych nad siłami zła. Mnie się czasami wydaje, że ja słyszę taki śpiew. Bardzo często śni mi się cerkiew, palą się wszystkie światła, błyszczą złotem ornaty popów i chóry zestrojone śpiewają. I jest mi tak dobrze, tak radośnie na duszy. Ja się budzę i cieszę się, cieszę się”.

W kilka dni po tej rozmowie zdarzył się następujący wypadek. Na podwórzu obozowym ujrzałem Mikołaja Piotrowicza niosącego swój obiad. Zgarbiony, w podartej watowanej kurtce, w dużych gumowych kamaszach, również podartych, posuwał się z nadzwyczajną ostrożnością po obłoconej drodze. Obydwoma rękami trzymał miseczkę zupy a nad nią 300-gramowy kawałek mokrego czarnego chleba. Na twarzy jego malował się wyraz jakiegoś dziwnego niemal nabożnego rozczulenia, z którym wpa-

trywał się w ten kawałek chleba. Tej strasznej zimy było to zjawisko dość powszechne w obozach. Więźniowie bardzo często dostawali psychozy na tle chleba. Nieraz przed spożyciem całowali go, nazywali pieścizłowymi imionami, żegnali. Rzecz ciekawa, że dotyczyło to tylko przeważnie chleba, a nie innych rodzajów jedzenia. Były nawet wypadki, że więźniowie, którzy otrzymywali rybę, chętnie ją wymieniali na kawałek chleba o mniejszej niż ryba kaloryjnej wartości. Mikołaj Piotrowicz ulegał tej psychozie; we wzroku jego, z którym wpatrywał się w chleb, malował się wyraz nieco nieprzytomnego zachwytu.

I w tej właśnie chwili, mijający go inny więzień, zawodowy kryminalista, ogromny i silny chłop błyskawicznym ruchem chwycił chleb trzymany przez Mikołaja Piotrowicza. Mikołaj Piotrowicz targnął się usiłując obronić swój skarb, kryminalista pchnął go, Mikołaj Piotrowicz upadł twarzą do ziemi, zupa się wylała. Kryminalista w kilku gwałtownych susach odskoczył za róg najbliższego baraku.

Podbiegłem natychmiast do Mikołaja Piotrowicza. Leżał twarzą do ziemi niemal bez ruchu i cicho stękał. Zacząłem go podnosić. Mikołaj Piotrowicz padając rozciął o ostry kawałek lodu skórę nad prawym okiem. Z ranki na śnieg oraz na moje ręce kropkami kapała krew. Z oczu Mikołaja Piotrowicza kapały duże łzy. Wziąłem go pod rękę i zacząłem prowadzić w kierunku baraku. Po chwili Mikołaj Piotrowicz zorientował się kto go prowadzi i zorientował się również, że płacze. Wzrok jego blade błękitnych oczu, pokrytych teraz wilgotnym szkliwem łez zwrócił się na mnie: Stanisław Stanisławowiczu niech Pan nie myśli, że ja płaczę. Może ja naprawdę płaczę, lecz to tylko tak jakoś wychodzi. Ja się naprawdę cieszę, wszystko idzie ku lepszemu, a świat taki piękny... Nic mu na to nie odpowiedziałem. Odprowadziłem go do baraku, do jego miejsca na narach i okryłem go jego bezcenną kołdrą.

Za kilka dni zabrano mnie do szpitala, a potem przyszło zwolnienie. Michała Piotrowicza już więcej nie widziałem.

Anarchista

Miał lat ponad 60, czyli w chwili wybuchu rewolucji był już człowiekiem w wieku dojrzałym, prawdopodobnie około czterdziestki. W młodości był robotnikiem przemysłowym zdaje się tekstylnym. Dziś już nie pamiętam jaka była jego specjalność. Kiedyś zdarzyło mu się przeczytać jakąś nielegalną broszurkę o poglądach księcia Piotra Kropotkina, rosyjskiego arystokraty

i wybitnego badacza geografii fizycznej Syberii, który stał się apostołem anarchizmu, odrzucającym zarówno władzę carską jak dyktaturę proletariatu, a również i dialektykę marksowską, czym jeszcze w okresie przed pierwszą wojną światową wzbudził do siebie wrogość Lenina, z którym musiał się spotykać na emigracji.

Ów mój towarzysz łągierny potrafił nawiązać osobisty kontakt z Kropotkinem, który po odważnej ucieczce z fortecy Piotro-Pawłowskiej przebywał za granicą, i przejął się jego ideami. Twierdził ciągle z uporem, że każda organizacja — państwowa, religijna, zawodowa — wynaturza indywidualność ludzką i utrudnia człowiekowi realizowania jego przeznaczeń. Wierzył w Boga i twierdził, że każda jednostka ludzka nie skrępowana więzami społecznymi musi znaleźć własną drogę zbliżenia się do Niego.

W okresie przedrewolucyjnym za wygłaszanie tych poglądów niejednokrotnie odsiadywał więzienie, lecz potem wracał do swego zawodu i swojej propagandy. Dopiero za czasów sowieckich trafił za druty na stałe. Uważał, że reżym sowiecki stworzył najstraszniejsze formy ucisku, gorsze nawet od tych, które znamy z historii starożytnej. Ze swoimi przekonaniem nie krył się, wypowiadał je stale i otwarcie, ale — rzecz dziwna — uchodziło mu to na sucho. Należał niewątpliwie do ludzi, nad których życiem i postępowaniem góruje idea.

Należał do kategorii weteranów łągiernych otaczanych pewnego rodzaju specjalnym szacunkiem nie tylko przez współtowarzyszy niedoli, lecz również przez administrację obozową. Był bowiem jednym z tych co przeżyli gehennę budowania Kanału Bałtycko-Białomorskiego. Za moich czasów istniał zwyczaj, że tym co przeszli przez piekło *Bielomor kanału* usiłowano dawać jakąś lżejszą pracę. Mój przyjaciel — anarchista został dozorcą tzw. *suszytki*. Była to ciągle dymiąca ziemianka, wybudowana w sąsiedztwie łaźni obozowej. Spełniała ona podwójną funkcję: suszalni ubrań tych łągierników, co pracowali w głębokim śniegu oraz kamery dezynfekcyjnej. Co wieczór przynoszono z poszczególnych baraków mokre ubrania oraz obuwie (tzn. walonki) robotników leśnych, a rano jeszcze przed pobudką dozorca wydawał przedstawicielom poszczególnych baraków te rzeczy istotnie dobrze wysuszone. Gorzej było z dezynfekcją ubrań, które przynoszono z łaźni. Gorąco wytwarzane przez piec *suszytki* nie było dostatecznie silne, aby zniszczyć wszy, które po tej operacji zyskiwały często jeszcze większy wigor rozrodczy. Gdy wyszło zarządzenie nakazujące stwierdzenie przez lekarza przyczyny zgonu każdego zmarłego więźnia, *suszytka* otrzymała również trzecie zadanie: odgrzewanie trupów przed sekcją. Ciała martwych leżały zwalone na kupę na podwórzu łągiernym zamrożone na kamień

przy 30-stopniowym mrozie. Gdy lekarz zarządził sekcję, przewożono wówczas na saniach te trupy do *suszytki* i składano na dnie kamery dezynfekcyjnej, aby tam odtajały przed badaniem. Wymagało to kilku godzin, lecz czasami trupy leżały po kilka dni. Wstęp do *suszytki* był więźniom bezwzględnie zakazany, z wyjątkiem oczywiście wypadków, kiedy przynosiło się tam większą ilość rzeczy do wysuszenia lub dezynfekcji.

Pewnego dnia mój przyjaciel-anarchista powiedział mi, że wydaje mu się, że ta jego *suszytka* w pewnych wypadkach spełnia również funkcje lecznicze. Ludzie umierają nie tylko z powodu niedożywienia i ciężkiej pracy, lecz również z powodu chłodu, od którego nie ma sposobu uciec. W kamerze dezynfekcyjnej jest duża różnica temperatury pomiędzy powietrzem pod sufitem a powietrzem na dnie, gdzie panuje raczej przyjemne ciepło. Jego zdaniem regularne spędzenie kilku godzin w pozycji leżącej na dnie kamery dezynfekcyjnej może podtrzymać przetrwanie organizmu ginącego w owych warunkach arktycznej zimy. Gdy przewożono mu trupy do odegzania, starał się czasem przemycić pomiędzy nimi żywego jeszcze człowieka, który potrzebował nieco ciepła, aby jakoś przedłużyć swoje życie.

Zastosowałem się do jego rady i pod jego kierownictwem zacząłem przechodzić ten swoisty kurs leczenia. Gdy tak leżałem w ciemnej kamerze pomiędzy nieboszczykami czułem jak przyjemne ciepło rozlewało się po całym moim ciele. Usiąść jednak nie było można, bo już metr ponad podłogą — powietrze było zbyt rozgrzane. Po kilku godzinach, gdy się wychodziło na zewnątrz mróz nie wydawał się już tak straszny, ciepło wchłonięte w *suszytce* wciąż grzało kości.

Pewnego dnia przyszło dwóch osobników, aby zabrać trupy na sekcję. Chwyтали za nogi i ciągnęli do wyjścia tak, że głowa nieboszczyka ciągle uderzała o podłogę. Leżałem cichutko myśląc, że może mnie ominą. Jeden z robotników chwycił mnie za nogi i chciał ciągnąć, wówczas poruszyłem się. — „Patrzaj — odezwał się do swego towarzysza — ten się odegztał i zaczyna ruszać się”. W głosie jego nie było jednak zdziwienia — i chciał mnie ciągnąć dalej. Kopnąłem go z całej siły, incydent nie wywołał żadnych skutków. Nadal korzystałem z dobrodziejstwa *suszytki*.

Kuracja ta trwała około dwóch tygodni, potem zabrano mnie do szpitala. Te dwa tygodnie były jednak chyba najbardziej krytycznym okresem w moich dziejach łagiernych, kiedy organizm mój był na granicy fizycznej wytrzymałości. Możliwe, że ten anarchista uratował mi życie.

Po dwumiesięcznym pobycie w szpitalu przyszedł rozkaz natchmiastowego wyjazdu w związku z zastosowaniem do mnie prawa o tzw. „amnestii” dla Polaków. Nie zdążyłem pożegnać się z moim anarchista ani podziękować mu za towarzystwo i opiekę. Przyczynił on się bardzo do tego, że, gdy opuszczałem łagry, myślałem nie tylko o okrucieństwie, brutalności i deprawacji moralnej, których byłem świadkiem, lecz również o ludziach dobrych, których tam spotkałem.

Zwolnienie z łagrów

Około 20 kwietnia 1942 roku komenda obozu otrzymała rozkaz przesłania mnie do centralnego zarządu Ust'-Wymskich łagrów dla załatwienia formalności związanych ze zwolnieniem. Odległość od obozu, w którym przebywałem, wynosiła około 50 kilometrów koleją. Była to jedna z najbardziej fizycznie nieprzyjemnych podróży, które odbyłem podczas swego pobytu w sowieckich obozach i więzieniach. Był późny wieczór, padał deszcz pomieszany ze śniegiem i dął przejmujący wiatr. Pociąg, którym wypadło mi jechać, był przyczepiony do jakiejś antycznej lokomotywy, prawdopodobnie skonstruowanej jeszcze w poprzednim stuleciu i składał się z kilku otwartych lor z jakimiś pakami. Jedna z lor była zaopatrzona w małą budkę dla konduktora oraz konwojentów. Konwojent kazał mi usiąść pomiędzy pakami, a sam z kilku innymi enkawudystami ulokował się w budce. Na moją uwagę, że w budce było dość miejsca dla mnie, odpowiedział że jest przecież rzeczą nie do pomyślenia, aby wsadzić więźnia (*zakluczonowo*) tam gdzie odbywają podróż wolni ludzie. Przez dwie godziny więc deszcz pomieszany ze śniegiem siekł mię w twarz; moje ubranie — watowany *buszlat*, *tietogrejka* oraz watowane spodnie — były na wskroś przemoczone.

Następnego dnia wydano mi dokumenty zwolnienia, na których wszędzie przed moim nazwiskiem dodano tytuł *grażdanin* tzn. „obywatel”, oraz dokumenty podróży do Kotłasu, gdzie rzekomo był przedstawiciel polskiej ambasady regulujący dalsze ruchy obywateli polskich, zwolnionych z łagrów. Wydano mi również nowy *buszlat* oraz lepsze obuwie, abym mógł bardziej godnie reprezentować wobec świata zewnętrznego styl życia w łagrach sowieckich. Ponieważ przepisy zabraniały wpuszczania do pociągu tych, którzy nie mieli świadectwa odwszenia musiałem dla przeprowadzenia tej operacji pójść do łaźni obozowej. Gdy po umyciu się czekałem w towarzystwie szeregu miejsco-

wych więźniów w strojach adamowych na przyniesienie nam z pieca dezynfekcyjnego naszych ubrań, akurat wydarzyła się inspekcja łaźni przez jakiegoś wyższego funkcjonariusza NKWD, który jak się okazało doskonale orientował się kim byłem i bardzo ostro zwymyślał kierownika łaźni za krzywdę jaką mi wyrządził, dopuszczając że moje ubranie — wolnego człowieka — zostało umieszczone w piecu dezynfekcyjnym pomieszane z ubraniami więźniów. Dowiedziałem się wówczas, że wesz, która przebywa w ubraniu wolnego człowieka już przez to samo zdobywa poniekąd wyższy status społeczny i nie może ulegać likwidacji w jednej kupie z wszami ssącymi krew niewolników. W ten sposób w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin zaznałem zarówno całej głębi poniżenia, któremu w nowej cywilizacji tworzonej w Rosji stalinowskiej ulegał niewolnik, oraz tych zaszczytnych przywilejów, które przysługiwały ludziom rzekomo wolnym.

Po kilku dniach, gdy przybyłem do Kołtasu zauważyłem tam na peronie kolejowym wojskowego w mundurze z naszywkami na naramiennikach „Poland”. Był to oficer tworzących się w Rosji polskich sił zbrojnych, który udzielał informacji przybywającym od czasu do czasu z północy obywatelom polskim oraz wyłapywał tych, których należało odesłać do oddziałów stacjonujących w rosyjskiej centralnej Azji pod dowództwem generała Andersa. Skierował mnie do pobliskich baraków przeznaczonych dla świeżo „amnestionowanych” Polaków, gdzie miano mnie zaopatrzyć na drogę oraz wystawić niezbędne dokumenty podróży. Jedno z pierwszych pytań, które mu zadałem, dotyczyło obecnych przydziałów moich kozielskich przyjaciół i towarzyszy niedoli. Wyobrażałem sobie, że stanowią oni kadrę tej właśnie tworzącej się armii, o której jeszcze będąc w obozie wiedziałem z dochodzących tam od czasu do czasu gazet. I wówczas ów oficer powiedział mi, że Kozielsk otacza wielka tajemnica, że jest tylko nieduża grupka jeńców kozielskich, którzy znaleźli się w obozie w Griazowcu, a że o reszcie nie ma żadnych informacji; że tak samo nieznanne są losy większości tych, co byli w Starobielsku lub Ostaszkowie; że w ogóle brakuje ponad dziesięciu tysięcy oficerów z tych co zostali wzięci do niewoli przez Rosjan. Powiedział mi również, że wszyscy delegaci zarówno wojska jak i ambasady mają polecenie zbierać wszelkie wiadomości, które mogą dopomóc do natrafienia na jakiś ślad, lecz że dotychczas na nic konkretnego nie natrafiono. W końcu powiedział ów oficer, może to Pana szczęście, że Pana aresztowano i przewieziono do Moskwy, bo my tutaj mamy coraz większe wątpliwości czy oni pozostają przy życiu.

Barak dla świeżo „amnestiowanych” Polaków, którzy przybywali do Kotłasu z północy mieścił się jakieś czterysta metrów od dworca. Było tam kilka izb, w których w owym czasie było chyba około trzystu osób. Był to już wieczór, dano mi jakiejś zupy i powiedziano abym sobie wynalazł miejsce na narach. Następnego ranka obudził mnie śpiew, śpiewano religijne pieśni w jednej z sąsiednich izb. Szybko się ubrałem, aby wziąć udział w nabożeństwie. Zdażyłem jednak już tylko na koniec Mszy świętej. Było to pierwsze zbiorowe nabożeństwo, w którym brałem udział od czasu potajemnej mszy świętej w katakumbowych warunkach, w obozie Kozielskim w końcu 1939 roku.

W zarządzie owego punktu transportowego w Kotłasie, gdzie poprosiłem o dokumenty przejazdowe do wojska, powiedziano mi, że co do mojej osoby są już od dawna bardzo wyraźne instrukcje, żeby skierować mnie, jak się tylko zjawię, natychmiast do Kirowa, gdzie urzęduje główny delegat Ambasady na północną Rosję, który chciałby bardzo ze mną osobiście rozmówić się, a stamtąd ewentualnie będę mógł jechać do wojska. Wystawiono więc mi dokumenty i następnego dnia odjechałem do Kirowa.

W Kirowie, Otto Pehr, główny delegat ambasady na północ europejskiej Rosji, przedwojenny adwokat z Grudziądza oraz znany działacz socjalistyczny, przyjął mnie z otwartymi rękami. Oświadczył mi z punktu, że wyciągnięcie mnie z łagru było jednym ze szczególnych zadań jego misji na północy Związku Sowieckiego; że przypominał mu o tym ciągle ambasador Kot w Kujbyszewie; że interesował się tym bardzo polski Rząd emigracyjny w Londynie. Powiedział mi również, że o ile wie, prowadzone były w tej sprawie jakieś rozmowy pomiędzy Rządem polskim a sowieckim ambasadorem w Londynie.

Przy delegaturze północnej, o ile się mogłem zorientować, były zgromadzone dość poważne magazyny nadesłanych z Ameryki ubrań oraz różnego rodzaju konserw. Pierwszym krokiem Pehra w mojej sprawie było zawołanie magazyniera z poleceniem, aby przyniósł mi jakieś porządne ubranie, bieliznę, płaszcz, obuwie itp. i zażądanie żebym się rozebrał i wyrzucił wszystkie swoje łachmany. Podziękowałem za ubranie, lecz wcale nie byłem skłonny pozbywać się całkowicie swego łagiernego ubrania. Uważałem że *buszlat*, *tietogrejka*, watowane spodnie oraz *walonki* stanowiły wygodny sposób ubierania się na dalekiej północy, uswinięcy przez wieki doświadczenia Mongołów oraz różnych innych miejscowych ludów. A byliśmy przecież wciąż na północy. Poza tym rzeczy te, tak wtedy pożyteczne, gdybym je zdołał przechować, mogły stanowić dla mnie w przyszłości

pewną pamiątkową wartość. Pehr natomiast uważał, że kilka miesięcy doświadczenia przy wydobywaniu ludzi ze szponów sowieckiego systemu niewolniczego, nauczyło go, że łągiernicy z reguły mają uraz polegający na pewnego rodzaju przywiązaniu do tego bogactwa, którym dla nędzarza w sowieckim łągrze było jego ciepłe ubranie. Twierdził więc, że chciał we mnie od razu, z punktu, przełamać te typowe urazy sowieckiego łągiernika, które, jak mu się wydawało, we mnie tkwiły. Musiałem więc ustąpić, i z pewnym żalem patrzyłem jak woźny zabierał do wyrzucenia mój majątek łągierny. Dano mi również nieco różnego rodzaju amerykańskich konserw, które mogłem kombinować z racjonowanym jedzeniem które miało mnie być wydawane z baraków, znajdujących się pod zarządem Delegatury.

Bardzo szybko zorientowałem się, że jeżeli wszystkie placówki ambasady okazywały takie duże zainteresowanie moją osobą to pochodziło to nie tyle stąd, że uważano iż uratowanie mego życia jest tak ważne dla Polski, lecz przede wszystkim dlatego że wiadomość o moim przebywaniu w Ust'-Wymskich łągrach oznaczała pierwszy wypadek odnalezienia oficera z zaginionych transportów, które opuściły Kozielsk w okresie likwidacji tego obozu pomiędzy 3 kwietnia a 12 czerwca 1940 roku. Z tych transportów tylko jeden się odnalazł: ten który odszedł ostatni w czerwcu 1940 r., i który został skierowany na Pawliszczew-Bor i Griazowiec; obejmował on około 150 jeńców; inne transporty zaginęły bez śladu. Od chwili zawarcia umowy polsko-sowieckiej w sierpniu 1941 roku trwały poszukiwania śladów co do losu owych zaginionych transportów. Moja osoba wydawała się pierwszym śladem. Było co prawda kilku oficerów kozielskich, którzy zostali zwolnieni z więzień na skutek ogłoszenia „amnestii”, lecz nikt z nich nie należał do normalnych transportów likwidacyjnych; byli aresztowani indywidualnie jeszcze przed rozpoczęciem likwidacji obozu. Mój wypadek miał istotnie charakter wyjątkowy: odjechałem z normalnym transportem likwidacyjnym w dniu 30 kwietnia 1940 roku, nie byłem w Griazowcu, a po „amnestii” dla Polaków raptem odnalazłem się w obozach w Komi ASSR. Spodziewano się, że opowieść o tym, co w ciągu tych lat (kwiecień 1940 - kwiecień 1942) przeżyłem, musi przynieść jakieś odsłonięcie rąbka tajemnicy, co do której zarówno Stalin, jak Mołotow, Beria i Mierkułow zachowywali się w najwyższym stopniu enigmatycznie, gdy ich o zaginione transporty pytano.

Z natury rzeczy rozmowa zesza więc na tę dręczącą tajemnicę. Opowiedziałem delegatowi to, co w trzy tygodnie potem sformułowałem na piśmie w swoim raporcie do gen. Wolikowskiego,

szefa Polskiej Misji Wojskowej przy Rządzie sowieckim. Po wysłuchaniu mojej opowieści Pehr uznał, że tajemnica nie tylko nie wyswietla się lecz raczej zagęszcza się. Moja obserwacja, że przynajmniej część transportów szła z Kozielecka na Zachód i zatrzymywała się koło Smoleńska wymagała nowych kierunków i nowych metod poszukiwania. — „Musi Pan to wszystko jak najprędzej opowiedzieć Ambasadorowi”. — Na moją uwagę, że moja formalna sytuacja oficera powołanego do czynnej służby wymaga natychmiastowego zgłoszenia się do najbliższego oddziału polskiego, Pehr powiedział, że postara się przede wszystkim zorganizować mój transport do Ambasady, która w owej chwili znajdowała się w Kujbyszewie nad Wołgą, dokąd był ewakuowany z Moskwy korpus dyplomatyczny; a stamtąd ewentualnie będę mógł udać się do Armii Polskiej w Centralnej Azji.

— „Zresztą zorganizowanie tego transportu dla Pana nie jest sprawą tak prostą jak może Panu w tej chwili się wydawać — ciągnął dalej Pehr. — Myśmy całą sprawę tak obstawili, że oni musieli Pana zwolnić. Tekst umowy polsko-sowieckiej w sprawie zwolnienia przebywających w więzieniach obywateli polskich jest bardzo wyraźny. Nie mogli zaś nam powiedzieć, że nie mogą Pana znaleźć bo myśmy od pewnego czasu mieli jak najbardziej dokładne informacje co się z Panem dzieje i gdzie się Pan znajduje. Teraz obawiam się że, jeżeli w zwykłym porządku rzeczy wystawimy Panu dokumenty do Kujbyszewa czy też do wojska, to Pan po prostu tam nie dojedzie. Trzeba więc tak tę całą podróż obstawić, żeby ostatecznie Pan tam dojechał. A to będzie wymagało czasu oraz wydostania od miejscowego NKWD różnych niezbędnych dokumentów”.

W ciągu mego blisko dwutygodniowego pobytu w Kirowie, kiedy Pehr przygotowywał moją podróż do Kujbyszewa „tak abym dojechał”, przekonałem się, że istotnie miał on talent załatwiania różnych spraw z miejscowymi władzami sowieckimi. Jedną z cech podnoszących jego autorytet, było to, że bardzo podle mówił po rosyjsku, z silnym niemieckim akcentem. Ten jego specjalny autorytet był jednym z paradoksów rzeczywistości sowieckiej. Podczas pierwszej wojny światowej służył jako oficer rezerwy w kawalerii austriackiej. Miał dystygowane maniery i dobrze uszyte granatowe ubranie, które nadawało mu pewien styl elegancji. Miejscowi wyżsi funkcjonariusze sowieccy w Kirowie zdecydowali, że to „amerykaniec”, który przyjechał aby asystować w różnych pracach ambasady polskiej i uważali, że w obecnych warunkach sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, należy go traktować ze specjalnym respektem. Faktycznie zaś Pehr uciekł przed Niemcami na teren Wschodniej Polski, został tam ogar-

nięty przez inwazję sowiecką i deportowany na jakiś posesiłek, skąd po przybyciu ambasady polskiej, przeszedł do służby w polskim rządzie, przebywającym w Londynie.

Umiał wspaniale wykorzystywać ten specyficzny kompleks niższości, który cechował przedstawicieli aparatu sowieckiego w stosunku do Zachodu. Wydaje się mi, że ten kompleks był jednym ze składników mentalności epoki stalinowskiej, tak samo jak cechą tej mentalności była postawa niechęci do intelektualistów, którzy wszystko potrafili krytykować i wyśmiać. Wyrażał się ten kompleks w różny i nieraz paradoksalny sposób: zarówno w sadzaniu do więzień tych komunistów zagranicznych, którzy szukali w „ojczyźnie proletariatu” opieki i schronienia, jak i w przywilejach, które dawano na Łubiance aresztowanym ze Środkowej Europy, odnośnie których wykryto wysokie koneksje arystokratyczne. Lenin, Cziczerin, Łunaczarski, Trocki, nie mieli tego kompleksu lecz ta „nowa klasa” biurokratów partyjnych, która wyniosła Stalina do absolutnej władzy, była prześląknięta nieufnością i jakimś mniej lub więcej świadomym przeświadczeniem o własnej niższości. Lenin zaprowadził „NEP” i ofiarowywał koncesje kapitalistom zagranicznym, bo chciał, aby rosyjscy komuniści przez kontakt z nimi uczyli się bardziej postępowych metod administracji gospodarczej. „Nowa klasa” stworzyła mur kompletnie oddzielający Rosję nie tylko od burżuazyjnych warstw Zachodu, lecz również od rewolucyjnych ruchów na tym Zachodzie. Ci, którzy za czasów NEP’u mieli jakieś zachodnie kontakty, lub brali udział w wojnie domowej w Hiszpanii, jak też i poważna część przebywających w Rosji komunistów zagranicznych, poszli pod klucz albo nawet do piwnic egzekucyjnych. Stąd, kiedy wybuchła wojna i losy Związku Sowieckiego zostały uzależnione od dostaw amerykańskich, przedstawiciele lokalnej administracji sowieckiej poczuli się zdezorientowani i w pewnym stopniu nawet onieśmieleni przy załatwianiu różnych spraw z przedstawicielami koalicji zachodniej, których coraz więcej zaczęło się wówczas zjawiać w Rosji. Pehr doskonale wykorzystywał tę chwilową dezorientację sowieckiego aparatu terroru i dyktatury, aby uratować szereg obywateli polskich trzymanych na Północy Rosji europejskiej w różnych zakamarkach sowieckiego systemu pracy niewolniczej.

Czy podejrzenie Pehra, że NKWD będzie próbowało zorganizować jakieś zasadzki, aby mnie po drodze zlikwidować, było uzasadnione tego nie wiem. Lecz podróż istotnie została tak zorganizowana, że byłoby bardzo trudno po drodze po cichu mnie załatwić. Przede wszystkim, miałem podróżować nie sam, lecz w towarzystwie pracownika delegatury, który wiozł pocztę

dyplomatyczną i miał w drodze mną się opiekować ze względu na mój rzekomo zły stan zdrowia. Przed wojną był on zatrudniony w jakimś urzędzie w województwie Nowogródzkim i wyglądał raczej na zawodowego boksera niż pielęgniarza. Zostaliśmy zaopatrzeni w jak najbardziej formalne przepustki NKWD na podróż do Kujbyszewa. NKWD również wydało nam zezwolenie na nabycie biletów w „miękkim wagonie” (tzn. 1-sza klasa) z Kirowa do Gorkiego (tzn. dawnego Niżnego Nowgorodu) a jednocześnie zażądano telegraficznie zarezerwowania dla nas kabiny na statku odpływającym Wołgą z Gorkiego do Kujbyszewa i Astrachania. Zostaliśmy również oficjalnie zaopatrzeni na drogę w wędliny i inne wiktuały. Prócz tego żona mego towarzysza podróży napiekła nam ze specjalnego przydziału mąki amerykańskiej różnego rodzaju pieczywa, co wszystko razem budziło u nas reminiscencje świąt Wielkanocnych. Oczywiście musieliśmy również pójść do kolejowej łaźni, aby przejść przez obowiązujący proces *sanobrabotki*.

W Kirowie przed samym odjazdem widziałem świeżo sformowane oddziały odchodzące na front. Sądząc z ilości ludzi była to brygada piechoty. Tylko pierwszy pluton miał karabiny, reszta szła bez broni. Nie było również ani karabinów maszynowych ani działek przeciwpancernych. Ludzie, których delikatnie o to zapytałem, wyjaśnili mi, że broń jest odsyłana na front oddzielnie przez specjalne transporty NKWD. „Nowa klasa”, wyrazem interesów której był stalinizm (pomimo że wielu jej przedstawicieli poszło również do łagrów i piwnic egzekucyjnych) ma tę zaletę, że umie się uczyć z doświadczeń przeszłości. Wielkim błędem systemu carskiego było, że podczas pierwszej wojny, mobilizując prawie jedenaście milionów ludzi, uzbroił on robotników i chłopów. O armii rosyjskiej podczas pierwszej wojny światowej mówiono jako o uzbrojonym chłopstwie. Rewolucja lutowa 1917 roku była dziełem generacji oraz wielkiej burżuazji, które chciały obalenia systemu samowładztwa, aby usprawnić prowadzenie wojny. Lecz w osiem miesięcy potem w przewrocie październikowym zdecydowało właśnie to uzbrojone chłopstwo, któremu Lenin przyrzekł ziemię i pokój. „Nowa klasa” stworzyła aparat pilnujący skutecznie, aby w drugiej wojnie światowej powołane pod broń masy ludowe nie mogły jej użyć przeciwko rządzącej elicie. Na czele tego aparatu stał Beria awansowany w dalszym ciągu wojny do stopnia marszałka, chociaż nic nie miał wspólnego z kierowaniem operacjami wojskowymi na froncie walki zewnętrznej.

Na stacji, po okazaniu zezwoleń i przepustek NKWD, sprzedano nam bilety bez żadnych trudności. Przy wejściu do wago-

nów stali funkcjonariusze NKWD i jeszcze raz kontrolowali dokumenty każdego podróżnika. Wszędzie panował ład, porządek i czystość. Stanowiło to dodatni kontrast w porównaniu z kolejami rosyjskimi podczas pierwszej wojny światowej, kiedy jako kilkunastoletni chłopiec dość wiele podróżowałem po Rosji. Podczas pierwszej wojny był chaos w ruchu pociągów a wewnątrz wagonów nieopisany tłok. Teraz nasz pociąg odszedł punktualnie z Kirowa i punktualnie też przybyliśmy do Gorkiego. Nie było mowy o tym aby ktokolwiek bez odpowiedniego biletu wszedł do „miękkiego” wagonu, wówczas gdy za czasów Kiereńskiego widok rozpasanego żołdaka kładącego swoje zabłocone buciska na czerwony plusz wagonów pierwszej klasy był zjawiskiem zupełnie normalnym. Krasnoarmiejcy, których widziałem w pociągu lub na ulicach w Gorkim i Kujbyszewie, odpowiadali grzecznie i zachowywali się przyzwoicie. NKWD trzymało wszystko żelazną ręką.

W Gorkim na dworcu byli dyżurni przedstawiciele jakichś polskich instytucji którzy nas skierowali do biura miejscowego delegata Ambasady. W tym biurze powiedziano nam, że kabina jest już zamówiona i że za dwa dni odplywa statek; tymczasem mieliśmy mieszkać w urzędzie miejscowego delegata Ambasady. W jakieś dwie godziny po naszym przyjeździe, bardzo kurtuazyjny telefon od szefa miejscowego NKWD, który chciał się dowiedzieć „jak się czuje Pan Profesor”. Wobec takich wyraźnych objawów zainteresowania moją osobą uznałem, że nie jest wskazane łączyć po mieście, które mnie z różnych względów bardzo interesowało; i całe te dwa dni przesiedziałem w biurze Ambasady. W Gorkim byliśmy świadkami kilku nalotów niemieckich, które jednak nie wydały mi się groźne. Rosjanie mieli niewątpliwie dużo artylerii przeciwlotniczej, co było piętą Achillesową naszą obrony w 1939 roku. W sumie naloty te nie wyglądały groźniej niż niemieckie naloty na Dyneburg, których sporo widziałem w latach 1915-1917. Oznaczało to, że niemiecka potęga lotnicza nie była dla miast rosyjskich tak groźna jak to sobie wyobrażałem.

Statek którym wypadło nam jechać pochodził z przedrewolucyjnych czasów, kiedy bogaci ludzie spędzali wakacje podróżując w luksusowych warunkach po ogromnych wodnych przestrzeniach tej największej rzeki w Europie. Otrzymaliśmy obszerną kabinę z dwoma bardzo wygodnymi tapczanami, obciążniętymi skórą. Była to bardzo przyjemna podróż. Majowe słońce lało swoje promienie, chociaż wśród nadbrzeżnych krzaków, w zadrzewionych miejscach i we wgłębieniach leżały jeszcze płachty śniegu — a rzeka iskrzyła się w tych blaskach; wiatr

przynosił zapachy budzącej się do letniego rozkwitu przyrody. Na przystaniach przysłuchiwałem się charakterystycznemu rytmowi pieśni nadwożańskich robotników przeładunkowych.

Ogarnęło nas uczucie ogromnego odprężenia. Wydawało mi się że dzięki zapobiegliwości Pehra byłem absolutnie kryty przeciwko wszelkim nieoficjalnym kawałom NKWD. Nie miałem też powodu do większego niepokoju o moją rodzinę. Miałem wiadomości, że widziano ich w Wilnie niedługo przed atakiem niemieckim; miałem więc wszelkie dane do przypuszczenia, że szczęśliwie doczekali wyrzucenia Rosjan z miasta. Nie przypuszczałem, że ze strony Niemców mogło im grozić jakieś niebezpieczeństwo; groził im oczywiście głód, lecz na to mieli zawsze ostatnią rezerwę w postaci mająteczku mego teścia w powiecie mołodeczzańskim, gdzie co najmniej kartofli musiało być pod dostatkiem. Czworo naszych dzieci spędzało wszystkie wakacje w atmosferze zbiedniałego dworu na Białej Rusi. Mogłem więc spodziewać się, że w tym samym dworze przetrwają jakoś zawieruchę wojenną, skoro Rosjan już stamtąd wyrzucono.

Te dni podróży spędziłem na górnym pokładzie kąpiąc się w łagodnych promieniach wiosennego słońca, pijąc zapachy płynące z przybrzeżnych łąk, oraz dumając o rzeczach bliskich i dalekich, i bardziej ogólnych; z rzeczy bliskich najbardziej dręczące było pytanie co się stało z moimi kolegami kozielskimi, a również z tymi co byli w Starobielsku i Ostaszkanie, o których podczas pobytu w Kozielsku dość dużo wiedzieliśmy. Z rzeczy bardziej ogólnych, było jasne że nowe bolesne elementy zostały dodane do dziejowego problemu Polska-Rosja.

Dziesięć tysięcy polskich oficerów wśród których wielu miało liczne powiązania w różnych częściach świata, nie stanowiło szpilki, która mogła się zagubić w zamieszaniu wojennym. Ktoś z nich jakoś potrafiłby dać znać o sobie; przecież tyle wiadomości o mnie potrafiiono przekazać z Ust'-Wymskich łagrów do Ambasady w Kujbyszewie. Wykluczałem, aby w tym państwie gdzie NKWD wszystko nadzoruje, rejestruje i kontroluje, władze sowieckie mogły nie wiedzieć co się z tymi oficerami stało. Miałem zresztą z okresu likwidacji Kozielska liczne obserwacje, że decyzja o *indywidualnych* losach każdego z nas była scentralizowana w Moskwie. Najprawdopodobniej więc każdy z nas miał w Centralnych Biurach NKWD swoją indywidualną teczkę. Wniosek z tych rozumowań był więc taki, że prawdopodobnie większość moich towarzyszy niedoli z Kozielska już nie żyje. Lecz jednocześnie myśl moja cofała się przed dopuszczeniem możliwości masowego, centralnie zorganizowanego, mordu. Wszystko, co w Związku Sowieckim przeżyłem, a co opisałem powyżej,

przemawiało przeciwko psychologicznej możliwości takiego rozwiązania. W Smoleńsku i na Łubiance i nawet w łągach byłem znacznie lepiej traktowany, niż tego mogłem się spodziewać i to rzutowało na sposób mego rozumowania. Jeżeli jednak istotnie zostali wymordowani — tak jak przypuszczali różni ludzie, z którymi o tym rozmawiałem — będzie to ważki element o znaczeniu historycznym. Kiedyś prawda zostanie wyjaśniona, szok moralny, który spowoduje może zaciążyć na szereg pokoleń nie tylko na stosunkach polsko-rosyjskich, lecz w ogóle na poglądzie na rolę Rosji we Wschodniej Europie i w świecie. Masowy terror, który głosili Lenin i Dzierżyński był uzasadniony teorią walki klasowej. Tutaj, jeżeli to był istotnie mord przedsięwzięty na chłodno po więcej niż półrocznym namyśle, ten wzgląd klasowy odpadał. Byłby to czysty akt imperializmu rosyjskiego, przed którym błądły te wszystkie metody eksterminacji, które rządy carskie stosowały wobec narodu polskiego.

W tej wygodnej podróży, wypoczywając w promieniach wiosennego słońca odbijających się w falach Wołgi starałem się umieścić w perspektywie historycznej swoje przeżycia w ciągu ostatnich trzech blisko lat (wrzesień 1939 - maj 1942). Fakt zaginięcia moich kolegów kozielskich zwiększył kontrowersyjność mego myślenia o Rosji. W ogóle moja osobista postawa wobec Rosji była typową *love and hate affair*. Skończyłem szkołę rosyjską, rozmilowany byłem w poezji rosyjskiej, wierzyłem w artystyczny geniusz tego narodu. Miałem kuzynów Rosjan, dobrze się czułem w środowisku rosyjskim, o czym się świeżo przekonałem w czasie pobytu na Łubiance; znałem w życiu sporo Rosjan odznaczających się wyjątkową dobrocią i życzliwością do bliźnich. Kiedy byłem małym chłopcem słyszałem od mojej matki i ciotki bardzo wiele dobrego o ich wujence Rosjance, która umarła w roku mego urodzenia i była, zdaje się, istotnie kobietą wielkiego serca. Stąd w latach wczesnego dzieciństwa przyzwyczaiłem się myśleć o starszej rosyjskiej kobiecie jako o zasadniczo dobrej i życzliwej istocie, do której można mieć zaufanie. Potem, w latach szkolnych oraz na początku studiów uniwersyteckich w Moskwie, poważnie myśląca rosyjska dziewczyna, moja rówieśnica, miała duży wpływ na formowanie się moich zainteresowań i mojej postawy wobec życia. A jednak od czasu, kiedy zacząłem myśleć politycznie, tzn. mniej więcej od początku pierwszej wojny światowej, w moich ideałach nigdy nie było miejsca na jakiś prawnopanstwowy związek ziem dawnej Rzeczypospolitej z Rosją.

Lecz w mojej politycznej postawie nie było jednak żadnego urazu przeciwko temu co się nazywa Wschodem, jak to bywa u wielu Polaków. Odwrotnie, ten Wschód Europy był mi bliski;

właściwie ja sam swoją całą kulturalną formacją do niego należałem; uważałem jednak, że ten Wschód musi być broniony przed destrukcyjnym oddziaływaniem organizacji państwowej, która wyrosła dokoła Rusi Suzdalskiej i Moskwy. Jeszcze w bardzo wczesnej młodości wyrobiło się we mnie pod wpływem lektury powieści historycznych Dmitra Merezkowskiego przekonanie że, przy wielkich twórczych walorach ducha rosyjskiego, w państwowości rosyjskiej tkwiły pewne elementy absolutnego zła. Pobyt w łagrach spotęgował to przekonanie.

Na historię Polski przewyżczałem się również patrzeć poprzez pryzmat roli Rzeczypospolitej na Wschodzie. Będąc w szkole rosyjskiej, historii Polski uczyłem się na tajnych kółkach samokształceniowych. Fascynowały mnie przede wszystkim dzieje Wielkiego Xięstwa Litewskiego oraz unii polsko-litewskiej; pułki kozackie i tatarskie w służbie Rzeczypospolitej; cerkwie ruskie bijące w dzwony dla uczczenia zwycięstwa nad księciem moskiewskim, „wrogiem wiary prawosławnej”; Jagiellonowie, którzy, przyjeżdżając do Wilna, wydawali swoje „hramoty” w języku ruskim; tolerancja religijna w okresie reformacji. Nigdy też nie byłem pewny czy książę Janusz Radziwiłł, którego potępił Sienkiewicz w „Potopie”, oraz hetman Mazepa, którego potępił Puszkina, istotnie błędzili szukając sojuszu ze Szwecją. Wydawało mi się, że Polska XVII-go wieku musiała szukać zbliżenia ze Szwecją, tak samo jak zasadniczą linią polityki polskiej w XX-tym wieku musiało być szukanie oparcia o Niemcy.

To moje ogólne nastawienie przerodziło się w dość konkretny program polityczny, który sformułowałem kilkakrotnie, jeszcze w latach studenckich, gdy po wojnie 1919-1920 roku opuściłem wojsko. Zasadniczymi punktami tego programu było odsunięcie Rosji z dorzecza Dźwiny i Dniepru oraz utworzenie pomiędzy Niemcami i Rosją czegoś na wzór Szwajcarii — państwa wielojęzycznego łączącego różne narodowości tego rejonu wspólnością organizacji obrony oraz polityki zagranicznej. Warszawa niekoniecznie musiałaby być centrum tego państwa, lecz w mojej koncepcji musiała odegrać dużą rolę w kształceniu inteligencji ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej, uzupełniając pod tym względem tę rolę, którą Masaryk przeznaczał Pradze Czeskiej i w pewnym stopniu konkurując z Pragą.

Warunkiem realizacji tego programu było jednak uprzednie uregulowanie stosunków polsko-niemieckich. Ani Ukraińcy, ani Białorusini, ani Litwini, ani tym bardziej Łotysze i Estończycy nie mogli widzieć korzyści w jakimś ściślejszym połączeniu się z Polską dopóki ciążyła na nas groźba ostrego konfliktu z Niemcami. Taka formacja mogłaby się bronić przeciwko naciskowi

rosyjskiemu tylko wówczas gdyby miała oparcie o niemieckie bazy przemysłowe. Stąd od samego początku odrodzonego po pierwszej wojnie światowej państwa Polskiego byłem gorącym zwolennikiem szukania dróg do porozumienia się z Niemcami. Byłem też gorącym wielbicielem Józefa Piłsudskiego; wydawało mi się, że Wyprawa Kijowska, pomoc okazana Łotwie w odbudowaniu niepodległości, uparte przeciwstawienie się bezapelacyjnemu wcieleniu Wilna do Polski, oraz ostrożna postawa wobec Niemiec szły po linii tych samych dążeń politycznych. W 1920 roku zaistniały konkretne warunki dla realizacji tego programu, lecz ani Polacy, ani inne narody naszego regionu geograficznego, ani tym bardziej wielkie mocarstwa, które wygrały pierwszą wojnę światową, nie były przygotowane ideologicznie i psychicznie do tego rozwiązania. Piłsudski był w gruncie rzeczy osamotniony z grupką swoich zwolenników, wśród których nie było żadnej prawdziwie wybitnej indywidualności. Czy ta druga wojna otworzy te możliwości?

Związek Sowiecki potrafił obronić Moskwę, która była centralnym węzłem komunikacyjnym tego państwa. Lecz wydawało mi się wątpliwe czy potrafi utrzymać linię dolnej Wołgi oraz wielkich centrów naftowych. Jeżeli to wszystko pęknie, co dalej? Byłem przekonany, że Niemcy ostatecznie zostaną złamane: różnica potencjałów była oczywista. Lecz czy mocarstwa zachodnie mają jakiś rozsądny program dla Wschodniej Europy? Czy jest w ogóle ktokolwiek w Londynie czy Waszyngtonie, kto by taki program był zdolny opracować? Wydawało się mi że byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby powstała jakaś silna grupa ukraińska współpracująca aktywnie z koalicją zachodnią, która by usiłowała przyzwyczaić opinię zachodnią do idei niepodległego państwa ukraińskiego. Starłem się myśleć w kategoriach interesów całego rejonu szesnastowiecznej Rzeczypospolitej jako pewnej całości. Czy był w Londynie ktokolwiek co myślał tymi samymi kategoriami? Tego właśnie spodziewałem się dowiedzieć w Kujbyszewie, gdzie w Ambasadzie, jak mi mówił Pehr, było kilku moich przedwojennych przyjaciół. Nie byłem nigdy w życiu aktywnym politykiem, nie należałem do żadnej partii politycznej. Pomimo, że byłem zwolennikiem, chociaż nie-bezkrytycznym, Józefa Piłsudskiego nie należałem nigdy do BBWR ani do OZONU. Lecz interesowałem się niezmiernie ideami politycznymi i zastanawiałem się nad tym jakie koncepcje powojennego urzędzenia Europy wyklarują się dzisiaj w wielkich centrach polityki światowej.

Byłem, po trzech latach więzienia i łagrów na początku jakiegoś nowego okresu w moim życiu. Myśl moja wybiegała

naprzód rodząc niezliczone znaki zapytania; to znowu cofała się wstecz wydobywając z pamięci cienie ludzi i rzeczy, które chociaż należały do bezpowrotnej przeszłości, ożywały nieraz w moich snach podczas dusznych nocy w sowieckich więzieniach. Rosja, która wycisnęła tak silne piętno w moim dzieciństwie i początku mojej młodości, stawała się dla mnie znowu wielkim problemem politycznym i osobistym. Myślałem o rodzinie mojej matki, gdzie powstańcy polscy, którzy ginęli na szubienicach lub syberyjskich więzieniach, mieszała się z generałami carskimi, o różnych przyjaciółach moich rodziców, o tragicznych losach różnych Rosjan, wśród których upływało moje dzieciństwo oraz wczesne lata mojej młodości. Tęskną myślą wracałem do swojej rodziny, od której spodziewałem się znaleźć w Ambasadzie jakąś wiadomość.

W tym właśnie usposobieniu raczej zadumy niż podniecenia opuszczałem ów komfortowy statek na przystani Kujbyszewa, miasta, które podczas wojny było drugą stolicą Związku Sowieckiego.

Rozdział V

KUJBYSZEW

Ambasada

Ambasada w Kujbyszewie miała charakter raczej ekspedycji ratunkowej niż przedstawicielstwa dyplomatycznego. Nikt nie wiedział dokładnie ilu deportowano polskich obywateli pomiędzy październikiem 1939 a czerwcem 1941 roku. Według bardzo przybliżonej oceny cyfra ta sięgała do 1,2 milionów ludzi umieszczonych w łagrach, posiołkach i więzieniach. Według umowy Rządu Polskiego w Londynie z rządem sowieckim z sierpnia 1941 roku wszyscy ci ludzie musieli być zwolnieni, lecz tylko bardzo niewiele osób mogło się spodziewać opuszczenia terytorium sowieckiego przed zakończeniem wojny. Większość tych ludzi potrzebowała pomocy materialnej oraz opieki moralnej. Tysiące ludzi zgłaszało się o wystawienie im paszportów polskich. Nieraz trudno było dojść, czy zgłaszający się istotnie byli obywatelami polskimi, bo były wypadki, że stali mieszkańcy Związku Sowieckiego przedstawiali sfingowane dowody swego obywatelstwa polskiego, aby zdobyć tytuł do opuszczenia socjalistycznej ojczyzny, gdy się ku temu nadarzy okazja. Coraz to nadchodziły wiadomości, że w różnych łagrach i posiołkach obywatele polscy byli przetrzymywani przez władze sowieckie wbrew wyraźnemu brzmieniu umowy w tej sprawie. Stąd dwoma szczególnie czynnymi wydziałami w pracach ambasady były: wydział opieki społecznej, na czele którego stał w chwili mego przybycia Stefan Gacki oraz wydział interwencyjny pod kierownictwem profesora Sukiennickiego. Ten ostatni wydział przeprowadzał ewidencję zesłańców oraz organizował interwencję w sprawie tych, którzy wymagali specjalnej opieki państwa polskiego.

Problemy ściśle polityczne, a przede wszystkim podstawowa kwestia przyszłości stosunków polsko-rosyjskich, zajmowały raczej drugorzędne miejsce w zainteresowaniach członków oraz rezydentów Ambasady. Jedynym człowiekiem, który tę kwestię wysuwał na pierwszy plan i ciągle do niej wracał w dyskusjach, był Ksawery Pruszyński przybyły z Londynu jako attaché prasowy. W Ambasadzie był tylko jeden człowiek posiadający doświadczenie dyplomatyczne, mianowicie minister Henryk Sokolnicki, nasz były poseł w Finlandii. Ambasador Kot rozumiał swoją misję przede wszystkim w terminach ekspedycji ratunkowej, traktując kwestie czysto polityczne jako rzeczy drugoplanowe. Ciągłe podkreślał, że nie ma doświadczenia dyplomatycznego oraz, że nie zna się na Rosji. Był wybitnym historykiem kultury i szczególnie przygnębiały go wiadomości, które nadchodziły z kraju, o polityce fizycznej eksterminacji, prowadzonej przez niemieckie władze okupacyjne w stosunku do polskich warstw kulturalnych. Uważał więc że musi być zrobiony maksymalny wysiłek, aby uratować przedstawicieli tych warstw, którzy ginęli w łagrach, więzieniach i na posesiokach sowieckich. Wydobywał z różnych zakątków Związku Sowieckiego literatów, artystów, naukowców, dziennikarzy, sprowadzał ich do Ambasady oraz starał się powoli ekspediować za granicę. Po moim przyjeździe do Kujbyszewa zastałem w Ambasadzie z wybitnych przedstawicieli literatury polskiej Wacława Grubińskiego, Władysława Broniewskiego, Wiktora Weintrauba, Teodora Parnickiego, nie licząc wspomnianego już Ksawerego Pruszyńskiego. Z profesorów uniwersytetów byli tam: Stanisław Kościakowski (historyk), Skąpski (chemik), Wiktor Sukiennicki (prawnik), który, jak wspominałem, pełnił bardzo istotne funkcje związane z działalnością Ambasady; ze znanych przedwojennych dziennikarzy byli: Bernard Singer (*Nasz Przegląd*) oraz Roman Fajans (*Kurier Warszawski*). Było poza tym kilkunastu działaczy społecznych i kulturalnych, którzy nie dadzą się zakwalifikować do powyższych trzech kategorii; wśród nich wybitny jezuita wileński o. Kucharski.

Natychmiast po przyjeździe i ulokowaniu się w rodzaju internatu, który istniał przy Ambasadzie, poszedłem aby się zameldować u szefa polskiej misji wojskowej przy rządzie rosyjskim, gen. Wolikowskiego. Rozmowa z natury rzeczy dotyczyła przede wszystkim tajemnicy Kozielska. Generał prosił mnie aby na piśmie w zwartej formie przedstawił to, co zaobserwowałem podczas transportu z Kozielska do wewnętrznego więzienia NKWD w Smoleńsku. W ten sposób powstał mój wspomniany już powyżej raport, który zwracał uwagę władz polskich na okolice Smoleń-

ska jako na rejon, którego zbadanie może przyczynić się do wyświecenia tej dręczącej tajemnicy. Był to zupełnie inny geograficznie kierunek poszukiwań, niż ten, na który dotychczas była zwrócona uwaga sztabu armii polskiej w Rosji. Jednocześnie odpisy tego raportu złożyłem Ambasadorowi oraz Wydziałowi Interwencyjnemu Ambasady. Profesor Sukiennicki wydawał się być szczególnie zaskoczony wiadomością, że przynajmniej część jeńców Kozielskich wywożono do rejonu Smoleńska. Najbardziej intrygującym było pytanie dlaczego władze sowieckie pomimo ciągłych, można nawet powiedzieć natarczywych, zapytań ze strony Ambasady oraz dowództwa armii polskiej w Rosji nigdy tego rejonu nie wymieniły, tym bardziej że, jak wynikało z mojej opowieści, transporty nie były wynikiem jakiejś lokalnej decyzji, lecz były bardzo dokładnie i skrupulatnie regulowane przez władze centralne w Moskwie. Nie ulegało więc wątpliwości, że wszystkie dane w sprawie tych transportów były w posiadaniu centrali NKWD.

W dłuższej rozmowie z Ambasadorem, na którą on mnie zaprosił w kilka dni potem, odniosłem wrażenie, że pomiędzy Ambasadą a czynnikami wojskowymi, tzn. dowództwem Armii Polskiej, organizującej się w rosyjskiej Armii Centralnej oraz Misją Wojskową w Kujbyszewie były jakieś tarcia, które ujemnie odbijały się na koordynacji wysiłków w sprawie poszukiwania zaginionych oficerów i policjantów. Miałem wrażenie, że profesor Kot był raczej nieprzyjemnie zdziwiony, kiedy mu powiedziałem, że pierwszym moim krokiem w Kujbyszewie było zgłoszenie się do szefa Misji Wojskowej. Powiedział mi, że nie bardzo widzi po co to było potrzebne, tym bardziej że w rządzie w Londynie istnieją zamiary innego użycia moich kwalifikacji niż w wojsku. Wyjaśniłem mu, że formalnie wobec prawa polskiego, jestem oficerem powołanym do czynnej służby wojskowej i zgłosiłem się do szefa Misji Wojskowej w wyniku przepisów regulaminu nakazującego oficerowi, który się wydostaje z niewoli, natychmiast zameldować się do najbliższych władz wojskowych. Powiedziałem jednocześnie, że gotów jestem podjąć się wszelkiej pracy, którą legalne władze państwa polskiego zechcą mi zlecić, lecz że sprawa ta musi być formalnie załatwiona z odpowiednim dowództwem wojskowym, do którego zostaną przydzielony.

W dalszym ciągu rozmowy wywnioskowałem, że zarówno Ambasador jak i gen. Sikorski w Londynie byli nieco zaskoczeni pertraktacjami, które gen. Anders na własną rękę prowadził z czynnikami brytyjskimi w sprawie przeniesienia oddziałów polskich z rosyjskiej Azji Centralnej pod operacyjne dowództwo brytyjskie na Środkowym Wschodzie. Ambasador skarżył się

również, że wojsko na zlecenie brytyjskie prowadzi akcję wywiadowczą, co może narazić na niebezpieczeństwo akcję ratunkową, którą Ambasada prowadzi w stosunku do ludności polskiej deportowanej do Związku Sowieckiego. Znając sowiecki uraz na punkcie obcych wywiadów oraz tradycyjną rosyjską nieufność do wszystkiego co nosiło piętno brytyjskie, szczególnie jeżeli to było związane z Centralną Azją i Bliskim Wschodem, uważałem że obawy ambasadora były jak najbardziej uzasadnione.

Podczas tej kilkugodzinnej rozmowy prof. Kot opowiedział mi wiele rzeczy, które się działy w rządzie emigracyjnym w Paryżu i Londynie w ciągu tego blisko trzyletniego okresu, który spędziłem w więzieniach i łagrach sowieckich. W szczególności prof. Kot był oburzony na akcję Prezydenta Raczkiewicza, który dążył do rozdzielenia pozycji Naczelnego Wodza od funkcji Premiera rządu emigracyjnego: obie te funkcje generał Sikorski kumulował w swoich rękach. Z opowieści prof. Kota wynioskowałem, że przyjaciele Sikorskiego spowodowali presję czynników brytyjskich na Prezydenta, aby zmusić go do rezygnacji z tej koncepcji. Przypomniałem sobie w tej chwili rozmyślania na Łubiance o ograniczeniu swobody ruchów polityki polskiej w rezultacie sytuacji, która wytworzyła się w chwili wybuchu wojny. Chociaż byłem bardzo wdzięczny prof. Kotowi za jego uprzejmość i życzliwość w stosunku do mnie, pomyślałem jednak, że obóz polityczny, który on reprezentuje, nie miał tego poczucia godności państwa, o które tak bardzo dbał Marszałek Piłsudski.

Prof. Kot opowiadał mi również o opozycji powstałej na emigracji z powodu umowy polsko-rosyjskiej z 1941 roku. Umowa ta, którą gen. Sikorski zawarł na własną odpowiedzialność — bo nawet bez porozumienia z Ministrem Spraw Zagranicznych, którym był wówczas August Zaleski — dała zwolnienie dziesiątkom tysięcy Polaków deportowanych do sowieckich łagrów i posiołków oraz umożliwiła chociaż częściowo odtworzenie armii polskiej. Pozostawała jednak otwarta sprawa granicy polsko-rosyjskiej. Oznaczało to, że Stalin, nawet w owych tragicznych dniach sierpnia 1941 roku, kiedy setki tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej poddawały się bez wystrzału maszerującym naprzód pancernym oddziałom niemieckim, nie zrezygnował z korzyści, które dał Rosji jego pakt z Hitlerem. Tak samo zresztą jak dwadzieścia lat przedtem gen. Denikin, nawet w najbardziej tragicznym dla siebie momencie, nie chciał wyrzec się zdobyczy terytorialnych wynikłych z rozbiorów Polski. W wielu ludzi w Londynie i w kraju uważało jednak, że warunki jakiegokolwiek porozumienia z Rosją w sprawie dalszego prowadzenia wojny, muszą

być niedwuznaczne: Odwołanie przez Związek Sowiecki paktu z Niemcami w sprawie podziału Państwa Polskiego, oraz niedwuznaczne wyrzeczenie się wszelkich zdobyczy terytorialnych wynikłych ze złamania przez Związek Sowiecki we wrześniu 1939 roku sowiecko-polskiego paktu o nieagresji. Wobec arbitralnego zachowania się gen. Sikorskiego w tej sprawie kilku ministrów opuściło rząd londyński. Ustąpili wówczas gen. Sosnkowski i August Zaleski.

Profesor Kot twierdził, że osiągnięcie zgody Stalina na te warunki było w owym momencie niemożliwe; tymczasem sprawa była nagła, bo zachodziła obawa, że większość polskich więźniów fizycznie nie przetrzyma jeszcze jednej zimy w łagrach sowieckich. Poza tym umowa dawała możliwość poważnego rozbudowania polskiej siły zbrojnej, co mogło być ogromnym atutem w chwili zakończenia wojny. Ostatecznie o ukształtowaniu granic będzie decydował stosunek sił w chwili zakończenia wojny, a nie umowy podpisane na jej początku. Dlatego też gen. Sikorski zdecydował się na pierwszy plan wysunąć kwestię wojska, odkładając na potem sprawę granic, jako mniej w danej chwili istotną, tym bardziej, że całe terytorium do którego Sowiety wysuwały pretensje i tak znajdowało się pod okupacją niemiecką. Profesor Kot organizował pomiędzy byłymi więźniami sowieckimi akcję zbierania podpisów dla poparcia stanowiska gen. Sikorskiego w związku z zarzutami wysuwanymi przez jego oponentów. W owej rozmowie uchyliłem się od zajęcia wyraźnego stanowiska. Dziś jednak, gdy patrzę na kwestię polsko-sowieckiej umowy z 1941 roku w perspektywie tego cośmy przeżyli, myślę że to Sikorski i Kot, a nie ich oponenti, mieli rację.

W czasie tej rozmowy zadałem pytanie, które dziś uważam za charakterystyczne dla stanu mojej umysłowości w chwili gdy opuszczałem więzienie. Mianowicie zapytałem prof. Kota w jakim stopniu wiadomości, które wyczytałem w różnych pismach prowadzonych przez Ambasadę, że Niemcy organizują masowe spalanie Żydów są prawdziwe, a w jakim stopniu stanowią one jedynie trick propagandy alianckiej. Widziałem w swoim życiu wiele okrutnych cierpień zadawanych człowiekowi przez człowieka. Jako kilkunastoletni chłopiec oglądałem z bliska front pierwszej wojny; widziałem rewolucję rosyjską; byłem świadkiem masowych egzekucji dokonywanych przez Czerezwyczajkę; widziałem kilkakrotnie akty bezmyślnych okrucieństw, wynikających z chaosu kampanii wrześniowej; dopiero co przeszedłem sowieckie więzienia i łagry, gdzie nasłuchiwałem się opowieści o różnych metodach tortur stosowanych przez NKWD. Wiedziałem, że od czasu gdy Beria zastąpił Jeżowa istniał w Związku Sowieckim

pewnego rodzaju regulamin tortur, których zastosowanie przez urzędników śledczych zależało od zgody wyższych władz. Bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, słyszałem kilkakrotnie opowiadania o tym jak w szpitalu dermatologicznym na ul. Sawicz w Wilnie Niemcy zagazowali kilkadziesiąt zarażonych prostytutek: oznaczało to, że w Niemczech istniała nawet pewna tradycja tej metody. A jednak nie mogłem sobie wyobrazić, aby jakieś państwo organizowało systematycznie, z zastosowaniem całego aparatu współczesnej techniki, ordynarne mordowanie całych grup etnicznych, liczących setki tysięcy ludzi. Wydawało mi się zawsze, że istnieją pewne imperatywy moralne, na których przekroczenie żadna organizacja państwowa, nawet organizacja państwa totalnego, nie będzie się wazyła. Wierzyłem, że te imperatywy stanowiły fakt, a nie pobożny postulat. Na to prof. Kot wyciągnął kilka poufnych raportów krajowych organizacji podziemnych i poprosił mnie, abym je przeczytał. Sprawa nie wzbudziła wątpliwości: niemieckie piece eksterminacyjne były rzeczywistością.

To stwierdzenie miało podstawowe znaczenie dla mego osobistego poglądu na sprawy wojny, która się wówczas toczyła. Byłem zawsze zwolennikiem szukania porozumienia z Niemcami, niezależnie od ustroju, jaki tam panował. Było również dla mnie zawsze rzeczą jasną; że jeżeli dojdzie do wojny z Niemcami hitlerowskimi, będzie to wojna bardzo bezwzględna. W czasie moich przedwojennych wyjazdów do Niemiec wyrobiłem sobie pogląd, że hitlerowska polityka wahała się pomiędzy dwoma skrajnymi koncepcjami w sprawie Polski: sojuszu lub eksterminacji. Brałem udział w różnych dyskusjach na temat konsekwencji tej sytuacji. Brałem udział w różnych dyskusjach na temat konsekwencji tej sytuacji. Lecz z chwilą gdy piece dla spalania ludzi zostały zmontowane, kończył się zakres koncepcji politycznych; wchodziło się w świat bezwzględnych imperatywów moralnych. Hitler i jego partia stanowili zło bezwzględne i musieli być złamani bo zagrażali samym podstawom ludzkiego współżycia na ziemi. Kwestia interesów państwa polskiego schodziła wobec tego podstawowego faktu na dalszy plan: z Hitlerem należało walczyć nawet jeżeli własny interes Polski nakazywał szukania kompromisu. Pomimo wszystkiego co w Związku Sowieckim widziałem i pomimo wielu innych potworności, których nie widziałem lecz o których wiedziałem, nie wydawało się mnie że system sowiecki dopuszczał podobne metody. Wątpiłem czy moi koledzy z Kozielska byli jeszcze przy życiu, lecz nie wydawało się mi prawdopodobne żeby byli oni zlikwidowani metodą masowego, planowo zorganizowanego, mordu.

W jakiś czas po tej rozmowie z ambasadorem Kotem, o. Kucharski zakomunikował mi, że biskup Gawlina chciałby ze mną porozmawiać i że zaprasza mnie na obiad w ścisłym gronie, w jednym z zakamarków Ambasady. Z pewnym zdziwieniem dowiedziałem się więc, że wśród czasowych rezydentów Ambasady był również biskup polowy wojsk polskich. Wizytował on polskie oddziały w Afryce Północnej oraz w rosyjskiej Centralnej Azji, przy okazji starając się zetknąć z Polakami świeżo zwolnionymi z łagrów. Biskup polowy wojsk polskich, wizytujący dywizje polskie stacjonujące w Kazachstanie, stanowił jaskrawą ilustrację tego chaosu, który ogarnął państwo Stalina w pierwszym roku wojny. Biskup Gawlina był oczywiście poruszony sprawą zaginionych oficerów, lecz w równej mierze interesował się problemem łagrów w ogóle, oraz warunkami moralnymi w których znajdowali się tam więźniowie. Powiedziałem mu, że wbrew temu co wynika z opowieści o niemieckich obozach, nie zauważyłem w Sowietach nastawienia na świadome i zamierzone okrucieństwo, oraz że ogromna śmiertelność i dramatyczne warunki bytu więźniów sowieckich są raczej wynikiem systemu niż ludzi, którzy pod ogromną presją wykonują instrukcje centralnej władzy. Mówiłem również, że od czasu gdy Beria zastąpił Jeżowa zarysowały się pewne tendencje do oszczędzania życia ludzkiego. Istnienie tych tendencji przemawiało przeciwko przypuszczeniom, że nasi oficerowie zostali po prostu wymordowani, chociaż z drugiej strony trudno było sobie wyobrazić jakąś straszną katastrofę, która by ich wszystkich pozbawiła życia i to jednocześnie w trzech obozach, oddalonych od siebie setkami kilometrów.

Sprawa Ehrlicha i Altera

Obok tajemnicy zaginionych oficerów jeszcze było inne niepokojące wydarzenie, które w chwili mego przybycia do Kujbyszewa ciążyło nad życiem Ambasady. Była to sprawa Ehrlicha i Altera, chociaż w owym momencie nie wiedzieliśmy jeszcze o ich egzekucji. Henryk Ehrlich oraz Wiktor Alter byli socjalistycznymi działaczami, którzy należeli do przywódców „Bund'u”. „Bund” stanowił żydowski odpowiednik P.P.S.'u, tzn. że pod względem ideologicznym stanowił część Drugiej Międzynarodówki. Bundowcy nie wyznawali ideałów syjonistycznych i przyszłość żydowskiej klasy robotniczej w Polsce wiązali z losami państwa polskiego. Alter był członkiem komitetu wykonawczego Drugiej Międzynarodówki i był również mianowany członkiem polskiej

Rady Narodowej w Londynie, stanowiącej namiastkę Polskiego Parlamentu na wygnaniu. Obydwaj uciekali na Wschód przed inwazją hitlerowską i w ten sposób wpadli w ręce sowieckie. Po uwolnieniu nawiązali szereg kontaktów w Rosji i poza Rosją i rozwinęli pewnego rodzaju akcję, zmierzającą do konsolidacji komunistycznych i niekomunistycznych elementów zdecydowanie anty-hitlerowskich. Założyli również w Rosji Żydowski Komitet **Antyfaszystowski**. Władze sowieckie zdawały się patronować tej akcji. Dano im do dyspozycji pewien aparat sekretarski i transportowy, tzn. obstawiono ich ze wszystkich stron prowokatorami.

Z tego co mi w Ambasadzie opowiadano odniosłem wrażenie, że jako socjaliści, którzy wierzyli w mitologię marksistowską, przypuszczali, że wobec niebezpieczeństwa faszystowsko-hitlerowskiego nadszedł moment do zlikwidowania sporu pomiędzy Drugą a Trzecią Międzynarodówką i prawdopodobnie coś w tym sensie gadali. Jeżeli tak było, to istotnie wykazali dość dużo naiwności oraz zupełne niezrozumienie mentalności ludzi, którzy rządili Rosją. Po pierwsze rozszerzenie się tego rodzaju ideologii wewnątrz Rosji uderzałoby w same podstawy dyktatury Stalina; i chociaż w pewnych warunkach mogło stanowić towar eksportowy, w żadnym wypadku nie mogło być przeznaczone na wewnętrzną konsumpcję. Po wtóre trzeba było pamiętać o bezgranicznej pogardzie, które sfery rządzące Rosją stalinowską żywiły dla wszelkiego rodzaju zachodnio-europejskich humanitarystów zarówno socjalistycznego, jak i burżuazyjno-demokratycznego autoremantu. Podkreślam tutaj przymiotnik zachodnio-europejski, bo jeżeli chodzi o amerykańskich „przyjaciół Związku Sowieckiego”, stosunek do nich był nieco bardziej skomplikowany. Po trzecie, trzeba było pamiętać o rosnącej fali antysemityzmu, której Stalin mniej lub więcej dyskretnie patronował. Toteż wybitny przedstawiciel Drugiej Międzynarodówki, który w dodatku był Żydem, stanowił w Związku Sowieckim element podwójnie niepożądany.

Pewnego wieczoru Ehrlich i Alter, którzy tak samo jak szereg innych rezydentów Ambasady posiadali karty wstępu do dyplomatycznej restauracji, gdzie można było dobrze i tanio zjeść, poszli tam na kolację i nigdy już nie wrócili. Po kilku dniach poszukiwań, które nie dały żadnych rezultatów, miejscowe NKWD przyznało się, że ma Ehrlicha i Altera pod kluczem. Poruszono sprężyny międzynarodowe, z panią Eleanor Roosevelt włącznie, lecz nie potrafiły one wyrwać tych dwóch wybitnych socjalistów żydowskich ze szponów NKWD. Ten wypadek oddziałł deprymująco na samopoczucie rezydentów Ambasady, szczególnie tych, którzy nie mieli paszportów dyplomatycznych. Zrozumiano, że każdy może jutro znaleźć się z powrotem tam,

skąd go wyrwała umowa gen. Sikorskiego ze Związkiem Sowieckim.

Opowiadano mi również w Ambasadzie, że gdy prof. Kot w pewnej chwili zwrócił się do zastępcy komisarza Spraw Zagranicznych Andrieja Wyszynskiego — który zwykle w zastępstwie Mołotowa przyjmował dyplomatów akredytowanych przy rządzie sowieckim — z prośbą o zwolnienie Ehrlicha i Altera, ten odpowiedział, że jest to niemożliwe ponieważ byli oni szpiegami niemieckimi. Prof. Kot próbował argumentować zwracając uwagę Wyszynskiego na okoliczność, że to byli przecież działacze socjalistyczni, szeroko znani na świecie, a w dodatku Żydzi. Wyszynski na to zaskoczył Kota odpowiedzią, że Trocki był również Żydem i socjalistą, a okazał się szpiegiem niemieckim. Cóż na takie postawienie sprawy mógł odpowiedzieć Ambasador akredytowany przy rządzie sowieckim?

Wyszynski był jedną z najbardziej nikczemnych postaci systemu stalinowskiego. Człowiek niewątpliwie inteligentny, uczonego prawnik, który napisał kilka książek na tematy teoretyczne — odgrywał dużą rolę w wyższym szkolnictwie sowieckim. Przed rewolucją, a również w pierwszym okresie po rewolucji, był członkiem mienszewickiego odłamu rosyjskiej Socjalnej Demokracji. Podobno przeszedł do bolszewików dopiero po roku 1920. Za czasów dyktatury stalinowskiej odegrał dużą rolę jako naczelny prokurator i główny organizator sławnych sowieckich procesów pokazowych. Przyczynił się ogromnie do egzekucji szeregu starych bolszewików oraz przyjaciół i współpracowników Lenina. Był głównym oskarżycielem w procesach Zinowiewa, Kamieniewa, Bucharina i innych. Był jednym z głównych wykonawców tej polityki, którą Leonard Schapiro w swojej fundamentalnej historii sowieckiego komunizmu nazywa walką Stalina przeciwko partii. W czasie wojny (czy też bezpośrednio przed wojną) przeszedł do służby zagranicznej jako zastępca Mołotowa. Ehrlich i Alter reprezentowali ten sam kierunek myśli socjalistycznej, z którym Wyszynski był związany co najmniej od 1903 roku do chwili swego przerwania się do komunistów około 1920 roku. Na pewno znał ich nazwiska na długo przedtem niż oni znaleźli się w Związku Sowieckim. Nie jest wykluczone, że odegrał jakąś osobistą rolę w ich likwidacji. Wyszynski był podobno polskiego pochodzenia. Kiedyś Kot opowiadał mi, że zagadnął go na ten temat. Wyszynski nie przeczył, lecz zaznaczył, że z polskością nic już go nie łączy.

Sprawa Ehrlicha i Altera przyczyniła się bardzo do tego, że właśnie w Ambasadzie, gdy byłem już na wolności, zacząłem bardziej bezwzględnie oceniać okrucieństwo systemu sowieckiego,

niż robiłem to w myślach wówczas, gdy byłem rezydentem sowieckich więzień i obozów. Sprawa ta unaoczniała mi również, że Sowiety w swoich decyzjach o wiele mniej liczą się z opinią zagraniczną niż to się powszechnie przypuszczało, chociaż czasami w mniej lub więcej zakamufłowany sposób starają się wpływać na kształtowanie tej opinii. Ehrlich i Alter zostali skazani w chwili gdy Związek Sowiecki, po niefortunnych próbach ułożenia się z Hitlerem, toczył śmiertelną walkę o byt. W tej walce wszyscy socjaliści na świecie, jak również wszyscy Żydzi, wydawali się naturalnymi sojusznikami. Był to dopiero początek wojny. Związek Sowiecki potrzebował materiałowej i technicznej pomocy Zachodu i nie było wiadome w jakim zakresie ta pomoc będzie udzielona. Żydowski Komitet Antyfaszystowski, który Ehrlich i Alter usiłowali utworzyć, mógł być bardzo użyteczny w rozszerzeniu ram tej pomocy. A jednak sowieckie czynniki decydujące uznały, że pozbycie się tych dwóch socjalistycznych przywódców jest ważniejsze niż wszystkie względy na sytuację międzynarodową i nawet niż względy na pilne wymogi toczącej się wojny.

Sprawa Ehrlicha i Altera miała swoje znaczenie dla oceny perspektyw odnalezienia naszych zaginionych oficerów. W Koziełsku nieraz słyszałem opinię, że ostatecznie nam żadne skrajne okrucieństwo w sensie egzekucji lub posłania na ciężkie roboty, nie może grozić, bo, chociaż Sowiety nie podpisały konwencji Genewskiej w sprawie traktowania jeńców wojennych, to przecież muszą liczyć się z opinią świata. Jeżeli w tym dramatycznym dla siebie momencie władze sowieckie zlekceważyły apel wybitnych przedstawicieli opinii amerykańskiej, włączając w to p. Eleanor Roosevelt, to dlaczego mieliby się specjalnie troszczyć o los oficerów polskich, którzy na pewno mieli w prasie i radiu zachodnim mniej przyjaciół niż wybitni przywódcy socjalizmu żydowskiego. Swój optymizm co do możliwości, że co najmniej niektórzy z naszych oficerów mogą się jeszcze odnaleźć, opierałem raczej na tym, że według tego co słyszałem w więzieniach i łagrach, masowe egzekucje zostały przerwane z chwilą usunięcia Jeżowa głównego komisarza NKWD i mianowanie na jego miejsce Berii.

Nie wiemy jakie były istotne powody egzekucji Ehrlicha i Altera, która — należy przypuszczać — była osobistą decyzją Stalina. Zgodnie z tym, co już powyżej zostało napisane, powody ich egzekucji były raczej wewnętrzno-partyjnej natury. Egzekucja ta była ostrzeżeniem dla wszystkich wybitniejszych członków partii, aby nie wazyli się wdawać w jakieś kontakty ze sferami Drugiej Międzynarodówki, lub międzynarodowymi organizacjami żydowskimi. Lecz jednocześnie była to rękawica rzucona całej

demokracji zachodniej. Nie pofatygowano się nawet, aby zorganizować jakiś proces pokazowy, jak to było w wypadku wybitnych przedstawicieli opozycji partyjnej, lub jeszcze przedtem wybitnych przedstawicieli demokratycznych kierunków ruchu socjalistycznego (tzn. mienszewików i socjal-rewolucjonistów).

Był w tym potraktowaniu sprawy ponury styl Stalina, lecz było jednocześnie ostrzeżenie czego się Zachód może spodziewać, jeżeli system sowiecki wyjdzie z tej próby wojennej zwycięsko. Wydawało się wówczas nam, tzn. rezydentom Ambasady, że potraktowanie sprawy Ehrlicha i Altera przez władze sowieckie musiało wstrząsnąć opinią publiczną w Stanach Zjednoczonych i Anglii. Po kilku latach spędzonych w więzieniach i obozach nie orientowaliśmy się wówczas jak mało ta opinia była skłonna do jakiejś reakcji na wszelkie nieprawości i zbrodnie sowieckie, i jak bezceremonialnie prasa, radio i przemysł filmowy okłamywały swoich czytelników i słuchaczy jeśli idzie o te sprawy. Wszelka akcja, którą by podjęto, aby tę opinię poruszyć, musiała spalić na panewce.

W Ambasadzie, wśród ludzi z którymi na temat Ehrlicha i Altera rozmawiałem, szczególnie wydawał się mi wstrząśnięty Bernard Singer, znany dziennikarz polsko-żydowski, który pisywał w prasie żargonowej oraz *Naszym Przeglądzie* dobrze redagowanym dzienniku w języku polskim, reprezentującym interesy ludności żydowskiej oraz posiadającym zwykle bardzo dobre informacje. O Singerze mówiono jako o najlepszym reporterze w Polsce. Spotykałem go przed wojną. Jesienią 1938 roku braliśmy razem udział w rządowej wycieczce do Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP), na której czele stał wicepremier gospodarczy inż. Eugeniusz Kwiatkowski. Zaproszenie mnie na tę wycieczkę było wynikiem zainteresowania, które wzbudziła moja książka o *Polityce Gospodarczej Niemiec Hitlerowskich*. Przez pięć dni zwiedzaliśmy różne zakłady przemysłowe. Przy posiłkach starałem się zawsze usiąść gdzieś w pobliżu Singera, który był niezmiernie interesującym rozmówcą z ogromnym zmysłem humoru i koneksjami niemal we wszystkich legalnych i nielegalnych ugrupowaniach politycznych, nie wyłączając komunistów.

W Kujbyszewie spotkaliśmy się z Singerem bardzo serdecznie jako starzy znajomi. Wkrótce po moim przyjeździe do Ambasady spadł na niego bolesny cios: przyszła wiadomość że jego syn, który służył w Brygadzie Karpackiej, zginął w Tobruku. Właśnie przy mnie czytał płacząc list od Jerzego Giedroycia, który również służył w tej Brygadzie i był bezpośrednim świadkiem wypadku. Singer zapewniał mnie niejednokrotnie, że jeżeli tylko dostanie się na Zachód postara się ze sprawy Ehrlicha i Altera

uczynić nową sprawę Sacco i Vanzetti, włoskich anarchistów skazanych w latach dwudziestych na śmierć przez sądy Stanów Zjednoczonych. Wykonanie tych wyroków wywołało w owych czasach protesty na całym świecie. Singer był tak tą swoją myślą poruszony, że dyktował ciągle maszynistkom jakieś artykuły, choć nie miały one żadnych widoków na wydrukowanie. Zdaje się że Kot przesyłał je do naszej ambasady w Stanach Zjednoczonych.

Z Singerem w ciągu najbliższych kilku miesięcy obcowałem dość dużo tuż po naszym spotkaniu w Kujbyszewie. W sierpniu 1942 roku towarzyszyliśmy amb. Kotowi w jego podróży z Kujbyszewa do Persji, a potem w ciągu kilku tygodni mieszkaliśmy w tym samym hotelu w Teheranie. Był on z nas wszystkich najbardziej przenikliwym krytykiem stosunków sowieckich i zrobił prawdopodobnie więcej, niż ktokolwiek z nas, aby uświadomić Kota, co do różnych nieprawości systemu sowieckiego. Potem spotkałem się z Singerem w listopadzie 1942 roku w Jerozolimie. Zaprowadził on Wiktora Weintrauba i mnie do małego hoteliku w Nowej Jerozolimie, utrzymywanego przez jakąś starą Żydówkę ze Wschodniej Polski, która gotowała wodę w samowarze, a do herbaty dawała chałki i bajgele, robiła zupę rybną w piątek i kurę po żydowsku w sobotę. Mieszkaliśmy tam razem z Singerem przez kilka tygodni. Rozkoszowałem się tym trybem życia tak, jakbym był w Oszmianie czy Święcianach, aż do czasu gdy zwolnił się dla mnie pokój w klasztorze ojców Dominikanów, gdzie mieścił się — sławny na cały świat — Papieski Instytut Biblijny, a gdzie miałem zamieszkać przez następne kilka miesięcy. W początkach 1943 roku Singer, przez swoje stosunki w Agencji Żydowskiej, dostał dla nas samochód i przewodnika, aby zwiedzić szereg kibuców na terenie całej ówczesnej Palestyny. Podróżowaliśmy razem z Wiktorem Weintraubem i prof. Sukiennickim niemal przez tydzień. Zwiedziliśmy różne typy kibuców, w tym niektóre zamieszkałe przeważnie przez komunistów, gdzie pełno było fotografii Trockiego. Singer wydawał się niezachwiany w swoim zamiarze zrobienia ze sprawy Ehrlicha i Altera jednego z centralnych tematów swojej aktywności pisarskiej i dziennikarskiej. Wkrótce potem istotnie udało mu się wyjechać do Londynu.

Gdy w maju 1944 roku znalazłem się w Londynie, nie miałem wiele okazji spotykania się z Singerem. Obracaliśmy się w różnych środowiskach polskiego uchodźstwa wojskowego i politycznego oraz w różnych środowiskach brytyjskich. Nie doszło do mojej wiadomości, aby wiele pisano o sprawie Ehrlicha i Altera w prasie angielskiej czy polskiej. Miałem jednak ogólne wraże-

nie, że Singer stracił zapał i energię do zajmowania się tą sprawą. Nie wiem czy robił jakieś próby w tym kierunku. Możliwe, że był pod presją swego bliskiego przyjaciela Izaaka Deutschera, polskiego trockisty, który emigrował do Anglii jeszcze przed wojną i zdobył poważne stanowisko w prasie brytyjskiej jako współpracownik *Observer'a*. Podczas wojny Deutscher lansował w prasie brytyjskiej sowiecki punkt widzenia na sprawy Europy Wschodniej. Po wojnie Singer pisywał w piśmie wydawanym w Anglii w języku polskim przez ambasadę rządu Bieruta.

Gdy pewnego dnia spotkaliśmy się, zaprosił mnie na kolację do swego mieszkania z zastrzeżeniem jednak, że nie będę zadawał żadnych pytań, związanych z powodami jego przejścia na służbę rządów komunistycznych. Robił wrażenie człowieka ujętego w jakieś kleszcze, mającego mocno ograniczoną swobodę ruchów. Z jego dawnego zmysłu humoru nie pozostało śladu. Wyraźnie wstydził się tej zmiany frontu. Tym się różnił od innego mego przyjaciela kujbyszewskiego, Ksawerego Pruszyńskiego, o którym piszę poniżej, a który przeszedł do służby Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z rozwiniętymi sztandarami i z przekonaniem, że robi właściwą rzecz.

Dziś nawet w pracach sowietologów i historyków niewiele można znaleźć wzmianek o sprawie Ehrlicha i Altera. Sprawa ta utonąła w powodzi innych problemów i wiadomości.

Tajemnica Leona Kozłowskiego

W przeszłości Ambasady, przed moim tam przybyciem, była jeszcze jedna nieprzyjemna sprawa, o której się nie mówiło, lecz która mnie bardzo intrygowała oraz intryguje jeszcze bardziej dzisiaj niż to było w owym czasie. Mam tu na myśli ucieczkę w kierunku zachodnim poprzez front toczącej się wojny Leona Kozłowskiego, b. profesora archeologii na uniwersytecie Lwowskim oraz byłego prezesa Rady Ministrów Państwa Polskiego. Czy była to istotnie „ucieczka”, czy został on po prostu ogarnięty przez wojska niemieckie tego nie wiem. W każdym razie mówiono mi o tym jako o ucieczce i tak podobno ta sprawa została przedstawiona w komunikacie radia niemieckiego.

Jeżeli istotnie była to ucieczka stanowiła ona wyczyn nielada, szczególnie biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie nie znał on języka rosyjskiego. Mówiono mi również, że polskie wojskowe władze sądowe, które funkcjonowały przy armii polskiej w Rosji, zbadały tę sprawę i na L. Kozłowskiego został zaocznie wydany wyrok śmierci.

Według innej wersji udał się on z Ambasady do Armii gen. Andersa, aby zaciągnąć się jako ochotnik. Po wojnie opowiadał mi książę Eugeniusz Lubomirski, że mieszkał z L. Kozłowskim na terenie tej Armii przed jego zniknięciem w jednym baraku.

Kozłowski był wywieziony przez Rosjan zdaje się, że ze Lwowa, czy też gdzieś z Małopolski Wschodniej. W okresie 1940-41 r. było w więzieniach rosyjskich trzech byłych premierów Rzeczypospolitej Polskiej: Skulski, Aleksander Prystor oraz Leon Kozłowski. Prystor, według danych władz sowieckich, zmarł w więzieniu; o Skulskim nie udało się uzyskać żadnych informacji. Zwolniono po tzw. „amnestii” jedynie Kozłowskiego. Przebywał on przez pewien czas w Ambasadzie, pełniąc okazynie różne pomocnicze funkcje. Potem zgłosił się do wojska.

Nie znałem osobiście Kozłowskiego, lecz znałem wielu ludzi, którzy go znali. Wszyscy mówili o nim jako o człowieku dużej i przenikliwej inteligencji, lecz o nieco nieustabilizowanym charakterze i nieuporządkowanym życiu osobistym. Odznaczał się podobno dużym poczuciem humoru i nieraz swoje opinie polityczne wypowiadał w formie pół żartobliwej. Powtarzano mi kilkakrotnie jego opinie o konieczności bliższego porozumienia z Niemcami, wypowiedziane w prywatnych rozmowach. Był on również daleki od zapatrywania się na północno-wschodnie ziemie odrodzonej Rzeczypospolitej jako na nieodłączną część narodowego obszaru polskiego. Franciszek Ancewicz opowiadał mi, że kiedy kilku dzieł nikarzy litewskich zainteresowało Kozłowskiego o jego pogląd na problem Wilna, Kozłowski miał odpowiedzieć, że jest to sprawa wewnętrzna pomiędzy Litwinami, a on, jako Polak, nie czuje się w prawie zabierania w tej materii głosu. Radził więc aby pytanie to zostało skierowane do litewskich członków rządu polskiego, np. Mariana Kościłkowskiego, lub Aleksandra Prystora, którzy obaj byli poprzednio prezesami polskiej Rady Ministrów.

Ucieczka na niemiecką stronę w chwili, gdy w Rosji powstawało wojsko polskie, tworzone przez legalne władze państwa polskiego do walki z Niemcami, była niewątpliwie aktem zdrady i kwalifikowała się do odpowiedniego potraktowania. Z drugiej strony w wypadku Kozłowskiego nie był to akt oportunistyczny, lecz raczej dużej niezależności myślenia i dużej odwagi osobistej. Odwagę tę wykazał on również podczas konferencji prasowej, którą Niemcy wkrótce po jego ucieczce urządzili mu w Berlinie. Krytykował nie tylko Sowietów, lecz również Niemcy, co spowodowało przerwanie konferencji. Wyobrażam sobie, że w więzieniu sowieckim musiał on prze-

chodzić przez pewnie proces samoanalizy, jak to było w moim wypadku. Jakie były zasadnicze linie jego myślenia? Jest to tajemnica, którą prawdopodobnie zabrał ze sobą do grobu. W Europie Środkowo-Wschodniej było wielu ludzi, których dręczyły wahania, jaką postawę należy zająć pomiędzy barbarzyństwem hitlerowskim a niebezpieczeństwem sowieckim. Przykładem może służyć generał Michajłowicz, były jugosłowiański Minister Wojny i przywódca przeciwniemieckiej partyzantki w ciągu pierwszych lat wojny, który został rozstrzelany, gdy po wojnie komuniści doszli do władzy w Jugosławii. Te wahania, którym ulegało wielu ludzi we Wschodniej Europie znalazły swoje odbicie w kontrowersyjnej powieści Józefa Mackiewicza *Nie trzeba głośno mówić* *.

Dziś, gdy po upływie więcej niż ćwierć wieku spisuję wspomnienia o tym co mi w sprawie Kozłowskiego mówiono w Kujawach latem 1942, nie mogę nie wspomnieć o postawie innego spomiędzy polskich, bardzo zresztą nielicznych, „germanofilów”, z którym kilkakrotnie spotykałem się w ciągu lat 1943 i 1944. Mam tu na myśli Adolfa Bocheńskiego. Na przełomie trzeciego i czwartego dziesięciolecia był on rewelacją jako młodzieniec, który napisał książkę o pozycji Polski między Niemcami a Rosją. Stanisław Mackiewicz uważał tę książkę za najwybitniejszą analizę sytuacji międzynarodowej Polski od czasu gdy kontrowersyjne tezy Romana Dmowskiego oraz Władysława Studnickiego na ten sam temat zostały postawione jeszcze przed pierwszą wojną światową. Bocheński dochodził do wręcz przeciwnych wniosków niż swego czasu Dmowski. Na zasadzie chłodnej i wyczerpującej — można nawet powiedzieć machiavelistycznej — analizy wszystkich elementów sytuacji dochodził on do wniosku, że najpewniejszą drogą zabezpieczenia bytu i rozwoju odrodzonego państwa polskiego musiało być utrzymanie przyjaznych, opartych na wzajemnym zaufaniu stosunków z Niemcami. Książka — jak się zdaje — przyczyniła się do tego, że w ostatnich latach swego życia sam Dmowski, o ile mogę wnioskować z rozmów z Adamem Heydlem¹, poddawał gruntownej rewizji swoje dawne poglądy na sytuację Polski pomiędzy Niemcami a Rosją.

Bocheński należał do pokolenia które — jakkolwiek urodzone jeszcze przed niepodległością — weszło na arenę życia politycznego już po przewrocie majowym w roku 1926. Był on głównym umysłem teoretycznym pism *Bunt Młodych* i *Polityka*, które

* Instytut Literacki, Paryż, 1969.

1. Adam Heydel, profesor ekonomii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, który utrzymywał osobiste stosunki z Dmowskim.

w latach trzydziestych odgrywały w Warszawie pewną rolę głównie dzięki organizacyjnym talentom Jerzego Giedroycia. Osobiście do klubu nie należałem, bo był mi obcy konserwatyzm społeczny jego członków. Lecz pociągała mnie bardzo ich teza uelastycznienia polskiej polityki zagranicznej oraz ogólny wysoki poziom intelektualny. Tam też nieco bliżej poznałem Adolfa Bocheńskiego, który dość często odwiedzał mnie w Wilnie. Podczas wojny Bocheński, który znalazł się w Paryżu, skończył podchorążówkę w Coëtquidan, brał udział zarówno w wyprawie pod Narwik jak i walkach pod Tobrukiem oraz kilkakrotnie chlubnie odznaczył się, zdobywając *Virtuti Militari* za spalenie obserwacyjnej wieży nieprzyjacielskiej pod Tobrukiem. Ten intelektualista okazał się doskonałym żołnierzem, który świecił przykładami osobistej odwagi całej Brygadzie.

Otóż pewnego dnia, późną jesienią 1943 roku, siedzieliśmy we trzech w małej kawiarence w Jerozolimie: Adolf Bocheński, Włodzimierz Hagemayer — który również służył przez pewien czas w Brygadzie Karpackiej — i ja. Bocheński zaczął rozwijać swój pogląd na sytuację polityczną. Zdaniem jego dalsze prowadzenie wojny z Niemcami traciło swój sens polityczny. W owym czasie Niemcy były już stroną zupełnie wyraźnie przegrywająca, natomiast wyrastało coraz groźniejsze niebezpieczeństwo sowieckie. Zdaniem Bocheńskiego, armia niemiecka — pomimo całego bestialstwa hitlerowskiej polityki okupacyjnej — spełniała rolę pozytywną, jako osłona przeciwko parciu niemniej groźnego bestialstwa sowieckiego. Rozmowa ta miała miejsce w czasie, gdy prawda o Katyniu była już znana wojsku na Bliskim Wschodzie, przygotowującemu się do kampanii włoskiej. Hagemayer poirytowany wywodami Bocheńskiego powiedział: „No, wiesz, jeżeli taki naprawdę jest Twój pogląd, to sytuacja jest względnie prosta. Jesteśmy niedaleko od granicy tureckiej, możesz swobodnie tam się przedostać i ustalić formy możliwej współpracy z Niemcami”. Bocheński wcale nie poczuł się dotknięty, lecz odpowiedział całkiem poważnie na ironię Hagemayera: „Twoje rozumowanie jest całkiem logiczne, tylko, że wiesz, imponderabilia: pułk, sztandary, przysięga. I to są rzeczy dla mnie silniejsze, niż logika polityczna”.

W tej chwili pomyślałem o Kozłowskim. Przecież był on dawnym legionistą. Legiony Piłsudskiego były jednym z najbardziej romantycznych epizodów w historii Polski. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby u Kozłowskiego te imponderabilia jakoś nie grały. A jeżeli grały, jakie były argumenty, których nakaz okazał się silniejszy, niż nakaz żołnierskiego honoru?

Bezpośrednio po wojnie słyszałem, że Kozłowski zginął podczas bombardowania Berlina w 1944, czy też w 1945 roku. Profesor Szawłowski, wykładający nauki polityczne na uniwersytecie w Calgary w Kanadzie, pokazał mi numer *Życia Warszawy* z dnia 23-24 czerwca 1974 roku, gdzie zamieszczony był nekrolog zawiadamiający o śmierci Leona Kozłowskiego, która nastąpiła w dniu 11 czerwca tegoż roku, gdzieś na „obczyźnie” oraz zawiadamiający o nabożeństwie żałobnym w kościele św. Karola Boromeusza. Nekrolog został podpisany przez siostry, rodzinę, uczniów i przyjaciół. Z ogłoszenia nie wynika, gdzie Kozłowski te trzydzieści lat przeżył, co tym bardziej jeszcze podkreśla tajemnicę jego losów.

Sprawa Roli-Janickiego

Wydarzeniem, które znacznie utrudniało rolę Ambasady jako misji ratowniczej, była sprawa Roli-Janickiego. Był to jeden z delegatów Ambasady, który organizował opiekę nad zwolnionymi łagiernikami i wysiedleńcami w jednej z oddalonych prowincji Związku Sowieckiego, bodajże gdzieś w Syberii. Przyjechał do Rosji z Anglii i posiadał paszport dyplomatyczny. Był oficerem odkomenderowanym do służby zagranicznej, nie wiem, zawodowym, czy też rezerwistą.

W czerwcu 1942 roku przyjechał on w sprawach służbowych do Kujbyszewa i tego samego dnia poszedł — chcąc zażyć nieco luksusu — do restauracji dyplomatycznej, gdzie zostawił swoją teczkę. Miejscowi agenci NKWD zbadali zawartość teczki i rzekomo znaleźli w niej inkryminujący materiał, z którego wynikało że Rola-Janicki zajmował się wywiadem na rzecz jakiegoś obcego mocarstwa. Nie wiem, czy miał to być wywiad czysto wojskowy, czy też również gospodarczy, ale do znanych metod NKWD należało podrzucanie materiałów wywiadowczych osobom, które chciano skompromitować; nie słyszałem aby ktoś w Ambasadzie wysunął to przypuszczenie. Nikt go również nie posądzał o współpracę z nieprzyjacielem. Dla wszystkich, z kim w owych dniach rozmawiałem, było jasne, że spełniał on, w sposób zresztą bardzo nonszalancki, jakieś pośrednie, czy też bezpośrednie, zlecenia angielskiej Intelligence Service, tj. służby kraju, z którym zarówno my jak i Związek Sowiecki byliśmy w sojuszu wojskowym.

Sowieciarze są szczególnie uczuleni na punkcie obcego wywiadu. Przed wojną istniała tam niemal paranoiczna podejrzliwość na punkcie rzekomo wszechobecnych szpiegów. Jak mo-

głem wywnioskować z rozmów z ludźmi oskarżonymi o szpiegostwo — których sporo spotkałem w więzieniach i łagrach — trzy wywiady były przed wojną uważane za szczególnie niebezpieczne: angielski, japoński i polski. Zresztą sam otrzymałem również wyrok na 8 lat łagrów za szpiegostwo, którego jedynym dowodem miały być moje artykuły zdradzające znajomość stosunków w przemyśle sowieckim. Murowanym wyrokiem za szpiegostwo podczas wojny była kara śmierci. Rola-Janicki posiadał jednak paszport dyplomatyczny, więc otrzymał jedynie rozkaz opuszczenia granic Związku Sowieckiego w 24 godziny.

Noc przed swoją deportacją Rola-Janicki spędził właśnie w pokoju, w którym mieszkaliśmy razem z Wacławem Grubińskim, profesorem Stanisławem Kościałkowskim i jeszcze kilku osobami, których nazwisk w tej chwili nie pamiętam. Naprzeciwko mego łóżka były zawsze otwarte drzwi do małego pokoiku gdzie sypiali Władysław Broniewski, Bernard Singer i zdaje się jeszcze ktoś. Z mojej lewej strony lokował się Wacław Grubiński, który ze swoją postawą filozoficznego epikureizmu, życzliwości dla wszystkich ludzi i dyskretnego dowcipu był idealnym towarzyszem w doli i niedoli. Na prawo było wolne łóżko, na którym tego wieczoru leżał wysoki pan w ubraniu z nosem utkwionym w poduszkę. Nie wstał, aby mi się przedstawić, i nie wiem czy się przedstawił komuś z moich współlokatorów. Był to ponury wieczór w naszym pokoju. Z jednej strony chcieliśmy uszanować tragedię tego człowieka, z drugiej strony było coś nieprzyjemnego w jego niechęci do wdawania się w rozmowy z nami. W szczególności interesowało mnie ile było w tej teczce autentycznego materiału wywiadowczego, a ile NKWD dorzuciło. Opuścił on nasz pokój nad ranem bez słowa pożegnania. Podobno odjechał samotnie pociągiem w kierunku granicy perskiej. Niektórzy wątpili czy w ogóle tam dojedzie. Opowiadano mi jednak potem, że widziano go w Iraku, jako dowódcę jednego z punktów etapowych na drodze Armii polskiej z Persji do Syrii i Palestyny.

Sprawa Roli-Janickiego miała tragiczne konsekwencje, bo dała władzom sowieckim argument, aby uderzyć w nasz aparat opieki społecznej, który Ambasada rozbudowała na całym terenie Związku Sowieckiego. Prof. Kot był ogromnie przygnębiony i wyrzekł na wojsko. Zdaje się że sprawa Roli-Janickiego była jednym z powodów, które przyspieszyły jego odejście z placówki kujbyszewskiej, jak również odejście szefa misji wojskowej generała Wolikowskiego, na którego miejsce przyszedł jako attaché wojskowy ppłk Tadeusz Rudnicki, były szef sztabu 19-tej Dywizji piechoty, z którym ostatnim razem widziałem się w przededniu

bitwy pod Tomaszowem Lubelskim w drugiej połowie września 1939 roku. Ppłk Rudnicki w ostatniej chwili przed ogarnięciem sztabu dywizji przez oddziały sowieckie zdążył przebrać się w cywilne ubranie i w ten sposób uniknął losu tych oficerów dywizji, którzy byli przy swoich oddziałach i dziś leżą w mogile katyńskiej.

Nie znam wszystkich szczegółów incydentu z Rolą-Janickim, ani nic nie wiem o rodzaju wiadomości które on zbierał. Ogólne okoliczności tej sprawy wydają się mnie jednak jasne. Gdy w 1941 roku formowano zespół który miał jechać z prof. Kotem z Londynu do Związku Sowieckiego, rozglądano się za odpowiednimi ludźmi, którzy mogliby pełnić funkcje terenowych delegatów Ambasady, organizujących opiekę nad masą obywateli polskich deportowanych do oddalonych prowincji tego ogromnego kraju. Musieli to być ludzie fizycznie i psychicznie zdolni do ponoszenia trudów i niebezpieczeństw związanych z podróżowaniem po ogromnych przestrzeniach, gdzie panował głód, szerzyły się epidemie i był chaos komunikacyjny. Tacy ludzie byli tylko w wojsku. Zdecydowano więc odkomenderować do służby zagranicznej pewną ilość oficerów, którym dano paszporty dyplomatyczne.

Jest rzeczą naturalną że brytyjska służba wywiadowcza zleciła im jednocześnie pewne zadania obserwacyjne, o czym prawdopodobnie amb. Kot nic nie wiedział. Nie było w tym nic wrogiego w stosunku do Związku Sowieckiego. Dobra służba informacyjna należała do tradycji Imperium Brytyjskiego. Obejmowała ona zwykle zasięgiem nie tylko kraje nieprzyjacielskie, lecz również sojusznicze. Jest trudno planować operacje wojenne nie znając potencjału i możliwości sojuszników chociażby dani partnerzy wzbudzali największą sympatię. Angielski generał Carton de Viart, który ze względu na myśliwskie możliwości terenów poleskich spędzał tam swoją emeryturę, pisze w swoich pamiętnikach, że gdy z chwilą wybuchu wojny rząd brytyjski zlecił mu pełnienie w Polsce pewnych funkcji oficjalnych, zgłosiło się do niego około dwudziestu rezydentów, którzy pracowali dla wywiadu brytyjskiego na terenie Polski. A przecież Polska była sojusznikiem, w którego obronie Wielka Brytania oficjalnie przystąpiła do wojny.

Ci co podejmują podstawowe decyzje dotyczące wojny i pokoju muszą mieć dokładne informacje o potencjale i możliwościach partnerów. U nas ta prawda nie była dostatecznie jasno uświadomiona. Przed wojną słyszałem kilkakrotnie rozmowy na temat, że rzekomo ani rząd nasz, ani władze wojskowe nie miały jasnego wyobrażenia o technicznej i psychicznej zdolności Francji do dania nam realnej pomocy w wypadku wojny. W 1937 roku,

gdy byłem w Niemczech zbierając materiały do swojej książki o *Polityce Gospodarczej Niemiec Hitlerowskich*, kilkakrotnie słyszałem opinie różnych przywódców młodzieży hitlerowskiej, że psychicznie Francja nie była zdolna do wojny. Podobno nasz attaché wojskowy w Paryżu płk Bleszyński interesował się więcej historią sztuki, niż armią francuską. Płk. Bleszyńskiego widziałem w dniu 15 sierpnia 1920 roku w chwili gdy prowadził nad Wkrą bezładny, lecz skuteczny, kontr-atak przeciwko uderzeniu bolszewickich oddziałów. Wówczas, pod gradem kul, był on wspaniały. Płk Bleszyński należał zapewne do tego dość częstego typu wśród oficerów legionowych, który wykazywał duże zalety na polu walki, lecz poza tym interesował się więcej sztuką, literaturą i filozofią niż rzemiosłem wojskowym. Był to romantyczny styl piśsudczyzny.

Wydawało się mi również, że w 1939 roku podstawowe decyzje polityczne naszych czynników miarodajnych były pobierane w pewnym stopniu na ślepo bez zrozumienia czym była Wielka Brytania i jakie były jej możliwości okazania nam efektywnej pomocy w pierwszym okresie wojny. Zawarcie traktatu z Anglią było wielkim osiągnięciem, które mogło ułatwić różne posunięcia dyplomatyczne zmierzające do zapobieżenia katastrofie wrześniowej, lecz nie mogło uratować przed tą katastrofą skoro armaty zaczęły grać. Na wiosnę 1939 roku Lloyd George wygłosił wielką mowę w parlamencie, w której zobrazował słabość militarną Polski i słabość militarną Anglii w kontekście sytuacji 1939 roku. Miałem możność osobiście się przekonać, że nasi wyżsi wojskowi nie byli skłonni brać pod uwagę tej analizy starego wygi. Lecz sztaby brytyjskie były na pewno świadome naszej słabości militarnej przy wspaniałym duchu ożywiającym całe polskie społeczeństwo. Dlatego też nie dostaliśmy żadnej większej pożyczki na dobrojenie ani żadnego sprzętu; odwrotnie musieliśmy jeszcze dostarczać Anglii działa przeciwlotnicze, których produkcję w zakładach COP'u oglądałem, gdy byłem tam w 1938 roku z wicepremierem Kwiatkowskim, a które na pewno by przedłużyły nieco nasz opór w kampanii wrześniowej. W oczach sztabów brytyjskich byliśmy, w razie ataku niemieckiego, na pewno skazani, nawet gdyby Związek Sowiecki zachował przychylną neutralność. Przed wojną na pewno mieliśmy wywiad na Niemcy i na Rosję, lecz nie troszczyliśmy się o wyrobienie sobie jasnego obrazu co do potencjału naszych sojuszników. Inną była zasada brytyjska: trzeba mieć nie mniej dokładne informacje o przyjaciółach co o wrogach.

W roku 1941-42, Wielka Brytania stanęła wobec problemu pomocy Związkowi Sowieckiemu. Było rzeczą istotną aby wy-

jaśnić w jakim stopniu ta pomoc może istotnie przyczynić się do osłabienia rozpędu niemieckiego. Wałęsający się po Rosji Polacy mieli stanowić prawdopodobnie jeden z wielu kanałów tego wywiadu. Nie wiem czy ta sprawa kiedyś oparła się o gen. Sikorskiego, lecz polskie władze wojskowe w żadnym wypadku nie mogły zająć stanowiska odmownego. Byliśmy armią sojuszniczą, Wielka Brytania weszła do wojny w obronie Polski, skarb brytyjski łożył środki na jej utrzymanie.

Ambasador Kot mógł jednak położyć swoje veto, szczególnie jeżeli chodzi o personel zajmujący się opieką społeczną. Jechał on do Rosji mając na względzie dwa cele: po pierwsze przyniesienie pewnej doraźnej pomocy setkom tysięcy deportowanych obywateli polskich, po wtóre stworzenie atmosfery przyjaźni i wzajemnego zaufania pomiędzy rządem gen. Sikorskiego w Londynie a rządami sowieckimi. W Polsce nikogo to nie denerwowało, że agenci brytyjskiego wywiadu rozjeżdżali po naszym kraju. Sam chętnie i otwarcie krytykowałem politykę narodowościową rządu polskiego gdy Frank Severy, brytyjski konsul generalny w Warszawie, zwracał się do mnie w tej sprawie w czasie swoich wizyt w Wilnie. Sowietarze są jednak specjalnie uczuleni na cudzoziemców, którzy poszukują jakichkolwiek bądź informacji, szczególnie jeżeli to pachnie jakimś związkim z wywiadem Brytyjskim. Rosjanie bowiem tradycyjnie uważali Imperium Brytyjskie za swego potencjalnego wroga. Należało więc przeprowadzić ostrą linię graniczną pomiędzy opieką społeczną a wszelkimi innymi funkcjami członków naszej Ambasady. Prof. Kot przed wyjazdem do Rosji musiał wziąć uroczyste przyrzeczenie od tych kilku oficerów, którzy wchodzili w skład jego misji, że nie będą zbierali materiałów czysto wywiadowczych pod przykrywką swoich paszportów dyplomatycznych. Lecz oczywiście w owym momencie trudno było wszystko przewidzieć — nawet jeżeli by Kot lepiej znał Rosję i miał lepsze rozeznanie jakie były z punktu widzenia brytyjskiego wymogi wojny.

Moje własne zetknięcie się z pracą wywiadowczą prowadzoną przez naszych oficerów przybyłych z Londynu nastąpiło w sierpniu 1942 roku — w jakieś dwa miesiące po incydencie z Rolą Janickim. Wkrótce po moim przybyciu do Teheranu — dokąd przyjechałem towarzysząc ambasadorowi Kotowi, przeważnie drogą wodną, tzn. Wołgą i morzem Kaspijskim do Pahlewi, portu w północnej Persji — skontaktowałem się z mną kapitan polski, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, i prosił abym zechciał z nim odbyć dłuższą rozmowę. Oświadczył, że jest szefem ekspozytury Oddziału II-go Sztabu Generalnego, bezpośrednio zależnym od Londynu, a nie od Armii Andersa, która w tej chwili

była w trakcie przesuwania się poprzez Persję z rosyjskiej Centralnej Azji do Iraku. Chętnie się zgodziłem. Okazało się, że owego kapitana przeważnie interesował stan nawigacji na Wołdze, na przestrzeni pomiędzy ujściem a Kujbyszewem. W lot chwyciłem wagę tej sprawy, bo sam interesowałem się potencjałem gospodarczym Sowietów oraz ich logistyką na tym etapie toczącej się wojny. Trzeba pamiętać, że było to w przededniu Stalingradu, gdy Niemcy zbliżali się już do Wołgi. Niestety nie mogłem memu rozmówcy dać zdecydowanego poglądu, bo nie miałem skali porównawczej: nie wiedziałem jak ta nawigacja wyglądała bezpośrednio przed wojną. Owego kapitana zresztą mało interesowały moje oceny i ogólne rozważania. Chciał wiedzieć ile napotkaliśmy tankowców z naftą idących w górę Wołgi. Miałem tutaj trudność z definitywną odpowiedzią, widziałem bowiem tankowce, lecz ich nie liczyłem. Miałem nawet trudność z określeniem ile takich tankowców spotykaliśmy przeciętnie w ciągu dnia podróży. Oczywiście gdybym wiedział, że o to będą pytany byłbym bardziej uważny i przygotowałbym jakieś cyfry. Owa rozmowa unaoczniała mi trudności, które musiał napotykać Rola-Janicki. Kazano mu prawdopodobnie zebrać konkretne dane w jakimś zakresie. Robił więc notatki i trzymał je w owej niefortunnej teczce, która trafiła w ręce NKWD.

Sprawa Roli-Janickiego uwydatniła pewną delikatność sytuacji naszego rządu emigracyjnego pomiędzy Anglią a naszym świeżym sojusznikiem — Związkiem Sowieckim. Jako Naczelny Wódz Sikorski nie mógł odrzucić współdziałania z wywiadem brytyjskim we Wschodniej Europie; jako premier, dbały o stworzenie atmosfery wzajemnego zaufania ze Związkiem Sowieckim, mógł — w każdym razie gdy chodziło o personel cywilnej służby zagranicznej — wyłączyć go od tego współdziałania. Świadczy to jak wiele słuszności miał Prezydent Raczkiewicz gdy chciał urząd Prezesa Rady Ministrów odseparować od pozycji Naczelnego Wodza, na co amb. Kot tak się oburzał w rozmowie ze mną niedługo przed wybuchem sprawy Roli-Janickiego. Gen. Sikorski niewątpliwie dążył do stworzenia atmosfery zaufania w stosunkach ze Związkiem Sowieckim. Nie było jednak możliwe dopóki sprawa zaginionych oficerów pozostawała niewyjaśniona. Incydent z Rolą-Janickim tym bardziej zamącił tę atmosferę.

Sprawa Roli-Janickiego — która na pierwszy rzut oka mogła wydawać się drobnym potknięciem — miała tragiczne konsekwencje. W lipcu i sierpniu 1942 roku kilkudziesięciu pracowników delegatur ambasady w różnych częściach Związku Sowieckiego zostało aresztowanych; wielu z nich zaginęło w więzieniach, to znaczy prawdopodobnie zostało rozstrzelanych. Przymusz-

czalnie władze sowieckie były zdecydowane ograniczyć rolę delegatur w każdym wypadku, lecz sprawa Roli-Janickiego nadała tej akcji pozory pewnego uzasadnienia, oraz argument do zastosowania drastycznych środków.

Ksawery Pruszyński

Po przyjeździe do Ambasady moim głównym źródłem krytycznych informacji o stosunkach pośród polskiego uchodźstwa wojskowego i politycznego był Ksawery Pruszyński. Przybył on do Kujbyszewa z Londynu razem z Kotem jako attaché prasowy Ambasady. Był na ogół zwolennikiem Sikorskiego i tym bardziej Kota, lecz wrodzony talent literacki i zmysł humoru sprawiały że widział również ujemne strony ludzi i rzeczy. Opowiadania swoje przeplatał anegdotkami, odślaniając małość ludzką, która nieraz dziwnie kontrastowała ze świadomością że bierze się udział w wielkim dramacie dziejowym.

Ksawerego poznałem na szereg lat przed wojną gdyż spędzał on sporo czasu w Wilnie będąc regularnym współpracownikiem *Słowa* Mackiewiczowskiego. Poza tym spotykałem się z nim w *Polityce* w Warszawie. Był chyba około dziesięć lat młodszy ode mnie, czyli że należał do pokolenia, które nie znało szkoły zaborczej i było zbyt młode aby brać udział w walkach o niepodległość w latach 1918-1920. Zdaje się, że podczas studiów uniwersyteckich należał do „Młodzieży Mocarstwowej”, organizacji konserwatywnej, z którą zresztą nie miałem nigdy żadnych bliższych kontaktów. Stanisław Mackiewicz usiłował związać ze *Słowem* wileńskim młode talenty pisarskie obozu konserwatywnego: Bocheńskich, Zbyszewskich, Pruszyńskich.

Podczas wojny domowej w Hiszpanii Ksawery, który pojechał tam jako korespondent prasy polskiej, znalazł się po stronie republikańskiej. Jego reportaże, pisane z dużym talentem, były przeniknięte sympatią dla woli walki i uporu wykazywanego przez hiszpańską lewicę, która broniła się przeciwko zamachowi generałów, sympatyzujących z włoskim faszyzmem. Reportaże te wywołały zdumienie konserwatywnych przyjaciół Ksawerego w Polsce. W tym samym okresie odbył on podróż do Palestyny, razem z emigrantami z Polski i znowu ogłosił serię reportaży przesiąkniętych sympatią do głównego obiektu owych szkiców. Te reportaże, wydane potem w oddzielnych książkach, dały mu pewnego rodzaju sławę. Zaczęto go powszechnie uważać za młody talent literacko-publicystyczny, który wyrósł na gruncie niepodległej Polski. Jego pióro zaczęło być poszukiwane. Pewne czyn-

niki czeskie sugerowały mu, aby zajął się tematami czeskimi, wchodząc w ten sposób, w pewnym stopniu, do literatury czeskiej.

Ksawery nie został powołany do wojska w 1939 roku. Po klęsce wrześniowej potrafił jednak przedostać się na Zachód, skończył podchorążówkę w Coëtquidan w 1940 roku i jako podchorąży wziął udział w wyprawie pod Narwik, gdzie zdobył Krzyż Walecznych. Gdy w 1941 roku Kot, po zawarciu umowy Sikorski-Majski, tworzył pierwszy zespół Ambasady, która miała jechać do Związku Sowieckiego, wyreklamował Pruszyńskiego do dyplomacji. W Kujbyszewie Ksawery rozwinął dość dużą działalność nawiązując wiele kontaktów w świecie dyplomatycznym oraz wśród dziennikarzy zagranicznych, a także starając się przeniknąć — o ile to było możliwe — do środowiska rosyjskiego. Jego skłonność do romansowania oraz fascynacja, jaką wywierał na kobiety, były mu w tym bardzo pomocne.

Ambasada wydawała pismo przeznaczone dla wojska, które pod dowództwem gen. Andersa tworzyło się w rosyjskiej Centralnej Azji, oraz dla wielotysięcznych rzesz obywateli polskich zwolnionych na zasadzie tzw. „amnestii” z łagrów, więzień oraz z „posiołków” Związku Sowieckiego. Wydział prasowy Ambasady stanowił zespół piór i talentów pisarskich, których by mogło pozazdrościć każde pismo w przedwojennej Polsce. Powyżej wymieniałem już szereg nazwisk literatów i wybitnych dziennikarzy, których zastałem w Ambasadzie po moim przyjeździe na początku czerwca 1942 roku. Na czele tego całego zespołu stał Ksawery w każdym razie formalnie, bo był on jedynym pomiędzy tymi ludźmi pióra, który przyjechał z Londynu i posiadał paszport dyplomatyczny. Wszyscy inni pracownicy wydziału prasowego byli to łagiernicy lub zesłańcy, których Kot przygarnął w Ambasadzie i dał im paszporty służbowe.

Władze sowieckie były poirotowane nagromadzeniem na eksterytorialnym terenie ambasady w Kujbyszewie bardzo dużej ilości ludzi nie należących formalnie do korpusu dyplomatycznego. Kot tak długo jak to było możliwe przechodził do porządku dziennego nad tymi pretensjami. Pozwalał sobie nawet zwracać się bezpośrednio — tzn. z pominięciem normalnej drogi — przez *Narkomindel* (Sowieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych), do lokalnych władz sowieckich, gdy chodziło o wyciągnięcie tego lub innego człowieka. Ksawery twierdził, że gdyby ambasadorem został jakiś zawodowy dyplomata, wielu ludzi którzy Kotowi zawdzięczają życie, nie udałooby się uratować.

Latem 1942 roku Ksawery zachorował na tyfus plamisty, który miał dość ciężki przebieg. Dzień kiedy przyjechałem do

Kujbyszewa był właśnie momentem kryzysu tej choroby. Już następnego dnia po moim przyjeździe zaczęto mówić, że życiu jego nic nie zagraża. Podczas choroby pielęgnowała go z największym poświęceniem jego daleka krewna, Teresa Lipkowska, siostra generałowej Sosnkowskiej, a córka znanego działacza polsko-rosyjskiego Władysława Żukowskiego, który mieszkał w przedrewolucyjnym Petersburgu i odgrywał dużą rolę w przemyśle rosyjskim. Była więc ona bardziej niż kto inny w Ambasadzie, narażona na tę groźną epidemiczną infekcję.

Wkrótce rozpoczęły się nasze długie rozmowy. Ksawery poinformował mnie szczegółowo o wszystkim co się politycznie działo na emigracji w ciągu tych trzech blisko lat, które spędziłem w obozach i więzieniach sowieckich. Gdy Ksawery zaczął się nieco ruszać udawaliśmy się przeważnie na te pogawędki na wspianą plażę, która znajduje się po drugiej stronie Wołgi, nieco na północ od centrum Kujbyszewa (tzn. dawniej przedrewolucyjnej Samary, której gubernatorem był swego czasu sławny Piotr Arkadiewicz Stołypin, niewątpliwie najwybitniejszy mąż stanu za czasów Mikołaja II-go). Od Ambasady było niezbyt daleko do brzegu Wołgi. Tam wynajmowaliśmy łódź i moim zadaniem było przewiezienie Ksawerego na plażę. Wymagało to pewnego wysiłku. Łodzie były dość ciężkie, przystosowane do burzliwej pogody; szerokość rzeki w tym miejscu przekraczała chyba dwa kilometry; prócz tego trzeba było wiosłować przeciwko prądowi. Wołga jednak płynie bardzo wolno i nie da się porównać z wartkim biegiem mojej rodzimej Wilii. W wietrzne dni, kiedy przychodziła duża fala, wiosłowanie przez Wołgę budziło we mnie reminiscencje naszych wycieczek nad Narocz. Ksaweremu, który pochodził z Ukrainy, imponowała moja sprawność w operowaniu wiosłem, nabyta na rzekach i jeziorach Wileńszczyzny i Inflant.

W czasie tych wycieczek myślałem czasami, że reprezentowaliśmy różnice w temperamencie i stylu życia północy i południowego wschodu dawnej Rzeczypospolitej. Byliśmy obydwaj rekonwalescentami: ja po strasznej zimie 1941/42 roku w łągach sowieckich na dalekiej północy; Ksawery po dopiero co przebytym tyfusie. Ja zresztą byłem już nieco odkarmiony przez dwumiesięczny pobyt w szpitalu łągiernym przed samym zwolnieniem. Ksawery jeszcze czasami gorączkował. Byłem drobniejszy i prawdopodobnie zasadniczo słabszy od Ksawerego, lecz na wodzie czułem się w swoim żywiole. Na plaży bywało dość pusto, nawet niedzielami. Ksawery spotykał czasami znajomych. Na przykład bywała tam rodzina sekretarza Ambasady Chińskiej, który był żonaty z Polką i miał z nią bodaj siedmioro dzieci,

wychowanych w duchu katolickim i nawet z pewną znajomością języka polskiego. Poza tym zdarzali się Czesi, z którymi Ksawery utrzymywał szczególnie bliskie stosunki. Podejrzewałem nawet, że miał jakieś flirty w tym środowisku. Rosjan na ogół bywało niewiele.

Trzy nazwiska powtarzały się szczególnie często w sprawach, które referował mi Ksawery: Sikorski, Kot i Stanisław Mackiewicz. Ten ostatni był naszym wspólnym przyjacielem, chociaż byłem daleki od Mackiewiczowskiego konserwatyzmu i politycznie byłem związany z tzw. grupą demokratów wileńskich, którzy wydawali *Kurier Wileński*. Mackiewicz zwalczał na wygnaniu rządu Sikorskiego tak samo zawzięcie jak zwalczał politykę sanacyjną po śmierci Marszałka Piłsudskiego. W Polsce zwalczenie Śmigłego i Składkowskiego doprowadziło go do Berezy: na wygnaniu zwalczenie Sikorskiego i Kota spowodowało wylanie go z Rady Narodowej, która stanowiła rodzaj parlamentu na emigracji. Przyznano mu zresztą jakąś miesięczną zapomogę, która brzmiała dość dziwnie, bo nazywała się „emeryturą byłego członka Rady Narodowej”.

Ksawery był na ogół zycliwie usposobiony do Sikorskiego i Kota, przywiązywał jednak większą wagę do tego co mówił Stanisław Mackiewicz, niż do jakiegokolwiek innej opinii politycznej. Mackiewicz wyżej szacował indywidualność Kota, niż Sikorskiego, chociaż żaden z nich nie reprezentował — jego zdaniem — inteligencji politycznej wielkiej skali. Zdaniem Mackiewicza wśród przywódców Polski była tylko jedna taka inteligencja: gen. Kazimierz Sosnkowski; lecz była to inteligencja pozbawiona woli działania. Ksawery miał pewne wątpliwości co do słuszności tej klasyfikacji. Zdaniem jego Sikorski miał szansę odegrania jeszcze wielkiej roli historycznej, może nawet większej niż Marszałek Piłsudski, którego Ksawery był gorącym wielbicielem jako wielkiej indywidualności.

I tu właśnie zaczynała się jego historiozofia, którą mi wykładał w 1942 roku na owej plaży nad Wołgą. Uważał on, że w istniejących warunkach Sikorski był właściwym człowiekiem na stanowisku premiera rządu wygnańczego, prowadzącego wojnę przeciwko Niemcom, lecz zadawał sobie pytanie czy można go uważać za męża stanu wielkiej skali. Zdaniem jego wielki mąż stanu to taki, którego indywidualność waży na kształtowaniu się historii, który polityką swoją potrafi wytyczyć szlaki, którymi naród będzie kroczył nawet po jego śmierci. Takim mężem stanu w XIX-tym wieku był Bismarck, takim niewątpliwie był też Piłsudski, który narzucił odrodzonej Polsce powrót na szlaki Jagiellońskie; takim był Ataturk, który zerwał z tradycją impe-

rialną i przekształcił Turcję w nowoczesne państwo narodowe. Ksawery uważał, że wojna stworzyła warunki dla zasadniczej zmiany kierunków, jakimi szła Polska ekspansja państwowa i narodowa.

Unia z Litwą wciągnęła Polskę w dziejowe współzawodnictwo pomiędzy bojarami moskiewskimi a bojarami litewskimi. Przez cztery wieki, aż do rozbiorów, większość wojen Rzeczypospolitej była albo przeciwko Moskwie albo Turcji. Nasze powstania narodowe — od Kościuszki aż do legionów Piłsudskiego — wszystkie były skierowane przeciwko Rosji. Na Zachodzie lało się o wiele mniej polskiej krwi, niż na Wschodzie, lecz jednocześnie i systematycznie poprzez wieki cofaliśmy się tam kulturalnie. Ludzie którzy w XIX-tym wieku chcieli front walki narodu Polskiego na Wschodzie zlikwidować — jak np. Wielopolski — musieli przegrać. Piłsudski, który był przesiąknięty litewską tradycją państwową, a jednocześnie stanowił indywidualność olbrzymiej skali, pchnął politykę polską na historyczne anty moskiewskie szlaki.

Obecna wojna stworzyć musi nową sytuację. Polska wyłonić się musi przede wszystkim jako potęga środkowo-europejska przejmując w dużym stopniu rolę, jaką w Europie spełniały Niemcy, możliwie nawet dziedzicząc częściowo niemieckie ambicje na Bliskim Wschodzie. Dla rozwinięcia swojej aktywnej roli na Zachodzie Polska musi mieć ustabilizowane, przyjazne stosunki na swojej granicy wschodniej. Zadaniem historycznym Sikorskiego było stworzenie ram dla tej przyszłej Polski i danie impetu aktywności polityki polskiej na tych nowych szlakach dziejowych. Jeżeli się to osiągnie Sikorski przejdzie niewątpliwie do historii jako wielki mąż stanu. Mimowoli nasuwało się porównanie tego co mówił mi Kot, z teoriami, które na owej plaży nad Wołgą, rozwijał Ksawery. Dla Kota układ Sikorski-Majski był przede wszystkim ratowaniem setek tysięcy ludzi męczących się w obozach i posiołkach sowieckich, i niewątpliwie była w tym logika która mnie przekonywała. Dla Ksawerego było to otwarcie nowej epoki historycznej. Była to wizja literacka, w której — w moim rozumieniu — nie wszystko trzymało się kupy. Możliwe że w tej różnej interpretacji układu Sikorski-Majski było odbicie dwóch różnych mentalności: chłopskiej u Kota, szlacheckiej u Ksawerego.

Zgadzałem się że po zwycięskiej wojnie pozycja Polski w Środkowej Europie będzie prawdopodobnie bardzo wzmocniona. Zgadzałem się również że przyszła Polska musi szukać stabilizacji na swoich granicach wschodnich. Lecz nie wierzyłem żeby ta stabilizacja mogła być osiągnięta przez jakieś ustępstwa tery-

torialne wobec Rosji, co oczywiście nie oznacza, że granicę Ryską należy uważać za nienaruszalną świętość. Uważałem, że pomiędzy narodem polskim a rosyjskim nie ma granicy etnograficznej i w ogóle nie musi być żadnej bezpośredniej granicy państwowej. Uważałem, że Białorusini i Ukraińcy muszą otrzymać możliwość utworzenia własnych państw na tych terytoriach gdzie stanowią większość. Przyпускаłem, że te państwa zechcą w tej czy innej formie związać się z jakąś szerszą kombinacją środkowo-europejską i że taka również będzie polityka odbudowanych państw bałtyckich. Rozumiało się samo przez się, że jeżeli system ma być ustabilizowany, to Polska będzie musiała przekazać tym państwom te terytoria etnograficznie ukraińskie i białoruskie, których przynależność do państwa polskiego została uznana na zasadzie traktatu Ryskiego w 1921 roku. Nie mogłem sobie również wyobrazić, aby jakaś żywotna kombinacja środkowo-europejska mogła pozostać bez udziału jakichś nowych Niemiec. Wyobrażałem sobie, że jeżeli wojna będzie naprawdę zwycięska, to organizacja polityczna Niemiec będzie musiała wrócić do tradycji przedbismarkowskich, tzn. musi nastąpić podział na szereg luźnych jedynie powiązanych państw, które stanowiły pierwszą Rzeszę Niemiecką. Twierdziłem jednak, że zarówno Rosja jak i Niemcy stanowią fakty naszej pozycji geograficznej, w której niewiele da się zmienić nawet w wyniku zwycięskiej wojny. Sądziłem więc że, pomimo wszystkich bezeczeństw hitlerowskich, celem dalekowzrocznej polityki Polski musi być stworzenie takich warunków — które otworzyłyby drogi dla kooperacji przyszłych pokoleń w Polsce i w Niemczech. Wspominaliśmy przy tym Władysława Studnickiego, dla którego obydwaj mieliśmy wielki respekt, a którego Ksawery widział w Krakowie przed samą ucieczką spod okupacji niemieckiej. O ile zrozu miałem Studnicki przebywał wówczas czasowo w Krakowie i miał *locum* na prawach starego przyjaciela w opuszczonym mieszkaniu Kota. Byłem przekonany że tak samo jak ja myślał nasz inny wspólny przyjaciel, Adolf Bocheński, który w owych chwilach kiedyśmy wylegiwali się na tej plaży, brał udział w walkach pod Tobrukiem.

Nie była to właściwie dyskusja, lecz raczej głośne myślenie w warunkach odprężenia pośród szalejącej burzy. Przeciwwstawialiśmy sobie dwie różne wizje przyszłości, lecz wykazywaliśmy jednocześnie zrozumienie dla postawy odmiennej od tej, którą się zajmowało samemu. Powiedziałem Ksaweremu, że opinia, iż Polska popełniła błąd zawierając unię z Litwą i wchodząc na szlaki Jagiellońskie, nie jest dla mnie nową. Kiedyś, w początku lat dwudziestych, sędziwy Rektor Uniwersytetu Wileńskiego,

Alfons Parczewski, zaproszony do udziału w jakiejś dyskusji niedużej grupki studenckiej, rozwinął tę samą myśl jako dręczące pytanie, na które jako historyk nie umiał znaleźć odpowiedzi. Przed pierwszą wojną światową A. Parczewski odegrał pewną rolę w ruchu serbo-łużyckim i wydawało się mu czasami, że spontaniczne germanizowanie się zachodnich Słowian było jakoś związane z zaangażowaniem się Polski na Wschodzie, jako skutek unii z Litwą.

Jeżeli jednak chodzi o moje stanowisko osobiste, to powiedziałem, że mogę zrozumieć tego rodzaju argumenty, lecz to nie może zmienić mojej zasadniczej postawy wobec podstawowych spraw Europy Wschodniej. Emocjonalnie postawa ta była określona przez specyficzne problemy tego regionu geograficznego, gdzie się urodziłem. Jestem dzieckiem Litwy Historycznej, chociaż moi przodkowie rzekomo przyszli ze Szkocji i chociaż moi rodzice i moi dziadkowie czuli się stuprocentowymi Polakami. Litwa i Białoruś są dla mnie wartościami samoistnymi i nie mogą na nie patrzeć jedynie jako na obiekty takiej czy innej polityki polskiej lub rosyjskiej. Uważałem, że tym krajom musi być dana pełna niepodległość i że właśnie ta gwarancja niepodległości musi je ostatecznie zbliżyć z Polską. Nie mogę się jednak nigdy zgodzić na oddanie ich na pożarcie imperializmowi rosyjskiemu: czerwonemu czy też białemu.

W owej atmosferze odprężenia Ksawery był również usposobiony bardzo tolerancyjnie dla tych, którzy myśleli inaczej. Dyskutowaliśmy więc również jakby świat dzisiaj wyglądał gdyby Polska zaakceptowała propozycje hitlerowskie współdziałania w polityce wschodniej, jak do tego byli skłonni niektórzy nasi wspólni przyjaciele. Te propozycje zawierały w sobie ogromne niebezpieczeństwa dla Polski, lecz mogły przynieść także bardzo realne korzyści. Stanisław Mackiewicz zwalczał Becka nie dlatego, że ten pozornie prowadził politykę proniemiecką, lecz przede wszystkim dlatego, że nie próbował wyciągnąć tych wszystkich korzyści, jakie taka polityka mogła dać Polsce, że była to polityka niekonsekwentna. Ksawery uważał, że było rzeczą istotną, żeby świat Zachodni zechciał zrozumieć żeśmy mieli możliwość wyboru; albo pójść z Niemcami lub zaryzykować *débaclé* wrześniowe w 1939 roku, że nasze współdziałanie mogło zapewnić Niemcom całkowite zwycięstwo na Wschodzie; że moglibyśmy mieć udział w korzyściach płynących z tego zwycięstwa, lecz że ostatecznie przeważyły w naszej postawie względy na inne walory. Istotne w jego myśleniu było to, że Polska była nie tylko ofiarą agresji niemieckiej, lecz dumnym narodem, którego postawa decydowała w przełomowych chwilach historii. Ksawery

sądził, że nasza propaganda musiałaby być tak skonstruowana, aby świat Zachodni wiedział cośmy poświęcili odrzucając propozycje niemieckie i wychodząc na szlaki wojny, która w pierwszym etapie musiała nam przynieść klęskę. Można nawet było powiedzieć, żeśmy się poświęcili aby osłonić Rosję, choć to na pewno nie leżało w zamiarach ani Becka, ani marszałka Rydza-Śmigłego, ani Mościckiego, do których należała decyzja; był to paradoks historii. Zgodziliśmy się obydwaj, że jeżeli Niemcy ostatecznie przegrają w Rosji, co w owym momencie nie było jeszcze jasne, to będzie w tym przede wszystkim zasługa naszej postawy wobec tych pokus, które nam podsuwali przywódcy hitlerowcy.

Ksawery miał mentalność artystyczną: myślał w kategoriach barwnych obrazów stanowiących pewną całość, lecz nie był skłonny do analizy. Pociągały go wielkie idee, wielkie mity, które działały na wyobraźnię. Nie był skłonny myśleć o Polsce jako o małym państwie, które na szachownicy wielkich spraw świata nie odgrywa żadnej większej roli, takiej lub innej. Nie był emocjonalnie anty-niemiecki, tak jak w naszym pokoleniu byli „endecy” i „naprawiacze”. Lecz coraz wyraźniej przebijała w nim skłonność do stanowiska pro-rosyjskiego, a nawet pro-sowieckiego, chociaż cała filozofia i frazeologia marksowska były mu obce i była mu obca również kultura rosyjska, która w dużym stopniu stanowiła atmosferę mojej młodości.

Zastanawiałem się nad źródłami tej postawy emocjonalnej. Czy urzekła go republikańska Hiszpania, kiedy był korespondentem podczas wojny domowej? Czy było to jedynie odbicie nastrojów wojennego Londynu, z którego przyjechał i o którym mi właśnie opowiadał? Czy też może w jakimś stopniu była to tradycja polskiego konserwatywnego ziemiaństwa, które już w XVIII-tym wieku w większości skłonne było do poszukiwania ugody z Rosją? To ostatnie przypuszczenie sugerowały jego wzmianki o Wielopolskim. Dziś, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że Ksawery chciał aby Sikorski poszedł śladami Benesza, który od razu po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku rozpoczął delikatną grę zajmując postawę pół-satelicką w stosunku do Związku Sowieckiego. Umowa czechosłowacko-sowiecka była w pewnym stopniu modelem dla umowy Sikorski-Majski. W kołach zbliżonych do Sikorskiego podobno była dyskutowana w sposób nieobowiązujący możliwość przeniesienia się rządu czy też jedynie Naczelnego Dowództwa do Rosji, gdzie było bliżej do kraju i gdzie jednocześnie była większa baza ludnościowa w postaci deportowanych obywateli polskich. Odbiciem tych różnych koncepcyj było prawdopodobnie oświadczenie gen. Sikorskiego na Radzie Narodowej, że go państwa bałtyckie nic nie

obchodzą — o czym pisze Pragier w swoich pamiętnikach. Nie twierdzą że koncepcja upodobnienia się do Benesa — jakkolwiek zupełnie obca mi emocjonalnie — nie miała w kontekście sytuacji jesienią 1941 roku żadnego sensu. Lecz zajęcie postawy benesowskiej było niemożliwe tak długo, jak długo sprawa zaginionych oficerów pozostawała niewyjaśniona. Tym też prawdopodobnie tłumaczyć należy pewne niedopowiedzenia Ksawerego gdy przedstawiał swoje stanowisko.

Reprezentowaliśmy dwa odmienne ideały przyszłości Polski i całej Wschodniej Europy. Nikt z nas oczywiście nie mógł zaprzeczyć, że Rosja reprezentowała ogromny potencjał gospodarczy i kulturalny. Ksawery chciał aby ten potencjał był oparciem również dla przyszłej, powojennej Polski. Ja, oczywiście, chciałem przyjaźni z Rosją, lecz dopiero potem jak narody przez nią ujarzmione uzyskają wolność i możliwość stworzenia własnych państw. Myślałem w kategoriach ideałów które były żywe w końcowym okresie pierwszej wojny światowej.

Paradoksem w tym wszystkim była odmienność naszego wychowania i naszej formacji psychicznej. Ksawery był wychowankiem jezuitów, ja — przedrewolucyjnej szkoły rosyjskiej i polskich konspiracyjnych organizacji w tej szkole. Ksawery nie był skłonny do myślenia w kategoriach problemów socjalnych; obce mu były spory na temat takiej lub innej interpretacji Marksa. Ja przyszedłem do ekonomii właśnie poprzez Marksa. Pierwszą książką ekonomiczną, którą przeczytałem jeszcze w latach szkolnych, w przededniu wybuchu rewolucji rosyjskiej, było rosyjskie tłumaczenie interpretacji doktryny Marksa przez Karola Kautskiego. Nie akceptowałem nigdy filozofii marksowskiej, lecz zgadzałem się ze Stanisławem Brzozowskim, że teorie Marksa miały duże walory pragmatyczne, jako pewnego rodzaju metoda interpretowania zjawisk społecznych, politycznych i kulturalnych. W latach trzydziestych miałem różnego rodzaju przykrości związane z zarzutami, że źle oddziaływałem na młodzież, poświęcając w swoich wykładach wiele miejsca kontrowersjom, związanym z teorią Marksa oraz problemom wynikającym z sowieckiej polityki gospodarczej. Ksawery był wówczas współpracownikiem konserwatywnego *Słowa* wileńskiego.

Ksawery nie znał Rosji, o ile mogłem zauważyć mówił słabo po rosyjsku. Natomiast, o ile wiem, dobrze władał językiem francuskim. Był więc raczej człowiekiem kultury zachodniej; chociaż jego nieco wystające kości policzkowe budziły reminiscencje ziem stepowych dawnej Rzeczypospolitej. Ja, w latach młodości, wchłaniałem sporo rosyjskiej kultury. Byłem wielbicielem rosyjskiej poezji i rosyjskiego teatru. W dniach rewolu-

lucji październikowej — gdy Lenin zdobywał władzę w ówczesnym Piotrogradzie — byłem studentem uniwersytetu Moskiewskiego. Czuję się zawsze dobrze w środowisku inteligentów rosyjskich, ich typowych kontrowersji oraz ich paradoksów.

W owej rozleniwiającej atmosferze odprężenia, w gorących promieniach płazowego słońca, budziły się we mnie różne miłe wspomnienia lat chłopięcych, odzywały dawne uroki. A jednak w stosunku do Rosji białej czy też czerwonej, byłem o wiele bardziej bezkompromisowy, niż ów wychowanek szkoły jezuickiej, który aż do ostatnich lat przedwojennych uchodził w Polsce za utalentowanego i dynamicznego przedstawiciela młodzieży zachowawczej. Obawiałem się, że w postawie Ksawerego była ukryta jakaś nieświadoma czy też półświadoma zgoda na to, że w razie zwycięstwa sowieckiego Polska będzie odgrywała rolę przedniej straży rosyjskiej ekspansji na Zachód, czemu byłem głęboko, emocjonalnie, przeciwny.

Składaliśmy więc sobie deklaracje w sprawie tego co chcielibyśmy osiągnąć, lecz przyszłość była spowita we mgłach. W czasie owych rozważań na nadwożańskiej plaży trudno jeszcze było przewidzieć jak się ostatecznie zakończy wojna. Było to lato 1942 i wydawało się że byliśmy jeszcze bardzo daleko od rozstrzygającej sytuacji. To że Niemcy w końcu zostaną rozbite uchodziło pomiędzy nami za pewnik; jak się jednak wojna skończy dla Rosji bardzo trudno było przewidzieć.

Niedługo przed wojną zamieściłem w *Kurierze Wileńskim* kilka artykułów porównujących potencjał Imperium Brytyjskiego i Rzeszy Niemieckiej. Twierdziłem, że w razie wojny angielsko-niemieckiej Anglicy będą potrzebowali dużo czasu aby ten potencjał rozwinąć, lecz że w rezultacie Niemcy muszą przegrać. Byłem w tym pod sugestią tego co sam Hitler pisał w *Mein Kampf*, które czytałem w 1937 roku, gdy siedząc w Kilonii pisałem książkę o *Polityce Gospodarczej Niemiec Hitlerowskich*. Nie wspominałem jednak w niej jak taka wojna mogłaby się odbić na naszych losach. Nie uważałem, że jej wybuch mógłby być w naszym interesie. Uzyskanie gwarancji brytyjskich uważałem za wielkie dyplomatyczne osiągnięcie Becka, które w owej chwili stanowiło duży atut przy ewentualnych pertraktacjach z Niemcami w sprawie rozwiązania spraw spornych, zawieszonych przez traktat o nieagresji w 1934 roku. Wydawało mi się, że Marszałek Piłsudski zawierał ten traktat nie po to, aby po jego wygaśnięciu iść do wojny z Niemcami, do której nikt w Polsce poważnie się nie szykował, lecz aby mieć czas na wypracowanie jakiegoś rozwiązania, które by uspokoiło umysły po obu stronach naszej ówczesnej zachodniej granicy.

W 1939 roku w wojnie angielsko-niemieckiej nie był nikt zainteresowany oprócz Związku Sowieckiego — i dlatego nieco naiwnie wierzyłem, że do niej nie dojdzie. Gdy do tej wojny jednak doszło, było dla mnie jasne, że sojusz ze Związkiem Sowieckim zwiększał ogromnie potencjał militarny Niemiec. Gdy w 1941 roku, już w łagrze sowieckim na dalekiej północy, dowiedziałem się że Hitler zaatakował Rosję wydało mi się to zupełnym szaleństwem. Gdy potem, pod koniec tego samego roku, przyszła wiadomość, że Stany Zjednoczone również przystąpiły do wojny, nie miałem już żadnej wątpliwości, że militarne losy Niemiec były przesądzone.

Jeżeli chodzi jednak o Związek Sowiecki, to w 1942 roku było jeszcze trudno przewidzieć, jak się wojna dla niego skończy i czy system sowiecki przetrzyma do chwili ostatecznego załamania się Niemiec? Co prawda Moskwa została obroniona, a Leningrad wciąż bronił się, pomimo nacisków Niemców z południa a Finów z północy, ale wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, że udział Finów był ograniczony do terytoriów, w których byli bezpośrednio zainteresowani oraz, że odmówili udziału w atakach na Leningrad. Z drugiej strony wiele najważniejszych centrów przemysłowych na południu było już obsadzonych przez Niemców. Wydawało mi się że potencjał przemysłowy Sowietów został obniżony co najmniej o 50 %, a może nawet i więcej.

W owym czasie wiedzieliśmy, że Niemcy posuwają się w kierunku Kaukazu, tzn. ku głównym ośrodkom rosyjskiego przemysłu naftowego. Było bardzo prawdopodobne że, jeżeli Niemcy obsadzą Kaukaz, to głównym terenem wojny staną się Turcja, Syria i Persja. Anglicy się do tego szykowali. W tym właśnie celu Churchill uzyskał zgodę Stalina na przesunięcie armii polskiej, która formowała się w rosyjskiej Centralnej Azji, na operacyjne tereny brytyjskie na tzw. Środkowym Wschodzie. Właśnie w jedną z tych „plażowych” niedziel widziałem rano w Ambasadzie podczas mszy świętej, odprawianej przez wileńskiego jezuitę ks. Kucharskiego (do której normalnie przed jego chorobą służył Ksawery) gen. Andersa oraz jego szefa sztabu gen. Szyszko-Bohusza, którzy dopiero co przyjechali skądś z Bliskiego Wschodu. W ich umundurowaniu był już widoczny pewien wpływ obyczajów europejskich wojsk kolonialnych. Podniecało to wówczas mnie niezmiernie, bo ożyły w mojej pamięci te wszystkie dyskusje na temat przeznaczenia armii gen. Weyganda w Syrii, które prowadziliśmy ciągle w Kozielsku w 1940 roku. Nadzieja żebyśmy się tam mogli znaleźć wydawała mi się wówczas zupełnie nierealna. Teraz otwierały się dla mnie widoki ziszczenia tego co w 1940 roku wydawało się tylko marzeniem. Ożyły w mojej

pamięci sylwetki moich kozielskich towarzyszy niedoli, a jednocześnie zakiełkowała dręcząca myśl o tajemnicy ich losu.

W 1940 roku dyskutowana była wśród nas w Kozielsku koncepcja, powstała pod wpływem książek Churchilla o Pierwszej Wojnie Światowej, które kombrig Zarubin wypożyczył prof. Komarnickiemu, że losy wojny mogą ostatecznie rozstrzygnąć się na Bliskim Wschodzie i na Bałkanach. Mówiono wówczas, że była to ulubiona idea strategiczna Churchilla. Gdy w początku 1941 roku badano mnie w Centrali NKWD w Butyrkach, w małym pokoju, którego cała ściana była zajęta sztabową mapą Jugosławii upstrzoną różnokolorowymi chorągiewkami, przyszło mi do głowy, że sojusz sowiecko-niemiecki może się załamać na sprawach bałkańskich. Z okresu swoich studiów w 1937 roku w Kilonii, Hamburgu i Berlinie wiedziałem jak dużą rolę politycy gospodarczy III-ciej Rzeszy przywiązywali do ekspansji na Bliski Wschód. Jako wychowanek szkoły rosyjskiej wiedziałem oczywiście o historycznym parciu imperium rosyjskiego do „ciemnych mórz” tzn. do zatoki Perskiej.

Postanowiłem więc że, jeżeli istotnie mam jechać do dyspozycji rządu w Londynie — jak mówił mi ambasador Kot — będę się starał zatrzymać na Bliskim Wschodzie tak długo, jak to będzie możliwe. Chciałem być bliżej kluczowych terenów wojny. Ten zamiar udało mi się zrealizować niedługo potem. W końcu 1942 roku trzy ministerstwa Spraw Zagranicznych, Informacji oraz Prac Kongresowych naszego rządu londyńskiego zdecydowały założyć specjalne biuro studiów na Środkowym Wschodzie i ja zostałem manowany szefem tego Biura z siedzibą w Jerozolimie. Przypuszczałem, że jeżeli Niemcy zdobędą Kaukaz, to także jakieś wojska rosyjskie będą musiały wycofać się do owego strategicznego rejonu, który Anglicy nazywali Środkowym Wschodem. Zastanawiałem się jakie to wywołałoby polityczne konsekwencje i jak NKWD będzie wyglądało na emigracji.

W 1942 roku wewnętrzna sytuacja Związku Sowieckiego była bardzo ciężka. Znaczna część ludności głodowała. Setki tysięcy ludzi pracowało w obozach pracy przymusowej jako faktyczni niewolnicy. Niemal każda rodzina rosyjska miała tam swoich przedstawicieli. Oddziałom wojskowym wewnątrz kraju nie dawano broni — poza minimum które było potrzebne dla celów wyszkoleniowych. Na kilka lat przed wojną Stalin przeprowadził straszliwą „czystkę” wśród oficerów wyższych i średnich stopni, w rezultacie której wymordowano kwiat dowódców Armii Czerwonej. Musiało to bardzo ujemnie zaważyć na pracy sztabów. NKWD kontrolowało wszystko żelazną ręką. Po masowym poddawaniu się Niemcom w 1941 roku oddziałów stacjonujących na

Ukrainie i Białorusi sytuacja zdawała się być opanowana, lecz dopiero na etnograficznych terenach rosyjskich. W razie jednak jakiegś większej klęski wszystko mogło znowu pęknąć.

Były dwie podstawowe niewiadome, które szczególnie utrudniały mi ocenę perspektyw sowieckich. Po pierwsze nie było jasne jakie są cele polityczne Hitlera, po wtóre bardzo trudno było w owym czasie powiedzieć jaka będzie skala materiałowej pomocy Anglosasów dla Związku sowieckiego. Nie mieliśmy dosyć materiałów aby ocenić strategię militarną Hitlera, lecz jego strategia polityczna wyglądała dziwacznie. Hitler miał dwa wielkie atuty moralne i polityczne w kampanii rosyjskiej. Z jednej strony mógł wysunąć hasło wyzwolenia narodów uciemnionych przez Rosję. Zyskałoby to mu duże sympatie na Ukrainie oraz wzbudziłoby prohitlerowski entuzjazm wśród narodów Krymu, Kaukazu oraz rosyjskiej Centralnej Azji, a także przeważnej części świata muzułmańskiego. Z drugiej strony mógł zagrać na patriotyzmie rosyjskim. Gdy w łagrach dowiedziałem się z prasy sowieckiej o upadku Smoleńska, byłem niemal pewny, że Niemcy utworzą tam rząd rosyjski, który weźmie aktywny udział w dalszym organizowaniu wojny. Hitler nie skorzystał z żadnego z tych atutów. Czyżby naprawdę wychodził z założenia, że cały Wschód Europy i cała Azja to „podludzie” przeznaczeni aby wykonywać pracę niewolniczą dla niemieckich „nadludzi”? Pomijając moralną stronę tej sprawy, branie tego poglądu jako założenia realnej polityki byłoby szaleństwem, które musiałoby doprowadzić do klęski. Ta paranoiczna polityka Hitlera zwiększała ogromnie sowieckie szanse przetrwania.

Trudno było także zorientować się jakie były zamiary Anglosasów. Na początku wojny, w 1941 roku Stalin udzielił rodzaj wywiadu, który był opublikowany w prasie sowieckiej i który czytałem podczas pobytu w łagrze. Powiedział on, że ostateczny wynik wojny niemiecko-sowieckiej będzie zależał od zdolności obu krajów do zmobilizowania ich przemysłów. Było to inteligentne postawienie sprawy. Stalin nie miał wątpliwości, że przy pomocy piekielnej maszyny NKWD będzie panował nad materiałem ludzkim, że ujęci w karby żelaznej dyscypliny głodni ludzie będą posłusznie walczyli, pracowali i umierali. Lecz powstawało pytanie czy ta produkcja środków walki nie zawiedzie w porównaniu z ogromnym niemieckim aparatem przemysłowym, który obejmował prawie cały kontynent europejski. Wynikało z tego, że pomoc materiałowa ze strony sojuszników zachodnich mogła mieć decydujące znaczenie. Powstawało pytanie po pierwsze, czy Anglosasi będą w stanie udzielić pomocy materiałowej w niezbędnych rozmiarach, a po wtóre, czy zechcą. Inteligencji rosyjscy,

z którymi jeszcze w łągrach o tym rozmawiałem, byli sceptyczni. Uważali że w interesie angielskim nie leżało aby Sowiety odniosły pełne zwycięstwo, lecz jedynie aby opór rosyjski wyczerpał siły niemieckie. Wierzono więcej w szczerą postawę amerykańskiej.

Rosjanie sowieccy, według moich obserwacji są o wiele bardziej skłonni do racjonalistycznej czy nawet makiawelistycznej kalkulacji w sprawach polityki zagranicznej niż ludzie Zachodu — których podejście jest bardziej emocjonalne — oraz niż były sfery rządzące w Rosji carskiej, które ulegały takim motywacjom jak honor, wierność danemu słowu, itp., co w Związku Sowieckim traktuje się jako rodzaj przeżytków feudalizmu. Dlatego też posunięcia sowieckie w dziedzinie polityki zagranicznej są łatwiejsze do przewidzenia, niż uchwycenie kierunków chwiejnego drepnięcia dyplomacji zachodniej. Zachodnia polityka zagraniczna jest zależna od opinii publicznej, która w wypadku amerykańskim ma charakter okresowych historycznych wybuchów o najbardziej przeciwstawnych tendencjach. Błąd sowieckich Rosjan polega na tym, że często swój cyniczny sposób myślenia przypisują również przywódcom Zachodu. Stąd podczas ostatniej wojny wynikało dość powszechne przypuszczenie że pomoc Anglosasów będzie prawdopodobnie tak obliczona, aby przedłużyć wojnę, nie dopuszczając jednak do pełnego zwycięstwa sowieckiego, które oznaczałoby koniec systemu kapitalistycznego, koniec Imperium Brytyjskiego, a również koniec demokracji liberalnej.

Latem 1942 mówiono dużo o możliwości utworzenia „drugiego frontu” na Zachodzie. W Ambasadzie w protokołach rozmów Sikorski-Stalin czytałem oświadczenie gen. Sikorskiego, że złożył memoriał Churchillowi o konieczności jak najszybszego utworzenia drugiego frontu na kontynencie europejskim. Na to Stalin powiedział *prawilno*, lecz wątpię czy uwierzył w szczerą postawę Sikorskiego. Sądzę jednak, że gen. Sikorski był tu szczery bo przecież, według jego koncepcji, wojska polskie miały bić się na froncie wschodnim pod strategicznym dowództwem sowieckim, a koncepcja przesunięcia armii Andersa pod strategiczne dowództwo brytyjskie na Środkowym Wschodzie przyszła dopiero potem i zrodziła się bez udziału gen. Sikorskiego, chociaż oczywiście wymagała jego aprobaty.

Reasumując te wszystkie elementy dochodziłem do przekonania, że szanse przetrwania systemu sowieckiego przez te wszystkie próby były bardzo wątpliwe. Wyobrażałem sobie, że tak również myślały odpowiednie „dwójki” zarówno angielska jak i nasza. Ostatecznie wydawało mi się, że wszystko będzie zależało od rezultatu niemieckich operacji w kierunku Kaukazu.

Gdyby Niemcy opanowały Persję, zostałaby przecięta najbardziej efektywna droga dostaw amerykańskich, nawet gdyby okazało się że Amerykanie byli gotowi zrobić maksimum wysiłku aby pomóc Związkowi Sowieckiemu. Mówiono również o niemieckich ruchach w kierunku Stalingradu — około 500 kilometrów na południo-zachód od Kujbyszewa. Ksawery i ja mieliśmy wkrótce o tym parciu na Stalingrad przekonać naocznie, gdy wypadło nam podróżować Wołgą na południe poprzez tamte tereny. Nacisk niemiecki na ten ważny punkt przemysłowy i strategiczny rozumiałem jako operację pomocniczą, aby zabezpieczyć tyły operacji Kaukaskiej, która musiała mieć podstawowe znaczenie. Armię Andersa, która właśnie zaczynała przesuwać się z rosyjskiej centralnej Azji do Persji i Iraku, mogła czekać bardzo ciężka przeprawa, jeżeli Niemcy po zdobyciu Kaukazu, zaatakują w kierunku południowym, tzn. poprzez Persję i Turcję.

Ksawery zdawał się nie podzielać moich wątpliwości i był bardziej optymistyczny co do szans sowieckich. Może dlatego, że był znacznie bardziej niż ja człowiekiem Zachodu, a więc myślał bardziej emocjonalnie. Może w pewnym stopniu dlatego, że był pod wpływem zachodniej opinii publicznej, choć na ogół mało interesował się światem anglosaskim.

Wypadki jednak potwierdzały raczej jego intuicje niż moja analiza. Kilka miesięcy potem zarysowała się klęska Niemiec w Stalingradzie, a dokładnie w rok potem przyszła bitwa pod Kurskiem (lipiec 1943) nie mniej ważna od stalingradzkiej. W latach późniejszych nieraz wracałem myślami do owych rozważań plażowych i szukałem na czym polegały błędy w moim ówczesnym rachunku prawdopodobieństwa. Należy przypuszczać, że jednym z poważnych braków tego rachunku było to, że nie orientowałem się w rozmiarach ewakuacji podstawowych zakładów przemysłu wojennego na wschód. Powojenna książka Wozniesińskiego, jednego z architektów tej ewakuacji, zresztą potem rozstrzelanego przez Stalina, była dla mnie zupełną rewelacją.

Gdyby wówczas, w 1942 roku w Kujbyszewie, ktoś mi powiedział, że ta ewakuacja była przeprowadzona z wielkim powodzeniem — nie byłbym skłonny temu uwierzyć. Zbyt byłam pod sugestią własnego kilkudziesięciostrońnicowego artykułu o problemach przemysłu sowieckiego — opublikowanego w wydawnictwach Instytutu Europy Wschodniej w Wilnie w 1934 roku. Artykuł był przeważnie oparty na studiach nad okresem Pierwszego Planu Pięcioletniego (1928-1932); tymczasem już okres drugiej pięcioletki (1933-1937) przyniósł ogromne usprawnienie sowieckiej administracji przemysłowej.

Niedostatecznie brałem pod uwagę, że przy ogromnym chaosie i bałaganie — co każdy, kto był w Rosji, miał możliwość obserwować — były jednak dziedziny gdzie w czasie rządów Stalina usprawnienie zostało doprowadzone do najwyższego poziomu precyzji. Taką właśnie dziedziną była produkcja narzędzi walki. Sowiety miały ogromne zapasy sprzętu artyleryjskiego i kształciły wielu konstruktorów czołgów. Dwóch takich konstruktorów spotkałem gdy siedziałem w łubiańskim więzieniu. Amerykańska pomoc, która szła na kolosalną skalę, rozkręciła się dopiero w 1943 roku, tzn. dopiero po Stalingradzie. Pomoc ta szła głównie poprzez porty na zatoce Perskiej. Amerykanie wybudowali w tym celu specjalne drogi przez Persję. Gdyby Niemcy zdobyli Kaukaz i ruszyli na Persję ta pomoc zostałaby zatrzymana. Chyba więc w owych plażowych dyskusjach miałem jednak rację, że klucz sytuacji był w operacji kaukaskiej. Było jednak rzeczą charakterystyczną, że pomoc amerykańska, w której zorientowałem się podczas trzykrotnego pobytu w Persji w latach 1942-1944, chociaż była na ogromną skalę, nie obejmowała — jak mi wówczas mówiono — ani czołgów ani artylerii. Składała się przede wszystkim ze środków transportu, instalacji dla rafinerii, żywności itp. Czołgów, broni i amunicji Sowiety miały pod dostatkiem z własnej produkcji oraz ogromnych zapasów nagromadzonych podczas trzech stalinowskich pięciolatek. Tego ani Ksawery ani ja nie wiedzieliśmy podczas naszych plażowych dyskusji, lecz Ksawery był skłonny wierzyć że Sowiety przełamią wszystko, a ja byłem sceptyczny.

Z tą różnicą ocen pomiędzy mną a Ksawerym wiązała się także różnica postawy emocjonalnej w stosunku do Rosji. Dla Ksawerego wyraźnie szło coś nowego, co w konsekwencji musiało prowadzić do wyrzeczenia się przez państwo polskie wszelkich ambicji we Wschodniej Europie i skoncentrowania się wyłącznie na problemie rubieży zachodnich. Praktycznie oznaczałoby to odstąpienie Sowiecom wschodnich województw odrodzonej Rzeczypospolitej oraz całkowite wycofanie ludności polskiej z tamtych terenów, chociaż Ksawery tak wyraźnie wówczas tej sprawy nie stawiał. Było jednak coś niedopowiedzianego w formułowaniu tej linii politycznej, którą — jego zdaniem — gen. Sikorski musiał narzucić narodowi polskiemu. Była to dość dziwna postawa, jeżeli się weźmie pod uwagę że na kilka lat przed wojną Ksawery miał sprawę honorową i, zdaje się, pojedynek, z ogólnie szanowanym przywódcą Wileńskiej Narodowej Demokracji Zwierzyńskim, gdy jacyś endecy wyrazili wątpliwość co do gotowości Ksawerego obrony polskośći Lwowa.

Ja przeciwstawiałem temu swój dawny ideał, który wyzna-

wałem przez cały okres swego świadomego życia politycznego: przeistoczenie Wschodniej Europy w rodzaj nowej Szwajcarii, składającej się z szeregu niepodległych państw, luźno powiązanych gospodarczo i militarnie, z pełną wzajemną tolerancją językową i kulturalną. Byłoby to, moim zdaniem, jedyne uczciwe rozwiązanie sprawy narodowościowo mieszanym terenów, tak licznych we wschodnich częściach dawnej Rzeczypospolitej. Z tego powodu za czasów tzw. Litwy Środkowej w 1920-1922 latach byłem przeciwnikiem wcielenia Wileńszczyzny do państwa polskiego. Rosyjski imperializm, zarówno biały jak i czerwony, nie mógł się oczywiście z istnieniem w Europie Wschodniej takiego szeregu niepodległych państw pogodzić. Lecz zmienne koleje wojny mogą stworzyć warunki dla zrealizowania tego co dawniej wydawało się niemożliwe. Interesowało mnie bardzo czy na terenie Londynu był ktoś, zarówno pomiędzy Anglikami jak i Polakami, kto by tego rodzaju podejście reprezentował, ale Ksawery niewiele mi na ten temat mógł powiedzieć.

Mój ideał zawierał, oczywiście nawrót do tego, co nazywamy tradycją Jagiellońską. Uważałem jednak że w naszym stuleciu odrodzenie tej tradycji musi nastąpić na podłożu zupełnie innej struktury klasowej, niż było to za czasów przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Akty unii, zarówno Krewskiej jak i Lubelskiej, były wyrazem kooperacji możnowładztwa oraz szlachty Polski, Litwy i Rusi. W dwudziestych latach, gdy tyle dyskutowano nad federalistycznymi planami Piłsudskiego, wydawało mi się, że Wschodnia Europa musiała być zorganizowana jako federacja niepodległych chłopskich republik, dla których Litwa Kowieńska mogła stanowić model pod wielu względami, chociaż Polska i Ukraina miały również rozwinięte okręgi przemysłowe.

Odbudowanie tradycji Rzeczypospolitej z zachowaniem tradycyjnego układu stosunków socjalnych wydawało mi się utopią. W tym sensie Stanisław Mackiewicz był utopistą, chociaż miał ogromne wyczucie realiów w dziedzinie bieżącej polityki zagranicznej. Rzeczypospolita możnowładców i szlachty minęła bezpowrotnie. Lecz realia geograficznej sytuacji narodów na przemyku pomiędzy Bałtykiem a Karpatami pozostały niezmiennione. Narody te były narażone na zaborcze niwelacyjne fale, które biły z Wielkiej Wschodniej Równiny. Unia Polsko-Litewsko-Ruska była próbą organizacji wspólnej obrony przeciwko tym niwelującym falom. Wojny kozackie były wypaczeniem tej obronnej Unii, bo były to wojny klasowe. W okresie po pierwszej wojnie światowej wierzyłem, że powtórzenie się sytuacji siedemnastowiecznej stanie się możliwe dopiero potem jak wszystkie te

republiki chłopskie przeprowadzą u siebie mniej lub więcej radykalną reformę rolną, tak jak zrobiły to Litwa i Łotwa. Środo-wiskiem gdzie te idee rozwijałem był Wileński Klub Włóczęgów, którego zebrania Ksawery czasami odwiedzał jako gość.

Na początku lat trzydziestych zacząłem jednak nieco zmieniać swoją wizję obronnej organizacji Wschodniej Europy. Był to okres wielkiej depresji w świecie kapitalistycznym. Szczególnie cierpiały kraje przeważnie rolnicze z powodu zachwiania się równowagi pomiędzy cenami surowców a produktów przemysłowych, których ceny były sztucznie utrzymywane przez porozumienia kartelowe. Zacząłem wówczas myśleć nad problemem uprzemysłowienia tej części Wschodniej Europy, która była wolna od panowania Kremla. Nie było mowy o przyciągnięciu większych kapitałów zagranicznych, bo szły one przeważnie za pośrednictwem banków niemieckich i austriackich. Wojna celna z Niemcami była czynnikiem ogromnie ograniczającym możliwości inwestycji zagranicznych w Polsce. Gdy ta wojna się skończyła przyszła depresja światowa. Stało się dla mnie jasne, że uprzemysłowienie musi przyjść jako skutek inicjatywy publicznej, która ewentualnie musiałaby szukać oparcia w niemieckich przemysłach inwestycyjnych. Z tego też powodu zabrałem się do studiów nad polityką gospodarczą III-ciej Rzeszy.

W Związku Sowieckim był w tym samym czasie głód i odradzająca moralnie atmosfera przymusowej kolektywizacji, lecz jednocześnie budowano podstawy dla rozwoju przemysłowego. Zacząłem studiować sowiecką politykę uprzemysłowienia jeszcze przedtem nim zabrałem się do niemieckiej. W moim rozumieniu doświadczenie sowieckie było ogromnej wagi dla każdego ekonomisty i musiało prowadzić do zrewidowania szeregu ogólnie przyjętych dogmatów szkoły klasycznej. Lecz eksperymentalne zastosowanie pewnych odpowiednio zreformowanych modeli sowieckich nie oznaczało bynajmniej w moim rozumieniu przyjęcia sowieckiego przywództwa politycznego, a tym bardziej sowieckiej filozofii.

W połowie lat trzydziestych odsunąłem się od grupy młodzieżowej przewodzonej przez Henryka Dembińskiego i Stefana Jędrzychowskiego, w chwili gdy nasze wspólne zainteresowania sowieckimi modelami gospodarczymi zaczęły przeistaczać w uznanie sowieckiego przywództwa politycznego, chociaż Dembiński nigdy nie akceptował osobiście sowieckiej filozofii. Ksawery był wówczas bardzo wyraźnie „po innej stronie barykady”. Teraz Ksawery zdawał się wykazywać predyspozycję do zaakceptowania właśnie sowieckiego przywództwa politycznego, nie interesując

się jednak tym, co stanowiło wielki historyczny wkład Rewolucji rosyjskiej i danie pewnych wzorów dla szybkiego rozwoju zacyfrowanych gospodarczo krajów. Nie wykazywał też on zainteresowania filozofią marksowską.

Dyskusje na nadwożańskiej plaży pozostały w mej pamięci jako pewnego rodzaju rekolekcje ideowo-polityczne na progu nowego etapu mojej drogi życiowej, w obliczu świeżo odzyskanej wolności. Gdy dwa lata potem wojna została zakończona, obydwaj zachowaliśmy się zgodnie z tym co sobie wówczas wzajemnie deklarowaliśmy. Ksawery wszedł do korpusu dyplomatycznego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i został ambasadorem w Holandii. Podobno jego marzeniem była ambasada przy Watykanie po spodziewanym wówczas zawarciu konkordatu. Jeżeli chodzi o mnie stałem się po wojnie intelektualnym włóczęgą, zajmując w ciągu z górą dwudziestu lat różne stanowiska uniwersyteckie w Londynie, Manchesterze, w służbie UNESCO w Indonezji, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Dzieje Ksawerego stanowią interesujący problem psychologiczny. Nie posądzam go, aby względy oportunistyczne odgrywały u niego jakąś większą rolę. Szedł on pod wpływem jakiegoś impulsu, którego charakter niezupełnie był dla mnie jasny. Analiza tego procesu psychologicznego wymagałaby dłuższego artykułu podobnego do znanej książki Miłosza o drogach, którymi w latach czterdziestych młodzi polscy intelektualiści dochodzili do zaakceptowania komunizmu. U Miłosza jego bohaterzy dochodzą ostatecznie do zaakceptowania filozofii marksowskiej. Nie przypuszczam, żeby Ksawery kiedyś doszedł do tego punktu. Jego droga była odmienna. Był to szlak młodzieńca, który zaczął swoją działalność pisarską w obozie zachowawczym, był przywiązany do tradycyjnych pojęć tego obozu i stopniowo doszedł do zaakceptowania przywództwa rosyjskiego jako pewnego rodzaju konieczności historycznej. Był już przecież na tym szlaku kiedyśmy na owej plaży nadwożańskiej dyskutowali historyczne drogi Polski.

Nie wierzę aby Ksawery mógł kiedyś dojść do zaakceptowania filozofii marksowskiej. Przypuszczam, że gdyby lepiej uświadamiał sobie charakter tej filozofii, może nie oddałby swoich talentów na usługi państwa komunistycznego. Marksizm jest bardzo cenną metodą, gdy chodzi o analizę stosunków społecznych, typowych dla pewnej epoki historycznej. Lecz jest nieprzydatny, gdy trzeba wytłumaczyć tendencje kulturalne i polityczne, które trwają poprzez stulecia. Nie jest łatwo w kategoriach teorii walki klasowej wytłumaczyć podobieństwa, zachodzące pomiędzy polityką Iwana III-go, Piotra I-go, Katarzyny II-giej oraz carskich

ministrów w XIX-tym wieku z jednej strony a Stalina z drugiej strony. Marksowska analiza jest szczególnie mało przydatna, gdy ktoś podejmuje się ująć całą historię cywilizacji ludzkiej jak to czynił Arnold Toynbee, z którym w późniejszych moich włóczęgowskich dziejach zdarzyło mi się kilkakrotnie zetknąć. Toynbee w rezultacie swoich jedenastu tomów doszedł do przekonania, że historia ludzkości to przede wszystkim dzieje wielkich religij.

Marksowskie myślenie jest ahistoryczne, tak samo jak ahistoryczne było myślenie dziewiętnastowiecznych ekonomistów klasycznych, od których Marks tyle zapożyczył. Ksawery zaś myślał w kategoriach obrazów, które reprezentowały wielkie prawdy historyczne; jak w owej uroczej nowelce o trębaczu na rynku w Samarkandzie, w której wyraża wiarę, że wolność muzułmańskich narodów centralnej Azji i wolność Polski są ze sobą ściśle powiązane.

Z Ksawerym rozstaliśmy się w Teheranie mniej więcej w dwa miesiące po owych plażowych dyskusjach, kiedy on odleciał do Londynu; ja zaś — zgodnie z planem który się zrodził jeszcze w Kujbyszewie — pozostałem tymczasem na Bliskim Wschodzie. Przed samą inwazją kontynentu europejskiego Ksawery wrócił do wojska jako oficer prasowy. Na samym początku walk dywizji pancерnej, gdy napotkał kolumnę czołgów, która szykowała się do ataku, potrafił przekonać jakiegoś kaprala, aby mu odstąpił swoje miejsce w czołgu. Czołg najechał na minę i Ksawery do końca wojny musiał przebywać w szpitalu gdzieś na kontynencie europejskim. Nie spotkałem już go przed wyjazdem do Polski. Nawiązaliśmy kontakt dopiero po kilku latach, niedługo przed wypadkiem samochodowym, w którym stracił on życie. W jakiś czas potem, za pośrednictwem jego brata, doszedł do mnie jego list pisany przed samą katastrofą, w którym podejmował się załatwić mi jedną sprawę w kraju, na której bardzo mi zależało.

Jeżeli chodzi o tajemnicę losów oficerów Kozielskich i Starobielskich, Ksawery znał oczywiście moje relacje o tym dokąd, geograficznie rzecz biorąc, wywożono w kwietniu 1940 roku oficerów kozielskich. Lecz ta relacja nie zawierała żadnych wskazówek co się ostatecznie z tymi oficerami stało. Nabrała ona pewnych barw dopiero w związku z rewelacjami radia niemieckiego, bo ja wskazywałem dokładnie to samo miejsce, o którym potem mówiło radio niemieckie. Rewelacje niemieckie przysłyły w dziewięć miesięcy po naszych dyskusjach na plaży. Ksawery był wówczas w Anglii, a ja w Jerozolimie. W okresie jednak czerwiec-sierpień 1942 roku, kiedy widywaliśmy się kilka razy

dziennie, odnosiłem wrażenie z różnych jego powiedzeń i reakcji, że on intuicyjnie był bardziej pesymistyczny w sprawie losu naszych oficerów, niż to było w moim wypadku.

Raz jeszcze jego intuicja okazała się bardziej trafna niż moja analiza. Jest rzeczą ciekawą, że nie zmniejszało to jego również intuicyjnego nastawienia w kierunku politycznie prosowieckiej orientacji.

Rozdział VI

DROGA DO TEHERANU

W lipcu 1942 roku stało się wiadome, że ambasador Kot po niespełna roku urzędowania opuszcza swoją placówkę i że rząd polski zamierza wyznaczyć nowego ambasadora. Nie znam dokładnie okoliczności, które towarzyszyły tej decyzji, lecz już po kilku tygodniach obserwowania pracy ambasady stało się dla mnie jasne, że ani Kot nie czuł się szczęśliwy na swoim stanowisku, ani też władzom sowieckim nie odpowiadała osoba polskiego ambasadora. Kot, jak to już wyżej podkreślałem, jechał do Rosji wczesną jesienią 1941 roku, mając na względzie dwa podstawowe zadania. Po pierwsze ratować dziesiątki tysięcy ludzi, którzy męczyli się i marli w więzieniach, łagrach i obozach sowieckich, w tym wielu przedstawicieli polskiej elity umysłowej. Po wtóre stworzyć warunki dla wzajemnego zaufania i współpracy pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim.

Umowa Sikorski-Majski otwierała wiele możliwości. W okręgach Związku Sowieckiego, gdzie były większe skupienia deportowanych obywateli polskich powstawały w bardzo szybkim czasie delegatury ambasady, przy których zakładano składy żywnościowe i ubraniowe, oparte przeważnie na darach amerykańskich. Na stacjach węzłowych, kędy przyjeżdżali zwolnieni z łagrów obywatele polscy, ustanowiono posterunki oficerów rekrutacyjnych, którzy kierowali ludzi do ośrodków tworzenia się armii polskiej. Delegatury usiłowały zorganizować opiekę lekarską, kulturalną i religijną, a również wydawały polskie paszporty.

Cennym osiągnięciem Ambasady było zorganizowanie centralnej kartoteki Polaków rozsianych po Związku Sowieckim. Od ludzi, którzy zgłaszali się do delegatur lub do wojska, ściągano

zeznania o miejscu pobytu innych obywateli polskich. W ten sposób w ciągu pół roku w latach 1941/42 powstała kartoteka kartkowa, zawierająca kilkadziesiąt tysięcy nazwisk i obejmująca również wiadomości o szeregu osób, które wbrew umowie Sikorski-Majski były nadal trzymane w więzieniach i obozach. Było to poważne udokumentowanie martyrologii polskiej podczas drugiej wojny światowej. Opowiadano mi, że gdy potem, w 1943 roku, Sowiety zerwały stosunki dyplomatyczne z rządem polskim Ambasador Romer zdołał jednak wywieźć tę kartotekę na Bliski Wschód i że została ona zdeponowana w Czerwonym Krzyżu.

Nieraz w lokalach należących do delegatur księży odprawiali nabożeństwa. Chóralne śpiewy powodowały gromadzenie się tłumów ciekawych tej niezwyklej w państwie stalinowskim swobody, którą dawano niedawnym więźniom i „wrogom ludu”. Wieść o księżach roznosiła się po okolicy i było wiele wypadków, że prawosławni chłopci jechali do nich dziesiątki kilometrów, aby ochrzcić dzieci. W okresie, gdy w 1941 roku toczył się bój o Moskwę, Polacy na zapleczu frontu organizowali się w zamkniętą w sobie, i pod wielu względami niezależną od administracji sowieckiej, społeczność. Według materiałów Kota w wydanych przez niego *Listach z Rosji*, Ambasada potrafiła do lutego 1943 roku stworzyć na terenie Związku Sowieckiego 807 instytucyj z 2.639 pracownikami, udzielając wsparcia blisko 300.000 obywateli polskich¹. Było to coś niesłychanego w systemie stalinowskim i oczywiście irytowało lokalną administrację oraz wywoływało różne nieporozumienia. Należy przypuszczać, że do centralnych władz sowieckich szły z prowincji skargi i alarmujące raporty. Sprawa ogromnie skomplikowała się, gdy wykryto, że niektórzy pracownicy delegatur zbierali materiały dla brytyjskiego wywiadu. Odbijało się to na osobistym stosunku do ambasadora polskiego, który był z punktu widzenia centralnych władz sowieckich w pewnym stopniu uosobieniem tego, co działo się w skupiskach byłych więźniów i wysiedleńców.

Ambasador Kot był psychicznie niedostosowany do rozmów z dygnitarzami stalinowskiej Rosji. Nie rozumiał ani specyficznej mentalności sowieciarzy, ani Rosjan w ogóle, nie władał też językiem rosyjskim. Podkreślał ciągle swoje chłopskie pochodzenie, co wcale nie stanowiło dobrej legitymacji w oczach stalinistów. Chłop, który w Polsce doszedł do katedry uniwersyteckiej, musiał w pojęciu sowieckich komunistów pochodzić z jakiejś „kułackiej” rodziny. A to była najgorsza legitymacja socjalna w Związku Sowieckim. Polskie Stronictwo Ludowe

1. Stanisław Kot, *Listy z Rosji*. Londyn, 1965, str. 27.

było w rozumieniu ideologów komunistycznych stronnictwem kułackim. Na początku pierwszej pięcioletki Stalin prowadził wojnę z warstwą zamożniejszych chłopów, co znalazło swój wyraz w polityce przymusowej kolektywizacji. Opór chłopstwa przeciwko tej polityce złamano metodami niezwykłego okrucieństwa, które da się porównać jedynie z okrucieństwem hitlerowców wobec ludności żydowskiej. Około dziesięciu milionów straciło w ten lub inny sposób życie w tej największej w dziejach świata rewolucji społecznej, która miała miejsce w latach 1929-1932.

Jest rzeczą ciekawą, że wiara w to, iż Stronnictwo Ludowe stanie się w przyszłej Polsce jak gdyby stronnictwem pro-rosyjskim, była dość powszechna wśród przywódców ludowych na emigracji. Była to pewnego rodzaju aberracja umysłowa, która nieco później znalazła swój wyraz w tezie, że przecież Stalinowi musi być wygodniej wywierać swój wpływ na sprawy polskie za pośrednictwem Stronnictwa Ludowego, za którym stały milionowe masy chłopskie, niż za pośrednictwem niepopularnej w społeczeństwie niedużej grupki komunistów polskich, do której masy ludowe nie miały zaufania. Była to jedna z tych idei, które, o ile rozumiem, przyświecały Stanisławowi Mikołajczykowi, byłemu premierowi rządu emigracyjnego, w jego podróżach do Moskwy w 1944 i 1945 roku.

Kot w każdym razie na zewnątrz popierał politykę Mikołajczyka. Kilkakrotnie w tym okresie spotykałem się z nim w Londynie. Nie umiał przytoczyć żadnych rzeczowych argumentów na obronę tej polityki oprócz gołosłownych zapewnień, że wszystko dobrze się ułoży. Potem przyjął stanowisko Ambasadora PRL w Rzymie. Czy oznaczało to, że podczas blisko rocznego pobytu w Związku Sowieckim nie uchwycił tego co stanowiło generalną linię polityki sowieckiej? Mam wrażenie że robił to z poczucia lojalności i dyscypliny partyjnej. Kot był ogromnie przywiązany do Stronnictwa Ludowego. Zajmował z ramienia tego stronnictwa różne eksponowane stanowiska, lecz mam wrażenie, że miał ograniczony wpływ na jego politykę. W latach późniejszych kiedy znowu został emigrantem i przesiadywał regularnie w British Museum, spotykałem się z nim kilkakrotnie, lecz nigdy nie wracaliśmy do tych spraw, które nas rozdzielały po zakończeniu wojny.

Drugim chwytem przy którego pomocy Kot spodziewał się przychylnie usposobić do siebie swoich rozmówców, było podkreślanie jego demokratyczności. Oświadczał, że czasy dyktatury Piłsudskiego i jego następców się skończyły i teraz rząd polski składa się ze szczerych demokratów. System sowiecki to dyktatura niedużej, lecz dobrze zdyscyplinowanej grupy, która trzyma

w swoich rękach ogromny aparat gwałtu i przymusu. Sowieciarze odczuwają nieskończoną pogardę dla różnego rodzaju zachodnich demokratów i liberałów, nie wyłączając tych, którzy deklarują się jako szczególnie przyjaciele Związku Sowieckiego. Sir Stafford Cripps'a specjalnego ambasadora, który miał uprzędzić Związek Sowiecki o grożącej napaści niemieckiej, nikt z ludzi odpowiedzialnych za wąskie decyzje nie był skłonny traktować poważnie. Natomiast niedługo przedtem Ribbentrop w ścisłym kółku Hitlera zachwycał się jak łatwo mu przychodziło dogadywać się z sowieckimi komunistami². Jaki był za czasów stalinowskich stosunek do ludzi, którzy demonstrowali swój stosunek do ideałów demokracji zachodniej najlepszym świadectwem jest opisana powyżej sprawa Ehrlicha i Altera. W tych warunkach trudno było sobie wyobrazić aby ambasador polski mógł kogoś w Związku Sowieckim rozczulić swoim przywiązaniem do ideałów demokracji i wolności.

Kot często zwykł również podkreślać, że nie jest zawodowym dyplomatą. Implikacją takiego oświadczenia, gdy rozmawiał z sowieciarzami było, że gen. Sikorski przysłał do Rosji jako Ambasadora jednego z najbliższych przyjaciół, aby w ten sposób podkreślić swoją wolę ustalenia pewnego rodzaju specjalnego stosunku przyjaźni pomiędzy rządem polskim a sowieckim. Ta postawa uzasadniała wychodzenie czasami poza ścisłe protokolarne ramy, co Kot nieraz czynił, szczególnie gdy chodziło o poszukiwanie zaginionych obywateli polskich lub wyciąganie ludzi z łagrów. Ta postawa irytowała władze sowieckie. Władze te urządzały czasami wystawne przyjęcia dla zagranicznych dyplomatów. W Kujbyszewie utrzymywano specjalną restaurację dyplomatyczną, gdzie wstęp mieli tylko pracownicy obcych ambasad i pewna ilość wyselekcjonowanych dygnitarzy sowieckich. Można było tam dobrze zjeść za tanie pieniądze. Wódkę i kawior podawano bez żadnego ograniczenia. Byłem tam kilkakrotnie przy różnych okazjach. Lecz jednocześnie władze sowieckie były wyraźnie niechętne temu aby ich personel służby zagranicznej wdawał się w jakieś towarzyskie stosunki z pracownikami zagranicznych ambasad. Teren więc, na którym jakąś specjalną przyjaźń w stosunku do Związku Sowieckiego można było zamianifestować, był dość ograniczony.

Przypuszczam, że gen. Sikorski i Kot z góry ustalili, że będą starali się manifestować tę postawę specjalnej zyczliwości i przyjaźni wobec Związku Sowieckiego. Gdy kilka miesięcy potem byłem na Bliskim Wschodzie, opowiadano mi, że gen. Sikorski

2. Albert Speer, *Erinnerungen*, Propyläen Verlag, Berlin, 1969.

w 1941 roku, zatrzymując się w przejeździe przez tamte kraje, zwolnił kilku polskich pracowników konsularnych podejrzanych o kontakty z ruchem prometejskim, tzn. ruchem narodów kaukaskich i środkowo-azjatyckich, ujarzmionych przez Rosję. W Londynie na Radzie Narodowej oświadczył, że losy państw bałtyckich go nic nie obchodzą. Były to oczywiście ukłony w kierunku imperializmu rosyjskiego. Myślę jednak, że wzbudziły one raczej podejrzliwość niż uznanie wśród odpowiednich czynników sowieckich. Potem, gdy wybuchła sprawa zbierania informacji wywiadowczych przez niektórych pracowników polskich instytucji — za co Kot osobiście nie mógł zresztą ponosić odpowiedzialności — sowieckie czynniki uznały, że ta podejrzliwość była całkiem uzasadniona.

Z drugiej strony dążenie Sikorskiego i Kota, aby jakoś wzbudzić przyjazne nastawienie przywódców sowieckich było całkiem zrozumiałe. Jakkolwiek by wojna miała skończyć, realnością sytuacji bieżącej było, że Sowiety trzymały blisko milion obywateli polskich jako zakładników deportowanych z Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej. Sikorski dążył do odbudowania armii polskiej poza granicami okupowanego kraju, aby odegrać jakąś większą rolę w końcowym okresie wojny. Sowiety miały w swoich łagrach, więzieniach i posiadkach niezbędny materiał ludzki i niezbędne kadry do realizacji tego planu. Poza tym najbliższa droga, aby ta projektowana armia mogła wejść znowu w granice Polski, musiała prowadzić przez terytorium sowieckie. Wprawdzie politycznie byłoby bardziej wskazane aby ta projektowana jeszcze wówczas armia uderzyła poprzez Bałkany i Rumunię, lecz w 1941 roku koncepcja ta nie mogła być oficjalnie lansowana, chociażby ze względów taktycznych. Jeżeli więc polscy żołnierze mieli walczyć przeciwko Niemcom ramię w ramię z wojskami sowieckimi, trzeba było stworzyć jakąś atmosferę odprężenia. Ktokolwiek bądź stałby wówczas na czele rządu polskiego musiałby szukać dróg współpracy ze Związkiem Sowieckim. Tacy więc ludzie jak Ksawery Pruszyński, który zdawał się szczerze wierzyć, że w stosunkach polsko-rosyjskich nastąpiła jakaś nowa epoka, byli niewątpliwie bardzo pożyteczni dla dyplomacji polskiej owego okresu. Jego bezpośredni sposób bycia wzbudzał zaufanie, i to co on gadał przeważnie w sferach dziennikarskich było na pewno raportowane na odpowiednich szczeblach *Narkomindietu* (Sowieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych). Myślę więc, że wybranie Ksawerego Pruszyńskiego na polskiego attaché prasowego w Kujbyszewie było dobrym posunięciem z punktu widzenia tych zadań które Sikorski i Kot sobie postawili.

Sprawa zaginionych oficerów czyniła jednakże niemożliwą jakąś szerszą akcję zbliżenia polsko-sowieckiego. Gdyby nawet Kot był psychologicznie lepiej dopasowany do rozmów z sowieckimi dygnitarzami niż to było w rzeczywistości, stworzenie jakiejś atmosfery wzajemnego zaufania było niemożliwe dopóki losy oficerów kozielskich, starobielskich i ostaszewskich pozostawały tajemnicą. Kot z natury swoich obowiązków musiał ciągle przypominać, że czeka na ich zwolnienie zgodnie z literą umowy Sikorski-Majski. Jego rozmówcy, nawet przy najlepszych chęciach, nie byli w stanie zadośćuczynić jego zadaniom, bo ci oficerowie już nie żyli. Dawali więc różnego rodzaju wykrętne odpowiedzi. Stwarzało to atmosferę wzajemnych podejrzeń. Sztab armii polskiej w Związku Sowieckim wysyłał swoich ludzi do różnych zakątków Rosji, którzy mieli szukać jakichś śladów zaginionych obozów. Nasi oficerowie rekrutacyjni na stacjach węzłowych mieli pod tym względem również bardzo określone zadania. Zrodziły się różne pogłoski co do możliwych losów zaginionych oficerów. Jestem przekonany że niektóre z nich były sugerowane przez agentów NKWD w celach dezinformacyjnych. Żadna z nich nie pokrywała się jednak z tym co, ja meldowałem gen. Wolikowskiemu. Sprawa Roli-Janickiego i inne rzekome wypadki zbierania materiałów wywiadowczych dla Anglików były dla strony sowieckiej dogodne, bo dawały możliwość wysuwania kontr-zarzutów.

Kot odczuwał bardzo silnie trudność swojej pozycji w stosunku do zadań które sobie postawił. Miał podniesione ciśnienie, dostawał często ostrych ataków migreny. Było rzeczą jasną, że jedynym wyjściem dla rządu londyńskiego, aby utrzymać istniejące kanały komunikacyjne ze Związkiem Sowieckim i aby uratować te instytucje opieki społecznej, które pozostawały tam po odejściu Armii Andersa, było posłanie jako ambasadora doświadczonego zawodowego dyplomaty, który by trzymał się ściśle ram protokolarnych i nikomu nie zwracał głowy swoją osobistą ideologią polityczną i społeczną. Wszelkie bratanie się z sowieciarzami było bardzo utrudnione (chyba że na gruncie czysto agenturalnym) dopóki wisiła nad nami niewyjaśniona tajemnica Kozielska, Starobielska i Ostaszewska. Rząd Sikorskiego rozwiązał tę sytuację przez wyznaczenie Tadeusza Romera, naszego byłego ambasadora w Tokio. Według tego, co mi potem opowiadali urzędnicy ambasady, Romer wykonał poleczone mu misje z taktem i zdobył szacunek a nawet pewną sympatię strony sowieckiej,

Na kilka dni przed wyjazdem Kot złożył pożegnalną wizytę Wyszyńskiemu, która miała podobno przebieg bardzo kurtuazyj-

ny. Kot chodził zwykle na te rozmowy z tłumaczem, który jednocześnie sporządzał protokół. Zdaje się że tym razem był z nim radca Mniszek, zawodowy urzędnik MSZ-tu. Nigdy nie czytałem tego protokołu, lecz kilkakrotnie opowiadano mi, że podczas tej rozmowy wypłynęło moje nazwisko. Podobno istnieje zwyczaj, że jeżeli odjeżdżający ambasador ma jakąś osobistą prośbę, to jej się z reguły nie odmawia. Kot poprosił, aby zezwolono mu zabrać ze sobą Ehrlicha i Altera. Wyszynski odpowiedział, że niestety jest to niemożliwe. Miał prawdopodobnie o tyle rację, że Ehrlich i Alter w owym momencie chyba już nie żyli. Wtedy Kot poprosił aby władze sowieckie pozwoliły mi na towarzyszenie mu w tej podróży do Persji. Wyszynski odpowiedział, że przypuszcza, że to będzie możliwe, lecz nie może stuprocentowo ręczyć i poradził, abym złożył podanie o wizę wyjazdową do odpowiednich władz w Kujbyszewie.

Moja sytuacja formalna po zwolnieniu z łagru z punktu widzenia prawa sowieckiego była następująca. Byłem polskim obywatelem rezydującym w Związku Sowieckim i zatrudnionym przez Ambasadę RP. Posiadałem polski paszport służbowy dający pewne uprawnienie dyplomatyczne, lecz nie byłem chroniony nietykalnością dyplomatyczną. Dlatego, żeby opuścić granice Związku Sowieckiego, musiałem otrzymać wizę wyjazdową od odpowiednich władz sowieckich, które mogły mi tę wizę dać lub jej odmówić. Natychmiast więc złożyłem podanie do milicji. Powiedziano mi, abym się zgłosił za kilka dni. Gdy zgłosiłem się, kazano przyjść następnego dnia, gdy zgłosiłem się następnego dnia powiedziano przyjść jutro itd. W końcu nadszedł dzień odjazdu. Zgłaszam się rano do milicji; mówią mi że paszport jeszcze nie gotowy, a więc żebym przyszedł po południu. Powiadają że mój statek odchodzi właśnie po południu. W końcu wyznaczają mi czas mniej więcej na jakieś trzy kwadransy przed odejściem statku. Zrozumiałem że chcą mnie przetrzymać tak abym się spóźnił na statek. Wracam do Ambasady. Ambasador i osoby mu towarzyszące już odjeżdżają na przystań. Umawiam się z szoferem ambasady żeby natychmiast po odwiezieniu ambasadora nie czekał na odprowadzających go *chargé d'affaires*, radców itp., lecz żeby natychmiast przyjechał aby zawieźć mnie do komendy milicji, a stamtąd na przystań, tak aby zdążyć przed odejściem statku.

Po odjeździe Ambasadora stało się coś, czego dotychczas nie mogę psychologicznie zrozumieć, szczególnie jeżeli się weźmie pod uwagę, że z natury jestem człowiekiem nerwowym i raczej skłonny do bezsenności. Wyciągam się na jakiejś przygodnej kanapie i momentalnie zasypiam zdrowym, smacznym snem.

Obudziłem się po jakiejś półgodzinie dziwnie rześki i odświeżony. Było około trzeciej godziny popołudniu. Właśnie powiadają mi, że auto na mnie czeka. Chwytam swoją walizeczkę i jedziemy do komendy milicji. Tam przetrzymano mnie jeszcze jakieś pół godziny, niby coś manipulując z moim paszportem. W końcu dano mi wizę na kwadrans przed oznaczoną godziną odjazdu. Powiadam szoferowi aby pędził do przystani pełnym gazem nie zwracając uwagi na żadne sygnały i przepisy jazdy. Drzę, że jednak jakaś milicja może nas zatrzymać, chociaż na aucie jest chorągiewka dyplomatyczna. Dopadamy do przystani, powiadają, że statek właśnie odpływa; pokazuję oficerowi NKWD swoją wizę który grzecznie salutuje, i biegnę z całą siłą poprzez rodzaj ogrodu, który przylega do przystani i otacza coś w rodzaju pawilonu dla honorowych gości. Dokoła pełno ludzi: jacyś sowieccy dygnitarze, dużo enkawudzystów w mundurach i dobrze wyczyszczonych, błyszczących butach, członkowie korpusu dyplomatycznego, zagraniczni attachés wojskowi w mundurach swoich armii. Enkawudyści, obok których przebiegam, stoją na baczność i salutują. Wszystko wygląda jak opera buffo w owym przełomowym momencie moich dziejów wojennych. Maszyny statku są już w ruchu, statek zaczyna powoli ruszać, służba portowa ściąga mostek; wskakuję na niego, jest luka jakieś trzy ćwierci metra pomiędzy końcem mostku a wejściowym pokładem statku. Skaczę razem z walizką i wpadam prosto na Ksawerego, który stał na samym skraju wejściowego pokładu. Podtrzymał mnie z lewej strony, a jakiś sowiecki marynarz, obawiając się, że się wywróczę, chwycił mnie za prawe ramię.

Po chwili opanowuję się, idziemy na górny pokład gdzie stoi ambasador Kot, wymachując kapeluszem do odprowadzających go dygnitarzy sowieckich oraz członków korpusu dyplomatycznego. Przyłączam się do otoczenia ambasadora, zdejmuję kapelusz, który wyfasowałem w magazynach Ottona Pehra w Kirowie, i zaczynam również wymachiwać. Przypominają mi się słowa, które Lermontow, mój ulubiony poeta, napisał gdy Mikołaj I-szy rozkazał wysłać go do armii operującej na Kaukazie, za karę za jego wiersz na śmierć Puszkina:

*Proszczaj niemytaja Rossija
Strana gospod, strana rabow
I wy mundiry golubyja
I ty postusznyj im narod.*

Płyniemy właśnie w kierunku brzegów Kaukazu na południe. Mundury enkawudystów, którzy przed chwilą tak elegancko mi

salutowali, mają niebieskie wyłogi i niebieskie otoki na czapkach, takie same jak niegdyś miała żandarmeria carska, którą przecież pamiętam z lat chłopięcych w przedrewolucyjnej Rosji. „Cieszę się że w rodzinie nie będzie już więcej niebieskiego koloru”, mówiła do mnie w Moskwie w marcu 1917 roku, w kilka dni po abdykacji cesarza, moja przyjaźń sztubacka, której ojciec był pułkownikiem żandarmerii, przydzielonym właśnie do kwatery głównej cesarza, mieszczącej się wówczas w Mohylewie, i która niezmiernie tego ojca kochała.

Miałem mocne poczucie, że przebywanie w tym świecie ponurego paradoksu, w który przeistoczyła się Rosja, odchodzi po raz drugi w moim życiu w przeszłość. Po raz pierwszy było to, gdy w Orszy we wrześniu 1918 roku przejeżdżałem granicę pomiędzy państwem Lenina a zoną okupacji niemieckiej. Co prawda byliśmy jeszcze w granicach Związku Sowieckiego. Lecz miałem w kieszeni wizę wyjazdową i wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, żeby mnie mogli wyciągnąć z otoczenia Ambasadora, którego przed chwilą uroczystie zegnali. Oczywiście ciążyła nad nami wszystkimi myśl o Ehrlichu i Alterze. Lecz o ile wiem żaden z nich nie miał jeszcze wizy wyjazdowej, chociaż jeden był mianowany członkiem Rady Narodowej w Londynie. Czułem się więc bezpieczny o tyle o ile ktoś mógł się czuć bezpiecznie w Państwie Stalina. Wielką pociechą była dla mnie myśl, że moja rodzina znajduje się też poza zasięgiem ręki NKWD.

Ksawery stał również w tej samej grupie na górnym pokładzie wyglądając bardzo elegancko z czerwoną różą w klapie marynarki. Pomyślałem że na pewno ta czerwień nie wyrażała jego przywiązania do idei rewolucyjnych, lecz była przeznaczona raczej prywatnie, dla kogoś z odprowadzających. Był to jego emocjonalny i romantyczny styl. Lecz wyraz twarzy miał nadzwyczaj poważny. Gdy wyjechaliśmy na środek Wołgi i zarysy przystani zaczęły zanikać w oddaleniu, Ksawery powiedział głosem cichym, lecz nie dopuszczającym sprzeciwu: „Zejdźmy na dół”. Gdyśmy zeszli na pokład gdzie były kabiny pasażerskie, Ksawery przystanął, objął mnie i łzy zaczęły mu spływać po policzkach. Powiedział mi: „Przeżyłem kilka godzin bardzo dużego napięcia gdyż byłem pewny, że oni ciebie nigdy z Rosji nie wypuszczą”. Istotnie, podczas gdy Ambasador z towarzyszącymi mu osobami stał już na górnym pokładzie oddając kurtuazyjne ukłony osobom, które go zęgały, Ksawery stał przy wejściu razem z marynarzami, którzy mieli podnosić mostek i czekał, że może w ostatniej chwili ja się jeszcze zjawię. Zdaje się że to on właśnie w tej ostatniej chwili powstrzymał marynarzy od podniesienia mostku gdy zobaczył mnie biegnącego po przez ogród przylegający do

przystani. Ogarnęła mięć fala gorącej wdzięczności za jego przyjaźń i troskę. Jednocześnie uświadomiłem sobie, że w sposób wyjątkowo zrównoważony przeżyłem jeden z najbardziej dramatycznych dni w moim życiu.

Statek był już w pełnym biegu. Emocja związana z pośpiechem aby na niego wskoczyć była pomimo wszystko tak podniecająca i satysfakcja że to osiągnąłem tak duża, że przez pierwszą godzinę nie zainteresowałem się gdzie mam się na nim umieścić i dokąd należy zanieść moją walizeczkę. Zapytałem o to Ksawerego. Odpowiedział mi, że przygotowana jest dla mnie saszędnia w stosunku do niego kabina i skierował mnie na pokład pierwszej klasy. Panowała tam idealna czystość, wszystko błyszczowało, pomimo że statek był jeszcze przedrewolucyjny, jak większość statków pasażerskich, które w owym czasie kursowały po Wołdze. Na ładnie wylakierowanych drzwiach jednej z jednoosobowych kabin był przypięty wydrukowany po rosyjsku bilet wizytowy z moim nazwiskiem i tytułem profesorskim. Zrozumiałem grę NKWD: ponieważ obiecano Kotowi, że akceptują mnie jako człowieka z jego najbliższego otoczenia w podróży do Persji, przygotowano dla mnie elegancką kabinę, a jednocześnie zrobiono wszystko, abym nie zdążył na przystań przed odpłynięciem statku.

Zespół z którym ambasador Kot opuszczał Związek Sowiecki był dość liczny. Oprócz Ksawerego który miał status dyplomatyczny, należeli do niego Bernard Singer, Roman Fajans, dr Julian Maliniak, bardzo taktowny i inteligentny działacz PPS'u z zachodniej Polski, który przez pewien czas był delegatem Ambasady w Nowosybirsku. Człowiek już nieco starszy, pokoleniowo chyba bliższy Kota, niż Ksawerego i mnie; oraz pani Teresa Lipkowska, o której już wspomniałem wyżej i która miała pełnić obowiązki sekretarki Ambasadora, oraz szyfrantki. Wszyscy oni otrzymali wize wyjazdowe we właściwym czasie, tzn. na kilka dni przed odejściem statku. Podkreślało to tym bardziej grę, którą NKWD prowadziło w mojej sprawie. Ten zespół był również ilustracją troski Kota, aby wyrwać ze Związku Sowieckiego polskich inteligentów zdolnych do parania się z piórem.

Poza tym było dwóch tzw. niższych pracowników Ambasady, którzy zdaje się obydwa przyjechali z Londynu. Jeden był osobistym służącym Ambasadora, chociaż nie wiem czy prof. Kot od niego jakiejś osobistej usługi wymagał. Drugi był woźnym ambasady i zdaje się przybył z Londynu razem z całym dyplomatycznym zespołem. Wydawało mi się, że obydwa przeprowadzali jakieś operacje walutowo-spekulacyjne, zresztą nie oni jedni. Obydwa ci panowie, których nazwisk już nie pamiętam, spełniali bardzo ważne funkcje, bo pilnowali kilku worków poczty

dypłomatycznej, która musiała być pod baczną opieką we dnie i w nocy. Po wtóre gospodarzyli zapasami produktów, które były wzięte ze składów Ambasady dla tego dość dużego zespołu w warunkach kiedy okres trwania podróży trudno było określić wobec toczącej się wojny, tym bardziej że mieliśmy przejeżdżać przez zonę na Wołdze, do której zaczynał przybliżać się front. Należało pamiętać, że w Rosji był głód i w żadnym wypadku nie można było polegać na pożywieniu z restauracji na statku.

Gdy wstałem następnego dnia i wyszedłem na pokład ogarnął mnie czar przyrody nadwołżańskiej o tej porze roku. Statek szedł pełną parą środkiem tej olbrzymiej rzeki. Był ciepły lecz jeszcze nie upalny ranek. Na nadrzecznych łąkach odbywały się sianokosy lub też zwózka skoszonego siana. Lekki wiaterek przynosił upajający zapach jakichś ziół oraz świeżo skoszonej trawy. Zrozumiałem rozkosz podróżowania po Wołdze, o czym nieraz słyszałem w moim latach sztubackich w przedrewolucyjnej Rosji.

Wołga wypływa z jezior na wyżynie Władajskiej w zachodniej części Wielkorusi w pobliżu Ostaszkowa. Nad jednym z tych jezior trzymano w 1939-1940 około sześciu tysięcy naszych policjantów oraz oficerów i podoficerów KOP'u (Korpusu Ochrony Pogranicza). Był to właśnie jeden z zaginionych obozów, o którego losach chodziły różne niesprawdzone dotychczas pogłoski. Mniej więcej 100 kilometrów na południo-wschód od tych jezior znajdują się Wielkie Łuki miejsce jednej ze zwycięskich bitew Stefana Batorego w jego wojnie z Iwanem Groźnym w końcu XVI-go wieku. Wołga w swoim górnym biegu ma ogólny kierunek wschodni, z pewnymi odchyleniami początkowo na północ a potem na południowy wschód. Dopiero około Kazania — stolicy dawnego państwa tatarskiego, podbitego przez Iwana Groźnego — nabiera kierunku zdecydowanie południowego. Nieco poniżej Kazania przyjmuje ona ogromne masy wody ze swego lewobrzeżnego dopływu Kamy i wtedy staje się naprawdę olbrzymią rzeką. Pod Kujbyszewem robi ogromną petlę, aby ominąć wzgórze Zygulskie, i przyjmuje południowo-zachodni kierunek, w którym płynie aż do Stalingradu (dawnego Carycyna). Stalingrad więc jest najbardziej na Zachód wysuniętym punktem dolnego biegu Wołgi. Stąd jego strategiczne znaczenie dla każdej armii, która atakuje od zachodu i chce przeciąć komunikację pomiędzy Kaukazem a Centralną Rosją.

Płynęliśmy więc teraz w owym południowo-zachodnim kierunku, zbliżając się coraz bardziej do terenów bezpośrednio objętych pożogą wojenną. Przystawaliśmy na większych przystaniach, gdzie zabierano nowych pasażerów i ładowano, czy też wyładowywano, jakieś towary, choć zasadniczo nie byliśmy statkiem to-

warowym. Przyglądaliśmy się robotnikom w portach rzecznych, którzy przy ładowaniu ciężkich obiektów wymagających zbiorowego wysiłku — na przykład maszyn — w sposób charakterystyczny sobie przyśpiewywali. Były to sławne pieśni nadwożańskie, na których temat w Rosji przedrewolucyjnej istniała cała literatura. Nigdzie nie widziałem dźwigów ładowniczych; wszystko odbywało się wysiłkiem napiętych mięśni i melodia pieśni w jakiś sposób pomagała do wywołania uzgodnionego napięcia lub zharmonizowanego rozluźnienia tego wysiłku. Kilkakrotnie spotykaliśmy barki ciągnięte przez grupy ludzi idących po brzegu, tzw. „burlaków”, którzy również w sposób charakterystyczny sobie przyśpiewywali. Był to tradycyjny rosyjski sposób przewożenia po Wołdze towarów, który wciąż istniał w epoce pary i diesla. Czy w warunkach reżymu stalinowskiego byli to tzw. „wolni” ludzie, czy też więźniowie łagrów tego nikt nie umiał wytłumaczyć. Zresztą byłem zbyt ostrożny, aby takie pytania zadawać.

Największym portem rzecznym po drodze do Stalingradu był Saratow. Tutaj nafta kaukaska, przywożona tankowcami Wołgą była przeładowywana do specjalnych wagonów-cystern i stąd rozwożona kolejami po całej Rosji. Jeżeli by Niemcom udało się przeciąć nawigację poniżej Saratowa, Związek Sowiecki miałby zwiększone trudności z zaopatrzeniem w paliwo płynne. Chociaż w owym czasie Związek Sowiecki miał już inne źródła naftowe — których eksploatacja była jednak dopiero w początkowych stadiach — między innymi na dalekiej północy w Europejskiej Republice Komi, gdzie w związku z tym była wielka koncentracja obozów pracy przymusowej i gdzie byłem więziony przez trzynaście miesięcy.

Saratow powstał na miejscu dawnego tatarskiego osiedla. W XVIII-tym wieku Katarzyna II-ga sprowadziła tutaj niemieckich kolonistów, którzy się poważnie przyczynili do rozwoju tego rejonu. Po rewolucji komunistycznej Niemcom nadwożańskim dano pewne prawa autonomii kulturalnej, a nawet stworzono dla nich specjalny uniwersytet, gdzie właśnie wykladał ów członek Centralnego Komitetu Niemieckiej Partii Komunistycznej, o którym już pisałem jako o moim towarzyszu niedoli w więzieniu Butyrskim. Część Saratowa, położoną na lewym brzegu Wołgi wydzielono jako oddzielne miasto któremu nadano nazwę Engels; była to stolica tej republiki. Po ataku Hitlera znaczną część (czy też nawet większość) ludności tej republiki wywieziono do łagrów i posiołków. W łagrach Komi spotkałem w ciągu zimy 1941-42 pewną ilość mieszkańców tej republiki, chociaż ogromną większość skierowano gdzieś na Syberię. Pa-

trząc na te brzegi myślałem o kilku Niemcach z tych terenów, którzy pół roku temu pracowali ze mną w tej samej brygadzie łagiernej.

Pasażerowie, których zabieraliśmy na przystaniach byli to w ogromnej większości wojskowi, zdążający na front, który znajdował się gdzieś niezbyt daleko od Stalingradu. Górne pokłady zaludniali oficerowie, na dolnych byli szeregowi. Oficerowie mieli ze sobą racje żywnościowe, które dawali kucharzowi w restauracji, aby im przyrządzał obiady i kolacje. Drugiego dnia po opuszczeniu Kujbyszewa, Ksawery, za zezwoleniem odpowiednich władz, urządził odczyt dla oficerów sowieckich o okrucieństwie niemieckiej polityki okupacyjnej. Odczyt został doskonale przyjęty w zapelnionej sali restauracyjnej. Ksawery mówił z bardzo silnym cudzoziemskim akcentem, poza tym robił masę gramatycznych błędów. Lecz to nie utrudniało, a raczej ułatwiało kontakt z audytorium. Cudzoziemiec, który dobrze władał rosyjskim językiem, wzbudzał podejrzenie, że miał coś wspólnego z akcją szpiegowską. Taki, o którym można było przypuszczać, że nauczył się rosyjskiego dopiero na placówce dyplomatycznej, raczej wzbudzał sympatię i zaufanie.

Na jednej z przystani pomiędzy Saratowem a Stalingradem załadowała się na dolnym pokładzie część batalionu roboczego, składającego się wyłącznie z obywateli polskich. Stali oni tam w liczbie około stu — ściśnięci w gęstym tłumie. Zeszedłem na dolny pokład żeby się czegoś o nich dowiedzieć. Byli to młodzi chłopcy, przeważnie poniżej dwudziestu lat, w wojskowych „rubaszkach”; mówili mi że otrzymują te same racje żywnościowe, co żołnierze w regularnych oddziałach. Ci, z którymi rozmawiałem, byli narodowości polskiej i mówili pomiędzy sobą po polsku. Zanim zdołałem zebrać od nich więcej informacji dostali rozkaz wyładowania się na następnej przystani. Stanowili dla mnie niespodziankę, bowiem nigdy nie słyszałem przedtem o polskich batalionach roboczych przy armii sowieckiej, jak również o tym, że te bataliony były używane na stalingradzkim froncie. Był to jeszcze jeden sposób, obok deportacji do łagrów i posiołków, pompowania ludności polskiej z terytoriów, które były pod okupacją sowiecką w 1939-41 latach. Ilu ich zginęło przy wykonywaniu różnych robót podczas walk stalingradzkich — tego prawdopodobnie nikt się nie dowie.

Do Stalingradu przyплыliśmy trzeciego dnia podróży przed samym zachodem słońca. Wszyscy wojskowi wysiedli, na statku zrobiło się przestronniej. Powiedziano nam, że statek pozostanie tu przez kilka godzin lecz jednocześnie oświadczono, że miasto jest często bombardowane przez lotnictwo nieprzyjacielskie, sta-

nowczo zabroniono palenia jakichkolwiek świąteł po zachodzie słońca oraz nie radzono aby schodzić na brzeg. Singer jednak nie mógł wytrzymać. Instynkt rasowego reportera pchał go, aby pójść i osobiście obejrzeć jak to miasto wygląda w przede dniu spodziewanego ataku. Odradzałem mu tej eskapady, twierdząc, że w warunkach stanu oblężenia, który o ile rozumiałem był formalnie ogłoszony, mogą go zaarrestować, a tak łatwo jest wsiąknąć w czeluściach NKWD. Pomimo wszystko Singer jednak poszedł; wrócił w przybliżeniu po dwóch godzinach, gdy było już zupełnie ciemno. Nie przyniósł nic rewelacyjnego; zdaniem jego życie toczyło się względnie normalnym trybem; w każdym razie nie zauważył żadnych objawów paniki. Nasz statek pozostał przy przystani stalingradzkiej przez całą noc. Oczekiwany atak lotniczy nie nastąpił. Przez całą noc było jednak słycać odgłosy walki artyleryjskiej jak odległe grzmoty nadchodzącej z zachodu burzy. Na zasadzie swego doświadczenia z czasów pierwszej wojny światowej, kiedy jako sztubak przysłuchiwałem się nad Dźwiną odgłosom zbliżającego się frontu, określałem tę odległość mniej więcej na 30-40 kilometrów, czyli przypuszczalnie nad Donem, który na tej szerokości dość znacznie zbliża się do Wołgi.

Opuściliśmy Stalingrad o wschodzie słońca. Wołga zawraca tutaj niemal pod prostym kątem w południowego zachodu na południowy wschód. Płynęliśmy w kierunku Astrachania i morza Kaspijskiego. Na statku była atmosfera pewnego rodzaju odprężenia, wojskowi poznikali; kucharze udzielali więcej uwagi naszym potrzebom kulinarnym, oczywiście używając do tego naszych konserw, zresztą za sowitą zapłatą w naturze. Napięcie stalingradzkie było już za nami. Znowu powiało podniecającym zapachem świeżego siana z dodatkiem orzeźwiających podmuchów idących od stepów.

Podczas tej podróży Wołgą dużo obcowałem z Kotem. Poznałem więc nieco bliżej tego człowieka, którego indywidualność zaważyła na polityce polskiej w okresie drugiej wojny światowej. Kot nie był w dobrej formie fizycznej i psychicznej. Cierpiał na bezsenność. Wieczorem zapraszał do swojej kabiny Ksawerego, Singera i mnie i gadaliśmy do późnej nocy. Miałem więc okazję aby bliżej go poznać.

Jeszcze przed wojną słyszałem o nim sporo, przeważnie od tych profesorów i docentów, którzy przedtem byli związani z Uniwersytetem Jagiellońskim. Wiedziałem, że był wybitnym badaczem dziejów reformacji w Polsce, oraz organizatorem tzw. protestu brzeskiego, tzn. protestu szeregu polskich uczonych przeciwko brutalnemu potraktowaniu w więzieniu kilkunastu

polityków, aresztowanych pod zarzutem nawoływania do obalenia siłą istniejącego wówczas rządu. Pomiędzy aresztowanymi było kilka wybitnych osobistości, pomiędzy innymi Wincenty Witos, były premier rządu jedności narodowej w 1920 roku w dniach inwazji bolszewickiej, oraz kawaler Orderu „Orła Białego”, najwyższego odznaczenia, jakie Państwo Polskie mogło nadać. Protest ten głośnym echem odbił się po całym kraju, szczególnie w uniwersytetach. O drogach powstania tego protestu opowiadał mi szczegółowo na kilka lat przed wojną Adam Heydel, profesor ekonomii na uniwersytecie Jagiellońskim, który obok Kota brał bardzo aktywny udział w jego organizowaniu. W początku lat trzydziestych rząd przeprowadził przez sejm zmianę ustawy akademickiej, która pozwoliła Ministrowi Oświaty skreślić z budżetów uniwersyteckich katedry Kota, Heydla oraz kilku innych uczestników protestu brzeskiego w innych środowiskach akademickich. To znowuż wywołało wzburzenie na uniwersytetach. Wielu z tych pracowników uniwersyteckich, którzy, tak jak ja, byli zwolennikami Marszałka Piłsudskiego przeżywało w owych dniach pewną rozterkę wewnętrzną. O Kocie miałem więc wyobrażenie jako o dużej indywidualności politycznej reprezentującej jednak inny obraz polityczny niż ten do którego ja niejako automatycznie należałem przez całą swą przeszłość.

Dlatego też bezpośrednie zetknięcie się z Kotem budziło we mnie refleksje różnych kontrowersji w dwudziestoleciu pomiędzy dwoma wojnami. Okazał się on jednak nieco innym człowiekiem niż sobie wyobrażałem. Interesował się mało podstawowymi problemami bytu państwa oraz ideologicznym i filozoficznym uzasadnieniem programów politycznych. Był natomiast bardzo ciekaw ludzi. To nie była chęć wydedukowania ogólnego typu człowieka w danym środowisku kulturowym jak, na przykład, w dziełach Wernera Sombarta lub Max Webera. Lecz interesowali go konkretni ludzie z ich zaletami, wadami i namiętnościami. Dlatego też lubił zbierać plotki i dużo plotek powtarzał. Miał pasję poznawania nowych ludzi. Przekonałem się o tym w Teheranie i Jerozolimie, kiedy ściągał do siebie różnych nieznanych mu przedtem ludzi oraz odbywał z nimi długie rozmowy. Podczas owych wieczornych rozmów w kabinie Kota, które zresztą potem kontynuowaliśmy w Baku, największym źródłem informacji o ludziach oraz stosunkach między nimi był Singer, który znał więcej ludzi niż ktokolwiek z nas. Mógł nawet mówić o zaletach i wadach niektórych przedstawicieli kleru rzymskokatolickiego. Kot robił na mnie wrażenie, że jako historyk był on przede wszystkim przyczynkowcem, tzn. nie szukał wykrycia ogólnych trendów, lecz starał się wysświetlić charakter i rolę

poszczególnych ludzi, którzy tworzyli historię kultury polskiej. Należeliśmy obydwój do świata akademickiego, mieliśmy wielu wspólnych przyjaciół i znajomych. Z natury rzeczy mieliśmy więc sobie dużo do powiedzenia.

Kot rozpytywał mnie o rolę masonerii w życiu wileńskim w okresie po odzyskaniu niepodległości. Powiedziałem mu wszystko, zarówno to co wiedziałem, jak i to czego domyślałem się, dodając przy tym że osobiście grupę masonów wileńskich przewodzonych według powszechnej opinii przez Witolda Abramowicza, uważałem za najbardziej przyzwoity, rozsądny i godny zaufania zespół na ziemiach dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego; i że osobiście brałem udział w niektórych akcjach przez tę grupę prowadzonych, chociaż uważam siebie za wierzącego katolika. Dodałem przy tym, że wydaje mi się iż skład polskich łóż masonskich został dość gruntownie rozszyfrowany przez NKWD. Opowiadał mi płk Waclaw Koc, z którym już po otrzymaniu wyroku siedziałem w tej samej celi więzienia na Butyrkach w Moskwie, że gdy na śledztwie przyznał się do różnych antykomunistycznych aspektów swojej działalności, zarzucono mu że jednak skrywał przynależność do masonerii. Koc odpowiedział że pytano go tylko o przynależność do organizacji o charakterze politycznym, podczas gdy masoneria była przede wszystkim organizacją kulturalną. Koc był sądzony przez trybunał i dostał wyrok śmierci, który mu ostatecznie zamienili na 10 lat łagrów.

Drugą niespodzianką było dla mnie, że Kot nie przejawiał większego zainteresowania sprawami polityki zagranicznej, chociaż tzw. Front Morges, z którym był związany przed wojną, swoją opozycję wobec rządów Marszałka Piłsudskiego i jego następców uzasadniał w bardzo dużym stopniu względami na politykę zagraniczną. Front Morges (S. Stroński, W. Sikorski i I. Paderewski) chcieli utrzymania powersalskiego układu stosunków, w którym Polska była rodzajem satelity francuskiego. Marszałek Piłsudski dążył do pewnego uelastyczenia naszej polityki zagranicznej. Próbował bezpośredniego dogadania się z Niemcami zachowując jednocześnie nasz sojusz wojskowy z Francją. Czy by mu to się udało gdyby żył, nikt nie był w stanie powiedzieć. Stanisław Mackiewicz pisał o możliwości osi Paryż-Berlin-Warszawa. Beck po śmierci Marszałka prowadził dość sztywną politykę opartą na założeniu że Polska była mocarstwem zdolnym siłą obronić własne interesy. W gruncie rzeczy była to polityka *bluff'u*. Jako ekonomista, który studiował politykę gospodarczą Rosji i Niemiec miałem pełną świadomość tego jak byliśmy przeraźliwie słabi w porównaniu z naszymi wielkimi sąsiadami. Obecnie siłą okoliczności, jako rząd emi-

gracyjny, staliśmy się satelitą angielskim. Interesowało mnie czy mamy jednak jakiś wpływ na planowanie pokoju. Byłem w tym szczególnie zainteresowany, gdyż był projekt, że miałem jechać do Londynu do Ministerstwa Prac Kongresowych, tzn. Ministerstwa przygotowującego materiały do konferencji pokojowej. Moim zdaniem byliśmy zainteresowani żeby Anglia utrzymała swoją tradycyjną politykę *balance of power* na kontynencie europejskim. Interesowało mnie jak czynniki kierujące rządem emigracyjnym widziały sytuację.

Kot jednak nie był skłonny do rozważań na ten temat. Kota interesowały przede wszystkim polskie sprawy wewnętrzne i te grupy które ścierały się o wpływy, zarówno w podziemiu krajowym jak i w społeczności emigracyjnej. Dowiedziałem się w ten sposób sporo o intensywnym życiu politycznym, które kiełkowało w kraju pomimo terroru okupantów. Były to rzeczy o których podczas tych lat sowieckich więzień i obozów prawie nic nie słyszałem. Rzecz ciekawa psychologicznie — nie dotykaliśmy w rozmowach sytuacji czysto wojskowej oraz możliwych wyników walki, której odgłosy słyszeliśmy w ciągu owej nocy w porcie stalingradzkim. Nie mieliśmy dostatecznie elementów aby wydać jakiś kompetentny sąd o tym co się działo na stosunkowo niedalekim terenie walki. Nie byliśmy świadomi tego, że zbliżały się dni wielkich rozstrzygnięć, od których musiały zależeć losy Rosji, Europy i Polski. Na tym statku płynącym środkiem Wołgi oddawaliśmy się wspomnieniom o ludziach i drobnych wydarzeniach niedawnej przeszłości.

W tym raczej eskapistycznym usposobieniu wpłynęliśmy do delty Wołgi. W pewnym stopniu można uważać że delta Wołgi rozpoczyna się już od Stalingradu, gdyż tam zaczyna płynąć dwoma równoległymi łóżyskami. Jakies trzydzieści kilometrów przed Astrachaniem wypuszcza ona, przeważnie ze swego wschodniego brzegu szereg strumieni, które indywidualnie płyną do morza Kaspijskiego na rozpiętości około stu kilometrów. Ze statku to wszystko wygląda jak ogromne rozlewisko którego brzegów często nie można dostrzec gołym okiem, chociaż są liczne wyspy.

Po orzeźwiających powiewach ciepłego lipcowego wiatru, który od opuszczenia Stalingradu pieścił nasze płuca, teraz ogarnął nas w delcie przeraźliwy smród, który przenikał wszystko dokoła i powodował mdłości. Przypominał się mi dowcip, opowiadany w łagrach, że Związek Sowiecki jest jak statek na pełnym morzu: mdli i nie ma dokąd uciekać (*tosznit, a bieżać niekuda*). Ten smród pochodził z fabryk konserw produkujących sławny na cały świat kawior rosyjski. Delta Wołgi stanowi główne centrum tej produkcji. W procesie tej produkcji wyrzuca się pełno

rybich wnętrzności, które gniją w upalnym słońcu południa, zatruwając wszystko dokoła. W oparach tego smrodu wjechaliśmy do portu w Astrachaniu.

Astrachan był kiedyś stolicą oddzielnego państwa tatarskiego, którego władcą był Chan Astrachański. Państwo to zostało podbite przez Iwana Groźnego, który uprzednio zlikwidował „carstwo Kazańskie”. Zdobycie Astrachania zakończyło również proces opanowywania Wołgi przez Moskwę. Proces ten miał dwa główne etapy: górna Wołga do ujścia Oki została opanowana w XV-tym wieku przez Iwana III-go w wojnie przeciwko kupieckiej republice Nowgorodzkiej, która była członkiem Hanzy i której imperium handlowe obejmowało całą północ dzisiejszej Rosji europejskiej. Proces ten prawdopodobnie byłby zatrzymany, gdyby Jagiellonowie w swoim czasie okazali Nowgorodziom niezbędną pomoc wojskową. Drugi etap był w XVI-tym wieku kiedy Iwan Groźny zdobył Kazań i Astrachan, opanowując w ten sposób średni i dolny bieg Wołgi. Iwan Groźny przegrywał w starciach z Rzeczypospolitą Polsko-Litewsko-Ruską, przewodzoną w owym czasie przez genialnego Węgry Stefana Batorego, natomiast miał wielkie militarne osiągnięcia w likwidowaniu pozostałości imperium tatarskiego.

W dzieciństwie, oraz podczas pierwszej wojny światowej, nieraz słyszałem niezmiernie popularne pieśni o urzekającej melodii która wyrażała, zdawałoby się, wszystkie sprzeczności duszy rosyjskiej a jednocześnie była odbiciem geniuszu artystycznego tego narodu. Zaczynała się ona od słów:

*„Wołga, Wołga, matko rodzona
Wołga rosyjska rzeko”...*

Otóż ta rosyjskość Wołgi jest dość względna. Dotychczas jej brzegi są zamieszkałe przez różnego rodzaju nierosyjskie i niesłowiańskie narodowości i plemiona. Nad górną i średnią Wołgą od niepamiętnych czasów siedzą różne narodowości ugrofińskie; Mordowcy (Mordwa), Maryjcy, zwani dawniej Czeremisami i Czuwasze. Poniżej Gorkiego, skąd rozpocząłem swoją podróż Wołgą, w średnim i dolnym biegu było w owym czasie wśród ludności autochtonicznej wciąż dużo Tatarów, Kałmuków i Baszkirców. Kałmucy zostali gruntownie rozsiedleni i częściowo fizycznie zlikwidowani przez Stalina już po drugiej wojnie światowej. Bunt Stieńki Razina, który w drugiej połowie XVII-go wieku opanował całą Wołgę od Astrachania do Samary, oraz Emeliana Pugaczowa, w którego dawnej celi trzymano mnie w więzieniu Butyrskim, miały charakter powstań ludów kolo-

nialnych, walczących przeciwko eksploatującej ich potędze imperialnej.

Pierwszy większy wysiłek w kierunku kolonizacji brzegów Wołgi został dokonany przez Iwana III-go, który deportował do ujścia Oki niemal wszystkich mieszkańców stolicy Nowgorodu Wielkiego. W ten sposób powstało miasto Niznij Nowgorod, przemianowane później, już za czasów Stalina, na Gorkij. Iwan III-ci dał w ten sposób początek podstawowej metodzie budowania imperium rosyjskiego, która polegała na niszczeniu ośrodków cywilizacji w pobliżu granic zachodnich i przenoszenia ludności podbitych krajów na dziewicze tereny wschodnie. Nowgorod Wielki stał cywilizacyjnie i gospodarczo znacznie wyżej od Moskwy i w wieku XV-tym miał wszystkie dane ku temu aby stać się Wenecją Północy. Żaden jednak z władców Rosji nie stosował metody deportacji w kierunku na Wschód w takiej skali, jak za czasów Stalina.

Kolonizacja średniej i dolnej Wołgi na większą skalę zaczęła się dopiero za czasów Katarzyny. Po powstaniu Pugaczowa sprowadziła ona kolonistów niemieckich do rejonu Saratowa oraz przesiedliła nad Wołgę pewną ilość ludności ze wschodniej Ukrainy. Rozpoczęto również osadnictwo wojskowe w drodze tworzenia osiedli kozaków Astrachańskich. Kozacy tak samo około Astrachania jak i nad Donem, czy też Kubaniem, byli to ludzie wolni (tzn. wolni od pańszczyznianej zależności), którzy otrzymywali ziemię i pewien samorząd w zamian za pełnienie posług wojskowych w ramach specjalnych pułków kozackich.

W Astrachaniu gubernator był zwykle również atamanem miejscowych wojsk kozackich. W okresie rewolucji 1905 roku był nim generał Grąbczewski, Polak w służbie rosyjskiej, który jako podróżnik i kartograf położył duże zasługi dla utwierdzenia rosyjskiego panowania w Azji Środkowej. W pewnej chwili zwrócił się on do cesarza Mikołaja II-go z prośbą o danie mu w zamian za jego zasługi dla Imperium rosyjskiego prawa odkupienia majątku, skonfiskowanego jego rodzinie w czasie powstań narodowych. Prośba została załatwiona odmownie. Grąbczewski przeżył rewolucję bolszewicką i starość spędził w Polsce. Na kilka lat przed wojną czytałem z wielkim zainteresowaniem jego pamiętniki.

W Astrachaniu musieliśmy przesiąść się ze statku rzecznego, tzn. płaskodennego, na morski, tzn. kilowy. Samo miasto nie sprawiło na nas przyjemnego wrażenia. Smród, chociaż nie tak intensywny jak w delcie Wołgi, na szlaku naszego statku, zdawał się przenikać wszystkie mury tego miasta. Umieszczono nas w jakimś niezbyt atrakcyjnym hotelu i powiedziano, że następ-

nego dnia będzie statek do Baku. Korzystając z okazji, że jesteśmy na stałym lądzie i mamy dostęp do urzędów pocztowych napisaliśmy szereg listów i kartek do pozostałych członków ambasady, jak też do przyjaciół których wielu z nas miało na terenie Związku Sowieckiego.

Gdy następnego dnia przyjechaliśmy na przystań zastaliśmy tam dość gęsty tłum stojący naprzeciwko małego, dość obskurnie wyglądającego statku. Kazano nam przyłączyć się do tego tłumy. Naprzeciwko był rodzaj pomostu czy też mównicy, na którą mniej więcej po pół godzinie wszedł jakiś enkawudysta i zaczął odczytywać nazwiska osób, którym będzie dozwolone wejść na statek. Przy wymianianiu nazwiska trzeba było podnieść rękę do góry. Tłum do którego nam kazano przyłączyć się mało się różnił od grupy łażerników, przewożonych z jednego obozu do drugiego. Przyglądałem się z boku jak Ambasador Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na dźwięk swego nazwiska podnosił rękę z wyprostowanymi dwoma palcami jak do przysięgi. Zastanawiałem się czy wepchnięcie nas do tego tłumy było wynikiem jakichś instrukcji otrzymanych z góry, czy też zwykłym objawem chamstwa lokalnej administracji. W świetle tego cośmy w ciągu najbliższych kilku tygodni dowiedzieli się, skłonny jestem przypuszczać, że to była jednak świadoma chęć zmanifestowania jak mało Związek Sowiecki liczy się z polskim rządem emigracyjnym w Londynie.

Astrachań nie leży bezpośrednio nad morzem Kaspijskim, lecz na brzegu rozlewiska, które stanowi jeszcze dolny bieg rzeki. Zresztą trudno jest przewidzieć gdzie się kończy rzeka a zaczyna pełne morze. Rzeka jest tak szeroka, że trudno dostrzec brzegi. Morze Kaspijskie w pobliżu ujścia Wołgi jest bardzo płytkie. Płyne się raczej dość wąskim kanałem, którego brzegi są zaznaczone palami powbijanymi w dno. Kabiny na statku były bardzo niewygodne i z natury rzeczy duszne. Istniała jednak na statku coś w rodzaju restauracji, był w każdym razie kucharz, który z naszego zapasu konserw przyrządził nam kolację. Spożyliśmy ją w specjalnej kabinie, stanowiącej prawdopodobnie jadłodajnię załogi. Był tam wąski stół oraz z obydwóch stron wąskie ławki, na których siedzieliśmy mocno ściśnięci.

Po półtorej doby podróży przybyliśmy o wschodzie słońca do Derbentu. Jest to jedno z dwóch głównych miast Dagestanu — wschodniej prowincji Kaukazu. Istnieje nawet Dagestańska Republika Autonomiczna ze stolicą w Machacz-Kała, która stanowi część Rosyjskiej Republiki Federacyjnej. Oczywiście autonomia jest fikcyjna. W swoich latach sztabackich sporo czytałem prozą i wierszem o piękności doliny Dagestanu. Te doliny sta-

nowią szlak, którym szła już od czasów Piotra I-szego rosyjska inwazja Kaukazu. Ludność Dagestanu składa się z różnych szczepów góralskich, przeważnie mówiących różnymi turańskimi narzeczeniami; wyznają Islam i serdecznie nienawidzą Rosjan, szczególnie Rosjan w wydaniu bolszewickim. Ich ideałem patriotycznym jest związek z Turcją. Od czasu gdy Rosja zaczęła tam przenikać niemal przez cały wiek XIX-ty miały miejsce działania partyzanckie które w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia przeistoczyły się w regularną wojnę, szczególnie gdy kaukaski przywódca religijny Szamil wezwał cały świat muzułmański do wojny świętej przeciwko Rosji. Bezpośrednio po rewolucji sowieckiej historiografia przedstawiała Szamila jako wybitnego wodza w walkach o wolność Kaukazu. Za czasów stalinowskich zaczęto go opisywać jako agenta angielskiego i tureckiego gdyż emigrował do Syrii.

W walkach o podbicie Kaukazu odznaczyła się pewna ilość Polaków służących w wojsku rosyjskim, między innymi Zygmunt Sierakowski, który był na drodze zrobienia wielkiej kariery w rosyjskim sztabie generalnym, kiedy w 1863 roku objął dowództwo powstania na Litwie. Po upadku powstania został publicznie powieszony na rynku Łukiskim w Wilnie. Taki jest paradoks losów polskich.

Rosja stalinowska powoli te szczepy likwidowała zapewniając góralami łagry — jak to już wspomniałem powyżej. Niekoniecznie byli oni przyjemnymi towarzyszami niedoli, byli zbyt skorzy do bitki, w szczególności Czeceńcy. Miałem raz z nimi ciężką przeprawę, gdy ująłem się za Rosjaninem który dzielił ze mną miejsce na pryczy a którego oni chcieli skrzywdzić. Polacy i Ukraińcy rzućni do dżungli łagiernej lub do posiołku w Rosji azjatyckiej muszą nieraz trzymać sztamę z Rosjanami i stają się czynnikiem asymilatorskim. Jest to inny przykład paradoksu losów polskich.

Pierwsze wrażenie było niespodziewanie dodatnie. Oczekiwałem czegoś w rodzaju naszego Borysławia, do którego trafiłem kiedyś, pewnego upalnego czerwcowego dnia w 1929 roku. W Baku, w każdym razie w tej części miasta gdzie nas umieszczono, w przeciwieństwie do Borysławia nie było czuć wszystko przenikającego smrodu nafty. Pomimo lipcowego upału szły od morza Kaspijskiego przyjemne powiewy, przynoszące zapachy nie tylko wody morskiej lecz również zakaspijskiej pustyni. Było wiele względnie szerokich ulic obsadzonych drzewami. Wszędzie odczuwało się bliskość Persji. Na ulicy dużo wschodnich, bardziej ostro i delikatnie zarysowanych twarzy, tak różnych od nieokrzesanych słowiańsko-mongolskich rysów które przeważały w Rosji.

To wszystko mamilo jakąś tajemnicą. Byliśmy na rubieżach tego Wschodu, który zawsze tak chciałem poznać.

Umieszczono nas w dość okazałe wyglądającym świeżo wybudowanym hotelu Inturista. Był tylko pewien kłopot z łazienkami: w niektórych woda nie chciała płynąć z kranów, a w innych woda co prawda płynęła z góry, lecz nie chciała spływać do rur. Zwykły wynik budownictwa sowieckiego w owych czasach, o czym zresztą pełno wiadomości zamieszczano na ostatnich stronach gazet sowieckich, po wyliczaniu wszelkiego rodzaju osiągnięć na stronach tytułowych. Oświadczono nam, że w najbliższych dniach nie są przewidziane żadne statki do Pahlevi w Persji, naszego portu docelowego na morzu Kaspijskim; jednocześnie powiedziano, że podczas pobytu w tym hotelu możemy bez żadnego ograniczenia zamawiać kawior i wódkę oraz, że hotel na żądanie będzie nam dostarczał biletów do teatrów oraz na koncerty.

Nie pamiętam dzisiaj dokładnie jak długo mieszkaliśmy w tym hotelu. Wydaje mi się że około tygodnia. Kot próbował skomunikować się z ambasadą w Kujbyszewie lub Teheranie, lecz telefony na dalekie dystanse jakoś dziwnie nie działały, a na depesze nie przychodziły żadne odpowiedzi. Dopiero pod koniec naszego pobytu w Baku zaczęła nam świtać myśl, że jesteśmy faktycznie internowani, chociaż w luksusowych warunkach. Nie mogliśmy zrozumieć co się kryło poza tym dziwnym zachowaniem się naszych gospodarzy sowieckich. Rozpoczęły się znowu nasze długie wieczorne pogawędki, na które Kot ściągał Ksawerego, Singera i mnie.

W międzyczasie staraliśmy się korzystać z udogodnień i przywilejów, które były dostępne. Chodziłem z Ksawerym na pływanie w morzu Kaspijskim. Ponieważ morze było bardzo płytkie szło się długim chociaż względnie szerokim drewnianym pomostem na palach wbitych w dno morza, dopiero po jakimś ćwierć kilometrze dochodziło się do miejsca gdzie kupowało się bilety i otrzymywało się kluczyk do kabinki na ubranie. Schodziło się do wody szerokimi stopniami; woda była tutaj nieco powyżej pasa człowieka średniego wzrostu. Po obu stronach pomostu na ławkach siedzieli różni ludzie, którzy w upalny lipcowy dzień przyszli, aby spędzić nieco czasu nad wodą.

W pewnej chwili uwagę moją przykuła młoda kobieta, typ wschodniej piękności, z małym, może dwuletnim dzieckiem na kolanach. Dziecko o dużych czarnych oczach było również wyjątkowo stylowe. Zwolniłem nieco kroku przyglądając się obiektem mego zachwytu. Mówię do Ksawerego: „Co za wspaniały model dla jakiegoś malarza lub chociażby amatora-fotografa”.

Kobieta, gdy tylko zauważyła, że przyglądam się dziecku, szybko zarzuciła na niego szal i zwróciła się do mnie z błagalnym okrzykiem: *Oj, nie smotri, nie smotri* tzn. „błagam, nie patrz, nie patrz”, starając się jednocześnie zasłonić swoją twarz przed moim wzrokiem. Zrozumiałem. Przyjęła nas oczywiście za Rosjan. Wzrok Rosjan, najeźdźców, którzy ten kraj podbili, jest wzrokiem złym, który przynosi nieszczęście. Wzrok taki może rzuci, „urok” na dziecko. Tak w wierzeniach ludowych odbija się kolonializm rosyjski, niezależnie od tego czy jest biały czy czerwony.

W Baku doznałem jednego z najsilniejszych wrażeń muzycznych w moim życiu. Baku posiada „pałac muzyki”, który tarasami schodzi do morza Kaspijskiego. Na tych tarasach są szerokie platformy dla koncertów pod otwartym niebem. Zawiadomiono nas właśnie, że rosyjski pianista, który przed wojną zdobył pierwszą nagrodę na międzynarodowym konkursie szopenowskim w Warszawie, miał teraz wystąpić na jednym z tarasów pałacu muzyki. Ksawery i ja zgłosiliśmy się po bilety. Było to niezapomniane przeżycie. W mieście obwijaływo zaciemnienie. Trzysta kilometrów na północ pod Groźnym na północnych przedpolach kaukaskiego masywu już walczone. Była ciepła bezwietrzna noc. Wschodził księżyc. Jedyne na fortepianie przed pulpitem z nutami zapalono dwie świece. Nie należę do ludzi muzycznie wykształconych. Nie mam wrodzonych zdolności ani do muzyki ani do malarstwa. Nie potrafię powtórzyć bezbłędnie nawet najbardziej prostej melodii. Lekcje gry na fortepianie i na skrzypcach, na które posyłano mnie w dzieciństwie, zostały przerwane przez wybuch pierwszej wojny światowej. A jednak muzyka sprawia na mnie ogromne wrażenie; przynosi mi w jakiś inny świat, pobudza wyobraźnię i władze umysłowe. Tej nocy powiało na mnie wszystkimi czarami epoki romantyzmu, tak dalekiej od wszystkiego co stanowi brutalną rzeczywistość sowiecką.

Taras, na którym odbywał się koncert, nie był duży. Mogło tam się pomieścić najwyżej kilkaset osób. Rzecz charakterystyczna, że pomiędzy publicznością prawie nie widziałem ormiańskich oraz tatarskich twarzy, chociaż Tatarzy azerbejdzańscy oraz Ormianie stanowią główne zaludnienie tej części Kaukazu. Do koła byli sami Rosjanie. Było sporo oficerów, przeważnie wyższych stopni i przeważnie w towarzystwie kulturalnie wyglądających kobiet. Wszyscy zdawali się być pod urokiem tego niezwykłego koncertu. Przyglądając się w poświęcie księżycy twarzom tych ludzi, przypomiinałem sobie mimowoli kulturalne sfery przedrewolucyjnej Rosji, wśród których upływała znaczna część mego dzieciństwa.

W chwili gdy piszę te słowa przypominam sobie inny koncert szopenowski, również na terenie kolonialnym: miało to miejsce w Singaporze, gdy stanowił jeszcze kolonię brytyjską. Była tam również obecna śmietanka intelektualna brytyjskiej administracji lecz procent twarzy malajskich, chińskich czy hinduskich był znacznie większy niż procent tubylców na koncercie w Baku. Pomimo separowania się w koloniach od tubylców, imperializm angielski znacznie bardziej zbliżał ludy podbite do wartości duchowych i artystycznych cywilizacji zachodniej niż imperializm rosyjski, który niszczył miejscowe wartości duchowe a jednocześnie odgradzał swoje kolonie od kultury Zachodu.

Następnego dnia po tym koncercie poszliśmy z Ksawerym i Singerem zwiedzić miejscowe muzeum, gdzie było dużo eksponatów ilustrujących historię oraz etnografię Azerbejdżanu, jak również rozwój Baku jako wielkiego centrum przemysłowego. Oprowadzała nas po muzeum w bardzo inteligentny sposób młoda urzędniczka, która miała ukończone studia historyczne. Żywo i z dowcipem odpowiadała na nasze pytania. Była przy tym bardzo przystojna. Zastanawiałem się jakie mogło być jej podłoże narodowościowe. Nie wyglądała na Rosjankę, na pewno nie była ani Tatarką, ani Gruzinką, ani też nie pochodziła z jakiego kaukaskiego szczepu góralskiego. Średniego wzrostu, brunetka, jasna cera nie skażona promieniami południowego słońca, atrakcyjna figura, ciemne iskrzące się inteligencją i dowcipem oczy. W Europie mogłaby ująć za Francuzkę z południa, w Krakowie czy we Lwowie uznano by ją za Węgierkę. Zdecydowałem więc że była prawdopodobnie Ormianką. Republika ormiańska ze stolicą w Erywaniu przylega od Zachodu do Republiki Azerbejdżańskiej. Ormianie mają chyba większy procent inteligencji niż jakkolwiek inna narodowość w Związku Sowieckim, oprócz oczywiście Żydów. Na średnich szczeblach sowieckiej administracji gospodarczej można spotkać wielu Ormian inżynierów, dyrektorów, technicznych organizatorów badań naukowych, itp. Uznaliśmy zgodnie, że najwspanialszym okazem tego muzeum była nasza cicerone. Wymyślaliśmy różne pytania po prostu żeby przydłużyć tę konwersację. Podając rękę na pożegnanie zapytałem: „Jest Pani Ormianką?“, chciałem przy tym dodać, że my w Polsce również mamy autonomicznie zorganizowaną społeczność ormiańską. Na co odpowiedziała: „Moje pochodzenie jest takie samo co Panów”. Okazuje się że była wnuczką (czy też może prawnuczką) jakiegoś powstańca, który po odbyciu kary musiał się osiedlić na innych krańcach imperium.

Pewnego wieczoru oświadczone nam, że następnego dnia odchodzi statek który nas zabierze do Pahlevi, perskiego portu

na południowym brzegu morza Kaspijskiego. Podróż miała trwać około 24 godzin: stateczek był mały, podobny do tego którym przyjechaliśmy z Astrachania. W kabinach było przeraźliwie duszno. Mnie akurat wypadło spać na górnej półce; nie pamiętam kto spał na dolnej. Czuję, że w tej duchocie nie zasną; wyszedłem więc na pokład. Była jasna gwiazdziasta noc, morze było spokojne, statek szedł pełną parą prując lekko fale. Usiadłem dość wygodnie na zwoju lin. Opodał, na innym zwoju, siedziało dwóch ludzi którzy rozmawiali w jakimś nieznanym mi języku; mógł to być azerbejdżański, perski, ormiański, czy też może nawet gruziński — ojczysty język Stalina. Przysłuchiwałem się dźwiękom obcej mi mowy oraz szmerowi lekkich fal uderzających czasami o burtę. Zasnąłem na tych linach w pozycji półsiedzącej. Gdy się obudziłem było już szaro, na horyzoncie zarysowywały się brzegi Persji. W świetle porannej zorzy zaczęły się rysować zabudowania portu Pahlevi. Wyłaniająca się od wschodu pomarańczowa kula słońca już rzucała na nas promienie gdy wchodziliśmy do portu. Statek zarzucił kotwicę jakieś 200 metrów przed przystanią i stanął na redzie. Spuszczono łódź, jakaś inna łódź podjechała do statku. Ktoś z kimś o coś się sprzeczał i targował. Mogliśmy gołym okiem obserwować co się dzieje na przystani. Pomiędzy zgromadzonymi tam ludźmi było dwóch wojskowych w szortach i hełmach tropikalnych, ktoś nawet wysunął przypuszczenie, że są to polscy oficerowie, którzy przyjechali z Teheranu aby spotkać ambasadora.

Dopiero po jakichś dwóch godzinach przycumowaliśmy do przystani. Rozpoczęło się wyładowywanie przy pomocy tragarzy perskich. Ci z naszego zespołu, którzy nie mieli paszportów dyplomatycznych zostali skierowani do komory celnej. Wszędzie uderzał nas ład, czystość i porządek; wszędzie wisiały portrety młodego Szacha. Persja od 1941 roku była pod wspólną okupacją sowiecko-angielską. Okupanci po zmuszeniu szacha Reza Pahlevi do abdykacji na rzecz syna przystojnego młodzieńca z europejskim wykształceniem. Szach Reza był jednym z najwybitniejszych władców naszych czasów. Rozpoczął swoją karierę jako podoficer pułku kozaków perskich, dowodzonego przez rosyjskich instruktorów. W 1917 roku stanął na czele ruchu zmierzającego do usunięcia wpływów rosyjskich z północnej Persji. Doszedł szybko do najwyższych stanowisk w wojsku, został Ministrem wojny i premierem. Po abdykacji szacha, ostatniego przedstawiciela dynastii, która rządziła Persją od XVII-go wieku — został przez parlament obwołany szachem i stał się założycielem nowej dynastii przyjmując nazwisko Pahlevi. Pomiędzy dwoma wojnami rządził krajem silną ręką porządkując adminis-

trację oraz trzymając w ryzach buntownicze szczepy górskie. Dążył do rozbudowy kraju w oparciu o niemieckie przemysły inwestycyjne i stąd uważano go za germanofila. Obsadzenie Persji było więc wojskową koniecznością, aby zabezpieczyć szlaki amerykańskich dostaw do Związku Sowieckiego, które szły od zatoki Perskiej do sowieckiej granicy. Rosjanie okupowali północną Persję, a przede wszystkim perski Azerbejdżan, przylegający do rosyjskiego. Anglicy okupowali południe. Teheran był zoną wspólnej sowiecko-angielskiej okupacji.

W Pahlevi wyładowywały się również transporty armii gen. Andersa, która przechodziła z sowieckiej zony w centralnej Azji pod brytyjskie dowództwo na Środkowym Wschodzie. Transporty te szły w dużym stopniu drogą morską z Krasnowodzka, portu w Turkmenistanie na wschodnim wybrzeżu morza Kaspijskiego. Razem z tą armią ewakuowało się z Rosji około 25 tysięcy członków rodzin wojskowych. Oczywiście pojęcie rodziny wojskowej rozumiano dość rozciągle, starając się wywieźć ze Związku Sowieckiego możliwie wszystkich Polaków, którzy potrafili się dostać na teren koncentracji wojska polskiego. W Pahlevi był więc nawet obóz przejściowy z którego osoby cywilne towarzyszące Armii polskiej były skierowywane do innego dużego obozu pod Teheranem, a stamtąd projektowano przesłanie na okres wojny osób niezdolnych do służby wojskowej do kolonii brytyjskich w Indiach oraz Afryce Wschodniej. Chodziło tu przede wszystkim o kobiety z dziećmi oraz osoby starsze. W 1940-41 roku bowiem było dziesiątki tysięcy wypadków, że władze sowieckie deportowały z ziem wschodnich Rzeczypospolitej całe rodziny, nie wyłączając osiemdziesięcioletnich starców. Z reguły głowę rodziny zsyłano do łagru przeważnie na dalekiej północy, zaś kobiety, dzieci i starców rzucano na tzw. posiadki w Kazachstanie, gdzie wielu z tych ludzi (prawdopodobnie większość) ginęło od tyfusu lub po prostu z głodu. Deportowano w szczególności wiele żon i dzieci oficerskich i podoficerskich, których mężowie i ojcowie byli w niewoli niemieckiej lub armii polskiej na Zachodzie. Ci deportowani którzy dotrwali w Kazachstanie do końca roku 1941 starali się dostać na południe do terenów koncentracji oddziałów polskich, tym bardziej że z Kazachstanu było do tych terenów stosunkowo bliżej niż z innych prowincji Związku Sowieckiego. Taka babuleńka gdzieś spod Nowogródka, czy też Łucka która przez całe swoje życie, pomimo pierwszej wojny światowej i rewolucji nie wyjeżdżała poza granicę swego powiatu, a której syn po okresie służby obowiązkowej pozostał w wojsku jako podoficer zawodowy i we wrześniu 1939 trafił do niewoli niemieckiej, została raptem po-

chwycona przez NKWD jako członek rodziny wojskowej i rzucona na posiołek do Kazachstanu, potem po przedostaniu się do armii polskiej w Uzbekistanie przewieziona do Persji, a teraz stała wobec perspektywy dalszej podróży do jakiejś Kenii lub Tanganiki o których nigdy w życiu nie słyszała. Bliski i Środkowy Wschód stały się raptem terenami, gdzie zaczęła rozbrzmiewać mowa polska.

Kiedyśmy — tzn. dawni sowieccy więźniowie towarzyszący ambasadorowi w tej podróży — załatwiali nasze formalności z władzami perskimi, Kot w towarzystwie Ksawerego pojechali, aby zwiedzić ten obóz. Nas zaś, po załatwieniu formalności i bardzo powierzchownej rewizji naszych osobistych bagaży — skierowano do jednopiętrowego budynku znajdującego się w pobliżu portu, który w tym okresie okupacyjnym stanowił angielskie kasyno oficerskie i gdzie, po powrocie ambasadora, miał być nam podany obiad. W kasynie, kiedyśmy tam przyszli, był obecny tylko jeden przedstawiciel brytyjskich sił zbrojnych w stopniu majora: lekarz wojskowy, brodaty Hindus w dużym turbanie. Przyglądałem się mu z zaciekawieniem. Było to moje pierwsze spotkanie z przedstawicielami brytyjskiej potęgi imperialnej i to na terenie, który przez wiele lat wydawał mi się terenem potencjalnego konfliktu pomiędzy brytyjskim a rosyjskim imperium. Jakikolwiek by był stosunek do Anglików ze strony różnych narodowości wchodzących w skład imperium brytyjskiego, kaukaski i środkowo-azjatycki inteligenci, z którymi zdarzało mi się rozmawiać, oczekiwali dla swoich narodów wyzwolenia od możliwości konfliktu rosyjsko-angielskiego. Imperializm brytyjski widzieli jako siłę raczej wyzwalającą niż ujarzmiającą.

Po przyjeździe Kota i Ksawerego oraz po obiedzie dowiedzieliśmy się że mamy jechać do Teheranu świeżo przebitą poprzez góry drogą, która nie była jeszcze w ogólnym użyciu, tak zwaną drogą Szacha ponieważ Szach który był zapalonym myśliwym jeździł nią do swoich pałaców na szlaku. Droga ta znajdowała się znacznie bardziej na wschód od szlaku, którym szły w kierunku Teheranu transporty wojska gen. Andersa oraz transporty rodzin wojskowych. Droga transportów wojskowych wiodła od Pahlevi na Kazwin — duże miasto Perskie na północny zachód od Teheranu. Oddziały polskie które szły na ochronę pól naftowych w północnym Iraku niekoniecznie musiały zawadzać o Teheran. Natomiast transporty rodzin wojskowych zwracały w Kazwinie na południowo-zachód, do wielkiego rozdzielczego obozu pod Teheranem. Droga Szacha wiała się po zboczach i dolinach otaczających Demavend, największy szczyt Persji (18.549

stóp), którego śnieżna czapka, królująca nad całym pasmem zaśnieżonych szczytów, była widoczna z Teheranu. W jednym z pałaców, w pobliżu tej drogi, był przygotowany dla nas nocleg.

Jechaliśmy dwoma pojazdami, samochodem pasażerskim w którym jechał ambasador, pani Lipkowska oraz jeszcze ktoś z Teheranu; oraz ciężarówką, w której jechała reszta towarzystwa, włączając oficera który przybył z Teheranu i był uzbrojony we wszystkie niezbędne przepustki, istotne ze względu na to że kraj był pod okupacją sowiecką. Na ciężarówce ustawiono ławki, tak że siedziało się względnie wygodnie, korzystając z orzeźwiających powiewów, które z jednej strony szły od morza a z drugiej od gór Elbrusu, oddzielających nas od płaskowyżu perskiego.

Pierwszym większym miastem przez które przejeżdżaliśmy był Peszt — jakieś 40 kilometrów na południe od Pahlevi. Miasto sprawiało dodatnie wrażenie. Ludzie byli stosunkowo dobrze ubrani, zdawali się być dobrze odżywieni, nie było tej rzucającej się w oczy nędzy, którą w latach późniejszych widziałem w niektórych hinduskich miastach i miasteczkach. Najważniejsza różnica w stosunku do Rosji polegała jednak na pewnej postawie odprężenia. Pomimo że kraj był pod obcą okupacją ludzie nie wyglądali na tak zastraszone jak każdy człowiek — nie wyłączając członków partii — w Związku Sowieckim. Perska administracja zdawała się funkcjonować normalnie. Nic nie słyszałem o jakichś masowych deportacjach, tak jak to było na Wschodnich Ziemiach Rzeczypospolitej oraz w państwach bałtyckich. Widocznie zachowanie się okupacyjnych władz sowieckich było regulowane jakąś umową z Anglią. Poza tym nie było tego ciągłego pośpiechu, będącego zasadniczą cechą wszelkiej działalności w Rosji stalinowskiej.

Od Pesztu wzięliśmy kierunek na wschód. Dokoła zieleniały ogrody i winnice. Po raz pierwszy w życiu oglądałem pola ryżowe. Jechaliśmy dość długo, w pewnej chwili droga zaczęła wić się wzgórzami; miałem wrażenie, że wjechaliśmy głęboko w teren górski. Przybyliśmy na miejsce noclegu już dobrze po zachodzie słońca. W czerni sierpniowej nocy trudno było rozróżnić kontury tego pałacu gdzie mieliśmy się zatrzymać. Gdy po kolacji umundurowany służący zaprowadził mnie do przeznaczonego dla mnie pokoju, byłem olśniony luksusem umeblowania. Najbardziej zaimponowała mi łazienka, zrobiona, jak mi się wydawało, z różowego marmuru, chociaż oczywiście nie mogę ręczyć, że to był naprawdę marmur. Przyjemność kąpieli w tej łazience po kurzu i upale drogi była naprawdę bardzo duża. Gdy obudziłem się nad ranem powtórzyłem sobie tę przyjemność, a potem po raz trzeci kiedy przyszedł czas ubierania. Była

to nielada okazja dla człowieka, który jeszcze niespełna pół roku temu był na dnie ludzkiej poniewierki jako więzień w sowieckim obozie pracy niewolniczej. Gdy wyrząłem przez okno doznałem uczucia wielkiego zdziwienia. Gdy przyjechaliśmy tutaj w nocy byłem pewny, że jesteśmy głęboko w górach Elbrusu. Tymczasem u podnóża wzgórze na którym stał pałac, błyszczała w porannym słońcu niebieskawo zielona tafla morza Kaspijskiego. Wyszedłem do ładnie utrzymanego parku, który stromymi tarasami schodził do morza. Wkrótce wezwano nas na śniadanie.

Obfite śniadanie w stylu angielskim podano przy dużym, okrągłym stole w jednej z pomniejszych sal pałacu. Byliśmy w doskonałych humorach i dużośmy żartowali na tematy polityczne. Singer który znał dobrze historię rewolucji rosyjskiej, zaczął coś opowiadać z życia Lenina, nazywając go przy tym „dziadkiem narodów”. To określenie pochodziło stąd, że w Związku Sowieckim za naszych czasów nazywano powszechnie Stalina „ojcem narodów”. Stąd Singer wynioskował, że Leninowi pośmiertnie musi przysługiwać tytuł „dziadka narodów”. Słuchając tego opowiadania Kot żartobliwie zwrócił się do mnie: „Wyście tam w Wilnie też mieli swoich dziadków”, mając oczywiście na myśli Józefa Piłsudskiego, którego podczas pierwszej wojny światowej legioniści I-szej Brygady nazywali dziadkiem. Odciałem się: „Nasz dziadek jest niezastąpiony w najnowszej historii Polski i niestety nie zostawił nikogo, kogobyśmy mogli nazwać ojcem”. Ksawery gorąco poparł moją odpowiedź i nawet zaczął tę myśl rozwijać, Singer potakiwał, a Teresa Lipkowska, bez namysłu również wyraziła swoje uwielbienie dla osoby Józefa Piłsudskiego. Okazało się, że Kot, który miał sławę najbardziej zaciętego wroga tych grup, które Piłsudski po przewrocie 1926 roku doprowadził do władzy, wybrał na tę podróż do swego najbliższego otoczenia samych wielbicieli Piłsudskiego. W tej właśnie chwili wszedł służący i oznajmił że z Teheranu przybył kurier z bardzo ważną i pilną pocztą dla ambasadora. Kot przerwał jedzenie i wyszedł, aby zobaczyć się z kurierem. Nastrój beztrudnej pogody minął. Cień niepokoju legł na nas wszystkich. W milczeniu dokończyliśmy śniadania.

Po śniadaniu wyszedłem do parku. Ponieważ odjazd był zapowiedziany dopiero około południa chciałem zejść w dół do brzegu i ewentualnie zażyć kąpieli na pożegnanie z morzem Kaspijskim. Wkrótce jednak zorientowałem się, że ta bliskość morza była złudzeniem. Trzeba było iść do brzegu około czterech kilometrów, a droga powrotna pod górę w upalnych promieniach południowego słońca byłaby bardzo męcząca. Zawróciłem z powrotem. Podchodząc do pałacu spotkałem Teresę Lipkowską która

powiedziała mi, że poczta przyniosła tragiczne wiadomości. Komunikowano z Kujbyszewa przez Teheran, że władze sowieckie natychmiast po wyjeździe ambasadora rozpoczęły akcję likwidacji delegatur ambasady w poszczególnych okręgach Związku Sowieckiego i że władze te zabierają składy konserw, środków medycznych oraz ubrań nadesłanych z Ameryki dla deportowanych obywateli polskich oraz, że dokonano licznych aresztowań wśród pracowników delegatur. Pracownicy delegatur z reguły nie byli chronieni przywilejem nietykalności dyplomatycznej, oprócz kilku osób, które przybyły z Londynu w 1941 roku, i które w 1942 zostały przeważnie zastąpione przez byłych więźniów sowieckich. Kot — jak zaznaczyłem powyżej — ścigał do ambasady wybitniejsze jednostki spośród zwolnionych więźniów i następnie osoby mające pewne doświadczenie administracyjne kierował do pracy w delegaturach. Teraz ci ludzie znowu znaleźli się w więzieniach. Cień Ehrlicha i Altera zawisł znowu nad współpracownikami ambasady. Kot, jak mówiła mi Lipkowska, był zupełnie złamany tymi wiadomościami. Stworzenie aparatu opieki społecznej nad setkami tysięcy deportowanych do Rosji obywateli polskich uważał za główne swoje zadanie. Teraz ten aparat leżał w gruzach.

Cała sprawa z przetrzymywaniem nas w Baku stała się dla mnie jasną. Władze sowieckie miały widocznie już od dłuższego czasu przygotowany plan likwidacji polskiego aparatu opieki społecznej oraz zagarnięcia zorganizowanych przez ambasadę składów żywności. Sprawa Roli-Janickiego stwarzała dogodny pretekst. Wybrano dla dokonania tego uderzenia moment, kiedy reprezentacja interesów polskich w Związku Sowieckim była osłabiona przez fakt nieobecności ambasadora. Łatwiej było przejść do porządku dziennego nad protestami *chargé d'affaires* niż ambasadora. Naszym *chargé d'affaires* do czasu przyjazdu nowego ambasadora był Henryk Sokolnicki, urzędnik służby zagranicznej, nasz były poseł w Finlandii, lecz, według powszechnej opinii, człowiek z natury mało aktywny. O ile wiem, założył on uroczysty protest przeciwko temu nowemu naruszeniu umowy polsko-sowieckiej z sierpnia 1941 roku. Czy mógł zrobić coś więcej czego nie zrobił, nie jestem w stanie osądzić.

Można było starać się poruszyć opinię zagraniczną. Był to jeszcze okres przed Stalingradem i przed rozkręceniem się pomocy amerykańskiej, kiedy Sowiety musiały się z tą opinią liczyć, a zwłaszcza z opinią amerykańską. W tej sytuacji *attaché* prasowy, mający kontakty z korespondentami amerykańskimi i angielskimi, byłby bardzo ważnym czynnikiem w akcji protestacyjnej. Tymczasem nasz *attaché*, który miał doświadczenie z terenu sowieckiego i mógł poinformować zachodnich kolegów o całej spra-

wie, był razem z ambasadorem gdzieś na szlaku pomiędzy Kujbyszewem a Teheranem. Ludzie, którzy byli tą sprawą specjalnie poruszeni, szukali przede wszystkim kontaktu z dotychczasowym ambasadorem, jako człowiekiem najlepiej poinformowanym. Różne kroki dyplomatyczne czy też prasowe, zostały opóźnione przez to, że oczekiwano wyjaśnień od ambasadora Kota, który przez pierwszy rok wojny sowiecko-niemieckiej stanowił główny łącznik pomiędzy rządem gen. Sikorskiego w Londynie a Związkiem Sowieckim. Tymczasem władze sowieckie unieruchomiły ambasadora w Baku, odcinając go od kontaktu ze światem zewnętrznym. W Baku formalnie byliśmy przecież specjalnie uprzywilejowanymi podróżnikami, a faktycznie w sytuacji internowanych. W chwili gdy w 1974 roku piszę w Halifaxie w Kanadzie te słowa nie jestem w posiadaniu wykazu tych pracowników delegatur, którzy zostali zgładzeni po wtrąceniu ich do więzień. Według wiadomości, które mieliśmy w Teheranie aresztowanych z Rosji miała się połączyć z innymi elementami polskich sił osób. Ich nazwiska muszą być gdzieś w tej części archiwów ambasady, którą ambasador Romer potrafił wywieźć ze Związku Sowieckiego. Wiem, że niektórzy zostali zwolnieni; reszta zaginęła; prawdopodobnie zostali rozstrzelani. Stajemy więc tutaj wobec małego Katynia, który czeka na swego historyka. Katyń jest oczywiście geograficzną nazwą. Lecz Katyń stał się również słowem symbolicznym oznaczającym wszelkie grupowe rozstrzelania obywateli podbitych krajów przez władze sowieckie. Na podstawie pewnych danych oraz z perspektywy historycznej możemy powiedzieć, że były duże Katynie i małe Katynie. Wówczas jednak, w sierpniu 1942, nazwa Katynia nie była jeszcze nam znana, chociaż mogłem na mapie określić okolice dokąd więźniowie Kozielska byli wywożeni w kwietniu 1940. Byliśmy jeszcze w denerwujących oparach tajemnicy.

Drugą pilną sprawą, która w tym czasie absorbowwała ambasadora Kota i o której szeptano raczej niż mówiono głośno w najbliższym jego otoczeniu, była sprawa mianowania dowódcy armii polskiej na Wschodzie. Armia, która w tym czasie wychodziła z Rosji miała się połączyć z innymi elementami polskich sił zbrojnych, które były już w tym czasie na Środkowym Wschodzie oraz w północnej Afryce, a przede wszystkim z Brygadą Karpacką, która miała być rozwinięta w dywizję. Powstało pytanie kto tą nową jednostką będzie dowodził. Miało to znaczenie nie tylko wojskowe, lecz również polityczne, gdyż w obliczu trudności komunikacyjnych z Londynem, dowódca armii mógł być czasami zmuszony do samodzielnego pobierania decyzji o konsekwencjach politycznych, bez porozumienia się z rządem londyńskim — jak

na przykład decyzja gen. Andersa wykorzystania obecności Churchilla dla wyprowadzenia armii polskiej z Rosji. Podobno kandydatem Sikorskiego był gen. Zajac, podczas gdy Kot bronił kandydatury gen. Andersa.

Okolo południa podano nam lekki lunch, który spożyliśmy w milczeniu. Zaraz potem ruszyliśmy w dalszą podróż. Tym razem naprawde wjechalismy w gory. Droga z natury rzeczy wjac sie duzymi zakretami, miala ogolny kierunek poludniowy. W pewnej chwili zostalismy zatrzymani przez patrol sowiecki. Towarzyszac nam polski porucznik, ktory przyjechal z Teheranu, pokazal im przepustki. Kilku krasnoarmiejcow wlaslo do naszej ciezarowki, zajrzeli pod lawki i zezwolili dalej jechac. Uswiadomilismy sobie nagle ze jeszcze ciagle w pewnym stopniu bylismy w paszczy sowieckiej. Mieliismy potem jeszcze jeden nocleg w jakiejś budowli w gorach dokad przyjechalismy juz dobrze po zachodzie slonca.

Nastepnego dnia wczesnym rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę, która coraz bardziej pieła się pod górę. Pod względem turystycznym dawała ona wspaniałe widoki. Mogę je porównać jedynie z tym co kilkanaście lat potem widziałem, podróżując z żoną autobusem poprzez Himalaje do Srinagaru, stolicy Kaszmiru. Stawało się coraz chłodniej. Gdyśmy osiągnęli przełęcz po obu stronach drogi leżał górski stwardniały śnieg. Przełęcz była powyżej trzech tysięcy metrów. Patrząc stamtąd w dół, na drogę poza nami i drogę przed nami, zastanawialiśmy się przede wszystkim nad uderzającym kontrastem pomiędzy południowymi a północnymi zboczami gór Elbrusu. Północne, po których wznosiliśmy się do przełęczy, zieleniły się bogactwem roślinności. Południowe, po których teraz mieliśmy zjeżdżać do płaskowyża Irańskiego, były gołe, ostre i poszarpane. Widoki w obydwóch kierunkach północnym i południowym były wspaniałe, lecz krańcowo różne w barwach i charakterze. O zmroku, już na płaskowyżu, gdy byliśmy na równym terenie, stanowiącym coś pośredniego pomiędzy stepem a pustynią, zwróciłem uwagę moich towarzyszy podróży na stada wilków biegnących jakieś 150 metrów od drogi. Wyjaśniono mi, że nie były to wilki, lecz hieny których obecność oznaczała po prostu, że zbliżamy się do większych ludzkich osiedli. Wkrótce pokazały się światła Teheranu. W Teheranie nie było zaciemniania. Uderzyły nas blaski reklam, których nie widziałem co najmniej od trzech lat. Mieliśmy poczucie, że wjeżdżamy do wielkiego nowoczesnego miasta. Stanęliśmy przed ogrodem okalającym gmach poselstwa RP. Spotkał nas tam sekretarz poselstwa, Michał Tyszkiewicz, którego znałem przed wojną i który również przeszedł przez

łagry sowieckie. Gdy powiedziałem mu o dodatnim wrażeniu, jakie sprawia na mnie Teheran, odpowiedział: „Ja się też zastanawiam czy Teheran bardziej przypomina mi Paryż czy Wilno” — porównując w ten sposób stolicę Persji z dwoma miastami do których miał szczególny sentyment. Moja droga spod złowieszczy lasku w pobliżu Smoleńska w świat ludzi wolnych osiągnęła swój punkt docelowy.

Rozdział VII

RAPORT O ZAGINIONYCH OFICERACH

W Teheranie Kot zamieszkał w poselstwie. Była to willa z obszerną werandą w dużym ogrodzie, w którym znajdowały się oprócz głównego domu, jeszcze dwie oficyny mieszczące różne biura. Pozostali członkowie zespołu zostali rozmieszczeni w hotelach. Ja z Ksawerym i Singerem trafiliśmy do hotelu, który nie miał opinii pierwszorzędnej, lecz był bardzo przyjemny. Pomyślany był jako rodzaj czworoboku w którego środku były ogród i restauracja. Pokoje, których okna wychodziły na ogród, miały obszerne werandy. Jedzenie było doskonałe.

Mniej więcej po tygodniu, dzięki pomocy jednego z moich dawnych słuchaczy w Uniwersytecie Wileńskim, znalazłem bardzo wygodny pokój w tradycyjnie urządzonym domu ormiańskim. Dom był parterowy z wewnętrznym podwórzem gdzie była fontanna oraz bardzo dobrze utrzymany ogród. Moje okna wychodziły na fontannę i tak były skonstruowane, że promienie słoneczne prawie nigdy nie dochodziły w południe do mego pokoju. W upalne dni można tam było bardzo wygodnie odpocząć. W odległości 10 minut drogi był kościół katolicki, gdzie księża wygłaszali kazania po francusku. Jeszcze bliżej był zamknięty zakład naukowy dla dziewcząt, gdzie studiowały przeważnie córki perskich arystokratycznych rodzin a więc z urodzenia mużulmanki. Zakład był prowadzony przez zakonne siostry francuskie i językiem wykładowym był francuski. Przy zakładzie była kaplica gdzie codziennie o godz. 6.15 rano odprawiano Mszę świętą. Gdy się wychodziło z kaplicy na korytarzach zakładu przyjemnie łaskotał nozdrza zapach kawy, którą siostry przyrządzały dla księdza. Gdy wracałem do domu, służący, młody Ormianin, przynosił mi czajnik gotującej się wody, ser i

masło. Tylko ten co przeszedł Rosję i widział to, co ja widziałem, może ocenić luksus swobodnej modlitwy.

W Teheranie było również biuro rejestrujące wszystkich obywateli polskich, którzy podlegali obowiązkowi służby wojskowej, ale z tych lub innych przyczyn nie byli jeszcze w wojsku. Ponieważ przyjechałem do Teheranu na statusie cywilnym, więc poszedłem się tam zameldować. Uderzyła mnie atmosfera typowego PKU Polski przedwojennej. Czułem się jakbym był gdzieś w Lidzie czy Nowogrodzku. Dość obskurne umeblowanie; kilku sierżantów siedziało przy stolikach wypełniając jakieś papierki; jeden pisał na maszynie. Mała grupa interesantów: jacyś Polacy, którym udało się opuścić Rosję nie należąc formalnie do wojska. Kilku polskich Żydów zamieszkałych od lat w Persji. Ściągał ze mnie zeznanie jakiś major, typowy biurokrata wojskowy; zapisał wszystkie moje dane personalne, przebieg służby wojskowej, daty awansów, odznaczenia itp. i w końcu zainteresował się moimi kwalifikacjami intelektualnymi. Zapytał mnie: „Ma Pan maturę”? Odpowiedziałem mu, że byłem profesorem uniwersytetu. Major ostro mi przerwał: „Ja Pana nie pytam kim Pan był, lecz czy ma Pan maturę”. Chwilę się zawahałem, lecz potem, aby nie komplikować sprawy niepotrzebnymi szczegółami, odpowiedziałem twierdząco. Było to jednak niezupełnie ściśle, gdyż właściwie nie miałem tego co się nazywało polską maturą. Nigdy nie byłem w polskiej szkole. Na uniwersytet wileński zostałem przyjęty w 1919 roku na zasadzie mojej immatrykulacji na uniwersytecie moskiewskim i moich studiów tam w latach 1917-18. W owym okresie na uniwersytetach polskich był zwyczaj, że jeżeli przychodził ktoś z tego rodzaju kwalifikacjami to przyjmowano go pod warunkiem, że w ciągu roku złoży maturalny egzamin z historii i literatury polskiej. Mnie jakoś tego warunku nie postawiono, więc nie mogłem z całą pewnością twierdzić, że posiadam polską maturę.

Gdy wróciłem do poselstwa ubawiłem Kota i Ksawerego opowiadaniem o owych wątpliwościach czy posiadam niezbędne kwalifikacje intelektualne do stopnia oficerskiego w wojsku polskim. Potem usiadłem na werandzie i myśl moja pobiegła do owych dni, prawie dokładnie dwadzieścia trzy lata wstecz, kiedy zgłosiłem swoje podanie o przyjęcie mnie w poczet studentów odradzającego się uniwersytetu wileńskiego. Było to również związane z przeżyciami wojennymi. Na jesieni 1919 roku, gdy Wilno szykowało się do wskrzeszenia zamkniętej przez zaborców starej Wszechnicy Wileńskiej, służyłem jako ochotnik w lekkiej baterii, która brała czynny udział w naszej wrześniowej ofensywie nad Dźwiną. Od częstego strzelania rozdęła się lufa w jednej z na-

szych armat i dowódca baterii posłał mnie do Wilna aby to działa umieścić w warsztatach artyleryjskich. Po załatwieniu tego polecenia wyszedłem na ulicę. Wilno w owych dniach — po emocjonujących przeżyciach pamiętnej Wielkanocy — gdy podczas rezurekcji ułani Beliny raptem ukazali się na ulicach, tocząc bój z zaskoczonym garnizonem bolszewickim — było miastem radosnym na dalekich zapleczach frontu, który był nad Berezyną i Dźwiną. Z gazet dowiedziałem się, że przyjmowane są zapisy na Uniwersytet. Postanowiłem więc złożyć swoje dokumenty. Powiedziano mi, że muszę się zgłosić do Dziekanatu Wydziału Prawnego. Dziekan urzędował w jednym z bocznych skrzydeł, gdzie potem mieściły się seminaria. Przed Dziekanatem stała dość duża kolejka: sporo dziewcząt, kilku panów w wieku bardziej niż dojrzałym, jacyś młodzieńcy o typie wyraźnie semickim; nie było jednak prawie młodzieńców o typie słowiańskim, bo ci przeważnie byli w wojsku. Żydzi wileńscy w walkach, które się wówczas toczyły na terenach dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego, zachowywali neutralność, mieli więc czas na studia.

Był wówczas w Wilnie zwyczaj, że wojskowi zgłaszali się bez kolejki. Ominiąłem więc tych interesantów i wpakowałem się do Dziekanatu tak jak stałem, nielitościwie zakurzony z austriackim kawaleryjskim karabinkiem na plecach. Pośrodku niedużego pokoju stał stół, za którym siedział brunet lat nieco powyżej trzydziestu, o okrągłej twarzy, niedużego wzrostu, wyglądający raczej na Francuza czy Włocha, niż typowego Wilnianina. Oświadczyłem, że przyjechałem z frontu, mam być w Wilnie tylko kilka godzin i korzystam z tej okazji aby złożyć podanie o przyjęcie mnie w poczet studentów Wydziału Prawa i Nauk Społecznych. Ów brunet zapytał mnie o dokumenty. Odstawiłem karabinek do kąta, rozpiąłem mundur i wyciągnąłem zawieszony na szyi woreczek z dokumentami, który mi matka jeszcze w Dyneburgu uszyła. Przedstawiłem mu świadectwo ukończenia gimnazjum matematycznego (tzw. szkoły realnej) w Orle, dowody złożenia egzaminów kwalifikacyjnych z łaciny przy Kuratorium Moskiewskiego Okręgu Naukowego oraz dowody moich studiów na Uniwersytecie Moskiewskim w 1917-18 roku akademickim, tzn. roku rewolucji październikowej. Brunet powiedział, że wszystko jest w porządku; jestem zaakceptowany jako student. Wstał i podał mi rękę. Spojrzeliśmy sobie w oczy i wydawało mi się, że zawiązuje się pomiędzy nami jakaś nić. Był to niewątpliwie przełomowy dzień w moim życiu. Dziś z perspektywy pół stulecia wiem, że więź ta splotła w pewnym stopniu nasze losy. Dopiero po wyjściu z Dziekanatu dowiedziałem się, że ten

brunet to prodziekan Wydziału, prof. Władysław Zawadzki, jeden z pionierów współczesnej ekonomii matematycznej. Gdy zima 1919-20 roku akademickiego, podczas zacisza na froncie, znalazłem się znowu w Wilnie i zacząłem uczęszczać na Uniwersytet, stałem się jednym z najbardziej zapalonych słuchaczy profesora Zawadzkiego, aż póki w 1920 roku losy nie rzuciły mnie znowu do służby liniowej, tym razem w piechocie. Gdy w 1924 roku otrzymałem magisterium, zostałem od razu starszym asystentem przy Katedrze prof. Zawadzkiego. Gdy w początku lat trzydziestych został on wicepremierem gospodarczym oraz Ministrem Skarbu, objąłem, jako docent, wszystkie jego wykłady na Uniwersytecie. A w początku 1939 roku na dziedzińcu Piotra Skargi na uroczystościach pogrzebowych przemawiałem nad jego trumną w imieniu tego samego Uniwersytetu, do którego on mnie przyjął z omińciem niektórych przepisów.

Dlaczego owego wrześniowego dnia prof. Zawadzki przeglądając moje papiery nie postawił mi owych „polonistycznych” warunków przyjęcia? Może zapomniał, może miał rodzaj jakiegoś przeczucia, tak jak mi się dziś wydaje, że ja w owej chwili miałem. Lecz najprawdopodobniej zrobił to świadomie i celowo. Te warunki „polonistyczne” były na ogół stawiane selektywnie. Gdy zjawiał się jakiś młodzieniec, który był ochotnikiem, w jednym z oddziałów aktualnie operujących na wschodnim froncie, to jego zaborczą maturę uważano często za równorzędną z maturą polską. I tu myśl moja w chaosie tej nowej wojny pobiegła wstecz do wspomnień o inteligentach ochotnikach 1918-1920 roku. Doświadczenie z nimi nabierało aktualności, gdyż polskie siły zbrojne, które walczyły po kłesce wrześniowej na różnych frontach drugiej wojny światowej były również oparte prawie wyłącznie o element ochotniczy.

W 1918-20 r. na wiecach akademickich w różnych polskich wyższych zakładach naukowych uchwalono obowiązek służby ochotniczej dla wszystkich akademików narodowości polskiej, zdolnych do noszenia broni. Ci, którzy tego obowiązku nie dopełnili uważani byli za wyłączonych ze społeczności akademickiej. Nie wszyscy oczywiście mogli dopasować się do warunków służby w szeregach. Zrodziło się sporo anegdot na temat inteligentów w wojsku. Lecz większość szybko dosłużyła się naszywek podoficerskich. Powstało jedyne w swoim rodzaju wojsko, w którym oficerowie pochodzili przeważnie z armii zaborczych, rosyjskiej lub austriackiej i nie zawsze odznaczyli się odpowiednim poziomem inteligencji; podczas gdy w korpusie podoficerskim był bardzo znaczny procent akademików, którzy reprezentowali różne kierunki ideowe, ale wszyscy byli przeniknięci wolą

zbudowania i obronienia niepodległego państwa polskiego. O morale armii stanowi w dużym stopniu jej korpus podoficerski. Jeżeli w 1918-19 roku — gdy cała Europa Środkowa i Wschodnia była pogrążona w chaosie — Polska stanowiła jedyny ośrodek względnego ładu, porządku i dyscypliny, było to przede wszystkim dzięki jej improwizowanej armii. Armia ta w ciężkich zmaganiach zatrzymała hordy bolszewickie, rzucone na podbój Europy. W jakim stopniu fakt, że mieliśmy ten specyficzny skład korpusu podoficerskiego przyczynił się do przeważenia szali na naszą korzyść, trudno dziś określić. Niewątpliwie jednak rola dość popularnego w pamiętnych dniach sierpnia i września 1920 roku typu kaprala-akademika była dość duża.

W kilka lat po wojnie ochotników z cenzusem z okresu 1918-20, którzy mogli się wykazać pewnym minimum służby na froncie, awansowano na podporuczników rezerwy. W czasie mobilizacji 1939 roku dużo, jeżeli nie większość, owych już nieco podtatusiałych ochotników dwudziestego roku powołano do czynnej służby, część do linii, część do różnych służb administracyjnych. Wielu z nich znalazło się w Kozielsku. NKWD usiłowało wydostać szczegółową ewidencję każdego z jeńców. Niewątpliwie też ustaliło, że pomiędzy nimi było bardzo wielu ochotników z dwudziestego roku. Pytanie o to należało do standardowych podczas badań, na które był wzywany każdy jeńiec Kozielska. Widocznie taka była instrukcja z Moskwy. Niektórzy jeńcy zaprzeczali, aby pełnili służbę ochotniczą podczas wojny polsko-bolszewickiej 1918-20 roku. Nie sądzę jednak aby im dawano wiarę. *Sledowaciele* sowieccy orientowali się bardzo dobrze, że prawie wszyscy starsi porucznicy i podporucznicy rezerwy, którzy trafili do Kozielska i Starobielska to byli dawni ochotnicy dwudziestego roku. Zastanawiałem się czy fakt tego dużego procentu dawnych ochotników mógł jakoś wpłynąć na losy obozu Kozielskiego.

W czasie tych rozmyślań w Teheranie prawda o Katyniu nie była jeszcze znana. Dziś nie mam wątpliwości, że Katyń był w jakimś stopniu porachunkiem za rok 1920. Latem 1920 roku Rosja bolszewicka szła na podbój Europy. Lenin wierzył, że po ujarzmieniu Polski żagiew rewolucji światowej zostanie zapalona w Niemczech, Czechach i Francji. Nasze zwycięstwo pod Warszawą, a potem nad Niemnem, zatrzymało ten marsz na więcej niż dwadzieścia lat.

Były to zwycięstwa armii osamotnionej. Dzisiaj wiemy wszyscy, że w 1945 roku wejście Rosji Sowieckiej do Środkowej Europy odbyło się przy czynnej pomocy Zachodu. Roosevelt i Eisenhower ponoszą za to ogromną odpowiedzialność historyczną.

Lecz w 1920 roku Zachód także był już przygotowany do samobójstwa. Nie tylko Lloyd George lecz również Ernest Bevin — przywódca Związków Zawodowych — byli przeciwko nam. Robotnicy angielscy odmawiali ładowania broni dla Polski. Czesi odmawiali przepuszczenia transportów tej broni przez ich terytorium. Kilku francuskich generałów z doświadczeniem wojny pozycyjnej, pętało się przy naszych sztabach prowadzących wojnę ruchomą, ale nie stanowili oni żadnej realnej pomocy. A jednak myśmy zwyciężyli w dużym stopniu dzięki tej postawie psychicznej, którą reprezentował ów kapral-akademik. W lasku katyńskim i w jakimś innych, nieznanym miejscu kaźni — podobno niedaleko Charkowa — odbył się porachunek Rosji Sowieckiej z owym kapralem-akademikiem.

Po kilku dniach pobytu w Teheranie Kot zaprosił mnie do poselstwa na dłuższą rozmowę, w ciągu której zaproponował abym opracował dłuższy memoriał w sprawie zaginionych oficerów. Kotowi chodziło tutaj nie tylko o przedstawienie samej sprawy, lecz również o przedstawienie roli Ambasady i jej starań o wyjaśnienie co się stało z zaginionymi jeńcami. W wojsku, które w tej chwili wychodziło z Rosji, było dużo rozgoryczenia z powodu rzekomej opieszałości Ambasady w nacisku na władze sowieckie, aby albo wreszcie zwolniły ukrywanych jeńców, albo podały jakieś wiarygodne wyjaśnienia całej sprawy. Wśród cywilnego uchodźstwa w Anglii i na Bliskim Wschodzie wskazywano na tę sprawę jako jeden z dowodów niepowodzenia polityki rosyjskiej gen. Sikorskiego. Wiadomo było, że zarówno gen. K. Sosnkowski — największy autorytet spośród żyjących współpracowników Marszałka Piłsudskiego — jak i ówczesny minister Spraw Zagranicznych August Zaleski, ostro krytykowali tę politykę i z tego powodu opuścili rząd. Kot powiedział mi, że wywiózł z Rosji szereg dokumentów dotyczących aktywności Ambasady w tej sprawie i że mi je udostępni. Zamiarem Kota było przesłanie projektowanego memoriału do rządu w Londynie, jak również do Waszyngtonu, do ambasadora Ciechanowskiego, do ewentualnego użycia w naszej propagandzie w Stanach Zjednoczonych.

Odtąd więc przez szereg dni siedziałem w Poselstwie w kącie werandy, gdzie urządziłem sobie rodzaj pracowni, i studiowałem zawartość teczek dotyczących korespondencji w sprawie zaginionych oficerów, oraz w ogóle w sprawie wykonania umowy Sikorski-Majski z lipca 1941 roku. Około południa wynajmowałem konną dorożkę i jechałem na otwartą pływalnię, przy której była restauracja. Potem wracałem do pracy, wieszając swoje spodenki kąpielowe i ręcznik dla wysuszenia na poręczach we-

randy. Pewnego dnia, gdy tak siedziałem pogrążony w pracy, podjechał samochód z którego wysiadł poseł polski przy rządzie Iranu — Karol Bader, który wracał widocznie z jakiejś oficjalnej wizyty, wyglądając jak zawsze bardzo dystyngowanie i reprezentacyjnie. Na kilka lat przed wojną miałem okazję przelotnie go poznać. Rzucił okiem na moje suszące się spodenki i taki wyraz niesmaku odmalował się na jego twarzy, że od razu zrozumiałem, że te spodenki nie stanowią właściwej dekoracji dla głównego wejścia do poselstwa R.P. Odtąd już starałem się je wieszać gdzieś indziej na mniej widocznym miejscu.

Teczki, których zawartość studiowałem, zawierały noty poselstwa do sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych (*Narkomindiel*), protokoły rozmów Sikorskiego ze Stalinem oraz Kota ze Stalinem, Mołotowem i Wyszyńskim, noty naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie, składane na ręce sowieckiego ambasadora Bogomołowa, sprawozdanie rotmistrza Czapskiego, który z polecenia gen. Andersa jeździł do kilku człowych dygnitarzy NKWD w nadziei, że uda mu się zdobyć jakieś wskazówki co się stało z oficerami, których przyjazdu oczekiwano lada chwila, a którzy nie przyjeżdżali. Między innymi była również nota w mojej sprawie do sowieckiego ambasadora w Londynie, Bogomołowa, podpisana przez ówczesnego kierownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych Kajetana Morawskiego.

Nie mam zamiaru streszczać tutaj tych protokołów i dokumentów, bo bezpośrednio po wojnie zostały one przeważnie opublikowane przez polskie władze emigracyjne oraz przez samego Kota; zasadnicze punkty tych rozmów są znane każdemu, kto się sprawami Katynia interesował. W owej chwili jednak (koniec lata 1942) przestudiowanie tych dokumentów ufatwiło mi ogromnie uświadomienie sobie wszystkich zawilgości i komplikacji związanych z wysiłkami przeniknięcia tajemnicy dramatu naszych oficerów, oraz wyjątkowości moich własnych losów w kontekście tego dramatu. Człowiek który jest unoszony prądem wezbranej rzeki nie może ocenić rozmiarów powodzi. Aby tego dokonać trzeba znaleźć się na brzegu. Kot zlecając mi opracowanie sprawy zaginionych oficerów w pewnym stopniu postawił mnie w pozycji zewnętrznego obserwatora dramatu, którego byłem bezwiednym aktorem.

Standartowa odpowiedź dygnitarzy sowieckich, gdy do nich zwracano się z zapytaniem, była: wszyscy jeńcy wojskowi oraz wszyscy Polacy, więźniowie cywilni, zostali zwolnieni. Jeżeli jednak nie wszyscy zgłosili się do tworzącego się wojska polskiego władze sowieckie nie mogą ponosić za to żadnej odpowiedzialności. Ta odpowiedź nabierała pozorów pewnego sensu,

jeżeli weźmiemy pod uwagę, że faktycznie do armii polskiej na Wschodzie zgłosiła się pewna ilość oficerów i żołnierzy, którzy przez pewien czas byli internowani w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkwowie. Władze sowieckie grały tutaj na fakcie, że w tych samych miejscowościach w okresie 1939-41 bywały różne rodzaje obozów. Jeżeli chodzi na przykład o Kozielsk, to w istocie rzeczy były trzy obozy kozielskie:

1) w październiku 1939 roku był tam obóz szeregowych, których wywieziono na różne roboty, a część zdaje się zwolniono;

2) w początku listopada 1939 roku przywieziono tam około 4.200 oficerów oraz około 300 podoficerów i cywilów, którzy byli tam do kwietnia-maja 1940 roku;

3) po likwidacji tego drugiego obozu (tj. latem 1940) przywieziono tam z górą tysiąc oficerów i podchorążych, zagarniętych na Litwie, których niedługo potem przewieziono do obozu w Griazowcu koło Wołogdy, gdzie już w tym czasie było około 3 % poprzednich więźniów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, przywiezionych tam w czerwcu 1940 roku.

Ponadto należy pamiętać, że do Armii gen. Andersa zgłosiła się również pewna nieduża ilość oficerów (chyba nie więcej niż kilkunastu), którzy byli w obozie Kozielsku Nr 2, lecz nie byli w Griazowcu. Byli to ci, których wywieziono indywidualnie do więzień i postawiono w stan oskarżenia na podstawie sowieckiej procedury karnej, a którzy zostali zwolnieni na zasadzie tzw. amnestii w 1941 roku. Nie było natomiast nikogo z tych, których wywieziono regularnymi transportami (mniej więcej po 300 osób co kilka dni) w okresie kwiecień-maj 1940 roku. Podobna sytuacja była z obozem w Starobielsku. Mniej jasna była metoda oraz terminy rozładowywania Ostaszkowa, najliczniejszego z tych obozów (około 6.500), gdzie koncentrowano przeważnie policję, żandarmerię oraz oficerów i podoficerów Korpusu Ochrony Pogranicza. Sprawa więc, która specjalnie pochłaniała uwagę zarówno Ambasady jak i sztabu gen. Andersa, dotyczyła przede wszystkim losów jeńców wywiezionych normalnymi transportami (tzn. ponad 95 % składu tych obozów). Nawet kierunek tych transportów trudno było ustalić, chociaż ogólnie przypuszczano, że musiały iść na wschód. Obliczano, że te regularne transporty z Kozielska i Starobielska (nie licząc Ostaszkowa) obejmowały około 8.000 oficerów. W ciągu zimy 1941-42 najbardziej niepokojące było nie to, że ci jeńcy nie przyjeżdżali, lecz że najwyższe czynniki sowieckie nie chciały udzielić o nich żadnej informacji. W Rosji są obozy pracy przymusowej, z których masowy transport jest możliwy tylko w okresach nawigacji po wielkich rzekach syberyjskich: Irtyszu, Obi, Jenisieju, Lenie i

Kołymie. Na Syberii są obozy pracy przymusowej znajdujące się około 2.000 kilometrów na północ od kolei transsyberyjskiej, np. Norylsk, Dudinka, Igarka na Jenisieju. Transport z Kołymy jest możliwy tylko w okresie nawigacji po morzu Ochockim. Sikorski w rozmowie ze Stalinem, a Kot w rozmowie z Wyszyńskim sami wysuwali przypuszczenie możliwości utknięcia naszych jeńców gdzieś w północnej Syberii. Odpowiedź jednak była, że na dalekiej północy stanowczo nie ma naszych oficerów. Więc, gdzie oni mogli być?

Wiedzieliśmy doskonale, że władze sowieckie miały dokładne listy, bowiem transporty, które w kwietniu 1940 roku odchodziły z Kozielska były centralistycznie regulowane w Moskwie. Komenda Kozielska, jak to już powyżej było opisane, otrzymywała zwykle imienną listę tych, którzy mają odjechać danego dnia, dopiero na kilka godzin przed odejściem każdego transportu. NKWD w swoich archiwach musiało więc posiadać dokładne wiadomości o datach, kierunku i składzie tych transportów. Dlaczego więc władze sowieckie odmawiały wszelkich informacji o składzie i kierunku tych transportów? Tkwiła w tym jakaś tajemnica.

Dopiero po przestudiowaniu dokumentów zawartych w archiwach Kota stało się dla mnie w pełni jasne specjalne znaczenie mojej własnej sprawy oraz znaczenie tych specjalnych ostrożności, które Otton Pehr przedsięwziął organizując moją podróż z Kirowa do Kujbyszewa. Gdy Ambasada otrzymała dokładne informacje o miejscu gdzie byłem uwięziony, był to pierwszy wypadek dokładnego stwierdzenia miejsca pobytu jednego z 8.000 oficerów, o których władze sowieckie odmawiały informacji. Był to również dowód, że twierdzenie Stalina, iż wszystkich polskich jeńców wojskowych zwolniono, było nieprawdziwe. Spodziewano się, że mogę być w posiadaniu jakichś informacji co do losów niektórych innych spośród zaginionych oficerów, a może nawet klucza do rozwiązania całej tajemnicy. Zmobilizowano więc wszelkie możliwe sposoby nacisku, aby uzyskać moje zwolnienie. Kot zawiadomił nasze M.S.Z. w Londynie, i wtedy to została złożona ambasadorowi Bogomołowowi owa nota, podpisana przez Kajetana Morawskiego w zastępstwie Edwarda Raczyńskiego, który był wówczas w Waszyngtonie. Od chwili ustąpienia Augusta Zaleskiego rząd polski w Londynie nie miał ministra Spraw Zagranicznych, a jedynie tymczasowego kierownika, którym był ambasador przy dworze św. Jakuba Edward Raczyński. Podobno był to jedyny wypadek, że M.S.Z. złożyło rządowi sowieckiemu notę w indywidualnej sprawie poszczególnego jeńca

z kampanii 1939 roku. Sowiety więc nie miały innego wyjścia i musiały mnie zwolnić.

Ja przywiozłem wiadomość, że transporty z Kozielska (lub w każdym razie część transportów w kwietniu 1940 roku) szły nie w kierunku wschodnim czy też północnym, jak ogólnie przypuszczano, lecz zachodnim do Smoleńska i że jeńców wyładowywano jakieś kilkanaście kilometrów już po minięciu Smoleńska. I tutaj ślad tych transportów ginął. Konsekwencją tej wiadomości powinno było być polecenie wywiadowi Armii Krajowej aby wśród kolejarzy oraz miejscowej ludności pod Smoleńskiem zebrała wiadomości co się z tymi transportami dalej stało. Wśród dokumentów, które otrzymałem od Kota, nie było żadnych śladów aby mój raport został w tym sensie wykorzystany, chociaż Polacy pod okupacją niemiecką odegrali, jak się zdaje, dość dużą rolę w wykryciu grobów katyńskich. Pierwsi dowiedzieli się od miejscowej ludności o tych grobach robotnicy polscy zmobilizowani do organizacji Todta. Oni też wzniesli krzyż na miejscu gdzie, według wskazówek tejże ludności, były te groby. Sprawą tą zainteresowali się Niemcy, których wywiad oczywiście był poinformowany, że polskie dowództwo w Rosji nie mogło doliczyć się około 15.000 oficerów i policjantów, którzy wpadli w ręce rosyjskie.

Sprawa, na którą Kot chciał abym położył specjalny nacisk w moim referacie, dotyczyła listy zaginionych oficerów. Kot twierdził, że wszelka interwencja ze strony Ambasady byłaby znacznie ułatwiona, gdyby wojsko mu dało spis tych, którzy zaginęli z podaniem imienia nazwiska i stopnia poszukiwanych jeńców. Kot zwracał się w tej sprawie kilkakrotnie do różnych czynników wojskowych, a przede wszystkim do ówczesnego pułkownika Okulickiego, który był przez pewien czas szefem Sztabu armii polskiej w ZSSR. Sporządzenie takich spisów nie było jednak rzeczą łatwą. Armia polska w ZSSR nie była w posiadaniu składu personalnego jednostek frontowych, które brały udział w kampanii 1939 roku, a tym bardziej instytucji wojskowych i szpitali, które były ewakuowane na wschód. Jedynym źródłem były zeznania tych, którzy przeszli przez Kozielsk Nr 2, Starobielsk lub Ostaszków, potem zostali przewiezieni do Griazowca, a stamtąd zgłosili się do armii polskiej w Rosji. Względnie łatwo było ustalić nazwiska wyższych oficerów, którzy byli ogólnie znani. O wiele trudniej gdy chodziło o młodszych oficerów, powołanych przeważnie z rezerwy. Ludzie pamiętali tych, z którymi sąsadowali na pryczach oraz tych, których przypadkowo bliżej poznali. W stosunku do tych, których się mniej znało, pamiętało się nazwiska i stopnie, lecz zapominało się

bardzo szybko imiona chrzestne. Pomimo to wojsko potrafiło na jesieni 1941 roku ułożyć listę około 4.000 nazwisk, którą gen. Sikorski wręczył Stalinowi w czasie rozmowy z nim w grudniu 1941 roku. Pełna lista tych oficerów, którzy zaginęli w Rosji nigdy właściwie nie została ułożona. Wielkiego indywidualnego wysiłku w tym zakresie dokonał mjr Adam Moszyński, który w 1948 roku wydał „Listę Katyńską”, która zawiera około 10.000 nazwisk¹. Krytykę tej listy zamieściłem w *Kulturze* pod pseudonimem Jerzy Lebiezdziwski². Nikt natomiast — o ile wiem — nie podjął sprawy ustalenia listy policjantów, których skoncentrowano w Ostaszkowie i których liczba wynosiła co najmniej 5.000 osób. W owym momencie (sierpień 1942) Koto-wi chodziło przede wszystkim o to, aby wobec wszelkiej możliwej opozycji, a również wobec przyszłych historyków ustalić, że Ambasada w Kujbyszewie zrobiła wszystko co było w ludzkiej mocy, aby osiągnąć u władz sowieckich odnalezienie i zwolnienie zaginionych członków polskich sił zbrojnych. Dostarczone przez Kota dokumenty potwierdzały tę opinię.

Byłem szczególnie zaintrygowany podczas układania tego memoriału faktem, że wśród oficerów, którzy się odnaleźli i dołączyli do armii Andersa, była pewna ilość specjalnie obciążonych wobec Rosji Sowieckiej czy to przez związek z wywiadem, czy to przez jakąś działalność polityczną nieprzyjemną dla komunistów, czy też przez udział w konspiracji podczas okupacji 1939-1941 roku. Natomiast wydawało mi się, że znacznie mniejszy odsetek tego typu oficerów była wśród tych, którzy zaginęli.

Od chwili zwolnienia z łagrów, to znaczy od maja 1942 roku, ciągle dowiadywałem się, że ktoś, kogo znałem poprzednio z działalności wrogiej komunistom, dziś znajduje się w wojsku generała Andersa. Na przykład mjr, a potem ppłk Władysław Kamiński, dawny oficer legionowy, który po pierwszej wojnie opuścił wojsko, ukończył prawo na Uniwersytecie Wileńskim, był prezesem Związku Osadników Wojskowych, został wybrany do Senatu z województwa wileńskiego, a podczas okupacji sowieckiej był zastępcą Komendanta Okręgu Wileńskiego ZWZ, dowodził teraz batalionem w Armii Polskiej w Rosji i był ogólnie wysoko ceniony, jako jeden z najdzielniejszych organizatorów tej Armii; ppłk Wincenty Bąkiewicz, który w Sztapie Głównym był szefem wywiadu na Rosję, był teraz szefem Oddziału II-go w sztabie gen. Andersa; por. Adam Telmany, z którym zaprzyjaźniłem się w łagrach, a który był adiutantem komendy ZWZ we Lwo-

1. *Lista Katyńska: Jeńcy Obozów Kozielsk - Starobielsk - Ostaszkow zaginieni w Rosji Sowieckiej*, Gryf Publications, Londyn, 1949.

2. *Kultura*, 1949, nr 2/28 - 3/29.

wie, przyjeżdżał z Centralnej Azji do Ambasady podczas mego tam pobytu jako oficer Oddziału II-go Armii Polskiej w Rosji. Płk S. Lubodziecki, były prokurator wojskowy w przedwojennej Polsce, którego wywieziono z Kozielska jako specjalnie obciążonego wobec Sowietów, służył znowu w sądownictwie Armii Polskiej w Rosji.

Nikogo kto by był zaangażowany antysowiecko nie mogłem sobie przypomnieć, gdy myślałem o zaginionych jeńcach Kozielska i Starobielska. Nie miałem natomiast żadnych wiadomości, aby któryś z moich kolegów Ślązaków, którzy w ostatnich dniach września 1939 roku tak mnie irytowali swoimi sympatiami sowieckimi, byli obecnie w Armii Andersa. Nikt z tych oficerów, z którymi wypadło mi bliżej współpracować we wrześniu 1939 roku i którzy potem dostali się do niewoli sowieckiej — ppłk Nowosielski, kpt. Pawłowski, kpt. Kowszyk, por. Sielicki — nie był sympatykiem sowieckiego komunizmu, lecz nikt z nich również nie miał na swoim koncie jakichś specjalnych wyczynów antysowieckich. Nikt z nich jednak nie dotarł do Armii gen. Andersa — wszyscy byli pomiędzy tymi, którzy zaginęli.

Sprawa wyglądała w ten sposób, że władze sowieckie podczas bardzo skrupulatnych badań jeńców, o czym pisałem powyżej, podzielili ich z grubsza na dwie grupy: 1) tych, co do których można było wysunąć jakieś specjalne pretensje z powodu ich związków z wywiadem lub działalnością polityczną; 2) tych, którzy reprezentowali różnego rodzaju kwalifikacje zawodowe, wojskowe, czy też cywilne, lecz w żadnym stopniu nie narazili się indywidualnie do Związku sowieckiemu. Znaczną część jeńców, należących do pierwszej kategorii, powywożono indywidualnie, aby ich postawić przed sądami sowieckimi. Gdy w lipcu 1941 roku podpisana została umowa Sikorski-Majski o tzw. amnestii, ci z pierwszej kategorii okazali się najbardziej pod ręką, bo byli w więzieniach oraz w łagrach wraz z sowieckimi przestępcami politycznymi. Ich właśnie zwolniono w pierwszym rzędzie.

Kadra oficerska Armii Andersa składała się z dwóch zasadniczych grup. Po pierwsze byli to oficerowie i podchorążowie z obozu w Griazowcu. Po wtóre różni ludzie świeżo zwolnieni z więzień, łagrów oraz posiołków, którzy posiadali stopnie oficerskie w wojsku polskim, lecz przeważnie byli deportowani jako cywile podczas różnego rodzaju „czystek”, przeprowadzanych przez NKWD na świeżo zabranych terytoriach Rzeczypospolitej Polskiej. Niektórzy z nich już nie nadawali się do aktywnej służby wojskowej, lecz nie można ich było odrzucić ze względów humanitarnych, bo była to dla nich jedyna możliwość

przeżycia na tym strasznym wygnaniu. Anders stał wobec ogromnego zadania, aby te dość różnorodne elementy zespolić w zwartą armię, ożywioną jednolitą doktryną taktyczną i organizacyjną.

Natomiast w Kozielsku i Starobielsku były gotowe i zharmonizowane kadry zarówno dla różnego rodzaju jednostek liniowych i służb pomocniczych. W naszym zespole 19-tej dywizji piechoty każdy znał już swoje miejsce, gdyby wypadło nam organizować nowe bataliony i nowe służby pomocnicze. To samo można powiedzieć o szeregu innych oddziałów. Kawalerzyści, z którymi wypadło mi przebywać w Kozielsku na jednej sali, stanowili niezmiernie zwartą grupę do zharmonizowanego działania.

W 1939 roku sowiecka okupacja ogarnęła szereg szpitali, których kadry zostały wzięte do niewoli. W samym Kozielsku było około 300 lekarzy. Te kadry mogły być bardzo szybko uruchomione pod warunkiem dostarczenia niezbędnego ekwipunku, którego można było oczekiwać z Zachodu poprzez Zatokę Perską, Morze Białe lub Daleki Wschód. Szpitale mogłyby być użyteczne nie tylko dla polskich oddziałów, lecz również dla Rosjan. W angielskich formacjach na Środkowym Wschodzie było brak lekarzy i mieliśmy dowody zainteresowania dowództwa brytyjskiego polską rezerwą lekarzy, którzy byli w niewoli rosyjskiej.

Co się więc z tą całą masą oficerów i różnego rodzaju specjalistów, potrzebnych dla współczesnej maszyny wojσκowej mogło stać? Latem 1942 roku, gdy znalazłem się w Kujbyszewie słyszało się, że oni już chyba nie żyją. Dowództwo armii generała Andersa i Ambasada żywiły wciąż nadzieje, że zaginieni oficerowie są gdzie na dalekiej północy Rosji Azjatyckiej, mimo zaprzeczenia władz sowieckich. Przypuszczenie, że ich wymordowano po ośmiu miesiącach względnie przyzwoitego traktowania w Kozielsku i Starobielsku, po prostu nie mieściło się w głowie ani mnie ani moim rozmówcom. Prócz tego było również doświadczenie Griazowca, gdzie traktowanie było podobno jeszcze lepsze, niż w Kozielsku i Starobielsku. Miałem za sobą również własne doświadczenie dwóch lat spędzonych w więzieniach i łagrach sowieckich już po zabraniu mnie spod Katynia. Doświadczenie to chociaż ponure, okazało się jednak mniej straszne niż to sobie mogłem wyobrazić na zasadzie tego co o systemie stalinowskim wiedziałem przed wojną. Wyszedłem z łagrów w kwietniu 1942 roku z przeświadczeniem, że pomimo wszystkich dantejskich scen, których byłem świadkiem, w NKWD jednak istnieje jakieś poszanowanie życia ludzkiego.

Poza tym ciągle miałem w pamięci fakt, że w marcu 1940 roku, przed rozpoczęciem likwidacji obozu Kozielskiego, przeprowadzono akcję zastrzyków ochronnych przeciwko tyfusowi i

cholerze. Robiono to w sposób solidny, bo po pierwszym zastrzyku, wołano po tygodniu na drugi zastrzyk, który rzekomo miał dać dopiero pełną ochronę. Nie miałyby sensu organizowanie akcji zastrzykowej w stosunku do ludzi, których miało się wieść na stracenie? W szczególności wykluczałem, aby egzekucja mogła się odbyć już w kwietniu-maju 1940 roku, tzn. w niespełna miesiąc po otrzymaniu tych zastrzyków, chociaż zastanawiały mnie warunki wzmocnionej ochrony transportu, które obserwowałem poprzez otwór w wagonie więziennym.

Pogłoska więc, że ponad 90 % jeńców zginęło w trakcie transportu na jakieś wyspy na dalekiej północy wydawała się posiadać pewne cechy prawdopodobieństwa. Znaleźli się nawet jacyś świadkowie tej katastrofy, możliwe, że podesłani przez NKWD. Mieli rzekomo widzieć owe odjeżdżające transporty, a potem słyszeli o ich zatonięciu. W tezkach, które Kot mi udostępnił, były nawet zeznania tych świadków. Mój raport, że transporty z Kozielska odchodziły w kierunku zachodnim i, że jeńców wyładowywano wkrótce po minięciu Smoleńska, był w pewnym stopniu w sprzeczności z tą pogłoską o zatonięciu, w każdym razie jeżeli chodzi o obóz Kozielski. Wydawało się rzeczą dziwną, że, pomimo tak silnego nacisku ze strony generała Sikorskiego, Ambasady i Dowództwa Armii Polskiej w Rosji, nikt z dygnitarzy sowieckich nic nie powiedział o tych transportach wczesną wiosną 1940 roku do okolic Smoleńska. Byłem również nieco zdziwiony, że mój raport o wyładowywaniu pod Smoleńskiem został widocznie gdzieś zagrzebany w papierach Ambasady i nie znalazł się wśród dokumentów, które Kot dał mi jako podstawę do referatu.

Nie posiadam odpisu tego referatu. Przypuszczam, że musi on być w jakichś archiwach pozostałych po wojennym rządzie polskim w Londynie, lub po ambasadorze Ciechanowskim w Waszyngtonie. Dziś, po tylu latach, nie mogę oczywiście pamiętać szczegółów tego co tam napisałem, lecz dobrze pamiętam ogólne nastawienie, z którym do swego zadania podszedłem. Przedstawiłem oczywiście istotę i tło całej sprawy oraz historię interwencji Ambasady u władz sowieckich. Byłem jednak bardzo ostrożny w wyciąganiu wniosków. Wyraziłem przypuszczenie, że przeważna część naszych oficerów w niewoli sowieckiej została po prostu wymordowana. Lecz zająłem wobec tych przypuszczeń stanowisko pewnej rezerwy. Zaznaczyłem, że własne doświadczenie obozów, więzień i łagrów sowieckich przemawiało raczej przeciwko takiemu przypuszczeniu, oraz wymieniłem szereg sprzeczności w posiadanych materiałach. Jak można było pogodzić z tym przypuszczeniem fakt istnienia obozu w Griazowcu,

gdzie jeńców traktowano zupełnie przyzwoicie? Dlaczego mieliby mordować jeńców o względnie apolitycznym nastawieniu, wówczas gdy utrzymali przy życiu szereg ludzi o wyraźnie antysowieckiej postawie?

Z drugiej strony trudno sobie było wyobrazić że gdyby gdzieś w oddalonych rejonach tego olbrzymiego kraju nasi oficerowie wciąż żyli, żeby w ciągu roku pomiędzy sierpniem 1941 a wrześniem 1942 żaden z nich nie potrafił znaleźć sposobu skomunikowania się z Ambasadą lub Dowództwem Armii gen. Andersa. Trudno było również pogodzić te szczegółowe, telefoniczne regulowanie z Moskwy w kwietniu 1940 roku odjazdu z Kozielska każdego jeńca indywidualnie (czego byłem osobistym świadkiem) z odmową władz sowieckich w 1941 roku zakomunikowania gen. Sikorskiemu oraz ambasadorowi Kotowi, dokąd ci jeńcy byli wywożeni. Stawaliśmy tutaj wobec tajemnicy, na którą trudno było znaleźć odpowiedź.

Lecz jeżelibyśmy nawet przypuścili, że nasi zaginieni towarzysze broni już nie żyli to samo przez się jeszcze nie oznaczało, że zostali wymordowani z premedytacją. Jeśliby jednak była jakaś żywiołowa katastrofa, która ich pochłonięła — to jaki byłby powód ukrywania tego? Stawaliśmy znowu wobec tajemnicy. Mój referat, chociaż mocno podkreślał wysiłki Ambasady, aby uzyskać jakieś informacje o losie zaginionych oficerów, nie wysuwał żadnych sugestii co do tego, co się naprawdę stało. Nie miałem żadnych wątpliwości, że NKWD posiadało klucz do tej tajemnicy, lecz z jakichś względów nie chciało jej ujawnić. Wyjaśnienie tajemnicy przyszło dopiero osiem miesięcy później w kwietniu 1943 roku, gdy radio berlińskie ogłosiło o wykryciu grobów oficerów polskich w miejscowości Kosogory³, szesnaście kilometrów na zachód od Smoleńska. Byłem wówczas w Jerozolimie jako kierownik Biura Studiów przy Polskim Centrum Informacji na Bliskim Wschodzie. Pewnego dnia przyszedł do tego biura ppłk Krajewski, który prowadził nasłuch radiowy komunikatów niemieckich, i poinformował pracowników Biura o treści komunikatu, którego dopiero co słuchał. Komunikat niemiecki dokładnie się zgadzał z opisem geograficznej pozycji tej miejscowości, do której według mego raportu złożonego w czerwcu

3. Dlaczegoś nazwa tej miejscowości w polskich wydawnictwach jest tłumaczona jako „Kozie Góry”. Jest to błąd. Kosogory oznacza pochyło ścięte pagórki. Miejscowość ta znajduje się niedaleko od toru kolejowego pomiędzy stacjami Gniezdowo a Katyń. Tor tam biegnie po osi wschód-zachód wzdłuż Dniepru. Kosogory są położone w zalesionej okolicy pomiędzy torem a rzeką.

1942 roku gen. Wolikowskiemu, jako szefowi Polskiej Misji Wojskowej w ZSSR, wywożono oficerów Kozielskich.

Różne niezrozumiałe dla mnie okoliczności likwidacji Kozielska — nadzwyczajne środki ostrożności przy formowaniu transportu, brutalne zachowanie się konwoju, szczególne zainteresowanie centralnych władz w Moskwie personalnym składem każdego transportu, a potem, w 1941 roku, odmawianie gen. Sikorskiemu jakichś danych o kierunku tych transportów — wszystko to stało się jasne.

Jasną stała się również rzecz inna. Mianowicie zrozumiałem, że pomimo wszystkiego co w Związku Sowieckim przeżyłem, pomimo dantejskich scen które oglądałem w łagrach, pomimo wszystkiego co czytałem o procesach z lat trzydziestych, wciąż zbyt optymistycznie oceniałem moralną treść państwa sowieckiego i wciąż wierzyłem, że gdzieś na szczytach władzy sowieckiej istniały jakieś resztki poszanowania dla życia ludzkiego i godności ludzkiej i dla pewnych zasad moralnych ogólnie przyjętych w świecie cywilizowanym. Wciąż byłem pod sugestią opowiadań moich współwięźniów w Łubiance, którzy twierdzili, że — po usunięciu Jeżowa oraz przyjsciu Berii — nastąpiło pewne zhumanitaryzowanie sowieckiej polityki bezpieczeństwa. Dlatego też nawet w owym referacie, pisanym we wrześniu 1942 roku w Teheranie, wzdygałem się przed wysunięciem przypuszczenia, że moi koledzy kozielscy zostali rozstrzelani. Natychmiast też ułożyłem depeszę szyfrową do Kota, który stał wówczas na czele Ministerstwa Informacji w Rządzie Polskim w Londynie, zawiadamiając go, że rewelacje niemieckie pozostają w kompletnej zgodzie z meldunkiem, który ja w czerwcu 1942 roku złożyłem Ambasadzie Polskiej w Kujbyszewie co do kierunków transportu oficerów Kozielskich w kwietniu 1940 roku i wylądowywania ich na zachód od Smoleńska. Przypuszczam, że Kot pokazał tę depeszę gen. Sikorskiemu oraz gen. Kukielowi, który był wówczas Ministrem Obrony Narodowej w tym Rządzie. Nie wiem czy miała ona jakiś wpływ na decyzję Rządu Polskiego aby zwrócić się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o zbadanie grobów Katyńskich. Decyzja ta, która miała miejsce w dniu 18 kwietnia 1943 roku, stała się potem powodem do zerwania przez Sowiety stosunków dyplomatycznych pomiędzy Związkiem Sowieckim a rządem gen. Sikorskiego w Londynie.

Rozdział VIII

KATYŃ Z PERSPEKTYWY TRZYDZIESTOLECIA

Wyjaśnione aspekty Katynia

Poprzednie rozdziały nosiły przeważnie charakter sprawozdawczy. Dotyczyły one przede wszystkim tego co osobiście widziałem i przeżyłem oraz tego wątku wydarzeń, które doprowadziły mnie pod Katyń, a stamtąd poprzez Łubiankę, Butyrki oraz łagry do Ambasad polskich w Kujbyszewie i Teheranie. Starałem się dać również charakterystykę szeregu ludzi, których na tym szlaku spotkałem. Teraz patrząc z perspektywy czasu chciałbym pokusić się o próbę analizy całości sprawy Katynia — o którą dane mi było tak blisko się otrzeć. Chciałbym tu wziąć pod uwagę nie tylko własne doświadczenie, lecz również różne rzeczy, o których nie wiedziałem, gdy unosił mnie prąd wydarzeń, lub gdy oddzielały mnie od świata mury więzienne, czy też druty łagrów.

Z całości tych moich doświadczeń oraz materiałów drukowanych które potem przeczytałem, wynika, że są pewne aspekty sprawy katyńskiej, które wydają się jasne. Są również inne, które są wciąż otoczone tajemnicą i będą otoczone dopóki wszystkie archiwa dotyczące okresu panowania Stalina nie zostaną przez Rosję udostępnione historykom. Wydaje się pewne, że zbrodnia ta została dokonana przez organy NKWD, tzn. Sowieckiej policji bezpieczeństwa, że decyzja została powzięta centralnie i, że jej wykonanie było również regulowane z centrum. Nie wydaje się jednak prawdopodobne aby zbrodnia ta obciążała Armię Czerwoną, która tych jeńców wzięła do niewoli, lecz musiała ich potem przekazać w ręce NKWD. Opisany powyżej Putiwl był

właśnie obozem przejściowym, w którym wojsko przekazało nas w ręce NKWD. Kwestią niewyjaśnioną pozostaje pytanie, jak egzekucja katyńska wiąże się z logiką wewnętrzną i zewnętrzną polityki Związku Sowieckiego w owym czasie. Chciałbym nieco obszerniej zastanowić się poniżej zarówno nad tymi aspektami, które wydają się wyjaśnione, jak i tymi, które jeszcze dopuszczają bardzo różną interpretację.

Odpowiedź na pytanie, kto zbrodni katyńskiej dokonał, oparta jest nie tylko na przekonaniu byłych jeńców sowieckich, którym wypadło zetknąć się z różnymi okolicznościami towarzyszącymi zaginięciu w Związku Sowieckim 15 tysięcy ich towarzyszy niedoli, lecz również na sprawozdaniach trzech komisji (niemieckiej, międzynarodowej oraz Polskiego Czerwonego Krzyża), które mogiłę Katyńską zbadały, a także na wynikach obiektywnych studiów, przeprowadzonych w ciągu ostatnich lat przez szereg różnych i nie związanych ze sobą osób: Polaków, Amerykanów, Anglików i Francuzów.

Na pierwszym miejscu należy wymienić pięć tomów materiałów ogłoszonych przez Specjalną Komisję do zbadania Zbrodni Katyńskiej, powołaną we wrześniu 1951 roku przez Kongres Stanów Zjednoczonych. Po przestudiowaniu tych materiałów wszyscy członkowie Komisji (4 demokratów, i 3 republikanów) doszli jednogłośnie do wniosku, że mord został popełniony przez Rosjan. Sentencja ta była ogłoszona w grudniu 1952 roku¹. Ten sam wniosek wynika ze zbioru dokumentacyjnych materiałów wydanego w 1948 roku pod redakcją prof. Zdzisława Stahla *Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów*². Gen. Wł. Anders w przedmowie do tej książki w szczególności podkreśla fakt, że Trybunał Międzynarodowy w Norymberdze, który w 1946 roku sądził zbrodnie niemieckie, nie przyjął wniosku oskarżyciela sowieckiego aby mord katyński zaliczyć do rejestru tych zbrodni. Jeżeli więc Niemcy tej zbrodni nie popełnili, to w takim razie kto może ponosić zań odpowiedzialność? Egzekucje na tę skalę mógł przeprowadzić tylko ktoś, kto politycznie i administracyjnie na tym terenie panował. A obok Niemców na tym terenie w okresie drugiej wojny światowej panowali jedynie Rosjanie.

1. USA House of Representatives. Select Committee on The Katyn forest massacre. *The Katyn Forest Massacre. Hearing before the Select Committee to conduct an Investigation of the Facts, Evidence and Circumstances of the Katyn Forest Massacre.* 82-nd Congress, 1st-2nd Session 1951-52. Washington, US Government printing Office, 1952 — 2362 pp.

2. Wyd. Gryf Londyn, 1948, trzecie wydanie 1962 16 XVI + 300 str. Angielskie wydanie: *The Crime of Katyn Facts and Documents*, Polish Cultural Foundation, London, 1965, XV XVI + 303 pp.

Pierwszym, większym, indywidualnym opracowaniem sprawy katyńskiej jest książka Józefa Mackiewicza wydana w Londynie w 1951 roku z przedmową Arthura Bliss Lane'a byłego Ambasadora Stanów Zjednoczonych przy Rządzie Polski Ludowej³. Bliss Lane był z natury rzeczy bliżej zaznajomiony ze sprawami Europy Wschodniej i bez ogródek wskazuje na tych, kogo uważa za właściwych sprawców mordu, tzn. na Związek Sowiecki. Książka Mackiewicza, obok jej literackich walorów, ma tę zaletę, że została napisana przez człowieka, który był na miejscu zbrodni w okresie ekshumacji zwłok jeńców kozielskich i miał możliwość bezpośredniej, nieskrępowanej rozmowy ze świadkami spośród miejscowej ludności, z których dwóch chłopów rosyjskich, mieszkających w pobliżu miejsca stracenia, zasługuje na szczególną uwagę: Pantemon Kisielew oraz Iwan Kriwożercow.

Kisielew opowiedział o tych egzekucjach robotnikom polskim, zmobilizowanym do organizacji Todta, którzy też postawili krzyż zanim jeszcze Niemcy dowiedzieli się o całej sprawie. Mackiewicz podaje nawet w swojej książce fotografię Kisielewa uchwyconą w momencie gdy rozmawia z członkiem Komisji Międzynarodowej prof. Orsos, który władał językiem rosyjskim. Prof. Orsos był w owym czasie profesorem medycyny sądowej w Uniwersytecie w Budapeszcie. Było to w końcu kwietnia 1943 roku, czyli w czasie, kiedy Węgry nie były jeszcze pod okupacją niemiecką.

Kriwożercow był tym, który na początku 1943 roku pierwszy poinformował władze niemieckie o mogiłach polskich oficerów. Był on młodszy i widoczniej bardziej rozgarnięty niż Kisielew oraz inni miejscowi kołchoźnicy, których władze niemieckie wypytywały o różne szczegóły mordu katyńskiego. Doskonale orientował się co go czeka jeżeli z powrotem dostanie się w ręce sowieckie, toteż, gdy w 1944 roku wojska sowieckie zaczęły zbliżać się do Smoleńska, Kriwożercow zabrał matkę i siostrzenicę, z którymi mieszkał i ruszył na zachód. Na terenie Polski w chaosie niemieckiej ewakuacji i rosyjskiej ofensywy jego matka i siostrzenica gdzieś się zagubiły tak, że już potem nie mógł ich odnaleźć. Sam Kriwożercow natomiast potrafił przejść Niemcy i zgłosił się do okupacyjnych władz amerykańskich, przypuszczając że posiadane przez niego informacje mogą wzbudzić ich zainteresowanie. Oficerowie amerykańscy, z którymi rozmawiał przez tłumaczy, nie mogli jednak skombinować, o co mu chodzi; powzięli więc zamiar odstawienia go do sojuszników rosyjskich, gdzie odpowiednie władze na pewno potrafiłyby ocenić wartość jego

3. Joseph Mackiewicz, *The Katyn Woods Murders*. Holis & Carter, 1951, 251 pp.

rewelacji. Kriwożercow jednak potrafił zbiec spod skrzydeł opiekunów amerykańskich i odnaleźć oddziały polskie, gdzie ściągnięto z niego obszernie zeznanie w sprawie jego katyńskich obserwacji. Zeznanie to zostało włączone do powyżej wspomnianego zbioru materiałów dokumentacyjnych pod redakcją prof. Stahla. Z Niemiec przesłano go do 2-go Korpusu we Włoszech, skąd razem z oddziałami polskimi trafił do jednego z obozów dla uchodźców w Wielkiej Brytanii. Był tam zarejestrowany jako Michał Łoboda⁴. Mackiewicz odnalazł go gdzieś na Zachodzie, odbył z nim dłuższą rozmowę i spisał całą biografię tego chłopca rosyjskiego, którego rodzina była ciężko dotknięta przez kolektywizację.

Ten najważniejszy świadek masakry katyńskiej zakończył życie w bardzo tajemniczych okolicznościach. Już na terenie Anglii kiedy przebywał w obozie dla uchodźców a jednocześnie pracował zarobkowo, zaczęli się koło niego kręcić jacyś Rosjanie, rzekomo byli jeńcy rosyjscy w Niemczech, którym udało się uniknąć reewakuacji do Związku Sowieckiego. Pewnego dnia, w październiku 1947 roku, znaleziono go powieszzonego w jakiejś stodole. Policja brytyjska orzekła, że było to samobójstwo. Mackiewicz napisał na temat tej śmierci kilka artykułów⁵.

Książka Mackiewicza ma charakter świetnego reportażu zrobionego przez rasowego dziennikarza, doskonale wprowadza czytelnika w istotę problemu, zawiera wiele osobistych impresji bezpośredniego świadka odkopywania grobów katyńskich; podkreśla również sprzeczności sowieckiej wersji mordu katyńskiego. Tłumaczona na szereg języków spełniła ona swoje zadanie w tym sensie, że uświadomiła szeregowi ludzi istotę mordu katyńskiego; lecz, jak większość książek o charakterze reportażowym, miała stosunkowo krótki żywot. Książka nie jest zaopatrzona w indeks, nie daje też przeglądu drukowanych źródeł i literatury przedmiotu, co jest standartowym wymogiem jeśli idzie o książki o charakterze naukowym i dokumentacyjnym.

Ścisłe naukowo-badawczy charakter ma natomiast książka J. K. Zawodnego, który w okresie jej wydania był profesorem nauk politycznych w Uniwersytecie w Pensylwanii⁶. Praca ta jest oparta na przestudiowaniu wszystkich dostępnych dokumen-

4. *The Crime of Katyn: Facts & Documents*. London, Polish Cultural Foundation, 1965, pp. 239-240.

5. *Wiadomości* z 20 kwietnia 1958; *Dodatek Tygodniowy Ostatnich Wiadomości*, 12 października 1958.

6. J. K. Zawodny, *Death in the Forest. The story of the Katyn Forest Massacre*, University of Notre Dame Press, 1962, XVI + 235. (Angielskie wydanie przez Mac Millana ukazało się w 1971.)

tów, oraz całej istniejącej wówczas literatury przedmiotu — nie wykluczając oczywiście i tego co zostało ogłoszone przez Rosjan — a także na szeregu rozmów z osobami tak czy inaczej związanymi ze sprawą polskich jeńców wojskowych w Związku Sowieckim. Pierwsze pięć rozdziałów obejmuje przedstawienie faktów. Rozdział VI-ty daje analizę tego materiału faktycznego. W wyniku tej analizy prof. Zawodny odrzuca możliwość oskarżenia Niemców oraz dochodzi do wniosku, że zbrodnia katyńska została dokonana przez sowiecką policję bezpieczeństwa (NKWD), działającą według instrukcji Sowieckiego Rządu Centralnego. W rozdziałach VII-mym i VIII-mym prof. Zawodny zajmuje się rekonstrukcją samego sposobu dokonania masowej egzekucji, a w końcu daje spis osób, co do których istnieją dowody, że tak lub inaczej były związane ze zbrodnią katyńską.

W początku bieżącej dekady duży rozgłos wywołała książka angielskiego autora Louisa Fitz Gibbona *Katyń: a crime without parallel*. Książka ta daje bardzo przejrzyste przedstawienie całej sprawy katyńskiej i zawiera apel o powołanie Międzynarodowego Trybunału który by wydał orzeczenie o tej szczególnie ohydnej zbrodni wojennej, pominiętej w wyrokach Trybunału Norymberskiego. Dokonana przez Fitz Gibbona krytyka orzeczenia Sowieckiej Komisji powołanej na jesieni 1943 roku dla zbadania sprawy Katynia jest absolutnie druzgocąca.

Zawodny i Fitz Gibbon podają również ciekawą wiadomość o znalezieniu w Zachodnich Niemczech wśród różnych papierów należących do archiwów wywiezionych za czasów okupacji niemieckiej z Mińska, raportu Mińskiego NKWD w sprawie przeprowadzenia likwidacji trzech obozów polskich oficerów. Raport wymienia daty wykonania planu jak również nazwy formacji, które stanowiły ochronę tej operacji likwidacyjnej. Data raportu jest 7 czerwca 1940 roku. Fotokopia tego raportu była ogłoszona w tygodniku *7 Tage*, wydawanym w Karlsruhe w Badenii w numerze z dnia 20 lipca 1957 roku. Raport wymienia rejon, gdzie dwa inne (poza Kozielskiem) obozy zostały zlikwidowane: Starobielsk w rejonie Charkowa i Ostaszków w rejonie Wielkich Łuk.

Książka Fitz Gibbona wywołała daleko sięgające echa w prasie i parlamencie, wzmocniane faktem, że jej wydanie zbiegło się z wyświetleniem przez BBC 2, filmu dokumentarnego o Katyniu oraz z angielskim wydaniem książki Zawodnego. W dniu 21-go kwietnia 1971 roku poseł Brytyjskiej Izby Gmin Airey Neave złożył wniosek wzywający Rząd Jej Królewskiej Mości aby zwrócił się do Ogólnego Zgromadzenia Stanów Zjednoczonych o wyznaczenie Komisji dla zbadania sprawy mordu katyńskiego. Pod

wnioskiem tym podpisało się 224 posłów zarówno konserwatyistów jak i laburzystów oraz trzech posłów z Ulsteru.

17 czerwca 1971 w Izbie Lordów — na wniosek lorda Barnby odbyła się na ten temat debata, która trwała ponad dwie godziny i w której zabierało głos kilkunastu mówców. Żaden z mówców nie poddał w wątpliwość winy rosyjskiej, jakkolwiek były wysuwane wątpliwości co do celowości odgrzebywania tej sprawy. W lipcu tego samego roku Kongresmen Roman Puciński podniósł oficjalnie sprawę Katynia wzywając Rząd Stanów Zjednoczonych do wykonania zaleceń Komisji Katyńskiej z 1952 roku aby poruszyć tę sprawę na terenie Narodów Zjednoczonych. Stenogramy debaty w Brytyjskiej Izbie Lordów zostały włączone do publikacji Kongresu Stanów Zjednoczonych. We wrześniu tego roku, analogiczna akcja została podjęta przez Senatora Kane na terenie Senatu Australii.

W tym okresie w prasie brytyjskiej zjawilo się szereg listów, przeważnie solidaryzujących się z podstawą Fitz Gibbona, lecz zgłaszających różne zastrzeżenia. Niektórzy kwestionowali celowość zwracania się w tej sprawie do United Nations. Wywiązała się dyskusja prasowa. P. Felix Aleksiejew korespondent Sowieckiej Agencji „Nowosti” w liście do *The Times'a* głosił, że sprawa Katynia została wyjaśniona przez wyrok Trybunału Norymberskiego. Było to wyraźnie niezgodne z prawdą, gdyż właśnie Trybunał Norymberski, jak to już powyżej było zaznaczone, przyczynił się znacznie do uwydatnienia tajemnicy Katynia przez fakt, że nie przyjął wniosku prokuratora rosyjskiego o zaliczenie mordu katyńskiego do rejestru zbrodni niemieckich.

Dyskusja prasowa wywołana książką Fitz Gibbona dała możliwość wyjaśnienia tego pomiesznia pojęć odnośnie znaczenia Trybunału Norymberskiego, który nie znalazł podstaw do oskarżenia Niemiec o tę zbrodnię. Od czasu tego trybunału nie przybyły żadne elementy, które by pozwoliły obciążyć Niemcy. Natomiast przybyło szereg nowych poszlak, wskazujących na winę rosyjską.

Wzrost zainteresowania sprawą Katynia w trzydziestolecie tej zbrodni, był prawdopodobnie powodem tego, że Foreign Office zdecydował się na opublikowanie niektórych dokumentów ze swoich archiwów w tej sprawie. Są to dwa raporty Sir Owen O'Malley, brytyjskiego ambasadora przy Rządzie polskim w okresie wojny. Jeden raport datowany 25 maja 1943, zawiera 24 punkty; drugi z dnia 11 lutego 1944 roku adresowany do Antoniego Edena, który był wówczas brytyjskim ministrem Spraw Zagranicznych, zawiera 12 punktów. W obydwóch raportach O'Malley dochodzi do wniosku, że zebrane przez niego materiały wskazują na winę rosyjską.

Raporty te obudziły we mnie osobiste wspomnienia, gdyż w 1944 roku miałem z Ambasadorem O'Malley dłuższą rozmowę na temat Katynia. Spotkanie to odbyło się w mieszkaniu dziennikarki brytyjskiej p. Army Dargenfield. Oprócz nas dwóch oraz gospodyni, był obecny Rowmund Piłsudski. W tym okresie między Polakami zbliżonymi do Rządu londyńskiego kursowała pogłoska, że Ambasadorem O'Malley przygotowuje jakiś raport na specjalne polecenie króla Jerzego VI, który podobno był sprawą Katynia osobiście bardzo przejęty. Podczas tej rozmowy, byłem uderzony świetną orientacją amb. O'Malley'go. Nie miałem nic do dodania, czego by on nie wiedział. Odniosłem wrażenie, że zadając mi różne pytania, chciał on po prostu sprawdzić różne moje wiadomości i swoje wnioski.

Do pierwszego z tych raportów z maja 1943 roku dołączone zostały komentarze pisane przez szereg wyższych urzędników Foreign Office'u w miarę tego jak raport ten był przekazywany wzwyż po szczeblach brytyjskiej służby zagranicznej — do Sir Alexandra Cadogana który jako podsekretarz Stanu, był najwyższym urzędnikiem w Foreign Office. We wszystkich tych komentarzach, formułowanych na użytek wewnętrzny, uderza rozterka pomiędzy pojęciami moralnymi *gentlemen'a* a koniecznością pokrywania okrucieństw i zbrodni sowieckich, wynikającą z politycznej i wojskowej sytuacji w owym momencie. Sir Owen O'Malley w końcowych punktach swego raportu pisze o zaciemnieniu perspektyw na przyszłość (*darkened vision*) wynikającym ze sprawy katyńskiej. Ten ton moralny przebija się przez wszystkie komentarze. Jest to jakby odsłonięcie rąbka zasłony pokrywającej poufne dyskusje Brytyjskiego Foreign Office'u. Ten wzgląd na argumenty natury moralnej jest w pewnym kontraście w stosunku do tego, co tyle razy w życiu słyszałem o chłodnej bezwzględności brytyjskiej racji stanu. Odbija to również dodatnio od tego, co wiemy o cynizmie Roosevelta lub ordynarności argumentacji Nixona w poufnych rozmowach z jego najbliższymi współpracownikami, ujawnionych ostatnio w toku śledztwa w sprawie Watergate.

Z drugiej strony te raporty ujawniają, że Rząd brytyjski wiedział prawdę o Katyniu już na początku 1943 roku. Książka Zawodnego wykazuje, że wywiad amerykański, a więc również Roosevelt, mieli także dostatecznie dużo materiałów, aby sprawę sprawców mordu katyńskiego — uważać za wyjaśnioną, to znaczy, że w okresie Konferencji Teherańskiej, jak i późniejszej Konferencji Jałtańskiej, oba wielkie mocarstwa anglosaskie wiedziały dobrze komu oddały połowę Europy. To właśnie były owe zaciemnione horyzonty, o których wiosną roku 1943 w swoim

raporcie uprzedzał Sir Owen O'Malley. Nie jest wykluczone, że w owym czasie ujawnienie prawdy o Katyniu mogłoby spowodować kryzys w stosunkach międzyalianckich, lecz na pewno nie odwróciłoby ostatecznej klęski Hitlera. Mogłoby natomiast przyspieszyć konsolidację sił antytotalitarnych po obydwóch stronach frontu.

W 1972 roku Louis Fitz Gibbon wydał swoją drugą książkę o Katyniu⁷, w której zebrał przeważną część odgłosów o swojej pierwszej książce, a również przytoczył pewne fakty dotyczące tragedii katyńskiej, które wypłynęły w międzyczasie. Między innymi pisze on o rewelacjach Abrama Widry, Żyda polskiego, zamieszkałego w Haifie, który przeszedł przez łagry sowieckie a potem potrafił wydostać się do Izraela, gdzie ogłosił w prasie hebrajskiej rewelacje, dotyczące jego rozmów z oficerami sowieckimi, którzy brali udział w masowej egzekucji oficerów polskich, a potem stali się jego towarzyszami niedoli w łagrach. Według tych opowiadań były wypadki nerwowego załamania się, a nawet samobójstw, wśród żołnierzy wyznaczonych przez władze sowieckie do egzekucji⁸. Gotów jestem temu uwierzyć, gdy sobie przypomnę z jakim przejęciem moi konwojenci, którzy eskortowali mnie ze Smoleńska do Moskwy, szeptali coś sobie o losach polskich oficerów. Ten incydent opisuję powyżej. Nie wszyscy, którym rozkazano być katami, są brutalami z natury. W niektórych ludziach tkwi instynktowny pociąg do okrucieństw, lecz u większości jest również wrodzone poczucie poszanowania życia ludzkiego. Systematyczne naruszanie tego uczucia, szczególnie gdy egzekucję przeprowadza się na skalę Katynia, prowadzić może do załamania się psychicznego. Kilkudniowe przerwy w transportach z Kozielska do Katynia prawdopodobnie tym się tłumaczy, że władze NKWD uważały za wskazane dawać od czasu do czasu zespołom katów pewnego rodzaju psychiczny odpoczynek. Latem 1972 roku oglądałem wystąpienie Widry w telewizji niemieckiej. Nie wszystko zrozumiałem co mówił on po hebrajsku, co następnie tłumaczono na niemiecki. Pełny tekst jest prawdopodobnie do otrzymania w archiwach telewizji niemieckiej w Wiesbaden.

Rewelacja Widry wywołała najbardziej niespodziany oddźwięk, mianowicie, według *Deutsche Nationale Zeitung* z dn. 31 lipca 1971 roku Dr Mosze Sneh przewodniczący komunistycznej partii Izraela miał oświadczyć, że na początku wojny — jako polski

7. Louis Fitz Gibbon, *The Katyn Cover-Up*, Tom Stacey, London, 1972, XVII, 5, 185 pp.

8. *Ibid.*, p. 42-4, 46, 134.

oficer rezerwy był wzięty do niewoli rosyjskiej. Udało mu się jednak uniknąć masakry, gdyż potrafił w 1939 roku zbiec z transportu do obozu jeńców⁹. Ta rewelacja znowu obudziła we mnie szereg wspomnień osobistych. Mosze Sneh poznałem w 1943 roku w ówczesnej Palestynie pod mandatem brytyjskim i odbyłem z nim kilka dłuższych rozmów. W Polsce nazywał się on Kleinbaum, z zawodu był lekarzem, odgrywał dużą rolę w ruchu syjonistycznym. W owym czasie, gdy go poznałem, był najmłodszym członkiem egzekutywy syjonistycznej, wiedziałem również, że był jednym z przywódców częściowo zakonspirowanego żydowskiego ruchu wojskowego (Hagana). W rozmowach ze mną opowiadał mi, że wieziono go do Starobielska. Nie podawał nigdy w wątpliwość, że zbrodnia katyńska została dokonana przez Rosjan, lecz jednocześnie mówił sporo o tym, że w jego rozumieniu główna rezerwa żydowskiej imigracji do przyszłego państwa Izraela (które wówczas jeszcze nie istniało) jest w Rosji. Gdy więc bezpośrednio po wojnie dowiedziałem się, że Kleinbaum przeszedł do komunistów, logika tej jego wolty politycznej stała się dla mnie zrozumiałą. Prawdopodobnie spodziewał się, że tą drogą uda się mu przyczynić do przełamania przeszkód dla emigracji Żydów z Rosji do Palestyny. Zresztą pomoc, którą bezpośrednio po wojnie antyangielskie podziemie żydowskie otrzymywało z Rosji via Czechosłowacja, zdawała się dawać pełne uzasadnienie tej nadziei. Nie mam tekstu oświadczenia Sneh — podanego przez prasę niemiecką, lecz, znając człowieka, łatwo mogę sobie wyobrazić jego reakcję na rewelację Widry, tym bardziej, że było to niedługo przed jego śmiercią; jako lekarz Sneh prawdopodobnie już wiedział, że był niedaleko kresu. Umarł w 1973 roku. Wspólni znajomi opowiadali mi o jego pogrzebie.

Tadeusz Wittlin dokonał wartościowego dzieła przez napisanie szeregu szkiców literackich na temat różnych wydarzeń związanych z tragedią katyńską¹⁰.

Wittlin sam przeszedł przez Rosję i był w armii którą w roku 1941-42 gen. Anders tworzył w rosyjskiej Centralnej Azji, ma więc wycucie atmosfery w której się rozegrał dramat katyński i tego niepokoju który ogarnął szeregi tej armii gdy poszukiwano około 15.000 zaginionych oficerów i podoficerów o losie których władze sowieckie odmawiały wszelkich informacji. Całość nosi dość dziwny na pierwszy rzut oka tytuł *Time stopped at 6.30*.

9. *Ibid.*, p. 46.

10. Thaddeus Wittlin, *Time Stopped at 6.30*. The Bobbs Merrill Co., N.Y., 1965, 317 pp.

Tytuł ten został wzięty z jednej z najbardziej wzruszających relikwii katyńskich: dziennika mjr. Solskiego. Jest to godzina w której w dniu 9 kwietnia 1940 roku mjr Solski poczynił ostatni zapis w swoim dzienniku. Było to już po wjeździe na teren lasu katyńskiego, gdzie zrobiono jeszcze jedną rewizję, odbierając zegarki, pierścionki ślubne i inne wartościowe rzeczy, natomiast nie ruszając różnych papierów i rękopisów, które jeńcy mogli mieć przy sobie. Wówczas mjr Solski zdążył jeszcze zapisać, że na jego zegarku w chwili gdy mu go odbierano była 6.30 po południu. Sama egzekucja, poprzedzona związaniem rąk drutami, nastąpiła prawdopodobnie kilkanaście minut potem. Dla mjr Solskiego stanął czas. Wyjątki jego dziennika zostały umieszczone również w protokołach Komisji Kongresu Stanów Zjednoczonych. O mjr. Solskim wspominam zawsze z dużym wzruszeniem. Spotykałem się z nim nieraz zarówno w Putiwlu jak i w Kozielsku. W kampanii wrzesniowej należał on, o ile z tych rozmów mogłem wywnioskować, do sztabu gen. Dąb-Biernackiego¹¹.

Z mjr. Solskim byłem więziony w okolicach Putiwła — w małym domku, w jakimś kołchozie uprawiającym buraki cukrowe. Zrobił na mnie wrażenie człowieka o dużym napięciu ideowym. Błada twarz o raczej ostrych rysach i jakiś płomień w oczach. Nie pamiętam jakiego był wzrostu, bo stale leżał na górnej pryczy, bez butów, które miał u wezgiłowia, lecz w ciepłych, wełnianych skarpetkach. Zapytałem go co tak ciągle pisze — odpowiedział, że dziennik. Wymieniłem pewną wątpliwość czy ten wysiłek jest celowy, bo trudno przypuścić, aby taki manuskrypt dało się wywieźć poza granice Związku Sowieckiego. Trudno wówczas było sobie wyobrazić, że wyjątki z tego co mjr Solski pisał, zostaną wydrukowane kiedyś w oficjalnych publikacjach Kongresu Stanów Zjednoczonych. Dziś ze wstydem myślę, że te moje ówczesne uwagi o zapędach pamiętnikarskich mjr. Solskiego były odbiciem pewnej postawy rezygnacji wobec ogromu katastrofy, która na nas spadła. Mjr Solski jednak nie rezygnował z walki; nie mogąc brać udziału w działaniach zbrojnych, prowadził ją przez pisanie swego dziennika i dzięki niezbadanym zrządzonom Opatrzności — ten dziennik stał się jednym z dokumentów Historii.

Mjr Solski nie był zresztą jedynym oficerem, który w niewoli pisał dziennik. Był jednak jedynym, który doprowadził swoje

11. Przy sekcji zwłok znaleziono dowody, że służył w 75 p.p. Widocznie przydzielono go do sztabu gen. Dąb-Biernackiego z chwilą mobilizacji. (Adam Moszyński, *Lista Katyńska*, Gryf, Londyn, 1949, str. 158).

zapisy, aż do chwili wyładowania w lesie katyńskim i do ostatniej rewizji — celem odebrania rzeczy wartościowych. To odbieranie rzeczy wartościowych jeszcze za życia ofiar było o tyle zrozumiałe, że egzekucja odbywała się prawdopodobnie na skraju mogiły i bezpośrednio po morderstwie ciało spadało automatycznie do rowu. Dziennik znaleziono również przy zwłokach porucznika Wacława Kruka. Wittlin podaje, że ppor. Henryk Bruno Kuminek, dziennikarz z Bydgoszczy oraz kpt. Alfred Wilecki, również dziennikarz, który był redaktorem Polskiej Agencji Prasowej — również prowadzili dzienniki. Por. rezerwy Kruk, nauczyciel z zawodu, doprowadził swoje zapiski aż do wyładowywania na stacji Gniezdowo. Wyjątki z jego dziennika — znalazły się również w protokołach Komisji Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Wittlin jako przedstawiciel prasy był obecny w Waszyngtonie na posiedzeniu Komisji Kongresu Stanów Zjednoczonych, która badała zbrodnię katyńską. Szczególne wrażenie zostawiły na nim zeznania płk. Van Vlieta zawodowego oficera amerykańskiego. Wittlin poświęca sprawie Van Vlieta dwa szkice. Płk Van Vliet trafił do niewoli niemieckiej w czasie amerykańskiej inwazji północnej Afryki. W 1943 roku Niemcy nie pytając go o zgodę, zawieźli go pod Smoleńsk dla obejrzenia grobów katyńskich. Czując antypatię do Niemców — nie był skłonny im wierzyć. Niemcy twierdzili, że mord został dokonany wczesną wiosną 1940 roku przez Rosjan.

Rosyjska teza głosiła, że mordu dokonali Niemcy bezpośrednio po zajęciu tych terenów w lecie 1941 roku i, że w międzyczasie, od kwietnia 1940 do sierpnia 1941, oficerowie polscy pracowali w okolicach Smoleńska przy budowie dróg. Płk Van Vliet, jako doświadczony oficer piechoty, przede wszystkim patrzył na stan butów wydobywanych zwłok, chociaż wówczas mógł nie znać jeszcze tezy rosyjskiej. Stan butów był bardzo dobry. Gdyby po wzięciu do niewoli w 1939 oficerowie musieliby jeszcze przez piętnaście miesięcy wśród jesiennego błota i wiosennych roztopów pracować przy budowie dróg, stan ich obuwia byłby zupełnie rozpaczliwy. To znaczy, że teza rosyjska była kłamstwem. Dopóki płk Van Vliet był w niewoli nie mówił o tych swoich wnioskach aby uniknąć solidaryzowania się z Niemcami. Z chwilą jednak gdy dostał się na tereny okupowane przez Amerykanów, natychmiast zameldował się u odpowiednich władz wywiadu Stanów Zjednoczonych, żeby opowiedzieć o swoich doświadczeniach w sprawie katyńskiej. W rezultacie skierowano go do Zastępcy Szefa Sztabu gen. Bissela, który kazał mu złożyć ściśle tajny raport o jego wnioskach z oglądania zwłok pomor-

dowanych oficerów polskich, a potem wydał mu ostry zakaz prowadzenia jakichkolwiek rozmów, w służbie czy też poza służbą w sprawie mordu katyńskiego. Płk Van Vliet nie był jedynym amerykańskim oficerem posiadającym specjalne informacje w sprawie katyńskiej, któremu wyższe władze zasznuowały usta. W podobnej sytuacji był George H. Earl, specjalny emisariusz prezydenta Roosevelta do spraw bałkańskich, który podczas swojej misji zdobył różne informacje dotyczące mordu katyńskiego. Roosevelt zabronił mu udzielania tych informacji komukolwiekbądź, a gdy on w poczuciu moralnej odpowiedzialności uznał, że nie wolno mu nadal milczeć, dostał rozkaz udania się jako oficer marynarki na wyspy Samoa na południowym Pacyfiku, skąd mógł powrócić do Stanów Zjednoczonych dopiero po śmierci Roosevelta. Płk Henry J. Szymański, oficer amerykański polskiego pochodzenia, który był przydzielony do dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie jako oficer łącznikowy i który meldował swoim przełożonym o różnych materiałach w sprawie katyńskiej, został za te meldunki surowo skarcony¹². Sprawy te wyszły na jaw podczas dochodzeń Specjalnej Komisji Kongresu i są opublikowane w sprawozdaniach tej Komisji.

Szkice Wittlina nie wnoszą nowych faktów, nieznanych dotychczasowym badaczom sprawy katyńskiej lecz przez nastawienie reflektorów literackich — uwydatniają szereg aspektów tej sprawy. Wittlin w tych szkicach, opartych o gruntowne przestudiowanie materiałów których bibliografia jest podana w końcu książki, usiłuje sięgnąć nieco głębiej i przeniknąć psychologię aktorów dramatu katyńskiego. W moim rozumieniu książka Wittlina może stanowić doskonałą podstawę do scenariusza filmowego.

Wszystkie przytoczone opracowania podają również treść i analizę orzeczenia Sowieckiej Komisji dotyczące wyjaśnienia okoliczności mordu katyńskiego. Komisja ta została powołana bezpośrednio po odebraniu tych terenów Niemcom, jesienią 1943 roku. Było z góry przyjęte, że mordu dokonały Niemcy. W kompetencji Komisji należało jedynie ustalenie bliższych szczegółów. Przewodniczącym został wyznaczony członek Sowieckiej Akademii Nauk Dr Burdenko, osobisty lekarz Stalina. Poza nim członkami Komisji byli Metropolita Mikołaj, Aleksiej Tołstoj, znany pisarz arystokratycznego pochodzenia, który cieszył się specjalnymi łaskami Stalina i jeszcze kilku wyższych funkcjonariuszy sowieckich. Żaden polski komunista nie został zaproszony do

12. Zawodny, *Ibid.*, Rozdz. IX.

członkostwa tej Komisji, chociaż w tym czasie działał w Rosji Komitet na czele z Wandą Wasilewską i tworzyły się oddziały Berlinga.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa funkcja Komisji polegała jedynie na podpisaniu komunikatu spreperowanego w NKWD. Pełny tekst tego komunikatu jest zamieszczony w *Zbrodni Katyńskiej*. Jest to dokument pełen sprzeczności, których wyczerpująca analiza zabrałaby zbyt wiele czasu. Ograniczam się więc jedynie do kilku najważniejszych punktów. Rosyjska teza głosi, że oficerowie Polscy w 1940-1941 roku byli w jakichś obozach pod Smoleńskiem i zostali w czasie niemieckiej ofensywy w lipcu 1940 roku ogarnięci przez wojska niemieckie, które przeprowadziły masową egzekucję. Powstaje pytanie dlaczego w 1941-42 roku władze sowieckie nie zawiadomiły o tym gen. Sikorskiego, gen. Andersa, ambasadora Kota i rotmistrza Czapskiego, gdy ci natarczywie dopytywali się o losy oficerów więzionych w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie.

Po wtóre komunikat sowiecki głosi, że w 1942-43 Niemcy postanowili wykorzystać mogiłę katyńską dla propagandy anty-sowieckiej. Ekshumowali więc 11.000 trupów, wyjęli z kieszeni mundurów wszystkie dokumenty datowane po maju 1940, pogrzebali na nowo i wówczas ogłosili o znalezieniu grobów polskich oficerów, pomordowanych wczesną wiosną 1940 roku. Podobno do tej ekshumacji i nowego pogrzebania użyto około 500 jeńców sowieckich, których po tym rozstrzelano. Gdyby Niemcy istotnie zdecydowali się na taką skomplikowaną i kłopotliwą operację, jak wydobycie 11.000 trupów i przeszukanie ich kieszeni, byłoby rzeczą całkiem nieprawdopodobną, żeby wywiad Armii Krajowej o tym się nie dowiedział za pośrednictwem polskich robotników pracujących w okolicach Smoleńska w organizacji Todta, którzy właściwie przez kontakt z miejscową ludnością te groby wykryli.

Po trzecie: Gdyby do tej operacji użyto jeńców sowieckich a potem ich rozstrzelano, to mogiła ich musiałaby być gdzieś w pobliżu, a takiej mogiły nie znaleziono.

Po czwarte: Komisja Polskiego Czerwonego Krzyża stwierdziła, że w mogiłe katyńskiej było nie 11.000 zwłok, lecz co najwyżej 4.500 oraz, że byli to wyłącznie jeńcy, którzy przeszli przez obóz kozielski. Liczbę 11.000 ogłosili Niemcy w swoim pierwszym komunikacie przed rozpoczęciem bardziej szczegółowych badań. Dlaczego sprawozdanie komisji sowieckiej trwa przy tym pierwotnym błędzie niemieckim? Odpowiedź wydaje się jasna. Liczba ta zawiera w pewnym stopniu odpowiedź na

pytanie co się stało z więźniami Starobielska i Ostaszkowa, podczas gdy ogłoszone listy zwłok wyjaśniają jedynie losy obozu kozielskiego. Sprawozdanie Komisji jest tak skonstruowane, aby przekreślić wszelkie dalsze usiłowania wyjaśnienia tajemnicy Starobielska i Ostaszkowa.

Po piąte: Sowiecka Komisja badawcza nie wyjaśnia wcale dlaczego obuwie i mundury były w tak dobrym stanie, pomimo dłuższego okresu rzekomych robót drogowych. Komisja nie wyjaśnia również dlaczego do tych rzekomych robót drogowych skierowano inwalidów jak np. emerytowanych generałów: Minikiewicza i Bohaterewicza, których po okupacji wschodnich ziem Polski — władze sowieckie zabrały z ich mieszkań, wówczas gdy w Kozielsku a potem w Griazowcu, traktowano oficerów na ogół zgodnie z przepisami Konwencji Genewskiej i oficerów nie wypędzano do roboty. Jest rzeczą charakterystyczną, że komunikat Komisji sowieckiej mówi o obozach N1-ON, N2-ON oraz N3-ON, unikając ściślejszego wymienienia geograficznej lokacji tych obozów. Nasuwa to wątpliwość czy w ogóle te obozy istniały.

Po szóste: Sprawozdanie sowieckiej Komisji, która określa okres egzekucji katyńskiej na lipiec-sierpień 1941 roku, nie tłumaczy dlaczego oględziny zwłok wskazują na to, że mord musiał być dokonany w sezonie kiedy przeważa raczej chłodna pogoda. Oficerowie byli w płaszczach, wielu z nich miało na sobie ciepłą bieliznę. Lipiec-sierpień w kontynentalnym klimacie Rosji to okres wielkich upałów, tymczasem w mogile katyńskiej nie znaleziono wcale owadów, które stanowią charakterystykę tego okresu. Natomiast kwiecień jest miesiącem raczej chłodnym. Dzień 30 kwietnia 1940 roku, kiedy mnie przywieziono pod Katyń, był słoneczny i raczej ciepły, lecz na polach jeszcze leżał śnieg. Nic więc dziwnego, że zarówno jeńcy jak i żołnierze NKWD mieli płaszcze na sobie. Komisja Polskiego Czerwonego Krzyża wykryła, że był jednak jeden, stosunkowo niewielki, grób, gdzie pomordowani oficerowie byli bez płaszczy a jedynie w mundurach. Byli to prawdopodobnie ci, którzy gdy opuszczali Kozielsk w dniu 29 kwietnia 1940 roku pozostali jeszcze w obozie, a których egzekucja odbyła się kilka tygodni potem — w maju, kiedy wiosna była już w pełnym rozkwicie¹³.

Po siódme: Sowiecka Komisja nie przedstawiła przekonujących dowodów, aby przy zwłokach znaleziono jakieś papiery

13. Relacja dr. Mariana Wodzińskiego, *Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów*, str. 157-188.

pochodzące z okresu po maju 1940 roku. W Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie jak również potem w Griazowcu — korespondencja z rodzinami była dozwolona. Fakt, że korespondencja z osobami, które później znalazły się na liście katyńskiej, przewała się wiosną 1940 roku wywołał wśród ich rodzin w Kraju duże zaniepokojenie. Fakt ten, zarówno jak i fakt że ani niemiecka ani międzynarodowa, ani polska (P.C.K.) Komisja nie natrafiły przy zwłokach na żadne dokumenty z późniejszą datą, stanowią wskazówkę, że egzekucja musiała być dokonana jeszcze przed latem 1940 roku. Sowiecka Komisja oświadczyła, że jest w posiadaniu dziewięciu dokumentów datowanych po maju 1940 roku, w tym trzech listów. Józef Mackiewicz przeanalizował te listy i stwierdził, że w dwóch wypadkach były to listy, które nadeszły po egzekucji i nie mogły być doręczone adresatom. W trzecim wypadku chodziło o oficera, który w ogóle w Katyniu nie był. Był to list Stanisława Kuczyńskiego do Ireny Kuczyńskiej, datowany 20 czerwca 1941 roku. Stanisława Kuczyńskiego jednak nie ma pomiędzy zidentyfikowanymi zwłokami z mogił katyńskich. Prawdopodobnie chodziło o rotmistrza Stanisława Kuczyńskiego, który był w Starobielsku i został stamtąd wywieziony jeszcze przed rozpoczęciem likwidacji tamtego obozu. Jest możliwe, że w czerwcu 1941 roku istotnie żył on jeszcze w jakimś więzieniu czy obozie sowieckim. Możliwe, że usiłował wysłać list do żony, który został zatrzymany przez cenzurę. Nie ma jednak żadnych wskazówek na to, że rtm. Kuczyński został dołączony do jeńców kozielskich, których pomordowano pod Katyniem¹⁴. W mogile katyńskiej znaleziono natomiast zwłoki por. Stefana Kuczyńskiego, przy którym znaleziono list od żony Danuty Kuczyńskiej. Jest więc jasne, że chodzi tu o dwie całkiem różne osoby. W dwóch wypadkach dokumenty te miały postać kwitów wystawionych przez organizację sowiecką, która skupowała od jeńców rzeczy wartościowe lub pośredniczyła w sprzedaży tych rzeczy. Kwity pochodziły z grudnia 1939 roku, lecz na odwrotnej stronie były pieczętki owej organizacji, że sprzedaż komisyjna została dokonana w marcu 1941 roku. Łatwo sobie wyobrazić, że już po wydobyciu tych kwitów z kieszeni ofiar, organizacja ta, która była zresztą jednym z organów NKWD, mogła z łatwością przyłożyć pieczętki z pożądaną datą. Członkowie Komisji mogli nawet o tym nie wiedzieć. A gdyby nawet ktoś z nich miał jakieś wątpliwości, to — jak każdy kto znał Rosję stalinowską doskonale rozumie — nie mógł poddać w wątpliwość materiałów przedstawianych przez NKWD. Zresztą nie

14. Józef Mackiewicz, *Ibid.*, str. 214-216.

miałoby to celu, gdyż do kompetencji Komisji nie należało badanie kto był sprawcą zbrodni, tylko jak ta zbrodnia przez faszystowsko-niemieckich najeźdźców została dokonana. W trzech innych wypadkach były to również kwity z jakichś drobnych wypląt. Kwity te również mogły być z łatwością wyprodukowane w odpowiednich laboratoriach i dołączone do eksponatów znalezionych w mogile katyńskiej. Dziewiąty dokument wymieniony w sprawozdaniu Komisji sowieckiej polegał na obrazku Pana Jezusa, na którym odręcznie została dopisana data 4 kwietnia 1941. Oczywiście, że data ta mogła być dopisana już po wydobyciu obrazka z mogiły. Cała ta sprawa z dokumentami rzekomo wydobytymi przez władze sowieckie z mogiły katyńskiej jest bardzo grubymi niemi szyta.

Po ósme: Komunikat sowiecki nie wyjaśnia wcale dlaczego rany kłute znalezione na niektórych zwłokach były zadane czterograniastym bagnetem typu rosyjskiego, a nie bagnetem niemieckim, który ma raczej kształt noża¹⁵.

Po dziewiąte: Komunikat sowiecki nie tłumaczy dlaczego wiek drzewek zasadzonych na mogile liczył — według ekspertyzy członków Komisji P.C.K. — trzy lata (tzn. wiosna 1940 - wiosna 1943).

Po dziesiąte: Istnieje świadectwo, że dr Mikołaj Burdenko, przewodniczący Komisji sowieckiej mówił swoim osobistym przyjaciołom w roku 1946, niedługo przed swoją śmiercią, że przewodnictwo tej komisji objął na osobisty rozkaz Stalina i podpisał komunikat pod presją, dodając przy tym, że jest przekonany, iż „na terenie Rosji jest szereg podobnych Katyni”. Według jego opinii ciała pozostawały w mogile około 4 lat, tzn. że mord został dokonany w 1940 roku. Sprawozdanie z tej rozmowy z dr. Burdenko zostało podane w liście b. profesora Uniwersytetu w Woroneżu B. Olszańskiego do redakcji miesięcznika *Socialistycznej Wiestnik* wydawanego przez rosyjskich mienszewików w New Yorku. Pismo to założone przez Abramowicza, dawnego przyjaciela Lenina, wychodziło na emigracji przez kilkadziesiąt lat i było starannie czytane przez wszystkich, kto studiował sprawy sowieckie, gdyż zawierało zwykle bardzo obfite informacje o kulisach polityki sowieckiej. List ten ukazał się w numerze z czerwca 1950 roku. W kilka miesięcy po tej rozmowie, która miała miejsce w 1946 roku, dr Burdenko umarł; profesor Olszański zaś, który był delegowany do Wschodnich Niemiec, zdołał

15. Orzeczenie prof. dr. Gerharda Buhtza, *Zbrodnia Katyńska w świetle tle dokumentów*, str. 110-112.

przedostać się na Zachód. Prof. Olszański zeznawał również przed Komisją Kongresu Stanów Zjednoczonych¹⁶.

Każdy kto zada sobie trud przestudiowania dokumentów oraz ważniejszych opracowań sprawy katyńskiej staje wobec takiego nagromadzenia poszlak, że wszelkie wątpliwości co do winy strony sowieckiej muszą odpaść. Taka też jest opinia wybitnych sowietologów zachodnich.

Ronald Hingley, fellow of Saint Antony College w Oxfordzie w swojej książce o dziejach tajnej policji w Rosji pisze, że odpowiedzialność NKWD za dokonanie mordu katyńskiego, została ustalona bez cienia wątpliwości¹⁷.

W tym samym duchu wypowiadają się Adam Bruno Ulam profesor Uniwersytetu w Harvardzie i autor szeregu dzieł analizujących najnowsze dzieje Związku Sowieckiego¹⁸; Robert Conquest znany angielski sowietolog¹⁹ oraz Henri de Montfort, profesor Instytutu des Hautes Etudes Internationales w książce wydanej w 1966 roku *Le Massacre de Katyń: crime Russe ou crime allemand*²⁰. Toż samo twierdzi bardzo stanowczo w szeregu artykułów w amerykańskiej i szwajcarskiej prasie Julius Epstein z Hoover Institution on War, Revolution and Peace przynależnej do Stanford University w Kalifornii. Dr Epstein swego czasu przyczynił się znacznie do spowodowania decyzji Kongresu Stanów Zjednoczonych utworzenia Komisji która zajęłaby się sprawą Katynia. W kwietniu 1974 roku zamieścił on artykuł w *Die Welt*²¹, w którym podaje wiadomość (która jednak wymaga sprawdzenia), że egzekucja katyńska została rzekomo sfilmowana przez NKWD dla jakichś nieznanych bliżej celów oraz że ten film w jakiś niezbadany dotąd sposób znalazł się w posiadaniu komunistów chińskich; w różnych okresach czasu chińskie ambasady w Paryżu, Londynie i Warszawie były w posiadaniu tego filmu.

Sołżenicyn twierdzi, że niektóre szczegóły zastosowanej w Katyniu techniki masowej egzekucji, na przykład związywanie rąk drutem, zostały ustalone jeszcze za czasów Dzierżyńskiego²².

16. Zawodny, *Ibid.*, str. 157-8.

17. Ronald Hingley, *The Russian Secret Police*, Hutchinson of London, 1970, p. 186.

18. A. B. Ulam, *Expansion and Coexistence*, Praeger Publishers, 1974, pp. 343-344.

19. Robert Conquest, *The Great Terror*, Penguin Books, 1971, pp. 643-645.

20. Henri de Montfort, *Le Massacre de Katyń: crime Russe ou crime allemand*, Edition de la Table Ronde, 1966.

21. *Die Welt*, 1 kwietnia 1974, Julius Epstein „Zur Wahrheit Über Katyn”.

22. *Survey*, 1974, „The Autumn Issue”, p. 153.

Swietłana Allilujewa, ukochana córka Stalina, pisze, że od czasu mordu katyńskiego Stalin podczas słuchania opery Iwan Susanin zwykle wstawał i opuszczał salę, gdy dochodziło do sceny morderstwa w lesie. Allilujewa zdaje się wierzyć, że jej ojciec odczuwał wyrzuty sumienia z powodu Katynia jak niegdyś podobno Iwan Groźny dostawał ataków nerwowych, gdy przypominał sobie poszczególne ofiary wybuchów swojej pasji morderczej.

Rozdział IX

DIALEKTYKA KATYNIA

Wyjaśnienie, że mord katyński został dokonany przez NKWD na rozkaz sowieckich władz centralnych, odsłania tylko część tajemnicy katyńskiej. Aby ocenić sens historyczny tej tragedii należy odpowiedzieć na pytanie *dlaczego* została powzięta decyzja fizycznej likwidacji polskich jeńców w stopniach oficerskich. Pytanie to dręczy również Zawodnego który wysuwa kilka hipotez.

Na pierwszy rzut oka odpowiedź może wydawać się prosta. Constantine Fitz Gibbon w przedmowie do książki swego brata na temat Katynia pisze że morderstwo to było częścią akcji niszczenia warstw przywódczych narodu polskiego. W Rosji Stalin niszczył fizycznie tych wszystkich którzy wydawało się że przedstawiali jakieś potencjalne niebezpieczeństwo dla jego władzy. Dlatego w latach 1937-38 doszło do wymordowania szeregu wybitnych komunistów, dawnych przyjaciół i współpracowników Lenina, oraz większości wyższych oficerów Armii Czerwonej. Polscy oficerowie zagarnięci podczas inwazji sowieckiej we wrześniu 1939 roku, reprezentowali warstwę która potencjalnie mogła być czynnikiem oporu przeciwko sowieckim zamierzeniom we Wschodniej i Środkowej Europie; byli częścią elity narodu który pobił Rosję w 1920 roku — i dlatego musieli być zgładzeni. Odpowiedź taka, jakkolwiek na ogół słuszna, nie wyświetla jednak całkowicie tragedii katyńskiej jako konkretnego faktu historycznego.

Polityka sowiecka, zarówno zagraniczna jak i wewnętrzna, jest przepojona hipokryzją, spowitą w płaszcz dialektycznej kazuistyki. Dialektyka Hegla i Feuerbacha, tzn. ujmowanie wszystkiego w kategoriach tezy, antytezy i syntezy, stanowi podstawę filozofii marksistowskiej, podniesionej w Związku Sowieckim do godności

religii państwowej. Całe wykształcenie w zakresie nauk społecznych i politycznych oparte jest w Sowietach na zasadach tej dialektyki. Zarówno polityka wewnętrzna jak i zagraniczna za czasów Lenina i Stalina miała charakter dialektyczny, zaskakując obserwatorów ciągłymi sprzecznościami.

Sprzeczności były szczególnie uderzające gdy zestawiało się głoszoną teorię z rzeczywistością. Doktryna głosiła stopniowe obumieranie państwa w miarę przekształcania się ustroju społecznego w kierunku komunizmu. Tymczasem tworzono scentralizowany totalizm ingerujący w najdrobniejsze szczegóły prywatnego życia obywatela. Tłumaczono, że dialektyka wymaga, aby państwo zostało wzmocnione zanim zacznie się proces jego obumierania.

Głoszono hasła antymilitarystyczne, a tymczasem tworzono potężną armię, dając w ten sposób impuls do zbrojeń państw europejskich, które się zdemobilizowały psychicznie po pierwszej wojnie światowej. Realizacja wielkiego programu zbrojeniowego Hitlera zaczęła się dopiero w 1934 roku, ale już w latach dwudziestych resztki niemieckiego imperialnego sztabu generalnego konspirowały z przywódcami sowieckimi w sprawie taktyki, organizacji i techniki jednostek pancernych.

Bezpośrednio po rewolucji podzielono ziemię pomiędzy chłopów, zwiększając w ten sposób ogromnie ilość małych, niezależnych gospodarstw chłopskich, lecz w końcu lat 20-tych połączono przymusowo te gospodarstwa w kolektywy, odbierając indywidualnym rolnikom znaczną część narzędzi i bydła, oraz stwarzając system który pod wielu względami przypominał dawną pańszczyznę.

Doktryna komunistyczna głosi prawo każdej narodowości do rozwoju jej kultury narodowej. Rewolucja przetworzyła dawne imperium rosyjskie w związek socjalistycznych republik narodowościowych. Dla mniejszych narodowości, o mniej zaawansowanym rozwoju kulturalnym, utworzono szereg autonomicznych okręgów narodowościowych. Zaczęły powstawać szkoły gdzie uczono w miejscowych językach. Tworzono uniwersytety oparte o kulturę narodowościową danego rejonu. Konstytucja stalinowska z 1936 roku zezwala nawet poszczególnym republikom na opuszczenie Związku Sowieckiego. Lecz już w końcu lat 20-tych tysiące działaczy kulturalnych różnych narodowości poszło do łagrów za „odchylenie nacjonalistyczne”. Dotyczyło to również przywódców narodowościowych partii komunistycznych. Powyżej opisuję jak w początku roku 1941 wieziono mnie do łagru na dalekiej północy w towarzystwie członków Centralnego Ko-

mitetu kazachskiej partii komunistycznej skazanych za „odchylenie nacjonalistyczne”. W pierwszej połowie lat 20-tych, kiedy po formalnym wcieleniu do Państwa Polskiego tak zwanej Litwy Środkowej likwidowano tam szkoły białoruskie — szereg białoruskich działaczy kulturalnych przeniosło się do Mińska, gdzie otrzymali stanowiska na tamtejszym uniwersytecie, lub świeżo utworzonej Białoruskiej Akademii Nauk. Po kilku latach prawie wszyscy znaleźli się w łagrach, a niektórzy nawet zostali potem rozstrzelani.

Sprawa Katynia ma również przebieg dialektyczny. Jeńców, po wzięciu do niewoli, traktowano względnie przyzwoicie. Warunki życia w obozie kozielskim nie były przyjemne, lecz bądź co bądź można powiedzieć, że znośne. Jeńców traktowano indywidualnie. Każdego w tonie uprzejmym, czasami wręcz przyjacielskim, rozpytywano o jego zawód, warunki pracy, rodzinę, przyjaciół. Niektórzy z tych indywidualnych pogawędek wychodzili oszołomieni, gdy się okazało, że badający oficer NKWD był solidnie przygotowany do rozmowy i zaskakiwał badanego tym co już wiedział o życiu i sprawach danego jeńca. Indywidualne teczki w biurach obozu pęczniały. Jeńcy mieli prawo korespondencji. Na listy do rodzin i przyjaciół przychodziły odpowiedzi.

Gdy stało się wiadome, że badanie jeńców jest zakończone, że obóz ma ulec likwidacji i, że jeńców czeka transport, zrobiono każdemu zastrzyki przeciw tyfusowi oraz przeciw cholerze — i bezpośrednio po tym około 95 % jeńców powieszono na stracenie. Po egzekucjach zorganizowano obóz w Griazowcu dla tych (około 3 %) którym darowano życie; i do których dołączono potem około 1.000 oficerów i podchorążych ogarniętych podczas okupacji Litwy latem 1940 roku. Tym ostatnim również darowano życie. Znowu przyszło względnie dobre traktowanie. Ponadto kilkunastu oficerów specjalnie wyselekcjonowanych z Kozielska i Starobielska umieszczono w tzw. „willi rozkoszy”.

Jak te sprzeczności należy tłumaczyć? Czy były one wyrazem pewnej ogólnej zasady? Czy też może wynikiem nieskoordynowanych decyzji, zrodzonych z wahań, które powstały w rezultacie ścierania się kilku koncepcji polityki w stosunku do Polski. Nieskoordynowane decyzje mogły zrodzić się również ze starcia dwóch niezbyt jasno sformułowanych postaw: potencjalnej pro-niemieckości Stalina i żywiołowej antyniemieckości kadr Partii. Tajemnica Griazowca wydaje mi się nie mniejszą niż tajemnica Katynia.

Teza, że Stalinowi chodziło przede wszystkim o wymordowanie elity intelektualnej narodu polskiego, wydaje się logiczna,

z drugiej strony wśród tych których wyselekcjonowano do Griażowca i którym darowano życie, było właśnie szereg ludzi należących do szczytów intelektualnych. W Kozielsku wybrano prof. Wacława Komarnickiego, specjalistę od prawa międzynarodowego, wybitnego członka Stronnictwa Narodowego, byłego dziekana wydziału prawnego w Uniwersytecie Wileńskim oraz byłego posła na sejm, którego nikt nie mógł podejrzewać o skłonność do radykalnego socjalizmu. Ze Starobielska wyselekcjonowano Józefa Czapskiego, znanego malarza, pochodzącego z arystokratycznej rodziny. W Ostaszkwie wybrańcem losu został kapitan Bronisław Młynarski, syn sławnego kompozytora.

Pozostaje także do wyjaśnienia pytanie dlaczego zmarnowano ponad 4.000 szczepionek wywoząc jeńców z Kozielska na egzekucję pod Smoleńskiem. Możliwie, że aparat NKWD zarządzający transportem po prostu nie orientował się w celach tego transportu. Prawdopodobnie wyszło jakieś zarządzenie, że wobec groźby epidemii należy szczepić wszystkich więźniów przeznaczonych do transportu przeciwko tyfusowi brzuszemu i cholercze. Automatycznie więc poddano zastrzykom tych, których miano wieść na stracenie po jednodniowej podróży.

Symbolem zagadkowej dialektyki Katynia była w pewnym stopniu postać kombriga Zarubina, którego scharakteryzowałem w szkicu zamieszczonym w „Zbrodni Katyńskiej” i o którym poprzednio pisałem. Nie jest wykluczone, że to on właśnie był autorem dialektycznego rozwiązania problemu polskich oficerów, tzn. koncepcji Katyń plus Griażowiec plus Małachówka. Miejmy nadzieję, że jakiś przyszły historyk to wyjaśni.

Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że ci, których Zarubin częściej wzywał do siebie i z którymi lubił rozmawiać, przeważnie uniknęli lasku Katyńskiego. Takim właśnie był wypadek prof. Wacława Komarnickiego, którego kombryg darzył specjalnymi względami. Profesor Komarnicki zbliżający się do 50-tki, został zmobilizowany jako ppor. Korpusu Sądowego i w tym charakterze trafił do niewoli. Jak to już wspominałem kombryg zarządził, aby odseparować go od młodszych oficerów, przeniósł go do bloku pułkowników i przyznał mu wszystkie przywileje przysługujące oficerom sztabowym. W tym samym czasie jednak do obozu Kozielskiego przywieziono grupę sędziów i prokuratorów, między nimi drugiego prezesa Sądu Najwyższego Rzeczypospolitej — Pohoreckiego. W hierarchii życia społecznego oraz pod względem autorytetu moralnego stanowisko sędziego Pohoreckiego nie było niższe od tego które zajmował prof. Komarnicki. Pod względem wieku sędzia Pohorecki był również chyba jednym

z najstarszych więźniów Kozielska. A jednak kombrig nim się nie interesował. Pohorecki spał na narach pomiędzy młodszymi oficerami i podchorążymi i wiele cierpiał z powodu różnych dolegliwości starszego wieku. Miałem wrażenie, że kombrig interesował się prof. Komarnickim przede wszystkim dlatego, że był on wybitnym przedstawicielem Stronnictwa Narodowego, które historycznie było stronnictwem prorosyjskim, chociaż, oczywiście, dalekim od ideologii marksistowskiej. Kombrig starał się zorientować, w jakim stopniu ludzie tego typu mogą się przydać w przyszłej grze politycznej. Opieram to wrażenie na tym, co Komarnicki opowiadał mi o swoich rozmowach z kombrigiem. Rozmowy te odnosiły o tyle pewien skutek, że Komarnicki zaczynał wierzyć, że czasy terroru już minęły i że Sowiety pod względem stylu życia i obyczajów zaczynają zbliżać się do państw zachodnich.

Oficerem, który cieszył się szczególnym respektem władz obozowych był płk Künstler. Podczas kampanii wrześniowej był dowódcą artylerii w armii gen. Dąb-Biernackiego. W ostatnim okresie tej kampanii dowodził samodzielną grupą, która wysadziła most na Bugu pod Dorohuskim, aby utrudnić Niemcom cofanie się z Wołynia na Zachód. Płk Künstler miał styl zawodowego oficera, swoją postawą bardziej niż kto inny w Kozielsku przypominał gen. Andersa. O ile mogłem wnioskować z doraźnych odezwań się politruków uważali go oni za człowieka o dużych potencjalnych możliwościach. Kombrig Zarubin odbył z nim szereg rozmów.

W pamięci mojej płk Künstler łączy się z płk. Tyszyńskim, który również należał do armii gen. Dąb-Biernackiego, gdzie był dowódcą saperów. Nie odznaczał się stylem zawodowego wojskowego lecz sprawiał wrażenie kompetentnego inżyniera. Poznałem tych dwóch oficerów nieco bliżej w towarowym wagonie, którym nas wieziono z Putiwla do Kozielska. Płk Künstler był mało mówny i właściwie nic o sobie nie opowiadał. Od płk. Tyszyńskiego dowiedziałem się, że pochodził on z ziemiańskiej rodziny, do której należała miejscowość Plebania w powiecie Mołodeczańskim. Było to jakieś 20 km. od majątku mego teścia w tym samym powiecie. W dniu 15 sierpnia, a więc na dwa tygodnie przed wybuchem wojny, byłem razem z żoną i dziećmi na dorocznym jarmarku w Plebanii. Zaczęliśmy wspominać wspólnych znajomych, a przede wszystkim rektora Mariana Zdziechowskiego, który również pochodził z Mołodeczańskiego powiatu. Potem w Kozielsku spotykałem się nieraz z płk. Tyszyńskim i zamienialiśmy przy każdej okazji kilka zdań. Pewnego pogodnego dnia

w marcu 1940 roku zastałem ppłk. Tyszyńskiego w miejscu, zasłoniętym od wiatru, wygrzewającego się na słońcu, przysiadłem się do niego i zagadnąłem, czy nie wie on czegoś o losie kilku wyższych oficerów, o których niepokoili się koledzy na mojej sali. Ppłk Tyszyński odpowiedział z pewną irytacją, że nikomu nic się złego nie stało, że wszyscy są w Starobielsku i że ze Starobielskiem istnieje kontakt. Jakies nuty zaufania do przyzwyczajoności i rozumu naszych gospodarzy sowieckich zabrzmiały w jego głosie. Nie pamiętam dokładnie co mi powiedział, lecz zrozumiałem, że miał niedawno jakieś rozmowy z kombrigiem, które napełniły go pewnego rodzaju optymizmem. Było to ostatnie nasze spotkanie przed rozpoczęciem likwidacji Kozielska.

Nie byłem więc zbyt zdziwiony, gdy już po opuszczeniu Związku Sowieckiego dowiedziałem się, że obydwaj pułkownicy Künstler i Tyszyński byli wyselekcjonowani do „willi rozkoszy”. W 1943 roku spotkałem przypadkowo ppłk. Künstlera w kawiarni w Kairze. Opowiedział mi wówczas nieco o swoich dziejach po likwidacji Kozielska. Gdy się zorientował, do czego zmierzały rozmowy w tej grupie, do której go włączono w Małachówce, postarał się jak najszybciej stamtąd wycofać. Złożył jakieś oświadczenie władzom sowieckim, po czym umieszczono go w więzieniu w Moskwie, a stąd po pewnym czasie przewieziono do Griazowca.

Dziś, z perspektywy lat wydaje mi się, że zaczynam rozumieć poszczególne człony dialektyki, która w jedną całość łączyła sprawy Katynia, Griazowca i Małachówki. Badania jeńców wykazały, że młodszy oficerowie, tak samo zresztą jak i większość szeregowych byli nastawieni wrogo do Związku Sowieckiego, a w każdym razie do komunizmu. Gdyby więc, po likwidacji państwa polskiego (co było oficjalną tezą sowiecką) postanowiono tworzyć jakieś oddziały polskie, byłyby to element skłonny do różnego rodzaju konspiracji i zamachów. Pamięć o roku 1920 była zresztą żywa wśród jeńców kozielskich; było tam wielu weteranów z kampanii owego roku. Sposób, w jaki Kozielsk 19 marca 1940 roku obchodził imieniny Piłsudskiego był jaskrawym dowodem, jakie uczucia żywili ci weterani. Zresztą, jeżeliby władze sowieckie zdecydowały się na zagranie kartą polską przez tworzenie jakichś polskich oddziałów pod sowieckim dowództwem, nie byłoby to przedsięwzięciem na większą skalę i tylko dla niedużej części jeńców znalazłyby się tam etaty. W ostatnich miesiącach istnienia Kozielska zainteresowania NKWD ogólną masą jeńców wyraźnie zmniejszyły się. Natomiast trwały próby dogadania się z niektórymi oficerami sztabowymi, którzy mogli reprezentować

pewien potencjał jako zdyscyplinowani dowódcy i organizatorzy. Byli nimi przede wszystkim oficerowie sztabu armii „Prusy”, którzy (oprócz samego dowódcy) prawie w całości trafili do niewoli sowieckiej. W ten sposób pułkownicy Künstler i Tyszyński znaleźli się wśród specjalnie uhonorowanych jeńców, co — o ile rozumiem — zaciążyło potem na ich karierze w armii gen. Andersa, gdy ta armia opuściła ZSSR. Niewątpliwie złożyli oni obszerne zeznania, które muszą być gdzieś w dokumentach, pozostałych po polskiej armii na Wschodzie. Zaznajomienie się z tymi zeznaniami mogłoby prawdopodobnie rzucić nieco światła na to, jak były rozumiane przez władców sowieckich problemy polskie w latach 1940-41.

Poznanie dialektyki Katynia jest ważne nie tylko dlatego, że może naświetlić stosunek Rosji do Polski, nie tylko ze względów moralnych, lecz również dlatego, że stanowi problem socjologiczny. Poznanie tej dialektyki może ułatwić zrozumienie różnicy pomiędzy Rosją Lenina i jego następców a Rosją przedrewolucyjną. Polityka carskiej Rosji nie miała charakteru dialektycznego. Była często brutalna, co w pewnym stopniu było łagodzone przez liberalizm górnych warstw społecznych, a w stosunku specjalnie do Polski przez fakt, że solidarność klasowa warstwy ziemiańskiej oraz arystokracji była często silniejsza niż poczucie antagonizmów narodowościowych i historycznych. To ostatnie — to znaczy liczne powiązania polskich rodzin arystokratycznych z arystokracją rosyjską oraz z Dworem Carskim — nie mogło zmienić zasadniczych linii polityki rosyjskiej (pomimo wysiłków Czartoryskiego a potem i Wielopolskiego), ale przyczyniło się do złagodzenia tej polityki w szeregu poszczególnych wypadków jej stosowania. Lecz na ogół polityka carska była prostolinijna. Prostolinijna była również polityka Rzeszy hitlerowskiej, pomimo że hegelianizm zaciążył nad ruchem narodo-socjalistycznym. Sprzeczności polityki niemieckiej podczas okupacji Wschodniej Europy — które doskonale obrazują Aleksander Dallin w swoim studium na temat tej polityki¹, a Józef Mackiewicz w powieści *Nie trzeba głośno mówić*² — były wynikiem sprzecznych koncepcji, które poszczególni dygnitarze usiłowali realizować na własną rękę, z których żadna jednak nie była akceptowana przez Hitlera. Bałagan więc polityki niemieckiej, ze wszystkimi jej bezprzykładowymi okrucieństwami, był

1. Alexander Dallin, *German Rule in Russia 1941/1945*, Macmillan, London, 1957.

2. Józef Mackiewicz, *Nie trzeba głośno mówić*, Biblioteka „Kultury”, Paryż, 1974.

rezultatem wahań w obraniu jakiejś jednolitej linii, podczas gdy paradoksy polityki sowieckiej były wynikiem systemu. W jakim stopniu ten system wiązał się z filozofią materializmu dialektycznego jest jednym z najbardziej fundamentalnych pytań dla tych, co chcą dogłębnie zrozumieć sens ruchu komunistycznego. Dlatego też dialektyka Katynia stanowi temat, który musi szczególnie zainteresować sowietologów.

Rozdział X

CZY CHRUSZCZOW CHCIAŁ OGŁOSIĆ PRAWDĘ O KATYNIU?

Niejasnym aspektem sprawy katyńskiej jest zachowanie się w tej sprawie postalinowskich rządów sowieckich. Zagadką wydaje się dlaczego Związek Sowiecki nie skorzystał z okazji umożliwiającej zlikwidowanie tej sprawy przez zaliczenie jej do szeregu innych zbrodni Stalina, które Chruszczow ujawnił na poufnym posiedzeniu w czasie XX-go Zjazdu Sowieckiej Partii Komunistycznej, w lutym 1956 roku.

Treść tej mowy jest dość szeroko znana. Tekst jej został przesłany do wiadomości wybitniejszych działaczy komunistycznych w krajach satelickich i niemal momentalnie znalazł się w rękach korespondentów prasy zachodniej. W tej mowie Chruszczow dał przegląd akcji eksterminacyjnej w stosunku do wybitniejszych przedstawicieli sowieckiego komunizmu, która była treścią różnych „czystek” stalinowskich. Na przykład spośród 139 osób, które zostały wybrane do Komitetu Centralnego na XVII-tym Zjeździe Partii w 1934 roku, 98 — czyli 70 % zostało aresztowanych i rozstrzelanych, przeważnie w latach 1937-1938. Spośród 1966-ciu delegatów na ten Zjazd 1.108-miu, czyli wyraźna większość, zostało w ciągu następnych kilku lat aresztowanych pod zarzutem różnych przestępstw politycznych; Chruszczow nie podał ilu z nich zostało rozstrzelanych. Natomiast podkreślił ogromne osłabienie przed samą wojną zdolności bojowej Armii Czerwonej, które nastąpiło na skutek likwidacji, z rozkazu Stalina, znacznej części kadrowych dowódców, poczynając od szczebla dowódców kompanii a kończąc na marszałkach (trzech

spośród pięciu)¹ oraz zastępcach Komisarza Wojny. Po tej mowie Chruszczowa rozpoczął się wśród wyższych wojskowych sowieckich ruch w kierunku rehabilitacji najbardziej wybitnych dowódców, zlikwidowanych z rozkazu lub na skutek intryg Stalina. Wydano księgę pamiątkową ku czci marsz. Tuchaczewskiego; powstał projekt pomnika dla marsz. Blüchera, jednego z większych talentów wojskowych, które wyłoniły się z wojny cywilnej w pierwszych latach po rewolucji. Zaczęto obliczać też przybliżoną liczbę ofiar. Podobno wyniosła ona około 35.000 sowieckich oficerów różnych stopni, pomordowanych w latach 1937-1941².

Gdyby oficjalnie dodano do tego rejestru 10.000 polskich oficerów oraz 5.000 policjantów nie naruszyłoby to w sposób jaskrawy tego ponurego bilansu, lecz stanowiłoby w pewnym stopniu zamknięcie sprawy Katynia, jako sprawy sumienia międzynarodowego. Z chwilą bowiem, gdy rząd sowiecki uznaje odpowiedzialność swoich poprzedników za te zbrodnie, potępiając je i zgadzając się na jakieś odszkodowania, to ta potworna sprawa przestaje być przedmiotem kontrowersji międzynarodowej.

Dlaczego więc kierownictwo sowieckie tego nie zrobiło, lecz identyfikowało swoje stanowisko z niedającym się obronić twierdzeniem komisji stalinowskiej, że w 1941 roku obozy jenieckie zostały zagarnięte przez armię niemiecką i oficerowie polscy przez nią wymordowani.

W latach sześćdziesiątych kursowała szeroko powtarzana pogłoska, że w pewnej chwili Chruszczow miał proponować Gomułce dołączenie sprawy Katynia do innych zbrodni stalinowskich, lecz że Gomułka rzekomo odradził mu to w obawie, że nie potrafi opanować opinii polskiej w kraju, gdy istniejące zakazy w sprawie dyskusowania mordu katyńskiego zostaną usunięte. Jak tam było naprawdę, o tym wiedzą jedynie wtajemniczeni. Z tekstu mowy Chruszczowa na XX-tym Zjeździe Partii nie wynika potępienie Katynia. Mowa ta dotyczyła prawie wyłącznie morderstw dokonanych przez stalinowską policję na członkach Partii. Chruszczow na przykład, potępił fizyczne likwidowanie dawnych trockistów, którzy już wyrzekli się swoich błędów i wrócili na „leninowskie pozycje”; lecz pozostawił otwartą kwestię co należy robić z tymi, którzy nadal trzymają się troc-

1. Marszałkowie: Tuchaczewski, Blücher i Jegorow (pozostali natomiast przy życiu, jako zaufani Stalina, Woroszyłow i Budionnyj, obaj niedopasowani do wymagań nowoczesnej, zmechanizowanej wojny).

2. Leonard Schapiro, *The Communist Party of the Soviet Union*, Vintage Books, 1960, str. 420; Ronald Hingley, *The Russian Secret Police*, Hutchinson of London, 1970, str. 170.

kistowskiej herezji. Z analizy tej mowy nie wynika, żeby Chruszczow zasadniczo wykluczał system masowych egzekucji, gdyby to leżało w interesach sowieckiej racji stanu. Jest jasne zatem, że w kontekście mowy Chruszczowa na XX-tym Zjeździe Partii nie mogło być miejsca na Katyń.

Nie jest natomiast wykluczone, że w latach późniejszych Chruszczow istotnie nosił się z zamiarem ujawnienia prawdy o Katyniu. Przemawiało za tym kilka względów. Przede wszystkim po XX-tym Zjeździe Partii zmieniła się w Związku Sowieckim postawa wobec badania najnowszej historii. Za czasów Stalina prawie wszystko, co w tej dziedzinie pisano, było załgane. Po sławnej mowie Chruszczowa zaczęto opracowywać zagadnienia najnowszej historii, jeżeli nie z pełną obiektywnością, to w każdym razie z zachowaniem pewnych pozorów obiektywności. Pisząc i mówiąc o końcowych latach wojny nie sposób było pomijać kwestię Katynia, która była powodem zadrażnień międzynarodowych i przedmiotem rozważań Trybunału Norymberskiego. Tymczasem przedstawienie tej sprawy w sprawozdaniu Komisji sowieckiej jest tak nieprzekonywujące i tak najeżone sprzecznościami, że obywatel sowiecki wyszkolony w czytaniu pomiędzy wierszami, szybko się domyślał prawdziwego winowajcy. Aleksander Werth, jeden z najbardziej prosowieckich publicystów zachodnich, który w pięćdziesiątą rocznicę rewolucji odbył dłuższą podróż po Związku Sowieckim, pisze w książce, którą wydał po tej podróży, że dla zorientowanego politycznie Rosjanina sprawa Katynia jest otwartym sekretem. „To jest ropiejący wrzodzik, którego my nie lubimy dotykać” — powiedział mu jeden z czołowych pisarzy rosyjskich³. Drugi jego rozmówca przy wspomnianiu Katynia dodał jeszcze informacje o masowym mordzie popełnionym w 1945 roku na wielu tysiącach północnych Koreańczyków, którzy rzekomo mieli przedtem współpracować z Japończykami, zaznaczając jednak, że masowe egzekucje stanowiły raczej wyjątek w metodzie stalinowskiej eksterminacji prawdziwych czy też wymaginowanych przeciwników. Z natury rzeczy musiało powstać pytanie, czy nie lepiej przeciąć ten wrzodzik przez oficjalne ujawnienie prawdy.

Najważniejszym względem przemawiającym za ogłoszeniem prawdy o Katyniu musiał jednak być własny interes Chruszczowa w jego walce o utrzymanie się przy władzy. Chruszczow wskutek swojej mowy na XX-tym Zjeździe Partii znalazł się w sytuacji, w której jego własna przyszłość polityczna i jej rola

3. Aleksander Werth, *Russia: Hopes and Fears*, Pelican Original, 1969.

historyczna były uzależnione od postępu akcji destalinizacyjnej. Ujawnienie zaś prawdy o Katyniu mogłoby stworzyć pomyślną atmosferę dla dalszego rozwoju tej akcji, które — chociaż popularna na początku — napotkała w dalszym rozwoju na silny opór ze strony sowieckiego aparatu biurokracji partyjnej. Ten aparat stanowi w dzisiejszej Rosji klasę panującą, która cieszy się licznymi przywilejami w zakresie stopy życiowej oraz możliwości awansu społecznego. Mniej więcej przed piętnastu laty Milovan Đilas, były wiceprezydent Republiki Jugosłowiańskiej, dał doskonałą charakterystykę tej klasy w swojej słynnej książce⁴. Biurokracja partyjna, razem z policją polityczną, znaną w różnych okresach pod różnymi nazwami (Czerezwyczałka, OGPU, GPU, NKWD, MWD, KGB) stanowią obcęgi, które trzymają narody Związku Sowieckiego w kleszczach dyktatury partyjnej. Badacze zachodni obliczyli, że za panowania Chruszczowa było około ćwierć miliona płatnych funkcjonariuszy partyjnych⁵. Ten ogromny aparat został stworzony przez Stalina, który był Generalnym Sekretarzem⁶ — czyli szefem administracji Partii — przez więcej niż trzydzieści lat, a więc przez okres życia całego pokolenia; Stalin likwidował fizycznie starych komunistów, byłych towarzyszy Lenina, ludzi o psychice rewolucyjnej, którzy umieli niezależnie myśleć, a na ich miejsce awansował ludzi młodych o mentalności urzędniczej oraz konserwatywnej (tzn. konserwatywnej w stosunku do tego porządku rzeczy, w którym zostali wychowani), ale za to bezwzględnie posłusznych. Na XVIII Zjeździe Partii w 1939 roku Stalin oświadczył, że w okresie od poprzedniego Zjazdu około 500.000 członków partii zostało awansowanych na różne kierownicze stanowiska⁷. Sołżenicyn dając w *Oddziale chorych na raka*⁸, w pewnym stopniu przekrój dzisiejszego społeczeństwa sowieckiego, odmalowuje również psychikę ludzi, przynależnych do klasy panującej.

Mowa Chruszczowa na XX-tym Zjeździe została przyjęta przez tę klasę o tyle przychylnie, że zapowiadała dla członków biurokracji partyjnej pewne bezpieczeństwo osobiste, podczas

4. Milovan Đilas, *Nowa klasa wyzyskiowaczy*, Instytut Literacki, Paryż, 1957.

5. Schapiro, *The Communist Party in the Soviet Union*, Vintage Book, str. 525, 573.

6. Na XVII Zjeździe w 1934 roku tytuł ten został zmieniony na „Pierwszego Sekretarza”, co oznaczało dążenie ze strony większości Zjazdu do obniżenia pozycji Stalina jako faktycznego dyktatora. Przypuszcza się często, że fizyczna likwidacja większości członków Zjazdu była reakcją Stalina na te próby ograniczenia jedynowładztwa.

7. Schapiro, *ibid.*, str. 417.

8. Al. Sołżenicyn, *Oddział chorych na raka*, Biblioteka „Kultury”, tom 203, Paryż, 1971.

gdy za czasów Stalina wielu ludzi świeżo awansowanych trafiało szybko do łagrów, a na ich miejsce awansowano innych. Pewne ograniczenie wszechwładzy tajnej policji odpowiadało więc interesom tej klasy. Lecz gdy akcja destalinizacyjna zaczęła przybierać szersze rozmiary, gdy Chruszczow w dużej ilości wypadków skasował odznaczenia nadane enkawudystom za szczególnie niktzemne czyny (w tej liczbie również niektóre odznaczenia swego protegowanego gen. Sierowa, kata Litwy i Węgier) wielu ludzi przynależnych do biurokracji partyjnej zaczęło odczuwać, że ich własna pozycja społeczna jest w niebezpieczeństwie, tzn. że akcja destalinizacji może przeistoczyć się w akcję likwidacji systemu dyktatury partyjnej. Trzeba również pamiętać, że w Związku Sowieckim ludzie tego pokolenia byli wychowani w kulcie Stalina i że wielu z nich uważało, że cierpienia ludzkie, wynikające z jego okrucieństw, były w dużym stopniu równoważone przez jego mądrość jako męża stanu i wodza rewolucji światowej. Moralne pojęcia, które wpajano tym ludziom są inne niż te, które przeważają na Zachodzie. Marksizm sowiecki jest w znacznym stopniu wyprany z tych elementów humanizmu, które przenikały marksizm zachodni i tych starych bolszewików, mienszewików i socjal-rewolucjonistów, których powykańczał Stalin. Ideologia komunistyczna wyklucza eksploatację pracy ludzkiej w celach prywatnego zysku, lecz nie wyklucza mordowania ludzi, gdy przywódcom wydaje się, że to odpowiada celowości rewolucyjnej lub racji stanu „państwa proletariackiego”.

Rosja carska bywała również bezwzględna i okrutna. Lecz tam to okrucieństwo było w pewnym stopniu łagodzone przez oficjalne wyznawanie religii chrześcijańskiej. Cerkiew prawosławna, chociaż do głębi skorumpowana i od czasów Piotra Wielkiego podporządkowana zupełnie państwu, odgrywała jednak dużą rolę moralną przez to, że ustalała pewne pojęcia o różnicy pomiędzy złem i dobrem. Prawosławie nakazywało na przykład odwiedzanie więźniów szczególnie w dniach wielkich świąt chrześcijańskich. Jako dziecko byłem świadkiem jak bogaci kupcy wysyłali na Wielkanoc do miejscowego więzienia wozy podarków dla więźniów. Podczas pierwszej wojny światowej, jako kilkunastoletni chłopiec, widziałem jak w szpitalach wojskowych panie z towarzystwa z taką samą troskliwością opiekowały się jeńcami niemieckimi i austriackimi jak żołnierzami rosyjskimi. W Związku Sowieckim, gdy podczas stalinowskiej kolektywizacji „kułackie” dziecko wyrzucone na ulicę wsi konało w mroźną noc z głodu i wyczerpania, chłop który wyniósł mu kawałek chleba lub kubek wody ryzykował, że zostanie zaliczony do „podkułaczników” i sam zostanie deportowany do łagru. Obecne poko-

lenie biurokracji partyjnej zostało jednak wychowane w przekonaniu, że ten okres stalinowskiej kolektywizacji z całym jej bezsensownym okrucieństwem był właśnie bohaterskim okresem w dziejach komunizmu rosyjskiego. Jest wielką historyczną zasługą polskich komunistów, że gdy Polska, opuszczona przez aliantów, została oddana na pastwę eksperymentów stalinowskich, potrafili — jak dotychczas — uchronić wieś polską od tych okropności.

Żeby całkowicie zrozumieć mentalność tej warstwy biurokracji partyjnej, która zaczęła opierać się próbom destalinizacji, trzeba pamiętać, że nawet w oczach tych przedstawicieli aparatu administracyjnego, którzy zgadzają się, że Stalin był potworem moralnym, był on jednocześnie wodzem, z którego imieniem wiąza się wielkie osiągnięcia przemysłowe i wojskowe. Stalin poprzez zarządzoną wielką czystkę w latach 1937-38 zdeorganizował — według zgodnej opinii wszystkich przedwojennych wywiadów — Armię Czerwoną, lecz w kilka lat potem Armia ta pod jego dowództwem osiągnęła największe triumfy. Stalin zlikwidował fizycznie szereg najbliższych towarzyszy i współpracowników Lenina, lecz państwo sowieckie pod jego przywództwem osiągnęło pozycję supermocarstwa. Stalin był zbrodniarzem na skalę bez precedensu, lecz symbolizuje on również drogę do potęgi. Widocznie sam Chruszczow przeżywał rozterki i wpadał w sprzeczności, gdy mówił o Stalinie. Co wyniknie z tego posiewu zbrodni nie wiemy, lecz trzeba postarać się zrozumieć jak myślą i rozumują ludzie — skądinąd po swojemu uczciwi — z tamtej strony.

Jest więc psychologicznie zrozumiałe, że w sowieckiej partii komunistycznej zaczął odradzać się kult Stalina. Tendencje te z natury rzeczy utrudniały ogromnie dalszy postęp rozpoczętej przez Chruszczowa destalinizacji. Razem z zahamowaniem akcji destalinizacyjnej stało się rzeczą wysoce nieprawdopodobną, aby Chruszczow, nawet jeżeliby tego chciał, mógł obwieścić światu prawdę o Katyniu.

Rozdział XI

KATYŃ A SOJUSZ SOWIECKO-NIEMIECKI

W okresie dokonywania mordu katyńskiego, Związek Sowiecki był wiernym sojusznikiem hitlerowskiej Rzeszy; skrupulatnie wykonywał wszystkie zobowiązania, wynikające z umowy sojuszniczej z sierpnia 1939 roku. Powstaje pytanie, czy ten sojusz jakoś zaważył na powzięciu przez władców Rosji decyzji katyńskiej. Stanisław Mikołajczyk, który przez pewien czas, jako prezes Stronnictwa Ludowego, był wicepremierem rządu, utworzonego przez Rosjan w Warszawie, a potem przedostał się na Zachód i oświadczył Zawodnemu¹ — gdy ten zbierał materiały do swojej książki — że jest mu wiadome, że w okresie 1939-1941 istniało porozumienie pomiędzy Niemcami a Rosją w sprawie wymiany Polaków i Ukraińców oraz że Niemcy nie zgodzili się na przyjęcie polskich oficerów jako obiektów tej wymiany. To oświadczenie Mikołajczyka zgadza się z moimi obserwacjami jako jeńca kozielskiego. W Kozielsku wciąż kursowały pogłoski, że mamy być wydani Niemcom. Pogłoski wydawały się sprzeczne ze zdrową logiką, bo dlaczego by Niemcy mieli obciążać siebie utrzymaniem kilkunastu tysięcy polskich oficerów, których — według Konwencji Genewskiej — nie można było użyć do pracy przymusowej. Pogłoski jednak były tak uporczywe, że nasi generałowie pouczali młodszych oficerów, aby ci stanowczo protestowali, gdyby władze sowieckie istotnie chciały dokonać tego przetransportowania do dyspozycji Niemców. Pewne pozory prawdopodobieństwa miała pogłoska, że wydani Niemcom zostaną tylko oficerowie pochodzący z centralnej i zachodniej Polski,

1. J. K. Zawodny, *Death in the Forest. The story of the Katyń Forest Massacre*, str. 128.

którzy byli skoncentrowani w klasztorze, nie zaś internowani w „Skicie”, gdzie koncentrowano oficerów, pochodzących z ziem wcielonych do Związku Sowieckiego. Nie jest więc wykluczone, że oficerowie NKWD, którzy o tych możliwościach wydania Niemcom wspominali, byli zupełnie szczerzy. Wynikałoby stąd, że koncepcja egzekucji przyszła dopiero później, kiedy Niemcy odmówili przyjęcia tego daru.

Były również wypadki przekazywania oficerów polskich w odwrotnym kierunku, tzn. z rąk niemieckich do sowieckich. W Kozielsku było około siedemdziesięciu oficerów, wziętych do niewoli w rejonie Brześcia, którzy w końcu kampanii wrześniowej zostali przekazani Armii Czerwonej, w chwili gdy wojska niemieckie po zdobyciu Brześcia odchodziły na zachód na zasadzie umowy sowiecko-niemieckiej. Nie pamiętam dziś (rok 1975) nazwisk tych naszych oficerów, lecz mam żywo w pamięci to, co oni o swoich losach opowiadali. Obrona twierdzy Brzeskiej przed Niemcami była bardzo uporczywa; załoga twierdzy, już po kompletnym otoczeniu miasta przez Niemców broniła się przez kilka dni i poddała się dopiero wtedy, gdy zabrakło amunicji. Po poddaniu się Niemcy potraktowali oficerów polskich bardzo kurtuazyjnie, generał niemiecki dowodzący oddziałami, które zdobyły Brześć, wygłosił do jeńców przemówienie, w którym wyraził swoje uznanie dla walorów żołnierskich, wykazanych przez Polaków w trakcie walki. Po kilku dniach major niemiecki, któremu podlegał obóz jeńców, zebrał oficerów polskich i oświadczył im, że chce się z nimi pożegnać ponieważ odjeżdża, oraz że wkrótce przyjdą inne oddziały, które obejmą warty. Istotnie niedługo potem warty niemieckie zostały zluźnione przez warty sowieckie. Ostatecznie oficerowie ci znaleźli się w Kozielsku.

Opowiadano mi przy tym o ciekawym szczególe. Mianowicie, wśród jeńców w Brześciu znalazł się były polski premier Światłowski, który w towarzystwie swego brata czy szwagra przyjechał z Warszawy do Brześcia własnym samochodem. O ile zrozumiałem, obaj byli w mundurach wojskowych, więc dołączono ich do jeńców. Niemcy poinformowali jednak płk. Światłowskiego, że te nowe oddziały wartownicze to będą Rosjanie oraz zezwoliły mu, w drodze wyjątku, aby razem ze swoim towarzyszem wrócił do Warszawy. W ten sposób płk Światłowski uniknął Kozielska i Katynia.

Nie jest również wykluczone, że sprawa stosunków sowiecko-niemieckich na innej, chociaż trudno uchwytnej, drodze zaciążyła nad losami polskich oficerów. W Sowietach bezpośrednio przez wojnę istniała pewna rozpiętość pomiędzy postawą Stalina a postawą partyjnej inteligencji w stosunku do Niemców. Widziałem

Rosję podczas obu wojen światowych. W 1940 roku, to znaczy jeszcze przed atakiem niemieckim, miałem wrażenie z opowiadań moich współwięźniów, że wśród inteligencji rosyjskiej wrogość w stosunku do Niemców była silniejsza, niż podczas pierwszej wojny. Podkreślam, że mówię tu o inteligencji oraz o kadrach partyjnych, a nie o szerokich masach; oraz o inteligencji rosyjskiej, nie zaś ukraińskiej i kaukaskiej. Ci ostatni byli skłonni oczekiwać od strony Niemiec wyzwolenia narodowego.

W początku 1941 roku wieziono mnie na północ do łagru razem z sowieckim „komdiwem” tzn. generałem, dowodzącym dywizją. Był niedawno aresztowany. Miał więc możliwość skrupulatnego obserwowania wszystkich operacji na Zachodzie w ciągu lata i jesieni 1940 roku. Był przekonany, że z chwilą gdy Hitler musiał zrezygnować z inwazji Wysp Brytyjskich, można było uważać, że wojna jest dla niego przegrana pomimo wszystkich pozornie imponujących sukcesów we Francji. Komdiw był emocjonalnie antyniemiecki i pod tym względem mało się różnił od moich kolegów kozielskich. Miałem wrażenie, że łatwo by się dogadał z oficerami polskimi.

Tymczasem dążeniem Stalina było umocnienie więzów istniejącego porozumienia z Niemcami, wynikającego z paktów, podpisanych w sierpniu i wrześniu 1939 roku, które faktycznie miały charakter sojuszu wojskowego. Są liczne wskazówki na to, że kwestia sojuszu z Hitlerem miała dla Stalina walory nie tylko polityczne, lecz również emocjonalne. Znany brytyjski historyk i sowietolog Ronald Hingley, fellow of St. Antony's College w Oxfordzie, pisze o Stalinie, że Hitler był prawdopodobnie jedynym człowiekiem, któremu on całkowicie ufał².

Sowiecki historyk A. M. Nekricz, współpracownik Instytutu Marksizmu-Leninizmu oraz Instytutu Sowieckiej Akademii Nauk, opublikował w Moskwie w 1965 roku książkę, w której usiłuje ustalić odpowiedzialność za początkowe klęski Armii Czerwonej w kampanii 1941 roku³. Zdaniem jego spaść ona musi w pierwszym rzędzie na Stalina, który uporczywie lekceważył raporty wywiadu sowieckiego o kolosalnej koncentracji niemieckiej w pobliżu granicy, ustalonej przez pakt Ribbentrop-Mołotow z 1939 roku. Raporty te wywoływały irytację Stalina, która zwracała się przeciw ich autorom. Gdy w końcu maja 1941 roku ambasador niemiecki w Moskwie Schulenburg (rozstrzelany potem przez Hitlera), który robił rozpaczliwe wysiłki, aby zapobiec woj-

2. Ronald Hingley, *The Russian Secret Police. Moscowite, Russian and Soviet Political Security Operation, 1965-1970*. Hutchinson, 1970, str. 189.

3. R. Hingley, *Ibid.*, str. 12.

nie sowiecko-niemieckiej, zdecydował się na uprzedzenie o prawdziwych zamiarach Hitlera sowieckiego ambasadora w Berlinie Dekanozowa (rozstrzelanego potem w związku ze sprawą Berii), ten ostatni odmówił przekazania tych wiadomości Stalinowi⁴. Dekanozow prawdopodobnie doskonale orientował się, że w ten sposób mógł na siebie ściągnąć gniew Stalina.

Marszałek Tuchaczewski, który w 1936 r. w sprawozdaniu, przedłożonym Centralnemu Komitetowi Wykonawczemu ZSSR, szczególnie mocno podkreślał niebezpieczeństwa, wynikające dla Związku Sowieckiego na skutek zbrojeń hitlerowskich został zgodnie ze stylem hipokryzji, charakteryzującym Rosję stalinowską, rozstrzelany w 1938 roku za rzekomo tajną współpracę z Niemcami. Ten wyjątkowo zdolny oficer gwardii carskiej, który przyłączył się do rewolucji bolszewickiej był przez wielu uważany za potencjalnego Napoleona rewolucji rosyjskiej. Stalin, oczywiście, musiał go sprzątnąć ze swojej drogi.

Trudno oczywiście wiedzieć, jakie emocje rządziły Stalinem. Lecz wydaje się, że montowanie bliższego porozumienia z Hitlerem było jedyną logiczną drogą, na którą musiał wejść po wielkich czyszkach. Nie jestem pewien, czy czystki muszą być nieodłącznym elementem każdego systemu totalnego, jak to uważa Zbigniew Brzeziński⁵. Lecz jeżeli chodzi o czystki lat 1936-38, wydają się być one wynikiem rozpiętości, która wytworzyła się pomiędzy Stalinem a kadrami partii w połowie lat trzydziestych. Był to kryzys zaufania pomiędzy Stalinem a tym ogromnym aparatem biurokracji partyjnej, który on sam stworzył. Znalazło to wyraz w różnych pozornie nieistotnych faktach (np. zmieniienie na XVII zjeździe partii w 1934 roku tytułu Stalina z „Generalnego Sekretarza”, którym on był od 1922 roku, na „Pierwszego Sekretarza”) oraz w pewnych krytycznych wystąpieniach przedstawicieli centralnych organów partyjnych lub państwowych, np. wystąpienie Postyszewa, sekretarza ukraińskiej partii, o którym Chruszczow wspomina w swojej mowie na XX Zjeździe. Na XVII Zjeździe w 1934 roku ulubieńcem publiczności był nie tyle Stalin, co S. M. Kirow, przystojny sekretarz Leningradzkiej Organizacji Partyjnej, faworyt większości partii na następcę Stalina.

Stalin na te krytyki odpowiedział zdecydowanymi represjami przedtem niż nowa opozycja przyjęła jakieś zorganizowane formy.

4. *June 22 1941* — tłumaczenie Vladimira Petrova. Wydawca: University of South Carolina Press, 1968.

5. Zbigniew Brzeziński, *The Permanent Purge*, Harvard University Press.

Pod nóż poszli przede wszystkim starzy bolszewicy, ludzie, przyzwyczajeni do pewnej niezależności swojej postawy, intelektualności partyni, teoretycy marksizmu oraz szereg dowódców, zasłużonych podczas wojny cywilnej. Leonard Schapiro w swojej fundamentalnej książce *The Communist Party of the Soviet Union* opisuje te wypadki w rozdziale 22-gim pod tytułem „Zwycięstwo Stalina nad Partią”.

Jest rzeczą jasną, że ta wielka „czystka” w Partii musiała wywołać nie tylko wewnętrzne konsekwencje, lecz również oddziaływać na międzynarodową politykę Związku Sowieckiego. Logika sytuacji oddalała dyktatorski system Stalina od krajów demokratycznych — i to pomimo zwycięstwa Frontu Ludowego we Francji w 1936 roku — a natomiast rodziła tendencje do zbliżenia się do krajów o systemie wodzowskim, a więc przede wszystkim do Niemiec hitlerowskich. Nie wiemy dokładnie kiedy i jak pierwsze kontakty zostały nawiązane pomiędzy Stalinem a Hitlerem. W każdym razie musiało to być na pewien czas przed podpisaniem paktu Ribbentrop-Mołotow.

Podobno pierwsza próba nawiązania bardziej bezpośredniego kontaktu ze sferami rządzącymi Niemiec hitlerowskich była poczyniona za pośrednictwem Davida Kandelakiego, członka osobistego sekretariatu Stalina, który w grudniu 1936 roku odwiedził w tej sprawie Schachta, lecz zarówno Hitler jak i minister Spraw Zagranicznych von Neurath nie wyrazili entuzjazmu do kontynuowania tych kontaktów. Podobno Kandelaki w końcu trafił do łagrów i słuch o nim zaginął⁶. W tym samym czasie NKWD przygotowywało sprawę „zdrady” marsz. Tuchaczewskiego i szeregu generałów sowieckich, którzy rzekomo mieli utrzymywać kontakty z niemieckim Sztabem Generalnym. Wszystko było zgodne z „dialektyczną” metodą polityki Stalina. W razie pełnego zrealizowania sojuszu Hitlera ze Stalinem ich własni generałowie mogli stanowić niebezpieczeństwo dla obydwu dyktatorów.

Na początku roku 1939 ludzie zbliżeni do kół trockistowskich w Polsce opowiadali, że w kołach tych obserwatorzy polityki sowieckiej liczyli się poważnie z możliwością sojuszu Stalina z Hitlerem i Japonią dla podziąku Imperium Brytyjskiego. Ogromna machina przemysłowa, budowana w Związku Sowieckim z nieprawdopodobnym nakładem ofiar i kosztów, miała być oddana na służbę najbardziej ciemnych sił w stosunkach międzynarodowych.

6. Robert Conquest, *The Great Terror*, Penguin Book, 1971, str. 298-300.

Jest rzeczą interesującą, że pomiędzy dyktatorami Niemiec i Rosji wytworzył się nawet pewien rodzaj wzajemnej sympatii, chociaż to nie oznaczało, aby Hitler miał rezygnować ze swoich celów na Wschodzie. Speer pisze w swoich pamiętnikach, że gdy w sierpniu 1939 roku Ribbentrop wrócił do Niemiec po podpisaniu paktu z Mołotowem, był zachwycony przyjęciem, które mu zgotowano w Moskwie. W obecności Speera mówił Hitlerowi, że ze Stalinem i jego najbliższym otoczeniem czuł się jak ze starymi towarzyszami partyjnymi⁷. Nieco potem, już po rozpadnięciu się paktu i w toku wojny Hitler zwierzał się Speerowi, że w Rosji ceni tylko Stalina i że po ostatecznym zwycięstwie jest gotów zrobić go wielkorządcą ze swego ramienia⁸.

Czystki 1936-38 roku obiektywnie miały znaczenie usuwania wewnętrznych przeszkód dla ewentualnego sojuszu z Rzeszą hitlerowską; chociaż mniej lub więcej świadome przygotowywanie gruntu do tego sojuszu zaczęło się prawdopodobnie dopiero w 1938 lub na początku 1939 roku. Wówczas zwrócono szczególną uwagę na obecnych w Rosji zagranicznych komunistów, a specjalnie komunistów z krajów sąsiadujących z Niemcami, jak również na weteranów wojny hiszpańskiej. Do Moskwy wezwano przywódców Polskiej Partii Komunistycznej aby ich tam wymordować, likwidując w ten sposób niemal cały Komitet Centralny Partii. W 1940 roku moi rosyjscy współwięźniowie na Łubiance twierdzili, że prawie wszyscy komuniści węgierscy przebywający w Rosji w tym czasie, byli pod kluczem. Najwybitniejszy z nich, przywódca rewolucji w 1919 roku Bela Kun, podobno jeszcze żył i siedział w jakimś „politizolatorze” na południu Rosji. Matiasa Rakoš'ego spotkałem w 1941 roku w łagrach na dalekiej północy. Mam o nim jak najlepsze wspomnienie. W początku 1941 roku siedziałem w więzieniu w Butyrkach razem z niemieckim komunistą, członkiem Centralnego Komitetu Niemieckiej Partii Komunistycznej. W końcu 1941 roku w jednym ze szpitali łągiernych na północy Rosji natrafiłem na młodego oficera sowieckiego, który walczył w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii, a po powrocie do Rosji został prawie natychmiast aresztowany. Ojciec jego, generał sowiecki, zginął w czystkach 1938 roku. Chłopak ten całkiem otwarcie klął Stalina za zdradę rewolucji hiszpańskiej. George F. Kennan, jeden z najlepszych amerykańskich specjalistów od Rosji oraz były ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie twierdzi, że prawie sto procent

7. Albert Speer, *Erinnerungen*, Propyläen Verlag, Berlin, str. 183.

8. A. Speer, *Ibid.*, str. 319.

wyższych sowieckich wojskowych było w przededniu wojny 1939 roku objętych dziką czystką⁹.

Komuniści cudzoziemscy oraz weterani wojny hiszpańskiej nie stanowili jednak najważniejszej wewnętrznej przeszkody do sojuszu sowiecko-hitlerowskiego. Przeszkoda ta tkwiła również w postawie ogromnej większości inteligencji rosyjskiej, w tej liczbie i biurokracji partyjnej, która była usposobiona antyhitlerowsko i na ogół antyniemiecko. Trudności Stalina polegały również na tym, że nie miał wyraźnej koncepcji ideologicznej na uzasadnienie sterowania polityki zagranicznej w kierunku sojuszu z Hitlerem. Ogromny sowiecki aparat propagandowy wciąż operował ustalonymi hasłami walki z faszyzmem, wierności tradycji lenińskiej itp.; chociaż np. czytanie dzieł Lenina w sowieckich więzieniach, kiedy w nich siedziałem, było zakazane.

W roku 1940 miałem wyjątkową możliwość porównania, jak widzieli sytuację światową polscy oficerowie internowani w Kozielsku oraz przedstawiciele sowieckiej administracji, których tyłu spotkałem na Łubiance. Polscy oficerowie oczywiście byli przejęci wolą walki z Niemcami i w ogromnej większości jak najbardziej szczerze uważali, że pod tym względem Polska i Rosja miały wspólne interesy. Oficerów polskich przeważnie mało interesowała marksistowska analiza struktury społecznej i ekonomicznej, lecz ich postawa w stosunku do Rzeszy hitlerowskiej zbiegała się z tym, co myślał w 1940 roku przeciętny rosyjski partyjny inteligent.

Ta zbieżność musiała prawdopodobnie znaleźć jakieś swoje odbicie w raporcie, który dla wyższych władz sporządzał kombrig Zarubin. Możemy również domyślać się, że brano ją pod uwagę wtedy, kiedy sprawa losu polskich oficerów była rozważana na najwyższym szczeblu, to znaczy pomiędzy Berią a Stalinem. Gdyby polscy oficerowie mieli pozostać dłużej w Związku Sowieckim, należałoby znaleźć jakieś zastosowanie dla ich zawodowych kwalifikacji. W Kozielsku było około 300 lekarzy a także duża ilość inżynierów, agronomów oraz różnego rodzaju techników. To samo dotyczy Starobielska. Skierowanie tych specjalistów do sowieckich szpitali, fabryk i laboratoriów w momencie, kiedy najwyższe kierownictwo Związku Sowieckiego starało się umocnić świeżo zawarty sojusz z Hitlerem, mogłoby stworzyć dla nich warunki do szerzenia przekonania, że Hitler był tak samo wrogiem Rosji jak i Polski i mogło przyczynić się do podniesienia istniejących już fermentów wśród inteligencji sowieckiej w związku z prohitlerowską polityką Stalina. I to był prawdopodobnie

9. George F. Kennan, *Russia and the West*, A Mentor Book, str. 292.

jeden, chociaż oczywiście nie jedyny, z argumentów za fizyczną likwidacją polskich oficerów w ramach beriowskiego systemu zrjonalizowanych okrucieństw. Dążenie Stalina do przesunięcia się na pozycje hitlerowskie jeśli idzie o stosunek totalitarnego państwa do indywidualnego człowieka oraz międzynarodowe rozgrywki było sprzeczne z ideałami, którym miała służyć rewolucja rosyjska. Było więc działaniem kontrrewolucyjnym. Trockiści nazywali politykę Stalina polityką Termidoru. Jest w pewnym stopniu paradoksem historii, że polscy oficerowie, ludzie w większości bardzo dalecy od kontrowersji marksistowskich, padli ofiarą tych prądów w dziejach rewolucji rosyjskiej, które obiektywnie miały sens kontrrewolucyjny i że motywy ich egzekucji mogły być w każdym razie częściowo te same, co motywy egzekucji przywódców Polskiej Partii Komunistycznej.

Reasumując sędzę, że posiadamy dostatecznie dużo elementów, aby odtworzyć logikę decyzji katyńskiej:

1) Decyzja wymordowania jeńców polskich została prawdopodobnie powzięta przez samego Stalina gdzieś w końcu lutego lub w marcu 1940 roku. Jest trudno sobie wyobrazić, aby Beria lub Mierkułow mogli wziąć tego rodzaju decyzję na własną odpowiedzialność. Należy przypuszczać, że obsesja Stalina w sprawie sojuszu sowiecko-niemieckiego odegrała w tym jakąś rolę. Nie mamy jednak jak dotychczas żadnych wskazówek, że sojusznicy niemieccy zostali o tej decyzji powiadomieni.

2) Nie wydaje mi się, aby Griazowiec lub Małachowka wymagały osobistej decyzji Stalina. Były one po prostu wynikiem ogólnej zasady dialektycznego traktowania każdej sprawy. Poza tym bardzo wyraźnie troszczono się, aby możliwie zatrzeć ślady zbrodni. Ci którzy przeżyli, stanowiliby żywe zaprzeczenie wszelkich możliwych pogłosek o egzekucji. Kiedy likwidowano przywódców PPK, niektórzy polscy komuniści — z tych, którzy w tym czasie byli w Rosji — okres ten przeżyli. Kiedyś jakiś przyszły historyk wyjaśni, jakimi szlakami chodził wówczas Bierut.

3) Wkrótce po mordzie katyńskim zarysowała się zmiana w stosunku do Polaków. W drugiej połowie 1940 roku zmieniły się, o ile mogłem się zorientować, metody badań. Miałem wrażenie, że do Polaków stosunkowo rzadziej stosowano tortury niż do Rosjan, z którymi wypadło mi siedzieć na Łubiance i w Butyrkach. Dochodziły mnie słuchy o szeregu aktów ułaskawienia tych, co poprzednio zostali skazani na śmierć.

Kadry partyjne u szczytu aparatu władzy zaczęły się wahać co do racjonalności — z punktu widzenia ich zadań i celów — masowej egzekucji Polaków. Możliwe, że Mierkułow był zupełnie szczerzy, gdy mówił Berlingowi i towarzyszom, że z oficerami

Kozielska i Starobielska został popełniony „wielki błąd”. Około tysiąca oficerów i podchorążych, których ogarnięto na Litwie, już nie oddano oddziałom egzekucyjnym, lecz przewieziono do Griażowca. Przypuszczam, że czynnikiem, który spowodował pewne złagodzenie kursu wobec Polaków było zajęcie przez Hitlera Francji. Hitler, zaangażowany w wojnie na Zachodzie, nie był straszny dla Związku Sowieckiego. Hitler, który stawał się panem Europy, stanowił wyraźną groźbę. Polacy mogli się przydać w jakiejś przyszłej rozgrywce z Hitlerem i dlatego z punktu widzenia beriowskiego systemu zracjonalizowanych okrucieństw, całkowita likwidacja fizyczna warstw przywódczych narodu polskiego nie była wskazana. Gdy w lutym 1941 roku w dość odprężonej atmosferze zamykano śledztwo w mojej sprawie, sędzia śledczy wdał się ze mną w pogawędkę na tematy ogólne. W tym co mówił brzmiały nuty braku wiary, aby sojusz sowiecko-niemiecki dał się utrzymać. Patrząc na rozpiętą na ścianie sztabową mapę Jugosławii, gęsto usianą równokolorowymi chorągiewkami, które prawdopodobnie znaczyły siatkę sowieckich agentur na terenie tamtego kraju, pomyślałem że takie wejście na szlaki ekspansji niemieckiej musi stanowić prowokację w stosunku do Hitlera.

Było to w tym samym czasie, kiedy Stalin robił rozpaczliwe wysiłki, aby sojusz sowiecko-niemiecki jakoś utrzymać. Dotychczas zadaję sobie pytanie, czy Stalin uświadamiał sobie, że jego aparat wywiadu i propagandy właśnie prowokuje Hitlera. Hitler nie był mężem stanu. Był człowiekiem ogarniętym wściekłą pasją, która porywała tłumy niemieckie. Ciągłe mówił i pisał o swoich dalekosiężnych wizjach, lecz jego decyzje były przeważnie emocjonalne. Był o wiele bardziej niż Stalin niewolnikiem własnej frazeologii i łatwo wpadał w gniew

Kto chciał więc uniknąć zbrojnego starcia musiał być bardzo ostrożny, aby nie atakować bezpośrednich obiektów ekspansji niemieckiej. Pomimo prohitlerowskiego nastawienia Stalina równowaga stosunków sowiecko-niemieckich miała charakter bardzo chwiejny. Pełne zrozumienie dialektyki Katynia jest możliwe tylko wtedy, gdy uwzględni się fluktuację chwiejnej równowagi sojuszu sowiecko-niemieckiego.

Rozdział XII

ROSJA A POLSKA

Wyjaśnienie tajemnicy katyńskiej jest istotne również ze względu na dziejowy problem Polski i Rosji — dwóch narodów, których wzajemne stosunki w ciągu wieków są naładowane emocjonalnie wybuchowym materiałem. Nie wierzę w istnienie „dziedzicznych” czy też „odwiecznych” wrogów. Lecz trzeba zgodzić się, że pewne fakty historyczne mogą ciążyć na stosunkach pomiędzy narodami poprzez pokolenia oraz że te fakty mogą nabrać większej wyrazistości i większego znaczenia z perspektywy historycznej. Mogą też zaważyć, gdy w przyszłości przyjdą momenty wielkich decyzji. Trzeba też przyznać, że ładunek emocjonalny zawiera wiele elementów, które reprezentują różną siłę wybuchową. Nie wszystkie te elementy pchają do walki, są również takie, które pobudzają do kooperacji i przyjaźni.

Jest pewna niecisłość w opinii o dziejowym sporze polsko-rosyjskim. Dziejowy spór istniał, co najmniej od czasów Iwana III, pomiędzy Rusią Moskiewską a Wielkim Xięstwem Litewskich. Gdy Wielcy Książęta Litewscy stali się królami polskimi, a wyższe warstwy społeczeństwa litewsko-ruskiego zaczęły coraz bardziej polonizować się, spór ten zaczął przybierać charakter sporu pomiędzy Rosją a Polską. Nawet w czasach porozbiorowych znaczna część spolonizowanej szlachty myślała w kategoriach interesów Wielkiego Xięstwa Litewskiego, państwa, które przestało już istnieć i które nie miało wyraźnej bazy etnograficznej jako podstawy do ewentualnego odrodzenia — takiej jaką miała Korona Polska. Puszkina w swoim sławnym wierszu o Powstaniu Listopadowym pisał o rewolcie Litwy. Józef Piłsudski próbował w latach 1919-20, w miarę tego, jak wojska polskie posuwały się na wschód — odbudować jedność ziem dawnego

Wielkiego Xięstwa Litewskiego, niezależnego od Sejmu i Rządu w Warszawie. Po klęsce kijowskiej w maju 1920 roku te próby trzeba było zarzucić. Mój opisany powyżej spór z Ksawerym Pruszyńskim na nadwożańskiej plaży polegał właśnie na tym, że Ksawery był gotów w imię przyjaźni z Rosją przekreślić tradycję wielkolitewską w naszej historii. Ja zaś uważałem tę tradycję za organiczną część własnych umiłowań w tej części świata gdzie się urodziłem i którą uważałem za swoją ściślejszą ojczyznę. Dziś Wielkie Xięstwo Litewskie, którego wskrzeszenie wydawało się realne w 1919 roku, należy wyraźnie do przeszłości. Narasta natomiast problem całkowitej niepodległości dla Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich. Osobiście przywiązuję do tego problemu dużą wagę. Jak ten problem zaważy na stosunkach polsko-rosyjskich trudno przewidzieć. Polska, która się wyłoniła z drugiej wojny światowej, nie jest już nosicielem tradycji wielkolitewskiej tak jak w pewnym stopniu była nią Polska Piłsudskiego.

W ciągu ostatnich dwustu lat naród nasz doznał od Rosji ogromnej ilości krzywd. Lecz trzeba również pamiętać, że w ciągu XIX-go wieku aż do końca pierwszej wojny światowej wielu Polaków mieszkało w Rosji, entuzjazmowało się literaturą i sztuką rosyjską, kochało rosyjskie kobiety, robiło w Rosji majątek, miało wielu rosyjskich przyjaciół, że polscy inżynierowie budowali w Rosji koleje i administrowali przemysłem donieckim, że polscy uczeni i badacze wykładali na rosyjskich uniwersytetach, że w armii rosyjskiej wielu Polaków dochodziło do generalskich stopni, że pomiędzy powstaniem 1863 roku a pierwszą wojną światową byli Spasowicze, Ledniccy, Żukowscy, Petrażyccy, Waśkowscy, Zielińscy, Przewalscy, Grąbczewscy. Należę jeszcze do tego pokolenia, które przeszło przez szkołę rosyjską i umiem na pamięć więcej Lermontowa i Puszkina niż Mickiewicza i Słowackiego. Chociaż jeszcze jako sztabak znalazłem się w pierwszym roku pierwszej wojny światowej w polskiej konspiracji i odkąd zacząłem myśleć politycznie, byłem zawsze w cieniu legendy Józefa Piłsudskiego — nauczyłem się również cenić walory kultury i sztuki rosyjskiej.

Nawet w naszych wspomnieniach z łagrów i więzień sowieckich w czasie ostatniej wojny nie wszystko było bezwzględnie czarne. W Kozielsku było kilku oficerów rannych w kampanii wrześniowej, których przewieziono po wzięciu do niewoli do szpitala w Kijowie; wspominali oni z najwyższym uznaniem troskliwość, jaką otaczali ich lekarze i pielęgniarki. Moje własne obserwacje z więzień i łagrów sowieckich pozostawiło wrażenie, że lekarz z reguły był tam przyjacielem więźnia. Mam jak naj-

lepsze wspomnienie o stosunku do mnie moich współwięźniów w celach Łubianki i Butyrek. To są wszystkie rzeczy, które trzeba rzucić na szalę gdy się sprawę Katynia rozważa w perspektywie historycznej.

Oczywiście tendencje do odrodzenia kultu Stalina są rzeczą wysoce niepokojącą. Lecz to dotyczy przede wszystkim rządzącej warstwy — biurokracji partyjnej, która stanowi narośl na ciele narodów sowieckich nie związaną organicznie z gospodarczym i kulturalnym rozwojem tych narodów. Bardzo trudno jednak powiedzieć co dzisiaj myśli przeciętny Rosjanin. Przypuszczalnie słowo Katyń bardzo mało mu mówi. To, co A. Werth pisze o „otwartej tajemnicy” dotyczy ludzi zorientowanych w życiu publicznym i kulturalnym, oraz ludzi starszego pokolenia z którymi przede wszystkim miał do czynienia. W szczególności bardzo mało wiemy, jak patrzy na świat młode pokolenie dzisiejszej Rosji, urodzone już po wojnie, dla którego Stalin, jego zbrodnie i jego tryumfy, są już kwestią historii. Lecz cały świat wie, że wśród tego pokolenia istnieje pewnego rodzaju elita moralna i artystyczna niezmiernie wyczulona na wszystko, co jest kłamstwem i zbrodnią. Sołżenicyna można nazwać najwybitniejszym przedstawicielem tej elity, chociaż sam Sołżenicyn należał jeszcze do pokolenia przedwojennego. Jest rzeczą prawdopodobną, że ważnym powodem, dla którego ludzie rządzący Związkiem Sowieckim nie decydują się na uczciwe honorowe zamknięcie sprawy katyńskiej jest obawa szoku wśród szerokich mas, a szczególnie wśród młodego pokolenia, gdy okoliczności tej zbrodni zostaną podane do publicznej wiadomości. Tymczasem właśnie ta elita moralna, reprezentowana przede wszystkim przez Sołżenicyna, Sacharowa, Amalrika i redaktorów tak zwanego „Samizdatu”, ma wszystkie dane, aby znacznie przyczynić się do zneutralizowania efektu historycznego zbrodni epoki stalinowskiej.

Gdy się mówi o sowieckim systemie mordów i terroru, jeszcze o jednej rzeczy trzeba pamiętać. Stalin i Beria nie byli Rosjanami lecz Gruzinami. Stalin, tak samo zresztą jak podobno Katarzyna II-ga, nigdy nie mógł się pozbyć swego cudzoziemskiego akcentu. Stwierdziłem to osobiście, słuchając wielokrotnie przez radio mów Stalina na różnych zjazdach. Natomiast twórca sowieckiej tajnej policji, ten który zapoczątkował posługiwanie się mordami i torturami jako metodą rządzenia, to polski szlachcic Feliks Dzierżyński; jego zastępcą, a potem następcą na stanowisku szefa OGPU był W. Mienżyński, również Polak szlacheckiego pochodzenia, a po jego śmierci, w 1934 roku, szefem tajnej policji, przemianowanej na NKWD, został Henryk Jagoda,

podobno polski Żyd¹. Dopiero po wykończeniu Jagody przyszedł w 1937 roku Rosjanin Jeżow, a potem, w 1938 roku, Gruzin Beria. Jedna z najbardziej odrażających postaci stalinowskiego terroru A. Wyszynski, naczelny prokurator, który był oskarżycielem we wszystkich głównych procesach pokazowych, w których skazywano dawnych współpracowników Lenina, również przyznawał się do swego polskiego pochodzenia, chociaż twierdził, że nie zna polskiego języka.

Polska dzisiejsza jest związana z Rosją nie tylko przez to, że razem z innymi krajami Środkowej i Wschodniej Europy trzymana jest w kleszczach ogromnej wojskowej i policyjnej maszyny sowieckiej, lecz również przez to, że wszelkie nadzieje na wyzwolenie są oparte na możliwości jakichś zmian w Rosji. Dzisiaj już nikt nie może się modlić o wielką wojnę ludów, jak to podczas poprzedniej wielkiej emigracji czynił Mickiewicz, bowiem przyszłość świata w ogromnym stopniu zależy od tych, którzy w swoim ręku posiadają środki masowego zniszczenia. Lecz nawet jeżeli przypuścimy że w pewnej chwili Polska odzyska zupełną swobodę decydowania o swoich losach, to należy pamiętać, że przemysł polski jest dziś niemal całkowicie zależny od surowców rosyjskich. Pewne więc więzy z Rosją w każdym razie będą musiały być zachowane. W tych warunkach w interesie obydwu stron leży, aby te więzy były oparte nie tylko na strachu — tak jak dzisiaj — lecz również na pewnym elemencie wzajemnego szacunku i zaufania.

Sprawa katyńska jest ropiejącym wrzodem, który może na wieki zatruć stosunki polsko-rosyjskie. Jeżeli te stosunki mają rozwijać się na zdrowych podstawach, wrzód ten musi być rozcięty. Liczba Żydów, wymordowanych przez Gestapo jest o wiele większa niż liczba Polaków, wymordowanych lub zamęczonych przez NKWD, lecz stosunki pomiędzy Niemcami a Żydami zostały znormalizowane. Stało się tak dlatego, że powojenne rządy niemieckie oraz całe społeczeństwo niemieckie bezwzględnie i bezapelacyjnie potępiły morderstwa dokonane na bezprzykładną skalę przez hitlerowców na ludności żydowskiej różnych krajów europejskich. Tymczasem nikt nie wie, ilu spośród sowieckich neostalinistów właśnie w decyzji katyńskiej widzi jeden z objawów mądrości Stalina jako męża stanu.

Związek Sowietów potępił szereg mordów, dokonanych z rozkazu Stalina: „zrehabilitowano” marszałków Tuchaczewskiego i Blüchera oraz szereg starych komunistów, dawnych współpracow-

1. Ronald Hingley, *The Russian Secret Police*, London, Hutchinson, 1970, str. 157.

ników Lenina. Chruszczow potępił przesiedlenie Tatarów krymskich oraz niektórych narodowości kaukaskich i środkowo-azjatyckich, po czym przesiedleńcy otrzymali w każdym razie częściowo, prawo powrotu do miejsc zamieszkania. Rozstrzelano Berię i Mierkułowa głównych wykonawców zbrodniczych decyzji Stalina. A jednak w sprawie Katynia Związek Sowiecki wciąż zasłania się fikcją sprawozdania komisji wyznaczonej przez Stalina. Komisja ta stanowiła dziwoląg logiczny i prawniczy, bo nie dano jej prawa dochodzenia kto dokonał mordu katyńskiego. Musiała przyjąć z góry, jako założenie nie podlegające dyskusji twierdzenie, że zbrodnia została dokonana przez Niemców a potem jedynie ułożyć — przeważnie na zasadzie materiałów przedłożonych przez NKWD — opis jak Niemcy tej zbrodni dokonali. Kłamstwo leżało więc w samym założeniu prac tej Komisji która — jak przyznał jej przewodniczący dr Burdenko — działała pod przymusem, na osobisty rozkaz Stalina. Wszyscy Polacy i Rosjanie partyjni czy bezpartyjni, którym zależy na stworzeniu atmosfery wzajemnego zaufania i kulturalnego współżycia Polski i Rosji muszą stanowczo żądać, żeby władcy sowieccy zechcieli wyprowadzić sprawę Katynia z tego ślepego zaułka, który się wytworzył przez oficjalne podtrzymywanie nie dającej się obronić tezy, że mord katyński został dokonany przez Niemców, w co nikt dzisiaj nie wierzy.

Drogą do wyjścia z tej trującej atmosfery zakłamania mogłoby być stworzenie jakiejś polsko-sowieckiej komisji, która by zbadała nagromadzone w tej sprawie materiały, ustaliła odpowiedzialność. Ustalenie odpowiedzialności wcale nie oznacza, że muszą się odbyć jakieś sądy dla ukarania winnych. Przypuszczalnie główni winowajcy mordu katyńskiego już nie żyją. Wiele zbrodniczych decyzji Stalina potępiono już na XX-tym Zjeździe Partii Komunistycznej, a potem na XXI-szym Zjeździe uchwalono, aby ciało Stalina usunąć z mauzoleum leninowskiego. Beria i Mierkułow, przypuszczalnie główni wykonawcy decyzji katyńskiej, zostali rozstrzelani na zasadzie wyroku sądów sowieckich. Ponieważ rozprawy były tajne, nie wiemy czy w ich trakcie był omawiany mord katyński i czy w ogóle z tytułu tego mordu stawiano im jakieś zarzuty. Sprawa katyńska zostanie zamknięta tylko wówczas, gdy cały naród rosyjski potępi tę ohydłą zbrodnię, dokonaną z pełną premedytacją przez NKWD — i wyciągnie z tego konsekwencje.

INDEKS NAZWISK

- Abramowicz (przyjaciół Lenina) 322
 Abramowicz Witold 273
 Adamus Jan, doc. 170
 Aleksiejew Felix 312
 Alexandrowicz Bohdan 187
 Allilujewa (żona Stalina) 173
 Allilujewa Swietłana 116, 324
 Alter Wiktor 221-227, 261, 264, 266, 287
 Amalrik Andriej 350
 Anciewicz Franciszek 171, 228
 Anders Władysław, gen. 64, 68, 87, 96, 106, 162, 163, 179, 203, 217, 228, 235, 247, 250, 251, 263, 284, 289, 297, 298, 301-303, 305, 307, 315, 319, 331
 Andrzejkowicz, por. 49, 51
 Antoniewicz, kpt. 87, 88
 Atatürk Kemal 240
 Bader Karol, poseł 297
 Badjan, dr 177
 Barnby, lord 312
 Bąkiewicz Wincenty, mjr 84, 301
 Beck Józef 17, 19, 28, 31-33, 37, 52, 54, 131, 244, 246, 273
 Bela-Kun 138, 159, 182, 344
 Belina-Prażmowski 293
 Benesz Eduard 244, 245
 Beria Ławrentij 96, 116, 117, 140, 143, 146, 149, 166, 186, 190, 205, 208, 219, 221, 224, 306, 342, 345, 346, 350-352
 Berling Zygmunt, gen. 319, 346
 Bevin Ernest 296
 Bierut Bolesław 227, 346
 Bismarck, kanclerz 36, 240
 Bissel, gen. 317
 Bliss-Lane Arthur, ambasador USA 309
 Blücher, marszałek 334, 351
 Błeszyński, płk 234
 Bocheńscy 237
 Bocheński Adolf 15, 229, 230, 242
 Bogomołow, ambasador 297, 299
 Bohatyrewicz Bronisław, gen. 90, 320
 Branicy 159
 Breźniew Leonid I. 117
 Broniewski Władysław 216, 232
 Brook Allan 54
 Bruner Waław 142
 Brzechwa Jan 136
 Brzeziński Zbigniew, prof. 342
 Brzozowski Stanisław 245
 Bucharin Nikołaj 117, 128, 223
 Buhtz Gerhard, prof. dr 322
 Burdenko, dr 318, 322, 352
 Bychowicz Jerzy, kpt 50, 54, 63, 105
 Cadogan Alexander, sir 313
 Carton de Viart, gen. 233
 Chamberlain Neville 30, 133
 Chruszczow Nikita S. 117, 185, 187, 333-338, 352
 Churchill Winston 89, 99, 133, 247, 248, 289
 Ciechanowski Jan, ambasador 296, 304
 Conquest Robert 184, 185, 323, 343
 Cripps Stafford, sir, ambasador bryt. 261
 Czajkowski, ziemianin z Podola 102
 Czapski Józef, rtm. 297, 319, 328
 Czartoryski Adam, książę 331
 Cziczeryn 207

- Dallin Alexander 331
 Damięcki 142
 Dargenfield Irma 313
 Dąb-Biernacki Stefan, gen. 62, 80,
 84-87, 316, 329
 Dembiński Henryk 32, 165, 254
 Denikin, gen. 218
 Deutscher Izaak 227
 Dmowski Roman 229
 Dostojewski Fiodor 100, 116, 173,
 174, 188
 Douhet Giulio, gen. 143
 Dunin-Borkowski Piotr, kpt. 86, 87
 Dzierżyński Feliks 117, 124, 168,
 211, 323, 350
 Dżengis Chan 37
 Džilas Milovan 127, 144, 336
- Earl George H. 318
 Eden Anthony 312
 Ehrenkreutz Stefan, prof. 34, 152,
 153
 Ehrlich Henryk 221-227, 261, 264,
 266, 287
 Eisenhower Dwight 54, 295
 Englicht, płk 152
 Epstein Julius 323
 Estreicher Stanisław 37
- Fajans Roman 216, 267
 Feuerbach Ludwig A. 325
 FitzGibbon Constantine 325
 FitzGibbon Louis 311, 312, 314
 Frunze Michaił W. 190
 Fryderyk Wielki 25
- Gacki Stefan 215
 de Gaulle Charles 144
 Gawlina, bp polowy 221
 Giedroyc Jerzy 23, 225, 230
 Godłowski, dr 88, 89, 104
 Gomułka Władysław 334
 Gorki Maksym 98
 Göring Hermann 25
 Grabski Stanisław, prof. 170
 Grąbczewscy 349
 Grąbczewski, gen. 276
 Grubiński Wacław 216, 232
- Hagemayer Włodzimierz 230
 Haller Józef, gen. 80
- Hegel Georg W. F. 325
 Hertz Aleksander 26
 Heydel Adam, prof. 229, 272
 Hindenburg Paul 23
 Hingley Ronald 323, 334, 341, 351
 Hitler Adolf 13, 14, 16, 18-20, 22-
 24, 26-30, 34-36, 40, 53, 97, 130-
 133, 154, 156, 164, 171, 184, 218,
 220, 224, 246, 247, 249, 261, 269,
 314, 326, 331, 341-345, 347
- Iwan Groźny, car 268, 275, 324
 Iwan III, car 186, 253, 275, 276,
 348
- Jakowicki W. M., prof. dr 187
 Jagiellonowie 212, 275
 Jagoda Henryk 350
 Jan, Apostoł 197
 Jaworski Iwo 131
 Jaworski Władysław Leopold 131
 Jedlicki Marian, prof. 132
 Jefremow 173
 Jegorow, marszałek 334
 Jerzy VI, król angielski 313
 Jesienin Siergiej A. 160
 Jeżow N. 116, 117, 138, 139, 143,
 166, 175, 176, 180, 184, 192, 219,
 221, 224, 306, 351
 Jędrzychowski Stefan 254
 Jędrzejewicz Janusz, premier 32
- Kamieniew Lew B. 128, 223
 Kamiński Władysław, ppłk 301
 Kandelaki David 343
 Kane, senator (Australia) 312
 Kantak Kamil, ks. prof. 99, 100
 Katarzyna II, caryca 162, 186, 255,
 350
 Kautsky Karl 245
 Kennan George F. 344, 345
 Keynes John M. 22
 Kierenski Aleksandr 209
 Kirow Siergiej M. 342
 Kisieliew P. 309
 Kleeberg Franciszek, gen. 71
 Kobylański, wydział wschodni MSZ
 152
 Koc Wacław, płk 170, 273
 Koestler Arthur 155
 Kohn Stanisław 142
 Kołczak Aleksandr, admirał 80

- Komarnicki Waclaw, prof. 94, 98,
 104, 106, 121, 177, 248, 328, 329
 Kornilowicz, ks. 102
 Kornilowicz Tadeusz, ppłk 102
 Korowajczyk Leonard, ppor. 101,
 108
 Kościalkowski Stanisław, prof. 216,
 232
 Kościuszko Tadeusz 241
 Kot Stanisław, prof. 106, 176, 178,
 204, 216-221, 223, 226, 232, 233,
 235-238, 240-242, 258-265, 267,
 271-274, 279, 284, 286-289, 291,
 292, 296, 297, 299, 300, 304-306,
 319
 Kowszyk Arkadiusz, kpt. 54, 55, 68,
 302
 Kozieł-Poklewski, kpt. 95
 Kozłowski Leon, prof., premier 227-
 231
 Krajewski, ppłk 305
 Kriwożercow Iwan 309, 310
 Kropotkin Piotr, książę 199, 200
 Król, ppor. 58
 Kruk Waclaw, por. 317
 Kruk-Śmigła, ppłk 48, 51, 54
 Książę Igor 85
 Kucharski, O. jezuita 216, 221, 247
 Kuczyńska Danuta (żona Stefana)
 321
 Kuczyńska Irena (żona Stanisława)
 321
 Kuczyński Stanisław, rtm. 321
 Kuczyński Stefan, por. 321
 Kukiel Marian, gen. 306
 Kuminek Henryk Bruno, ppor. 317
 Kutrzeba Stanisław, prof. 37
 Künstler S., płk 56, 85, 87, 94, 167,
 329-331
 Kwaciszewski, gen. 46, 48, 51
 Kwiatkowski Eugeniusz, inż. wice-
 premier 43, 73, 225, 234

 Lebedziewski Jerzy 301
 Ledniccy 349
 Lenin Włodzimierz I. 8, 15, 28,
 113, 117, 134, 135, 143, 144, 168,
 173, 186, 200, 207, 208, 211, 223,
 246, 266, 286, 295, 322, 325, 326,
 331, 336, 338, 345, 351, 352
 Lermontow Michał J. 9, 186, 265,
 349
 Libicki Janusz, por. 101
 Lipkowska Teresa 239, 267, 285-287

 Lipski Józef, ambasador 25
 Litwinow Maksim M. 34
 Llyod George 234, 296
 Lubodziecki Stanisław, płk 148, 302
 Lubomirski Eugeniusz, książę 228
 Ludendorff Erich, gen. 23
 Ludendorff Matylda, dr fil. 23

 Łoboda Michał 310
 Łunaczarskij Anatolij 192, 207

 Mackiewicz Józef 229, 308, 310,
 321, 331
 Mackiewicz Stanisław 15, 17, 26-28,
 31, 36, 37, 39, 45, 53, 70, 132,
 229, 237, 240, 243, 253, 273
 Majakowski Władimir 143
 Majkowski, kpt. 75
 Majskij Iwan 98, 238, 241, 244,
 258, 259, 263, 296, 302
 Maliniak Julian, dr 267
 Maliszewski, dr prezydent m. Wilna
 187
 Mann Tomasz 23
 Marks Karol 117, 144, 245, 256
 Marshall George 54
 Masaryk Tomasz Garrigue 212
 Mazepa, hetman 212
 Merezkowski Dmitrij S. 100, 173,
 212
 Meyerhold Wsiewołod E. 160, 161
 Michajłowicz Draża, gen. 229
 Mickiewicz Adam 38, 173, 349, 351
 Mienżyński Wiaczesław R. 350
 Mierkułow 117, 205, 346, 352
 Mikołaj I, car 265
 Mikołaj II, car 95, 239, 276
 Mikołaj, metropolita 318
 Mikołaj Piotrowicz 192-199
 Mikołajczyk Stanisław 260, 339
 Miłosz Czesław 255
 Minkiewicz Henryk, gen. 320
 Mirosznikow 155, 156, 158
 Mołotow Wiaczesław M. 34, 39,
 185, 205, 223, 297, 341, 343, 344
 Młynarski Bronisław 328
 Monfort de Henri 323
 Morawski Kajetan 177, 297, 299
 Moszyński Adam mjr 87, 301, 316
 Mościcki Ignacy, Prezydent RP 31,
 32, 52, 244
 Mussolini Benito 8, 28

- Nadzieja Aleksiejewna 196-198
 Napoleon I 99, 133
 Napoleon III 99
 Neave Airey, poseł 311
 Nekricz, A. M. 341
 Neurath Konstantin von 343
 Niebogatow, admirał 80
 Nikon, patriarcha 173
 Nixon Richard 313
 Nowak, płk ks. 90, 99
 Nowakowski, mjr 52
 Nowicki rtm. 43, 62
 Nowikow-Priboj Aleksiej S. 80
 Nowosielski Gustaw, ppłk dypl. 52, 54, 73, 75, 77, 79, 81-83, 85, 88, 90, 91, 106, 302
- Oberländer Teodor, prof. 17-20
 Obertyński, płk 84
 Okulicki Leopold, płk 300
 Olejniczakowski Eugeniusz 33
 Olszański B., prof. 322, 323
 O'Malley Owen, sir, ambasador 312-314
 Orłow, admirał 142, 156, 189
 Orłowa, dr 189-191
 Orsos, prof. 309
- Paderewski Ignacy 20, 273
 Parczewski Alfons, rektor 243
 Parnicki Teodor 216
 Pawlukiewicz, pchor. 179
 Pawłowski, kpt. 51, 52, 54, 57, 58, 302
 Payot 129
 Pehr Otto 204-207, 210, 213, 265, 299
 Pełczyński Tadeusz, płk 46, 51, 153, 154
 Peszek W., płk 52
 Peszke, płk pastor 52, 90
 Petlura Symeon W., ataman 33
 Petrażyccy 349
 Piasecki (wiceminister Komunikacji) 16
 Piekarski, gen. 64, 75
 Piłsudski Józef 9, 16, 17, 19, 25, 28, 32, 33, 66, 70, 81, 88, 89, 101, 102, 104, 109, 130, 131, 135, 213, 230, 240, 341, 246, 253, 260, 272, 273, 286, 296, 330, 348, 349
 Piłsudski Rowmund 313
 Piotr I Wielki, car 173, 255, 278
- Piotr III, car 162
 Pipes Richard 186
 Pohorecki, sędzia 328, 329
 Połujan Józef, por. 87, 88
 Postyszew 342
 Pruszyńscy 237
 Pruszyński Ksawery 216, 227, 237-247, 251-256, 262, 265-267, 270, 271, 279, 281, 284, 291, 292, 349
 Prystor Aleksander, premier 32, 228
 Przedzimirski, gen. 75
 Przewalscy 349
 Puciński Roman, kongresman 312
 Pugaczow Emelian 162, 275, 276
 Puszkina Aleksandr 9, 136, 143, 186, 212, 265, 349
 Puzyna, księżka 95
- Rackiewicz Władysław, Prezydent 218, 236
 Raczynski Edward, ambasador 299
 Radek Karol 128, 138, 173
 Radowski (konsul) 15, 17
 Radziwiłł Janusz 212
 Radziwiłłowie z Nieświeża 37
 Rajch Zinajda 160, 161
 Rakosi Matyas 159, 182, 183, 344
 Rasputin Grigorij J. 95
 Razin Stienka 275
 Reksć, por. 51
 Remarque Erich Maria 188
 Reza Pahlewi, szach 282
 Ribbentrop Joachim 39, 185, 261, 341, 343, 344
 Rola-Janicki 231-233, 235-237, 263, 287
 Romer Tadeusz, ambasador 259, 263, 288
 Roosevelt Eleanor 222, 224
 Roosevelt Franklin Delano 295, 313
 Rose, prof. 88
 Rudnicki Tadeusz, ppłk dypl. 52, 54, 56, 232, 233
 Rydz-Śmigły Edward, marszałek 27, 28, 31, 52, 70, 240, 244
- Sacco 226
 Sacharow Andriej 350
 Sadowski, kpr. 76, 77
 Sawicki, gen. 59
 Sawinkow Borys 140
 Schacht Hjalmar 19, 22, 154, 343
 Schapiro Leonard 223, 334, 336, 343

- Schulenburg Friedrich W. 341
 Seeckt Hans von, gen. 27
 Seraphim, Peter Hans 20
 Severy Frank, konsul bryt. 235
 Sielicki, por. 56, 79, 82, 302
 Sienkiewicz Henryk 102, 120, 212
 Sierakowski Zygmunt 278
 Sierow, gen. NKWD 185, 337
 Sikorski Władysław, gen. 98, 106, 131, 132, 217-219, 223, 235-238, 240, 241, 244, 250, 258, 259, 261-263, 273, 288, 289, 296, 297, 299, 301, 302, 304-306, 319
 Singer Bernard 216, 225-227, 232, 267, 271, 272, 279, 281, 286, 291
 Skalak Bronisław 142, 146
 Skąpski (chemik) 216
 Skorel, ks. 90, 99
 Skrzypek Stanisław, dr 170
 Skulski Leopold, premier 228
 Skwarczyńska, dr 190
 Skwarczyński Adam 190
 Skwarczyński Stanisław, gen. 190
 Sławek Walery 32-34
 Sławoj-Skłodkowski Felicjan, gen., premier 240
 Słowacki Juliusz 54, 349
 Sneh Mosze, dr (Kleinbaum) 314, 315
 Sokolnicki Henryk 216, 287
 Solski Adam, mjr 86, 87, 316
 Sołowiow Władimir 100, 174
 Sołżenicyn Aleksandr I. 114, 161, 191, 323, 336, 350
 Sombart Werner 24, 155, 272
 Sorel Jerzy 8, 26
 Sosnkowska, generałowa 239
 Sosnkowski Kazimierz, gen. 76, 78, 156, 219, 240, 296
 Spasowicze 349
 Speer Albert 344
 Srokowski Konstanty 131
 Stahl Zdzisław, prof. 96, 307, 310
 Stalin Józef W. 29, 30, 34, 36, 53, 54, 116, 117, 123, 154, 156, 159-161, 171, 173, 184, 186, 187, 197, 205, 207, 218, 219, 221-225, 247-250, 256, 260, 266, 275, 276, 282, 297, 299, 301, 318, 322, 324, 326, 327, 334-338, 340, 342-347, 350-352
 Staniewicz Witold, prof. 17, 25, 29, 130
 Stanisławski Konstantin S. 143, 160
 Stankiewicz Waclaw, rtm. 87
 Starzewski A., ppłk 148
 Stefan Batory, król 88, 268, 275
 Stołypin Piotr A. 107, 123, 239
 Stresemann Gustav 24, 25
 Stroński Stanisław 273
 Studnicki Władysław 15, 28, 34, 37, 38, 229, 242
 Sukiennicki Wiktor, prof. 95, 171, 215-217, 226
 Szamil 278
 Szamota, por. 65
 Szawłowski, prof. 231
 Szymański Henry J., płk 318
 Szyszko-Bohusz Z., gen. 247
 Świtalski Kazimierz, Premier 340
 Telmany Adam, por. 176, 301
 Tiszbein 156-158
 Todt Fritz 16, 300, 309, 319
 Tołstoj Aleksiej 318
 Tołstoj Lew 186
 Toynbee Arnold 256
 Trockij Lew D. 207, 223, 226
 Tuchaczewski Michaił N., marszałek 30, 142, 156, 189, 190, 334, 342, 343, 351
 Tucholski, doc. 108
 Tupolew Andriej N. 161
 Tyszkiewicz Michał 289
 Tyszkiewicz Stefan 15, 16
 Tyszyński, płk 86, 87, 94, 329-331
 Ulam Adam B., prof. 323
 Urbanowicz Waclaw, por. 50-52, 76
 Van Vliet, płk 317, 318
 Vanzetti 226
 Varga 182
 Wania, ppłk 87
 Wasilewska Wanda 136, 319
 Wasilewski Leon 136
 Waśkowscy 349
 Weber Max 272
 Weintraub Wiktor, prof. 216, 226
 Werth Aleksander 335, 350
 Weygand Maxime, gen. 88
 Widra Abram 314
 Wielopolski Aleksander, margrabia 331
 Wilecki Alfred, kpt. 317

- Wirszyło Tadeusz 103, 104
Wiścicki, kpt. 51
Wiśniowski Kazimierz, gen. 156,
158
Witos Wincenty 272
Wittlin Tadeusz 315, 317, 318
Wodziński Marian, dr 320
Wojtyński, ks. prałat 90, 99
Wolikowski, gen. 205, 216, 232, 263
Wołkowiński, gen. 71-73, 79-83, 90,
92
Wozniesenski M. A. 251
Wysłouch Seweryn 32
Wyspiański Stanisław 34
Wyszynski Andriej 223, 263, 264,
297, 299, 351
- Yenukidze Abel 189
- Zając, gen. 289
- Zaks-Zygfryd 142
Zaleski, August 218, 219, 296, 299
Zaremba Krystyn 142
Zarubin, gen. bryg. 97, 104, 105,
121, 129, 167, 248, 328, 345
Zawadzki Władysław, prof. 294
Zawodny Janusz K., prof. 310, 311,
318, 339
Zbyszewscy 237
Zbyszewski Wacław A. 15, 40
Zdziechowski Marian 100, 329
Zieliński 349
Zinowjew G. I. 128, 223
Ziółkowski, ks. 99, 100
Zwierzyński 252
Zyndram-Kościakowski Marian 33,
228
- Żeliński, płk 87, 163
Żukowscy 349
Żukowski Władysław 239

SPIS TREŚCI

WSTĘP	7
PRZEDMOWA	11
ROZDZIAŁ I. — NADCIĄGAJĄCA BURZA	13
<i>Problem polsko-niemiecki. — Taktyka MSZ-u. — Wrażenia z Niemiec. — Ekspansja bez oporu. — Fatum nad Polską. — Nastroje w Polsce.</i>	
ROZDZIAŁ II. — MOBILIZACJA	41
ROZDZIAŁ III. — OD PIOTRKOWA POD KATYŃ	48
<i>Piotrków Trybunalski. — Reorganizacja Dywizji. — Doborusk nad Bugiem (18. 9. 1939). — Dzień dra- matycznej wieści (19. 9. 1939). — Bitwa pod Toma- szowem Lubelskim (23. 9. 1939). — Koncentracja pod Suchowolą (24. 9. 1939). — Wahania i decyzje. — Szeregowi. — Stary żołnierz. — Niewola. — Putiwl. — Kozielsk. — Pod Katyniem.</i>	
ROZDZIAŁ IV. — SPOD KATYNIA DO KUJBYSZEWA	113
<i>Wewnętrzne więzienie NKWD w Smoleńsku (30. 4.- 5. 5. 1940). — Naczelnik więzienia. — Transport do Moskwy (5.-6. 5. 1940) — Ł u b i a n k a (6. 5. 1940). — Psychoanaliza w separacie (6.-8. 5. 1940). — C e l a N r 4 1. — Moja sprawa. — Moi towarzysze więzienni. — Butyrki i zakończenie śledztwa. — W y r o k. — Transport na Północ. — Moje dzieje łagierne. — NKWD jako przedsiębiorstwo. — Mniej- szości narodowe. — Lekarze. — Ten, który się cieszył. — A n a r c h i s t a. — Zwolnienie z łagrów.</i>	

ROZDZIAŁ V. — KUJBYSZEW	215
<i>A m b a s a d a. — Sprawa Ehrlicha i Altera. — Tajemnica Leona Kozłowskiego. — Sprawa Roli- Jannickiego. — Ksawery Pruszyński.</i>	
ROZDZIAŁ VI. — DROGA DO TEHERANU	258
ROZDZIAŁ VII. — RAPORT O ZAGINIONYCH OFI- CERACH	291
ROZDZIAŁ VIII. — KATYŃ Z PERSPEKTYWY TRZY- DZIESTOLECIA	307
ROZDZIAŁ IX. — DIALEKTYKA KATYNIA	325
ROZDZIAŁ X. — CZY CHRUSZCZOW CHCIAŁ OGŁOSIĆ PRAWDĘ O KATYNIU?	333
ROZDZIAŁ XI. — KATYŃ A SOJUSZ SOWIECKO- NIEMIECKI	339
ROZDZIAŁ XII. — ROSJA A POLSKA	348
INDEKS NAZWISK	353

